

# Susan Dennard

*Świat, w którym zechcesz  
zamieszkać na zawsze!*  
Alexandra Brackenh

# WIATRODZIEJ

SON  
imaginacja

Susan Denhard  
WIATRODZIEJ

tłumaczenie:  
Maciej Pawlak

Kraków 2017

*Dla Jennifer i Davida*





**Czaroziemie**  
(STAN W 19. ROKU TRWANIA ROZEMU)

LUSQUE

SVODEN

Morze I

BALMA

IMPERIUM

PORTOLLA

KRIT

IMPERIUM DALMOCKI

Śródmoże

ILLYRIA



OKIEN

ZIEM

## PRZEDTEM

Kałuża krwi.

Rozlewa się na bok, wpływa w jaśniejącą na podłodze plamę księżycowego światła, a potem wraca, gdy fale przechylają okręt na drugą burzę.

Pochwa miecza wysuwa się z palców księcia, który zatacza się i cofa dwa kroki. Serce szarpie się w jego piersi. Nigdy jeszcze nikogo nie zabił. Czy mnie to zmieni? – nachodzi go myśl.

Ostrze tkwi nieruchomo w ścianie. Nawet nie drgnie, gdy przyszpilony mężczyzna usiłuje wstać na nogi. Z każdym ruchem skrytobójcy żelazna klinga rozdziera ranę w jego brzuchu. W półmroku wnętrza napastnika polśniewają jak garść monet.

– Coś ty za jeden? – rozbrzmiewa ochryple głos księcia. To pierwsze słowa, jakie wyrzekł, odkąd się przebudził w mroku kajuty.

Nodenowi dzięki, że miecz jego ojca wisiał nad łóżkiem, jakby tylko czekał na atak asasyna.

– Ona... czeka na ciebie – charczy niedoszły morderca. Raz jeszcze próbuje wstać, tym razem sięgając skrwawioną dłonią do rękojeści.

Brakuje mu małego palca, zauważa księżę machinalnie, ale jego myśli krążą już wokół słowa „ona”. Tylko jedna „ona” mogłaby się na to poważić. Tylko jedna kobieta pragnie śmierci księcia – co sama niejednokrotnie mu oświadczała.

Księżę się odwraca, rozchyła usta do krzyku, lecz wtedy jego uszu dobiega śmiech. Mężczyzna za jego plecami się śmieje. Dźwięk, który się z niego wydobywa, budzi skojarzenie z siekierami rąbiącymi zmurszały pień.

Księżę odwraca się z powrotem. Palce asasyna ześlizgują się z rękojeści i mężczyzna przywiera do ściany, z jego ust wylewa się

kolejna salwa śmiechu, a wraz z nią potoki krwi. Prawą ręką wyławia coś z kieszeni płaszcza.

Gliniany dzban toczy się po podłodze, przemierza krwawą kałużę i kreśli długą, lśniąca, czerwoną linię.

A potem, gdy w gardle skrytobójcy gaśnie ostatni chropawy chichot, z jego ust dobywa się jeszcze ostatnie słowo:

– Płoń.

\*\*\*

Księżę stoi chwiejnie na szczycie nagiego klifu i patrzy, jak jego okręt pochłaniają płomienie.

Żar wyje ogłuszająco, czarnych płomieni morskiego ognia prawie nie widać sponad piętrzących się fal. Zioną jak białe, alchemiczne serca. Huk ogarnia wszystko. Jęczy i trzeszczy smołowane drewno okrętu, którego nie zmógł żaden sztorm ani bitwa.

Powinien nie żyć. Jego skóra jest spalona na wiór, ogień pozbawił go włosów, płuca zmieniły się w dwie bryły rozżarzonego węgla.

Nie ma pojęcia, jakim cudem uszedł z życiem. Jakim sposobem dawał odpór płomieniom morskiego ognia, aż wszyscy zdołali uciec z okrętu. Nie jest pewien, czy przeżyje. Ledwie stoi na nogach.

Zgromadzona na plaży załoga wpatruje się w niknący pod falami okręt. Ktoś szlocha. Ktoś inny nawołuje. Kilku załogantów przeszukuje brzeg, brodzi po kolana wśród fal. Ale większość po prostu patrzy, tak jak księżę.

Nie wiedzą o ataku asasyna. Nie wiedzą, że „ona” czeka na wieść o jego śmierci.

Księżniczka Nubrevny, Vivia Nihar.

Z całą pewnością ponownie targnie się na jego życie, gdy tylko się dowie, że skrytobójca poniósł porażkę. A wtedy jego ludzie, jego załoga, znowu znajdą się w niebezpieczeństwie.

– I właśnie dlatego nie mogą się dowiedzieć, że przeżyłem – decyduje, opadając bez sił na kolana. – Nie mogą się dowiedzieć, że żyję. Ani moi ludzie, ani Vivia. Jeden za wszystkich.

Ciemność wpełza mu przed oczy. Powieki mu się wreszcie zamykają, a on przypomina sobie słowa, które rzekła mu kiedyś ciotka: „im wyżej się wzbijesz, tym bardziej zaboli, gdy upadniesz”.

To prawda, przytakuje w myślach. Jestem tego żywym przykładem.

Merik Nihar, księżę Nubrevny, pochłonięty przez ciemność zapada w pozbawiony marzeń sen.

## ROZDZIAŁ 1

Bycie trupem miało swoje zalety.

Merik Nihar, księżę Nubrevny i były admirał Nubreveńskiej Marynarki Królewskiej, żałował, że umarł dopiero teraz. Jako trup osiągnął nieporównanie więcej niż za życia.

Przybył na leżący w samym sercu miasta Lovats plac Sprawiedliwości w konkretnym celu. Wiedział, że to, czego szuka, znajduje się w zapadłej chacie, która rozpadłaby się przy pierwszym podmuchu wiatru gdyby nie to, że wsparto ją o mury więzienia, a dokładnie tej jego części, gdzie znajdowało się archiwum. Merik musiał się dowiedzieć tego i owego o pewnym więźniu, który nie miał małego palca u lewej ręki, a który w tej chwili rezydował za ostatnim szelfem, w samych trzewiach podwodnego piekła Nodena.

Nasunął kaptur płaszcza głębiej na oczy, choć i tak nikt nie rozpoznałby jego poparzonej twarzy, zwłaszcza że pożar pozbawił go włosów, ale nakrycie dawało niejakić poczucie bezpieczeństwa na gwarnym placu Sprawiedliwości. Czy też placu Dębowym, jak go czasem zwano ze względu na olbrzymi gosrogowy dąb rosnący w jego środku. Błady pień drzewa był wielki jak latarnia i pokancerowany, a jego opasłe konary od dziesięcioleci nie widziały wiosennej zieleni.

To drzewo wygląda, jakby miało wkrótce dołączyć do mnie po drugiej stronie, rzuciło się Merikowi na myśl, gdy wodził wzrokiem po najdłuższej z gałęzi.

Od świtu do zmierzchu przez plac przelewał się falami ciekawski tłum. Kto dzisiaj zostanie wystawiony na pośmiewisko? Kogo przykują do nagiej skały i umrze przy niej z głodu lub nad kim zlitują się bogowie? Pod którym ciężarem zerwie się płonąca lina i kogo zimnymi ustami ucałują na przywitanie rybie więdźmy Nodena?



Gromady ludzi zagoniła tu także desperacja. Rodziny przyszły błagać nubreweńskich żołnierzy o litość dla swoich bliskich, bezdomni o jedzenie, schronienie i łaskę. Lecz tego dnia nikt nie miał dość litości czy współczucia, aby się nimi dzielić. Nawet Merik Nihar. Poświęcił wszystko w imię umowy handlowej z Hasstrelami z Cartorry. Prawie udało mu się dobić targu również z Marstokczykami, ale nie zdążył zrealizować planów, bo zabrała go śmierć. Nie mógł zrobić nic więcej.

Na drodze Merika stanęła jakaś rodzina nagabująca przechodniów, kobieta i jej dwóch synów.

– Głód to nie zbrodnia! – wołali jednym głosem. – U-wol-nić, na-kar-mić! U-wol-nić, na-kar-mić!

Starszy z braci, niemożliwie wysoki i chudy jak węgorz, zbliżył się do Merika.

– Głód to nie zbrodnia! – wykrzyczał mu w twarz. – U-wol-nić, na-kar...

Księżę uskoczył na bok, a potem przemknął za plecami jego brata, by wreszcie wyminąć matkę o rozjaśnionych słońcem włosach, wykrzywionej gniewem twarzy, wołającą najgłośniejsz z całej trójki.

Merik znał gniew jak własną kieszeń, bo to właśnie on od lat był siłą napędową jego życia, którą podsycaly rozdrapywane przez samodiał pęcherze na piersi.

Inni zebrani natychmiast podchwycili okrzyk. U-wol-nić, na-kar-mić! Głód to nie zbrodnia! I tak w kółko. Merik zorientował się, że mimowolnie dostosował rytm kroków do skandowania.

Tak niewiele osób w całych Czarozemiach władało magią, a tak niewiele spośród nich magią, która mogła się do czegoś przydać. Przetrwali tylko dzięki kaprynowi losu – niekiedy czarodziejów – i własnej niezłomności.

Doszedł do miejsca, w którym z grubej, środkowej gałęzi masywnego dębu opadało sześć wisielczych pętli. Przedpołudniowy wiatr poruszał konopnymi linami zawiązanymi w luźne, segmentowe węzły. Gdy obchodził pustą platformę, pochwycił wzrokiem wysoką, potężną postać o bladej cerze.

– Kullen. – Słowo odbiło się bolesnym echem w jego sercu. Brzmienie imienia przyjaciela wydusiło mu z płuc resztki powietrza, nim umysł zdążył zareagować i ściągnąć go z powrotem na ziemię. Nie. To nie Kullen. To nigdy nie jest Kullen.

Kullen umarł rozszczepiony w Lejnie dwa tygodnie temu. I Merik już nigdy go nie zobaczy, ani tu, ani nigdzie indziej.

Bezwiednie zacisnął pięści i wyrznął w drewniany bal podtrzymujący szafot. Ból odezwał się w knykciach i kostkach dłoni, mocno, prawdziwie i szczerze. Uderzył jeszcze raz, silniej, zastanawiając się, skąd te mdłości i zawroty głowy.

Oddał należną cześć duchowi Kullena. Wykupił mu kapliczkę na wzgórzu za ostatni złoty guzik z jego oficerskiego munduru, pomodlił się do rybich wiedźm, aby pozwoliły mu szybko przebyć ostatni szelf. Sądził, że gdy to zrobi, ból zelżeje.

Po chwili wysoka postać gdzieś przepadła, a ból krwawiącej pięści zdusił ten wywołany przez przeszłość. Merik zmusił się do wznowienia marszu. Przygarbił się i poprawił kaptur na głowie. Jeśli Safiyya fon Hasstrel zdołała dotrzeć do tamtego pomostu w Lejnie, przedzierając się między Marstokczykami i rozszczepionymi, i jeśli zrobiła to dla ludu, do którego nie należała tylko dlatego, że tak stanowiła umowa handlowa, którą podpisano z jej wujem – to Merik też zdoła zrobić to, co ma do zrobienia.

Niech szlag trafi jego zdradziecki umysł, który po raz kolejny postawił mu Safiyę przed oczami. Księżę sprawnie unikał wspominek o Safi od dnia eksplozji. Od dnia, gdy jego świat przestał istnieć, a w jego miejsce pojawił się ten nowy. Unikał myśli o niej nie dlatego, że nie chciał o niej pamiętać. Wielki Nodzenie, ta ostatnia chwila, którą z nią spędził...

Nie, nie, przywołał się do porządku. To nie jest dobry moment, by się roztkliwiać. Wspominanie smaku jej ust nie miało już sensu, gdy jego własne wargi były spalone. Gdy całe jego ciało zostało wyniszczone, zrobiło się ohydne.

Nie mówiąc o tym, że życie jest dla żyjących, nie dla martwych.

Przedzierał się przez cuchnącą, brudną cizbę. Czuł, jakby walczył z falą przyływu, jakby opierał się pozbawionemu oka cyklonowi. Każde otarcie i uderzenie w ramię, pierś czy plecy przeszywało go bólem.

Dotarł do gromady pięćdziesięciu przykutych do skał kajdaniarzy o skórze spalonej na wiór przez bezlitosne słońce. Tkwili w żelaznej zagrodzie stanowiącej wyspę na wzburzonym morzu ludzi. Błagali strażników o wodę dla dzieci, o cień dla mdlejących na słońcu żon, o wolność dla rodziców. Ale dwaj strażnicy stojący przy bramie po wewnętrznej stronie zagrody, by nie stratował ich tłum, byli w równej mierze niewzruszeni wobec próśb lovatskich więźniów, co wobec wygłodniałej chmury po drugiej stronie ogrodzenia. Właściwie byli tak znudzeni, że zabijali czas grą w taro.

Jeden żołnierz przewiązał biceps fiołkową szarfą, wyrażającą żalobę po zmarłym księciu. Drugi miał taką samą przerzuconą przez udo.

Widok tego skrawka materiału – przewieszzonego niedbale i bez krztyny szacunku – wzbudził w piersi Merika wicher wściekłości. Tyle poświęcił dla dobra Nubrevny, a oto co dostał w zamian: pustą, jałową żalobę. Pozbawione znaczenia wieńce i proporce, którymi obwieszono miasto, nie mogły zamaskować obojętności ludu w obliczu śmierci ich księcia.

Już Vivia się o to postarała.

Nodenowi dzięki, że od chaty dzieliło Merika raptem kilka kroków, nie utrzymałby dłużej na wodzy budzącego się w jego piersi rozsierdzonego wichru. Lont o mało co się nie dopalił.

Skłębiona cizba wypluła go do rynsztoka przy ufajdanej przez ptaki pomarańczowej ścianie. Merik ruszył w stronę drzwi. Z jego doświadczenia wynikało, że one zawsze są zamknięte, ale nigdy nie są nieprzebyte.

– Otwierać! – zawołał, zapukawszy. To był błąd. Świeżo zakrzepłe strupy na kostkach zsunęły się, odsłaniając czerwone mięso. – Wiem, że tam jesteś!

Brak odpowiedzi. A przynajmniej takiej, którą Merik zdołałby usłyszeć we wrzawie. Nie szkodzi. Podsycił żar tłący się w jego

ciele. Pozwolił mu przybrać na sile. W jego sercu zrodził się porywisty podmuch.

Zapukał raz jeszcze, czując owiewającą go wicherę.

– Szybciej! Zaraz mnie tu zdeptają!

Zgrzytnął skobel i drzwi rozwarły się ze skrzypieniem na dwa cale... A wtedy Merik uderzył w nie pięściami i wiatrem.

Żołnierz po drugiej stronie nie miał szans w starciu z dzikim podmuchem. Grzmotnął o ziemię, aż cała chata się zatrzęsła. Zanim udało mu się wstać, książkę wpadł do środka i zatrzasnął drzwi. Ruszył w stronę żołnierza, a wicher za nim. Zalegające wokół dokumenty porwał cyklon. Merik czuł się, jakby wyjęto mu knebel z ust.

Minęło zbyt wiele czasu, odkąd ostatnio pozwolił się wyszumieć swoim wichrom. Już prawie zapomniał, jaka to radość czarować. Ogień wzbierał w jego żołądku, przesycał go narastającą wściekłością. Powietrze szalało wokół niego, napierało i cofało się w rytm jego oddechu.

Żołnierz – blady mężczyzna w średnim wieku – wciąż leżał na ziemi, zasłaniając twarz rękoma. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że lepiej nie stawiać oporu. Szkoda. Merik z chęcią by powalczył. Ale zamiast tego omiótł pomieszczenie wzrokiem, a później wiatrem. Wibracje powiedziałyby mu, gdzie mogą czekać na niego następni żołnierze, gdzie kłębią się kolejne oddechy. Ale nie, nikt nie czaił się w ciemnych kątach, a drzwi do więzienia były zamknięte na trzy spusty.

Okiełznał wicherę i skupił uwagę na strażniku. Papiery opadły na podłogę, a Merik zdjął kaptur, walcząc z bólem, jaki wywołał materiał zsuwający się z jego poparzonej skóry.

Odczekał chwilę, chcąc się przekonać, czy żołnierz go rozpozna, ale mężczyzna skulił się pod ścianą, gdy tylko odjął ręce od kaptura.

– Czym ty jesteś?

– Mniejsza o to, musisz tylko wiedzieć, że jestem bardzo, bardzo wściekły. – Merik postąpił naprzód. – Szukam kogoś, kto wyszedł na wolność po drugiej odsiadce.

Strażnik rozejrzał się gorączkowo po pomieszczeniu.

– Musisz pan podać jakieś szczegóły. Wiek, wyrok, data zwolnienia...

– Nie wiem nic więcej. – Merik zbliżył się jeszcze o jard, a żołnierz wstał chwiejnie, jak żrebak, który pierwszy raz gramoli się na nogi, po czym cofnął się o dwa kroki i zanurzył ręce w stosie dokumentów.

– Spotkałem tego więźnia jedenaście dni temu – ciągnął Merik, choć właściwie pomyślał: zabiłem. Zrobił pauzę i wrócił myślami do tamtej nocy. – Miał brązową skórę i długie czarne włosy, pod lewym okiem wytatuowane dwa paski. – Dwa paski, czyli dwa razy siedział w kajdanach na placu Sprawiedliwości. – I jeszcze jedna rzecz... – Uniósł lewą dłoń, pokrywały ją plamy czerwono-brązowej tkanki zaleczających się oparzeń i pęknięcia na knykciach, z których sączyła się nowa krew. – Ten więzień nie miał małego palca.

– Garren Leeri! – wykrzyknął klawisz, skinąwszy głową. – Pamiętam go, a jakże. Był jednym z Dziewiątek, zanim przyskrzyniliśmy cały ich gang. Ale za drugim razem wpadł przez jakąś drobną kradzież.

– I cóż się przydarzyło Garrenowi po powrocie na łono społeczeństwa?

– Został sprzedany, psze pana.

Nozdrza Merika rozděły się samoczynnie. Sprzedany? Nie wiedział, że byłych więźniów może spotkać podobny los. Poczul odrazę na tę myśl, a jego płuca ogarnął żar. Merik nie walczył z nim, po prostu pozwolił wiatrowi wirować wokół swoich stóp i wzbijać do góry zalegające na podłodze papiery. Jeden z nich zatrzymał się na goleni strażnika, łopocząc rogami pod wpływem naporu powietrza. Mężczyznę wstrząsnął dreszcz.

– To nie zdarza się często, psze pana. Znaczy, sprzedawanie ludzi. Tylko wtedy, gdy w więzieniu nie ma już miejsca. Sprzedajemy tylko tych, którzy trafili do kicia za drobne przestępstwa. Odpracowują wyrok zamiast siedzieć na tyłku.

– A komu, jeśli można wiedzieć – Merik przechylił głowę – sprzedaliście tego Garrena?



– Trafił do Twierdzy Pyna, psze pana. Od czasu do czasu kupują tam więźniów, by pomagali w klinice. Dają im drugą szansę.

– Doprawdy? – Merik ledwie zdołał zagryźć cisnący się na usta uśmiech. Twierdza Pyna była przytułkiem dla najbiedniejszych mieszkańców Lovats. To pomysł jego matki, po jej śmierci twierdzą zaczęła rozporządzać Vivia.

Nie spodziewał się, że pójdzie tak gładko. Ot tak znalazł połączenie między Garrenem a Vivią. Brakowało mu tylko jakiegoś niezbitego dowodu – czegoś namacalnego, czym mógłby przekonać Wysoką Radę, że jego siostra to morderczyni. Że nie nadaje się na królową.

Na razie miał trop, i to jeszcze ciepły.

Zanim Merik pozwolił sobie, by uśmiech wypłynął mu na usta, pokój wypełnił zgrzyt metalu o drewno. Książę obrócił się i stanął oko w oko z zaskoczonym młodym strażnikiem, który dopiero co wszedł do chaty. Ależ chłopak miał pecha...

Wiatr wystrzelił naprzód i pochwyił młodzieńca, unosząc go jak szmacianą lalkę, a potem cisnął go w stronę Merika, który już wyprowadzał prawy sierpowy. Poharatane kostki wiatrodzieja zetknęły się z zuchwą rozpędzonego strażnika, który huknął o pięść jak fala o skalny klif. Natychmiast stracił przytomność, zwiotczał i rozciągnął się na ziemi. Merik wrócił wzrokiem do pierwszego żołnierza, ten szarpał się właśnie z zamkiem u drzwi po przeciwnej stronie chaty, desperacko próbując ratować się ucieczką.

– Za stary na to jestem – mamrotał. – Za stary.

Głębokie piekielne, zaklął w myślach Merik, gdy przeszło go poczucie winy. Dostał już to, po co przyszedł. Im dłużej się tu kręcił, na tym większe kłopoty się narażał. Porzucił więc spanikowanego klawisza, a sam rzucił się w kierunku drzwi wejściowych.

Nagle stanął jak wryty, gdyż do chaty wtoczyła się rozwrzeszczana kobieta.

– Głód to nie zbrodnia! U-wol-nić, na-kar-mić!

Znowu ona... I jej dwaj synowie. Nodzenie, niewystarczająco wiele kłód rzuciłeś mi dzisiaj pod nogi?

Odpowiedź najwyraźniej była przecząca.

Wrzask kobiety urwał się w pół słowa, gdy spostrzegła nieprzytomnego młodzieńca i odkrytą twarz Merika. Stała przez moment nieruchomo jak słup soli, a w jej nabiegłych krwią oczach księżę wyczytał jakąś nadzieję.

– To ty – wycharczała, z trudem łapiąc oddech. Zatoczyła się naprzód z rozrzuconymi ramionami. – Błagam, o wielki Furio, nie zrobiliśmy nic złego...

Merik naciągnął kaptur na głowę. Ból poparzonej skóry na moment przyćmił mu wszystkie zmysły. Gdy wreszcie rozwarł powieki, okazało się, że kobieta i jej synowie zbliżyli się o krok.

– Błagamy, o Furio. – Kobieta ucapiła Merika za rękę. Skrzywił się na dźwięk tego imienia. Czy naprawdę wyglądał aż tak groteskowo? – Błagam, panie! Wiedliśmy uczciwy żywot, modliliśmy się w twojej kaplicy! Nie zasłużyliśmy na twój gniew, chcemy tylko nakarmić naszych bliskich!

Merik wyrwał się z jej uścisku. Jego skóra pękła pod jej paznokciami. Lada moment wpadną tu żołnierze i choć Merik bez trudu poradziłby sobie z natarczywą kobietą i jej synami, nie było sensu robić sceny.

– Uwolnić i nakarmić, powiadasz? – Księżę zdjął pęk kluczy z pasa nieprzytomnego żołnierza. – Łap.

Przekłęte babsko cofnęło się przed jego wyciągniętą ręką.

Czas mnie goni, pomyślał. Z zewnątrz dobiegł go znajomy głos tarabanu. Wszyscy żołnierze na plac Sprawiedliwości – mówił rytm.

Merik rzucił klucze najbliższemu stojącemu chłopakowi. Omal nie wysmyknęły mu się z rąk.

– Uwolnijcie więźniów, jeśli chcecie, ale lepiej się streszczajcie. Bo jeśli wiać, to właśnie teraz.

Z tymi słowami wybiegł z chaty i wmieszał się w tłum. Głowę trzymał nisko, poruszał się prędko. Kobieta i jej synowie najwyraźniej nie potrafili rozróżnić, kiedy nie należy, a kiedy należy uciekać. Na szczęście Merik Nihar miał tę umiejętność

w jednym palcu. W końcu nawet trup niechętnie rozstaje się z życiem.

## ROZDZIAŁ 2

To nie Azmir.

Safiya fon Hasstrel może i nie była orłem z geografii, ale nawet ona wiedziała, że stolica Marstoku nie leży nad półksiężycową zatoką, do której właśnie wpływał okręt. Choć dałaby się przeciągnąć pod kilem, byle tylko się tam znaleźć.

Wszystko byłoby ciekawsze od gapienia się przez cały miniony tydzień na nieruchome morze odcinające się od majaczącego w dali mrocznego pasa gęstej dżungli. Ponieważ tu, w najdalej wysuniętym na wschód punkcie Ziemi Niczyjej – długiego półwyspu, który nie należał ani do pirackich faksji Saldoniki, ani do żadnego z imperiów – nie miała absolutnie nic do roboty.

Jakiś papier za jej plecami zaszeleścił akurat wtedy, gdy fala wyniosła okręt w górę, by za chwilę opuścić go z powrotem, na ów szmer nałożył się nieskończenie spokojny głos cesarzowej Marstoku. Cały boży dzień pisała albo odpisywała na wiadomości i meldunki przy niskim biurku w swojej kajucie, odrywając się od pracy tylko na czas niezbędny do tego, by powiadomić Safi o jakimś skomplikowanym politycznym sojuszu czy zmianie, jaka zaszła na linii południowej granicy jej imperium.

Sprawy nudne jak flaki z olejem, a najprostsza z prawd przedstawiała się, zdaniem Safi, w sposób następujący: powinno się wprowadzić zakaz męczenia ładnych dziewcząt wykładami. Nuda szkodzi piękności bardziej niż złość.

– Czy ty mnie słuchasz, domno?

– Oczywiście, Wasza Wysokość! – Safi okręciła się w stronę monarchini, jej szata zatańczyła przy obrocie. Żeby dodatkowo wzmóc efekt niewinności, zatrzepotała rzęsami jak mała dziewczynka.

Ale Vanessa tego nie kupiła. Wyraz jej idealnie symetrycznej twarzy stanowił tego ewidentny dowód. Safi wątpiła, by szmer

i syk żelaznego pasa cesarzowej, przywodzący na myśl skłębioną masę węży, był tylko dziełem jej bujnej wyobraźni.

Uczeni nie mieli wątpliwości co do tego, że Vanessa to najmłodsza i najpotężniejsza imperatorowa w dziejach Czaroziem. Legendy opisywały ją jako najsilniejszą i najbezwzględniejszą żelazodziejkę w historii, która strzaskała górę, licząc zaledwie siedem wiosen. A do tego, według Safi, Vanessa była z pewnością najpiękniejszą i najelegantszą z kobiet, jakie kiedykolwiek zaszczyliły świat swoją obecnością.

Ale nic z tego nie miało znaczenia, ponieważ, o bogowie nieśmiertelni, Vanessa okazała się również największą nudziarą, jaką Safi miała nieszczęście spotkać na swej drodze.

Ani w karty się z nią nie pogra, ani nie pożartuje, nie opowie i nie posłucha opowieści przy ogniodziejskim palenisku – nie robiła dosłownie nic, by uczynić to niekończące się czekanie chociaż trochę znośniejszym. Okręt rzucił kotwicę tydzień temu, najpierw kryjąc się przed pojedynczym cartorriańskim kutrem, a później przed całą cartorriańską armadą. Wszyscy gotowali się do morskiej bitwy... która nigdy nie nadeszła. Safi oczywiście się z tego cieszyła – wojna to piekło, jak zawsze powtarzał jej Habim – ale odkryła też, że to nieustanne oczekiwanie stało jej osobistym piekłem. Zwłaszcza odkąd całe jej życie wywróciło się do góry nogami dwa i pół tygodnia temu. Nieoczekiwane zaręczyny z cesarzem Cartorry wciągnęły ją w istny cyklon pogoni i ucieczek, konspiracji i dewastacji. Dowiedziała się wówczas, że jej wuj, człowiek, którym całe życie gardziła, stał za jakimś zakrojonym na niewyobrażalnie szeroką skalę planem, którego celem stanowiło zaprowadzenie pokoju w Czarozimiach.

Następnie – jakby sytuacja nie dość się jeszcze skomplikowała – okazało się, że Safi i jej więziosiostra Iseult mogą w istocie być mitycznymi Cahr Awenami, których powinnością było uzdrowienie magii ich świata.

Cesarzowa wyrwała Safi z zamyślenia, pokasłując w pięść.

– Traktat zawarty przeze mnie z piratami z Baedyed jest dla Marstoku niesłychanie ważny. – Vanessa podkreśliła wagę swych słów, złowróźnie marszcząc idealne brwi. – Dojście



do porozumienia zajęło całe lata, a dzięki temu sojuszowi uratujemy tysiące ludzkich istnień... Domno, ty mnie wcale nie słuchasz!

Może było w tym stwierdzeniu ziarenko prawdy, a mimo to Safi poczuła się urażona tonem cesarzowej. Przybrała przecież swoją najlepszą minę pilnej uczennicy. Czy Vanessa nie mogłaby tego docenić? Nigdy nie bawiła się w takie udawanie na zajęciach Mathew czy Habima. Nie zrobiłaby tego nawet dla Iseult.

Poczuła uścisk w gardle. Instynktownie sięgnęła do zawieszzonego na szyi kamienia Więzi. Co parę minut wyjmowała nieoszlifowany rubin, by zajrzeć w jego połyskującą głębię.

Kamień miał rozbłysnąć, gdyby Iseult groziło niebezpieczeństwo. Od wypłynięcia z Lejny nie stało się to ani razu. Nawet nie mrugnął. Początkowo milczenie kamienia koło jej nerwy, ilekroć pomyślała o swojej rozłące z więziosiostrą. Swoją lepszą połową, która zawsze wyciągała tę mniej dobrą z kłopotów. Z osobą, która nigdy nie pozwoliłaby Safi przyłączyć się do cesarzowej.

Przemyślawszy sprawę, zrozumiała, jak bardzo zaważyła, idąc na układ z Vanessą. Safi oddała do jej dyspozycji swoją prawdziwą moc, żeby cesarzowa mogła oczyścić marstocki dwór z korupcji. Postanowiła wykorzystać nadarzącą się okazję i uczynić świat lepszym miejscem – jednocząc siły z Vanessą, pomagała przecież umierającym Nubrevenom.

Tymczasem okazało się, że utknęła na okręcie, który stał na kotwicy pośrodku niczego. A jej jedyną kompanią stała się cesarzowa imperium nudy.

– Usiądź, proszę – rozkazała Vanessa, rozpraszając jej czarne myśli. – Skoro nie obchodzi cię polityka, to może zainteresuje cię ta wiadomość.

Już sama wzmianka o czymś nowym rozbudziła jej ciekawość. Wiadomość! Dzisiejsze popołudnie zanosilo się na o wiele bardziej rozrywkowe od wczorajszego. Choć okazałoby się takie nawet wtedy, gdyby tylko mewa narobiła na pokład.

Safi wsparła ręce na swoim żelaznym pasie i przecięła kołyszącą się kabinę, by spocząć na pustej ławie naprzeciwko cesarzowej. Vanessa przewertowała plik różnej wielkości dokumentów, ściągając brwi tak nieznacznie, że trzeba się było dobrze przyjrzeć, by odszukać na jej czole pojedynczą zmarszczkę. Widok jej miny przywiódł Safi na myśl inną twarz o podobnie zmarszczonych brwiach. Twarz innego przywódcy, który, podobnie jak marstocka cesarzowa, przedkładał dobro swojego ludu nad wszystko inne.

Merik.

Wzięła głęboki oddech. Jej zdradzieckie policzki pokryły się rumieńcem. Przecież to tylko jeden pocałunek, więc może już sobie idź, czerwona plamo, pomyślała.

Ale rumieniec nigdzie się nie wybierał, ponieważ uchwyciła spojrzeniem napis na kartce, którą Vanessa wydobyła ze stosu dokumentów: książkę Nubrevny. Jej puls przyspieszył raptownie. Kto wie, może wreszcie dowie się czegoś o świecie i ludziach, których przyszło jej porzucić?

Ale zanim to nastąpiło, drzwi do kajuty otworzyły się z hukiem i do środka wszedł mężczyzna w zielonym mundurze marstockiej marynarki. Na widok Safi i Vanessy stanął jak wryty i wlepił w nie wzrok.

Kłamstwo – rozbłysło w głowie domny, a prawdziwsza magia przypawiła ją o znajome mrowienie na całym ciele. Ten człowiek nie był tym, na kogo wyglądał.

Fałszywy marynarz świdrował ją wzrokiem. A potem uniósł rękę.

– Uważaj! – Safi skoczyła w stronę cesarzowej, chcąc odepchnąć ją z linii ataku. Nie zdążyła. Kliknął spust pistoletu. Huknęło. Ale pocisk nigdy nie sięgnął celu. Żelazna kula zawisała w powietrzu, wirując cał od twarzy cesarzowej niczym miniaturowa planeta. A potem z brzucha napastnika wyrosła krwawa klinga i przerznęła mu z sykiem kręgosłup, narządy wewnętrzne i skórę. Ostrze schowało się z powrotem, a ciało gruchnęło na podłogę. W drzwiach stał dowódca gwardii

cesarskiej, cały ubrany na czarno i z ociekającą posoką szablą w dłoni.

Arcyżmij.

– Skrytobójca – orzekł ze spokojem. – Wiesz, co robić, Wasza Wysokość.

– Chodźmy – powiedziała natychmiast Vanessa, ograniczając się do tego jednego słowa. Jakby w obawie, że Safi nie słyszała polecenia, zacisnęła za pomocą magii żelazny pas na jej biodrach i szarpnęła ją w kierunku wyjścia.

Safi nie miała wyboru, pospieszyła za nią, choć dławilo ją przerażenie i choć milion pytań cisnęło jej się na usta.

Zatrzymały się nad martwym asasynem tylko na chwilę, by Vanessa zdążyła omieść go wzrokiem. Pociągnęła bezgłośnie nosem i, zakasawszy czarną spódnicę, przestąpiła nad zwłokami. Zostawiła po sobie kilka krwawych śladów na korytarzu.

Safi dołożyła starań, by ominąć rozrastającą się kałużę krwi. Pilnowała się też, żeby nie spojrzeć we wpatrzone w sufit błękitne oczy mężczyzny.

Na pokładzie panował chaos. Vanessa stawiała mu czoła spokojnie i bez emocji. Strzepnęła palcami i żelazne bransolety na jej nadgarstkach rozrosły się i zafalowały, formując cztery cienkie ściany wokół niej i domny. Skryte za tarczą, przeszły pokładem do bakburty. Safi miała wrażenie, że zamknięto ją w puszcze. Wokół rozlegały się marstockie okrzyki, stłumione i zniekształcone przez żelazne płyty, ale zupełnie zrozumiałe. Żmije i marynarze szukali drugiego asasyna, który miał schować się gdzieś na pokładzie.

– Szybciej – rozkazała Vanessa, szarpiąc Safi mocniej za pas.

– Dokąd idziemy? – odkrzyknęła prawdodziejka. Uwięziona w żelaznym kwadracie nie widziała nic poza bezchmurnym niebem nad głową.

Imperatorowa nie odpowiedziała, ale Safi prędko sama się domyśliła. Gdy dotarły na rufę jednostki, gdzie znajdowały się szalupy zawieszane na wysięgnikach, żeby łatwiej dało się opuścić je na wodę, Vanessa zmieniła stan skupienia przedniej tarczy i uformowała z płynnej bryły żelaza schody, którymi natychmiast

wspięła się na pokład jednej z łodzi ratunkowych. Kiedy obie znalazły się w środku, pozostałe płyty rozpięły się i uformowały wzdłuż burt ochronną warstwę pancerza. Do zamknięcia bryły brakowało tylko dachu, dzięki czemu Safi usłyszała głośno i wyraźnie krzyk któregoś z załogantów:

– Jest pod pokładem!

Vanessa skrzyżowała wzrok z prawdodziejką.

– Nie ruszaj się – poleciła, a potem uniosła ręce. Szczęknięty łańcuchy i łódź opadła z pluskiem na fale. Zaskoczona Safi niemal spadła z ławeczki. Opryskała ją morska woda, a gdy się wyprostowała, włosy zburzyła jej lepka, słona bryza. Morze było spokojne i na krótką chwilę udzielił jej się ten spokój. Wydało jej się niemożliwe, że w tym samym momencie parę metrów wyżej wrzało jak w ulu.

Raptem cała iluzja spokoju rozwiała się jak liście na wietrze. Ledwie uderzenie serca później ponad tarczami rozbłysło oślepiające światło, połyskujące w nieprzeliczonych szklanych odłamkach, tchnące surową magiczną energią. Łódź zachybotwała się groźnie na falach, niemal nabierając wody. A potem huknął grzmot, jakby niebo waliło im się na głowy.

Okręt wyleciał w powietrze.

Fala płomieni naparła na żelazną tarczę, ale cesarzowa dała im odpór. Cienkie jak papier płyty rozrosły się, okrywając całą szalupę, osłaniając Vanessę i Safi przed wściekłym żarem i tłumiąc wycie piekielnego ognia.

Z nosa cesarzowej pociekła krew, targnął nią nagły skurcz mięśni. Był to znak, że lada moment opadnie z sił i nie zdoła utrzymać tarczy.

Safi porwała walające się na pokładzie wiosła i podążyła wzrokiem do brzegu. Zrobiła to machinalnie, bez zastanowienia, jak tonący, który chwyta się brzytwy.

Vanessa pojęła, co zamierza jej towarzyszka, i natychmiast wyczarowała w tarczy dwa otwory, którymi przedostały się do środka płomień i żar. Ale Safi nie zwracała na nie uwagi, nawet gdy sparzyła się w palec, a jej płuca wypełniły się słonym dymem.

Zacząła energicznie przebierać wiosłami, przestała dopiero, gdy dziób szalupy wsunął się w ciemny żwir płycizny. Cesarzowa zdjęła tarczę z westchnieniem ulgi. Metal zafalował i uformował się z powrotem w żelazne bransolety na jej nadgarstkach. Teraz Safi widziała na własne oczy czarne płomienie.

Morski ogień. Nienasycone, pożerające wszystko na swej drodze języki, które opierały się wiatrowi i które polewane wodą buchały jeszcze wyżej w powietrze.

Safi objęła dygoczącą Vanessę i razem opuścili łódź, po czym, brodząc w płytkiej wodzie, ruszyły na brzeg. Przeżyła napaść, ale nie czuła ulgi. Gdy znalazła się na lądzie, nie odczuła satysfakcji ani radości, lecz tylko pustkę i zbierające jej się nad głową czarne chmury. Wiedziała bowiem, że tak właśnie będzie wyglądać teraz jej życie. Nie uświadczy już nudy i kazań, czekają ją za to ognie piekielne i skrytobójcze ataki. Treścią jej egzystencji staną się ciągła walka i nieustająca ucieczka.

I nikt poza nią samą nie zdoła jej przed tym uchronić.

A gdyby tak po prostu zniknąć im z oczu? Tu i teraz? – przyszło jej na myśl, gdy powiodła wzrokiem po długiej linii brzegowej porośniętej namorzynami i drzewami palmowymi. Cesarzowa pewnie nawet by nie zauważyła. Może nawet by jej to nie obeszło.

Jeśliby skierowała się na południowy zachód, prędzej czy później dotarłaby do Pirackiej Republiki Saldoniki, jedyne go ośrodka cywilizacji – jeśli można ją tak nazwać – i jedyne go miejsca, gdzie mogłaby rozejrzeć się za jakimś statkiem, na pokładzie którego opuściłaby te strony. Sęk w tym, że istniały wątpliwe szanse, że przetrwa sama w tym rynsztoku ludzkości.

Bezwiednie dotknęła palcami kamienia Więzi. Właśnie teraz, gdy życie Safi stało na ostrzu noża, rubin zbudził się do życia.

Gdyby była tu Iseult, prawdopodobnie bez zastanowienia dałaby nura w dżunglę za swoimi plecami. Safi robiła się odważniejsza w towarzystwie swojej nomatsańskiej przyjaciółki. Silna i nieustraszona. Ale nie miała pojęcia, gdzie się teraz podziewa jej więziosiostra i kiedy ją znowu zobaczy – czy w ogóle ją jeszcze



zobaczy. Co oznaczało, że największe szanse na przeżycie miała u boku cesarzowej Marstoku.

Gdy ogień zmienił okręt wojenny Vanessy w dryfujące pogorzelnisko, Safi skupiła wzrok na towarzyszce. Cesarzowa stała nieruchomo, jakby zapuściła korzenie, sztywna jak żelazo, którym władała. Prawdopodobnie dostrzegła ślady popiołu na jej skórze, przeniosła wzrok na strupy krwi nad wargami.

– Musimy się ukryć – wychrypiała Safi. Bogowie jej świadkiem, jeśli zaraz nie znajdą czegoś do picia, umrą z pragnienia. Marzyła o zimnej, kojącej, słodkiej wodzie. – Ogień zwabi tutaj cartorriańską armadę.

Cesarzowa z mozołem odjęła wzrok od horyzontu i spojrzała na Safi.

– Ktoś mógł przeżyć – warknęła.

Domna zacisnęła usta, ale nie wdała się w kłótnię. Kto wie, może to jej uległość wywołała ciężkie westchnienie cesarzowej.

– Idziemy do Saldoniki – orzekła Vanessa i ruszyła przed siebie, Safi podążyła jej śladem.

Przez całą drogę przez skalistą plażę cesarzowa zachowywała niezmaćone milczenie. Zapadał zmrok.

## ROZDZIAŁ 3

Bądź jak kwiat na tafli jeziora, powtórzyła w myślach po raz tysięczny Iseult det Midenzi.

Ale ciężko było zachować spokój, pędząc ile sił w nogach w dół stoku korytem lodowato zimnego strumienia. Miała wrażenie, że biegnie od zawsze. Dwa razy się przewróciła i dwa razy przemokła od stóp do głów. Ale nie wolno jej się było zatrzymać. Musiała biec, jak potrafiła najszybciej. Choć nie miała pojęcia, dokąd właściwie zdążyła. Jeśli poprawnie odczytała mapę te kilka godzin temu, zanim rozszczępięcy zwierzyli jej zapach i ruszyli za nią w pogoń, musiała się teraz znajdować gdzieś na północnych rubieżach Ziemi Niczyjej. Co oznaczało, że nie natknie się na żadne ludzkie sadyby, gdzie mogłaby się schronić, i nie znajdzie nikogo, kto mógłby jej pomóc.

Od tygodnia szła w kierunku marstockiej granicy. Strupieszale niziny wokół Lejny wkrótce przemieniły się w kamieniste stromizny. Czuła się obco na tak pofałdowanym terenie. Widziała, ma się rozumieć, ilustracje przedstawiające okryte śnieżnymi czapami szczyty i skaliste turnie, słyszała też snute przez Safi opowieści o górach, ale nie spodziewała się, jak drobna poczuje się w ich obliczu. Jak bardzo da się jej we znaki poczucie osaczenia.

Jej położenie dodatkowo pogarszał fakt, że od dawna nie natknęła się na żadne nici Więzi. Jej więziodziejski dar umożliwiał jej dostrzeżenie nici, które budują, które wiążą i które się rozpadają. Tysiący barw połyskujących przez cały czas nad głowami ludzi. Nie dostrzeże ich, jeśli w promieniu wielu mil nie ma ani jednego człowieka. Nie mogąc podziwiać świetlistych nici, miała wrażenie, jakby cały świat tonął w szarzyźnie.

Iseult była sama jak palec od wielu dni. Wędrowała przez połacie usiane sosnowymi igłami, a towarzystwa dotrzymywały jej tylko skrzypiące na wietrze drzewa. Niezależnie od terenu Iseult

poruszała się ostrożnie, bacząc, by nie zostawić śladu czy tropu, pilnując, by nie zboczyć z drogi wiodącej na wschód.

Do dzisiaj.

Czterej rozszepieńcy wyczuli jej zapach. Nie wiedziała, skąd się tu wzięli i jakim cudem nie zdołała ich jeszcze zgubić. Płaszcz z włókna salamandrowego, który ofiarował jej dwa tygodnie temu krwiodziej Aeduan, miał ją chronić przed rozszepieńcami, ale najwyraźniej zawiodł. Iseult wyczuwała czarne, ucięte nici Więzi, którymi emanowały ofiary rozszepiającej magii. Z każdą minutą były coraz bliżej.

Powinnam owinąć czymś kamień Więzi. Ta myśl dotarła do niej zza zasłony mgły, gdy całe jej ciało skupiło się na biegu. Jakimś materiałem, żeby w pędzie nie uderzało tak boleśnie o klatkę piersiową. Krążyło jej to po głowie od kilku godzin i wypływało na powierzchnię racjonalności za każdym razem, gdy pędząc przez las, raniła stopy o gałęzie i kamienie. Lecz zawsze zapominała o tym, gdy wycieńczona zatrzymywała się, by złapać oddech. W pierwszej kolejności musiała uspokoić sterane płuca i poszukać za pomocą magii nici ludzi, którzy mogliby znaleźć się gdzieś w pobliżu i może udzielić jej pomocy. Zapominała o raniącym jej skórę kamieniu, a gdy wznawiała sprint, było już za późno.

Od czasu do czasu tak głęboko zatapiała się w myślach, że zupełnie nie pamiętała o tym, gdzie się znajduje. Zastanawiało ją, jak to będzie – być Cahr Awenem.

Iseult i Safi odbyły podróż do Prastudni Nubrevny, a gdy zanurzyły się w gościnnych wodach jej źródła, zatrzęsła się ziemia.

„Odnalazłam parę Cahr Awenów – rozradowała się wówczas mniszka Evrane. – Wy dwie obudziłyście Prastudnię”.

W odniesieniu do Safi ten tytuł miał sens. Ona była blaskiem słońca, była przejrzysta jak woda górskiego strumienia. Oczywiście, że spośród wszystkich ludzi na świecie, to ona mogła się okazać Cahr Awenem. Ale Iseult? Iseult nie była nawet przeciwieństwem Safi, żadnym blaskiem gwiazd, nie była tajemnicza i zawikłana. W ogóle niczym nie była.

Chyba że jestem. Chyba że mogę być.

Więziodziejka snuła te myśli każdej nocy, nim pogrążyła się we śnie.

Dzisiaj od czasu ich rozłąki kamień Więzi rozbłysł po raz pierwszy. Iseult znalazła się w poważnym niebezpieczeństwie i mogła tylko uczeplić się nadziei, że jej więziosiostra, gdziekolwiek się znajduje, nie wpadła w panikę na widok aktywności naszyjnika.

Iseult żywiła też nadzieję, że kamień odezwał się ze względu na tarapaty, w których znalazła się ona sama, jeśli bowiem to Safi jest w niebezpieczeństwie...

Nie, nie może teraz o tym myśleć. Może tylko biec.

Minęły ledwie dwa tygodnie, odkąd wszystko szlag trafił i odkąd Iseult utraciła Safi na rzecz Marstokczyków, odkąd wywlekła Merika z zawalonego budynku i zdecydowała się podążyć za więziosiostrą bez względu na wszystko.

Iseult przeszukała Lejnę, wymarłe miasto duchów, po tych tragicznych w skutkach wydarzeniach i wreszcie znalazła opuszczoną kawiarnię Mathew. W kuchni było jedzenie i czysta woda, a w piwnicy natrafiła nawet na sakwę pełną srebrnych monet.

Zatrzymała się tam na kilka dni, ale gdy po tygodniu nikt po nią nie przyszedł, założyła, że obiecany wysłannik już się nie zjawi. Do domu Erona musiała dotrzeć informacja o porwaniu Safi przez cesarzową. Habim, Mathew i senior rodu Hasstrelów zapewne podążyli jej śladem. Co oznaczało, że Iseult nie miała wyboru – musiała czym prędzej ruszyć na północny wschód. Spała w dzień, a podróżowała nocą, ponieważ tylko dwa typy ludzi mieszkali w czaroziemskich lasach: ci, którzy próbowali cię zabić, i ci, przez których ktoś cię zabijał. Jednych i drugich lepiej unikać.

Jednakże w ciemności, która stała się nieodłącznym towarzyszem podróży więziodziejki, czaiło się jeszcze coś. Cień, wiatr i wspomnienia, których nie mogła uciszyć. Nieustannie myślała o Safi. O swojej matce, o Corlancie i jego przeklętej strzale, która prawie pozbawiła ją życia. A także

o rozszczepieńcach z Lejny i o bliźnie w kształcie łyzy, którą zostawili.

A potem o Lalkarce nawiedzającej ją w snach. Ona sama nazywała siebie splotodziejką i upierała się, że Iseult jest dokładnie taka jak ona. Ale Lalkarka rozszczepiała ludzi i kontrolowała ich nici. Iseult nie umiała tego zrobić i nie chciała się nauczyć.

Często myślała też o śmierci. O swojej własnej. Miała przy sobie tylko kordelas, a przed sobą cokolwiek niepewną przyszłość. Może jej nie poznać, jeśli rozszczepieni ją dogonią. A właściwie kiedy ją dogonią, bo to chyba nieuniknione. Iseult była wykończona, brakowało jej tchu, mięśnie nóg płonęły żywym ogniem. Oto dlaczego tak bardzo polegała na Safi, obdarzonej nieomylną intuicją, która dzięki prędkim stopom potrafiła umknąć każdemu pościgowi, podczas gdy Iseult sama stawiała się swoim największym wrogiem w takich sytuacjach, bo pozwalała strachowi wziąć górę nad więziodziejskim rozsądkiem.

Wtedy zobaczyła pośród traw skupisko wilków tworzących błękitny dywan wzdłuż strumienia. Pozornie dzikie kwiaty, pozornie nieszkodliwe. Ale Iseult wiedziała, że nie są ani dzikie, ani nieszkodliwe.

Więziodziejka natychmiast wyskoczyła ze strumienia. Zdrętwiałe stopy zahaczyły o brzeg, upadła na wyciągnięte ręce, boleśnie nadwyrężając nadgarstki. Nie zważała jednak na ból, bo wszędzie wokół roilo się od wilków, niemal niewidocznych w plamach cieni, ale niemożliwych do przeoczenia, jeśli się wiedziało, gdzie patrzeć. Nie sposób ich nie zauważyć, będąc Nomatsanką.

Choć wiodący między sosny trakt wyglądał na pierwszy rzut oka jak ślad po przejściu jelenia, Iseult nie dała się zwieść. Od razu rozpoznała nomatsańską ścieżkę. Obstawione pułapkami szlaki miały za zadanie bronić plemię przed obcymi, stanowiły pewną śmierć dla nieproszonych gości.

Co prawda Iseult do obozu nie zapraszano, lecz z pewnością nikt nie nazwie tam innej Nomatsanki nieproszonym gościem. Oddaliła się od strumienia żwawym marszem. Nie ośmieliła się



biec, gdyż jeden fałszywy ruch rozpyliłby jadodziejską mgłę z mechanizmów ukrytych pod osłoną wilców.

Tam. Odnalazła wzrokiem zatkniętą w ziemi gałąź w kształcie litery C. Jeden koniec wskazywał północ, drugi południe. Wejście i wyjście. Więżiodziejka zwolniła, lawirowała z namysłem między sosnami. Przykucnęła nad obrośniętym mchem kamieniem, poruszała się naprzód drobnymi kroczkami, bacznie rozglądając się na boki i prawie nie oddychając.

Rozszczepieni siedzieli jej na ogonie. Czarne nici plątały się i prężyły w obrębie jej magicznej świadomości, wygłodniałe i ohydne. Dopadną ją w kilka minut. Jednak już się ich nie lękała, bo oto zobaczyła przed sobą kolejną wbitą w ziemię gałąź, nomatsański znak wtopiony w materię lasu, który ostrzegał przed rozłożonymi dalej zębatymi sidłami na niedźwiedzie, dla rozszczepionych okaże się on zupełnie pozbawiony znaczenia. Przynajmniej do czasu, gdy żelazne zęby pułapek nie wgryzą się w ich nogi i nie przygwożdżą do miejsca.

Iseult naszała ochota, by ponownie zerwać się do biegu, przemknąć między pułapkami ukrytymi na porośniętej paprociami polanie. Złapała kamień Więzi, ścisnęła mocno i zrównała krok. Kwiat. Na tafli jeziora. Nim doszła do przeciwległego skraju przejaśnienia, naliczyła sześć pułapek.

Kiedy tylko znalazła się po drugiej stronie, puściła się biegiem. W idealnym momencie, bo za jej plecami nomatsańska ścieżka zbudziła się do życia. Buchnęła trująca mgła, trzask mechanizmu odbił się echem po lesie, wstrząsnął powietrzem, przebiegł zimnymi palcami po kręgosłupie Iseult.

Rozszczepieńcy wpadli w potrzask, ale mgła nie odniosła żadnego efektu. Z leśnej gęstwiny wyłaniali się kolejni łowcy.

Więżiodziejka zmusiła się do szybszego biegu, zaczęła gorączkowo dyszeć. Jeśli jeszcze trochę zwiększy dystans, może uda jej się uciec. Usłyszała za swoimi plecami szczęk sideł, który dźwięczał w leśnej ciszy jak bicie dzwonu. Rozległo się upiorne wycie, a potem cztery skupiska nici zwinęły się w powietrzu niczym bicze i zaczęły zmagać się z metalowymi szczękami zaciśniętymi na nogach.

Iseult ani myślała zwolnić. Musiała dobrze wykorzystać przewagę, aby ta raptem nie stopniała. Paprocie i sosnowe igły szeleściły pod jej stopami. Nie miała pojęcia, czy lada moment nie natrafi pod ściółką na zdradliwy korzeń czy lisią norę. Widziała tylko nieruchome maszty sosen, przedzierała się przez zarośla, przeskakiwała zwalone pnie, mijała poskręcane korzenie. Kilka razy odezwała się bólem kostka, innym razem zaprotestowało nadwyreżone kolano. Jednak wciąż pędziła przed siebie.

I to był jej błąd. Nomatszańskich ścieżek nie należało pokonywać w pośpiechu. Domagały się czasu. Szacunku.

Czego ja się spodziewałam, przyszło jej na myśl, gdy solidny grunt trawiastej łąki zniknął spod jej stóp, a siatka oplótła ją i uniosła, gdzie mogła tylko bezwładnie dyndać. Zassała z sykiem powietrze, po czym wypuściła je ostrym tchnieniem.

Przynajmniej wciąż mam swój kordelas, dogoniła ją jej własna myśl. Ale i on nie zda się na wiele, gdy wisi dwadzieścia stóp nad ziemią. I gdy na dopiero co pokonaną przez nią łąkę wbiega już pierwszy rozszczepieniec, zostawiając po sobie ślad czarnej krwi. Brakowało mu połowy stopy, a po skórze pełzały mu odblaski czaru, za pomocą którego go rozszczepiono. Mimo to poruszał się z uwagą, Iseult nie dopatrzyła się w nim bezmózgiej, frenetycznej brutalności rozszczepionych.

To niemożliwie, przeszło jej przez myśl. I wtedy pojęła. Ucięte nici dryfowały leniwie nad jego głową, niknąc wysoko na niebie, niemal niewidzialne.

Lalkarka. Musiała rozszczepić go z daleka, tak jak zrobiła to z marynarzami i Marstockimi Żmijami w Lejnie. I z pewnością kontroluje rozszczepieńców osobiście.

Gdy tylko Iseult to pojęła, nici zaczęły znikać. Rozszczepieni szarpiący się w żelaznych wnykach umierali jeden po drugim, zupełnie jakby Lalkarka zdecydowała, że ich czas na ziemi dobiegł końca i sama zrywała spotworniałe nici.

A jednak potwór zdążający po łące wciąż żył. Parł naprzód, nie dając Iseult wyboru: będzie musiała wyswobodzić się z siatki i zabić go, zanim on zabije ją.

Nie zdążyła jednak zrealizować swojego planu – łowca natknął się na kolejny potrzask. Druga siatka zerwała się z ziemi i rozszczepiony pomknął w górę. Zatrzeszczały liny, uwięziony wierzgnął, zaszamotał się i zawył, wisząc ledwie parę stóp od Iseult, zaraz potem krzyk zamarł na jego czarnych ustach jak ucięty nożem, a jego nici rozplynęły się w powietrzu.

Lalkarka zabiła i jego, zostawiając Iseult samą na nomatsańskiej ścieżce.

Więziodziejka nie zdołała się powstrzymać: roześmiała się. Wreszcie choć chwila na oddech. Wymknęła się łowcom, nawet jeśli za sprawą pułapki, która nieopatrznie uratowała jej życie.

Śmiech szybko jednak spęłzył jej z ust, zamarł niczym ścięty mrozem strumień. Zrozumiała bowiem, że to tylko kwestia czasu, zanim Lalkarka rzuci w pogoń za nią kolejnych łowców.

– Później będę się tym martwić. Póki co mam z nimi spokój. Muszę jakoś wyleźć z tej siatki, nie łamiąc sobie kości. Niech to cap wygrzmoci – wysyczała podchwyczone od Safi przekleństwo i ścisnęła w pięści kamień Więzi, który teraz już nie przypominał świeceniem, żeby zaczerpnąć z niego energii, jak lubiła sobie wmawiać.

Odpędziła wszelkie myśli, zacisnęła usta i zaczęła piłować kordelasem linową siatkę.

## ROZDZIAŁ 4

Merik skręcił w Jastrzębią i zaczął lawirować dzielącą Lovats na pół zatłoczoną ulicą wtuloną w łuk rzeki Timetz. Modlił się, by zapowiedziana przez odległy grom burza poczekała jeszcze kilka godzin, żeby mógł znaleźć porządne schronienie i, jeśli Noden pozwoli, kęs strawy.

Skoro ma udać się do Twierdzy Pyna, musi odzyskać siły.

Każdy haust powietrza smakował nadchodzącą ulewą. Pomruk gromu wzbierał wzmacniany łomotem bębna, który niósł się ulicami stolicy, wzywając żołnierzy na plac Sprawiedliwości.

Szczęśliwie dla Merika zdążył oddalić się dobrą milę od placu i wtopić w tłum sunący po Jastrzębiej, arterii krzyżującej się z licznymi przecznicami i mostami. Budynki w tej części miasta chyliły się i wspierały na sobie jak marynarze wracający nad ranem z przepustki. Między rogami ulic, na każdym skrzyżowaniu, rozpięto wieńce uplecione z zeszłojesiennych dębowych liści.

Odcienie bursztynu i żółci zawsze przyciągały uwagę Merika. Gdy mieszkał na ziemiach Niharów, ani razu nie uświadczył jesiennych zniw ani wiosennego odrodzenia. Ziemię wciąż toczyła dalmocka trucizna. Nigdy nie dotarła ona jednak do położonego daleko na północnym wschodzie Lovats, można tu było zobaczyć czerwono-brązowo-zielone sploty z dębowych liści, szaławii i mięty, które zapowiadały mający się odbyć za trzy dni książęcy pogrzeb. Pogrzeb Merika.

Noden ma pokręcone poczucie humoru.

Przyspieszył kroku. Alarm wciąż dzwonił mu w uszach, gdy podążał nadgryzionymi zębem czasu granitowymi schodami starożytnej świątyni wybudowanej przy Jastrzębiej. Jej gmach był tak stary, jak samo Lovats. Upływ czasu wygładził i zatarł detale sześciu rzeźbionych kolumn, pełniących wartę przy pogrążonych w cieniu drzwiach, przedstawiających rybie wiedźmy,

wysłanniczki Nodena, które pomagały zmarłym przedostać się za najdalszy szelf, głęboko w morskie odmęty, gdzie na samym dnie znajdował się dwór boga mórz. Teraz jedynie żelazne pierścienie w okolicy talii i niewyraźny zarys twarzy świadczyły o tym, że bezkształtne bryły przedstawiały kiedyś boskie służki.

Merik ruszył kładącą się na posadzce podłużną plamą światła, zmierzając ku najdalszej ścianie świątyni. Z każdym krokiem robiło się coraz zimniej i coraz słabiej słyszał bębnienie. Zagłębiał się w rosnący stopniowo mrok sali rozświetlany tylko przez dwie przygaszone lampy zawieszane nad kamienną figurą Nodena na tronie, którą ustawiono w sercu świątyni.

O tej porze główna sala była pusta. Dostrzegł jedynie dwie stare kobiety, zmierzające do wyjścia.

– Ech, pani szanowna, żeby tak chleba rozdali na pogrzebie – rzekła jedna do drugiej chropawym głosem, który odbił się echem od kamiennej postaci boga. – Lindayowie rozdawali, jak się królowej wykopyrtło, pamiętasz, kumo?

– O, patrzcie ją, mało z kapci nie wyskoczy – odmruknęła jej towarzyszka. – Ja to słyszałam, że prędzej śnieg w lato spadnie, niż się wezmą do grzebania księcia.

To przykuło uwagę Merika. Ukrył się za tronem i nadstawił uszu.

– Synek córki mojej, Sur, jest giermkim w zamku – podjęła ta druga. – I rzekł mi, że jak księżniczce donieśli, że księcia jaki łachudra zaciukał na morzu, to jej nawet powieka nie drgnęła.

Oczywiście, że nie drgnęła, pomyślał Merik. Skrzyżował ramiona na piersi i delikatnie schował palce pod pachami.

– A nie powiedział ci smark, kto też księcia zaciukał? Rzeźnik, co ma sklep na Jastrzębiej, powiedział mi, że to ponoć sprawka Marstoku, ale sąsiad z kolei rękę da se uciąć, że to Cartorra...

Powiększająca się odległość stłumiła dalszą rozmowę, Merik nie próbował jej śledzić. Dość już usłyszał. Więcej niż dość. Nie zdziwił się na wieść, że Vivia zamierza odwołać pogrzeb. Niemal słyszał, jak oznajmia flegmatycznie: „Po co marnować jedzenie na plebs, skoro możemy nakarmić żołnierzy?”.

Nie obchodziło jej nic poza władzą. Nie istniała cena zbyt wysoka za koronę, którą dzierżyła teraz Wysoka Rada. Nodenowi dzięki, że jeszcze nie oddali jej Vivii. Lecz jeśli stan zdrowia króla się pogorszy, jeśli, jak sądził Merik, rychło przeniesie się na tamten świat, nikt nie powstrzyma Vivii przed objęciem tronu.

Oddalił się od posągu Nodena i zbliżył się do tylnej ściany świątyni, na której widniały dwa freski. Po prawej stała Pani Baile, święta, patronka przemiany, pór roku i rozdroży. Nazywano ją Prawą Ręką Nodena, płomień lampy migotał w ziarnach złotego kłosa w jej lewej ręce i łuskach srebrnego pstrąga w prawej. Jej skóra wyglądała jak nocne niebo, powleczone ją ciemną farbą i dodano białe punkciki gwiazd. Stała na zielonej łące i kryła twarz za lśniąca niebieską maską lisa. Fresk niedawno odrestaurowano, tak jak i złoty napis pod spodem:

Chociaż przez łyzy nie umiem rozpoznać

Szczęścia skrytego w nieszczęściu,

Siłę mi daje Pani Baile nadobna,

Jak matka, co trwa przy dziecięciu.

Merik przeskoczył wzrokiem do miedzianej urny u jej stóp, wypełnionej drewnem i srebrnymi monetami. Ofiary. Dowody wdzięczności i prośby, by szepnęła Nodenowi do ucha: „Pomóż im”.

Wokół naczynia usypano wielobarwną stertę wieńców z zeszłorocznych liści, szaławii, mięty i rozmarynu, które były wyrazem pamięci i czci oddawanej bohaterskim zmarłym. Merika zastanowiło, czy któryś złożono tu w intencji Kullena.

Na tę myśl poczuł uścisk w sercu. Odwrócił się i skupił wzrok na drugim fresku, przedstawiającym Lewą Ręką Nodena, świętego patrona sprawiedliwości, zemsty i gniewu.

Na Furii.

Tak nazwała Merika kobieta z placu Sprawiedliwości. Do tak wielkiej wyniosła go chwały. Taką zaniósła do niego modlitwę.

Łysy, poorany bliznami i zwałisty święty wszystkiego, co zniszczone i strzaskane, nosił imię swej prawdziwej natury, w którym zawierało się jego jedyne powołanie. Przynosił sprawiedliwość ciemżonym i karę niegodziwym. Podczas gdy Pani Baile była piękna jak życie, Furia był szpetny jak śmierć. Karmazynowy i czarny pigment jego skóry zbladł, podobnie jak ciemnoszara Otchłań za jego plecami. Tego fresku nikt nigdy nie odnowił, jak i słów pod szponiastymi stopami bóstwa:

Dlaczegoż kosę w lewej ręce ściskasz?

By każdy wiedział, że jak ostrze groźny.

A dlaczegoż w drugiej szkło stłuczone błyska?

By każdy wiedział, że mam bystre oczy.

– I to za niego – mruknął Merik pod nosem – wzięła mnie tamta kobieta. Oto kogo widziała, gdy na mnie patrzyła.

Spojrzał na pustą urnę u stóp Furii, gdzie nikt nie składał ofiar, by nie ryzykować, że bóg się nim zainteresuje. Albo go osądzi.

Na zewnątrz szalała już burza. Deszcz lunął z całą mocą, tak że Merik słyszał go nawet tutaj. Ale gdy odwrócił się do wyjścia, spodziewając się ujrzeć tłum pragnący się schować w świątyni, dostrzegł tylko pojedynczą postać przemierzającą gmach długimi krokami. Z każdym susem zostawiała na kamiennej posadzce mokry ślad.

Cam. Jedyne osoba, która pozostała po stronie Merika.

– Chce pan suszonej jagnięciny? – zawołała, zbliżywszy się do niego. Jej głos odbił się echem od kamiennych ścian. Podobnie jak Merik, miała na sobie płaszcz z kapturem, beżową koszulę



i czarne spodnie, wszystko z samodiała i wszystko brudne. – Nawet całkiem sucha.

Księżę z trudem przybrał groźny grymas.

– Co ja ci mówiłem o kradzieży?

– Czy to znaczy – zaczęła, a płomień lamp załśnił w jej czarnych, przebiegłych oczach – że nie jest pan głodny? Wie pan, zawsze mogę zjeść sam.

Merik odebrał jej mięso. Z jego doświadczenia wynikało, że głód zawsze wygrywał z uczciwością.

– No i tak żem myślał. – Pełen samozadowolenia uśmiech przepełnił jej twarz, rozciągając białe plamy na brązowych policzkach. – Czasem nawet martwym kiszki marsza grają.

Całe ciało Cam pokrywały łaty białej skóry. Pokażny blady placek schodził w dół po prawej stronie szyi, przechodził na ramię i biegł aż na prawą rękę.

Merik nie zwrócił baczniejszej uwagi na ten charakterystyczny pigment, nim jego własna skóra nie zaczęła wyglądać jak wypalona łąka. Imię tego załoganta zawsze wylatywało mu z głowy, więc zwykle wołał po prostu: „majtku”. Do niedawna nie wiedział nawet, czy jest chłopcem, czy dziewczyną. Na pokładzie Jany Cam grała rolę chłopca okrętowego. Trzeba przyznać, że doskonale. Merik nigdy nie dał jej do zrozumienia, że się tego domyślił, a ponieważ ona sama wydawała się zdeterminowana, by zachować swoją płeć w sekrecie, zwracał się do niej jak do chłopca. Bo co to właściwie za różnica? Ona jedna została z nim, podczas gdy reszta załogi udała się do Daru Nodena.

„Czułem w kościach, że pan żyje – wyjawiała wówczas Merikowi. – Szukałem więc i szukałem, aż pana znalazłem”.

– Na ulicy czysto, majtku? – spytał z ustami pełnymi twardej jagnięciny. Za długo ją wędzili.

– Ano – wymamrotała Cam, sama żując ochłap mięsiwa. – Choć nie dzięki panu, sir. Żołnierze latają w tę i nazad, jakby się szaleju najedli. Dlatego też – łakomie oderwała zębami następny kawałek – powinien pan wziąć mnie ze sobą.

Merik stłumił westchnienie. Od eksplozji toczyli ten spór przynajmniej raz dziennie. Za każdym razem, gdy Merik

zapuszczał się do jakiejś małej wioski po zapasy lub wyprawiał na polowanie nad rzekę, by mieli co jeść na kolację, Cam błagała go, by pozwolił jej się przyłączyć. Księżę nieustannie odmawiał.

– Gdybyś tam ze mną poszedł – zaoponował – wkrótce żołnierze szukaliby i ciebie.

– Ależ skąd, sir. – Cam przecięła powietrze paskiem jagnięciny. – Bo gdybym się zabrał z panem, stałbym na czatach. A wtedy tamten kieszonkowiec nie zwędziłby tego... – Wydobyła z kieszeni płaszczka mikrą sakiewkę i zadyndała nią Merikowi przed nosem. – Zauważył pan w ogóle, sir, że ktoś podebrał panu brzdęki?

Merik zaklął pod nosem, a potem wyrwał jej zdobycz.

– Nie zauważyłem, przyznaję. Jak ją odzyskałeś?

– Tak jak zawsze. – Tym razem pomachała samymi palcami. Tkanka bliznowata poszarpanej szramy na krawędzi lewej dłoni zaślniła w świetle świec.

Cam zrelacjonowała Merikowi, jak śledziła go z dachów budynków, a on wczuł się w znajomy rytm jej opowiadania. Mówiła wprost, dosadnie i bez skrępowania, czasem przeciągała samogłoski dla efektu, innym razem zniżała głos do napiętego, konfidencjonalnego szeptu.

Dziewczynie buzia się nie zamykała od dobrych dwóch tygodni. A Merik łowił uchem każde słowo. A właściwie, o czym przekonał się ku własnemu zaskoczeniu, wyczekiwał momentów, gdy będzie mógł zasłuchać się w jej głosie i popłynąć z prądem opowieści, by choć na chwilę zapomnieć, że jego własne życie rozsypało się w drobny mak.

– Na ulicach aż roi się od żołnierzy, sir. Ale myślę – dodała po pauzie, posyłając mu jeden ze swoich cwaniackich uśmieszków – że w tym deszczu dotrzemy na Stare Miasto niezauważeni. Tylko najpierw niech pan skończy jeść.

– Dobra, dobra – wymamrotał, i choć wolałby podelektować się pierwszym od dawna posiłkiem, spałaszował szybko resztę pachnącej dymem jagnięciny, a później dźwignął się na nogi i warknął: – Prowadź, chłopcze, prowadź.

\*\*\*

Vivia Nihar stanęła przed ciężkimi wrotami do Komnaty Bitewnej. Ziarnista faktura bladego, niepomalowanego drewna rozmazywała jej się przed oczami jak kłębiące się za oknem burzowe chmury. Z pomieszczenia dobiegł ją basowy pomruk, od którego jeżyły się włoski na karku.

Niczego nie żałuj. Byle do przodu, pomyślała, poprawiając rękawy marynarskiego munduru. Wygładziła bluzkę pod spodem. Powtarzała te dwa zdania co rano, gdy tylko otworzyła oczy. A potem przez cały dzień, wypełniony po brzegi trudnymi decyzjami, szczególnie gdy wyjątkowo mocno odczuwała ziejącą dziurę po lewej stronie klatki piersiowej.

Niczego nie żałuj. Byle do przodu. Gdzie jest lokaj? Księżniczka Nubrevny ani myślała sama otwierać sobie drzwi. A już zwłaszcza wtedy, kiedy wszystkich trzynastu wizerów z Wysokiej Rady, czekających po drugiej stronie drzwi, śledzi każdy jej ruch.

Od świtu do zmierzchu węszyła wokół niej służba, urzędnicy miejscy i arystokratyczne lizusostwo. A teraz, gdy potrzebowała czyjejś pomocy, żadnego z nich nie było pod ręką.

Vivia skrzywiła nieznacznie usta i zmrużyła oczy, spoglądając na plamę światła widoczną w głębi długiego, ciemnego korytarza. Dwie postacie mozoliły się z zamknięciem olbrzymich drzwi wejściowych, co zapowiadało niechybne nadejście burzy.

– W cholerę z tym. – zaklęła. Miała za dużo na głowie, by czekać na lokajów i burzowe chmury. Jak mawiał król, „siedzenie na tyłku to najszybsza droga do szaleństwa”.

Zebrani w długiej sali wizerowie umilkli, gdy rozległo się trzeszczenie dębowego drewna i zgrzyt zawiasów, a do komnaty wkroczyła Vivia, natychmiast skupiając na sobie trzynaście par oczu, które obserwowały ją znad wielkiego stołu w środku pomieszczenia.

Co się gapicie jak idioci? – pomyślała.

– Cóż to? – spytała już na głos i pozwoliła wrotom zamknąć się za jej plecami. – Czy Noden odpowiedział na moje modły? Czyżby rybnie wiedźmy poucinały wam wszystkim języki?

Jeden z wizerów zakrztusił się powietrzem, jedenastu uciekło wzrokiem. Ale ostatni z nich, ten, który zawsze najżarliwiej sprzeciwiał się Vivii, splótł palce i ułożył dłonie na blacie.

Serrit Linday. Niezmiennie opanowany, poważny. Niezawodny wrzód na jej tyłku.

Zacisnęła pięści i poczuła gorąco wspinające się po przedramionach. Czasem się zastanawiała, czy to uczucie to oznaka słynnego temperamentu Niharów, którego tak bardzo chciał dopatrzeć się u niej ojciec.

Nie, chyba jednak nie. Płomień już przygasał, maska na jej twarzy pozostała nieskruszona. Byle do przodu.

Ruszyła w stronę krzesła w końcu stołu, demonstracyjnie głośno i mocno stukając obcasami na kamiennej posadzce. Niech myślą, że hamuję wściekłość, postanowiła.

Przez pojedyncze okno wsączyła się do Komnaty Bitewnej przytłumiona smuga światła i padła na zwisające z sufitu chorągwie z dawnych czasów, podkreślając zalegającą na nich grubą warstwę kurzu. Jedna z dwunastu wprawionych w okno szyb została wybita, więc otwór zabito deskami.

Vivia ostatnią część drogi do krzesła pokonała w pasie cienia. Sześciu wizerów zasalutowało, gdy przechodziła obok nich. Siedmiu zrezygnowało z protokołu.

Opór. Stale i wszędzie opór. Ale najgorszym opozycjonistą, przeciwnikiem i wrogiem był jej brat. Sprzeciwiał się każdemu jej rozkazowi, kwestionował każde posunięcie. No cóż, przynajmniej z nim ma już spokój. Gdyby tylko reszta Rady zechciała pójść w jego ślady.

Czy okaże się monarchinią podobną do matki, zastanawiali się z pewnością wizerowie. Prawowitą, lecz szaloną królową? Czy może wda się w ojca, wizera z rodu Niharów, który rządzi teraz jako regent i któremu wydawanie rozkazów przychodzi z taką samą łatwością co oddychanie?

Vivia знаła odpowiedź na te pytania, ponieważ już dawno postanowiła być pierwszej wody Niharem. Nigdy nie będzie taka jak jej matka. Nigdy nie pozwoli, by zawładnęły nią szaleństwo i ciemność. Będzie taką władczynią, jakiej się po niej spodziewają.

Tylko nie wolno jej wyjść z roli. Byle do przodu. Jeszcze trochę, ostatnia prosta, nie oglądaj się za siebie. Niczego nie żałuj. Nawet jeśli Wysoka Rada odda jej wreszcie tytuł, który należy się jej z racji urodzenia, zawsze będzie mogła go jej odebrać – tak jak zrobiła to matce w jej ostatnich dniach trzynaście lat temu.

Vivia dotarła do stołu, który najlepsze dni miał już dawno za sobą. Lakier zmatowiał, a krawędzie się wyszczerbiły. Jeśli nie chciało się opuścić komnaty z drzazgami w rękach, lepiej było go nie dotykać. Błat nikał pod stertami pergaminu z wyrysowanymi mapami. Nubrevna, Góry Sirmayańskie, Sto Wysp – całe Czaroziemie na wyciągnięcie ręki. Na wierzchu rozłożono wielki plan miasta z rogami dociśniętymi kamieniami.

Niech ich cholera, zakłęła w myślach Vivia. Zaczęli spotkanie bez niej.

Nic w Nubrevnie nie działo się bez wiedzy i udziału Wysokiej Rady, od planowania wojen po utylizację śmieci, ale ostateczna decyzja zawsze należała do króla regenta. Lub – odkąd Serafin częściej niż gdziekolwiek przebywał w łóżku – do Vivii.

– Księżniczko – skłonił się dwornie nad stołem Serrit Linday. Choć był ledwie parę miesięcy starszy od dwudziestotrzyletniej Vivii, miał na sobie szaty o staroświeckim kroju z gatunku tych, które nosili zgrzybiali marstoccy uczeni i stuletnie stare panny, oraz, jak wszyscy Lindayowie, czaroznamię zielodzieja na wierzchu dłoni. Tej samej, której palcami pukał właśnie niecierpliwie w stół. – Dopiero co zaczęliśmy omawiać plan naprawy tamy. Naszym zdaniem lepiej z nią zaczekać, przynajmniej do pogrzebu. Tama wytrzymała ładnych kilka lat, parę w tę czy we w tę nie robi różnicy.

Pretensjonalny dupek. Choć zachowała znudzony wyraz twarzy, w środku aż się zagotowała. I pomyśleć, że za szczenięcych lat łączyła ją z tym draniem przyjaźń. Serrit, z którym bawiła się jako mała dziewczynka, był teraz wizerem Lindayem, który w niespełna rok od zastąpienia w Radzie zmarłego ojca stał się najgorszym ze wszystkich dostojników, z jakimi musiała się użerać.

Tylu arystokratów i ani jednej arystokratki. Nie tak to powinno wyglądać. Lindayowie, Quintayowie, Sotarowie i Eltarowie – wszyscy mieli dziedziczki płci żeńskiej... z których żadna – cóż za przypadek – nie lubiła opuszczać rodzinnych stron. „Och, czy naprawdę nie może pojechać któryś z naszych braci, mężów, ojców?”

Nie. To będzie pierwsze zarządzenie Vivii, gdy już zostanie królową. Ktokolwiek ma w żyłach wizerską krew, ma obowiązek stawić się przy tym stole. Lecz do tego czasu będzie musiała grać według reguł, które ustanowił jej pradziad.

– Wasza Wysokość – wznosił Linday, rzucając jej przez stół pozornie naturalny uśmiech. – Tak jak prosiłaś, przeprowadziłem obliczenia. Liczby nie kłamią, wnioski nasuwają się same. Lovats nie może przyjąć ani jednej osoby więcej.

– Nie przypominam sobie, bym zlecała jakieś obliczenia.

– Bo nie zleciłaś, pani. – Uśmiech Lindaya nabrał wybitnie gadzich cech. – Zleciła je Rada.

– Wasza Miłość – rozległ się inny głos, piskliwy i skomlący, mógł go z siebie wydobyć tylko wizer Eltar. Vivia podążyła wzrokiem do pulchnego mężczyzny. – Im więcej wpuścimy do miasta ludzi, tym bardziej będziemy musieli uszczuplić nasze własne racje żywnościowe, a to przecież nie do pomyślenia! Wszyscy mamy służbę i rodziny, które ściągają do miasta na pogrzeb księcia. Już obecnie otrzymywane dole nie wystarczają, a co dopiero...

Vivia westchnęła.

– Niebawem będziemy mieli więcej żywności, Eltarze.

– To samo mówiłaś w zeszłym tygodniu! – zapiszczał wielmoża. – A pogrzeb jest za sześć dni! Czym nakarmimy ludzi?

– To jedna kwestia – wszedł mu w zdanie wizer Quihar. – A oto kolejna: im więcej ludzi napływa do miasta, tym więcej między nami potencjalnych wrogów. Dopóki się nie dowiemy, kto odpowiada za śmierć księcia, należy zamknąć Strażników Nodena i nikogo więcej nie wpuszczać.

Wszyscy wizerowie mruknęli z aprobatą. Poza jednym. Ciszę zachował postawny czarnoskóry wizer Sotar, jedyny mężczyzna

z działającym mózgiem przy tym stole. Uśmiechnął się do Vivii, wywróciwszy oczami. Ten uśmiech... sprawił jej większą przyjemność, niż chciałyby przyznać. Przypomniawszy jej jego córkę Stację, która służyła pod Vivią na stanowisku pierwszej oficer. Ech, gdyby była tu Stix i gdyby to był okręt Vivii i jej załoga, Stix przetrzepałaby skórę tym rozmiękłym dekadentom, bez litości i bez skrupułów. To ją cechował hart ducha, który tak cenili Nubreveni.

Ale Stix przeprowadzała dzisiaj inspekcję miejskich strażnic, jak przystało na dobrą pierwszą oficer, podczas gdy Vivia została uwięziona tutaj i zmuszona patrzeć, jak obślizgły gad Serrit Linday ucisza kompanów pojednawczymi gestami.

– Jeśli można, chciałbym przedłożyć Wysokiej Radzie pewną propozycję. I tobie, królowo. Ma się rozumieć.

– Nie wątpię – odrzekła, prychnąwszy w duchu.

– Purytanie zaoferowali nam żywność i kwatery, w Nubrevnie i poza jej granicami. – Wskazał mapę, którą wizer Eltar akurat rozwijał na stole. – Jesteśmy w stanie zapewnić naszym ludziom bezpieczeństwo, jeśli zajdzie taka potrzeba, czy to na naszej, czy na obcej ziemi.

Sotar odchrząknął, po czym oświadczył głosem kojarzącym się z lawiną kamieni:

– Umiejscowienie naszych ludzi poza granicami Nubrevny będzie odebrane jako inwazja, Lindayu.

– Nie wspominając już – Vivia wsparła dłonie na stole – że to oznacza ogromne koszty. Nikt, nawet twoi szlachetni Purytanie, nie pracuje za darmo. – Ostatnie słowa opuściły jej usta zupełnie mimowolnie, Vivia skoncentrowała się już bowiem na rozciągniętej na blacie mapie.

Pergamin przedstawiał uproszczony kontur Czaroziem z naniesionymi za pomocą farby pozycjami wrogów, którzy znaleźli się najbliżej nubreveńskich granic. Kolor żółty przypisano Marstokczykom, punkciki w tym kolorze mrowiły się na wschodzie i południu. Czarne to Cartorrianie rozproszeni po stronie zachodniej. Niebieskie punkty to wojska Dalmocji, pstrzące Morze Południowe. I wreszcie kolor czerwony, wyrazisty

i żywy, oznaczający Baedyedów i piratów Krwawych Żagli otaczających Saldonikę oraz armię Króla Zdobywcy, wciąż daleko na północy. Jak na razie. Ulewne deszcze czyniły Góry Sirmayańskie nieprzejezdnymi. Ale zmieni się to z nadejściem zimy.

Vivia oderwała oczy od mapy, od barw i bezsensownej śmierci, w którą mogą się pewnego dnia przedzierzgnąć kolorowe plamki.

– Czego chcą w zamian Purytanie? Jaka jest cena za ich żywność i mury?

– Wojsko.

– Nie! – Słowo to wybuchło Vivii w ustach, rozgorzało w nich jak płomień w rozpalonym piecu. Ale gdy się wyprostowała i omiotła wzrokiem komnatę, nie mogła nie dostrzec, że członkowie Rady wpatrują się z zaciekawieniem nie w nią, lecz w Lindaya. Wydawali się spokojni. A to dlatego, że doskonale wiedzieli, co zaproponuje wizer, i zgodzili się na to już dawno. Serrit Linday powinien zostać za to wykastrowany!

Vivia strzeliła wzrokiem do swojego jedyne go sprzymierzeńca. Na ciemnej twarzy Sotara malowało się obrzydzenie i rezygnacja. Przynajmniej jego jednego zaskoczyła polityczna machlojka wizerów.

– Purytanie – wyrzekła Vivia – obróć naszych ludzi przeciw użyciu magii. – Maszerowała wokół stołu. – Uważają magię za grzech, choć to przecież magia – czarodzieje! – jest jedyną rzeczą, która zapewnia Nubrevnie bezpieczeństwo i niepodległość. Lindayu, ty sam jesteś zielodziejem! A mimo to z taką łatwością powierzasz naszych obywateli i żołnierzy Purytanom?

Na usta wizera wypełził szyderczy uśmiezek. Nic nie odpowiedział, uniósł tylko głowę.

– Ty, Quiharze, pochodzisz przecież z rodziny o skałodziejskich tradycjach. A czy twój syn, Eltarze, nie jest blaskodziejem? A żona głosodziejką? – Wyliczała, aż przypomniała wszystkim zebranym wizerom o ich bliskich obdarzonych magicznymi talentami.

Każdy wymieniony nagle wlepił wzrok we własne mankiety, paznokcie lub widoczną tylko dla niego plamę na ścianie.



Dopiero gdy Vivia wróciła na koniec stołu, drobny wizer Eltar znalazł dość ikry, by pisać:

– Tyle dobrego, że gdy oddamy część ludzi Purytanom, będzie mniej gąb do wykarmienia na pogrzebie.

Pogrzeb księcia. Jego słowa przez chwilę odbijały się w czaszce Vivii, ale wzbudzone przez nie głuche echo nie śmiało iść w szranki z dzikim łomotem serca rozbrzmiewającym w jej klatce piersiowej. Lecz słowa po chwili opadły jak piasek w pozostawionej przez odpływ kałuży, a Vivia zacisnęła palce na najbliższej mapie i zmięła ją w dłoni, aż zbieleły jej kostki. Tego uczucia nie musiała udawać, ledwie tydzień wcześniej kłóciła się o ten sam pogrzeb z całą zaciętością. „Marnowanie środków! – piekliła się wówczas. – Szkoda na to czasu, o ludziach nie wspominając! Mamy tamę do naprawienia! Obywateli do nakarmienia!”

Ale Rada puściła jej argumenty mimo uszu. Podobnie jak jej ojciec. Oczywiście, jakżeby inaczej. To Merik był ulubieńcem wszystkich. To w jego piersi tlił się żar Niharów, to on miał na tyle rozsądku, by urodzić się mężczyzną. Życie Merika wydawało jej się ścieżką usłaną różami, a on szedł nią, nie napotkawszy oporu, zdobywając wszystko, czego tylko zapragnął. Nawet śmierć przyszła mu łatwo.

Zanim Vivia zdołała skomentować wzmiankę o pogrzebie, głos zabrał Linday:

– Masz całkowitą rację, Eltarze. Musimy godnie uczcić zmarłego, a nie uda nam się to przy takim tłumie.

Niech go rybnie wiedźmy porwą! Nagle Vivia nabrała pewności, że kastracja to zbyt pobłażliwa kara. Należało go utopić, poćwiartować i wypatroszyć, a co zostanie – palić, aż nie ostanie się na powierzchni ziemi ani skrawek tego plugawego węża.

– Poza tym – ciągnął niewzruszenie Linday, ożywiony atencją zebranych – nasze rodziny zjadą się wkrótce do miasta na tę właśnie okazję. Jakże mielibyśmy uszczuplać nasze racje, by nakarmić miasto, w którym aż roi się od...

Natychmiast. I bez litości!

Z dzbana na stole buchnęła woda. Uformowała trzynaście idealnych kul, po jednej dla każdego wizeru – nawet Sotara.

– Dość – powiedziała upiornie niskim głosem Vivia, a kule wody zatrzymały się o kilka cali przed każdym z wizerów. – Nie chcę więcej słyszeć o Purytanach. Nigdy. Niedługo będziemy mieć więcej żywności. Bramy Lovats pozostaną dla Nubrevenów otwarte. Zresztą – dodała po pauzie, przesuwając wodniste sfery o ułamek cala bliżej wizerów – dobrze wam zrobi powściągnięcie apetytu, a więc od jutra wasze racje zostaną pomniejszone o kolejną ćwierć. Jeśli macie głodne rodziny, powiedzcie im, by zostały w domu. – Cofnęła się od stołu i obróciła w stronę drzwi, jakby zamierzała zakończyć posiedzenie.

Ale zawahała się. Jaki to gest jej ojciec dopracował do perfekcji? Ach, racja, przerażający uśmiech Niharów. Wylała na usta złowieszczy grymas i obróciła się do stołu i głupców, którzy go odziedziczyli. A potem pozwoliła całej wodzie wrócić do dzbana, nie uroniwszy ani kropli.

Stanowiło to formę przypomnienia, że Vivia jest nie tylko księżniczką i dowódczynią okrętu, nie tylko prawowitą królową Nibrevny – gdyby tylko Rada zgodziła się odstąpić jej koronę. Vivia Nihar była przede wszystkim pływodzią, i to cholernie potężną. Mogła utopić ich wszystkich samą myślą i nawet by przy tym nie sapnęła.

Niech tylko Serrit Linday i reszta tych gryziórków spróbują jeszcze raz się jej sprzeciwić. Nie będzie już żadnych politycznych impasów wynikających z ich mylnego przekonania, że Vivia nie ma kwalifikacji do władania państwem, że jest szalona i chaotyczna. Nie będzie już chodzić wokół nich na palcach, bo przecież kobietom nie godzi się biegać, krzyżeć. Rządzić.

A nade wszystko: niczego nie będzie, do cholery, żałować.

## ROZDZIAŁ 5

Aeduan szczerze nienawidził Purytanów.

Nie tak zaciekle jak Marstokczyków czy Cartorrian, ale różnica była niewielka. Drażniła go ta ich arogancja, to poniżające, niezachwiane przekonanie, że każdy, kto włada magią, będzie się smażył w ogniach piekielnych.

Przynajmniej traktują każdego z taką samą pogardą, pomyślał, zbliżając się do smętnego gmachu na wschodniej granicy Nubrevny. Zwykle okrzyki w stylu „zgiń, przepadnij, siło nieczysta!” zarezerwowane były wyłącznie dla Aeduana. Jak to miło dla odmiany dzielić nienawiść z bliźnimi.

Aeduan dotarł na miejsce lekko po czasie. Powinien spotkać się z wysłannikiem ojca dwa dni temu, lecz zamiast tego od dwóch tygodni uganiał się po całej Nubrevnie za duchem. Teraz zaś, przebywszy setki mil, zmierzał ku palisadzie z sosnowych pni, zatkniętej niczym korona na szczycie wapiennego wzgórza. Ponury i nagi kompleks budynków pasował jak ulał do skażonej i jałowej ziemi, z której wyrastał. Krwiodziej minął najeżone drzazgami pnie i przemierzył pas popielnej ziemi, po czym stanął przed dwoma mężczyznami pilnującymi wrót.

Choć obaj mieli na sobie brązowe szaty Purytanów, żaden z nich nie wyglądał na antymagicznego fanatyka ani nawet podobnie nie pachniał. Pola bitew i smoła. To ludzie, których profesją była przemoc, co udowodnili, celując do Aeduana z kusz.

– Szukam jednego z waszych kapłanów – zawołał do nich krwiodziej, unosząc ręce.

– Którego? – spytał ten chudszy, o śniadej, marstockiej cerze.

– Corlanta. – Aeduan zwolnił, by strażnicy zobaczyli, że ma puste ręce. Wszystkie noże i sztylety ukrył w rozlicznych kieszeniach zapiętego pod szyję płaszcza. – Powinien już dotrzeć.

– Imię! – rzucił drugi zbir, czarnoskóry olbrzym o wyraźnie południowym akcencie. Aeduan nie wiedział, skąd dokładnie mógł

pochodzić.

Gdy się przedstawił, strażnicy opuścili broń, a południowiec wprowadził krwiodzieja do budynku bocznymi drzwiami znajdującymi się nieopodal bramy. Wnętrze kompleksu okazało się jeszcze posępniejsze. Brodzili w rozdeptanym błocie, mijając gdaczące kury, kręcące się między zapadającymi się chatami, które stały tam nadal chyba tylko na słowo honoru. Główny mur podpierali mężczyźni i kobiety, każdy z pustym koszem lub workiem, czekając w kolejce do pobliskiej chaty.

– Ci ludzie słuchają kazań naszych kapłanów – wyjaśnił czarnoskóry strażnik. – A potem dostają żywność, którą karmią swoje rodziny.

– Nie są Purytanami?

– Jeszcze nie. Ale będą. – Gdy mężczyzna wypowiadał te słowa, z chaty wytoczył się mały chłopiec, dźwigając w rączkach wypełniony kosz i mrugając, jakby dopiero co wybudził się ze snu.

Niespodziewanie umysł Aeduana zaatakowało odległe wspomnienie. Inne dziecko, inny kosz, inne życie. I mniszka imieniem Evrane, która wyrwała go z tej beznadziei.

Popełniła błąd. Powinna była go zostawić.

– Spóźniłeś się. – Słowa przecięły dziedziniec i sprowadziły krwiodzieja z powrotem na ziemię. Niczym błoto mulistej rzeki wpłynęły do uszu Aeduana i spłynęły w dół kręgosłupa.

Jego magia odpowiedziała natychmiast. Wilgotne jaskinie i zbielałe knykcie. Zardzewiałe kłódki i bezmierny głód.

Z ciemnego wejścia chaty skleconej z wypłowiałych dech wyłonił się cień w kształcie człowieka. W jednej chwili Aeduan widział tylko pobladłe drewno, a w następnej górował nad nim chudy jak szczapa Nomats.

Już sama obecność kapłana przyprawiła magię Aeduana o wrzenie. Każde magiczne włókno jego jestestwa mówiło krwiodziejowi, że coś jest z nim bardzo, ale to bardzo nie tak. Jakby patrzył na pełznącą po ścianie szczypawicę. Chęć zdeptania Corlanta zawsze będzie się tlić gdzieś z tyłu głowy Aeduana.

Nomats odprawił strażnika niedbałym gestem.

– Wracaj na stanowisko – rozkazał.

Południowiec skłonił się nisko.

– Błogosławieni czyści.

Corlant odczekał, aż mężczyzna odejdzie, po czym wbił spojrzenie w Aeduana. Mierzyli się wzrokiem przez dłuższą chwilę. Brwi Corlanta powędrowały do góry, trzy głębokie rowy przekreśliły mu czoło.

– Czy ktoś ci kiedyś powiedział – odezwał się wreszcie – że z każdym dniem robisz się coraz bardziej podobny do matki?

Aeduan potrafił rozpoznać, kiedy ktoś go podpuszcza, ale Corlant był przyjacielem jego ojca. Dorastali razem, w tym samym plemienu, i łąknęli zemsty na trzech imperiach. Aeduan mógł marzyć o zmiążdżeniu Corlanta, mógł nawet wyobrażać sobie, że naprawdę to robi, ale wiedział, że to niemożliwe.

Gdy stało się jasne, że Aeduan nie ma zamiaru odpowiedzieć, Corlant przeszedł do interesów.

– Gdzie pieniądze, młody?

– Gromadzę je.

– Doprawdy? Czyli nie masz ich przy sobie? – Nozdrza Corlanta rozdęły się, ale nie ze złości, tylko z głodu. Wyczuł, że coś jest nie w porządku, jak pijawka wyczuwająca w wodzie krew ofiary. – Obiecano mi srebrne talary.

– I otrzymasz je. Lecz nie dzisiaj.

Corlant bawił się swoim łańcuchem, jego usta rozszerzyły się w uśmiechu.

– Straciłeś pieniądze, prawda, młody? Ktoś ci je ukradł?

Aeduan milczał. Gdy zajrzał do pnia, w którym schował pieniądze otrzymane od księcia Leopolda fon Cartorry, znalazł tylko pusty żelazny kufer i garść monet. Wokół unosił się znajomy zapach krwi. Czyste jeziora i mroźne zimy. Ta sama osoba, która skłoniła Leopolda, by zdradził Aeduana. Krwiodziej natychmiast podążył tym tropem, zapuścił się daleko na zachód, gdzie po tygodniu zapach się rozwiął. Krwiodziej nie miał więc innego wyjścia, jak tylko zarzucić poszukiwania i iść do Corlanta z pustymi rękami. Z pieniędzmi czy bez, musiał otrzymać od niego dalsze rozkazy.

– Czy twój ojciec o tym wie? – naciskał Corlant. – Bo jeśli nie, to chętnie mu powiem przy pierwszej okazji.

Aeduan utkwił wzrok w pustej przestrzeni, nim odpowiedział:

– Król nie wie.

Kapłan zaniósł się śmiechem przywodzącym na myśl szczekanie wściekłego psa. Puścił zawieszony na szyi łańcuch, a ten opadł ciężko na pierś.

– A to niespodzianka!

Obrócił się w stronę skupiska chat na tyłach kompleksu. Aeduan ruszył za nim.

Kury uciekały mu z drogi, podobnie jak okutani w brązowe szaty ludzie. Mężczyźni, poprawił się w myślach Aeduan. Do Purytanów przyjmowali wyłącznie mężczyzn.

Krwiodziej pilnował, by iść stopę za Corlantem. Nie dlatego, że Nomats zasługiwał na oznaki szacunku, ale dlatego, że bawiło go, jak nieustannie odwracał głowę do tyłu, gdy do niego mówił.

– Znaleźliśmy się na rozdrożu i sytuacja jest bardzo ciekawa – rzucił do Aeduana przez ramię. – Widzisz, potrzebuję, by ktoś wykonał pewne zadanie, a ty potrzebujesz coś zataić.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wydaje ci się, że jesteś potężniejszy, niż jesteś. – Coś błysnęło w oczach Corlanta. Stanął przed otwartymi drzwiami, w których dało się zauważyć niknące w ciemności schody wiodące pod ziemię. – Może i jesteś synem Ragnora, ale ja znam go o wiele dłużej od ciebie. Jeśli się zastanawiasz, wobec kogo jest lojalny...

– Wobec żadnego z nas – przerwał mu Aeduan. – Król poświęciłby nas obu, gdyby miał dzięki temu wygrać wojnę.

Corlant westchnął z frustracją, nim ostatecznie skinął głową.

– Tu masz rację, młody. I to kolejny powód, dla którego powinniśmy współpracować. Muszę odnaleźć pewną osobę. Moim ludziom się nie udało, ale może twoje... zdolności okażą się przydatne.

Aeduan wreszcie się zaciekawiał. Ten drań mógł szukać wyłącznie jakiegoś interesującego człowieka, który w dodatku może być jego słabością. Aeduan powściągnął jednak emocje i zapytał:

– Jak brzmi rozkaz mojego ojca?

– Robić, co ci każe – odparł Corlant z uśmiechem, przez który Aeduan ponownie nabrał ochoty, by zmiażdżyć go jak robaka. – A każe ci znaleźć nomatsańską więziodziejkę, którą, jak słyszałem, widziano ostatnio w miejscowości Lejna na nubreveńskim wybrzeżu.

Coś mrocznego i nikczemnego odezwało się w duszy Aeduana.

– Jak się nazywa?

– Iseult det Midenzi.

Cień wpełzł krwiodziejowi na kark.

– Na co ci ona?

– To już nie twoja sprawa.

Aeduan schował za plecami zaciskające mu się samoczynnie pięści, ale jego twarz pozostała niewzruszona.

– Co więc jest moją sprawą? Im więcej wiem, tym łatwiej będzie mi wyśledzić cel, a zakładam, kapłanie Corlancie, że chcesz dostać tę więziodziejkę jak najszybciej.

Corlant uniósł brwi, malując na czole trzy zmarszczki.

– Czy to oznacza, młody, żeśmy się dogadali?

Aeduan udał, że rozważa propozycję. Minęły cztery uderzenia serca.

– Czy to nie wbrew twoim ślubom wchodzić w układy z kimś o moich... – ponownie zamilkł na chwilę – zdolnościach? – Nie chciał zdradzać się ze swoimi talentami w otoczeniu ludzi, którzy byli zdeklarowanymi przeciwnikami wszelkiej magii.

Gdy Corlant pojał, co krwiodziej ma na myśli, groźne ogniki zapłonęły w jego oczach.

– Twoje istnienie jest dla Purytanów obrazą, prawda. Ale tak się składa, że jesteś synem króla. Ty czegoś potrzebujesz i ja również. Powiem twojemu ojcu, że dostarczyłeś pieniądze zgodnie z planem, a w zamian ty przyprowadzisz mi tę kobietę.

Aeduan otworzył i zamknął pięść. Ogarnęła go przemożna chęć, by zmrozić Corlantowi krew, by wycisnąć mu odpowiedzi prosto z gardła. Ale to zrodziłoby tylko kolejne pytania. Zmusił się więc, by skinać głową.

– Pojmuję – odparł, opanowawszy się.

Czoło Corlanta się wygładziło, a na jego twarzy pojawił się ten sam wredny uśmieszek co zwykle.

– To świetnie – powiedział, sięgając za kołnierz szaty i szarpiąc się z jakąś wewnętrzną kieszenią, z której w końcu wyłowił ostry skrawek żelaza.

Aeduan spojrział na podobny do igły grot strzały. Ewidentnie nomatsańskiej roboty. Poznaczony czerwonymi plamami.

– To jej krew – wyjaśnił kapłan, podając przedmiot Aeduanowi, który przyjął go, na wszelki wypadek nie zdradzając się z emocjami. – Gdy już ją znajdziesz, nie zabijaj jej. Ma coś, co należy do mnie, chcę to odzyskać. A teraz powiedz mi, ile czasu zajmie ci wykonanie zadania?

– Tyle, ile będę potrzebował.

Uśmiech spłynął z ust kapłana.

– Módl się, byś potrzebował niewiele, bo moja cierpliwość ma brzydki zwyczaj kończenia się w najmniej spodziewanym momencie. Módl się o to do Księżycowej Matki, do Cahr Awenów czy kogo tam czcisz.

– Nikogo nie czczę.

– Twój błąd.

Aeduan udał, że nie słyszy. Kierował się już do bramy.

Nie miał czasu się modlić. Nie znajdował go, zwłaszcza odkąd wiedział, że nikt nie słucha.



## ROZDZIAŁ 6

Merik wyciągał nogi, nie tracąc z oczu mokrej, rozczochranej główki Cam, która wiodła go na Stare Miasto. Nie przyzwyczał się jeszcze do jej ostrzyżonych na krótko włosów. Rano Cam obcięła dwa warkocze, jakie nosili wszyscy nubreveńscy chłopcy pokładowi.

– Nie jestem już marynarzem, więc nie są mi potrzebne – oznajmiła, gdy płynęli barką do stolicy. – A poza tym tak będzie lepiej, bo nikt mnie nie rozpozna.

Merik nie był taki pewien. Widział już w życiu kilka osób z plamami na skórze, ale zdarzało się to bardzo rzadko, jego zdaniem Cam i tak odznaczała się w tłumie, tym bardziej że jej blade łaty wyraźnie kontrastowały z ciemną skórą. Jeśli dodać do tego chropowatą bliznę na ręce, dziewczyna stawała się osobą, która nie tylko rzucała się w oczy, ale i zostawała w pamięci.

Wzorem Merika nasunęła teraz kaptur nisko na oczy i szła mokrymi od deszczu ulicami, odnajdując drogę pośród ciżby, która po ulewie wypełzła na świeże powietrze. Starym Miastem nazywano dzielnicę na północno-zachodnim krańcu miasta, położone kilka mil na zachód od placu Sprawiedliwości. Klecone niechlujnie wąskie budynki wspierały się o siebie nawzajem, zwykle mieszkwały w nich po cztery rodziny, ulice były tu więc wiecznie zatłoczone niczym w dzień targowy. W tak zbity tłum łatwo się wtopić, znajdując prowizoryczne schronienie przed wyprawą do Twierdzy Pyna.

Cam pewnie i zwinnie poruszała się po zatłoczonych ulicach, alejach i zaułkach, bezbłędnie odnajdując drogę i przebijając niestrudzenie nogami szczupłymi jak u pajaka. Wyrosła na ulicach Lovats i znała miasto jak własną kieszeń. Sposób, w jaki wyczuwała patrole żołnierzy, kazał przypuszczać, że kieruje nią jakiś tajemniczy szósty zmysł ulicznika. Okazał się nadzwyczaj przydatny, na ulicach roilo się od żołnierzy, którzy

zdawali się krążyć jak sępy wokół wszystkich obywateli z tatuażem z placu Sprawiedliwości pod lewym okiem. Co kilka przecznic Cam okręcała się na pięcie, łapała Merika za rękaw i prowadziła go bocznym zaułkiem z dala od miejsca, gdzie za moment pojawiał się patrol. Czasem, z sobie tylko znanych powodów, wciągała Merika w ciemne przejście nawet wtedy, gdy nie zagrażał im żaden żołnierz, ale ksiązę nie oponował i niebawem jego cierpliwość została nagrodzona – dostrzegł w oddali elewację znajomego budynku.

– Zatrzymaj się – polecił. – Wchodzimy do środka. – Pokazał wąski, wciśnięty między dwa inne budynki dom. Sądząc po szyldzie, sklep z zabawkami, czemu przeczyły z kolei zatrzaśnięte okiennice. – Teraz to kamienica czynszowa – poinformował Cam, jakby to tłumaczyło, po co tu przyszli.

Dziewczyna obeszła się jednak bez wytłumaczenia. Ku radości Merika nigdy nie domagała się wyjaśnień, ufała swojemu byłemu kapitanowi i księciu, nawet jeśli zdawała sobie sprawę, że działa bez żadnego planu i błądzi po omacku jak dziecko we mgle.

Merik był jak ryba z baśni, którą zwabiło do jaskini złoto Krabiej Władczyni, a Cam była jego siostrzyczką, podążającą wesoło w ślad za nim. Prosto w kłapiącą paszczę.

Gdy weszli do podupadłego sklepu, Merik wyminął bawiące się na podłodze dzieci i przeszedł nad śpiącymi obok wychudłymi staruszkami. Ostatnim razem nie było tu tak tłoczno. Hol zmieniono we wspólną noclegownię, przedłużenie każdego zaimprovizowanego mieszkania.

Pragnął im wszystkim powiedzieć, że niebawem dostaną jeść. Niezależnie od tego, co powiedziała mu Vivia parę tygodni temu, Merik wątpił, że Nubrevna odtrąci pomocną dłoń tylko dlatego, że wyciągnęło ją jedno z imperiów.

Wspięli się po schodach, a minąwszy trzecie półpiętro, ksiązę odczuł pieczenie w udach. Przywitał ból z całą serdecznością, odwracał bowiem jego uwagę od tego, co znajdowało się przed nim. I co przypomniało, że oparł się śmierci. Że zawdzięcza życie wyłącznie miłosierdziu Nodena i jasnowidzącym kościom Cam.

„Czasem po prostu czuję coś w kościach – powiedziała kiedyś Merikowi. – Zawsze ostrzegają mnie przed niebezpieczeństwem i nigdy jeszcze nie zwiódły mnie na manowce”.

Banialuki, które Merik zawsze wkładał między bajki... Tylko że w tym przypadku zawdzięczał profetycznym gnatom Cam życie. Nie mógł zaprzeczyć – w drodze do samego Lovats uniknął dzięki nim śmierci przynajmniej sześć razy.

– Siedemnaście, osiemnaście, dziewiętnaście – liczyła za jego plecami była załogantka. Każdy stopień miał swój numer. Merik słyszał, jak z każdym kolejnym Cam jest coraz bardziej zdyszana. Jego uwadze nie uszło, że w ciągu ostatnich dni kości wychudzonych ramion Cam zaczęły przezierać przez materiał koszuli i że oddawała Merikowi lwią część każdego wspólnego posiłku. Za każdym razem zwracał jej uwagę, jego zdaniem powinni dzielić się po równo, ale puszczała polecenie mimo uszu.

Kiedy Cam doliczyła do dwudziestu siedmiu, stanęli na najwyższym piętrze. Ruszyli zatłoczonym korytarzem i po dwunastu krokach znaleźli się przed niskimi sosnowymi drzwiami. Rozejrzawszy się ostrożnie po korytarzu, Merik wystukał na framudze zamkodziejskie zakłęcie.

Serce zabiło mu szybciej, gdy drewno roztopiło się pod jego palcami, a deseń słoju zawisł w powietrzu niczym rozmyty na wietrze duch ściętego drzewa. Następnie zakłęcie zbudziło się do życia i zdjęło żelazny skobel po drugiej stronie. Merik zdębiał, wpatrzony w zasuwę i w znajome wyszczerbienie pod spodem.

Nie da rady. Sądził, że mu się uda, ale teraz, stojąc u drzwi, zrozumiał, że się mylił.

– Sir? – mruknęła do niego Cam. – Wchodzimy czy nie?

Krew szumiała Merikowi w uszach jak huragan.

– Tu mieszkał... Kullen.

– Pierwszy oficer. – Cam rzuciła spojrzenie w kierunku drzwi.

– Domyśliłem się, sir.

Po tych słowach Merik raptownie pchnął drzwi i wparował do środka. Omiótł wzrokiem znajome pomieszczenie, po czym stanął jak wryty i zawisł w progu jak zapomniany wisielec.

Z wąskiego okna wlewała się do pomieszczenia pojedyncza smuga światła. Niemal radosna w duchocie i półmroku, jakby kpiła z tego miejsca. Światło kładło się na wytartych deskach podłogi, bladoczerwonych ścianach i gołych belkach stropowych, umieszczonych zbyt nisko, by Kullen mógł się swobodnie poruszać po mieszkaniu. Walił w nie głową, gdy wstawał, tak samo jak na Janie. Tak jak w chacie na ziemiach Niharów daleko na południe, gdzie dorastał.

– Chodźmy, sir. – Pokryta odciskami dłoń dziewczyny spoczęła na ramieniu Merika. – Ludzie się gapią. Trzeba zamknąć drzwi.

Merik nie zareagował, więc Cam pchnęła go do środka na dwa kroki. Dało się słyszeć kliknięcie za ich plecami, a potem poczuli na skórze mrowienie magicznej energii, gdy zakłęcie zarygłowało drzwi.

– Płoń? – wyrzekła Cam pytająco, mając nadzieję, że zgaszone lampy nad ich głowami okażą się ogniodziejskimi. Na szczęście miała rację. Na jej rozkaz zapłonęły, wydobywając z mroku niewielką jadalnię po lewej.

Każda płaska przestrzeń mieszkania była zavalona księgami. Każda okładka miała inny kolor, każdą oprawiono w inną skórę, na każdym grzbiecie widniał inny tytuł. Księgi w kredensie, na stole, spiętrzone na trzech niepasujących do siebie krzesłach. Na jednym siadał Kullen, na drugim Merik. A na trzecim, tym najnowszym, sercowież Kullena.

Rybera. Merik poczuł ścisk w sercu, gdy wypowiedział w myślach imię wybranki przyjaciela i gdy ujrzał oczami wyobraźni jej urodziwą, ciemną twarz. Po śmierci Kullena przepadła bez wieści, nie zostawiła po sobie nic poza krótkim listem. Merik nie zaprzeczał, że nigdy nie zżył się z Ryberą i nie bardzo rozumiał jej związek z Kullenem, ale wiele by dał, by mogła stanąć teraz u jego boku w tym pokoju. Wtedy przynajmniej jedna osoba na świecie rozumiałaby, co czuje.

Podążył wzrokiem do ledwo trzymającej się na nogach Cam, tkwiącej za jego plecami.

– Sir, jeśli pan chce, mogę dać panu chwilę. Może pójde skombinować coś jadalnego? – Objęła zapadły brzuch, co jeszcze

bardziej podkreśliło jej chorobliwą szczupłość. – Nie wiem, jak pan, ale ja bym coś wtrząchnął. Ta jagnięcina nie nadawała się nawet na przystawkę.

– Dobrze – wysapał ksiązę. – Powinny gdzieś być... kuny. – Jego słowa rozpuściły się w powietrzu do ledwie słyszalnego szeptu.

Opadł na łóżko, niepościelone i również zasypane księgami. Odnalazł wciśniętą pod poduszkę sakiewkę, a z niej wyłowił jedną srebrną monetę. Cam pokręciła głową na jej widok i oblała się rumieńcem.

– Nie mogę tu tym płacić, sir. Każdy pomyśli, że ukradłem. – Wskazała brudne łachmany, w które była odziana, uznając, że to wszystko tłumaczyło.

Pewnie ma rację, przystał Merik i sięgnął głębiej do sakiewki, gdzie znalazł drewnianą kunę, a potem jeszcze dwie. Dał pieniądze Cam.

– Proszę.

– Dziękuję, sir. Zaraz wracam. – Uderzyła pięścią w serce i zamarła w pozycji na baczność. Może czekała na spocznij, może na coś innego. Na jakąś odpowiedź, na cokolwiek.

Ale Merik nie zareagował. Czuł się pusty i suchy jak koryto wyschniętej rzeki. Nie czuł złości, nie czuł magii. Wypełniała go tylko...

Pustka.

Odwrócił się, a Cam pojęła aluzję. Sekundę później syknęła magia w zamku u drzwi, gdy te się otworzyły, a potem zamknęły za dziewczyną. Został sam.

Skierował kroki ku jadalni, stół i krzesła ugiwały się pod ciężarem ksiąg. Rybera zrobiła z Kullena zapalonego miłośnika literatury, gdy w początkowej fazie związku podarowała mu księgę. Wiatrodziej, który nigdy specjalnie nie palił się do czytania, zaczął wówczas pochłaniać księgę za księgą. Kupował każdą powieść czy książkę historyczną, jaka tylko wpadła mu w ręce. O niczym innym z Ryberą nie rozmawiał. Wiecznie ślęczeli nad czytany wspólnie dziełem lub omawiali

ciekawsze fragmenty traktatu jakiegoś filozofa, o którym Merik nigdy nie słyszał.

Uwagę księcia przykuł tytuł wytłoczony na grzbiecie jednego z tomów. Rozpoznał wolumin, który Kullen czytał na Janie na parę godzin przed śmiercią.

*Prawdziwa opowieść o Dwunastu Paladynach.*

Merik wstrzymał oddech. Porwał go ze stołu, wzbijając w górę chmurę kurzu i wywołując szelest wyprawionej skóry. Otworzył...

To nie ten egzemplarz. Wypuścił powietrze z płuc. Pierwszą stronę książki ktoś porwał, ta na Janie była nienaruszona. Stronice tej pokrywał biały kurz, gdzieś zakreślono akapit lub podkreślono zdanie. Egzemplarz z Jany był czysty.

Oczywiście, że to nie ten sam. Tamten zmienił się w kupkę popiołu. A nawet jeśli jakimś przedziwnym zrzędzeniem losu to był ten sam egzemplarz, jakie to miało znaczenie? Książka nie zastąpi mu więziobrata.

Merik pozwolił księdze otworzyć się w miejscu, gdzie strony rozdzielała karta o złotym rewersie. Wziął ją do ręki. Król Psów. Pochodziła z talii taro, którą zawsze miała przy sobie Rybera – tyle potrafił rozpoznać – poniżej niej zakreślono na stronie akapit:

Paladyni, których uwięziliśmy, pewnego dnia znów będą kroczyć między nami. Zemsta będzie należeć do nich, nieposkromiona będzie ich furia, albowiem ich moc nigdy nam się nie należała. Ale dopiero w śmierci mogli pojąć istotę życia. A tylko żyjąc, zmienią świat.

Merik nie był ani żywy, ani martwy, co więc mu pozostało? Nie miał okrętu, załogi czy korony.

Posiadał jednak coś cennego – trop. Związek asasyna imieniem Garren z jego siostrą. To pierwszy krok do udowodnienia, że Vivia stała za wybuchem na okręcie, za zamachem na jego życie. Z takimi dowodami na stole Rada nigdy nie pozwoli jej wstąpić na tron.

Sama myśl o Vivii rozpałała w nim żar, który spłynął mu w dół kręgosłupa i rozprzestrzenił się przez ramiona aż po palce. Dziki,

smakowity płomień. Merik od lat starał się opanować niharski gniew. Próbował zmagać się z ognistym temperamentem, dziedzictwem rodowym, z którego słynęła jego rodzina i które sprawiło, że Niharów się bano. To właśnie ów temperament skłonił go do podejścia do czarodziejskich egzaminów w zbyt młodym wieku, to z jego powodu król Serafin miał pewność, że Merik posiada ogromną moc, której w rzeczywistości mu brakowało.

Przez wszystkie te lata książę tłamsił swój gniew, chciał różnić się od Vivii tak bardzo, jak to możliwe. Po co mu to było?

Nie uratowało to Kullena przed jego własną burzą.

Nie wyrwało Safiyi fon Hasstrel z łap Marstokczyków.

I z całą pewnością, Noden mu świadkiem, nie uchroniło Nubrevny przed wojną i głodem.

Merik doszedł wreszcie do wniosku, że musi zaakceptować gniew, powitać go w domostwie swojej duszy jak starego przyjaciela. Zanurzył się w swojej złości, oddychał nią, pozwolił jej przeniknąć do każdej myśli. Wykorzystał swój gniew, by uratować głodujące miasto i umierających krajan.

Najświętszy ze świętych może upaść – a Merik upadł na samo dno morskiego piekła Nodena – ale może też wdrapać się z powrotem na szczyt.

\*\*\*

Nim Vivia znalazła chwilę dla siebie, by zejść głęboko pod powierzchnię miasta i zapaść się do samego rdzenia równiny, zabrzmiało na burzowym wietrze czternaście uderzeń dzwonu. Przychodziła tu codziennie, bez wyjątku, przez ostatnie dziewięć tygodni. Za każdym razem wizyta przebiegała tak samo: sprawdzić jezioro, a potem poszukać w tunelach zaginionego, mitycznego podziemnego miasta.

Gdy opuściła Komnatę Bitewną, ogarnął ją chaos. Zewsząd dobiegało dudnienie tarabanów, zwołujących żołnierzy na plac Sprawiedliwości, zanim sama tam dotarła, w mieście nieomal doszło już do zamieszek.

Po blisko godzinie szarpania się z więźniami, którzy za nic nie chcieli dać się zakuć w kajdany, niebo zaczęło raptownie ciemnieć

i Vivia musiała nakazać żołnierzom odwrót. Nie było sensu tego ciągnąć w deszczu. Większość ludzi już zakutych w kajdany popełniła przestępstwa właśnie po to, by ich aresztowano. Ktoś im wmówił, że w więzieniu będą mieli dwa posiłki dziennie. Tylko że lovatskie więzienie było przepełnione, więc ci udający przestępców zdesperowani nieszczęśnicy musieli gnić w kajdanach w zagrodzie na placu, gdzie, oczywiście, nikt ich nie karmił.

Kilku groźnych zbrodniarzy wciąż pozostawało jednak na wolności, nie wspominając o tym nowym bydlaku, który wypuścił swoich kolegów po fachu zza krat.

– Furia – szepnęła Vivia pod nosem, zapuszczając się coraz głębiej pod ziemię. Głupiec, który się tak nazwał, prosił się o gniew rybich wiedźm.

Ludzie zgromadzeni na placu byli bardzo naiwni, jeśli uwierzyli, że mściwy święty Nodena przybył im na ratunek. Vivia wiedziała, że to tylko człowiek podszywający się pod prawdziwe bóstwo.

A człowieka można znaleźć. Aresztować. I powiesić.

Przyspieszyła kroku. Na tej głębokości zawsze było zimno i nigdy nie napotkała tu żadnych oznak życia. Światło jej latarni pełzło po wapiennych korytarzach, tak różnych od symetrycznych, ceglanych Cystern powyżej, gdzie zaklętym przez wododziejów ruchomym systemem rur spływały ścieki. Za każdym razem, gdy wychodziła na powierzchnię, jej skóra, włosy i mundur lepiły się od pyłu. Dlatego też trzymała świeży mundur w suchej skrzyni w ogrodzie swojej matki. Zawsze pracowała tu sama, ponieważ podobny do plastra miodu układ jaskiń i grot był objęty tajemnicą. Vivia sądziła, że poza nią nikt nie wiedział o tym świecie magii i o jeziorze. Tak przynajmniej powiedziała jej matka, gdy przyprowadziła ją tu piętnaście lat temu. Jana była jeszcze wówczas potężną królową. Szaleństwo – i Wysoka Rada – nie pozbawiło jej jeszcze korony.

„Oto źródło twojej mocy, płomyczku – mówiła Vivii. – Właśnie dlatego twoja rodzina, a nie jakaś inna, włada Nubrevną. Ta woda nas zna. Ona nas wybrała”.



Vivia nie rozumiała wtedy słów matki, pojęła je dopiero teraz. Czuła magię zespalającą ją z podziemnymi drogami wodnymi.

Weszła do ostatniego tunelu, gdzie płonęły pradawne ogniodziejские lampy. Powidoki przysłoniły jej wzrok, gdy spojrzała prosto w światło jaśniejsze od niesionej przez nią latarni.

Byle do przodu. Przynajmniej tutaj chciała iść naprzód. Tutaj mogła zajrzeć w trzewia ciemności i nie miało dla niej znaczenia, czy z głębi spogląda na nią jej matka. Przed nią rozciągał się zbiornik wypełniony po brzegi wodą czarną jak inkaust, potężne jezioro zasilane i wypłukiwane przez przecinające się tutaj podziemne rzeki. Zmrużyła oczy, by lepiej widzieć, ale nawet wówczas nie dostrzegła przeciwległego brzegu. Oto serce równiny Lovats, gdzie rodzi się puls miasta. Źródło prawdziwej mocy Nubrevny.

Na brzegu jeziora walały się żebra starożytnej łodzi, tutaj Vivia zawsze stawiała latarnię i wieszła ubranie – tak samo postąpiła i teraz, zaczynając od fiołkowej szarfy na ramieniu.

Zwyczaj wymagał, by wszyscy żołnierze Królewskich Sił Zbrojnych nosili żałobne szarfy aż do pogrzebu, ale zdaniem Vivii tylko przeszkadzały. Nie wspominając już, że wyrażana przez nie żałoba była pusta jak głowa głupca. Większość żołnierzy nigdy nie poznała księcia, a już na pewno nie darzyła go miłością. Merik wyrósł na południu. W odróżnieniu od Vivii, która pięła się po drabinie wojskowej hierarchii w pocie czoła, otrzymał okręt wraz z załogą i lśniącymi kapitańskimi guzikami w prezencie. A parę lat później, co miało być druzgocącym ciosem dla Vivii, dorzucono do tego tortu wisienkę w postaci admirałskich pagonów. Choć oburzenie jej ludzi – mężczyzn i kobiet, z którymi trenowała od lat – poprawiło jej humor, to jednak nie zmyło hańby, jaką okrył ją król Serafin. Merikowi przez całe życie podsuwano wszystko na srebrnej tacy.

Raptownym, gniewnym gestem zzuła buty i zerwała płaszcz z pleców. A potem zrobiła to, co zawsze.

– Zgaś – syknęła.

W grocie zapadła ciemność. Vivia wstrzymała oddech, czekając, aż jej oczy przyzwyczają się do ciemności... Nad jej głową rozbłysły gwiazdy.

Nie prawdziwe gwiazdy, tylko mrowie luminescencyjnych grzybów porastających sklepienie i ściany jaskini, które rozpraszały ciemność jak tysiące miniaturowych słońc, skupione w gromadach i konstelacjach niczym prawdziwe ciała niebieskie, a gdzieś tam świecące samotnie jak migocące źrenice czarnych oczu. Po suficie pełzły do środka grotu cztery wielkie łodygi, budząc skojarzenie ze szprychami i piastą gigantycznego niebiańskiego koła. Jej matka nazywała je płomykami.

Jednak szprych powinno być sześć. I jeszcze dziewięć tygodni temu tyle było. Z nieznanых Vivii powodów najdalsza z nich, kreśląca linię po przeciwnej stronie sklepienia, nagle zgasła. W ciągu kolejnych trzech tygodni przestała świecić następna...

Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała, nie wydarzyło się nic podobnego ani za życia Vivii, ani za panowania królowej Jany. Od ostatniego takiego zdarzenia upłynęło przynajmniej dwieście lat.

„To znak, że naszym ludziom brakowało sił do walki – tłumaczyła jej Jana. – Że rodzina królewska była zbyt słaba, by ich bronić”.

Obywatele miasta skryli się w podziemiach i zaludnili wielką, wykutą w skale metropolię, gdzie w grotach płonęły wielkie skupiska luminescencji, umożliwiając nawet uprawę roślin, niekiedy jedynie wspomaganą przez zielodziejów.

„Podziemne miasto jest tak wielkie jak Lovats, płomyczku. Zbudowali je setki lat temu potężni czarodzieje, jakich dzisiaj próżno już szukać. To schronienie przed wrogami dla naszego ludu”.

Vivia chciała wiedzieć więcej. Jak dokładnie zbudowano to miasto? Czemu nie ma już tak potężnych czarodziejów? Skąd ogień wie, że jesteśmy słabi? I gdzie leży to miasto?

Niestety Jana nie знаła odpowiedzi na te pytania. Po tym, jak przodkowie wykorzystali miasto po raz ostatni, wiedące do niego

bramy zostały zapieczętowane. Nie ostał się ani jeden zwój czy księga, które by o nim wspominały. Zatarło wszystkie ślady.

Jednego pytania, na które matka potrafiłaby odpowiedzieć, Vivia nigdy nie ośmieliła się zadać: czy pokażesz kiedyś miasto Merikowi? Woląca nie znać odpowiedzi, nie chciała podsuwać tego pomysłu swojej matce. To była ich przestrzeń, oaza, do której wstęp miały tylko matka i córka.

A teraz to jej oaza. Jej, nikogo więcej.

Zbliżyła się do brzegu jeziora. Na tafli tańczyło do rytmu fal zielone światło, akcentując szemrzącą muzykę wody błyskiem rybich łusek i skorup innych stworzeń żyjących w głębinach jeziora. Moc wody wpłynęła do jej ciała, nim jeszcze jej palce się z nią zetknęły, Vivia połączyła się z pływami i prądami, wstąpiła do źródła pradawnej mocy istniejącego poza czasem i przestrzenią. Wody jeziora otuliły ją, gdy tylko zanurzyła stopę. Ich dotyk był jej miły jak pieszczota kochanka. Woda przyjemnie chłodziła nogi, Vivia wsunęła ręce w jej przestwór. Powieki same się jej zamknęły. W jakiś przedziwny sposób poczuła każdą kroplę wody na równinie, jej duch przemknął na powierzchnię korytarzami podziemnych rzek i zapuścił się z nimi w głąb ziemi, gdzie nie sięgały korzenie najstarszych drzew. To była jej moc. To był jej dom.

Magia Vivii rozpląnęła się po jeziorze jak tysiąc wodnych węży, napotykając w głębinie stworzenia żyjące tu od zarania dziejów, opływała skały, kamienie i skarby zagubione i zapomniane przed wiekami. Magia wspinała się pod prąd albo płynęła wraz z nim. Czas przestał istnieć, teraźniejszość jawiła się Vivii jako wymyślony przez człowieka konstrukt, którym woda się nie przejmowała i którego nie potrzebowała. W jeziorze wszystko było dobrze.

Vivia wycofała swoją rozpierzchniętą moc i skupiła ją na powrót w swoim ciele, zdjęta poczuciem straty, jak zawsze, gdy zrywała połączenie z jeziorem. Gdyby tylko mogła, nigdy by z niego nie wyszła. Zapuściłaby w nim korzenie i rozpląnęła się jak ziarnko soli w oceanie.

Otrząsnęła się. Nie. Musiała pozostać w ruchu. Jak rzeka, jak prądy wodne.

Objąwszy się ramionami, wystawiła głowę ponad powierzchnię. W jednej chwili miała na sobie buty i przebierała w nich mokrymi palcami, odpalała zgaszoną latarnię. Poprzedniego dnia odkryła kompleks usytuowanych nad jeziorem jaskiń, które wzbijały się po spirali ku powierzchni i kończyły się zawaliskiem, za którym wyczuła wodę. Wodę w ruchu, jak tę płynącą przez Cysterny.

Chciała spróbować oczyścić drogę do zawaliska, choć po drugiej stronie mogła napotkać silne prądy, to nie stanowiłyby one przeszkody dla pływodziejki.

Niemal dotarła do rozgałęzienia, gdy coś spadło jej na głowę. Wzdrygnęła się, dotknęła rękami głowy i karku. Nogi, a raczej odnóża biegały jej po włosach. Targnęła się, a czarna plama spadła na podłogę. Wilczy pajak, potworny i kudłaty, z rozstawionymi szeroko nogami, na których umykał w ciemność. Minęło trochę czasu, nim odzyskała oddech i uspokoiła skołatane serce.

W gardle wezbrał jej histeryczny śmiech. Potrafiła stawić czoła nieprzeliczonym armadom, spłynąć z wodospadem ze szczytu góry na sam dół, stoczyć krwawy bój z każdym mężczyzną i kobietą i wyjść z niego zwycięsko.

A przestraszyła się pajaka... Zadrzała, jej ramiona powędrowały pod samą szyję. Zanim wznowiła marsz ku powierzchni, złowiła okiem jakiś ruch przy swoich nogach. I kolejny na ścianie.

Wilczy pajak nie był jedynym stworzeniem szukającym drogi na powierzchnię ani jedynym drżącym ze strachu. Stonoga – nie, setki stonóg wyłaziły z zagłębień wokół jej stóp. W ciemności biegały po suficie lśniące salamandry.

– Wielki Nodzenie, skąd się biorą te wszystkie stworzenia? I przed czym uciekają?

## ROZDZIAŁ 7

Pół dnia marszu i pół dnia nieustannego pragnienia.

Marsz sam w sobie nie był taki trudny. Safi jakimś cudem zgubiła w wodzie buty, ale już dawno przyzwyczała się do pieszej wędrówki, nawet boso. Nawet z nogą, która nie zaleczyła się jeszcze w pełni po tym, jak dwa tygodnie temu zmiażdżono ją cepem bojowym, mogła bez trudu pokonać wiele mil.

Ale pragnienie... To zupełnie nowe doświadczenie, o tyle trudniejsze, że nieustannie miała przed oczami wilgotne od słonej wody namorzyny. Ani kropla tej wody nie nadawała się do picia.

Ani Safi, ani cesarzowa nie odezwały się słowem od dłuższego czasu. Nie żeby cisza szczególnie doskwierała Safi. Dżungle Ziemi Niczyjej robiły dość hałasu.

Zdążyły na południowy zachód od kilku godzin, stale oddalając się od morza i cartorriańskiej armady, która mogła ich wypatrywać z okrętów, lub węszących za nimi skrytobójców. Przekroczyły bagnisko, zanurzone po kolana w błotnistej mazi, znalazły drogę pośród namorzynów i cyprysów, oplatającego je bluszczu i raniących stopy i dłonie cierni, przedarły się przez brzęczące chmury natrętnych insektów.

Wreszcie musiały się zatrzymać, żeby odpocząć. Vanessa pierwsza opadła na ziemię. Safi dopiero po kilku krokach zorientowała się, że nie słyszy za sobą powłóczystego kroku towarzyszki. Łypnęła przez ramię. Zielona gęstwina, zielone cienie. Serce podeszło jej do gardła. Przecież jeszcze chwilę temu Vanessa szła tuż za nią.

Jest, odetchnęła z ulgą, dostrzegłszy przygarbioną postać na pniu zwalonego drzewa. Czerń sukni Vanessy zlała się z ciemnymi liśćmi i cieniami lasu.

– Coś się stało? – zagadnęła.

W odpowiedzi usłyszała jedynie nic nieznaczące mruknięcie. Vanessa pochyliła głowę, pozlepiane od potu włosy zsunęły jej się

na twarz.

Safi odwróciła się i podeszła do niej. Mogła myśleć tylko o wodzie. Musiały jak najszybciej zaspokoić pragnienie, inaczej padną z wycieńczenia. Gdy przyjrzała się Vanessie, odkryła, że to nie odwodnienie wstrząsało jej ciałem, tylko płacz. Jej żal był krystalicznie czysty. Bił od niej gorącymi, przytłaczającymi falami, a zmysł Safi krzyczał: prawda, prawda, prawda. Niemal widziała żalobny całun, który okrywa i pochłania cały las, rozrasta się na wszystkie strony idealnie czarnymi korzeniami. Stała u boku Vanessy, ale żadne słowa nie przyszły jej do głowy. Ta sytuacja... po prostu ją przerosła. Żelazo przecież nie płacze. Vanessa jakby zrozumiała jej rozterkę. Zadzwończyły kajdany, cesarzowa zatopiła twarz w dłoniach, a potem przetarła oczy i starła łzy.

– To była moja rodzina – powiedziała głosem nabrzmiałym cierpieniem, który niemal zaginał w hałasie dżungli. – Zmije. Marynarze. Znałam ich całe życie. Byli mi przyjaciółmi. Rodziną. – Głos jej się załamał, słowa więzły jej w gardle. – Nie sądziłam, że tak szybko dogoni nas wojna. Pokój skończył się ledwie dwa tygodnie temu... – Zawiesiła głos, niewypowiedziana prawda osiadła na liściach drzew: – Zakończyłam Rozejm w momencie, w którym pojmałam cię w Nubrevnie. Ja ponoszę winę za to, co się stało.

Nagle Vanessa wyprostowała się i zastygła w niewzruszonej pozycji, budząc skojarzenie z posągiem cesarzowej odlanym z żelaza. Gdy skrzyżowała spojrzenie z Safi, prawdopodobnie dostrzegła, że na twarzy monarchini nie było już śladu po łzach czy żalu.

– Zabiję ich za to, zabiję wszystkich Cartorrian, którzy są za to odpowiedzialni, domno.

– Skąd wiesz, że to oni? – spytała Safi, lecz zanim jeszcze słowa opuściły jej usta, dotarło do niej, że imperium jej dzieciństwa, które posłało w ślad za nią całą armadę, ponosi winę za ten atak.

Tylko że... czegoś tu brakowało. To wyjaśnienie było jak klucz wciśnięty do niewłaściwego zamka, który za nic nie chciał się

otworzyć. Niby dlaczego cesarz chciałby zabić Safi? Przecież żywa przyda mu się o wiele bardziej. Tylko głupiec zabija kurę znoszącą złote jaja, tylko głupiec zabija prawdopodobiejkę na swoich usługach. A może stwierdził, że lepiej zabić Safi, niż zobaczyć ją w szeregach wroga? Do tego ten asasyn... miał przecież niebieskie oczy.

– Henrick. – Vanessa wypluła to imię jak zgniły owoc, zupełnie jakby czytała Safi w myślach. – Znajdę całą tę jego flotę i wyrznię w pień.

– Jasne. – Safi nie potrzebowała swojego prawdopodobiejskiego daru, by wiedzieć, że Vanessa mówiła szczerze. Sama ta myśl zapaliła jej krew w żyłach i zagotowała treść żołądka. Z dziką rozkoszą zobaczy upadek Henricka, imperatora Cartorry. Ta wstrętna ropucha, ten obleśny dziad o wiecznie spoconych dłoniach chciał zmusić ją do ożenku i położyć łapy na jej magii.

Safi podała cesarzowej rękę, a ta, ku zdziwieniu prawdopodobiejki, ujęła ją w swoją. Dłoń Vanessy była niespodziewanie miękka. Jej palce chyba nigdy nie dotykały broni, miała skórę niezniszczoną ciężką fizyczną pracą.

A jednak nie usłyszała dzisiaj od Vanessy słowa skargi. Żelazo może i płacze, ale się nie łamie. Safi dopiero poczuła na swojej skórze liczne zadrapania i sińce. Przypomniały o sobie także obolałe stopy, zwłaszcza niedoleczona prawa. Mimo bólu zmusiła się, by powiedzieć:

– Musimy ruszać, Wasza Wysokość. Wciąż jesteśmy zbyt blisko brzegu.

– Wiem... domno – zgodziła się Vanessa, marszcząc nieznacznie brwi. – Muszę przestać cię tak nazywać. Lepiej, żeby nie wymsknęło mi się w Saldonice.

– Może po prostu Safi?

Vanessa skinęła głową, powtarzając bezgłośnie jej imię, jakby nigdy wcześniej go nie wymawiała.

– Jak ja mam się do ciebie zwracać? – spytała prawdopodobiejka, zapalając się na myśl o ksywce dla cesarzowej. – Nessa? Van? Vivi? Assenav?

Vanessa wyglądała, jakby miała się rozchorować. Już pożałowała swoich słów.

Ale Safi dopiero się rozkręcała. Wymyślanie przezwisk było jej ulubioną częścią planowania każdego szwindla, co doprowadzało jej mentora Mathew do szału.

Przełękła się na myśl o nim. I o wszystkich ludziach na usługach wuja Erona. Nie mają pojęcia, gdzie jej szukać, a co gorsza – mogą myśleć, że nie żyje i w ogóle zarzucić poszukiwania. Przełknęła ślinę, żeby rozluźnić zaciśnięte gardło, zebrała wszystkie swoje obawy i upchnęła je z tyłu głowy, poza zasięgiem gorączkowych myśli. Nie może zrobić nic innego, jak tylko iść naprzód.

I wymyślać nowe ksywki dla najeżonej Vanessy.

– Niezłomna? – podsunęła, teatralnie modulując głos, gdy ruszyły za słońcem w kierunku Saldoniki. – Stalowa? Stalowa cesarzowa? – Prychnęła śmiechem.

Vanessa nie roześmiała się, mierzyła ją tylko morderczym spojrzeniem.

– O, wiem! – Safi klasnęła w ręce, dumna z własnego geniuszu. – Będę cię nazywać Żelazną Panną. Oto kobieta zimna jak stal, której serca nie stopi nawet najgorętsze palenisko, która ugnie się jeno w rękach mężczyzny będącego kowalem własnego losu...

– Błagam, przestań – powiedziała cesarzowa mrozącym krew w żyłach głosem. – To nie do zniesienia.

Ale Safi w żadnym razie nie miała zamiaru przestać.

\*\*\*

Wędrowały dobre cztery godziny. Namorzyny, mahonie, dęby, bambusy i paprocie splatały się w gęstą, zbitą dżunglę, która rozpraszała się tylko z rzadka nieregularnymi plamami łąk i polan. Safi unikała przejaśnień jak ognia. Jeśli ktoś je śledził, na odkrytym terenie miałby je na widelcu, a wysoka i gęsta trawa stanowiła idealne schronienie dla potencjalnych zamachowców. Leśne sklepienie było tak gęste, że nie przepuszczało promieni słońca, uniemożliwiając bujny rozrost przyziemnej roślinności. Tutaj nikt się do nich nie podkradnie. W gęstwinie znalazły wodę.



Dwukrotnie natknęły się na wątle, błotniste strumyki. Lepsze to niż nic.

Gdy ominęły kolejną szeroką polanę, Safi zauważyła piętrzące się na niebie chmury. Zanosiło się na burzę, więc skryły się pod obalonym drzewem. Gdy tylko się zatrzymały, w nogach Safi odezwał się nieznośny ból. Podeszwy piekły ją, jakby trzymała je w ognisku, kostki miała opuchnięte, krew sączyła się z drobnych ranek, otarcia doprowadzały ją do granic wytrzymałości, gdy dotknęła nimi ziemi lub przypadkiem przesunęła po nich palcami. Ale wciąż najgorsze było pragnienie... Gdy kucnęła obok pnia, dopadły ją zawroty głowy. Prawie oparła się na rękach. Zwiotczałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa. Cesarzowa wcale nie radziła sobie lepiej. Ostatkiem sił wczołgała się pod obrośnięte bluszczem drzewo.

Przynajmniej nie domaga się opieki jak jakaś rozpuszczona arystokratka, pomyślała Safi, odrywając na moment myśli od obolałego ciała. Vanessa bez słowa skargi znosiła niedolę i żarty Safi. Jej stoicyzm dorównywał niemal temu charakterystycznemu dla Iseult.

Zanim Safi zdążyła dołączyć do Vanessy, pierwsza kropla deszczu zwilżyła jej kark. A za nią opadły kolejne. Wkrótce woda spływała jej na ramiona i plecy, rysując blade ślady w kurzu i popiele pokrywających jej ciało. Musiała wykorzystać ten deszcz, choćby miała paść trupem z wyczerpania.

– Możesz zrobić jakieś naczynie? – spytała Vanessy. – Musimy mieć coś do zbierania wody.

Cesarzowa skinęła. Nie miała siły na więcej, znów pogрузyła się w żalobie. Mimo to zdołała wyczarować z bransolet na nadgarstkach dwa okrągłe wiadra. Safi przejęła je ostrożnie, jakby nagły ruch mógł wystraszyć towarzyszkę. Gdy przelotnie zajrzała w jej oczy, ujrzała w nich pustkę i ciemność.

– Cofnę się do ostatniej polany. Łatwiej będzie napełnić je na otwartej przestrzeni.

– Dobrze – wyrzekła cesarzowa półgłosem, chowając się pod drzewem. Nie miała siły iść z Safi, i tak jej nie upilnuje. A może po prostu ufała, że wróci, albo nie obchodziło jej już zupełnie nic.

Safi znalazła miejsce na obrzeżu przejaśnienia, gdzie leżały w trawie powalone starożytne kolumny. Obok nich stał zwalony do połowy mur, choć dostrzegła porośnięty mchem i skryty za paprociami marmur, nie wiedziała, kto wznosił budowlę. Zapewne jakaś zapomniana rasa, którą wieki temu wchłonęło imperium.

Zresztą nieistotne. Teraz tylko woda była ważna. Rozpętała się burza, deszcz lunął z nieba, zmywając z niej zakrzepłą skorupę kurzu i potu. Otworzyła usta i piła z lubością, pozwoliła deszczowi wsiąknąć w jej brudną sukienkę i zlepione w strąki włosy.

Deszczówka smakowała jak najprzedniejszy nektar, a zimny prysznic odświeżył ją i odprężył. I stłumił odgłos kroków postaci podkradających się do niej w wysokiej trawie.

Safi przeczesywała palcami mokre włosy, ogarnięta przyjemnością nieopatrznie zamknęła oczy. Jej uwaga rozproszyła się dosłownie na chwilę. Rozkoszowała się dotykiem wody na policzkach i ustach, gdy nagle poczuła na plecach stalową klingę.

Zamarła. Nie domknęła warg, nie zdradziła się żadną reakcją.

– Nie ruszaj się, heretyczko, to cię nie skrzywdzimy.

To zdanie pozwoliło jej zdobyć cztery informacje. Ostrze na jej plecach należało do mężczyzny. Mówił po cartorriańsku z góralskim akcentem. Użył liczby mnogiej, a więc nie był sam. I uważał ją za heretyczkę.

Piekielny bard.

Dopiero teraz raptownie rozwarła powieki. Deszcz przesączył się przez jej rzęsy, zamrugała, opuszczając głowę i znajdując dokładnie to, czego się spodziewała – kolejnego barda pięć kroków przed nią. Twarz zwalistego mężczyzny skrywał stalowy hełm, pod którym rozrastał się prawdziwie byczy kark mocarza. Był to największy mężczyzna, jakiego Safi widziała w życiu, dwa topory w jego masywnych łapskach wydawały jej się niemal tak długie, jak jej nogi. Na jego klatce piersiowej lśniły wilgotne od deszczu metalowe płyty szkarłatnej brygantyny, splecione gęsto kółka kolczugi i skórzane karwasze. Pełny pancerz, który powinien dzwonić czy skrzypieć podczas chodzenia. Jakim cudem

nie usłyszała tego olbrzyma? Jakim cudem nie dostrzegła, gdy się zbliżał?

Obróciła delikatnie głowę, by rzucić okiem na mężczyznę za jej plecami. Jego aparycja też źle wróżyła. Nie był tak potężny jak ten z przodu, ale również wysoki i dobrze zbudowany, i także w pełnym pancerzu. Długi miecz trzymał w obu rękach, a szkarłatne pasy na karwaszach zdradzały, że jest oficerem.

Dowódca piekielnych bardów.

„Jeśli twój przeciwnik jest lepiej uzbrojony lub lepiej wytrenowany – uczył ją dawno temu Habim – rób, co każe. Lepiej przeżyć i wyczekiwać dogodnej okazji, niż zginąć w nierównej walce”.

– Czego ode mnie chcecie? – spytała dowódcę.

– Na razie chcemy tylko, byś stała, gdzie stoisz – dobiegł ją zniekształcony głos wydobywający się zza hełmu.

Magia Safi nie zareagowała. Jakby trochę kłamał, trochę mówił prawdę.

– Jest mokro.

– Nie udawaj, że ci to przeszkadza.

Kiedy przeszkadzało. Zdrętwiały jej palce stóp. Kolana miała sztywne jak tyczki. Ale rozumiała, że kłótnia nie ma sensu – zwłaszcza że jej magia zawiodła ją w zetknięciu z bardem. Jej uwaga zawężała się do połysku na mokrym napierśniku i do postaci nieruchomej jak leżące w trawie kawałek dalej kolumny.

Oto nadeszła chwila, przed którą Safi uciekała przez całe dzieciństwo. Instynkt krzyczał, by podjęła walkę, tłamsząc głos rozsądku. Wszystkie odebrane od Habima nauki, cały jej trening, całe szkolenie, wszystkie te mroczne historie, które opowiadał jej wuj Eron – właśnie ją dogoniły. Na długie lata przed poznaniem Iseult jej nauczyciele wpoili jej, że jest silna, że umie walczyć i bronić się, że nikt nigdy nie zdoła zapędzić jej w kozi róg, że jest wilczycą w świecie zajęcy.

Chyba że te zające to elitarna jednostka bojowa zwana Oddziałem Piekielnych Bardów, której zadaniem było wyłapywanie niezarejestrowanych czarodziejek i czarodziejów

w Imperium Cartorriańskim. Całe życie się przed nimi ukrywała, nie chcąc oddać w ich łapy swojego bezcennego daru.

Pierwszy raz wyprawiła się do cartorriańskiej stolicy, kiedy miała pięć lat. Wuj i nauczyciele utwierdzali ją w przekonaniu, że walka z bardami jest bezcelowa. Że nie sposób się przed nimi bronić. Eron – który przez lata należał do piekielnych bardów, do momentu, aż w atmosferze skandalu nie zwolniono go ze służby – wiedział lepiej niż ktokolwiek inny, do czego są zdolni. „Kiedy tylko zobaczysz choć skrawek ich szkarłatnego pancerza – mówij jej – uciekaj w przeciwnym kierunku ile sił w nogach, bo jeśli zanadto się do nich zbliżysz, zwęszą twoją magię. A wtedy będą już wiedzieli, że jesteś czarodziejką”.

Safi może i była wilczycą, ale tym razem trafiła na stado lwów.

Tam wciąż jest Vanessa, przypomniała sobie. Ta, która potrafiła stłumić eksplozję za pomocą magii, obalać góry potęgą umysłu. Nawet lew nie stanowił wyzwania dla Żelaznej Cesarzowej.

Vanessa musi przecież wkrótce zauważyć, że Safi zbyt długo nie wraca. Prędzej czy później przyjdzie tutaj i zobaczy przelewające się wiadra.

– Zander – zawołał dowódca, a klinga wkłuła się boleśniej w plecy Safi. – Pomóż Lev.

Gigant przyjął rozkaz, skinął i zanurzył się w trawie, nienaturalnie cicho jak na zakutego w pancerz mężczyznę tych gabarytów.

Safi obróciła się twarzą do dowódcy, ignorując klingę rozrzynającą jej suknię, nie zważając na jego przytłaczającą postać i nie dając się zastraszyć okrutnym oczom błyszczącym w cieniu hełmu.

– Daj mi odejść – powiedziała, podkreślając cartorriańskie głoski, modulując głos, by brzmiał jak najdostojniej. Mężczyzna posługiwał się mową prostych górali, z którą osłuchiwała się w dzieciństwie. Zmiażdży go wyśrubowanym akcentem arystokratów. – Lepiej dla ciebie, piekielny bardzie, byś nie miał we mnie wroga.

Mężczyzna mocniej docisnął miecz. Jej ciało przeszył przytępiiony zmęczeniem zimny ból. A potem w szum ulewy wdarł się rechot żołnierza. Jego śmiech brzmiał obco w jej uszach, jak niespodziewany podmuch wiatru, nagłe nasilenie się sztormowej zawieruchy. Odpowiedział tonem zaprawionym rozbawieniem.

– Nie, Safiyo fon Hasstrel, lepiej, żebym nie miał. – Gdy usłyszała swoje imię, poczuła się, jakby zaczęła spadać. – Ale jeszcze mniej chcę mieć wroga w twoim narzeczonym – podjął żołdak, nie zdając sobie sprawy z guli narastającej w jej gardle. – W końcu jestem na smyczy cesarza Henricka. Kogo mną poszczuje, tego pogryzę. A kogo każe mi złapać, tego złapię.

Wygrał – dotarło do skołowanej Safi. Cesarz Henrick zniszczył jej okręt, a teraz dopadł i ją. Wyrwał kartę Słońca z wachlarza trzymanego przez wążką, niezdarną rękę. Ale karta Cesarzowej wciąż jeszcze jest w talii.

Nie, już nie. Cesarzowa również została włączona do gry, co Safi uświadomiła sobie kilka minut później. Deszcz zelżał do delikatnej mżawki, gdy nowa postać wyszła na łąkę. Trzeci bard, najmniejszy z całej trójki, z kuszą w ręce.

– Panie Grieg – odezwała się postać kobiecym głosem. – Mamy cesarzową.

Wtedy pojawił się i gigant Zander – z przerzuconą przez ramię wiotką postacią Vanessy z grubym drewnianym kołnierzem na szyi.

Safi знаła ten kołnierz. Widziała go wystarczająco wiele razy jako dziecko i przerażał ją tak samo jak piekielni bardowie. „Ta rzecz, którą nakładają więźniom – mówił wuj Eron – to kołnierz heretyka. Niweluje magię ofensywną. Nawet z wilka można zrobić zająca”.

Na uderzenie serca oładnęła nią panika. Nie ma jak uciec. Nie może walczyć. Safi wplątała się w kłopoty, z których nikt jej nie wyciągnie.

Co by zrobiła Iseult?

Od razu pojawiła się odpowiedź. To najulubieńsza ze wszystkich lekcji Habima. Iseult miała uczyć się swoich

wrogów i otoczenia, a potem przystępować tylko do tych bitew, które zdoła wygrać.

– Jak długo cesarzowa będzie nieprzytomna, Lev? – Dowódca zwrócił się do najmniejszego z żołnierzy, krępując Safi ręce za plecami mokrą, szorstką liną. Nie opierała się, nie walczyła. Ale napinała mięśnie, żeby w razie czego łatwiej się wyswobodzić.

– Dostała sporą dawkę – powiedziała kobieta zachrypniętym głosem, łykając końcówki. Akcent ze slumsów Praggi. – A Jej Wysokość jest niezbyt wysoka, więc pewno parę godzin.

– Zdołasz nieść ją tak długo? – spytał tym razem olbrzyma, zaciskając węzeł. Impuls bólu wspiał się Safi po ramionach. Pięści bolały od zaciskania, ale musiała jeszcze wytrzymać. Przynajmniej dopóki dowódca się nie oddali.

– Tak jest, panie dowódcu – odparł Zander głosem tak niskim, że Safi początkowo pomyliła go z pomrukiem dalekiego gromu. – Ale godzinę temu minęliśmy osadę. Możemy znaleźć tam konia.

– Albo chociaż pantofelki dla dam – zaszczebiotała Lev.

– Dobra – przystał dowódca, po czym wreszcie odszedł od Safi. Rozluźniła dłonie, tłumiąc westchnienie ulgi. Przebierała palcami, żeby krążenie wróciło do normy.

Osada oznaczała postój. A postój rodził możliwości.

Zwłaszcza jeśli uda jej się przy okazji dowiedzieć czegoś o swoich przeciwnikach. To nie ona to wszystko zaczęła, ale z miłą chęcią to zakończy.

Kiedy więc dowódca warknął do niej, by wstała, grzecznie wykonała polecenie, a gdy kazał iść, nie stawiając oporu, poszła, dokąd ją prowadził.

## ROZDZIAŁ 8

Po opuszczeniu obozowiska Purytanów Aeduan wrócił po własnych śladach do lasów Nubrevny. Nie obrał żadnego konkretnego celu podróży, ale ponieważ Corlant wysłał za nim dwóch ludzi, musiał sprawiać wrażenie celowego działania.

Pozwolił im siedzieć sobie na ogonie przez jakiś czas, a potem zaprzął do działania magię. Puścił się karkołomnym pędem, stale zwiększając prędkość, aż wkrótce psy Corlanta znalazły się poza zasięgiem jego zmysłów. Biegł jeszcze moment, aż nabrał pewności, że nie zdołają go dopędzić, po czym zatrzymał się na leśnej polanie, stanął pośród gęstego podszycia i w smudze światła przyjrzał się uważniej grotowi strzały.

Nic. Żadnej czarodziejskiej woni, przecież krew więziodziejki nie miała zapachu.

Ale wyczuł całą gamę innych aromatów, zwierzęcych i nachodzących na siebie, należących zapewne do tych, którzy dostarczyli Corlantowi grot. Woń Purytanina tkwiła głęboko pod skrzepłą krwią, na wierzch wypłynął zapach palenisk i łez. Nic z tego nie mógłby przypisać więziodziejce Iseult.

Aeduan chciał poznać prawdę – czy to ona nie ma zapachu, czy może on nie jest w stanie go wyczuć?

Przesunął kciukiem po krzywiźnie grotu, a w jego głowie rozbłysło wspomnienie. Początkowo rozmazane. Twarz zarysowana w świetle księżyca i cieniach. Starożytna latarnia i piaszczysta plaża. Nocne niebo, a na jego tle twarz Iseult.

Tamtej nocy wywiodła Aeduaną w pole, odwróciła jego uwagę na dość długo, by jej przyjaciółka zdołała uciec. A potem skoczyła z latarni i niechybnie by zginęła, gdyby Aeduan nie podążył za nią. Wiedziała, że to zrobi, że nie pozwoli jej spaść. Po wszystkim, kiedy oszczędziła Aeduanowi życie na plaży, jej twarz wykrzywił ból, a na bandażu, którym miała owiniętą rękę, wykwitła plama krwi. Wiedział teraz, że to była rana po strzale,

która jakimś sposobem łączyła ją z Corlantem, niegodziwym kapłanem Purytanów na usługach jego ojca.

Krwiodziej wypuścił powietrze z płuc. Zacisnął palce na grocie. Mógł zrobić dwie rzeczy, udać się w pogoń za dwoma duchami: dziewczyny o bezwonnej krwi lub srebrnych talarów, które także nie pozostawiły po sobie tropu.

Decyzja podjęła się sama – nieoczekiwanie w nozdrza Aeduaana wpadł zapach jego pieniędzy.

Zanim krwiodziej zostawił swój kufer w pustym pniu, skropił monety własną krwią. Jej zapach znał najlepiej, najłatwiej mógł go wytropić i za nim podążyć.

Mimo to aż do teraz nie udało mu się zwietrzyć skradzionych pieniędzy, ani tym bardziej ich odnaleźć. Zupełnie jakby ukryto je pod tkaniną z włókna salamandrowego. Lecz wreszcie wyraźnie czuł ich woń. I to dziwne uczucie, jakby ktoś grał na nosie jego magicznemu darowi, jakby wabił go przynętą.

Aeduan mknął w kierunku, z którego dobiegał zapach, dwukrotnie szybciej niż poprzednio, gdy próbował się wymknąć pogoni. Nie utrzymał tego tempa zbyt długo, ale z każdą sekundą czuł woń coraz wyraźniej i nie chciał ryzykować, że tajemniczy złodziej znowu wymknie mu się z rąk.

Z daleka dobiegły go kolejne zapachy krwi, plugawe i zanieczyszczone. Ludzie rzadko stanowili dla niego zagrożenie, zignorował więc ich woń i popędził naprzód. Przesadził strumień, zdeptał kępę więdnących wilców, przeciął porośniętą paprociami łąkę.

Dopiero gdy sidła na niedźwiedzie zakleszczyły mu się cał poniżej kolana i żelazne kły wryły się w jego ciało, upuszczając krwi, której woń natychmiast wypełniła jego nozdrza, zorientował się, że wparował prosto na nomatsańską ścieżkę.

Ty idioto. Ty po trzykroć przeklęty idioto, zrugął się w myślach. Nie potrafił się poruszać po drózkach Nomatsów, ale potrafił je omijać.

Jego ciało, nie czekając ni chwili, rozpoczęło regenerację. Aeduan nie był w stanie kontrolować tej właściwości swojego daru. Magia leczyła go samoczynnie.



Z rany płynęła krew, skrapiając obficie sosnowe igły i paprocie, zbierając się w strumyk, który płynął w stronę leżących parę kroków dalej jego pieniędzy. Pełna sakwa. Zgadywał, że nie więcej niż czterdzieści... Czterdzieści talarów... a było ich przecież o wiele więcej.

Aeduan przyjrzał się trzem monetom połyskującym w przyćmionych promieniach słońca, które wytoczyły się z woreczka. Zaplamione na brązowo srebro. Miał wrażenie, że z niego szydzą, że śmieją mu się w twarz.

Szukał ich od dwóch tygodni i oto gdzie zawiódł go jego nos. Prosto na polanę najeżoną pułapkami, gdzie nieomal nie stracił nogi i wszystko to dla kwoty, za którą nawet nie kupi konia.

Aeduan zacisnął zęby, aż zabolęła go szczęka, i opuścił wzrok na sidła. Jego noga była w opłakanym stanie. Poniżej kolana w ogóle nie przypominała nogi. Cała łydka zdarta do kości, mięśnie i skóra zwisały w strzępach do samej kostki. Nie minie wiele czasu, a zlecą się muchy. Ból dawał się we znaki, nie potrafił go zignorować. Choć przecież ból to dla niego nie pierwszyzna.

Zassał powietrze przez zęby, wypełnił szczelnie płuca, a potem pozwolił mu rozejść się po ciele. To pierwsza lekcja, jakiej uczył się jako mnich: jak oddychać, jak oddzielić się od uczucia bólu. Człowiek nie jest swoim umysłem. Nie jest swoim ciałem. To tylko narzędzia umożliwiające mu dalszą walkę.

Aeduan odetchnął, licząc w myślach i patrząc na lejącą się z rany krew. Z każdą kolejną liczbą i sykiem wydychanego powietrza świat odpływał coraz dalej i dalej. Wszystko, łącznie z podmuchem wiatru na odsłoniętej goleni, muchami zlatującymi się do rozoranego ciała i kapiącą krwią, stało się jedynie tłem.

Aż wreszcie Aeduan przestał czuć cokolwiek. Stał się niczym więcej, jak tylko zbiorem myśli. Czynów. Nie był ani swoim umysłem, ani ciałem.

Gdy ostatni oddech opuścił jego płuca, pochylił się i zacisnął ręce na szczękach pułapki. Jęknienie, przypływ mocy i żelazne półokręgi rozwarły się ze skrzypieniem. Powoli wyciągnął zmasakrowaną kończynę z sideł, walcząc z ogarniającymi go gorącymi falami mdłości.

Pułapka zatrzasnęła się z chrzęstem, bryzgając wokoło kawałkami mięsa. Aeduan szybkim ruchem rozejrzał się po polanie, by się upewnić, że nikt nie wykorzysta jego chwilowej niedyspozycji. Czuł gdzieś w okolicy trupy, ale one nie stanowiły zagrożenia. Usiadł więc, czekając, aż magia zasklepi ranę, splecie rozerwane ścięgna, spoi przecięte mięśnie, na powrót okrywając je skórą. Wymagało to mnóstwa energii. O wiele za dużo. Powoli zaczynało ciemnieć mu przed oczami. Zanim stracił przytomność, wyczuł jeszcze zapach wilgotnego dymu. Jak ognisko zgaszone przez deszcz. Choć wcale nie chciał, przed oczami stanęła mu twarz jego matki oraz ostatnie słowa, jakie do niego wyrzekła. „Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

\*\*\*

Sięgnąwszy więziodziejską magią tak daleko, jak tylko mogła, i upewniwszy się, że w okolicy nie ma już żadnych rozszczepionych łowców ani innych form życia, Iseult przecięła siatkę.

Z impetem opadła na ziemię, ledwie udało jej się zamortyzować uderzenie, przetaczając się naprzód. Następnie przeczesła okolicę cal po calu. Wszystkie znaki wskazywały na to, że niedawno przechodzili tędy Nomatsowie. Jej pobratymcy rozbili obóz w lesie, a potem, sądząc po śladach i rozrzuconych wokoło zapasach, w pośpiechu go zwinęli. W tak wielkim pośpiechu, że zostawili po sobie pułapki. Cokolwiek zmusiło ich do tak szybkiego opuszczenia tego miejsca, najwyraźniej też już stąd znikło. Iseult pozbierała więc wszystko, co mogło jej się przydać, wdzięczna losowi, że nie spotkała tu nikogo ze swoich. Że nie musi udowadniać nikomu, że sama jest Nomatsanką.

W trakcie poszukiwań sporządzała w pamięci listę potrzebnych przedmiotów. Oliwa do kordelasa. Osełka. Jakieś poręczniejsze sztucce. I większy worek, który to wszystko pomieści.

Zapuściła się głębiej w pozostałe po obozie koło udeptanej trawy i ziemi, przystając co parę kroków i szukając swoim darem żyjących nici.

Pierwsza lekcja, jakiej Habim udzielił Iseult: „Nieustannie sprawdzaj, kto się kręci w pobliżu”. Czasem nauczyciel sam ją śledził, by się przekonać, po jak długim czasie się zorientuje. Zachodził ją od tyłu, dobywając sztyletu.

Gdy zrobił to pierwszy raz, nie zauważyła, dopóki nie zbliżył się na pół kroku. Ostatecznie zdradziły go nici Więzi. Ale Habim w ogóle się nie spodziewał, że zostanie odkryty, zaś Iseult wtedy właśnie pojęła, że ma nad nim przewagę. Widziała włókna oplatające świat wokół niego. W dowolnej chwili mogła wycofać się do własnego wnętrza i po prostu wyczuć przebywające w pobliżu osoby, ich drgające nici, ich odczucia, ustalić, czy któreś z nich ma jakiś związek z nią samą. Szlifowała tę umiejętność, aż przerodziła się w jej obsesję. Wnikanie w samą siebie stało się częścią jej naturalnego instynktu, robiła to co parę minut, dzięki czemu znacznie zwiększyła zasięg swojego umysłu. Im częściej tam sięgała, tym dalej mogła się zapuścić. Za dziesiątym razem, gdy Habim śledził Iseult ulicami Veñazy, wychwyciła jego nici przecnicę dalej, a potem skryła się w zaułku, nim nawiązał z nią kontakt wzrokowy.

Dzisiaj, stojąc na placu nieistniejącego obozowiska, poruszała się w taki sam sposób. Co kilka uderzeń serca przeszukiwała swoim zmysłem drzewa, dotykała faktury kory, ślizgała się myślą po liściach i łodygach, przemykała między źdźbłami trawy, ściagała się z mrówkami, wsączała się w igliwie.

Nie wychwyciła nawet śladu nici.

Kompletne bezludzie.

Mogła więc skupić się na poszukiwaniu potrzebnych utensyliów. Kopnięciem obracała kamienie lub rozgrzebywała podejrzenie wyglądające kępki trawy. Każdą przydatną jej zdaniem rzecz chowała do sakwy. Ogniodziejskie zapałki, mały rożen, ceramiczną misę, resztki osełki. Ale najlepszym znaleziskiem okazała się porzucona trzciniowa pułapka, na którą natknęła się w strumieniu. Wyciągnąwszy ją z wody, znalazła trzepoczące ogonami trzy lipienie i pstrąga. Odrapała je z łuski i oczyściła, a potem ruszyła naprzód, rozglądając się za schronieniem przed nadchodzącym deszczem.

Natknęła się na wgłębienie w wapiennej ścianie wąwozu, a obok niego na szczątki ogniska. Miejsce dobre jak każde inne. I odkryte na czas, bo pierwsze krople deszczu zaczęły już znaczyć bluszcz i mech, które wczołgały się na skalny nawis. Co parę minut niebo kreśliły błyskawice, na krótki moment rozjaśniając mroki nocy i opromieniając opuszczony obóz, który Iseult zbudziła do życia.

Piekła rybę, przypatrując się czerniejącej skórcie nieobecny wzrokiem. Gdy zdejmowała ją z wątlęgo ognia, nagle przypomniała sobie o sakiewce. Niech to szlag, zgubiła pieniądze. Przez trzy uderzenia pioruna zastanawiała się, co ma począć. Mogła po prostu o nich zapomnieć i może by to zrobiła, gdyby nie odezwał się w jej głowie głos Mathew: „Nigdy nie wiesz, co się stanie, a pieniądze to język, który zrozumie każdy – jak świat długi i szeroki”.

Racja, pomyślała. Będzie musiała wrócić i ich poszukać. Ale najpierw zje.

Mięso lipienia było soczyste, świeże – przepyszne, spałaszowała całego naraz. Po namyśle upiekła drugą rybę i zjadła ją wolniej, delektując się raczej niż zaspokajając głód.

Deszcz wkrótce osłabł. Upiekłszy pozostałe ryby i spakowawszy je na drogę, zgasila ognisko i ruszyła po swoich śladach do miejsca, gdzie rozłożono sidła na niedźwiedzie.

To, co tam zobaczyła, zmroziło jej krew w żyłach. Na ziemi, zupełnie bezwładnie leżał krwiodziej – Aeduan.

Iseult wpatrywała się w niego dobrych kilka minut. Był nieprzytomny, spoczywał płasko na błotnistym podłożu, ubranie miał przemoczone i wybrudzone krwią. Jego noga wyglądała, jakby ktoś chciał odrąbać ją nożem do masła.

Tysiąc pytań przemknęło jej przez głowę, ale żadne nie wybrzmiało tak donośnie jak jedna gorączkowa myśl: uciekaj!

A jednak nie ruszyła się z miejsca. Nie oddychała nawet, a bez Safi, która mogłaby prowadzić ją za rękę i której nici powiedziałyby jej, co powinna czuć, Iseult mogła się tylko domyślać, skąd u niej ten przyspieszony oddech i napierające na żebra płuca, skąd to szalone kołatanie serca.

Zgubiona sakwa czekała na nią w sercu polany. Deszcz nieco rozmazał ślady, ale dało się zauważyć, że Aeduan przybiegł tutaj z zachodu, po czym zaczął iść w stronę leżących na ziemi monet.

Odgadła, że podąża za talarami, i choć nie wiedziała dlaczego, domyśliła się, że z jakiegoś powodu te srebrne monety były dla krwiodzieja bardzo ważne.

Habim uczył ją, że należy korzystać ze wszystkich dostępnych zasobów.

Ostrożnie wkroczyła na łąkę. Krwiodziej nie poruszył się na dźwięk mlaskającego pod jej stopami błota, więc ruszyła śmieiej naprzód. Kucnęła przy sakwie i zajrzała do środka. Mrugnęło do niej srebro. Zauważyła, że wybite na nim dwugłowe orły zostały pokryte brązowymi plamkami. Plamkami krwi.

Musiał ją wywęszyć.

Przeniosła wzrok na Aeduana. Umazana posoką pułapka na niedźwiedzie leżała o krok od niej, a wokół bzycały muchy. Spomiędzy zwartych szczęk wystawały strzępy mięsa i ścięgien. Krwiodziej wszedł prosto w zastawione przez Nomatsów sidła, a teraz się regenerował. Organizm pozbywał się z ciała błota i skrawków martwej tkanki. Zasklepiająca się rana wydawała specyficzny chrzęszcząco-ssący dźwięk, przebijający się przez ledwie słyszalny szum ostatnich kropelek deszczu. Iseult nie mogła oderwać od niej oczu. Ten dar samoleczenia był po prostu zadziwiający. Moce Otchłani, potęga demona.

Lecz ubrudzona, pogrążona we śnie twarz Aeduana nie przypominała twarzy diabła.

Przełknęła ślinę.

Zetknęła się z krwiodziejem trzykrotnie, ale dopiero teraz miała okazję przyjrzeć mu się z bliska. Dokładnie mu się przypatrzeć.

Spodziewała się zobaczyć coś innego.

Może to dlatego, że spał, że jego twarzy nie wykrzywił zawzięty grymas ani nie zadzierał nosa, traktując oponenta z wyższością. Zamknięte oczy nie iskrzyły drapieżnym skupieniem.

Jego twarz wydawała się nieopisanie spokojna. Głowa spoczywała lekko przekrzywiona na ziemi. Iseult przesunęła wzrok na wyeksponowaną krzywiznę szyi, a potem wróciła do niedomkniętych ust i długich, gęstych rzęs. Okazał się młodszy, niż sądziła. Nie miał jeszcze dwudziestu lat. Postarzały go szorstki ton i formalny język. I sposób, w jaki się poruszał, jakby chodził po tym świecie od tysiąca lat i planował chodzić kolejny tysiąc.

Ten młodzieniec gonił Iseult po ulicach Veñazy. Uśmiechał się do niej wilczo, błyskając groźnie czerwonymi oczami. A potem uratował jej życie w Lejnie salamandrowym płaszczem i dwoma słowami: *Mhe varujta*. „Zaufaj mi, jakby moja dusza była twoją duszą”. Wówczas Iseult zastanowiło, skąd zna te słowa i dlaczego mówi jak rodowity Nomats.

Lecz teraz... teraz już jej to nie dziwiło. Przemoczone ubranie przylegało do unoszącej się miarowo klatki piersiowej i opinało ciało, które okazało się szczupłe i smukłe. Był umięśniony, ale nie zwalisty. To sylwetka stworzona do biegu. Na wskroś nomatsańska, tak jak skóra widoczna w rozcięciach bryczesów, blada jak księżyc.

*Mhe varujta.*

Nie był jednak czystej krwi Nomatsem. Nie miał skośnych oczu jak Iseult, a jego głowy nie pokrywały włosy czarne jak nocne niebo.

Z ostrożnością, o jaką nigdy by się nie posądzała, uklękła bezszelestnie przy krwiodzieju. Przerzucony na skos przez klatkę piersiową pas na sztylety lśnił, zroszony deszczem, podnosił się i opadał w rytm oddechu właściciela. Iseult dotknęła palcami grubej żelaznej sprzączki przy ramieniu. Aby ją rozpiąć, musiałyby dotknąć jego nagiej skóry, bo przetarła koszulę i wystrzępiła bawełniany materiał.

Blada skóra. Blada nomatsańska skóra.

Skóra mężczyzny.

– Przestań zachowywać się jak idiotka – wypluła powodowana nagłym impulsem, po czym raptownie rozpięła pas. Skóra Aeduana okazała się ciepła, co wydało się Iseult zaskakujące,

ze względu na deszcz. Czują, jak zimne są jej palce w kontakcie z rozgrzanym ciałem czarodzieja...

Nagle westchnął, a ona zamarła.

Nie zbudził się. Iseult chwilę patrzyła na jego pogrążoną we śnie twarz, a potem szarpnęła nim, próbując wyciągnąć spod jego ciała skórzany pas.

O bogini, kto by pomyślał, że jest taki ciężki?

Jedno szarpnięcie, potem drugie i w końcu wydobyła pas spod Aeduana, dzwoniąc ostrzami i metalowymi elementami. Na jej ustach wykwitł zwycięski uśmiešek. Usiadła na przykurczonych nogach i wróciła spojrzeniem do krwiodzieja. Widziała teraz na jego koszuli przykryte dotąd plamy krwi, która sączyła się nie z jednej rany, ale z sześciu mniejszych, równo rozmieszczonych i szerokich na cal. Dwie pod obojczykiem, dwie na piersi, dwie na brzuchu.

Iseult przewiesiła zdobycz przez ramię i odeszła, pilnując, by nie nadepnąć na jakąś gałązkę i nie zdradzić się szelestem paproci. Wróciła do obozu, zostawiając sakwę tam, gdzie ją odnalazła. Ukryła broń krwiodzieja i czekała spokojnie, aż się obudzi.

## ROZDZIAŁ 9

Wybrzmiało szesnaście uderzeń dzwonu, a Cam nie wróciła z jedzeniem. Jak mawiała ciotka Evrane: „siedzenie na tyłku to najszybsza droga do szaleństwa”. Merik zmusił się więc, by wstać i zebrać książki ze stołu kuchennego, blatu kredensu i łóżka.

Coś stuknęło. Książę okręcił się, upuszczając trzymany akurat w ręku tom. Magia zakotłowała się w nim...

To tylko okno. Okiennica uderzyła o krzywe szkło. Serce podeszło Merikowi do gardła, a teraz opornie wracało na swoje miejsce, ale jego wiatr nie uspokoił się, dopóki nie podszedł do szyby.

Za oknem siąpił deszcz, otulając pogrążone w cieniu miasto mglistą pierzyną. Za jego plecami świeciła lampa, więc widział dokładnie swoje odbicie.

Jego oczami spoglądał na ulice Furia.

Nieregularna tafla szkła zakrzywiła obraz, ale brak włosów i czerwone plamy na skórze widać było doskonale. Pamiątki po eksplozji. Jego palce podążyły do zasuwek i otworzyły je pospiesznie, a potem zwały okiennice. Nakreślony światłem obraz stał się wyraźniejszy. Całą prawą stronę twarzy Merika, łącznie z uchem, pokrywała łata błyszczącej, czerwonej skóry, okolona prawie niewidoczną czarną kreską. Założył, że to brud, bo ostatnią prawdziwą kąpiel, godną tego miana, wziął kilka ładnych dni temu.

Eksplozja ogarnęła prawą stronę ciała Merika, ramię i noga przyjęły na siebie cały impet wybuchu i płomień.

Spojrzał na frontowe drzwi. Zamknięte, świetnie. Cam nie wparuje do pokoju bez zapowiedzi, najpierw będzie musiał otworzyć dla niej magiczny zamek. Uspokojony z wyuczoną ostrożnością zsunął koszulę z ramion. Od jedenastu dni oglądał



te rany, a jednak dotąd zobaczył tylko część pełnego obrazu, jeden pazur potwora, który stał teraz przed lustrem.

Przyjrzał się odbiciu swojego ciała w szybie. Brud, jeśli to faktycznie był brud, pokrywał nową różową tkanę wyściełającą jego obrażenia delikatną siatką, skupiającą się w ciemnej plamie zaraz przy sercu.

Wykąpię się przy pierwszej okazji, postanowił. Gdy tylko siły zbrojne znikną z ulic. Gdy tylko znajdzie w Twierdzy to, czego potrzebuje.

Zrobił krok w lewo, okręcając się, by obejrzyć plecy. Linie brudu biegły po jego łopatkach podobnie jak oparzenia, choć tu dostrzegł ich znacznie mniej.

– Twoim przeznaczeniem jest wielkość? – wymamrotał, wsuwając koszulę. – Tak zawsze mówiłeś, Kull, ale popatrz na mnie teraz. Powinienem nie żyć, to ty powinieneś tu stać.

Gdy te słowa opuściły jego usta, naszło go dawno zapomniane wspomnienie. „Powinieneś nie żyć, to matka powinna żyć” – usłyszał od siostry na pogrzebie.

Zaśmiał się krótko i bez rozbawienia. Ciotka Evrane tłumaczyła, że Vivia wcale nie chciała tak powiedzieć, że to widok zmiażdżonego ciała jej matki, która zeskoczyła z mostu wodnego, popchnął ją do bezmyślnego okrucieństwa wobec brata.

Ale Merik już wówczas znał prawdę. Vivia zawsze obarczała Merika winą za napady melancholii, z którymi zmagala się ich matka. Za każdym razem, gdy Jana na długie dni lądowała w łóżku, gdy cięła nadgarstki nożem, gdy oddzielała się od dzieci zamkniętymi drzwiami, Vivia stawała się coraz ozięblejsza. W jej przekonaniu matka zaczęła osuwać się w ciemność po urodzeniu Merika.

Może i była to prawda, nawet jeśli ciotka Evrane zawsze temu zaprzeczała. „Ciemność rozbudziła się w sercu Jany po tym, jak wyszła za mojego brata – mówiła. – A nie po twoich narodzinach”. A jednak Merik nie dowierzał ciotce. Zwłaszcza że stosunki Evrane z bratem były mniej więcej tak samo zażyłe jak Merika z Vivią.

Oczywiście siostra, jak to ona, posunęła się w nienawiści o krok dalej, niż kiedykolwiek zrobił to Serafin: podjęła próbę permanentnego wyeliminowania Merika z gry. Nie tylko chciała w ten sposób oczyścić sobie drogę do tronu, ale też zemścić się na bracie za to, że doprowadził matkę do samobójstwa.

Sęk w tym, że jej się nie udało.

A teraz przyszła kolej Merika.

\*\*\*

Cam wróciła dokumentnie przemoczona. Merik otworzył drzwi, gdy zapukała, i pozwolił jej wtoczyć się do pomieszczenia, ociekała wodą, zostawiając za sobą mokre ślady.

Książę zamknął drzwi i zaczął przebierać w wiktuałach, które tuliła do piersi Cam. Suchy chleb, sflaczałe warzywa i poobijane owoce – wszystko owinięte w poszarpaną szmatę.

Wyjął zawiniątko z jej zimnych, mokrych od deszczu rąk, czując, jak burczy mu w brzuchu na myśl o posiłku. Bąknąwszy podziękowanie, zaniósł żywność do suchego zlewu. Niektóre budynki w Lovats były podłączone do wododziejskiej instalacji wodno-kanalizacyjnej. Mieszkanie Kullena nie posiadało takich luksusów.

Gdy Cam nie ruszyła za nim, pojawił, że coś jest nie tak. Obejrzał się na nią.

– Co się dzieje?

Przełknęła ślinę, zgarbiła się i potarła ramiona dłońmi, nie chcąc spojrzeć mu w oczy.

– Ulica sądzi, że jest pan Furią, sir.

Zatem się przyjęło, pomyślał.

– Żołnierzy jest jakby mniej – podjęła. – Ale tych kilku, co zostało... Szukają pana, sir. Szukają... Furii.

Merik wrzucił warzywa do zlewu – nieapetycznie miękkie fenkuł, cztery opasłe rzepy oblepione ziemią i sześć niebieskich śliwek tylko trochę nadgryzionych brązową zgnilizną. Westchnął przenikliwie. Okrągły bochenek jęczmiennego chleba był tak czerstwy, że połamałby na nim zęby. Merik owinał go w mokry materiał i odstawił na bok, by zmiękł. Zawiesił na nim wzrok i zmarszczył brwi.

– Czy zdołamy dotrzeć do Twierdzy z tyloma żołnierzami wężącymi po ulicach?

Powiódł wzrokiem do dziewczyny, która utkwiała spojrzenie w przestrzeni, wydymając usta. Merik wiedział już, że robi taką minę, gdy się nad czymś zastanawia.

– Czy jest pan pewien... Znaczy, chciałem powiedzieć... – Odkaszlnęła, po czym podbiegła do zlewu i zaczęła z zapamiętaniem skrobać rzepę knykциями. Blizna na jej lewej ręce na przemian naciągała się i marszczyła.

– Co? – domagał się Merik, podchodząc bliżej.

Cam skrobała teraz z zupełnie nowymi pokładami entuzjazmu.

– Jest pan pewien, że chce iść do Twierdzy Pyna? No bo co, jeśli... jeśli to nie siostra próbowała pana zabić?

Merika omyła fala gorąca.

– To ona – wyrzekł bez emocji, nie akcentując żadnej sylaby. – Domyśliłem się tego już przed placem Sprawiedliwości, nie mam najmniejszych wątpliwości.

– To, że jest naczelniczką Twierdzy – spierała się Cam – nie znaczy jeszcze, że wysłała skrytobójcę.

Gorąco sięgnęło czubków palców, uderzyło mu do głowy.

– Wiem, że to ona, Cam. Krzyżowałem jej plany, odkąd wróciłem do stolicy. A teraz... – Nie dał sobie przerwać, jakby napędzał go płomień, który rozniecił się w jego ciele. – Teraz odkryłem związek pomiędzy Vivią i asasynem. Brakuje mi tylko ostatniego, niezbitego dowodu, majtku. Czegóż, co mógłbym przedłożyć Wysokiej Radzie jako potwierdzenie. I jestem pewien, że znajdę to w Twierdzy Pyna.

– A jeśli nie? – Głos Cam przeszedł w mysi pisk, a jednak było w nim coś, co z miejsca otrzeźwiło Merika. Zacisnął pięści, aż strzeliły mu kostki palców.

– Skąd ta myśl?

Cam skrobała tak mocno, że niemal przetała warzywo na wylot.

– Po prostu, sir – odezwała się po chwili. – Słyszałem, jak ktoś na ulicy mówił... Coś złego. Coś, co mnie przekonało, że... No, że

to nie pana siostra za tym stoi, sir.

– A co takiego słyszałeś?

– Że była druga eksplozja. – Te słowa jakby odkorkowały butelkę, w której znajdowała się reszta opowieści. Cam zaczęła trajkotać jak katarynka. – Taki sam, jak ten na Janie, sir, i ludzie gadają, że to sprawka Cartorrian. Albo może Dalmotczyków. I że ktokolwiek to zrobił, odpowiada też za wybuch drugiego okrętu.

– Jakiego drugiego okrętu? – spytał Merik, choć serce, przeczuwając odpowiedź, zamarło mu w piersi.

– Och, sir... – Cam przestała skrobać i jeszcze bardziej zmizerniała. – Okręt cesarzowej Marstoku. Podobno zginęli wszyscy, którzy byli na pokładzie. Łącznie z... tą domną, którą wieźliśmy na Janie. Safiyą fon Hasstrel.

\*\*\*

Vivia nie znalazła pod ziemią nic nowego. Roje pajaków, stonóg i płazów, które uciekały ile sił w nogach. I choć mogłaby przysiąc, że przewalała gruz kilka godzin, wciąż pozostało go mnóstwo.

Ale frustracja, która pojawiła się w grocie, okazała się dobra, użyteczna. Delektowała się tym, jak zmuszała ją do zaciskania zębów, gdy szła w dół Jastrzębiej, zmagając się z padającym jakby od niechcienia deszczem. Wykorzystała frustrację, ulepiła z niej maskę jadowicie pogardliwego uśmiechu, a gdy dotarła do największej z miejskich strażnic, znów była w pełni Niharem.

Weszła po schodach na wieżę, kłaniając się dwornie salutującym żołnierzom, przykładającym pięść do serca. Tu było zupełnie inaczej niż w Komnacie Bitewnej. Żadnych szyderczych spojrzeń. Żadnego wyczekiwania, aż powinie jej się noga. Vivia powierzyłaby tym ludziom swoje życie i wiedziała, że oni jej także.

– Bormin, Ferric – przywołała imiona strażników pilnujących drzwi na najwyższym piętrze, nim wyszła na deszcz. Skierowała kroki ku stojącej na tarasie oficer: wysokiej, barczystej Stacji Sotar, lub Stix, jak zwali ją ci, którzy zasłużyli na ten zaszczyt.

Czarna skóra Stix lśniła wilgocią, deszcz przykleił jej do czaszki białe, związane włosy. Jej czaroznamię – odwrócony trójkąt oznaczający, że jest pełną wododziejką – rozciągało się na napiętych mięśniach.

Podczas gdy Vivia kontrolowała wodę w postaci ciekłej, Stix władała nią we wszystkich stanach skupienia, od lodu przez parę do siąpiącego deszczu. Vivia potrzebowała zaczerpnąć wody z otoczenia, Stix mogła w najsuchszą pogodę wywołać mgłę pstryknięciem palców. Kobieta jak zwykle mrużyła oczy, gdy Vivia szła w jej kierunku. Gdy tylko pierwsza oficer zorientowała się, kto ku niej zdąża, natychmiast uhonorowała Vivię salutem.

– Sir!

Zawsze „sir” , nigdy „Wasza Wysokość” i nie „Księżniczko”. Dla Stix Vivia była przede wszystkim kapitanem okrętu.

A Stix była dla Vivii... zbyt dobra.

Księżniczka dostosowała wyraz twarzy do ponurego grymasu malującego się na obliczu oficer, po czym wydobyła z kieszeni płaszcz lunetę. Ze szczytu tej wieży, najwyższej budowli w mieście, powinna bez trudu sięgnąć wzrokiem ponad pstrokatym zbiorowiskiem dachów i poza rozciągającą się za nimi dolinę oraz rozległy, oczyszczony z drzew pas ziemi upstrzony farmami. Barwne chaty odznaczały się na tle soczystej zieleni nawet w deszczowej szarzyźnie.

Vivia kochała morze. Widok rozbujanego, szarego przestworu od zawsze koił jej serce. Prosta świadomość, że od śmierci dzieli ją tylko pokryte smołą drewno i pokładane w miłosierdziu Nodena zaufanie, sprawiała, że tam jak nigdzie indziej czuła się panią własnego losu.

Ale i ten widok był szczególnie bliski jej sercu. Leżące u jej stóp Lovats i nieposkromiona żywotność turkusowej toni.

To jej miejsce na ziemi.

Morze czasem spoglądało łaskawym okiem na mężczyzn i kobiety, którzy odważyli się je przekraczać, ale to niełatwy sojusz. Ocean jest jak kapryśna pani skora do gniewu i nieprzewidywalna. Jak Niharowie. Ale ziemia zawsze okazywała się gościnną gospodynią, jeśli tylko człowiek nie zabierał więcej, niż dawał. Ziemia nie jest panią, lecz przyjaciółką, współniczką, więzirodziną.

Vivia zwilżyła wargi, zakreśliwszy lunetą półokrąg, najpierw w lewo, potem w prawo. Żadna ciemna chmura nie wzbudziła jej

niepokoju. Niebo nad doliną opanowała mglista szarość. Na jego tle od południowej strony rysowały się czarne sylwetki strażników Nodena wartujących przy południowym moście wodnym. Tama wznosząca się ponad północnym mostem wyglądała jak zawsze: nijaka, opromieniona słońcem ściana z niechlujnie załataną szczeliną w samym jej sercu – to jedna z wielu rzeczy, na którą Radzie szkoda czasu.

Westchnąwszy, omiotła lunetą Wodne Mosty Stefin-Ekarta, które otaczały dolinę, rozciągając się półkolem od ściany gór do równiny Lovats, każdy szeroki jak rzeka, która wypełniała je swymi wodami. Unosiły się tak wysoko nad kotliną, że płynące nimi załadowane po burty statki brodziły w chmurach.

Tyle statków, tyle Nubrevenów i tak mało miejsca, by ich pomieścić. Przynajmniej dopóki nie odnajdę podziemnego miasta.

Stix odchrząknęła.

– Wszystko w porządku, sir? Wydaje się pani... nieobecna.

Vivia, wyrwana z zamyślenia, zatrzęsła się i prawie upuściła lunetę. Jej grymas się wygładził, gdy znowu odpłynęła w zadumie. Niczego nie żałuj. Byle do przodu. Zamknęła lunetę nazbyt zdecydowanym ruchem.

– Jakie wieści od lisów, pani oficer?

Stix przebiegła językiem po zębach, jakby zastanawiając się, dlaczego Vivia zignorowała jej pytanie, ale zaraz odpowiedziała:

– Dobre wieści, sir. Dopiero co przybyli. Nasza mała piracka flota zdobyła dziś dwa kolejne statki handlowe. Jeden z ładowniami pełnymi dalmockiego zboża, drugi z cartorriańskim ziarnem.

Nodenowi dzięki. Ziarno bardzo się przyda, dzięki niemu uda się wykarmić Nubrevnę przez lata, jeśli tylko ziemia i pogoda okażą się skore do współpracy. Vivia nie mogła się doczekać, kiedy powie o tym ojcu.

Rzecz jasna, nie zdradziła się z emocjami przed Stix.

– Doskonale – wyrzekła po królewsku.

– Też tak myślę. – Pierwsza oficer błysnęła uśmiechem, obnażając idealne zęby z małą szczeliną na przedzie.

Vivię ścisnęło w gardle. O wiele za dobra dla mnie. Odwróciła się.

– A zagubiony okręt?

– Żadnych wieści, sir.

Księżniczka zakłęła i odczuła ulgę na widok wyrazu twarzy Stix. Tego właśnie potrzebowała. Taką reakcją wzbudziłoby siarczyste przekleństwo jej ojca.

Najmniejszy statek w jej flocie umilkł dwa dni temu. Vivia spodziewała się najgorszego. Sęk w tym, że niewiele mogła na to poradzić. Powołanie lisów, jako część planu awaryjnego, którego celem było zapewnienie królestwu wystarczającej ilości żywności, zostało objęte tajemnicą. Załogi kompletowano z najbardziej zaufanych marynarzy, którzy składali przysięgę poufności. Każdy z nich zdawał sobie sprawę, o jak wysoką stawkę toczy się gra, na jaką się piszą. Każdy stracił kogoś przez wojnę czy głód, zależało im więc na powodzeniu misji tak samo jak Vivii i Serafinowi.

Ale dopóki realizacja planu szła jak po maśle, nikt – a już zwłaszcza Wysoka Rada – nie mógł o niczym wiedzieć. Piractwo było tak jakby... nielegalne.

– Otrzymaliśmy też wiadomość od naszych szpiegów – oznajmiła Stix spokojnym, beznamiętnym tonem. – Ktokolwiek stoi za zabójstwem księcia, nie wydaje się...

Jej słowa przerwało nagłe trzęsienie pod stopami. Ziemia zadygotała tak mocno i tak raptownie, że pod Vivią ugięły się kolana. Rzuciło ją na Stix, która zatoczyła się naprzód, machając ramionami jak wielki wiatrak. Vivia złapała ją w pasie i przytrzymała, ratując przed upadkiem z tarasu. Dwaj towarzyszący im żołnierze nie mieli tyle szczęścia – runęli na wyłożony kamieniami dziedziniec.

Czekali, balansując na szeroko rozstawionych nogach, aż trzęsienie przejdzie zupełnie. Stix wlepiła w Vivię rozdziawione oczy, a Vivia skupiła wzrok na tamie. Na pęknięciu, które rosło od bardzo dawna.

Na szczęście tym razem kamienie wytrzymały.

– Trzęsienie ziemi – rzekła Stix, a jej słowa odbiły się echem.

To niemożliwe, pomyślała Vivia. Lovats już od pokoleń nie nawiedzały trzęsienia. A co, jeśli będą się powtarzać? I doprowadzą do zniszczenia miasta, jeszcze nim zrobią to głód i przeludnienie?

– Tak – wychrypiała. Jej myśli rozproszyły się, gdy tylko się upewniła, że tama stoi nienaruszona. Świat na dłuższą chwilę pogрузił się w ciszy.

Pozwoliła swoim oczom spocząć na Stix. Kobiety znalazły się teraz tak blisko – nieco zbyt blisko – że oficer nie musiała mrużyć powiek, by widzieć księżniczkę. Vivia zwykle nie spoufalala się ze swoją oficer. Stix zapewne zaraz zapomni o tej chwili, lecz Vivia nie będzie mogła przestać o niej myśleć, cierpiąc z powodu nieodwzajemnionej zażyłości.

Wtedy, tak nagle jak Stix trafiła w objęcia Vivii, rozległy się podniesione głosy. Wieża i ulica zakotłowały się od zgiełku. Vivia szybko puściła swoją oficer i cofnęła się o krok. Obie wygładziły koszule i poprawiły kołnierze.

– Sprawdzić miasto – rozkazała Vivia. – A ja obejrzę tamę. W przeciągu dwóch godzin chcę mieć raport o szkodach. Znajdę cię w Twierdzy Pyna.

– Tak jest, sir! – Stix zasalutowała, wciąż roztrzęsiona, ale już pewnie stojąc na nogach. Odmaszerowała, zbierając po drodze żołnierzy.

Vivia przez kilka chwil wodziła wzrokiem po wodnych mostach. W odróżnieniu od tamy zostały obłożone zaklęciami przez potężnych czarodziejów, którzy wieki temu zbudowali podziemne miasto. Jedynie magia utrzymywała te masywne budowle w powietrzu, tysiące stóp ponad rozległą kotliną.

Ale Vivia nie mogła przestać się martwić. Jeśli umierała magia podziemnego miasta, to co z magią spajającą Lovats na powierzchni? W końcu wszystko, co działo się na powierzchni, miało związek z tym, co w głębinach.

\*\*\*

Merik czuł, że spada. Jakby skoczył z wodnego mostu w bezksiężycową noc, tak jak jego matka, i mknął na spotkanie śmierci przez czarne niebo i zimne chmury.



Prosto w otwarte paszcze rybich wiedźm.

Safiya fon Hasstrel nie żyje.

Z ust Cam wylewał się nieprzerwany potok słów, ale Merik słyszał tylko szum, jakby szemranie strumyka, ledwie skrawki zdań docierały do jego skołowanego umysłu.

– Myśli pan, że ten okręt też wysadziła siostra? Ale niby dlaczego? To przecież bez sensu. – Jej słowa wlatywały jednym uchem, a wylatywały drugim, a Merik uczepił się jednej przerażającej myśli: Safiya fon Hasstrel nie żyje.

Nie, to jakaś bzdura. Safiya nie była typem kobiety, która ot tak umiera. Była raczej z tych, które naginają cały świat do swojej woli. Które żyją pełnią życia, śmieją się w obliczu niebezpieczeństwa i zarażają innych swoją energią i żywotnością, rzucają wyzwanie niesprzyjającym okolicznościom i zawsze wymykają się z łap rybich wiedźm.

Nie, to po prostu niemożliwe. Nie znowu. Nie ona. Noden zabrał mu już zbyt wiele.

Wreszcie ruszył sztywnym krokiem w kierunku drzwi, ale zanim do nich dotarł, drobne dłonie Cam zacisnęły się na jego ramionach.

– Sir – wołała, nie mogąc do niego dotrzeć. – Proszę pana!

Merik wyplątał się z jej uścisku i podążał dalej.

Przeszedł na niego magiczny impuls otwieranego zamka, który na moment przerwał dzwonięcie w uszach. Chwilę później pędził już w dół po schodach. Przesunął mu się przed oczami rozmazany ciąg wypełniających każdy wolny skrawek przestrzeni ludzi, gdzieś z oddali dobiegało go niejasne wrażenie niezaspokojonego głodu. Wypadł na tłoczną ulicę i poczuł na twarzy deszczową mgłę. Czy kiedyś przestanie padać? Każdy kolejny krok sprawiał mu coraz większą trudność.

To twoja wina, mówił do siebie w myślach. W końcu to on dostarczył Safi do Lejny, gdzie czekali na nią Marstokczycy. Gdyby zerwał kontrakt z domem Eronem fon Hasstrelem... Gdyby został wtedy z Safi na szczycie klifu miast lecieć do Kullena.

Jego i tak w końcu stracił. Ale Safi mógł uratować. Powinien był ją uratować.

– Nodene, przeklnij mnie na wieki. Jakże proroctwa okazały się jej ostatnie słowa. „Mam wrażenie, że widzimy się po raz ostatni”.

Miała rację, a wszystko przez Merika.

Wszedł, powłócząc nogami, w jakąś boczną uliczkę, nie wiedział nawet jaką. Krople deszczu zmieniały się we mgłę, gdy tylko dotknęły bruku, przeobrażając świat w jedną bezkształtną smugę. Każdy człowiek wyglądał tak samo, budynki stapiały się ze sobą. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcił w lewo i doszedł do znajomej kolumnady. Wspiął się po schodach i zanurzył w chłodny mrok świątyni, gdzie wessały go cienie. Włókł się jeszcze dwadzieścia kroków, po czym stanął kolejny raz przed freskami przedstawiającymi świętych Nodena.

Wtedy rzuciło go na kolana trzęsienie ziemi. Kamienie pod jego stopami drgały przez jedno... dwa uderzenia serca. Miasto zatrzęsało się w posadach. A potem vibracje ustały tak raptownie, jak się rozpoczęły, i zostawiły Merika na posadzce z rozłomotanym sercem i napiętymi, gotowymi na kolejny wstrząs mięśniami.

Ale gdy te nie nadeszły, książę przełknął ślinę i odetchnął, po czym uniósł głowę i wpił wzrok w malowidło Lewej Ręki Nodena.

W bestię, którą się stał.

– Co ja mam teraz zrobić, Kull? – wyszeptał, wpatrzony w groteskową twarz, niemal spodziewając się odpowiedzi. Ale ta nie nadeszła. I, wiedział to, nie nadejdzie. Kullen, jak te kamienne ściany, na zawsze pozostanie już niemy.

Pośród cieni świątyni rozbłysła mu jednak w głowie myśl. Słowa, którymi zawsze łajała Merika ciotka Evrane: „Furia nigdy nie zapomina. Cokolwiek uczyniłeś, wróci do ciebie w trójnasób. I będzie cię prześladować, aż nie odpracujesz swoich win”.

Merik wolno pokręcił nadgarstkami, rozkoszując się oporem, jaki stawiała odradzająca się na bliznach skóra, tym, jak pokryte pęcherzami i kreskami brudu ciało rwało się na jego rękach. Prześladowały go jego własne błędy, ale może... jeśli nieco zmieni

perspektywę, ujrzy tę sprawę w innym świetle. Nie jako przekleństwo, lecz dar.

Asasyn w mroku nocy. Pożar Jany. Kobieta na placu Sprawiedliwości... Ciąg wydarzeń zaprowadził go tutaj, do domu Nodena. Przed fresk Lewej Ręki boga.

Tylko głupiec nie przyjmuje darów Nodena.

„Dlaczegoż kosę w lewej ręce ściskasz?”

– By każdy wiedział – wyszeptał Merik – zem jak ostrze groźny.

„A dlaczegoż w drugiej szkło stłuczone błyska?”

– By każdy wiedział, że mam bystre oczy.

Przyjmij boski dar. Stań się Furią.

Nadszedł czas, by Merik naprawdę odrodził się jako potwór, którego cały czas nosił w sobie. Dość tego odrętwiałego dystansu. Dość walki z temperamentem Niharów. Niech wreszcie ogarnie go dziki, złakniony płomień.

Jeden za wszystkich. Odwet za utraconych towarzyszy.

Czas spłacić dług z nawiązką. Czas przynieść uciśnionym sprawiedliwość. Czas ukarać winnych.

I teraz dokładnie wie, jak się do tego zabrać.

## ROZDZIAŁ 10

Safi żałowała, że wciąż żyje. Bo gdyby umarła, mogłaby przynajmniej straszyć piekielnych bardów jako duch.

Nie wprowadzili jej i Vanessy na teren osady. Nawet nie zatrzymali się w okolicy żadnej wioski. Wysłali tylko Lev, tę kobietę, na rekonesans w głąb dżungli. Safi nie miała pojęcia, w którym dokładnie kierunku.

W jednej chwili Lev szła za dowódcą, który podążał za Safi bezszelestnie jak łania, a w następnej znikła w gąszczu, by zjawić się znikąd ze sztyletem przy gardle Safi, gdy tylko prawdopodobnie zerknęła przez ramię, by przebiec wzrokiem po ścianie lasu.

– Nawet nie próbuj, heretyczko.

Heretyczko. Słowo to oznaczało niezarejestrowanego czarodzieja bądź czarodziejkę, którzy działają na terenie Cartorry. Określało się tak wyjętych spod prawa, których piekielni bardowie poprzysięgli łapać i eliminować. Potrafili wyczuć ukryte magiczne dary i polowali na chowających się przed nimi czarodziejów.

– Nogi mnie bolą, bardziej.

– I dobrze, niech bolą.

– Nadgarstki też.

– Dobrze wiedzieć.

Safi rzuciła dowódcy przez ramię uroczy uśmiech.

– Ale z ciebie drań.

Nie zareagował. Jakby miał hełm zamiast głowy.

– Często to słyszę – przyznał po chwili.

Safi dopiero się rozgrzewała.

– Dokąd idziemy?

Dowódca puścił pytanie mimo uszu.

– Daleko jeszcze?

Cisza.

– Jaką truciznę podaliście cesarzowej? Planujecie nas karmić czy mamy umrzeć z głodu? I czy wszyscy piekielni bardowie człapią jak kaczki, czy tylko ty?

Gdy nie przerywał milczenia, dodała:

– Bo będę krzyczeć.

Westchnienie odbiło się echem w hełmie.

– To cię zaknebluję, heretyczko. Ta sztuczka, której spróbowałaś podczas wiązania, nie zadziała na knebel w zębach.

To zamknęło Safi usta na pewien czas. Ale nie dlatego, że przelękała się groźby barda, tylko dlatego, że jej magia nie reagowała na jego słowa. Nie informowała Safi o prawdziwości wypowiedzianych przez żadnego z bardów zdań. Zachodziła w głowę, jak to możliwe.

Tylko tej jednej rzeczy nauczyła się o swoich ciemnościach od momentu pojmania. W żaden sposób nie pomoże jej to uciec. Ale trwała w gotowości, aż w końcu nadarzyła się okazja.

Vanessa nie wracała do zmysłów stopniowo, po prostu nagle wybuchła paniką. Wisiała bezwładnie w ramionach Zandera – który pokonywał właśnie łagodne zbocze, nachyliwszy się, by łatwiej wspiąć się w górę, podczas gdy Safi przystanąła na moment z mieczem dowódcy przy żebrach, przyglądając się nieokazującemu zmęczenia gigantowi – aż nagle, zupełnie niespodziewanie zaczęła szaleć w jego rękach. Kopała i krzyczała wniebogłosy, po czym wymsknęła się bardowi z rąk i zwała na ziemię, podczas gdy Zander próbował złapać równowagę. Natychmiast zerwała się na równe nogi i momentalnie puściła się pędem, zanim Zander, dowódca – nawet Safi – choćby pomyśleli, by pędzić za nią.

Nie umknęła daleko. Nie miała szans z długonogim Zanderem. Dopadł ją w dwa kroki, złapał w żelazny uścisk, a cesarzowa targnęła się bezskutecznie i zawyla jak rozszczępieniec.

Dała tym samym Safi dość czasu, by wykonała ruch. Więcej niż dość. Prawdziejka błyskawicznie opadła na kolana, okręcając się w locie, i rzuciła się pod nogi dowódcy, po czym wymierzyła cios lewym ramieniem prosto w jego krocze. Zbroja czy nie, musiało zboleć.

Zachwiał się i wyrzwał plecami o brzeg strumienia, a Safi wtłoczyła mu piętę w krtań.

A przynajmniej to planowała zrobić, gdy noga jej się omsknęła i uderzyła w opancerzone ramię.

Dowódca ryknął z bólu – o wiele głośniejszy, niż spodziewała się po kopnięciu zamortyzowanym przez pancerz – i wypuścił miecz z ręki, jakby mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa.

Mocno dostał, uświadomiła sobie Safi i natychmiast poprawiła kopnięciem w to samo miejsce. Skulił się, sycząc z bólu. Uderzyła jeszcze raz. Kopała, aż osunął się do wody z rękami przy ramieniu i kołyszącą się na ramionach głową. Gdy grzmotnęła go w głowę, spadł mu hełm, odsłaniając twarz.

Safi znieruchomiała.

Potrzebowała pół oddechu, by pojąć, kogo właściwie widzi. Wyglądał tak znajomo... a jednocześnie zupełnie obco. Może to przez pokrywający szczękę kilkudniowy zarost, może przez skorupę krwi po lewej stronie twarzy, wyglądającą, jakby pociekła ze skaleczonego ucha i nikt jej nie wytarł. A może przez to, że istniały minimalne szanse na to, by pod hełmem krył się Rzeźbimieszek. I to pod hełmem dowódcy piekielnych bardów.

To było po prostu niemożliwe. Absurdalne.

Dowódca bardów... Jak Lev go nazwała? Grieg. Caden Fitz Grieg.

Safi nigdy – przenigdy – nie odgadłaby, że dowódcą piekielnych bardów okaże się Rzeźbimieszek.

To przez niego znalazła się w tym beznadziejnym położeniu. To on ukradł jej pieniądze po partii taro, to jego oszustwa podpaliły lont wszystkich wydarzeń. Gdyby Caden nie zwędził jej pieniędzy, Safi nie próbowałaby odzyskać ich następnego dnia. Gdyby tego nie zrobiła, nie zatrzymałaby złego powozu. Gdyby tego nie zrobiła, krwiodziej nigdy by jej nie wywęszył. A gdyby jej nie wywęszył, to pewnie byłaby teraz wolna.

A Iseult stałaby u jej boku.

Safi splotowała za każdym razem, gdy splotowała usta imieniem Cadena, i przyrzekała sobie, że jeśli kiedyś znajdzie się jeszcze w zasięgu jej wzroku, wydrapie mu oczy.

Zza jej pleców wciąż dochodziły odgłosy szamotaniny, Vanessa darła się i kopała Zandera, w co popadnie, Zander jęczał, podobnie obsypywany kopniakami pancierz. Safi ledwie to wszystko słyszała. Wciąż wwiercała się niedowierzającym wzrokiem w Rzeźbimieszka, usilnie próbując dopasować zupełnie niepasujące do siebie elementy układanki, której ni cholery nie mogła zrozumieć.

Może gdyby nadarzyła się okazja na ucieczkę, miałyby chwilę na zastanowienie. Może gdyby znalazła jakiś sposób na wyłuskanie Vanessy z łap Zandera i zdjęcie tego przekłętego kołnierza z jej szyi. Ale sprawy przybrały najmniej spodziewany obrót, a pytania buzowały jej w głowie jak szerszenie w kopniętym gnieździe.

Z tego też powodu nie zauważyła nawet, gdy wróciła Lev, i nie stawiała oporu, gdy kobieta wyrosła przed nią jak spod ziemi i kopnęła ją w kolano. Siedziała i gapiła się jak idiotka, gdy jęczący żałośnie Rzeźbimieszek nakładał hełm, na powrót stając się piekielnym bardem. Nie rzucała się, gdy wiązali jej nogi, by nie mogła uciec ani kopać. Zareagowała dopiero wtedy, gdy dowódca złapał ją za ramię i warknął jej w twarz:

– Chciałabyś, heretyczko.

Wyszczrzyła zęby. Pewnie, że by chciała, nawet te kilka kopniaków warte było tego, by przypłacić je spuchniętym kolanem. A to dlatego, że dowiedziała się o swoich przeciwnikach więcej, niżby chcieli jej wyjawić. Wiedziała, że olbrzym jest silny, ale powolny. Dowódca będzie korzystał przede wszystkim z prawej ręki, bo lewe ramię ma obolałe. Mógł podjąć walkę i przynajmniej ją spowolnić, a Lev pokieroszować Safi o wiele dotkliwiej, niż to zrobiła. A jednak nikt z piekielnych bardów nie wyrządził większej krzywdy ani Safi, ani Vanessie, co świadczyło, że mieli rozkaz zachować je przy życiu. I w jednym kawałku. Zatem chciał tego cesarz Cartorry.

To dodało Safi sił, nawet jeśli miała związane nogi, a cesarzowa tkwiła w kołnierzu heretyków. Kiedy następnym razem Pani Los podsunie jej okazję do ucieczki, będzie gotowa.

\*\*\*

Gdy Aeduan odzyskał zmysły, słońce kryło się za deszczowymi chmurami. Nie potrafił oszacować, jak długo był nieprzytomny, ale nie ulegało wątpliwości, że o wiele dłużej, niż pozwolił sobie na to kiedykolwiek wcześniej. Jego magia domagała się zasilenia, a skoro nie miał jedzenia, musiał polegać na regeneracyjnych właściwościach snu, nawet tak płytkiego jak ten, kiedy sny mieszają się z rzeczywistością i kiedy wydaje się, że człowiek wcale nie śpi, a dopiero po przebudzeniu orientuje się, że tak dziwny świat mógł tylko zostać wyśniony. Sidła na niedźwiedzie wielkie jak człowiek, sosnowe igły lepkie od krwi, która nigdy nie schnie. Deszcz, który obdziera człowieka ze skóry.

I woń srebrnych talarów, która nie chce opuścić nosa Aeduana.

Rozwarł szeroko powieki. Dźwignął się do pozycji siedzącej, czując osobliwą sztywność w odbudowanych mięśniach opiętych zbyt ciasno nową skórą. Zorientował się, że jest przemoczony do suchej nitki. Potoczył wzrokiem wokoło i nabrał tchu, ale nie zwęszył żadnego niebezpieczeństwa. Po szarym niebie snuły się chmury, grunt rozmiękł i wszędzie było pełno błota. Przeniósł uwagę na swoją nową nogę. Przez dziury w bryczesach widział lśniącą różową skórę. Zignorował swędzenie świeżo narosłej tkanki, opadł na czworaki i doczołgał się do sakwy z talarami.

Wciąż tam leżała. Drżącymi z wyczerpania rękami chwycił woreczek i zajrzał do środka.

Trzasnęła gałąź.

Skoczył na nogi, powiódł wzrokiem wokoło, nie rozumiejąc, dlaczego nikogo nie wyczuł.

– Ani drgnij – powiedział jakiś głos po nomatsańsku dokładnie za jego plecami.

Więziodziejka. Oczywiście, że to ona. Aeduan nie wiedział, czy to oznacza, że Pani Los uśmiechnęła się do niego, czy wręcz przeciwnie. Usłyszawszy następne słowa Nomatsanki, doszedł do wniosku, że raczej to drugie:

– Zabrałam ci noże. Są ukryte.

Tak bardzo skupił się na monetach, że zupełnie zapomniał o nożach. Głupiec.

Obrócił się do niej.



– Poradzę sobie z tobą i bez noży, więziodziejko – wyrzekł po dalmocku.

Znowu zaczęło padać. Pierwsze krople deszczu skapnęły mu na głowę i kark.

Dziewczyna wydała z siebie głębokie tchnienie, po czym weszła na polanę. Aeduan dopiero teraz zauważył, że nosi jego caraweński płaszcz wywinięty na lewą stronę. Mądrze, nawet jeśli to wbrew regule zakonu. Zrobiła krok, potem kolejny i zatrzymała się dziesięć stóp od krwiodzieja. Gdyby nie stała przed Aeduanem, byłaby to być może bezpieczna odległość, ale on dopadłby ją, zanim zdążyłaby mrugnąć.

Zamiast tego pozwolił jednak ramionom opaść wzdłuż ciała. Mógł ją zaatakować, ale mądrzej będzie uzyskać potrzebne informacje w toku dyskusji. Tak przynajmniej twierdziła Evrane.

Choć mniszka twierdziła też, że ta dziewczyna była Cahr Awenem, połową mitycznej pary, którą mnisi przysięgli chronić. Aeduan miał to za absurd. Nie tylko to, że stojąca przed nim Iseult miałyby być postacią z legend, ale również samo istnienie Cahr Awenów.

– Gdzie reszta moich monet, więziodziejko?

Milczała, przez trzy uderzenia serca po prostu mierzyli się wzrokiem, tkwiąc w deszczu. Woda ściekała jej po twarzy, zmywając maskę kurzu, która ją pokrywała. Wydawała się chudsza niż dwa tygodnie temu. Jej przezroczysta skóra opinała wystające kości policzkowe. Miała niezdrowo podkrążone oczy.

– Gdzie jest reszta? – powoli pytanie. – I jak je ukradłaś?

Zmarszczyła nos. Aeduan zgadywał, że się nad czymś zastanawia.

Deszcz przerodził się w ulewę, woda zbierała się w zagłębieniach błotnistej łąki, spływała z płaszcza, który Aeduan chciał odzyskać. Jego wełniany płaszcz był brudny i mokry.

Jakby odczytując jego myśli, dziewczyna powiedziała po nomatsańsku:

– Znalazłam dla nas schronienie.

– Dla nas? – spytał Aeduan, wciąż nie rezygnując z dalmockiego. – Co ty sobie wyobrazasz, więziodziejko?

– Chcę... zawrzeć sojusz.

Parsknął śmiechem. Surowy, chrapliwy dźwięk wytoczył się z jego ust i zlał się w jedno z hukiem gromu. Nie było mowy o żadnym sojuszu. Jeśli Aeduana łączyła z więziodziejką jakaś relacja, to była nią wrogość. Został w końcu wynajęty, by dostarczyć ją Corlantowi.

A jednak zaintrygowała go. Ludzie rzadko go intrygowali, a jeszcze rzadziej rzucali mu wyzwanie. Węziodziejka zrobiła nawet więcej. Zupełnie zbiła go z tropu. Nie miał pojęcia, co zaraz powie. Co zrobi.

Nabrał powietrza do płuc. Nie wyczuł żadnego zapachu krwi, a jednak jakaś woń drażniła jego nozdrza.

Wilgotny dym. „Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

– Obiad – wyjaśniła więziodziejka, mijając Aeduana. Ot tak, jakby nic między nimi nie zaszło. Jakby nie lał z nieba deszcz, jakby go nie okradła i nie rozbroiła.

Jakby odwracanie się plecami do krwiodzieja nie było szczytem głupoty.

Aeduan się nie spieszył. Zrobił kilka ostrożnych kroków, chcąc sprawdzić wyleczoną nogę. Podszedł sztywno do wciąż walających się w błocie monet. Dopiero wtedy, nie wpadłszy w żadną pułapkę i nie czując żelaznych sideł wcinających się w nogę, ruszył w ślad za więziodziejką, gdziekolwiek go prowadziła.

\*\*\*

Buty, które dostała Safi, były o wiele za duże. Bolesnie obcierały jej pięty. A jednak ten ból miał się nijak do bólu, który sprawiała wpijająca się w nadgarstki lina. I ta, którą bardowie związali ją w połowie łydek, a która wrzynała się w cholewy jej nowych butów, również trąc niemiłosiernie.

Każdy krok przeszywał ją bólem.

Przyjęła go z otwartymi ramionami. Odciągał uwagę od ognia płonącego w jej żołądku.

Dowódca piekielnych bardów Fitz Grieg.

Caden. Rzeźbimieszek.

Gdy mu się teraz przyjrzała, zauważyła bliznę wystającą spod hełmu. Pamiętała ją dobrze jeszcze z Veñazy. Tak jak pamiętała

jego cwany uśmieszek oraz sposób, w jaki patrzył ludziom prosto w oczy, nie mrugając i ani razu nie odwracając wzroku.

Wieki temu w Veñazie Safi uważała, że ten uśmiech i intensywność spojrzenia są... interesujące. Nawet atrakcyjne. A teraz najchętniej zmazałaby mu ten uśmieszek z twarzy.

Zawadziła butem o wystający korzeń i poleciała naprzód. Liny wdarły się głębiej w już i tak obtarte do krwi ciało. Wbrew najgłębszemu pragnieniu swej dumy zassała głośno powietrze.

– Stój, heretyczko. – Dowódca rozciął liny, a potem pomógł jej wstać. Następnie wydobył z sakwy dwa pasy beżowego lnu do opatrywania ran.

– Pokaż ręce.

Safi usłuchała, a on – ku jej zaskoczeniu – obwiązał poranione nadgarstki, oddzielając szorstką linę od ciała.

– Od razu powinienem był to zrobić – powiedział ani przeprasającym, ani oskarżycielskim tonem. Po prostu stwierdził fakt.

I to właśnie wtedy, gdy patrzyła na czubek jego brudnego hełmu, naszła ją zniecierpliwiona myśl, która wydusiła jej powietrze z płuc.

Co, jeśli to Caden powiedział cesarzowi Cartorry o magii Safi? Co, jeśli to stojący przed nią piekielny bard powiadomił cesarza Henricka o jej prawdopodobnym darze? Co, jeśli to właśnie przez niego Henrick chciał pojąć ją za żonę?

Rzeźbimieszek ją wykiwał. A potem pojmał jako dowódca piekielnych bardów.

Powiedzieć, że była wściekła, to jak nic nie powiedzieć. Opanował ją palący gniew, który nie wynikał z temperamentu. Oto jej życie – wieczna ucieczka, wieczna walka, aż w końcu pokona ją któryś z nieprzeliczonych wrogów i urznie jej głowę. Przecież to nieuniknione, to czysta statystyka. Jej dar był jej przekleństwem od dnia narodzin.

Ale Iseult...

Gdzieś tam była Iseult, również zmuszona do ucieczki, do porzucenia zbudowanego w Veñazie życia – a wszystko przez Safi. I przez Rzeźbimieszka.

Zimna nienawiść wypełniła ją od stóp do głów, tak jak naczynie napełnia się wodą, pulsowała w palcach u rąk i nóg, napierała na liny, którymi ją związano. Narosła jeszcze, gdy ruszyli w dalszą drogę.

Cierpiała ból przez wiele godzin, nim wreszcie się zatrzymali na popas. Zander zaprowadził Safi do obwieszanego porostami buku, a ona się nie sprzeciwiała. Nie zaatakowała go nawet wtedy, gdy kikuty starych gałęzi pokłuły ją w plecy. Ani wtedy, gdy podniósł jej ramiona, odgiął w tył, zmuszając ją do wyprężenia się w łuk, i przywiązał do drzewa nieco zbyt wysoko, a następnie skrępował kostki i przywiązał u nasady pnia. Czuła się jak kaczka na rożnie, którą Mathew zawsze przyrządzał na jej urodziny.

Safi nie widziała cesarzowej przytwierdzonej do drzewa za jej plecami, ale słyszała znajome trzeszczenie lin. Ten sam odgłos znad zbyt daleko odgiętych ramion. Przez jakiś czas o walce będą mogły tylko pomarzyć.

Potem dobiegł ją słodki, chorobliwie grzeczny ton cesarzowej:

– Czy mogłabym poprosić o trochę wody?

Olbrzym mruknął na Lev, a ta minęła Safi i przyniosła Vanessie bukłak. Prawdopodobnie łąpnęła w lewo i w prawo... Ale nie dostrzegła Cadena. Zniknął w gęstwinie.

– Gdzie się podział dowódca? – spytała, przełknąwszy kilka rozkosznych łyków stęchłej wody. – Był ranny. Może powinniście zobaczyć, czy wszystko z nim dobrze.

Spod hełmu Lev dobiegł ją metaliczny śmiech.

– Nie, raczej nie.

Kolejna salwa śmiechu. Lev przytroczyła bukłak do pasa i zdjęła hełm.

Przedostające się przez liście karminowe światło wydobyło z półmroku młodą twarz. Dziewczyna w wieku Safi, może nieco młodsza, miała ścięte krótko brązowe włosy, szeroką, zakończoną ostro zuchwę. Była wcale ładna, nawet mimo pomarszczonych blizn przecinających policzki i rysujących się za uszami, jakby ktoś pokieroszował ją brzytwą.

Obnażyła w uśmiechu ukruszone kły, lśniąca tkanka blizn naciągnęła się do granic możliwości.

– Skąd pochodzisz? – zapytała ją Safi, choć już się domyślała.

– Z Praggi. Z Angelstattu.

Slumsy w północnej dzielnicy, dokładnie tak, jak myślała Safi. Prawdopodobnie dar wciąż nie podpowiadał jej, czy kobieta mówi prawdę. Jakimś sposobem nie działał na piekielnych bardów.

Safi poruszyła zuchwą, aż strzyknęły jej stawy. Kusilo ją, by zapytać, dlaczego nie może odczytać bardów, ale przecież istniała możliwość, że nie wiedzą, że jest prawdopodobną. Dowódca nazwał ją heretyczką, prawda, ale może tylko on jeden znał naturę jej magii i nie czuł potrzeby dzielenia się tą wiedzą z podkomendnymi.

Zamiast tego Safi zadała inne pytanie:

– Jak zostałeś piekielnym bardem?

– Tak jak każdy.

– To znaczy?

Lev nie odpowiedziała. Cmoknęła tylko językiem i przesunęła bladozielonymi oczami po skrępowanych nogach i ramionach więźnia, a potem zatrzymała wzrok na jej twarzy, jak piekielny bard przesłuchujący heretyka. Ale Safi nie miała pojęcia, czego dokładnie szukała Lev.

– Dali mi do pętłę lub pniak – wyrzekła w końcu. – Wybrałam pętłę. Życzy sobie pani jeszcze wody? – Uniosła bukłak, a Safi zaprzeczyła ruchem głowy. – Bez łaski.

Prawdopodobnie obserwowała kręcącą się po obozie Lev, zwracając baczniejszą uwagę na jej broń, począwszy od kuszy. Aż do momentu, gdy poczuła wzbierającą w niej prawdopodobną magię, nieprzyjemną jak podchodząca do gardła zgaga.

Kłamstwo. Ktoś za jej plecami mówił nieprawdę.

Spłoszyło ją to uczucie, było jak zimna woda ściekająca po uniesionych ramionach. Już tak dawno nikt nie skłamał w jej obecności – a przynajmniej ona od dawna nie zdemaskowała żadnego oszustwa. Wiedziała, że nie tyle słowa cesarzowej są nieprawdziwe, co jej teatralny ton.

– Pochodzisz z wybrzeża Morza Północnego? – spytała cesarzowa głosem zaprawionym udawaną uprzejmością i zwodniczą życzliwością. – Ja też dorastałam nad wodą. Ale nie nad zimnym morzem, jak ty, tylko nad ciepłą, wiecznie skąpaną w słońcu rzeką. – W jej tonie zabrzmiała tęskna nuta, którą prawdopodobnie instynkt Safi natychmiast zdemaskował. – Wracalam w jej w rodzinne strony. Nie byliśmy krewnymi, ale nasze nici Więzi czyniły z nas rodzinę. Wybraliśmy się nawzajem. I wiesz? Prawie już tam dotarliśmy. Dzień, może dwa dni i bylibyśmy na miejscu... – Długa pauza przesycona muzyką koników polnych i wzdychaniem wieczornego wiatru. A potem znienacka: – Czy to wy wysadziliście w powietrze mój okręt?

– Nie – wypalił Zander dość głośno, by Safi pochwyciła zaskoczenie w jego głosie. Vanessa uspiła jego czujność swoimi uprzejmościami.

– Kłamiesz – podjęła cesarzowa głosem wypranym z życzliwości, twardym jak surowe żelazo. – Pozabijaliście ludzi, których kochałam, i słono mi za to zapłacicie. Upuszczę ci krwi do ostatniej kropli, piekielny bardzie znad Morza Północnego. Lepiej, żeby się nie okazało, że maczałeś w tym palce.

Słowa cesarzowej były jak pieśń najprawdziwszej prawdy, rozbrzmiały akordem tak przenikliwym, że jego intensywność niemal zagłuszyła samo znaczenie przysięgi.

Wywołało to uśmiech na twarzy Safi. Już drugi dzisiaj. Sama robi dokładnie to samo, jeśli tylko się okaże, że za eksplozję odpowiadają bardowie. A nawet jeśli to nie ich sprawka, i tak wypatroszy dowódcę nożem do mięsa, i tak policzy się z Rzeźbimieszkiem, który zaproszył piekielny ogień trawiący jej życie do gołej ziemi.

Za każdą iskierkę tego ognia odbierze zapłatę we krwi.

## ROZDZIAŁ 11

Nie teraz – powiedziała Vivia tysięcznemu od pojawienia się w pałacu słudze, który przyszedł do niej z jakąś sprawą. Była spocona, głodna i spóźniona, ale spalony słońcem ogrodnik najwyraźniej nie dbał o to.

– Ależ Wasza Wysokość, chodzi przecież o śliwy – wydyszał, nie zwalniając truchtu na alejce królewskiego ogrodu. – Burza zrzuciła połowę owoców, zanim zdążyły dojrzeć...

– Czy wyglądam, jakby obchodziły mnie śliwy? – Właściwie to obchodziły, ale przebieg tego typu rozmów określał stosowny protokół. A poza tym konwersacja z ogrodnikiem nie była nawet w połowie tak frapująca, jak widok niezadowolenia na twarzy króla regenta. Vivia przywołała więc swój najstraszniejszy niharski grymas i dodała: – Nie. Teraz.

Mężczyzna zrozumiał wreszcie aluzję i zniknął w cieniu rzeczonych śliw, które rzeczywiście wyglądały na sfatygowane. Zresztą jak wszystko w Nubrevnie.

Vivia zmarnowała zbyt dużo czasu. Błyskawicznie uwinęła się z upłynnieniem ziemi z wykopu przez północny Most Wodny Stefin-Ekarta, a starożytna tama naznaczona groźnie wyglądającym pęknięciem okazała się być w o wiele lepszym stanie, niż przypuszczała. Przeprowadziła inspekcję wszystkich ważniejszych śluz, a gdy znalazła się na szczycie mostu, zanurzyła stopy w lodowatej wodzie i rozplynęła się w niej, podążyła z jej biegiem, wyczuwając najdrobniejsze strumyki toczące swoje wody przez sterowane magicznie przewody tamy. Ku jej zaskoczeniu i uldze okazało się, że wszystko działało, jak należy, a szczelina wciąż była tylko powierzchowną rysą na solidnej skądinąd kamiennej ścianie.

Wróciła więc czym prędzej do Lovats i dopiero tam strawiła najwięcej czasu, utknąwszy na długie godziny wśród statków zwożących Nubrevenów do miasta. Gdy przybiła w końcu

do północnych doków, słońce chyliło się ku zachodowi, a już dawno schowało się za Górami Sirmayańskimi, kiedy dotarła wreszcie do pałacu na szczycie Królewskiego Wzgórza. Właśnie wkroczyła na dziedziniec otoczony zewsząd monarszymi komnatami.

Zepsuta zasuwa w głównych drzwiach ustąpiła dopiero po trzech szarpnięciach stojącego przy nich lokaja, zawiasy zaskrzeczały jak kołujące nad polem bitwy kruki.

Weszła do sali, gdzie dosłownie zderzyła się z najmłodszym giermkim ojca. Sługa numer tysiąc jeden.

– Wasza Wysokość – zapiszczał chłopiec. – Król regent prosi na audiencję. – Zmarszczył nos, wzbudzając osobliwe drżenie rzadkiego wąsika, a Vivia nareszcie pojęła, dlaczego inni giermkowie nazywali go Szczurem. Vivia dotąd sądziła, że to z powodu podobnego w brzmieniu imienia Sur

– Jestem gotowa – rzekła sztywno, strzepując z munduru nieistniejący pyłek.

Szczur poprowadził ją korytarzem, ich kroki odbijały się echem od wyłożonych dębowymi panelami ścian. Nie było tu dywanów, które wygłuszałyby stukot obcasów, brakowało gobelinów pochłaniających echo. Dwanaście lat temu Serafin usunął z gmachu wszelkie dekoracje przypominające mu o Janie. Składował je w głębokich piwnicach pod pałacem, gdzie pożerała je zgnilizna i gdzie prawdziwe szczury ucztowały na szlachetnych obliczach dawno zapomnianych królów.

Dwa lata temu Vivia podjęła decyzję o ich sprzedaniu, wszystkich, co do jednego, i niekoniecznie legalnymi kanałami. Wyszło na to, że dalmoccy Mistrzowie Gildii byli chętni wymienić w tajemnicy żywność na autentyczne nubreveńskie dzieła sztuki.

Gdy Vivia przeszła do skrzydła pałacu, które zajmował jej ojciec, pograżyła się w ciemności nieoświetlonych korytarzy. Choroba Serafina spowodowała nadwrażliwość jego oczu na światło, żył więc teraz w świetle cieni. Szczur pomknął naprzód, by otworzyć drzwi i zapowiedzieć księżniczkę.

Vivia minęła go, gdy tylko skończył ją anonsować. Komnata króla, dwukrotnie większa od jej własnej, została urządzona nie mniej oszczędnie. Przy lewej ścianie stało łóże, a przy jego



wezgłowiu stołek. Palenisko po prawej wygasło, a w kominie szemrał wiatr. Okna zasłonięto kotarami i okiennicami.

Vivia zmusiła swoje nogi do ruchu. Nie skłoniła się, nie zasalutowała, nie przywitała się choćby słowem. „Oszczędzaj energię na Radę – mawiał jej ojciec. – Przy mnie możesz być sobą”.

Siwa głowa króla spoczywała na poduszce. Oddychał chrapliwie i powoli. Gestem kazał jej się zbliżyć. Nawet pomimo chorobliwej szczupłości ramion tonących w obszernej szacie i utrzymującego się w pomieszczeniu niczym mgła nad taflą morza wszechogarniającego fetoru śmierci Serafin wciąż emanował prawdziwie królewskim dostojenstwem.

Niemal utraciła kontrolę nad mimiką, gdy zbliżyła się do łoża. Twarz i oczy monarchy wyglądały, jakby należały do przedwiecznego starca, który umarł wieki temu, ale wciąż przebywał wśród żyjących. Każde kolejne odwiedziny były trudniejsze od poprzednich. Wczoraj przynajmniej trafiła na jeden z jego lepszych dni. Chłód kąsał Vivie w odsłonięty kark. Nie dało się już zaprzeczyć, że choroba nadwątlila siły tego starca. Ciało króla było wyniszczone, a umysł miał wkrótce podzielić jego los. Jej ojciec stał nad grobem.

– Usiądź – wycharczał i uniósł się niezgrabnie na łokciu, próbując dźwignąć się do pozycji siedzącej. Vivia pomogła mu, czując pod palcami wystające zębra króla. Gdy jej ojciec usiadł, oparłszy się o wezgłowie, sama spoczęła na stołku obok. – Masz na sobie kapitański płaszcz – zauważył Serafin dźwięczniejszym głosem, przeciągając zgryźliwie samogłoski, jak robiła to ciotka Evrane. – Można spytać czemu?

– Ponieważ miałam wrażenie, Wasza Wysokość, że to ty pełnisz obecnie funkcję admirała. – To samo rzekła dwa tygodnie temu, gdy toczyła z nim podobną rozmowę, powiadomiwszy go o śmierci Merika. Wówczas powiedział, że znowu został admirałem. Dziś tylko westchnął.

– Czy wyglądam na kogoś, kto potrafiłby dowodzić flotą? Nie odpowiadaj – dodał z iskierką swojego ironicznego humoru. – Dzień w dzień uzdrowiciele mówią mi, że mi się polepszy. Kłamcy.

Kłamcy, pochlebcy i głupcy. Wszyscy. – Rozgadał się na temat nieprawidłowych diagnoz swoich lekarzy, o tym, jaki był silny za młodu, o latach spędzonych na pokładach okrętów i na tronie oraz... Vivia nie słyszała, o czym jeszcze opowiadał, wyłączyła się już na początku przemowy, ograniczając się tylko do kłamliwych, twierdzących mruknięć i machinalnego przytakiwania. Powodowana dobrymi intencjami usilnie próbowała słuchać ojca, ale Serafin mówił tylko o przeszłości, przypominając słyszane przez nią już wielokrotnie historie i te same żarty z brodą.

Niech ją Noden utopi, była złą córką. To miał być jej moment tryumfu – w końcu mianował ją admirałem – a mimo to wciąż nie potrafiła zdobyć się na to, by po prostu go słuchać.

Przełknęła ślinę, poprawiając mankiety i słysząc gdzieś w tle jednostajne paplanie ojca. Teraz, zorientowała się, pokpiwał z Wysokiej Rady, przywoływał rozliczne wady wszystkich wizerów, a Vivia zdobyła się na piskliwy, dziewczęcy śmiech. Jakże łatwo udać rozbawienie, które ojciec zawsze nagradzał aprobującym uśmiechem.

A czasem także czymś więcej: serdecznym komentarzem.

– Ależ my jesteśmy podobni, prawda? Jesteśmy Niharami do szpiku kości. Słyszałem, co wydarzyło się dzisiaj w Komnacie Bitewnej. Niezła ta sztuczka z wodą. Dobrze czasem zademonstrować im nasz słynny temperament.

Vivia poczuła ciepło w piersi. Dokładnie wiedziała, co teraz powiedzieć, by najbardziej mu się przypodobać:

– Imbecyle, wszyscy, co do jednego.

Uśmiechnął się, tak jak się spodziewała, a potem nabrał ze świstem powietrza do oblepionych flegmą płuc. Jej serce na moment zamarło. Ale nie, wszystko jest dobrze.

– Co ciekawego powiedzieli dzisiaj nasi szanowni wizerowie?

– Sto czterdzieści siedem statków przekroczyło w tym tygodniu linię Strażników – wyrzekła oschle. – Większość wypełniona Nubrevenami, Wasza Wysokość. Wizerowie martwią się o żywność...

– Żywność już do nas zmierza – wszedł jej w zdanie Serafin. – To zasługa twojego małego oddziału. Zgromadziliśmy pod pałacem

znaczną ilość zapasów, które pozwolą nam przetrwać zimę. Pomoże nam też traktat zawarty z Cartorrą, a to dzięki temu, że twój brat miał łeb na karku.

Ja też mam łeb na karku, pomyślała natychmiast, czując uścisk w płucach. Lisy to mój pomysł i moja ciężka praca. Ale nigdy nie powiedziała by tego ojcu. Zawsze powtarzał, że dzielą chwałę, której dostarcza im każda dobra decyzja. I hańbę przysporzoną przez te złe.

Poczucie winy naparło na nią niczym fale przypływu. Nigdy nie powiedziała ojcu o mitycznym mieście czy podziemnym jeziorze i choć utrzymywała samą siebie w przekonaniu, że to z powodu przysięgi złożonej matce, w głębi serca знаła prawdę. Była samolubną córką. Wcale nie chciała dzielić się chwałą, która może wyniknąć z rozwikłania zagadki podziemnej metropolii.

– Jak postępy w negocjacjach z Marstokiem? Kolejne wiekopomne zwycięstwo twojego brata, dzięki któremu nie pomrzemy z głodu. Drugie, odkąd Merik wrócił do Lovats i dołączył do Królewskich Sił Zbrojnych. – Gdy to powiedział, zawiesił wzrok na żałobnej szarfie na jej ramieniu.

Król nie założył własnej, co z początku zdumiało Vivie, skoro zawsze wypowiadał się o nim pochlebnie. Gdy minęło Vivii zdumienie, ogarnęło ją przyjemne uczucie. To niechybnie znak, że ją ojciec kocha bardziej.

Samolubna córka.

– Z Marstokiem? – zmusiła się do powtórzenia, a jej ramiona powędrowały o cal w górę. Dostrzegła znajomy błysk w oczach króla. Serafina zadowoli tylko konkretna i szczegółowa odpowiedź. Widziała w jego spojrzeniu, że czeka na to, by Vivii nie udało się jej udzielić.

Zwilżyła wargi i wypięła pierś.

– Wciąż prowadzimy rozmowy z Imperium Marstockim – wyrzekła wyraźnie. – Poinformuję Waszą Wysokość, gdy tylko dojdziemy do porozumienia w sprawie...

– Ach tak? – Sięgnął ręką po leżący na pościeli dokument, skryty dotąd w mroku. – To dlaczego doniesiono mi dziś rano, że zerwałaś negocjacje?

Jej żołądek zapadł się do środka. Papier, którym machał jej przed nosem, nie zawierał nic innego, jak wiadomość wysłaną tydzień wcześniej ambasadorowi Marstoku przy pomocy głosodzieja. Jak, na piekielne głębie Nodena, trafiła w ręce Serafina?

– Uznałam, że nam się to nie opłaca – odparła prędko, układając usta w swobodny uśmiech, ale gdy nie doczekała się zmiany w kamiennym spojrzeniu ojca, obrała inną taktykę i przybrała do niej odmienną maskę, bardziej oschłą i gniewną. – Wystarczył rzut oka na warunki Marstokczyków, by zrozumieć, kto obudzi się z ręką w nocniku. Zawierane przez nas alianse mają służyć Nubrevnie, nie Marstokowi. Nie wspominając, Wasza Wysokość, o drobiazgu, jakim jest atak morski, którego dopuściła się marstocka flota w Nubrevnie dwa tygodnie temu.

– Po prostu martwię się o ciebie – odpowiedział Serafin, choć surowy grymas nie schodził z jego twarzy. – Nie chciałbym, żeby Rada pomyślała, że nie radzisz sobie z negocjacjami.

Vivię zemdliło. Słowa same popłynęły z jej ust.

– Ale, Wasza Wysokość, byłam pewna, że ty sam nigdy nie podjąłbyś negocjacji z tymi ogniozercami. Jesteś na to o wiele za mądry. Gdyby tylko Wasza Wysokość wiedział, jakie przedstawili warunki! Skoro wszystko wskazuje na to, że cesarzowa nie żyje, jestem pewna, że wkrótce sami zerwaliby rozmowy!

– Nie mogłaś przewidzieć, że cesarzowa umrze. Chyba że... – Groźny grymas spłynął z jego twarzy, a po chwili nieco poweselał. – Chyba że się mylę?

Roześmiała się, odrobinę zbyt powściągliwie.

– Mówiłem ci – ciągnął monarcha, zgarbiwszy się nieco – martwię się o ciebie. Ja wiem, że jesteś silna, ale Rada tego nie dostrzega – powiedział i na powrót dał się ponieść nurtowi swojej własnej opowieści o niegdysiejszej tężyznie.

Vivia zawsze źle reagowała na niezadowolenie króla regenta – trzęsła się jak mały ptaszek, którego zaskoczyła zima. To przecież śmieszne! I haniebne, bo wiedziała, że ojciec ją kocha. Wierzyła, gdy mówił, że tylko się o nią martwi.

Serafin był dobrym monarchą, a Vivia mogła się stać dobrą monarchinią, gdyby tylko potrafiła się zachowywać tak jak on. Gdyby tylko trzymała się u jego boku. Dzielila chwałę, dzielila hańbę. Pamiętając o tym – a ostatnimi czasy przypominała sobie o tym dość często – przybrała maskę zainteresowania. I przez kolejne dwie godziny słuchała opowieści o wyczynach króla, o bystrości jego umysłu i niezawodnym instynkcie nawigatora po zdradliwych wodach nubrevenskiej polityki.

\*\*\*

Gdy opuściła skrzydło królewskie, posłała po pałacowego majordomusa i dziesięciu żołnierzy zwykle zastygłych w postawie na baczość. Mundurowi zasalutowali jej na powitanie, a majordomus – drobnej budowy kobieta, którą znała całe życie – uśmiechnęła się i skłoniła dwornie.

To była ich codzienna procedura: po odwiedzinach u ojca Vivia i majordomus dokonywały obchodu pałacu i murów obronnych. Zarządczyni informowała księżniczkę o wszystkich prośbach, petycjach i zażaleniach, jakie zgromadziła poprzedniego dnia, a w międzyczasie mogli zgłaszać się z propozycjami i skargami pałacowi pracownicy. Teraz przyszedł czas na spotkanie z ogrodnikiem i jego śliwami.

Kobiety szły zwawym tempem w obstawie strażników. Zrywający się wiatr szarpał ich ubraniami i przetaczał się przez ogrody, a w oddali kłębiły się na niebie świeże chmury.

Dawniej do ogrodu mieli wstęp jedynie członkowie rodziny królewskiej i ich najbliższa służba, ale osiemnaście lat temu królowa Jana zniosła zakaz wstępu i pozwoliła pozostałym Nubrevenom dysponować tą częścią pałacu. Wokół centralnej fontanny szybko zasadzono jabłonie i grusze, wiodącymi między krzewami różanymi ścieżkami popęzły cukinie, zaś w zachodniej ćwiartce ogrodów rosło więcej główek kapusty, niż liczył głów cały pałac i przyległości.

Vivia powędrowała wzrokiem do jedyne miejsce w pałacowych ogrodach, które pozostawiono nietknięte: drobnego placu w północno-wschodniej części ogrodu, otoczonego żywopłotami i z obrośniętym liliami wodnym stawem. Było

to ulubione miejsce Jany. Vivia sądziła, że to dlatego, że właśnie tam znajdowały się drzwi do podziemnego jeziora. Ale coś nie dawało jej spokoju...

– Poczekaj tu na mnie – mruknęła, kierując się w tamtą stronę. Chwilę później znalazła się pod oplątanym winoroślą portalem. Otworzywszy przerdzewiałą bramę, weszła do ogrodu matki.

Wyglądał tak samo jak zawsze. Bujny bluszcz zagarnął okolony żywopłotami skrawek ziemi, cofając się jedynie przed małą sadzawką w sercu enklawy. Płacząca wierzba sięgała do wody długimi palcami, a pod najdalszą ścianą rozrosły się, wyrwawszy się spod kontroli ogrodników, gęste krzaki czarnej jagody.

Każdego dnia Vivia pędziła wysypaną żwirem ścieżką – jedynym skrawkiem, którego nie wzięła we władanie natarczywa roślinność – zdążając ku ukrytej wśród jagód klapie. I codziennie upewniała się, że nikt poza nią tu nie przychodził.

Dwa kroki od stawu znajdowała się samotna ławka. Vivia szła teraz w jej stronę. To tam siadywała Jana. Opadła na nią wdzięcznie, tak jak robiła to jej matka. A potem utkwiała wzrok, również jak matka, w kępie brodatych irysów.

Kwiaty wciąż nieźle się trzymały, rosły nie niepokojone w glinianych donicach za zasłoną tataraku. Vivia nie widziała czarnych irysów nigdzie indziej. Większość miała kolor błękitny, czerwony lub fioletowy, ale nie te, które tak ukochała jej matka.

Jana lubiła mówić, sycąc oczy ich widokiem. Zwykle recytowała jeden wers z Lamentu Eridysi, pieśni pijanych żeglarzy i wzgardzonych kochanków.

*Ale dopiero w śmierci mogli pojąć istotę życia. A tylko żyjąc, zmieniają świat.*

Przywoławszy ten fragment raz, powtarzała go w kółko, aż słuchająca jej osoba popadała w szaleństwo, tak samo jak Jana.

Vivia podziwiała kwiaty przez trzy uderzenia serca, cofnąwszy się myślami daleko w przeszłość. Rozmyślała o tym, jak jej matka wpatrywała się w nie godzinami, nucąc pod nosem. Z początku

od czasu do czasu. Potem co najmniej raz w tygodniu. Potem raz dziennie... A potem zniknęła na zawsze.

Vivia była podobna do matki, ale nie w tym. Była silniejsza od Jany. Stawiała czoła ciemności, którą nosiła w sercu.

Ta myśl sprawiła, że podniosła się z ławki i pobiegła w stronę łuku.

Nie ma w tym ogrodzie dla mnie nic poza przykrytą jagodami klapą. Żyją tu tylko cienie i szaleństwo. Tylko wspomnienia i żałobny lament.

## ROZDZIAŁ 12

Zaułki. Najplugawsza, najbardziej zatłoczona część stolicy. A kto wie, czy nie całej Nubrevny.

– Nie ma to jak w domu – powiedziała Cam, prowadząc Merika labiryntem uliczek.

Były to jej pierwsze słowa od opuszczenia mieszkania Kullena. Wypowiedziała je z takim trudem, jakby wszystkie siły kosztowało ją wyrwanie ich z języka. Merik wobec jej tonu nie znalazł odpowiedzi. Nawet na umierających ziemiach Niharów na południu dało się odnaleźć przestrzeń, żywność. Ale to miejsce przygniatało przechodnia swoją beznadzieją.

Nie pomagał fakt, że co parę minut przetaczał się po niebie grom i leciały na nich zimne krople deszczu. Póki co drobne, ale niosące ze sobą realne zagrożenie ulewy. Jeszcze gorszy był ślad, jaki pozostawiło po sobie trzęsienie ziemi. Spękany bruk i przeciekające rynsztoki, zmięte namioty, blady strach w oczach mijanych na ulicy ludzi. Mogło być gorzej, Merik słyszał opowieści o wstrząsach, od których waliły się całe budynki.

Cam bez trudu znajdowała drogę przez ten bałagan, sprężyście przeskakując nad kałużami i okrążając śpiących na ulicy pijaków, a Merik zdążał za nią tak szybko, jak tylko potrafił. Dwa wersy ze starej dziecięcej rymowanki krążyły mu głowie i za nic nie chciały sobie pójść.

Głupi brat Filip do ciemnej jaskini

Prowadził ślepego brata Dareta...

Nie wiedział tylko, czy jest głupim bratem Filipem czy ślepym bratem Daretem. A potem zapomniał o braciach. Cam skreśliła gwałtownie w lewo i dosłownie rozplynęła się w powietrzu, wszedłszy do pograżonego w cieniu zaułka. Merik nie miał innego



wyboru, jak tylko wyciągać nogi. Opuścił półmrok wieczornych ulic i wtopił się w ciemność. Na kilka sekund zupełnie stracił wzrok.

– Tutaj – syknęła Cam, wciągając go w wąski odstęp między budynkami.

Stali tam we dwoje: Merik gapiący się na Cam, a Cam trzymająca oszpeconą rękę przy ustach, chcąc chyba stłumić odgłos oddychania.

Czekali, ale nikt się nie pojawił. Odjęła rękę, odetchnęła i oklapła, oparłszy się o ścianę.

– Przepraszam – wymamrotała. – Zdawało mi się, że ktoś nas widział.

Wyjrzała ostrożnie z kryjówki i oklapła jeszcze bardziej.

Merik zauważył, że z jakiegoś powodu jest spięta. Wcześniej lawirowała ulicami i kryła się w bocznych alejkach z wypracowaną zwinnością, teraz poruszała się niezdecydowanie, to przystawała, to zrywała się do marszu, nieustannie rozglądając się na boki. Gdy pytał, kto za nimi idzie, odpowiadała, że żołnierze. Ale zupełnie bez przekonania.

– Możemy już ruszać? Miasto nas potrzebuje – powiedział, chociaż miał na myśli: musimy dorwać Vivię, sprowadzić do miasta więcej żywności i odnowić handel. To jednak przemilczał, Cam nie lubiła, gdy się ją karcilo. Już i tak cała rumieniła się ze wstydu.

– Oczywiście, sir. Przepraszam, sir.

Wznowiła marsz do Twierdzy Pyna, ale uwadze Merika nie uszło, że co chwila poprawiała kaptur i wzdrygała się, gdy tylko ktoś przecinał jej drogę.

Nie minęło wiele czasu, a minęli okrągłe skupisko drewnianych przybudówek, za którymi majaczyła już osławiona Twierdza Pyna, starożytna wieża, starsza nawet od Starego Miasta. Starsza od murów obronnych, a kto wie, czy nie od Wodnych Mostów Stefin-Ekarta. Dało się to wywnioskować po kamieniach, z których ją wzniesiono.

Gdy w Nubrevnie osiedlili się ludzie z północy, przywieźli ze swojej ojczyzny czarny granit, gotowi budować z niego twierdze

i uczynić sobie tę ziemię poddaną. Lecz z czasem wykształcił się tu nowy naród, nowy lud, który szybko zaczął budować z wapienia dostępnego na tych terenach.

Drewniane dechy i przechylone namioty wspierały się o przysadzistą bazę wieży. Podobne do dźwięków siekiery odgłosy kaszlu, kichania i charczenia mieszały się z płaczem dzieci i gwarem wieczoru. Zaułki były o wiele głośniejsze, niż Merik pamiętał. Śmierdziały intensywniej i przede wszystkim okazały się o wiele bardziej zatłoczone. Z niskiego portyku wylaniała się kolejka ludzi – niektórzy utykali, innym brakowało kończyn, niektórzy zanosili się kaszlem, wąтли i wychudzeni, inni jeszcze z mlekiem pod nosem, a już wynędzniali i milczący – wiodąca do otwartych drzwi wieży.

Merik zaklął.

– Zdołamy wpełznąć się na przód kolejki, majtku?

Cam posłała mu spod kaptura cwane spojrzenie.

– Znajdziemy inne wejście, sir. Za mną.

Dziewczyna jak gdyby nigdy nic minęła całą kolumnę ludzi w drodze na tyły wieży i przeszła przez zardzewiałą furtkę. Tutaj cylindryczny gmach wspierał się o wzniesione z bliźniaczego granitu mury obronne.

Książę zrobił dwa kroki, a chropowate kamienie brukowe raptem zdematerializowały się pod jego stopami; aleja opadała stromo, jakby kiedyś były tu schody.

– Pan tu zaczeka. – Cam wskazała smugę cienia, gdzie nie sięgało zachodzące słońce. – Otworzę drzwi, a kiedy nikt nie będzie patrzył, wślizgnie się pan za mną.

Merik się zawahał. Nie chciał, żeby Cam wchodziła z nim do budynku. Potrzebował pomocy tylko do tego momentu, dalej miał zamiar iść sam. Ale dziewczyna już podeszła do drzwi i uniosła dłoń, by zapukać.

Wykonał więc jej polecenie i skrył się w cieniu, nawet jeśli z tyłu głowy usłyszał słowa Safi: „Mam wrażenie, że widzimy się po raz ostatni”.

Gdy tkwił w mroku, promienie słońca padały na wieżę pod odpowiednim kątem, by wydobyć z szarzyzny litery wyryte nad

tylnym wejściem. Najpierw napis TWIERDZA, a potem samo P, później odstęp, gdzie deszcz, czas i ptasie odchody zamazały napis, i na końcu YNA.

Oto odpowiedź na pytanie, które Merik zadawał sobie od dzieciństwa: dlaczego przytułek nazywano Twierdzą Pyna. Pod nazwą wyryto kolejny napis mniejszymi literami: CIEMNOŚĆ NIE ZAWSZE JEST WROGIEM, WEJŚCIE ZNAJDZIESZ POD SPODEM.

Więc o to chodziło Cam.

Dziewczyna zastukała do niskich drzwi, które otworzyły się prawie natychmiast. Buchnął z nich żar i para.

– Kto tam? Z przodu jest kolejka, ślepyś...? Toż to Cam! – krzyknęła kobieta po drugiej stronie, a potem wciągnęła majtkę do środka tak szybko, że poły luźnego płaszcza zatrzepotały za nią jak skrzydła ćmy.

– Varrmin! Chodź no tutaj! Nie uwierzysz, kogo też zesłały nam rybie wiedźmy!

– Nie uwierzę – odparł drugi głos.

– Camillę Leeri!

Drzwi zaczęły się zamykać. Merik nieomal potknął się o własne nogi, pędząc ku nim na złamanie karku. Przecisnął się w ostatnim momencie. Dopiero gdy znalazł się w środku i stanął w słabo oświetlonej izbie, która okazała się przepełnioną ludźmi kuchnią, dotarło do niego, że kobieta nazwała jego majtkę Camillą.

Dziewczyna nie nazywała się Cam – co właściwie nie powinno go dziwić, bo nigdy wcześniej nie słyszał tak dziwnego imienia – tylko Camilla. Imię tak nubreveńskie, jak mało które.

Cóż, kolejna odpowiedź na kolejne pytanie.

Poprawiwszy kaptur, przeciął pomieszczenie, ściągając na siebie niezyczelne łypnięcia służby, ale nic poza tym.

Minął czworo ludzi z tatuażami z placu Sprawiedliwości pod oczami, na widok których żar rozlał mu się po sercu, a oddech przyspieszył. Skrytobójca Garren naprawdę mógł zostać tu sprzedany. To było samo serce mrocznych sprawek jego siostry, czuł to w kościach.

Gdy pokonał kuchnię, ujrzał przed sobą wąskie przejście. Zwieszające się nisko ciemne belki stropowe przywiodły mu na myśl okrętowe korytarze, z tym że fale nie szumiały za burtą, ale w sercu.

Twierdza Pyna żyła, oddychała, niczym krew przepływała przez nią trzema wejściami ludzie. Jedna grupa przeszła do jasnego pomieszczenia kilka kroków dalej. Izba chorych – Merik rozpoznał to od razu po służbie w szatach uzdrowicieli. Kolejna gromada skręciła w lewo i skierowała kroki do ciemnego i cichego pomieszczenia. Po chwili następna grupka weszła do izby, skąd dobiegały śmiech i gwar.

Nie można było wyłuskać z tego hałasu zrozumiałych zdań czy słów – huczało tam jak na sztormowym morzu – chaos Twierdzy szczelnie wypełnił głowę Merika. Książę rozluźnił mięśnie, poczuł, jak nieco rozmywa się towarzyszący mu od dawna gniew, a w jego miejsce pojawia się coś innego. Coś starszego... i smutnego.

Królowa Jana przychodziła tutaj dwa razy w tygodniu, a Merik i Vivia posłusznie zjawiali się wraz z nią. Do momentu, ma się rozumieć, gdy ojciec się dowiedział, że magia Merika nie jest tak silna jak Vivii. Do chwili, gdy wysłał syna do swojej wygnanej na kraniec świata siostry, ciotki Evrane.

Merik otrząsnął się, zamrugał. Nie przyszedł tutaj dla siebie, tylko dla oszukanych i dla oszustów.

– Sir? – Na jego ramieniu spoczęła delikatna, drobna dłoń Cam, znajoma, z miejsca rozpoznana, dająca poczucie bezpieczeństwa jak kotwica w czasie sztormu.

– Nic mi nie jest – rzucił Merik, skubiąc palcami rękaw. – Szukam biura albo jakiegoś pomieszczenia pełniącego funkcję archiwum. Jest tu coś takiego?

– Tak. – Spróbowała się uśmiechnąć, ale przybrała tylko wąski i niewesoły grymas udający zadowolenie. Merik domyślał się, skąd się wziął. Camilla. Martwiła się, że usłyszał.

– Którędy, majtku? Nie mam czasu do stracenia – warknął, by ją uspokoić.

Jej uśmiech stał się szerszy. Wyraźnie poweselała.

– Tamtędy, przez główną izbę.

Złapała płaszcz Merika i pociągnęła go za sobą mocno, tak jak muły ciągnęły błotnistymi wodami kanału załadowane łodzie.

Z każdym kolejnym krokiem Merik coraz wyraźniej słyszał muzykę dobiegającą z głównego pomieszczenia wieży. Najpierw rytm odezwał się drganiem w podszwach stóp, potem wibracja rozprzestrzeniła się na brzuch i pierś, a gdy przeszedł przez drzwi, pieśń i chór głosów napały na niego z całą mocą.

Znaleźli się w wielkiej, słabo oświetlonej sali, która wrzała smrodem spoconych ciał i przyprawioną rozmarynem baraniną.

Merikowi aż poleciała ślinka. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał w ustach ciepły posiłek. Bez dwóch zdań jeszcze na Janie. Gdy tylko umysł powiadomił o zapachu jedzenia obkurczony żołądek, ten z miejsca zaburczał, domagając się strawy.

Cam wskazała palcem spiralne schody w najdalszym kącie izby.

– Kiedyś był tam schowek, sir, ale teraz to biuro.

Doskonale.

– Skombinuj nam jakieś jedzenie – zaordynował. – Zaraz wracam.

– Idę z panem – zaproponowała i ruszyła w ślad za nim, ale on natychmiast przyszpilił ją swoim najchłodniejszym, najgroźniejszym spojrzeniem.

– Nie, majtku, nigdzie ze mną nie idziesz. Dalej pójdę sam.

– I za każdym razem sam wpada pan w tarapaty...

– Zostajesz. Tutaj – wyrzekł nieznoszącym sprzeciwu głosem i dał nura w rozochoczone tłum, zanim zdążyła się otrząsnąć.

Oddalił się od cizby i wszedł na schody, przeskakując dwa stopnie naraz. Tam przystanął i obejrzał się, czy dziewczyna nie postanowiła za nim podążyć, ale szybko dostrzegł, jak zajmuje miejsce w kolejce po obiad. Wzrok wciąż miała wlepiony w Merika i manipulowała nerwowo przy kapturze.

Książę zaczerpnął płytko tchu i zacisnął pięści. Przywołał swoją moc, tak jak nauczył go Kullen ponad dziesięć lat temu, gdy jako chłopcy bawili się na plaży i próbowali zrozumieć naturę swojej magii.

Wypuścił powietrze, wysyłając w górę schodów gorącą nitkę wiatru podobną do łądyżki dymu, która powstaje po zgaszeniu świecy. Wiązka przecisnęła się pod drzwiami do pomieszczenia.

Dobra nasza. Pokój jest pusty.

Łypnąwszy raz jeszcze na Cam, otulił się płaszczem i ruszył naprzód.

\*\*\*

Biuro pełniło również funkcję sypialni. Ciasny stryszek przemieniono w jeszcze ciaśniejsze mieszkanie.

Pytanie – kiedy to się stało. Po śmierci Jany władzę nad Twierdzą objął Serafin, który z kolei powierzył pieczę nad tym miejscem swoim sługom. O tym, że trafiło w ręce Vivii, Merik się dowiedział, dopiero gdy wrócił do Lovats trzy lata temu. To pomieszczenie ewidentnie należało do jego siostry.

Pod otwartym oknem stała zapadnięta kanapa z narzutą o nadzartych przez mole rogach, na której wyszyto lisi herb Niharów. W rogu okna wisiała zwinięta zasłona z tym samym wzorem, co oznaczało, że przybite niedbale okiennice nie radzą sobie z przeciągami.

Merik nie mógł oderwać wzroku od zasłon, które zbudziły wspomnienie innego okna, innego mieszkania, podobnego do tego, ale wciśniętego w zapomniane skrzydło pałacu. Vivia znalazła je i udekorowała. Przez jakiś czas chętnie dzieliła je z bratem. Mówiła o nim „moja lisia nora”. Merik bawił się tam cynowymi żołnierzkami, a jego siostra czytała książkę za książką.

Mniej więcej w tym okresie umarła ich matka, a po spaleniu żałobnych wieńców, zrzuceniu ich z Wodnych Mostów i powrocie do pałacu Vivia zatrzasnęła się sama w swojej norze.

Już nigdy nie wpuściła do niej Merika.

Czarodziej pochwycił spojrzeniem ćmę, która wleciała do pomieszczenia niesiona wilgotną bryzą. Owad, trzepocząc nieskoordynowanie skrzydłami, pofrunął do najjaśniejszego rogu stryszku, gdzie grube dechy służyły jednocześnie za belki stropowe i półki.

Merik podszedł tam ostrożnie, pilnując, by zanadto się nie spieszyć, i przyjrzał się grzbietowi każdej z ksiąg z osobna.

„Poruszaj się z wiatrem – uczył go lata temu mistrz łowiecki Yoris. – Poruszaj się ze strumieniem. Jeśli zrobisz to zbyt szybko, zwierzyna cię wyczuje, a wtedy już jej nie złapiesz”.

Yoris szkolił mężczyzn z rodu Niharów w walce. Merik, wraz z Kullenem, spędził niezliczone godziny, powtarzając każdy ruch starego myśliwego. Tak jak robił to teraz, poruszając się niespiesznie i z rozwagą, opierając się pokusie, aż wreszcie znalazł na najwyższej półce tytuł, który wzbudził jego zainteresowanie. *Kupno, plac Sprawiedliwości, rok 19*. Na twarzy Merika zawitał uśmiech, który poszerzył się jeszcze bardziej, kiedy znalazł w księdze imię Garrena.

Kupiony, r19d173, plac Spraw. Sprzedany: Serritowi Lindayowi do pracy na roli za jedzenie.

– Sprzedany. – Bezgłośnie poruszył ustami. – Serritowi Lindayowi?

Zamrugał pospiesznie. Przeczytał raz jeszcze. Kupcem okazał się Serrit Linday, a nie Vivia. Miał to przed sobą czarno na białym.

Tego się nie spodziewał. Choć po prawdzie nie spodziewał się też zapisu w stylu: sprzedany księżniczce Vivii Nihar w celu zabicia księcia Merika Nihara. Sądził jednak, że potwierdzi swoje graniczące z pewnością przypuszczenia, że Garren działał na rozkaz Vivii. Lecz w nakreślonym przez niego połączeniu znalazło się zupełnie nowe ogniwo. Merik zaklął szpetnie i zamknął księgę. Słowa Cam zadźwięczały mu w głowie: „A co, jeśli to nie siostra próbowała pana zabić?”.

To ona! To musiała być ona, bo tylko ona miała motyw. Nie wspominając już, że najmłodszy Linday – szlachetnie urodzony drań – był przyjacielem z dzieciństwa księżniczki. To może być jakieś dodatkowe ogniwo, ale nie ulegało wątpliwości, że łańcuch wciąż prowadził do Vivii.

Merik odłożył księgę na półkę w tym samym momencie, w którym ćma wpadła do ogniodziejskiej latarni, gdzie spłonęła w kilka sekund. Merik zapatrzył się w rozbłysk płomienia i loki dymu unoszące się ze spalonego owada. Ostry zapach spalenizny

wybudził go z odrętwienia. Omiótł wzrokiem biurko Vivii, a właściwie stół, mebel nie posiadał szuflad, w których mogłyby się ukrywać jakieś ważne wiadomości czy dokumenty. Obejrzał go ze wszystkich stron i nie znalazł żadnych kufrów ani podczepionych od spodu skrzynek zamkniętych na klucz. W końcu przejrzał zalegające na blacie papiery. Przewertował sześć stert dokumentów, nie znajdując niczego interesującego. Same spisy, kolumny, notatki skreślone pismem tak drobnym i foremnym, że wydawało się drukowane.

Spojrzał na następny plik dokumentów. Pierwszy z wierzchu arkusz pokryto obliczeniami – zestawieniem wydatków. Pismo było czytelne, ale tak pochylone, że prawie horyzontalne. I niemal w całości pokreślone. Liczba przychodzących (dziennie) ludzi, potem ilość przyjmowanego przez Twierdzę jedzenia (dzienna, pomniejszona o należność dla pałacu), niżej podsumowanie i łączna kwota.

Liczby się nie zgadzały. Jedne nie miały z drugimi nic wspólnego. Głodnych i bezdomnych było o wiele za dużo, by dało się ich zakwaterować i nakarmić za kwotę wypisaną na spodzie dokumentu. Każdego dnia zjawiało się tu szesnaścioro bezdomnych i czterdzieścioro czworo głodnych. Jeśli tyle osób przychodziło tu w poszukiwaniu kąta do spania, miski strawy i leczenia, to ilu potrzebujących znajdowało się w całym Lovats? Merik wiedział, że jego ojczyzna jest w ruinie – od dwudziestu lat, ale dopiero ostatnimi czasy nawet ta ruina zaczęła się walić. Niemniej takie liczby... oznaczały, że Nubrevna znalazła się w jeszcze bardziej opłakanym stanie, niż sądził.

Zebrał się w sobie i wziął się do ostatniego pliku papierów, który wieńczył pogięty arkusz. Mapa Cystern, olbrzymiej sieci kanałów pod miastem, którymi płynęła woda i ścieki. Merik nachylił się nad nią. Z rosnącą ekscytacją wpijał się wzrokiem w miejsce oznaczone krzyżykiem oraz zapisane w rogu godziny, z których jedną zakreślono kółkiem. Czyżby czas i miejsce jakiegoś spotkania?

Książkę złożył arkusz po liniach zagięć i już chował za pas, gdy przebiegł go lodowaty dreszcz. Lód, moc, a potem usłyszał głos:



– Odłóż to, proszę.

Och, na otchłanie Nodena, Merik znał go doskonale. Nakryła go Stacia Sotar.

Książę nieznacznie obrócił zasłoniętą kapturem głowę. Musiał tylko dostać się do otwartego okna. Jeden skok i będzie wolny.

Nie zdążył jednak zrealizować zamysłu. Raptem poczuł, jak po jego nogach płynie w górę woda. Strumień zakręcił, zwinął się i rozszerzył, a potem zamarzył, unieruchamiając go. Oczywiście, jak mógł, do cholery, zapomnieć, że Stix jest pełną wododziejką. To pozostawiło mu tylko jeden wybór: musiał się poddać ciemności.

Przeistoczyć się w Furię.

Buchnął wicher. Lód pokrył się siatką pęknięć, a Merik wyrwał z niego jedną nogę, gotów odlecieć. Wtedy zmarzlina natychmiast się roztopiła i ruszyła wyżej, parząc i paląc jego zrujnowaną twarz.

Nie zdołał powstrzymać wrzasku bólu, przesadził biurko i oddzielił się nim od Stix.

Lód rozbryzgnął się po pokoju, odłamki wbiły się w ściany i rozcięły kaptur Merika, który zsunął mu się z głowy, ale on mknął już w kierunku okna. Wtem poczuł, że Stix przywołuje więcej magii i że robi to z budzącą zgrozę łatwością. Tupnęła zamasyście nogą, a cała woda znajdująca się w pomieszczeniu zmieniła się w gęstą mgłę. Merik został na chwilę oślepiiony. Dmuchnął wichrem, otwierając dla siebie wolny od mgły korytarz biegnący do okna. Puścił się naprzód. Tak jak się spodziewał, na jego ścieżce wyrosła Stix. Okręcił się i za pomocą wiatru zatopił ją w jej własnej mgle, ale zanim zdołał przemknąć obok, jej ręka wystrzeliła z szarego obłoku i zacisnęła mu się na nadgarstku. Jego przedramię natychmiast obrosło lodem, solidnie szczepiając go z przeciwniczką. Skrzyżowali spojrzenia, Merik zajrzał w jej ciemne jak piekielne głębie Nodena oczy, był tak blisko, że zauważył rozszerzające się źrenice, które zaraz potem się skurczyły. Pierwsza oficer rozwarła usta.

Rozpoznała mnie. Nie licząc śmierci, to najgorsze zakończenie jego misji. Oznaczało, że wszystko, co zaplanował, nieuchronnie

spełźnie na niczym.

W mrok jego myśli wdarło się wypowiedziane na głos słowo, ale żadne z tych, których się spodziewał, nie „admirał”, nie „książę” i nie „Merik”.

– Furia... – wydyszała Stix, a mgła natychmiast zmieniła się w śnieg, który dryfował nieszkodliwie w powietrzu wokoło. – Ty... istniejesz.

Nowe zimno, ale niemające nic wspólnego z magią Stix, zmroziło jego serce. Był do tego stopnia zmasakrowany, że go nie rozpoznała. Próbował przekonywać sam siebie, że to z powodu krótkowzroczności poplecniczki Vivii, że i tak nie poznałaby go z odległości większej niż kilka cali... Ale znał prawdę. Jego widok napawał obrzydzeniem. Stał się Furia.

Niemniej ta chwila zawieszenia okazała się dla niego darem Nodena. A tylko głupiec nie przyjmuje jego darów.

– Jam jest Furia. – Gdy wypowiedział te słowa, gdy je usłyszał, fala gorąca przemknęła mu po grzbiecie. Rzucił się w otchłań gniewu.

Moc, moc, moc.

– Puść – rozkazał.

Stix usłuchała, lód się rozpuścił i kobieta zabrała pośpiesznie rękę, ale ostatnie kryształki rozciąły mu rękaw. I skórę.

Merik, nie namyślając się, dał susa do okna, minął rozklekotaną framugę i wiszące na włosku okiennice, po czym runął w dół, prosto na starożytny bruk wąskiej alei. Kilka stóp nad ziemią złapał go wicher i spowolnił upadek, by mógł obrócić się w powietrzu i wylądować na nogach. A gdy tylko jego buty zetknęły się z podłożem, puścił się biegiem. Obejrzał się dwa razy – raz, by poszukać wzrokiem Cam, ale nie dostrzegł jej nigdzie. I drugi raz – by się upewnić, że Stix go nie goni.

Lecz ona trwała w bezruchu. Patrzyła tylko na niego przez otwarte okno, otoczona aureolą światła świecy mieniającego się w wirującym śniegu.

## ROZDZIAŁ 13

Iseult i Aeduan spożywali posiłek w ciszy. Krwiodziej pracował metodycznie zuchwą, nie wydobywając z siebie ani jednego słowa. Nie odezwał się, odkąd opuścili najeżoną pułapkami polanę.

Iseult nie spodziewała się, że będzie podtrzymywał konwersację. Ale nigdy jeszcze z takim wytęsknieniem nie wyglądała nici. Świat bez ludzi wydawał jej się pusty, szary. Od dobrych kilku tygodni nie widziała nic poza ledwie widocznymi na horyzoncie splotami. A teraz, gdy wreszcie miała przed sobą człowieka, okazał się bezbarwny, pozbawiony nici. Zupełnie jałowy.

Mowa ciała, wyraz twarzy – to zagadki, których nigdy nie musiała rozwiązywać. Ale ponieważ nad krwiodziejem nie unosiły się żadne nici, z uwagą śledziła każdy ruch na jego twarzy, każde drgnięcie mięśni.

Nie żeby jego twarz emanowała emocjami. Jej matka często mawiała: „spokojna jak więziodziejka”. W mniemaniu Gretchyi miał to być komplement, bo rzeczywiście więziodziejkom nie wolno okazywać emocji, a jednak Iseult odbierała to jako zniewagę, ponieważ te słowa nigdy nie były skierowane do niej. Gretchya nagradzała nimi innych, lepszych w równowadze i spokojniejszych niż Iseult.

Im dłużej obserwowała Aeduana, tym wyraźniej odbierała emocję, która go spowiła.

Podejrzliwość.

Była widoczna w tym, że siedział sztywno, zachowując gotowość do walki nawet podczas posiłku. W jego oczach, które nie odrywały się od Iseult, gdy krzątała się po małym obozie.

Ocalił mi życie i nienawidzi mnie za to, myślała, gdy jadł.

Wieżiodziejka była przyzwyczajona do podejrzliwości. Do nienawiści także. Gdyby te emocje mogły zabijać, już dawno padłaby trupem.

– Chcesz jeszcze? – Wskazała ognisko i piekącą się na patyku ostatnią rybę.

Krwidziej odchrząknął.

– Gdzie moje sztylety, więziodziejko? – odparł, wciąż nie rezygnując z dalmockiego.

Iseult odpowiedziała od razu, pokaże mu, że też potrafi być uparta.

– Ukryte – Z determinacją pozostała przy nomatsańskim.

– A reszta talarów?

– Daleko stąd.

Krwidziej zacisnął pięści i zerwał się na nogi.

– Jeśli tylko zechcę, wyduszę ci odpowiedź z gardła.

Ale oboje wiedzieli, że nie może tego zrobić. Kiedy przyznał, że nie czuje jej zapachu i nie ma władzy nad jej krwią, przestała się go obawiać. Tylko skoro tak, to dlaczego z takim drżeniem stawiała mu czoła, zadzierając chwacko podbródek i prostując ramiona? Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem, jaki obmyśliła. Ale teraz... Nie mogła się uporać z tym ostatnim supłem.

– Zwrócę ci twoje talary – oznajmiła, wdzięczna losowi, że się nie zająknęła – jeśli tylko upolujesz dla mnie kogoś.

Spiął się jak sposobiący się do ataku wąż. Przez kilka oddechów wisieli w próżni. Z daleka dobiegł ich terkot gromu. W nawis uderzył wiatr, obsypując ich piaskiem. Aeduanowi nie drgnęła powieka.

– A więc – mruknął wreszcie – jestem ci potrzebny.

– Tak. Musisz znaleźć dla mnie Safiyę fon Hasstrel.

– Prawdodziejkę.

Iseult skrzywiła się na to słowo. Nieznacznie, minimalnie, ale wiedziała, że nie uszło to uwadze Aeduana.

– Prawdodziejkę – zgodziła się po pauzie, dziwiąc się sama sobie, że z takim trudem przyszło jej wymówienie tego słowa, choć przecież nie odważyła się użyć go od ponad sześciu lat ze strachu, że ktoś usłyszy. Że niechcący przysporzy Safi kłopotów lub nawet sprowadzi na nią śmierć.

– Marstokczycy gdzieś ją zabrali, a ja nie wiem dokąd. Ale ty, krwiodzieju, możesz się tego dowiedzieć.

– Dlaczego niby miałbym ci pomagać?

– Bo wtedy powiem ci, gdzie jest reszta twoich pieniędzy.

Zrobił dwa kroki wokół ogniska. Nie mrugnął nawet, nie odwrócił wzroku.

– Zapłacisz mi moimi własnymi talarami?

Aha, czyli należą do niego. Iseult nie wiedziała, jak znalazły się w piwnicy Mathew, ale skoro miała w garści argument, skorzystała z niego i już. Skinęła w odpowiedzi, a Aeduan wydobył z siebie zabarwiony zdumieniem i niedowierzaniem śmiech.

– A co niby powstrzyma cię przed ulotnieniem się wraz z pieniędzmi? Kto mi zagwarantuje, że dotrzymasz umowy, kiedy już znajdę dla ciebie prawdziwą?

– A kto mi zagwarantuje – zripostowała – że jak już znajdziesz Safię fon Hasstrel, nie zatrzymasz jej dla siebie? Żeby ją komuś sprzedać, jak ostatnio?

Krwiodziej zawahał się, jakby pośpiesznie rozważał w myślach kierunki, w jakich może się potoczyć ta rozmowa, chcąc wybrać ten, który najbardziej mu się podoba. Albo gwarantuje największą korzyść.

Iseult obserwowała go spokojna jak więziodziejka.

– Czyli wszystko sprowadza się do tego – wyrzekł, podwijając rękawy – kto kogo zdradzi pierwszy.

– Czy to oznacza, że się zgadzasz?

Postąpił jeszcze krok naprzód, na tyle długi, by zamknąć odstęp między nimi. Iseult musiała zadrzeć głowę, by utrzymać kontakt wzrokowy.

– Nie jesteś moją panią, więziodziejko. Ani klientką. A już na pewno nie jesteś mi sprzymierzeńcem. Jakiś czas będziemy dzielić drogę. Nic więcej. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Skoro tak – podjął w dalszym ciągu, z uporem maniaka po dalmocku. – Zgadzam się.

Iseult zacisnęła pięści, by nie okazać, jak wielką ulgę odczuła na te słowa. Nadchodzę, Safi. Odwróciła się, czekając z zerwaniem kontaktu wzrokowego do ostatniej chwili. Następnie pomaszerowała do zacienionego kąta, gdzie po wapiennej skale pięły się tłuste grzyby. Kucnęła, sięgnęła i wyciągnęła pas ze sztyletami. Uważała, by nic nimi nie zarysować, ani nie otrzeć się o nic skórzanym pasem. Nawet idąc rozmiękną jeszcze po deszczu ziemią, trzymała pas naciągnięty i pilnowała, by nie dzwonić sprzączkami.

Podawała sztylety krwiodziejowi.

– Trzeba je naoliwić.

Brak reakcji. Po prostu przyjął i przełożył pas ukośnie przez pierś bez słowa, a potem podszedł do skraju nawisu. Skropił go drobniutki deszcz. Po raz pierwszy, odkąd obudził się w lesie, Iseult poczuła, że jej płuca rozprężyły się na tyle, by wypuścić nieco powietrza.

Pomoże jej.

Nie zabije jej.

– Jesteś gotowy do drogi? – spytała, zamykając w palcach kamień Więzi. Safi, wytrzymaj, już po ciebie idę. – Nie mamy czasu do stracenia.

– Nic nie zdziałyśmy w taką pogodę, a poza tym wkrótce zapadnie zmrok. – Poprawił pas przy ramieniu, ostrza zadzwoniły złowróźnie. – Ruszamy jutro o świcie.

Siadł ze skrzyżowanymi nogami tam, gdzie stał, i Iseult nie usłyszała już od niego tej nocy ani słowa więcej.

\*\*\*

Dowódca piekielnych bardów wrócił z wypadu do dżungli osobliwym, pozbawionym równowagi krokiem i natychmiast zaczął szukać czegoś w plecaku Zandera. Jeśli zauważył świdrującą go wzrokiem Safi, nie dał tego po sobie poznać.

Zapadała noc. Domna żywiła nadzieję, że rozbiją obóz, ale jak dotąd Pani Los ciężko ją doświadczała.

Dowódca wyjął suszone mięso, zdjął hełm i postawił go obok plecaka. Przez splecione korony drzew przedostała się smużka

światła i spadła mu na kark, gdzie zasychała krew. I gdzie mignął za kołnierzem biały bandaż.

Poszedł do lasu, by opatrzyć ranę. Dam sobie rękę uciąć, pomyślała Safi. Ledwie poruszał lewym ramieniem, które wydawało się nieco większe od prawego, jakby było grubo owinięte bandażem. Czyli dostał porządnie. Usta Safi drgnęły w lekkim uśmiechu. Czyżby los wreszcie się do niej uśmiechnął? Musiała otworzyć mu jakąś starszą ranę, a to oznacza, że upuściła mu krwi. A to z kolei oznacza, że jest osłabiony.

Na jej twarzy wykwitł teraz wredny uśmieszek.

Tym razem bard go zauważył.

– Nie bądź taka hej do przodu, heretyczko. To ty tkwisz przywiązana do drzewa.

Już niedługo zamienimy się miejscami, ty kanalio, pomyślała, ale uśmiech spełził jej z ust. Lepiej nie zdradzać się z zamiarami i nie dzielić skóry na niedźwiedziu.

– Ja tylko podziwiałam widoki, bardziej. Kto by pomyślał, że taka ładna buźka kryje się pod tym hełmem?

Podjeździwość zaznaczyła się wyraźną linią na czole Cadena – bo teraz, bez hełmu, był znowu Cadenem. Rzeźbimieszkiem, przez którego jej życie zmieniło się w jedną wielką ucieczkę, a ona w zwierzynę na celowniku niezliczonych myśliwych.

Caden przykuśtykał bliżej, tak blisko, że sięgnęłaby go rękami, gdyby nie była związana. Wyciągnął w jej stronę plaster suszonego mięsa.

– Wieprzowinki?

– Poproszę. – Strzepnęła rzęsami. – I dziękuję.

Linia na jego czole się pogłębiła. Błyskawicznym ruchem oczu sprawdził węzły na jej nogach i rękach. Wciąż związana, upewnił się.

– Można wiedzieć, heretyczko, co wprawia cię w taki szampański nastrój? I skąd nagle te nieskazitelne maniery arystokratki?

– Jestem domną czy nie? Mogę opromienić uśmiechem nawet najszpetniejszą ropuchę i skomplementować gustownie rozmieszczone kurzajki.

Prychnięcie, ledwie oddech, niezupełnie śmiech. Caden podsunął jej mięso, ale nie na tyle, by nie musiała wyciągać szyi, żeby wziąć kęs. A właściwie oderwać kawałek jak zwierzę. Chciał ją w ten sposób poniżyć? Skruszyć jej pewność siebie?

Po moim trupie, pomyślała, szczerząc się jeszcze promiennie i nie przestając żuć. Gryzła długo, nim słona masa przeszła jej przez gardło.

– Suche to – wykrztusiła. – Mogę dostać wody?

Caden zawahał się, mrużąc na nią z ukosa jedno oko. Safi pamiętała ten wyraz twarzy z tamtej nocy spędzonej na grze w taro. Oznaczał: myślę i chcę, byś miała tego świadomość. A potem po prostu wzruszył ramionami, jakby nie istniał żaden powód, dla którego miałby odmówić, odwiązał od pasa bukłak z wodą i przystawił jej do ust, a ona pociągnęła kilka sporych łyków. Pozwolił jej wypić do dna.

– Dziękuję – powiedziała, oblizawszy usta. Mówiła szczerze.

Kiwnął głową i przywiązał bukłak z powrotem. Zauważyła, że palce lewej ręki ma sztywne.

– Boli? – zaświergotała.

– Piekielni bardowie nie czują bólu – odburknął.

– Ach. – Safi nabrała tchu. – To pewnie ułatwia zabijanie bogom ducha winnych czarodziejek.

– Nigdy nie zabiłem niewinnej czarodziejki. – Nie podniósł głowy, wciąż mozoląc się z rzemieniem. – Ale zabiłem kilku heretyków.

– Ilu?

– Czterech. Nie chcieli się poddać.

Safi mrugnęła. Nie spodziewała się, że odpowie, a choć nie mogła odczytać go za pomocą magii, odniosła wrażenie, że mówił prawdę. Zabił czterech heretyków. W walce na śmierć i życie.

– A ilu było heretyków na tamtym marstockim okręcie, który wysadziłeś w powietrze? Dołączasz ich do swojej listy morderstw?

– Jakim znowu okręcie? – Ponownie wystąpiła mu na czoło zmarszczka. Tym razem podniósł wzrok.

– Tym, który spaliliście. Tym, którym płynęłam z cesarzową.



– To nie my. – Wskazał zdrowym ramieniem Lev i Zandera. – Śledzimy was od Lejny.

– Łżesz.

Kolejne prychnięcie, które tym razem miało chyba oznaczać rozbawienie, bo zostawiło po sobie cwany półuśmieszek.

– Dobrze wiedzieć, że twoja magia wciąż na mnie nie działa, heretyczko.

Uśmiech zniknął z jej warg. Musi zmienić taktykę. Miał rację, nie odczyta go swoim darem. Choć ten jeden raz zdecydowała się na szczerość. Pożegnała się z uśmieszkiem i zamiast tego zmarszczyła brwi.

– Ale dlaczego? Dlaczego nie działa?

– Bo na bardów nie działa i już.

– Wiem – przyznała. – Ale dlaczego?

Podrapał się w naznaczony blizną podbródek.

– Czyli twój wuj ci nie powiedział. – Cofnął się o krok i przeniósł ciężar ciała na lewą nogę. – Magia, czarodziejstwo, moc. To wszystko dotyczy żyjących, heretyczko. Nie nas. – Caden poklepał się w pierś, szczęknęły metalowe płyty brygantyny. – My, piekielni bardowie, już jesteśmy przekłęci. Jesteśmy martwi.

\*\*\*

Grot w kieszeni Aeduana piekł, jakby dopiero co wyjął go z ogniska, gdy przeczesywał wzrokiem skąpane w cieniu sosny i dęby. Kto kogo zdradzi pierwszy? Minęła godzina, odkąd dobił z więziodziejką targu, a wciąż zadawał sobie to pytanie.

Deszcz w końcu ustał. Nie zelżał i nie rozplynał się z ulewy w mżawkę, jak deszcze na klasztornych ziemiach, ale po prostu uciał się w którymś momencie. Taka już była pogoda na południu: czarna lub biała, pozbawiona szarości, czyhająca na wędrowca niczym polujące zwierzę gotowe bez ostrzeżenia zaskoczyć go ulewą lub skwarem.

Gdy tylko przestało padać, wylęgły się ze swoich kryjówek nocne owady. Zaklikały cykady, rozdygotanym lotem przecinały powietrze ćmy wylapywane przez zbudzone ze snu nietoperze. Wkrótce chmury ustąpiły miejsca rozgwieżdżonemu niebu. Aeduan patrzył, jak w czarny atlas nocy dźwiga się Śpiący

Olbrzym – jasna kolumna gwiazd wskazująca północ. Oglądał ją sam, więziodziejka dawno już spała. Umościła się w najsuchszym miejscu pod nawisem, gdy skończyli rozmawiać.

Aeduan zdumiał się, widząc, jak szybko zapadła w sen, zważywszy na to, że ułożyła się bokiem, w pozycji wyglądającej na dość niewygodną. Nie robiła wrażenia osoby nieustraszonej, a jednak o tej jej cesze świadczył fakt, że tak niefrasobliwie opuściła gardę w obecności krwiodzieja i po prostu chrapała w najlepsze.

Może to nie odwaga, lecz zwykła głupota? Na to wskazywałaby sztuczka ze sztyletami. Ale czy faktycznie, skoro dopięła swego i wciągnęła Aeduana w ten szalony układ?

Kto pierwszy dopuści się zdrady? Wiedział tylko tyle, że wszystko jest ze sobą połączone. Grot. Kapłan Purytanów Corlant. Skradzione talary Aeduana. Wszystko to łączy się w jakąś całość, nawet jeśli Aeduan jeszcze jej nie widzi.

Schował grot do kieszeni i ruszył między drzewami w kierunku strumienia, bezszelestnie i pewnie. Bezsprzecznie musiał się umyć.

Znalazł miejsce przy brzegu, gdzie sklepienie lasu rozstępowało się przed światłem gwiazd, zapewniając niezłą widoczność w kompletnej ciemności kniei. Słyszał w nocnej ciszy szum wody. Zdjął pas, potem koszulę. Od momentu wykaraskania się z sideł nie miał nawet czasu, by przyjrzeć się swoim ranom. Otworzyły się, oczywiście. Ale gdy ostrożnie zbadał je palcami, napotkał tylko zaschniętą krew. Westchnął poirytowany. Koszula i bryczesy nadawały się do wyrzucenia. Lasu to może nie obejdzie, ale ludzi owszem. Węziodziejkę też.

Nieważne. Krew była częścią Aeduana, strupy i krwawe plamy nigdy go jeszcze nie spowolniły. Daleko zaszedł. I właśnie dlatego nie wolno mu zwolnić.

A jednak z jakiegoś powodu zanurzał koszulę w lodowatym strumieniu, tarł plamą o plamę, próbując je sprać. Posoka wniknęła głęboko we włókna, już jej stamtąd nie wydobędzie. Tak jak w niego wniknęły rany.

„Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

Gdy podrapał się po piersi, dygocząc z zimna, uchwycił wzrokiem jakiś ruch na przeciwległym brzegu. Początkowo sądził, że mu się przywidziało. Przypomniała mu się stara piosenka. Którą śpiewał ojciec, zanim... zanim wszystko się zmieniło.

Nie ufaj niczemu, co wypatrzysz w mroku,  
Bo Oszust się kryje w ciemnościach po zmroku,  
Na najwyższym drzewie, pod ziemią głęboko,  
Tam Oszust ma i zwodzi ludzkie oko.

Aeduan pokręcił głową. Już prawie nie pamiętał tej piosenki. Znowu pokręcił głową, tym razem żeby odpędzić zwidy. Ale ruch w zaroślach wciąż się powtarzał. Przyćmiony blask kilku unoszących się między drzewami punktów. Im dłużej się wpatrywał w owe dziwne zjawisko, tym skupiska stawały się wyraźniejsze. Bardziej materialne i odrębne, jakby zza czarnej kurtyny lasu wyzierało usiane gwiazdami niebo.

– Świetliki – powiedział głos za jego plecami. Sekundę później Aeduan przypierał jego właścicielkę do pnia dębu.

Stali cał od siebie, patrząc sobie w oczy. Więziodziejka z plecami przy drzewie i dłońmi na piersi Aeduana. Aeduan z przedramieniem przy jej gardle, ociekający wodą.

Dwa ciężkie oddechy i ją puścił.

– Zgłupiałaś, dziewczyno? – warknął, cofając się do strumienia. Nie był zupełnie pewien, czy mówi do niej, czy do siebie. Wiedział tylko tyle, że serce rwie mu się z piersi. Że krew i magia szumią mu w uszach. Nie wyczuł jej. Nie mógł jej wyczuć. A więc jego ciało samo zareagowało na zagrożenie. Będzie musiał się w tym podszkolić. Nauczyć z tym normalnie funkcjonować. Przynajmniej tak długo, jak długo będzie w jej towarzystwie. – Prawie cię zabiłem.

– Nomatsański – powiedziała, a on obrzucił ją spojrzeniem.

– Co? – syknął.

Odeszła od drzewa i wstąpiła w kałużę gwiazdnego światła, gdzie jej twarz rozbłysła jaśniej niż migoczące w mroku owady na drugim brzegu strumienia. Upiorna biała jasność. Piękna i świetlista.

Ledwie pół oddechu, na tyle rozbłysła w jego oczach. Wrażenie minęło niemal natychmiast i znowu stała się dziewczyną o zwykłej, dziewczęcej twarzy. Nie ufaj niczemu, co wypatrzysz w mroku.

– Mówisz do mnie po nomatsańsku – wyjaśniła, strzepując wodę z piersi i ramion. – A te światełka to świetliki. W Marstoku uważają, że przynoszą szczęście. Dzieci wypowiadają życzenia na ich widok.

Aeduan odetchnął, długo i sykliwie. Nie zachowywała się, jakby przed chwilą o mało jej nie unicestwił. Jakby miało jakieś znaczenie, o czym marzą dzieci i w jakim języku do niej przemawiam, pomyślał.

– Zabiję cię – ostrzegł ją, przechodząc na dalmocki – jeśli nie będziesz ostrożniejsza. Czy mnie rozumiesz, więziodziejko?

– Daj mi jedną ze swoich monet. – Uniosła głowę, a światło gwiazd podkreśliło miejsce, w którym obła krzywizna jej zuchwy łączyła się z łabędzią smukłością szyi.

A do Aeduana dotarło, że jest nagi do pasa. Dziewczyna widziała blizny i pokrytą gęsią skórką pierś. Nie mógł nigdzie dojrzeć swojej koszuli, zdecydował się jednak nie odwracać plecami do więziodziejki.

– Pieniądze są splamione krwią, czyż nie? – kontynuowała. – Tak mnie znalazłeś. Daj mi więc monetę, a zawsze będziesz w stanie mnie wyczuć.

Niegłupie. Proste rozwiązanie problemu, który wolał przed nią zataić. A jednak domyśliła się, że jego dar jej nie obejmuje i nic już nie mógł na to poradzić.

Skinął głową.

– Jak wrócę – obiecał, tłumiąc ochotę, by wskoczyć do rzeki i popłynąć z prądem za swoją koszulą. – Dam ci monetę, jak wrócę do obozu.

Odpowiedziała skinieniem i zawróciła. Las otulił ją ciemnością, a świetliki usłwały przed nią drogę.

Po jej odejściu Aeduan natychmiast wbiegł do wody i zaczął płynąć w dół strumienia, modląc się, by jego jedyna koszula nie odpłynęła tak daleko, by nie mógł jej znaleźć.

## ROZDZIAŁ 14

Mgła okryła bladym całunem pogrążone w mroku ulice Lovats, podczas gdy Merik obserwował posiadłość rodu Lindayów. Jak wszystkie wizerskie siedziby w mieście ich domostwo znajdowało się przy okolonej dwoma szeregami dębów ulicy Białej, która wspinała się po zboczu Królewskiego Wzgórza.

Okien nie rozświetlał blask świateł, budynek spowijały cienie. A skoro tak, to gdzie mógłby o tej porze znaleźć zielodzieja? W łóżku albo w ogrodach, oczywiście.

Trzy minuty później Merik skradał się wzdłuż ściany wielkiej szklarni Lindayów, niemal niewidocznej spod otulającej budynek z żelaza i szkła grubej pierzyny mgły. Minęło trzynaście lat, odkąd ostatni raz przemierzał dżungle tej olbrzymiej cieplarni. Był wtedy zaledwie siedmioletnim smarkaczem. Rzecz jasna, wówczas robił to za dnia. I na zaproszenie gospodarzy.

Żaden z niezdarnych strażników nie zauważył przemykającego wśród cieni czarodzieja. Dwa razy niemal na nich wpadł i dwa razy osłonił się przed ich oczami nieprzeniknioną ścianą mgły. Okręcił się, żeby zbadać teren, minąwszy krzaczastą kępę jagodowców o pięknie rozwiniętych żółtych kwiatach, po czym dał nura za drzewo wiśni.

Karygodne marnotrawstwo przestrzeni, rzuciło mu się na myśl, gdy omiótł wzrokiem szklany gmach. I jeszcze bardziej karygodne marnotrawstwo magii. Rodzina Lindayów mogłaby wykorzystać te zasoby, by nakarmić głodujących, którzy wisieli za dnia na ich bramie, błagając o żywność, a zamiast tego sadzili ozdobne, nikomu nieprzynoszące żadnego pożytku kwiaty. Zastanawiał się, czy nie uwzględnić tej kwestii przy rozmowie z wizerem.

Ruszył chyłkiem naprzód, myśląc o Lindayu, o prawdzie i asasynie Garrenie.

Moc, moc, moc. Energia krążyła po jego ciele, zapraszając go, by jej zaczerpnął, by zaprzęgnął ją do działania, co byłoby bardzo przyjemne i dziecinnie proste, nawet jeśli czuł się wykończony.

Odkąd w murach Twierdzy przybrał imię Furii, wichry tylko czekały na wezwanie, a jego temperament nie rwał się już z cugli, które mu niegdyś nałożył. Dawno nie był tak opanowany.

I dobrze. Spokojne morze pozwalało okrętom zawijać do portów, a marynarzom wracać do rodzin.

Ale też usypiało czujność, co mogło się źle skończyć, gdyby natknął się na któryś z rozciągniętych w ogrodzie przewodów, które miały za zadanie informować strażników o nieproszonych gościach. Jak na przykład ten, w który właśnie wszedł. Poczł mknącą dokądś wibrację, głośną w niezmaconej ciszy szklarni jak pęknięcie struny.

– Och, na wody piekielne... – zaklął.

Wyrzucił w górę ręce, wypuszczając wichry, ładunek energii, którym, miał nadzieję, uda się złagodzić drganie metalowego drutu. Wbił wzrok w poruszający się coraz wolniej przewód. Cały świat zawęził się w jego głowie do tego przekłętego żelastwa i serca szamoczącego się w jego piersi tak głośno, że, zdawałoby się, zaraz obudzi cały dom.

Ale alarm nie zadzwonił. Nie otworzył się pod jego nogami wilczy dół. Nie pomknęła w jego stronę zatruta strzałka. Merik przesunął wzrokiem po każdym liściu i płatkowi wokół niego, po każdym kawałku kory i grudce ziemi. Przewód wędrował gdzieś w mrok, z którego wybijały się pod dach żelazne filary utrzymujące ściany szklarni i dach, a potem biegnące dalej w górę, gdzie Merik wypatrzył w cieniu mosiężny dzwonek.

Wypuścił wstrzymywane w płucach powietrze. Mało brakowało. Dzwonek może i nie był duży, ale narobiłby dość hałasu, by zwalić Merikowi na głowę cały regiment strażników, zwłaszcza w nocnej ciszy zakłócaniej jedynie przez plusk stojącej w środku budynku fontanny.

Merik nie zdziwiłby się, gdyby ktoś mu powiedział, że młody Serrit Linday to paranoik z hoplem na punkcie bezpieczeństwa, ale kiedy księżę przychodził tu jako chłopiec, wizer nie rozpinał

w ogrodzie drutów. Czyżby Linday coś ukrywał? Czyżby narobił sobie wrogów, przed którymi musiał się bronić? Może zamierzał się dzisiaj spotkać z kimś, komu albo nie ufał, albo kogo chciał zdradzić? Gdyby Merik miał więcej czasu, wdrapałby się na wiśnię i po prostu zaczekał, aż ktoś wpadnie w pułapkę. Informacja o tym, kogo obawia się Linday, mogła mu się przydać.

Niestety nie miał ani czasu, ani cierpliwości. Do tego porzucił biedną Cam w Twierdzy Pyna. Pewnie wciąż tam siedzi i zamartwia się o swojego kapitana.

Upewniwszy się, że kaptur trzyma się na miejscu, ruszył naprzód. Znalazł jeszcze dwa przewody alarmowe i obszedł je ostrożnie. Posuwał się wolniej, niżby sobie życzył. Przedzierał się przez krzewy i potykał o wystające korzenie, cały czas uciszając swoimi wichrami dżunglę i rozpięte zdradziecko w chaszczach druty.

Dotarł wreszcie do serca szklarni, a wysypane żwirem ścieżki ogrodu ustąpiły przed wapiennymi kafelkami ułożonymi w skomplikowany wzór przenikających się słonecznych rozbłysków – herb rodu Lindayów. W środku stała fontanna, której płytki również układały się w ten deseń.

Przy otaczającym ją murku Serrit Linday okładał bez litości wspaniałe białe lilie porastające obrzeże fontanny. Jego burzliwe roztrzęsienie kontrastowało z miękka sennością ogrodu. Dochodzące z ulicy przymglone światło latarni wydawało się zbyt jasne i zbyt czyste w porównaniu z kruczoczną, staroświecką szatą Lindaya.

To nie był ten sam arogancki wizer, którego Merik pamiętał z dzieciństwa. Mężczyzna wydawał się przerażony, a przerażonych ludzi łatwiej przejrzeć.

W to mi graj.

Czarodziej wychynął z cienia spowijającego obrzeże placu. Stał za plecami Lindaya, który był tak skupiony na masakrowaniu kwiatów, że go nie zauważył ani nie usłyszał. Merik zsunął kaptur.

– Witaj, wizerze – powiedział.



Mężczyzna gwałtownie opróżnił płuca i zwiotczał jak marionetka, której podcięto sznurki. Zgarbił się i wsparł ręce na kolanach. Merik przez moment myślał, że mężczyzna zemdleje. Aż ten wyszeptał na granicy słyszalności:

– Nie mam tego.

Merik nie zrozumiał.

– Pomyliłeś mnie z kimś.

Wtedy arystokrata się wyprostował i spojrział na Merika przez ramię. Jego oczy napotkały spojrzenie księcia. Wizer zmierzył go wzrokiem, przesuwając oczami po bliznach i porwanych łachmanach. Przez krótką chwilę wiatrodziej nie wykluczał, że Linday go rozpozna.

Ale nie rozpoznał, a Merik prawie się uśmiechnął, widząc, jak na twarzy dostojnika ścierają się ulga, zmieszanie i przerażenie... i jak z tego starcia wychodzi zwycięsko ulga.

To nie była reakcja, jaką Merik miał nadzieję ujrzeć.

Zbliżył się do fontanny. Linday skulił się i cofnął, ale nie uciekł. Nawet wtedy, gdy księżę ucapił go za kołnierz i przyciągnął do siebie.

– Wiesz, kim jestem? – syknął. Z bliska twarz zielodzieja okazała się pajęczyną zmarszczek i bruzd. Wyglądał na dwukrotnie starszego, niż w rzeczywistości był.

– Nie – wycharczał wizer. – Nie znam cię.

– Zwą mnie Lewą Ręką Nodena. Zwą mnie Furią. – Moc, moc, moc. – Zadam ci kilka pytań, wizerze. Chcę, żebyś szybko na nie odpowiedział. Jeśli nie... – Przekręcił pięści, dusząc Lindaya kołnierzem.

Zielodziej zaszamotał się w jego uścisku. Tak lepiej, pomyślał wiatrodziej.

– Odpowiem – wydyszał Linday. – Odpowiem.

– Świetnie. – Księżę zmrużył oczy i poczuł, jak napina mu się skóra na spalonym czole. – Kupiłeś więźnia z Twierdzy Pyna. Ma na imię Garren. Chcę wiedzieć, co się z nim stało.

– Nie wiem. – Kołnierz zacisnął się na jego szyi.

– Nie waż się kłamać.

– Kiedy muszę... – wyskrzeczwał wizer. – Muszę... bo on mnie zabije.

Te słowa zbudziły w Meriku nowe pokłady gniewu. Przekręcił pięści jeszcze silniej.

– Z czyjej ręki wolisz umrzeć, wizerze? Jego czy mojej?

– Z żadnej. – Zakrztusił się. – Błagam... Człowiek z cienia idzie po mnie. Pomóż mi, błagam, zanim zmienią mnie w jedną ze swoich marionetek... Błagam! Powiem ci, co tylko zechcesz...

Zadzwonił dzwonek, wypełniając szklarnię mosiężnym odgłosem.

Wizer Linday oklapł, jakby jego kolana odmówiły posłuszeństwa. Gdy Merik wypuścił go z rąk, opadł na bruk.

Zadzwonił drugi dzwonek. Dreszcz przemknął Merikowi od karku do podstawy kręgosłupa. Okręcił się...

I zobaczył sunącą przez szklarnię ścianę nocy. Przypominała zbliżającą się ku niemu tafłę targanego falami czarnego jeziora, wypełniającego budynek po dach. Skłębiona wodnista mgła przesuwiała się bezgłośnie po liściach, przesączała przez trawę, pochłaniając wszystko na swej drodze i wypiętrzając się jak burzowa chmura, pełzła naprzód, rozpływała się po szybach i omywała podtrzymujące sklepienie żelazne ramy, czepiając się bruku cienistymi, półprzezroczystymi szponami, które odnajdywały drogę między kamieniami niczym wytyczający sobie koryto wzburzony strumień.

Instynkt kazał Merikowi uciekać, adrenalina wypełniła całe jego ciało potrzebą ratowania życia. A jednak coś nie pozwalało mu się ruszyć z miejsca – coś, co paliło żywym ogniem i nie dopuszczało możliwości sprzeciwu.

Wiatrodziej otworzył się na nadchodzącą wściekłość, jaka zbudziła się w jego sercu z przejmującym rykiem, jakby rzucała wyzwanie nadciągającej ciemności.

Przybył człowiek z cienia.

Nie istniały słowa, jakimi można by trafniej opisać istotę, która wyłoniła się z mroku i stanęła na bruku dziedzińca. Linday trafnie określił swego prześladowcę, ale nie dlatego, że mężczyzna

stanowił figurę ulepioną z ciemności, tylko dlatego, że okrył się cieniem niby płaszczem. Rzucił własne ciało na pożarcie nocy.

Człowiek, a może potwór, górował nad Merikiem, który nie był w stanie doszukać się ludzkiej twarzy w miejscu, gdzie powinna się znajdować. Skrawki skóry niepokryte cieniem – dłonie, szyja i oblicze – drgały jak płynąca w górę rzeki tysięczna ławica ryb.

Księcia ogarnęła panika; postąpił wbrew rozsądkowi i zamknął oczy, zasłonił twarz rękami. Cofnął się o dwa kroki, niemal potykając się o rozciągniętego na ziemi Lindaya.

Człowiek cień zaśmiał się na ten widok, wydając z siebie dźwięk tak niski, że Merik niemal go nie dosłyszał, poczuł za to wyraźnie drgania w płucach i żołądku. A potem znowu raczej poczuł, niż usłyszał słowa:

– Alarmy i strażnicy na nic ci się nie zdadzą, wizerze. Daj mi to, po co przyszedłem, albo wszyscy zginą. Twój słudzy. Przyjaciele. I ty sam.

Ciemność pękła pod wpływem jęku, który zmusił Merika do opuszczenia ramion, otworzenia oczu i spojrzenia na zbliżającą się ku niemu kreaturę, która tu i teraz wydawała się dysponować nieograniczoną potęgą.

Wiatrodziej musiał jej się przyjrzeć. Skłonił oporny umysł do myślenia, a mięśnie do ruchu, i wtedy uświadomił sobie, że rozbudza się jego własna moc. Z początku zaskakująco rozrzedzona i chłodna, przybierała w jego myślach formę oblepionego cieniem sopła. Czuł, jakby człowiek z cienia wyszał z otoczenia całe ciepło.

– Gdzie to jest, wizerze? – wysyczał potwór głosem przypominającym drapanie nagiej skały połamanymi paznokciami czy szelest łusek na rozpalonym piasku. – Zawarliśmy umowę.

– N-nie mogłem znaleźć. – Dzwonienie zębów Lindaya brzmiało głośniejsze od jego słów. – Sz-szukałem...

Przybysz roześmiał się ponownie i ukląkł przy wizerze, nie zwracając najmniejszej uwagi na Merika, który pojął, że nie uważa go za zagrożenie.

I tu się mylisz! – pomyślał z furją, zaczerpnąwszy więcej mocy. Cofnął się o pół kroku. Wiatr był wciąż zmrożony i rozmyty, ale

wiernie stawiał się na wezwanie. Zawirował wokół jego nóg, nabierając mocy, rozrastał się, gdy potwór sięgał do gardła Lindaya gestem, który mógłby ująć za miłosny i delikatny, gdyby ręka nie wyrastała z kotłującej się toni śmierci.

– Dałem ci ostatnią szansę, wizerze. Teraz będziemy musieli zdać się na plan awaryjny. To twoja wina, głupcze. Twoja wina.

Niespodziewanie z ziemi wystrzelił korzeń i wbił się prosto w serce czarnej postaci. Magia Lindaya.

Szklarnia zatrzęsała się w posadach od ryku na poły ludzkiego, na poły zwierzęcego, w jakimś sensie jednocześnie żywego i martwego. Ten dźwięk, w odróżnieniu od słów potwora, był prawdziwy, namacalny, jak mroźny wiatr, który rozłupywał czaszkę Merika i zdierał mu skórę z twarzy.

Księżę w ostatniej sekundzie zdążył jeszcze skrzyżować wzrok z Lindayem, a potem człowiek z cienia zacisnął pięść. I zmiażdżył Lindayowi szyję, jakby to był zgniły owoc. Z gardła wizera buchnęła ciemność, krew i cień trysnęły z jego ust, chlusnęły z oczu. Merik jakimś sposobem wiedział, rozumiał to jakimś ukrytym od pokoleń w pierwotnej części swojej osobowości zmysłem, że powinien czym prędzej uciekać. Wiedział, że nie ma szans w starciu z tym potworem.

Zebrawszy tę odrobinę energii, którą udało mu się przywołać, odskoczył do tyłu, a zimowy powiew zmroził go, ale i pozwolił ochłonać. Trzasnęły gałęzie, zaszeleściły liście, jeden po drugim odzywały się dzwonki. Człowiek z cienia parł naprzód, choć zranił go korzeń Lindaya. Merik miał więc niewielką przewagę, którą musiał wykorzystać.

Dopadł do drzwi. Nie do tych, którymi tu wszedł, ale prowadzących do wyjścia, i przedostał się na tyły zewnętrznego ogrodu. Nabrał w płuca nocnego powietrza, odetchnął, żeby otrzeźwieć, i dopiero na dworze przygarnął do siebie ogrom magicznej energii, gorącej i znajomej.

Wzleciał w powietrze, szybko i wysoko, niesiony wiatrodziejskim wichrem, ale gdy znalazł się na wystarczającym pułapie, gdy tylko opuścił gardę i zaryzykował rzut oka wstecz, dosięgła go ściana cienia.

Czerń wybuchła pod jego stopami i ogarnęła go mrocznym uwiędem, unieruchomiła i oślepiła niczym eksplozja na pokładzie Jany, tylko że zamiast rozbłysku poraziła go przeraźliwa ciemność. Zbyt wiele mocy, zbyt wiele gniewu i lodu – zdmuchnęły magiczny płomień Merika, zrzucając go w dół. Okręcał się w locie, dusiły go pęd wtłaczającego mu się do płuc powietrza i ohydny odór śmierci. Aż wreszcie wyrznął o coś z tak potworną siłą, że miał wrażenie, że wraz z kośćmi roztrzaskał się jego umysł.

Ale nawet wtedy nie przestawał spadać. Opadał wolniej, jakby tonął.

Woda, dotarło do niego, gdy ta zalała z bulgotem jego płuca. Raptem znalazł się zbyt głęboko, by rozumieć cokolwiek poza tym, że tonie, że pochłania go ciemność i wyczekują go już w podwodnym dworze Nodena.

## ROZDZIAŁ 15

Unikałaś mnie – przemówił głos ulepiony z odłamków szkła i koszmarów.

Iseult znów Śniła. Właściwie znajdowała się na granicy snu i jawy. W klaustrofobicznym miejscu, gdzie jej umysł oddzielał się od ciała. Gdzie nie mogła robić nic poza słuchaniem Lalkarki.

Miała na imię Esme. Iseult dowiedziała się o tym w ostatniej – i jedynej – od tamtej nocy przed atakami w Lejnie sennie inwazji. Esme znalazła w umyśle Iseult informacje o jej położeniu, a potem wykorzystała je, by rozszczepiać i zabijać.

A Iseult zupełnie nic nie mogła na to poradzić.

– Przyznaj się – powiedziała Esme – z rozmysłem unikasz snu?

Iseult nie próbowała się kłócić. To prawda, unikała Esme. Unikała jej za wszelką cenę, aż nie mogła dłużej wytrzymać i zasypiała na stojąco. Co oznaczało, że przez ostatnie dwa tygodnie prawie nie zmrużyła oka. Tylko w ten sposób mogła się bronić przed jej mackami. Tylko tak mogła dopilnować, by nocne napady Lalkarki się nie powtarzały.

Pozbawione marzeń sennych drzemki, umysł i ciało zbyt wycieńczone, by zapaść w normalny, regenerujący sen – właśnie tak więziodziejka uciekała przed Esme. Tym razem przeszkodził jej w tym pełny brzuch i poczucie bezpieczeństwa.

– Nie rób tego – zawołała Iseult zniekształconym przez sen głosem, odległym i niewyraźnym, który zdawał się odbijać echem w czaszce Lalkarki. Brzmiał potulnie i jęklonie. Nienawidziła tego, ale nie mogła nic na to poradzić, jak i powstrzymać Esme przed penetrowaniem jej umysłu. Lalkarka przegryzała się przez mózg Iseult jak szczur przez stertę odpadków. – Nie czytaj dziś moich myśli, Esme. Ani dziś, ani nigdy.

Lalkarka stężała na te słowa.

Mięśnie Iseult spowijało unieruchamiające gorąco, jakby zasypano ją rozżarzoną popiołem.

– Kiedy nie mogę przestać – broniła się splotodziejka. – Ja wcale nie próbuję czytać ci w myślach. One po prostu same wypływają na powierzchnię jak śnięte ryby. Owszem, widzę zimny strumień i rozszczepieńców na polanie. Widzę też, że ich porzuciłaś. Dlaczego, Iseult? Oni mieli ci pomóc.

– Esme, oni chcieli mnie zabić.

Lalkarka przeraziła się na te słowa, a potem to przerażenie zaplamiło magiczne więzy, którymi pętała więziodziejkę, i udzieliło się Iseult.

– Nie! – zaprzeczyła Lalkarka. – Nigdy bym cię nie skrzywdziła. Wysłałam ich za tobą, by ci pomogli.

Iseult się zdumiała.

– Ja... nie rozumiem – wyjąkała.

Nastąpiła chwila milczenia. Esme widocznie zastanawiała się nad odpowiedzią. A potem Iseult odczuła rozlewające się po ich więzi gorąco.

– Oni mieli dla ciebie podarunki. Jeden był łowcą, przydałoby ci się jego wyposażenie. Reszta to byli żołnierze, którzy mieli cię chronić – wyjaśniła w końcu Esme.

Iseult poczuła przez sen, jak coś podchodzi jej do gardła.

– S-skąd miałam... – urwała. Niech bogini ma ją w opiece... Znowu zaczęła się jąkać. Nie przypuszczała, że może się jąkać we śnie. – Skąd... mogłam... wiedzieć – wykrztusiła – że mieli pomóc? Zachowywali się tak, jakby chcieli mnie zabić.

– A zamiast tego ty pozabijałaś ich. – Od Lalkarki znów bryznęło płomieniem. – Wpuściłaś ich na nomatsańską ścieżkę i pozabijałaś, moich rozszczepionych.

Mdłości Iseult przybrały na sile. Nie zabiła tych ludzi... A może jednak?

– Byli rozszczepieni, ich dni były policzone.

– Nie – powiedziała Esme, a jej niezadowolenie przeszło w gorący gniew. – To ludzie, których rozszczepiłam dla ciebie, bo zamierzałaś sama przebyć Ziemię Niczyją. Nie przeżywa nikt,

kto poważa się na to samemu. Ale ty zawiodłaś moich rozszczepionych na ścieżkę, gdzie wszyscy poginęli.

Iseult czuła się, jakby płomienna ręka zaciskała się jej na płucach. Nie chciała, by Esme dowiedziała się o krwiodzieju. Nie chciała już z niczym się przed nią zdradzić. A więc uciekła się do podstępu i zaczęła prowadzić obliczenia w pamięci. Na powierzchni zajmowała się arytmetyką, ale pod spodem jej myśli toczyły się innym torem. Zaczęła od mnożenia, które zawsze lubiła. Dziewięć razy trzy równa się dwadzieścia siedem. Dziewięć razy osiem... siedemdziesiąt dwa.

Za wolno jej to szło. Esme widziała jak na dłoni wszystko, co więziodziejka próbowała przed nią zasłonić.

Bezwięziowiec. Jej zdumienie zmroziło myśli Iseult, było tak czyste i intensywne, że turkusowe nici nieomal zabarwiły otoczenie.

– Dlaczego jest z tobą krwiodziej? – zapytała roztrzęsiona. Jej panika odebrała więziodziejce dech w piersi. – Iseult, nie rozumiesz, on jest niebezpieczny!

– Wiem – wycisnęła z siebie Iseult. – Ale potrzebna mi jego magia. Musi odnaleźć moją więziosiostrę.

– Nie – zawołała Lalkarka. – Ja ci pomogę, ja ci pomogę! On nie jest związany przysięgą jak reszta z nas. Rozumiesz to, prawda? On nie ma nici!

– Ja... rozumiem. – Nie mogła odpowiedzieć nic innego, bo teraz jej własne zdumienie wstrząsnęło nią do głębi. – Ty też to widzisz?

– Oczywiście, że widzę! A to oznacza, że splotodziejki takie jak my nie mogą go kontrolować. On jest niebezpieczny, Iseult! Uciekaj jak najszybciej i jak najdalej! Obudź się, zanim zabije cię we śnie!

Ale Iseult, po raz pierwszy od dawna, wcale nie chciała się obudzić. Nie chciała zostać wyrzucona ze snienia.

– Co to znaczy, Esme? Powiedz mi. Proszę cię.

– Później, Iseult. Kiedy on już sobie pójdzie. Proszę, zaklinam cię, obudź się, **OBUDŹ SIĘ!**

Iseult otworzyła oczy.



\*\*\*

Safi nigdy nie była tak zmęczona. Kolano rwało w miejscu, gdzie kopnęła ją Lev, a jej niezaleczona jeszcze stopa bolała tak bardzo, że najchętniej by ją odrąbała.

Piekielni bardowie maszerowali przez całą noc, oświetlając drogę jedną latarnią. Zatrzymywali się tylko, gdy ktoś musiał przykucnąć w krzakach, a Lev cały czas celowała do Safi z kuszy.

Niebo zasnuło się gwiazdami. Podążali bez wytchnienia, torując sobie drogę przez zmieniający się krajobraz. Płatanina drzew rozplynęła się w parujących moczarach upstrzonych kępami drzew i przezroczystymi marmurowymi ruinami, które przecinały niebo. Ale choć na bagnach Safi miała nad głową otwartą przestrzeń, tęskniła za dżunglą. Ziemia pod jej stopami rozmiękła. Sięgające do pasa trawy cięły ją po nogach, niepewny torf co jakiś czas znikał jej spod nóg, a ona wpadała w dziurę.

Ale nie narzekała. Ani razu nie zdradziła się z irytacją czy zmęczeniem. Gdy któryś z bardów pytał ją, czy da radę, zawsze odpowiadała:

– Dam.

Choć wcale nie czuła się na siłach. Każdy krok na nowo rozbudzał ogień bólu w rannym kolanie. Pomimo bandaży liny ocierały i wżynały się w nadgarstki. Ale nie wypowiedziała słowa skargi. Nie da bardom satysfakcji, nie da im myśleć, że ją złamali.

Vanessa przyjęła tę samą taktykę. Nie odzywała się, nie reagowała w żaden sposób, choć męczyła się dodatkowo z antymagicznym kołnierzem na szyi, choć komary cięły ją częściej niż innych i choć każdy skrawek jej ciała pokrył się czerwonymi guzkami.

Gdy w końcu wstało słońce, znów skryli się w dżungli. Łzy szczęścia wezbrały Safi w oczach na ten widok. Kiedy na ich drodze pojawiły się pierwsze oznaki cywilizacji, miała wrażenie, że rozplacze się z radości.

Nie myślała już o ucieczce, myślała tylko o tym, żeby się zatrzymać.

Znaleźli się pośród skleconych gdzie popadnie chat, opodal nich niemrawo toczyła swe wody rzeka, nad którą przerzucono

prowizoryczny most. W oddali widziała sadybę godną miana miasta, otoczoną pasem ruin ze zbrązowiałego, potrzaskanego marmuru, skąd wzbijały się w poranne niebo dymy ognisk.

Safi pragnęła wejść do tego miasta. Bardowie również zamierzali się tam udać. Ale cesarzowa Marstoku – bynajmniej. Wryła obcas w ziemię.

– Nie możecie mnie tam zabrać – warknęła. Gdy Zander zaczął się z nią szarpać, przeskoczyła wzrokiem do dowódcy. – To jest terytorium Baedyedów, zginę, jeśli tam wejdę.

Dowódca uniósł rękę, każąc Zanderowi przestać. Bardowie stanęli na granicy dziczy i cywilizacji.

– Skąd wiesz, że akurat Baedyedów? – spytał dowódca umęczonym tonem, który przyciągnął wzrok Safi do jego ramienia. Jeśli cierpiał, nie sposób było się tego domyślić po niewzruszonej postawie.

Vanessa wskazała wzrokiem łopoczący ponad ruinami sztandar, złoty półksiężyc na zielonym tle, bardzo podobny do bandery marstockiej floty... A mimo to różniący się już na pierwszy rzut oka.

– Przypatrzcie się, półksiężyc oplata wąż – wyjaśniła Vanessa. – To bandera baedyedzkich piratów.

– No cóż – zastanowił się na głos dowódca – o ile wiem, to jedyna droga do Pirackiej Republiki Saldoniki, więc nią właśnie pójdziemy.

– Zabiją mnie, gdy tylko mnie rozpoznają. – Słowa i twarz Vanessy ociekały paniką i trwogą. Ale magiczny dar Safi miał swoje zdanie na ten temat. Prawdodziejska magia drgała, zasypując jej ubłocone ramiona gęsią skórką.

Cesarzowa kłamała jak najęta.

Safi natychmiast postawiła się w stan gotowości. Wycieńczenie, płonące bólem mięśnie, pragnienie – wszystko to zepchnęła na dalszy plan nagła fala ciekawości. Cesarzowa zwietrzyła jakąś szansę na ucieczkę, a Safi cofnęła się pamięcią do wykładów, które zносиła na okręcie. Było coś o Baedyedach? Chyba nie.

Niech to ścisną wrota piekielne. Mathew miał rację, Safi powinna była nauczyć się uważniej słuchać. Nabrała głęboko tchu i przybrała wyraz jeszcze bardziej dojmującego zmęczenia, zatoczyła się lekko na nogach. Nie wiedziała, w co gra Vanessa, ale miała zamiar się przyłączyć.

– A dlaczego Baedyedowie chcą twojej śmierci? – zaciekawiała się Lev.

– Ponieważ sto lat temu moi przodkowie walczyli z ich przodkami. Baedyedowie przegrali i zostali siłą wcieleni do Imperium Marstoku. Niektórzy rebelianci nigdy nie złożyli broni, zebrali bandę, którą znamy jako piratów z Piaskowego Morza Baedyed. Od tamtych dni utrzymuje się dla nich w mocy wyrok śmierci na wszystkich członkach mojej rodziny.

Przez kilka długich oddechów Caden wodził wzrokiem od Vanessy do mostu i pozostałych bardów. Po kilku rundkach westchnął.

– A niech to po trzykroć szlag – wymamrotał. – Jak ja nie znoszę polityki.

– To nie zmienia faktu – rzekła Vanessa, prostując się – że Baedyedowie chcą mojej śmierci.

Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo.

– Ani tego – odparł dowódca – że to jedyna droga. Krwawe Żagle są na północy, zabiją nas wszystkich, gdy tylko nas zobaczą. Albo zawloką nas na arenę, gdzie również zginiemy, tylko w o wiele boleśniejszy sposób.

– Jest inna droga, sir – cichy bas Zandera niemal zniknął w wiecznej pieśni dżungli. – Mają tu większy most. Więcej tam ludzi. Łatwiej dostać się do miasta niezauważonym.

– To za mało – upierała się Vanessa. Oddychała zrywami i posyłała bardom błagalne, przerażone spojrzenia, kłamiąc im w żywe oczy. – Więcej jestem dla was warta żywa niż martwa.

– Nie ty pierwsza to powiedziałaś. – Dowódca wyrzekł te słowa na umęczonym wydechu, a Safi wbrew sobie poczuła impuls współczucia dla Cadena, przez co nie uprzytomniła sobie, co właściwie oznaczają. Mówił o heretykach. Tych wszystkich ludziach, których zabił.

– Ale choć raz – wzięła się Lev – jest to prawda. Rzeczywiście więcej jest warta żywa.

– Dobrze już, dobrze. – Kolejne westchnienie. – Zander, pójdziemy twoją drogą, wejdziemy na pokład i popłyniemy stąd w cholerę. Lev, nałóż cesarzowej swój hełm. – Caden podszedł do Safi, zdejmując własny. – Ja oddam swój heretyczce – dodał, nasadzając go jej na głowę, zanim zdążyła się cofnąć. Gorąco, ciemność, na jej nozdrza naparł swąd metalu i potu. Nie opierała się jednak, nawet mimo tego, że pole widzenia zmniejszyło się jej o połowę, a odgłosy wokoło dźwięczały w uszach metalicznym echem. I mimo tempa, które natychmiast narzucił Caden.

Nic z tego nie miało bowiem znaczenia, jeśli Vanessa ma zwycięską kartę taro w swoim cesarskim rękawie. A kiedy już nią zagra, Safi będzie gotowa.

## ROZDZIAŁ 16

Do osób, które ośmieliły się budzić ją ze snu przed wschodem słońca, Vivia odnosiła się z najwyższą pogardą.

Zwłaszcza jeśli tym kimś był Serrit Linday.

Nastrój psuł jej dodatkowo potworny ból głowy i osobliwe uczucie pustki w klatce piersiowej, a marne trzy godziny niespokojnej drzemki nie pomogły rozproszyć ciemności, która ogarnęła ją pod koniec minionego dnia.

Najpierw księżniczka odkryła, że ktoś zdemolował jej biuro w Twierdzy Pyna. Nikt nie wiedział dlaczego i jak. Doniesiono jej, że zjawiała się tam Stix, ale zaraz potem gdzieś przepadła.

Vivia czekała więc na nią w biurze, najpierw próbując zaprowadzić tam porządek, a potem sprawdzając dokumenty. Gdy już się z tym uporała, na kilka godzin wlepiła wzrok w okno i po prostu czekała, ale jej pierwsza oficer się nie pojawiła. Vivia ruszyła więc do pałacu sama.

Każdy krok wydawał jej się trudniejszy od poprzedniego, podejrzewała bowiem, gdzie jest Stix. Z pewnością znalazła kogoś, kto chętnie ogrzeje jej łóżko. Znowu. I z pewnością była to osoba piękna, ujmująca i pogodna, a więc stanowiąca zupełne przeciwieństwo Vivii.

A teraz zmęczona i obolała księżniczka szła za Serritem Lindayem przez jego rodową szklarnię na czele pochodu dwunastu żołnierzy z Królewskich Sił Zbrojnych. Złowiła okiem rabatkę magnolii, pięknych... i kwitnących poza sezonem.

Potęga zielodzieja, pomyślała. Dlaczego Serrit musi być takim samolubem? Moglibyśmy sadzić tu warzywa i owoce, moglibyśmy wspomóc uprawy zielodziejską magią.

Bujna roślinność nie zdołała jednak ukryć śladów walki: stratowanych żywopłotów i zmiażdżonych na papkę grządek. Ogród wyglądał inaczej, niż kiedy Vivia odwiedziła go ostatnim razem. Wieki temu, zdawałoby się, choć minęło ledwie pięć lat.

Serrit wyznał jej wówczas miłość... Falszywą miłość. Kłamał. Obserwowała swojego ojca dostatecznie długo, by umieć rozpoznać karierowiczów, chcących uszczknąć co nieco ze stołu Niharów. W tamtej chwili jej przyjaźń z Lindayem się skończyła.

Odepchnęła to wspomnienie, prostując się i poprawiając mankiety munduru. Dwa kroki przed nią podązał wizer, powłócząc nogami na żwirowej ścieżce wiodącej do serca szklarni. Obejrzał się na nią przez ramię, walcząc z wysokim kołnierzem szaty.

– Jestem niewymownie wdzięczny za to, że zechciała Wasza Wysokość zająć się tą sprawą osobiście – powiedział szczególnie marudnym tonem wypranym z wdzięczności. – Pomyśleć, że sama księżniczka zaszczyliła nas swoją obecnością.

Księżniczka. Vivia złowiła uchem kąśliwy wydźwięk tego słowa. To sugestia, że daleko jej jeszcze do królowej, Linday i reszta Rady prędzej szeszna, niż pozwolą jej wstąpić na tron.

Pozwoliła frustracji uwidocznić się w mimice.

– Ależ oczywiście, mój panie. Zrobiłabym to samo dla każdego z moich wizerów.

– Doprawdy? – Brwi Lindaya powędrowały dziwacznie w górę, jakby mięśnie twarzy broniły się przed wykonaniem polecenia. A może tylko jej się zdawało. – Pomyślałem, że przysłaś tutaj w związku z... – obniżył głos – niekompetencją swoich ludzi. Czyż nie przez nich mężczyzna zwany Furią wciąż jeszcze jest na wolności?

Ach, zatem próbuje złowić mnie na przynętę, pomyślała. Podobnie jak żołnierzy za jej plecami, którzy niechybnie słyszeli jego słowa. Postanowiła je zignorować.

Chwilę później, okrążywszy krzew jagodowca o fioletowych kwiatach w pełnym rozkwicie, wkroczyli na centralny dziedziniec szklarni. Fontanna bez przekonania pluła wodą z przekrzywionego dzioba.

U jej podstawy leżał trup.

– Tam. Popatrz tylko. – Linday wskazał go teatralnym gestem, jakby Vivia sama nie dostrzegła zmasakrowanego ciała, a potem

zaintonował nienaturalnie piskliwym głosem: – Spójrz tylko, jak wielką krzywdę wyrządził mi Furia!

– Chyba twojemu strażnikowi – poprawiła Vivia. Uniosła rękę, a żołnierze uformowali idealny dwuszereg wzdłuż ścieżki. Wtedy podeszła do ciała.

Zwłoki ledwie przypominały człowieka. Po skórze pełzały cienie.

– Wizerze – odezwała się księżniczka, walcząc z gulą w gardle.  
– Opowiedz mi, co tu się wydarzyło.

Kłęknęła przy martwym mężczyźnie, którego ciało kreśliły ciemne linie, wiotkie jak sieć pająka i powiązane gdzieniegdzie w grube sploty. Kończyny nieszczęśnika zmieniły się w błyszczące, zwęglone kikuty. Czarne palce – których miał, jak zauważyła mimochodem, tylko dziewięć – czarna twarz i czarna, bezwłosa głowa.

Stojący za nią Linday opowiadał, przebierając palcami z ekscytacji, jak poznaczony bliznami mężczyzna dokonał ataku, podczas gdy on pracował w ogrodzie.

– Czasem, gdy nie mogę spać, tak to bywa, Wasza Wysokość rozumie, przychodzę do ogrodu i pielęgnuję nasze rośliny.

Vivia mruknęła coś w odpowiedzi, słuchając go w jeszcze mniejszym stopniu niż tyrad ojca. Po prostu się wyłączyła.

Zauważyła, że czarne bruzdy na ciele zmarłego są jakby żywe. Kiedy odwracała wzrok, zdawały się migrować po ciele, pulsować w taki sposób, że wydały się Vivii jednocześnie fascynujące i odrażające.

– Rozszczepiony – szepnęła, choć wiedziała, że to nie do końca prawda.

– Słucham? – Linday przyskoczył bliżej, chwiejąc się na chorej nodze i stawiając kołnierz, który przecież ograniczał mu widoczność i krępował ruchy.

– Czy napastnik... – zaczęła, prostując się.

– Furia – wszedł jej w słowo Linday.

– Czy cię skrzywdził? – dokończyła, wskazując prawą nogę, którą zielodziej oszczędzał, i puszczając wymówione przez niego

imię mimo uszu. Nazwanie przestępcy imieniem świętego przydałoby mu tylko doniosłości w oczach jej ludzi.

– Skrzywdził mnie, a jakże. – Linday odkasał rękaw, pokazując poczerwiałe cięcia po wewnętrznej stronie przedramienia. – W rękę i w nogę.

Vivia wybałuszyła oczy.

– Jak zadał te rany? Magią?

– Och, nie mam wątpliwości co do tego, że był czarodziejem, a dokładnie wiatrodziejem. Zwyródniałym i bardzo potężnym.

Vivia zmarszczyła brwi. Wiatrodziej – to zawęzało grono podejrzanych – miała przecież dostęp do rejestru magów.

– Czy miał czaroznamię? – spytała.

– Nie zauważyłem. Jeśli miał, to pewnie i tak przykryły je blizny. Blizny – podkreślił Linday – takie jak te. – Wskazał znacząco na trupa.

– To znaczy... Uważasz, że napastnik był rozszczepieńcem.

– Nie można tego wykluczyć.

Tylko że ten tutaj nie został rozszczepiony, pomyślała Vivia. Rozszczepienie tłumaczyłoby, dlaczego zwłoki tak wyglądają, ale nie wyjaśniało tego, jakim cudem ten cały Furia potrafił się porozumiewać. I utrzymać przy życiu znacznie dłużej od przeciętnego rozszczepionego. Gdy zachodziło zwyrodnienie, ofiara zwykle w przeciągu kilku minut była rozsadzana przez własny magiczny dar.

– Czy napastnik powiedział ci, czego tu szukał? – Vivia przybliżyła się do Lindaya i z miejsca tego pożałowała. Na głębie piekielne, czy on musi się tak pocić? – I czy zażądał czegoś?

– Właściwie to tak, zażądał – wypluł Linday. – Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość, gdyż nie spodoba ci się to, czego się domagał.

Nie mogę się doczekać, pomyślała.

– Furia kazał mi odszukać brakującą Prastudnię.

Serce Vivii na moment przestało tłoczyć krew.

– Brakującą Prastudnię? Nie wiedziałam, że jakaś zaginęła.

Linday wpatrywał się w Vivię przez kilka uderzeń serca, jakby jej nie dowierzał. A potem uśmiechnął się półgębkiem.



– A taką miałem nadzieję, że będziesz, księżniczko, wiedzieć, o co chodziło Furii. Dodał bowiem, że jeśli jej nie znajdę, pozbawi mnie życia.

– A dlaczego niby, zdaniem tego człowieka, miałbyś potrafić ją odnaleźć?

Linday wzruszył swoim krzywym ramieniem.

– Któż to może wiedzieć? Może źle usłyszałem? Był środek nocy.

Wciąż jest, ty głupcze, powiedziała w duszy, ale była wyraźnie zaintrygowana. Brakująca Prastudnia. Męczyzna imieniem Furia. Na poły rozszczepiony trup...

– Wizerze – zwróciła się do Lindaya zblazowanym tonem. – Czy mogłabym dostać coś do picia? Wyszłam na wiór, a chciałabym kontynuować oględziny zwłok.

Linday rozłożył ramiona.

– Ma się rozumieć, Wasza Wysokość.

Gdy przeciskał się między żołnierzami, nawołując służbę, by przyniosła księżniczce wody, Vivia na powrót całą uwagę poświęciła denatowi.

I spostrzegła ukryte w trawie, rozbiegające się na boki pająki różnych kształtów i rozmiarów, początkowo niewidoczne dla nieuwważnego obserwatora, ale Vivia miała oczy na miejscu. Dostrzegła wśród umykających nie tylko pająki, ale także mniejsze pajęczaki żerujące na roślinach oraz żuki. Minęły Vivie, jakby uciekały przed jakimś zagrożeniem czyhającym na nie w szklarni i zniknęły w gęstej roślinności.

Dokładnie tak jak owady w podziemiach.

Szepnęła do swoich ludzi, by nie ruszali się z miejsca, a sama poszła w górę kolumny insektów mrowiących się naokoło wiśniowego drzewa. Gdy tylko otarła się biodrem o jakąś gałąź, wzbijały się w powietrze nieprzeliczone eskadry ciem. Wreszcie dotarła do źródła uciekających owadów.

Zapadnia. Drewniana kwadratowa kłapa wprawiona w trawiaste podłoże za gęstą kępą paproci. Jedna z desek wyszczerbiła się w rogu, a z dziury wypęłzały mrówki i pająki kosarze.

Vivia zagryzła wargę, konstatując, że kłapa wygląda zupełnie jak ta w ogrodzie jej matki. Przekrzywiła głowę, czekając, aż Linday opuści szklarnię, po czym, odczekawszy trzy uderzenia serca, otworzyła wieko.

Zawiasy nie stawiały oporu. Dobrze naoliwione i często używane. Fala pajęczaków wylazła z ciemnej dziury, którą Vivia przesywała wzrokiem. W dół prowadziła drabinka linowa. Księżniczka nie miała przy sobie latarni, ale właściwie wcale jej nie potrzebowała. Zapach wilgotnego powietrza i energia gromadząca się na wysokości serca wypowiedziały jej, co znajduje się poniżej.

Podziemia. Podziemia umiejscowione głęboko pod Cysternami, nawołujące ją: „Chodź, mały płomyczku, chodź do nas”. Przenikające ją dreszczem.

Ta droga wiodła do podziemnego jeziora. Linday jakimś sposobem odkrył korytarze, które do niego wiodły. A jeśli on też wiedział o podziemnym jeziorze?

Brakująca Prastudnia..., zamyśliła się Vivia. Nie, to niemożliwe, żeby chodziło o jezioro... A co, jeśli tak? Prastudnie to źródła magii, Nubrevna miała już jedną na południu. Martwą, co prawda, ale jednak.

Gdyby nie było tu żołnierzy i Lindaya, Vivia natychmiast weszłaby do włazu. Musiała się dowiedzieć, dokąd prowadzi. Musiała się dowiedzieć, ile Linday wie o podziemiach i czy czegoś w związku z tą wiedzą nie knuje.

Ale żołnierze stali kilka kroków za nią, a wizer lada moment wróci ze szklanką wody, nie wspominając już o tym, że powiew wiatru przyniósł jej, poza wonią wiciokrzewu, odległe echo bijących na godzinę piątą dzwonów. O tej godzinie zwykle wstawała z łóżka.

O mało co nie tracąc kontenansu i ledwie znosząc myśl, że te sprawy będą musiały zaczekać, Vivia zwołała swoich ludzi i kazała im kierować się do wyjścia, a sama podążyła tropem mrówek, pajaków i stonóg. Oddaliła się od kłapy i od tego, co je przerażało w odmętach podziemnych korytarzy.

\*\*\*

Merik nie utonął.

Powinien, ale jakimś cudem mroźne fale wyrzuciły go na brzeg. Gdy się obudził, pojął, że leży na wznak na płyciźnie kanału ulicy Jastrzębiej. Ze snu wyrwał go głos Cam:

– Niech się pan obudzi – prosiła, szarpiąc go za poły marynarki. – Błagam pana...

– Już... – wyrzeźbił i otworzył szeroko drżące powieki. W jego polu widzenia znalazła się piegowata buzia Cam na tle brzasku.

– Nodenowi dzięki – wydyszała i wreszcie przestała nim trząść, jakby był smarkaczem przyłapanym na drobnej kradzieży. – To zakrawa na cud, że pan przeżył, sir. Pani Baile czuwa nad panem, jak pragnę zdrowia.

– Albo to – wyskrzecztał Merik, dopiero teraz czując przeraźliwą suchość w gardle – albo rybnie więdźmy nie mają na mnie apetytu.

Cam zaśmiała się nerwowo, nieszczerze.

– Tak się martwiłem o pana! – wypaliła jak z armaty. – Odchodziłem od zmysłów! Nie wiedziałem, co się z panem działo, odkąd znaleźliśmy się w Twierdzy! Myślałem, że pan umarł albo co...

Merika uderzyło poczucie winy za to, jak potraktował dziewczynę, która właśnie pomagała mu się dźwignąć na nogi.

– W porządku, majtku. Nic mi nie jest.

– Ale ja widziałem, jak pan wchodzi po schodach i czekałem, i czekałem... Tak jak pan kazał. A potem do biura weszła ta oficer i wtedy to ja już wiedziałem, że wpadł pan jak śliwka w kompot... Tylko że nic się nie stało. Tamta kobita zeszła, a pan... nie. – Cam klepnęła się w płaski brzuch. – W bebechach czułem, że się pan wpakował w jakąś kabałę, ale gdy sam poszedłem do biura zobaczyć, ki czort, pana już nie było! Na pewno nic panu nie jest?

– Wszystko gra – zapewnił ją Merik, naciągając kaptur. – Jestem tylko przemoczony. Przemoczony do suchej nitki i przemarznięty.

– Skoro wszystko gra, to dlaczego dopiero co wyłowilem pana z Timetz? Dokąd pan idzie, sir? – Utkwiła w nim na poły

ślągalny, na poły gniewny wzrok. Jakby bardzo chciała zezłościć się na swojego kapitana, ale nie mogła się na to zdobyć.

– Wyjaśnię ci wszystko, jak już wrócimy do mieszkania.

– Ale, panie admirale... – mruknęła.

Merik prawie się potknął. Miał wrażenie, jakby ostatni raz nazwano go tak w poprzednim życiu. Nie uszło to uwadze Cam.

Wysunął ramię z jej uścisku – umiał, do cholery, chodzić samodzielnie – i ruszył ku schodom prowadzącym z kanału na ulicę. Był jej winny przeprosiny, ale nie wyjaśnienie. Stacia Sotar i Furia, człowiek z cienia i mroźne wichry, martwy wizer w szklarni – to nie prosta do opowiedzenia historia, jak te, które z taką swadą sama przytaczała.

A poza tym im mniej wie, tym będzie bezpieczniejsza.

Szedł dwa kroki przed nią, przypominając sobie przebieg wydarzeń w szklarni Lindayów. I człowieka z cienia.

Ten stwór zabił wizera Lindaya z taką łatwością, jak Merik mógłby zabić pająka. Gdyby wówczas nie uciekł, podzieliłby los zielodzieja.

Gardził sobą z tego powodu, ale musiał przyznać: w pojedynkę nie miał szans. Nie wygrałby z czarną magią, nie mógł sam się mierzyć z takim wynaturzeniem. Ale jego miasto, jego ludzie... Potrzebowali go, a on musiał zrobić, co w jego mocy, by ich chronić.

Co więcej mógł zdziałać? Otwarte starcie odpadało. Nie zdoła pokonać człowieka z cienia, jeśli nie będzie miał na rozkazy całego oddziału porządnie wyszkolonych czarodziejów i żołnierzy. A żeby dostać taki oddział, musiałby objąć tron. Albo przynajmniej uniemożliwić to Vivii.

Słońce wspięło się już wysoko ponad horyzont, gdy dotarli na Stare Miasto. Pierwsze promienie różowego światła lśniły w kałużach, które zostawił po sobie zeszłej nocy sztorm. Cam rozchlapwała wodę zwawym krokiem, a Merik uświadomił sobie, czując narastające poczucie winy, że dziewczyna jest boso. I że chodzi tak od tygodni, a nie usłyszał od niej słowa skargi. Zauważył to wcześniej, ma się rozumieć, ale tyle miał spraw na głowie, że nie było czasu się o to martwić.

Słaba wymówka, uprzytomnił sobie. Zmarszczył brwi i, poprawiając kaptur, wszedł do kamienicy. Korytarze były jeszcze bardziej zatłoczone niż ostatnio. Ludzie z ulicy szukali tutaj schronienia na noc. Merik lawirował między rozłożonymi na podłodze bezdomnymi, a Cam, tak jak zawsze, nie odstępowała go na krok.

Gdy stanęli przed drzwiami do mieszkania Kullena, Merik odpędził od siebie wszystkie natarczywe myśli i skupił się na uruchomieniu zamkodziejskiego zaklęcia. Knykcie bolały go bardziej, niż chciał przyznać, a palce wciąż miał odrętwiałe od zimnej wody kanału.

– Och, proszę pana. – Cam przyskoczyła do niego. – Znowu pan krwawi.

– Tak – westchnął Merik, czując nagle kładące mu się na barki potworne zmęczenie.

Lodowy atak Stix pokieroszował mu prawe przedramię, a kto wie, które rany otworzyły się w czasie ucieczki przed człowiekiem z cienia. I jakie nowe do nich dołączyły. Na szczęście gdy przyjrzał się bliżej ranom, skonstatował z ulgą, że to wszystko stara krew.

– Mam ziemiodziejską maść leczniczą, sir. Z Twierdzy.

Merik obrócił się z mozołem do dziewczyny, chcąc jej podziękować, ale ona źle odczytała jego intencje i zasłoniła się niepasującymi do siebie dłońmi.

– Wcale nie ukradłem! Dał mi ją przyjaciel w Twierdzy!

– Ach... dziękuję – wydusił wreszcie zupełnie szczerze.

To nie w porządku, rzuciło mu się na myśl, że jej pierwszą reakcją była obrona. Czy naprawdę tak często ją strofował przez ostatnie tygodnie?

Wszedłszy do pomieszczenia i zapaliwszy latarnie, Merik powlókł się do stołu. Suchy chleb z wczoraj nasiąknął wodą i choć zmiękł tylko nieznacznie, przynajmniej dało się go jeść. Odgryzł kawałek, wyjmując zza pasa mokrą mapę i rozkładając ją na blacie.

– Przykro mi, że się o mnie martwiłeś, Cam. Ale, jak widzisz, nic mi nie jest. – Zmusił się do wypowiedzenia tych słów.

– Żyje pan, to na pewno – przyjęła sztywno przeprosiny – ale nie powiedziałbym, że nic panu nie jest. Wody?

Jej cień rzucił się na mapę, a przed Merikiem wylądował pełny kubek.

– Dziękuję. – Łyknął, zauważając świeże sińce na nadgarstkach dziewczyny i płytką ranę na przedramieniu. – Skąd to?

– Znikąd, sir – ucięła, odchodząc gdzieś, ale po chwili jej cień wrócił. Postawiła przed nim ceramiczny słoik. – To maść. Na twarz i... wszędzie.

– Ty pierwszy.

Dźwignął się na nogi, a ona zadarła butnie nos.

– Mówiłem przecież, że to nic. Po prostu przyczepili się do mnie tacy jedni nieopodal Twierdzy. Pan w tym czasie zbierał cięgi Noden jeden wie od kogo i wskoczył do kanału, gdzie prawie pan utonął. Jeśli ktoś ma tu historię do opowiedzenia, to raczej nie ja.

Merik zawahał się, czując, jak jego pięści zaciskają się same z siebie, aż strzeliły knykcie.

– Co to za „tacy jedni”?

– Pan pierwszy – upierała się.

Merik popełnił błąd, patrząc jej w oczy. Wyczytał z nich ten sam niezłomny upór, który kiedyś dostrzegł w oczach innej bliskiej mu osoby. W innym życiu.

Westchnął i opadł zrezygnowany na krzesło.

– Siadaj – rozkazał, a Cam usłuchała. Merik opróżnił kubek dwoma haustami. – Dałem się podejść, bo cholerny głupiec ze mnie. Ale Stix... znaczy pierwsza oficer Sotar, pozwoliła mi uciec, bo uwierzyła, że jestem Furią.

Cam zadrżała i przykuliła ręce do piersi, kryjąc przed nim sińce.

– Ale tak naprawdę to nie jest pan Furią. Jeśli już, to duchem, który powinien być umrzeć dziesięć razy po dwa razy.

– Sam oddam się na pastwę rybich wiedźm – wymamrotał Merik, wpijając się wzrokiem w pusty kubek – jeśli tylko

wypuszczą z łap Kullena lub Safiyę. Albo... jakąkolwiek duszę lepszą od mojej.

– Pan może i tak czuje – wymruczała Cam – ale to tylko pan.

Poczuł, że musi jak najszybciej zmienić temat, więc popukał palcem w rozłożoną na stole mapę.

– Znalazłem to na biurku mojej siostry w Twierdzy.

– To Cysterny – oświadczyła Cam rzeczowym tonem. Jeśli zauważyła zakłopotanie Merika, nie dała tego po sobie poznać. Zamiast tego nachyliła się nad mapą i wskazała palcem nakreślony tuszem krzyżyk. – A to co?

– Miałem nadzieję, że ty będziesz wiedzieć. Mówiłeś, że przemieszczałeś się kiedyś po mieście Cysternami.

– Bo to prawda. – Zmarszczyła się i przekrzywiła usta na lewą stronę. – Nie znam tego miejsca, ale wiem mniej więcej, gdzie leży. To tutaj – wskazała obszerny tunel przecinający połowę mapy – biegnie pod ulicą Białą. My ją nazywamy Brązową, bo tam spływa całe gówno.

– A te godziny? – Merik zakreślił palcem cyfry przy krawędzi arkusza.

Na ich widok Cam oblała się rumieńcem, wypełniając jasne plamy na jej twarzy.

– Nie umiem czytać, sir.

– Ach. – Sam poczuł zawstydzenie. Oczywiście, większość jego załogantów była niepiśmienna. Zapomniał, że umiejętność czytania i pisania to luksus, którego doświadczył tylko dlatego, że urodził się we właściwej rodzinie. – No cóż, ktoś zapisał tutaj sześć godzin – objaśnił. – Ta tutaj to wpół do jedenastej, kolejne co pół dzwonu.

– W takim razie już chyba wiem. – Uśmiech ulgi. – To godziny zalewania tuneli. Bo widzi pan, tunele biorą wodę z rzeki. Większość idzie do miasta, do rur i takich tam, ale część podąża na Brązową, żeby zmyć to, co ludzie wylewają, a potem płynie dalej, do wielkiego zbiornika przy południowych dokach, gdzie mieści się oczyszczalnia ścieków. Oczyszczona woda spływa z powrotem do rzeki wylotem w południowej części miasta. Brązowa często jest zalewana w ten sposób, między innymi

dlatego ludzie tam nie chodzą. Ale może... – podjęła po chwili, przeciągając sylaby – ktoś się tam z kimś spotyka? W innych tunelach przebywa mnóstwo ludzi, gangi mają tam ustawki, handle i wciry. Wszędzie tam, gdzie nie zapuszczają się zbrojni.

– To oznacza, że moja siostra umówiła się tam z kimś o dwunastej trzydzieści. – Merik uśmiechnął się tryumfalnie, nawet jeśli to zwycięstwo zaprawione zmęczeniem. – Spisałeś się, majtku.

Cam z wysiłkiem przełknęła ślinę. Merik widział, jak po jej szyi spływa w dół nieznaczna wypukłość. Raptownie oderwała kawałek chleba.

– To co, śniadanie?

Merik przyjął bochenek, dziękując skinieniem.

– Teraz twoja kolej, Cam. Powiedz mi, co ci się przytrafiło.

– Taki jeden gang z Zaułków. – Wgryzła się w chleb, drobne okruszki osiadły jej na wargach. – Nie wiedziałem, że poszerzyli swój kwadrat, no i wlałem, gdzie nie powinienem – wyjaśniła z pełnymi ustami. – Wróciłem biegusiem do Twierdzy, tam mnie połatali. Poproszę o masło.

Merik spróbował skinąć głową ze spokojem, ukryć ogień, który szalał mu w żyłach.

– Jaki to gang?

– Na pewno pan nie zna. – Ugryzła, przeżuła, uparta jak zawsze.

Merik odpuścił. Na razie.

– Dobrze cię znają w Twierdzy?

– No pewno. – Wzruszyła ramieniem. – Wpadałem tam, zanim się zaciągnąłem. Kiedy ulice i Cysterny zrobiły się zbyt niebezpieczne, by móc spać... Ostatecznie zawsze kończyłem w Twierdzy.

Merik wyobraził sobie Cam śpiącą w Cysternach i ogień w jego wnętrzu buchnął nowym żarem.

– Czyli... sypiałeś tam?

– Tak, sir. – Poruszyła bezradnie ramionami. – Zawsze to jakiś dach nad głową, nie? I jak już się człowiek nauczy, kiedy chlustają, da się tam jakoś żyć.



– Ile ludzi tam mieszka?

Nieco lękliwie, najwyraźniej obawiając się, że Merik znów spyta o gang, ale potem spokojniej Cam odpowiedziała, prostując się i sięgając po kolejny kawałek chleba:

– Kilka tysięcy.

– Kilka tysięcy? – Merik niedowierzał. – I wszyscy o tym wiedzą, prawda? Ja jestem jedynym głupcem, który nie miał pojęcia. – Skrzyżował ramiona na piersi i rozparł się na krześle. Drewno zaskrzypiało w proteście. – Na dech Nodena – zaklął, patrząc w sufit. – Ja nic o tym mieście nie wiem.

– Nie wychowywał się pan tutaj, sir. Ja tak.

Vivia też. Wyrosła w otoczeniu marynarzy i żołnierzy. U boku króla Serafina i Wysokiej Rady. To dawało jej przewagę nad bratem. Jedną z wielu.

Za młodu Merik myślał, że to on lepiej trafił. Wiódł dzikie życie u Niharów z Kullenem u boku. Polując, łowiąc ryby, włócząc się po dziczy do upadłego. To życie zapewniło mu lojalność i miłość południowców, ale tutaj, w Lovats, Merik był nikim.

Mógł to jednak zmienić. Nadrobi wszystko, co jest do nadrobienia. Stanie się przywódcą, jakiego potrzebuje jego lud.

Pokrzepiony tą myślą pochylił się nad mapą.

– Zaprowadzisz mnie na Brązową, majtku?

– Na to spotkanie, sir? Jasna sprawa. Ale tylko jak zabierze mnie pan z sobą – podniosła głos, zanim Merik zdążył zaoponować – bo gdybym był z panem w Twierdzy, mógłbym ostrzec pana gwizdem, że pierwsza oficer wchodzi po schodach!

– Ale wtedy to ty musiałbyś się mierzyć z jej wododziejką magią.

– Wododziejka? – Cam wybałuszyła oczy. – Pełna wododziejka to nie w kij dmuchał, nie jakiś tam zakichany pływodziej... – urwała i ziewnęła potężnie. Z otwartymi szeroko ustami i zaciśniętymi powiekami wyglądała jak zaspane dziecko.

Złość znowu owładnęła Merikiem. Wskazał sztywno na łóżko.

– Cam, do spania – rzucił nieco oschlej, niż chciał. – Pójdziemy na Brązową, jak słońce znajdzie się nieco wyżej na niebie.

Merik widział, że dziewczyna o niczym tak nie marzy jak o śnie, ale ta jej przekłeta lojalność kazała jej się postawić.

– A co z panem, sir?

– Ja też się prześpię. Prędzej czy później.

Na jej twarzy wykwitł ostrożny wyszczerz i Merik próbował zdusić cisnący mu się na usta uśmiech. Cam potrafiła nim zarazić. Świat mógł pograżyć się w ciemności, ale ona rozświetlała go jak płomyk niegasnącej świecy.

Zasnęła, ledwie skuliła się w kłębek na łóżku, jak wielki łaciaty kot. Merik odczekał, aż jej pierś zacznie unosić się miarowo, a potem, najciszej jak potrafił, zakradł się do drzwi. Zanim sam się położy, musi załatwić dwie sprawy.

Po pierwsze, znajdzie Cam jakieś buty, choć nie miał jeszcze pojęcia, skąd je weźmie o tej porze. A po drugie – i to zadanie było o wiele ważniejsze i sprawiło, że skakał po dwa schody naraz – dowie się, który gang się kręci wokół Twierdzy i żeruje na słabszych, nie widząc w tym najwyraźniej nic złego.

„Dlaczegoż kosę w lewej ręce ściskasz?”

– By każdy wiedział – mruknął Merik, wychodząc w mokry poranek – żem jak ostrze groźny.

„A dlaczegoż w drugiej szkło stłuczone błyska?”

– By każdy wiedział, że mam bystre oczy.

Nasunął kaptur i ruszył do Zaułków.

## ROZDZIAŁ 17

Piracka Republika Saldoniki nie przypominała niczego, co Safi w życiu widziała. Oczywiście, słyszała historie o wielkim mieście wyrosłym na starożytnych ruinach, gdzie nieustannie walczą ze sobą dwie zwaśnione frakcje, regularnie zdobywając i tracąc władzę nad poszczególnymi dzielnicami. Słyszała opowieści o słynnej arenie niewolników, gdzie ścierają się wojownicy i czarodzieje i gdzie rywalizacja pomiędzy Baedyedami a Krwawymi Żaglami nie jest dla żadnej ze stron tak istotna jak przemoc sama w sobie.

Safi słyszała też, że dosłownie każdy, niezależnie od koloru skóry, narodowości czy urodzenia, może żyć w Saldonice jako wolny człowiek lub też trafić do niewoli. Krążyły legendy o czających się w fosach i kanałach krokodylach i morskich lisach tak wielkich, że potrafiły wciągnąć pod wodę cały okręt.

Dotąd wkładała te wszystkie opowieści między bajki. Myślała, że to zmyślane historie, którymi straszy się niegrzeczne dzieci, w tym ją – sześciolletnią blondynkę, która nie chciała jeszcze iść spać i zamiast tego wołała usłyszeć od Habima jeszcze jedną historię o piratach.

Ale opowieści mentora okazały się prawdziwe. Wszystkie.

No może nie te o morskich lisach. Safi wiedziała – a wiedzę tę zdobyła z pierwszej ręki – że lisy istnieją, jednak nie widziała jeszcze, by któryś wychylił głowę z Zatoki Saldonickiej.

Po godzinie marszu skwarna dżungla wypłuła piekielnych bardów wraz z Safi i Vanessą na polną drogę, pooraną koleinami i śladami kopyt, dokumentnie zatłoczoną i zastawioną posuwającymi się w ślimaczym tempie wozami i podróżnymi. Kolumna zmierzała na północny wschód. Spośród mijanego tłumu tylko trzy osoby na dłużej zawiesiły wzrok na Safi i Vanessie. Nikt nie kwapił się do pomocy, nikt nie okazał głębszego

zainteresowania prowadzonymi jak na ścieżce kobietami, z czego jedną w kołnierzu heretyków.

Ale Safi nie mogła mieć o to pretensji. Chciała, ale rozumiała przecież, dlaczego każdy pilnuje własnego nosa. Już sam potężny Zander skutecznie odstręczał każdego, kto mógłby nabrać ochoty na wstawienie się za więźniarkami. Lev i Caden dodatkowo budowali wizerunek tych-którym-lepiej-nie-wchodzić-w-drogę.

Nie każdy był takim altruistą jak Merik Nihar. Nie każdy był szalonym wiatrodziejem pchającym się do bitew, niebaczącym na własne bezpieczeństwo – i na własne guziki.

Wkrótce drzewa się rozstały, a zza nich wyłonił się most. Mulista, gęsta od błota rzeka niemal wylewała się z brzegów. Wyglądała, jakby ledwie przelotny deszczyk mógł wysadzić ją z koryta i porwać szeroki most.

Krokodyle zdawały się to rozumieć. Bestie kręciły się po obu stronach krzywej konstrukcji. O bogowie w głębinach, ileż zębisk tkwiło w tych wielkich paszczach? Caden ten jeden raz nie musiał poganiać Safi.

Gdy wiatr przyniósł ze sobą dzwonienie dziewiątego kuranta, piekielni bardowie prowadzili Safi i Vanessę ku szerokiej bramie wprawionej w pradawny, spękany mur obronny, ponad którą łopotała ciężka bandera. Tym razem wszyscy natychmiast dostrzegli węża otaczającego marstocki półksiężyc.

Tłum sączył się mozolnie przez bramę zbyt wąską, by pomieścić rozległą kolumnę ludzi. Wyglądało na to, że więcej podróżnych chce wjechać do Saldoniki, niż z niej wyjechać. Gdy wreszcie Safi znalazła się za murami, odkryła, że baedyedzka część miasta jest wcale ładna. Co właściwie ją zszokowało. Prawdziejka wyobrażała sobie slumsy toczone bezprawiem i przeżarte nędzą, a zamiast nich jej oczom ukazały się brukowane ulice i zbiorniki na deszczówkę, z których każdy mógł korzystać wedle potrzeby, ogniodziejskie latarnie uliczne i nadzorujący ruch strażnicy w złotych mundurach. Z poprzecznej belki na każdej latarni zwieszały się bandery z herbem miasta.

Prawda, z każdą miniętą przecznicą budynki pochylały się coraz bardziej. Prawda, było tu więcej ludzi, niż widywała zwykle

w miastach o tej porze. Ale nie ulegało wątpliwości, że baedyedzki sektor Saldoniki to bynajmniej nie zapadła dziura, którą spodziewała się ujrzeć.

Poza zabudowanymi gęsto ulicami terytorium Baedyedów kładła się bagnista delta rzeki. Po lewej stronie tuliła się do moczarów gęsta, czarna dżungla. Po prawej rozmokła ziemia ustępowała przed wcinającą się w wybrzeże mętną zatoką. Jak okiem sięgnąć rozciągała się dzielnica portowa, a przy każdym doku roiło się od statków.

Zupełnie jakby wszystkie jednostki w Veñazie rzuciły cumy w jednej przystani. Maszty gęstniały na tle nieba niczym nieprzebyte las, a na niebie kołowało mrowie mew.

Przekłete ptaszyska, pomyślała.

Ale bardziej od przepełnionego portu uwagę Safi przykuła arena, odcinająca się wyraźnie od reszty miasta. Rozpoznała ją na pierwszy rzut oka. Zdradzał ją już sam rozmiar – to najrozłożystszy i najwyższy gmach w całej Republice. Z tej odległości wyglądał jak potężna, starożytna forteca, którą próbuje odbić przyroda. Brakującą połowę budowli dopełniono drewnianym rusztowaniem, a na ośmiu wieżach łopotały wielokolorowe sztandary, przez co arena przywodziła na myśl ogromną, wysadzaną klejnotami koronę porzuconą na pastwę krokodyli przez króla olbrzymów.

Ale nawet monumentalny gmach nie zatrzymał jej wzroku na długo. Zewsząd napływali ludzie o wszystkich możliwych odcieniach skóry. Zadrzała na myśl, jakież opowieści mogłaby usłyszeć z ich ust. Dostrzegła nawet kilku Nomatsów, idących w ciszy ubitą baedyedzką ulicą, a wokół nich południowców, mieszkańców Wschodu oraz tłumy egzotycznych postaci, których rodowodu nie potrafiła się nawet domyślić.

W krzykach zachwalających towary przekupniów, głosach przechodniów i wołaniu rozładowujących opasłe statki marynarzy słyszała prawdy i nieprawdy. Wrażenie było szokujące po tak długim czasie na morzu i w dziczy.

Szybko, jak zawsze, mieszanina głosów zlała się w jednolite tło, o którym zapomniała, nawet gdy piekielni bardowie

zaprowadzili ją i Vanessę na otwarty rynek, gdzie z okalających budowli zwiślały poruszane wiatrem barwne markizy.

– W Saldonice można kupić wszystko, czego dusza zapagnie.

Safi obróciła głowę i spojrzała na Cadena przez szczeliny hełmu, dopiero teraz czując, jak zeszywniała jej szyja. Dowódca był blady, a jego twarz śliska od potu, który wystąpił na skórę nie tylko wskutek letniego upału. W jego ranę musiało się wdać zakażenie. Ta myśl poprawiła Safi humor.

Gdy napotkał jej wzrok, uniósł brwi.

– I sprzedać wszystko, czego się nie lubi.

– Grozisz mi?

– Nie powiedziałbym, że cię nie lubię, heretyczko. Po prostu wypełniam rozkazy... Szlag. – Wskoczył przed nią, ale ponieważ wciąż trzymał linę, którą ją związano, zarzuciło ją tak mocno, że myślała, że ramiona niemal wyskoczyły jej z barków.

Targnął ją ostry ból, krzyk rozdzielił jej wargi, a potem zaczęła się wlec za pędzącym naprzód Cadenem. Co w niego wstąpiło?

Vanessa przewróciła się, wpadłszy na jadący obok wóz. Nie byle jaki wóz, prowadziło go trzech mężczyzn w kubrakach z baedyedzkim herbem.

Pech chciał, że przy upadku z głowy cesarzowej zsunął się hełm, ukazując jej czerwone, spocone oblicze całemu światu, w tym Baedyedom. Uchyliła się, próbując zakryć twarz, ale gdy tylko to zrobiła – o ułamek sekundy zbyt wolno i akurat w taki sposób, by spod rękawa błysnęło czarożnamię – dar Safi krzyknął: kłamstwo.

Vanessa chciała, by ktoś ją zobaczył. Upozorowała wypadek i osiągnęła swój cel. Jeden z piratów wlepił wzrok w jej twarz, drugi w znamię, a trzeci wykorzystał zamieszanie, by się oddalić, jakby nagle przypomniał sobie, że ma coś ważnego do zrobienia zupełnie gdzie indziej.

Owym czymś mogło być albo uwolnienie Safi i Vanessy od piekielnych bardów, albo zabicie marstockiej cesarzowej, Safi nie była pewna. Zresztą i tak nie miała teraz czasu, by się nad tym zastanawiać, bo Lev już torowała sobie drogę wzdłuż

wąskiego rzędu straganów, Zander podnosił na nogi nieopierającą się cesarzową, próbując nałożyć jej hełm na głowę, a Caden popędzał Safi do biegu.

\*\*\*

Pierwsza tawerna, do której weszli, okazała się przepelniona. Druga też, trzecia tak samo. Tysięczne tłumy napłynęły do miasta na coroczną walkę na arenie. Nazywali ją Rzeźnią Baile. Piracka Republika Saldoniki pękała w szwach.

Safi zanotowała tę informację w głowie. Kto wie, może niebawem nadarzy się okazja, by ją wykorzystać. Próbowała też zapamiętać, gdzie przebiega granica między terytorium Baedyedów i Krwawych Żagli. Wypatrywała patroli żołnierzy szukających piekielnych bardów i Vanessy. Ale olbrzym Zander zawsze zauważał je pierwszy i dawał znak pozostałym bardom, którzy natychmiast rozpierzchali się po zaułkach wraz z jeńcami, zanim Safi zdążyła cokolwiek przedsięwziąć.

Szóstym odwiedzionym miejscem okazała się stara wieża, której kolejne poziomy przemieniono w prowizoryczne kwatery mieszkalne, zawieszając okiennice nie do pary i obudowując znalezionym chyba na śmietniku drewnem. Tam bardowie postanowili się ukryć, a Safi nie miała pojęcia, jak długo planowali tam siedzieć.

Wynajęli mały pokój na czwartym piętrze, tak niski, że Zander szorował czołem o sufit i musiał się schylać, przechodząc przez rozpadające się futryny. Ale nie męczył się zbyt długo, bo gdy tylko osadzono w pomieszczeniu Safi i Vanessę, gigant gdzieś zniknął.

Zostało dwoje na dwoje. To dawało większe szanse, ale wciąż nadzieja na ucieczkę wydawała się w najlepszym razie mizerna. Zwłaszcza że Safi była dokumentnie zmordowana, a Vanessa zasnęła, ledwie zwinęła się w kłębek na jedynym łóżku.

Bardziej niż zmęczenie i pęknięte odciski na stopach i kostkach, boleśniej niż pulsujący ból w kolanie i stopie doskwierała jej rozorana szorstką liną skóra na nadgarstkach. Safi czuła każde wcinające się w odsłonięte mięso włókno powrozu, który co krok zdierał jej z rąk kolejny skrawek skóry

i rozdrapywał rany na rękach i nogach. Prawdodziejka czekała w ciszy, aż Caden zdejmie jej hełm z głowy. Po chwili jej oczom ukazał się cały obskurny pokój. Łóżko z brązową narzutą, stojący przy nim niski taboret, stół, oparta o ścianę balia i coś, co przypominało wododziejski kran, wiszące nad głową dwa zakurzone kinkiety z lampami oliwnymi oraz okno bez szyb, zasłonięte okiennicami o dość szerokich szczelinach, by wpuszczały do pokoju nieco powietrza i gwar z ulicy.

Nie natknęła się wzrokiem na nic przydatnego. A przynajmniej na nic, co przydałoby jej się w tym stanie. Wzrok Safi spoczął na jedynym ciekawym elemencie otoczenia, wiszącym nad drzwiami napisie: „Nie wypływaj w morze, bo marny twój los”. Nie miała pojęcia, o co mogło chodzić.

Z zamyślenia wyrwał ją delikatny nacisk na związane nadgarstki, który przykuł jej uwagę do Cadena. Przecinał jej więzy. Wbrew woli łzy wezbrały jej w oczach, lecz nie były to łzy ulgi czy wdzięczności, ale bólu, który aż zachrząścił jej w kościach, gdy Caden wyjął jej z ran splamione krwią liny.

– Trzeba to przeczyścić – powiedział, a choć w jego tonie nie pobrzmiwał rozkaz, Lev natychmiast rzuciła się, by wykonać polecenie, i opuściła pomieszczenie.

To dało jeszcze większe szanse.

– Siadaj – zaordynował Caden, a Safi powlokła się do łóżka i spoczęła na wolnej połowie.

Znalazła się teraz bliżej Vanessy niż przez całą drogę do Saldoniki. Ognie piekielne i diable płomienie, cesarzowa wyglądała okropnie. Poranione stopy, ubłocone nogi i ramiona, i jeszcze ten monstrualny kołnierz, w który wciąż była zakuta. Biedaczysko, spała tak głęboko, że ani drgnęła, gdy Safi usiadła na łóżku.

Prawdodziejka musiała spożytkować resztki energii, inaczej sama zasnęłaby na siedząco. Szczęściem Lev szybko wróciła z mydłem i bandażami.

A zaraz po niej zjawił się Zander z jedzeniem – prawdziwym jedzeniem, prawdziwym chlebem i wodą. Dopiero zapach pożywienia zdołał wyrwać Vanessę ze snu. Choć ryba była jak



z gumy i tak ostro przyprawiona, że język płonął Safi żywym ogniem, spałaszowała całą w rekordowym tempie, podobnie zresztą jak cesarzowa, która zwykle jadała z nieopisanym wdziękiem. Po posiłku Safi nie zdążyła zamienić z nią nawet słowa, bo kobieta natychmiast wróciła na swoją połowę łóżka i zasnęła.

W międzyczasie Lev i Zander znowu gdzieś przepadli, a Caden postawił stółek w połowie drogi między łóżkiem a drzwiami. Potem zaczął rozdziewać się ze zbroi, kawałek po kawałku, warstwa po warstwie. Karwasze, brygantyna, kolczuga, kubrak i wreszcie buty. Wszystko ułożył schludnie obok zlewu.

Dowódca piekielnych bardów kurczył się i kurczył, aż zmałał o połowę, zostawiwszy na ciele tylko bieliznę. A potem ściągnął nawet podkoszulek i rzucił go na masywną stertę sprzętu, ukazując kogoś, kogo Safi nie mogła rozpoznać.

Caden nie był już piekielnym bardem. Tamta osoba wydawała się ponura i przerażająca, w każdej chwili gotowa złożyć się do ataku. Nie był też Rzeźbimieszkiem, cwany i ujmującym, który sypał żartami jak z rękawa..

Ten Caden był chudy, pokryty bliznami, a podobne do splątanych sznurów mięśnie ciasno przylegały mu do kości. Jego widok kojarzył się z obowiązkiem, mrokiem i... złamanym sercem. Tak, wydawał się pusty i jałowy. Zagubiony.

Podobny do kogoś, kogo Safi знаła. Do jej wuja.

Napełniwszy balię, postawił ją na podłodze i zamoczył kawałek materiału, przetarł nim ranę na ramieniu, syknął, a potem znowu przetarł. Wszystkie ostrza tkwiły w pochwach, ale mężczyzna trzymał je pod ręką. Safi nie wątpiła, że nawet syczący z bólu i blady jak ściana Caden o wykrzywionej cierpieniem twarzy zabiłby ją w ułamku sekundy.

Lwy przeciw wilkom.

Co by zrobiła Iseult? Nasunęła jej się niewyraźna myśl: na przykład nie dałaby się złapać. Ale gdyby już trafiła w niewolę, spróbowałaby się dowiedzieć jak najwięcej od tego, kto ją zniewolił. Jedzenie uczyniło Safi jeszcze bardziej śpiącą, ale przecież nie było z nią jeszcze tak źle, by nie potrafiła myśleć.

Oczyściła gardło, które niespodziewanie zabolęło, słowa smakowały czarnym pieprzem.

– Co ci się przytrafiło, bardziej?

– Zaciąłem się przy goleniu. – Jego pierś drgnęła, gdy przyłożył materiał do krwawego rozcięcia na ramieniu. Wyglądało na głębokie, o ile to możliwe na tak chudym ciele.

To przywiodło jej na myśl inną klatkę piersiową innego mężczyzny. Pierwszy element fizyczności Merika, jaki zauważyła, gdy fruwał ponad dokami Veñazy.

Safi skrzywiła się, odpędzając wspomnienie przeszłości. Obraz umięśnionego torsu Merika w niczym jej teraz nie pomoże.

– A skąd to skaleczenie, bardziej?

– Od ostrza.

– Mówisz? – sarknęła ostro. Dowódca unikał odpowiedzi z taką samą sprawnością, z jaką ona miotła niewygodne pytania. – A do kogóż to ostrze należało, jeśli wolno spytać?

– Do wroga – odrzekł i zamilkł. Jedyne dźwięki, jakie pojawiły się w przedłużającej się ciszy, to plusk wody, gdy wrzucił do balii zbroszoną szmatę, i kapanie, gdy ją wykręcał przed ponownym użyciem, a później raptowne wydechy, kiedy ponownie oczyszczał ranę. Safi zwróciła uwagę, że będzie potrzebował czegoś więcej niż tylko wody i opatrunku, aby się zaleczyła.

I jak się okazało, Caden rzeczywiście miał na podorędziu coś więcej. Z ułożonych ubrań wydobył gliniany słoik z jakąś tajemniczą zawartością, lecz zamiast nałożyć ją na własną ranę, namoczył w balii świeży kawałek materiału i ruszył w stronę Safi.

Nie odsunęła się i nie wzdrygnęła, nawet gdy podszedł na tyle blisko, by móc ją chwycić lub uderzyć. Safi, choć niemal zupełnie opadła z sił, raptem postanowiła zadrzeć dumnie podbródek i wyprostować zgarbione plecy.

Wyglądał, jak zawsze, na niewzruszonego tym pokazem buty. A więc nie zrobiła na nim wrażenia ta „imperowizacja”, pomyślała, śmiejąc się w duchu. Może imperatorowa Marstoku doceniłaby ten przedni żart, gdyby nie spała jak zabita, ale Caden raczej nie zamierzał się śmiać. Właściwie, uznała po chwili, Vanessa pewnie też by się nie uśmieła.

– Myślisz pewnie, że robię to z przyjemnością – odezwał się. – Zaręczam, że nie. – Opadł przed nią na kolano. – Twoim zdaniem uporczywe ignorowanie bólu przynosi chlubę, ale się mylisz. Zaufaj mi. W dalszej perspektywie przyniesie ci to tylko większe cierpienie. Pokaż mi nogi.

Safi się nie poruszyła. Nie mogła oderwać oczu od połyskującej wilgocią dziury pod jego obojczykiem, z której rozchodziła się promieniście czerwona sieć zainfekowanych naczyń krwionośnych. Wiedziała, że niebawem rana zacznie gnić. Nie to jednak przykuło jej uwagę, lecz blizny rysujące się pod raną. I nad nią. I wszędzie wokół – na piersi i na ramionach. Postrzępione pasma lśniącej tkanki, wcale nie bledsze od jego jasnej skóry, ale wypukłe i wyglądające na pozostałości po bolesnych ugodzeniach. Pokrywały niemal całe ciało Cadena i były identyczne jak te na twarzy Lev.

– Nogi, już – powtórzył polecenie Caden.

Safi nie słuchała, wgrzyzała się oczami w grubą na kciuk, najbrzydszą ze wszystkich bruzd, która okalała szyję Cadena cał nad złotym łańcuchem, bardzo podobnym do tego, który nosił wuj Eron.

– Twoja wola – powiedział dowódca. – Jeśli nie chcesz, bym opatrzył ci rany, to nie będę się narzucał. Cesarzowa też potrzebuje pomocy.

– Chcę – wyrwało jej się. Przełknęła ślinę, z trudem odrywając wzrok od jego pokancerowanego gardła. – Opatrz.

– Mądrze – rzekł mężczyzna, kiwając głową. Niemal łaskawie. – Wiesz, heretyczko, kiedyś byłem taki jak ty. Jak wszyscy piekielni bardowie.

– To mnie wypuść.

– Wypuścić cię? O nie, Henrickowi by się to nie spodobało. – Powoli, jakby obawiał się ją spłoszyć, sięgnął do jej kostek.

Ból wpił się jej w nogi rozżarzonymi kleszczami, promieniując na całe ciało, błyskając przed zaciśniętymi oczami. Nieomal zemdląca. Świat zawirował. Skuliła się, zacisnąwszy zęby. Ale wiedziała, że rany na kostkach należy oczyścić. Caden miał rację. Upór w niczym nie pomoże, wręcz przeciwnie. Jednak, niech

to cap wygrzmoci, godziło to w jej dumę, a do takich razów nie była przyzwyczajona. Nie chciała się do tego przyznać, nawet przed samą sobą.

– Dlaczego uciekłaś ze Szczytu Rozejmowego? – spytał Caden, muskając otarcia materiałem.

– A czemu nie? – syknęła, dzielnie znosząc ból. – Ty byś chciał poślubić jakiegoś zgrzybiałego starca, który zamierzał wykorzystać twój magiczny dar?

Caden zachichotał, ale Safi nie widziała, czy szczerze, czy ironicznie, powieki miała zaciśnięte do granic możliwości.

– Gdybyś za niego wyszła, cała Cartorra byłaby ci wdzięczna. Mogłabyś pomóc Hasstrelom.

– Nie potrzebują mnie – zdołała jakoś wymówić przez zaciśnięte zęby. Caden przeszedł od kostek do podeszw stóp, gdzie ból jakimś cudem jeszcze zyskał na intensywności. – A co cię w ogóle obchodzą Hasstrelowie?

– Wyrosłem nieopodal.

– W takim razie powinieneś wiedzieć, jak niegościnnie są Góry Orhińskie i jak małymostkowi są ich mieszkańcy. Kochają żyć pod jarzmem cesarza Henricka.

– Ty zaś powinnaś wiedzieć, jak dziecinnie to brzmi. – Teraz słowa Cadena podszyte były dezaprobatą. To stanowiło pierwszą oznakę jakiejś emocji z prawdziwego zdarzenia. Lepsze to niż nic. A jednak ta oschłość nie przełożyła się w żaden sposób na jego dotyk, który czuła na pokierszowanych stopach. – Cartorrze daleko do ideału, heretyczko, ale przynajmniej jest bezpieczna. Jest tam dość żywności, jest bogactwo, drogi, szkoły. Mógłbym wymieniać dalej, bo lista jest długa. Starczy, teraz nadgarstki.

Safi podsunęła mu rękę, ponownie zaciskając powieki, gdy ich dotknął. Ból pojawił się, a potem nagle ustąpił.

– Ale – powiedziała z trudem – nie znajdziesz na tej liście wolności, prawda?

– Wolność ma różne odcienie. Całkowita wolność nie zawsze jest dobra, a jej brak nie zawsze zły.

– Łatwo ci mówić. To nie ty tkwisz w niewoli.

Znowu śmiech. I spojrzenie nabiegłych krwią, pełnych namysłu oczu, które na nią podniósł.

– Ty naprawdę nic nie rozumiesz, prawda?

– Czego niby? – spytała, ale Caden już ciągnął dalej.

– Wszystko na tym świecie ma wiele kolorów, heretyczko, wiele odcieni szarości niemieszczących się w twojej czarno-białej wizji świata, w której istnieje tylko prawda lub fałsz.

– Nie tak działa moja magia. – To znaczy... nie do końca tak.

– W takim razie wytłumacz mi jak.

Safi zacisnęła usta, zwlekając z odpowiedzią. Włożyła nie lada wysiłek w ukrycie swojego daru przed resztą świata. Przed kłęczącym przed nią mężczyzną... Ale ukrywanie się z nim nie miało już chyba sensu. Zwłaszcza że cesarz i bardowie odnieśli zwycięstwo.

– Każdy kłamie – powiedziała w końcu.

– Ja nie. – Odkorkował słoje i nabrał nieco zawartości na czysty skrawek lnu.

Gdy dotknął rany, ból powrócił. A potem przyszła mroźna fala ulgi.

– Oczywiście, że kłamiesz – zaoponowała, rozkoszując się chwilowym odwrotem bólu. – Jest, jak mówię, bardziej. Każdy kłamie, wszyscy kłamią. W rozmowach z przyjaciółmi. Pozdrawiając przechodnia na ulicy. W najbliższych codziennych sprawach. Nieustannie pozwalamy sobie na tysiące tysięcy drobnych, nieistotnych kłamstewek.

Palce Cadena znieruchomiały na chwilę.

– A ty wyczuwasz je wszystkie?

Potwierdziła skinieniem, rozwierając powieki tylko na tyle, by pochwycić wzrokiem jego nieruchome spojrzenie.

– To jak żyć nad brzegiem morza. W końcu przestajesz słyszeć jego szum, przyzwyczajasz się. Przestajesz zwracać uwagę na wznoszące się i opadające fale... Aż pewnego dnia nadchodzi sztorm i wtedy znowu docierają do twojej świadomości te wielkie, największe z kłamstw. Ale te drobne odpływają wraz z cofającą się do morza wodą.

Nie zareagował. Jego twarz przybrała wyraz nieruchomej maski namysłu, jakby obracał w głowie każde wypowiedziane przez Safi zdanie i słowo, każdą pauzę. I zanim zebrał się do odpowiedzi, rozległo się pukanie do drzwi. Dwa uderzenia.

– To ja, sir – zawołała Lev.

Caden dźwignął się na nogi. Jego ramiona wyprostowała ta sama, emanująca od niego także przed chwilą, aura obowiązku. Przekazał Safi słój z maścią i zwilżony len, a sam zbliżył się do drzwi.

Lev wkroczyła do pokoju.

– Sprawdziłam z Zanderem łaźnię za tawerną. Mogę zabrać kobiety, żeby się wykapały. – Wskazała kciukiem okno. – A pan może z Zanderem zabezpieczyć okna i poszukać okrętu, jak nas nie będzie.

– Dobra. – Caden nałożył podkoszulek na głowę i pozwolił mu zsunąć się na brzuch i plecy. – Pomogę wam odprowadzić więźniów na dół... Co jest?

Lev uniosła brwi.

– Pomyślałam, że... Może wy też byście się umyli, sir.

– Dopiero co się umyłem.

– Ale niedokładnie. A to my musimy potem znosić ten smród. Za przeproszeniem, sir.

Safi nie zdołała się powstrzymać.

– Lev próbuje ci powiedzieć, że śmierdzisz jak latryna w Fasolowie.

– Przyjąłem – rzekł Caden, a jego słowa niemal zagłuszył okrzyk Lev:

– Co to za góralski akcent! – zarechotała Lev. – Gadasz jeszcze gorzej od niego!

Safi oblała się rumieńcem. A niech to łasica oszcza. Już tak dawno nie powiedziała nic po cartorriańsku. Musiała nieopatrznie zaciągnąć po orhińsku. Na ustach Cadena wykwitł szeroki uśmiech, gdy zakładał pas z mieczem. Prawdziwy uśmiech Rzeźbimieszka, który oglądała nie tak dawno znad trzymanego w dłoni wachlarza kart. Cwaniacki, poufały... I przypominający, że Caden to wróg. Że to za jego sprawą jej życie

legło w gruzach. Nie wolno jej o tym zapomnieć. Ci ludzie są jej wrogami. Nie liczy się nic poza ucieczką.

## ROZDZIAŁ 18

Gdy się obudziła, miała zupełnie zdrętwiałą rękę. Iseult od starcia z Esme sypiała w kratkę, ale ostatnia płytką drzemka przerodziła się w kilkugodzinny sen w osobliwej pozycji z ręką po biodrem.

Przeniosła ciężar ciała, przesuwając bezwładną lewą rękę z pomocą drugiej... a potem z trudem się obróciła, czując się jak wyrzucony na brzeg waleń. Rozproszone światło poranka padało na porośnięty mchem nawis, pod którym skryła się z Aeduanem. Powietrze było wilgotne po wczorajszym deszczu, lecz ciepłe. Śpiący obok krwiodziej oddychał miarowo.

Poczuła gorąco w piersi. Jak mógł tak po prostu spać? Miał przecież obudzić Iseult, gdy przyjdzie jej czas na wartę.

Podróżowałaś przez dwa tygodnie bez wystawiania wart, odpowiedziało jej sumienie. Prawda, ale już tak nie muszę, spierała się sama ze sobą, czując wędrujące jej po ramieniu mrówki. Uznała, że powinna wykorzystywać wszystkie dostępne zasoby, a krwiodziej był właśnie tym – zasobem. Narzędziem.

Prezentem od losu.

Zadrzała, przypomniawszy sobie słowa Esme. Lalkarka zabiła tamtych ludzi, by pomóc Iseult. Tymczasem więziodziejka nie po raz pierwszy zapragnęła, by ktoś pomógł jej w walce z Esme. Bogini jedna wie, że byłaby wdzięczna za każde wsparcie. Musiał przecież istnieć ktoś, kto wiedział coś niecoś o jej dziwnych snach i kontrolowanych przez Lalkarkę rozszczenieńcach.

„Splotodziejki takie jak my”, powiedziała jej Esme. Iseult potarła mocniej budzącą się do życia rękę. Nie, nie jestem taka jak Esme. Ani trochę. Spokojnie. Bądź jak kwiat, jak kwiat na tafli jeziora.

Gdy jej ręka wróciła do stanu używalności, wyszła z kryjówki, by skąpać się w świetle poranka, szczęśliwa, że może oderwać się myślami od Esme. Upewniwszy się, iż wciąż ma kordelas przy



boku, a salamandrowy płaszcz na ramionach – który, prawdę mówiąc, należał do Aeduana – weszła pomiędzy pobliskie sosny i ruszyła przed siebie, ściskając w palcach kamień Więzi.

Safi, idę po ciebie. Gdy trzymała klejnot, na kilka oddechów stopniał mróz skuwający jej ramiona. Aż się skuliła pod naporem nieokreślonego źródła ciepła, które rozplynęło się z żołądka na całe ciało i ścisnęło jej płuca... Nadzieja, uprzytomniła sobie. Wiara w to, że już wkrótce spotka Safi.

Zeskoczyła z wykrotu, a nanizany obok klejnotu srebrny talar przesunął się po jej knykciach. Aeduan wybił dziurę w monecie z taką łatwością, jakby wykonano ją z papieru. Czuła na skórze ciepło monety z wyciśniętym na niej dwugłowym orłem. Odjęła rękę. Ruszyła szybciej, depcząc rozmiękłą ziemię.

Gdy wróciła do obozu ze złapanym we wnyki królikiem, krwiodziej siedział ze skrzyżowanymi nogami na kamieniu. Miał zamknięte oczy, ręce wsparł na kolanach. Medytował.

Więziodziejka sporo czytała o caraweńskich mnichach. Cisza i bezruch pozwalały im oddzielić umysł od ciała. Sama kiedyś tego próbowała, niestety bezskutecznie. Już i tak włożyła mnóstwo pracy w odseparowanie się od swoich emocji. Jeśli oddzieli się jeszcze od myśli, co jej pozostanie?

Aeduan nie zareagował na jej obecność. Iseult wsunęła się bezgłośnie pod nawis i zdjęła płaszcz, po czym zakasała rękawy, gotowa oskórować zdobycz.

– Nie mamy na to czasu.

Aż podskoczyła. Nie słyszała jego kroków, lecz na nieoczekiwaną obecność zareagowała zupełnie inaczej niż on – znieruchomiała. Siniec na gardle wciąż przypominał jej, że Aeduana lepiej nie zaskakiwać.

Gdy powiedział, że zabije ją w Lejnie, nie uwierzyła mu. Kiedy powiedział to zeszłej nocy, nie była już taka pewna.

– Królika lepiej oprawić, jak jest świeży...

– To może poczekać kilka godzin – wszedł jej w zdanie wciąż jeszcze ochryplym od snu dalmockim.

– Mięso się zepsuje.

– To złapiesz kolejnego królika – odparł. – Musimy pokonać jak najdłuższą drogę, nim wzmoże się upał.

– Czemu? – spytała, ale krwiodziej ją zignorował.

W przeciągu minuty zwinęli obóz i umieścili wszystkie potrzebne rzeczy, złożone i zwinięte, jak należy, w sakwie Iseult, którą Aeduan zarzucił sobie na plecy. Byli gotowi do drogi.

Więziodziejka obserwowała towarzysza, nie mogąc się nadziwić, z jaką szybkością i wydajnością się poruszał, nie robiąc żadnych zbędnych ruchów, a te niezbędne wykonując zmyślnie i z gracją dzikiego zwierzęcia. Jego dar przydawał mu prędkości i poprawiał jego zwinność, tak że nie mógł z nim iść w szranki żaden zwykły człowiek.

Ciekawiło ją, jak działa jego magia i jakie to uczucie, gdy bierze czarodzieja we władanie. I czy to prawda, że krwiodziej czerpie moc z Otchłani. Postanowiła jednak nie pytać.

Szli godzinami, a Aeduan trzymał się za jej plecami. Odmówił przejścia na przód, najwyraźniej spodziewając się po Iseult, że wrazi mu kordelas pod żebro. A może po prostu chciał oszacować, jak bardzo mu ufa? Nie była pewna.

Niezależnie od powodu postanowiła robić dobrą minę do złej gry. Przynajmniej do czasu.

Krwiodziej prowadził ją krótkimi, zwiężłymi komunikatami. Raz wywiódł ją na rozmokłe moczary, by za moment kazać jej skręcić i wygrzebywać się z powrotem na twarde podłoże.

– Na wschód – rzucił obcesowo. – Bardziej na południe.

Iseult po żadnej takiej komendzie nie miała pewności, czy krwiodziej obrał inny kurs, bo Safi zmieniła swój, czy może jej zapach przychodził i odchodził, zostawiając go na lodzie i zmuszając do kluczenia po omacku. Zatrzymywał się co parę minut i wahał powietrze z zamkniętymi oczami, by niespodziewanie, na oddech lub dwa, unieść powieki i błysnąć rozżarzonymi źrenicami.

Po kilku godzinach przedzierania się między drzewami o rumianej korze i ciemnych igłach sosny zaczęły karłowacieć, aż w końcu zupełnie ustąpiły przed twardymi i sztywnymi drzewkami, których skupisko stanowiło przedmurze dębowego

lasu. Potężne drzewa o srebrnej korze tonęły w poszyciu zielonych paproci i białego złotogłowia. Nieopodal szemrała w kamienistym korycie szeroka i groźna rzeka Amonra.

Iseult pamiętała z upchniętej w sakwie mapy oraz z lekcji geografii z Mathew i Habimem, że wkrótce las zrzednie, a grunt opadnie do mglistego jaru porośniętego gęstymi chaszczami i zastawionego monolitami, zaś rzeka dojdzie do urwiska i runie w dół w miejscu opisanym na owej mapie jako Wodogrzmoty Amonra.

To tutaj dwadzieścia lat temu stoczyli bój Marstokczycy i Nubreveni. To tutaj ogień wykurzył z domów liczne rodziny i pochłonął tyle ludzkich istnień. To tutaj Nubrevna padła na kolana. Jeszcze jedna kraina na złowieszczej liście.

Przed Nubrevną te ziemie należały do Dalmocji, a jeszcze wcześniej do Marstoku. Przez stulecia półwysep przechodził z rąk do rąk, a żadna ze stron nie osiągnęła pełnego zwycięstwa i nie przegrała do szczętu.

Aeduan odetchnął głośno, a w jego oczach obudził się krwawy błysk.

– Możemy teraz zrobić dwie rzeczy – powiedział po chwili. – Zejść wzdłuż Wodogrzmotów drogą wiodącą do jaru albo ruszyć na północny wschód i przedrzeć się przez niebezpieczne lasy... I zanim wybierzesz tę pierwszą, pozwól sobie powiedzieć, że wzdłuż wodospadu będziemy iść dłużej.

– Daleko mamy do Safi? – zapytała, próbując wypatrzyć jar zmrużonymi oczami. Na niebie nad jej głową dryfowały ptaki.

– Daleko.

– Możesz nieco dokładniej?

– Nie mogę.

Zmarszczyła nos rozzłoszczona. Bądź jak kwiat...

– To skąd mam wiedzieć, że w ogóle prowadzisz mnie w dobrym kierunku?

– A skąd ja mam wiedzieć, że nie zgubiłaś reszty moich pieniędzy?

Celnie. Wypowiedzieli na głos, że spodziewają się po sobie oszustwa. Cóż, przynajmniej mamy jasność w tym względzie,

pomyślała.

– Mówiłeś wcześniej o niebezpieczeństwie. O jak wielkim?

– Ogromnym.

Nie zdołała stłumić westchnienia.

Twarz Aeduana pozostała niewzruszona, ale po chwili dodał:

– Niedaleko stąd jest sioło. Zdobędę dla ciebie konia. Wtedy pokonamy dłuższy dystans, nim opadniesz z sił.

– Nieopodal? Jak blisko?

– Godzinę drogi na północ moim najszybszym tempem. Wrócę późnym popołudniem.

– A ja co, mam tu czekać?

Gdy potwierdził skinieniem, uspokoiła się szybko dwoma oddechami, dopiero wówczas poczuła, że może mówić normalnie.

– A czy te utracone godziny są warte tego, by zawracać sobie głowę koniem?

– Twoja przyjaciółka jest gdzieś tam. – Wskazał na południowy wschód, gdzie rozciągała się Ziemia Niczyja. – Wiele lig i wiele dni drogi stąd. Wierzchowiec się przyda.

Z najwyższym trudem przyznała mu rację. „Korzystaj z każdego dostępnego zasobu” – przypomniała sobie. Ale wciąż nie mogła się pogodzić z myślą o kilkugodzinnym, bezczynnym czekaniu...

Krwidziej wziął jej milczenie za zgodę. Wyciągnął rękę.

– Zwróć mi płaszcz. Mnichom sprzedają taniej.

Nie mogła odmówić. W końcu ubranie należało do niego. A mimo to niechętnie zrzuciła płaszcz z ramion, poruszając się jak w zwolnionym tempie. Wreszcie zdjęła go i dała się owiać chłodnej bryzie. Bez nakrycia czuła się jak na widelcu jakiegoś nieokreślonego wroga. Podał jej swój wełniany płaszcz na wymianę.

Przełknęła ślinę, patrząc na Aeduana z wprawą zarzucającego sobie płaszcz na ramiona. Białą stroną na zewnątrz.

– Wrócę niebawem – mruknął, odwracając się i już wodząc nosem w powietrzu, tężejąc jak wilk szukający ofiary. – Schowaj się gdzieś do tego czasu. Na Ziemi Niczyjej nietrudno o coś gorszego od krwidzieja.

\*\*\*

Koń wcale nie zaoszczędzi im wiele czasu. Nie w zaroślach Ziemi Niczyjej. Aeduan naprawdę miał zamiar znaleźć więziodziejce wierzchowca, ale nie był to jedyny powód jego samotnego wypadu.

Zwietrzył czyste jeziora i mroźne zimy. Woń krwi, która nie dawała mu spokoju od zdrady Leopolda. Do kogokolwiek ten zapach należał, ten ktoś działał ręką w rękę z księciem i wraz z nim chciał powstrzymać Aeduana. Nie ulegało wątpliwości, że to ten sam zapach, który wychwyił w miejscu, gdzie ukrył monety. Musiał należeć do rabusia.

Jak pieniądze trafiły do więziodziejki? Oto kolejne pytanie, które wydusi złodziejowi z gardła. I nie okaże mu wspaniałomyślności, którą obdarzył Leopolda nad Prastudnią w Nubrevnie. Ale najlepsze, że gdy już Aeduan się dowie, kim jest ta tajemnicza zjawa, nie będzie już potrzebował więziodziejki. Porzuci ją w lesie, a Corlant niech sobie na nią czeka do usranej śmierci.

Ta myśl skłoniła go do zwiększenia prędkości. Mijał cienkie drzewa i paprocie ścielące się przy samej ziemi. Z łatwością obierze tu dobrą ścieżkę do sprintu. Świat rozmazał mu się przed oczami. Zielen liści, szarość skał i brąz kory rozplynęły się w jedną, bezkształtną mgłę.

Już wkrótce uzyska odpowiedzi na nurtujące go pytania.

Po utrudnionym kolosalną odległością polowaniu na prawdopodobną, która znajdowała się teraz setki mil poza jego zasięgiem, te łowy przebiegały bez przeszkód. Wykorzystał nadwyżkę energii, by dodatkowo zwiększyć prędkość.

Pędził na złamanie karku aż do chwili, gdy, jak zawsze... zgubił trop. Zapach rozplynął się w powietrzu w pół kroku. Mroźne zimy rozpierzchły się na słońcu, czyste jeziora wyparowały.

Aeduan zatrzymał się.

– Nie – wyskrzecztał pod nosem. – Tylko nie to. Nie znowu.

Za każdym razem to samo, ile razy by nie próbował i jak szybko by nie biegł. Kiedy już prawie dopadał ofiary, ona ot tak

wymykała mu się z rąk.

Utknął w bezruchu z jedną stopą na podłożu usłanym sosnowymi igłami, drugą na poskręcanym korzeniu cyprysowego drzewa. Zamknął oczy. Zawrócił swoją magię i skierował ją do wewnątrz, skupił się i zebrał myśli. Mijał oddech za oddechem. Las wokół niego zbudził się do życia, na powrót zajął się swoimi codziennymi sprawami. Z początku nieśmiało zadźwięczały skowronki, między pniami dębów ostrożnie przemknęła kuna.

Jeśli wyciszy umysł i uspokoi ciało, sięgnie dalej swoją krwiodziejską magią.

A przynajmniej taki miał plan, dopóki ktoś nie zarechotał gardłowo gdzieś obok.

Krwiodziej raptownie otworzył oczy i zobaczył przed sobą gawrona o czarnych oczach i szarym dziobie. Stał zupełnie nieruchomo, niczym wyrzeźbiony z granitu. Jego ciemne pióra drgały lekko na wietrze. Ptak nie uciekał i nie ruszał się. Po prostu przyglądał się Aeduanowi.

Włoski stanęły mu na karku. Gawrony zwykle fruwały w stadach ponad lasami, a nie stały samotnie, wlepiając oczy w napotkanych ludzi. Pociągnął nosem. Od mrówki do słonia – wszystkie zwierzęta miały tę samą dziką woń: wolności. A pod nią: leśnej mgły.

Odkaszlął, a dźwięk odbił się echem po polanie. Gawron mrugnął. Aeduan kaszlnął ponownie, tym razem ptak zrozumiał aluzję i wzbił się do lotu, zabierając ze sobą swoją wolność i leśną mgłę. A gdy te zniknęły, nowy zapach zakręcił się czarodziejowi w nosie. Jego magia zbudziła się do życia. Krew. Czary. Tłum. Mnogość zapachów złączyła się jak w tyglu. Wonie ludzi w różnym wieku, różnego wzrostu. Ta mieszanka zapachów dobiegała z przodu.

To piraci, nie miał co do tego wątpliwości. Ale z której faksji? I skąd piraci w głębi lądu? Zarówno Krwawe Żagle z wielkimi flotami, jak i Baedyedowie ze swoim morskim ogniem zwykle trzymali się wybrzeża. Mordując i zniewalając kogo popadło. Nie dało się uciec przed tymi żądnymi władzy, bogactw i krwi hordami. Byli nie do uniknięcia jak wschody i zachody słońca. Ale

istniał sposób, by prześlizgnąć się za ich plecami, dlatego też Aeduan skrył się za zasłoną roślinności i podkradł w stronę, z której dobiegała go woń cizby. Przetrwają najsilniejsi, mawiali niektórzy, a nikt nie jest silniejszy od tego, kto zna swojego wroga. Aeduan musiał się dowiedzieć, na kogo może się natknąć więziodziejka na Ziemi Niczyjej. Musiał się rozeznac w kwestii obranej przez owych ludzi drogi. Zwłaszcza jeśli były tam jakieś Krwawe Żagle.

Wywrócił więc swój caraweński płaszcz na lewą stronę, tak jak nosiła go więziodziejka, i okrążył skupisko sosen, po czym wspiął się na potężny dąb. Przywarł do konara i przyjrzał się ludziom depczącym błotnisty grunt.

Piraci, którzy po chwili znaleźli się w jego polu widzenia, nie należeli do Krwawych Żagli. Poprzedzający kolumnę jeździec nosił bure ubranie, ale jego kasztan miał zapięte baedyedzkie siodło z pomponami, z którego korzystali jeźdźcy z Piaskowego Morza. Za zwiadowcą jechali w awangardzie dwaj kolejni Baedyedowie, a za nimi piechota – coś, czego Aeduan zupełnie się po piratach nie spodziewał. Maszerowali gęsiego, setki mężczyzn i kobiet, posuwając się naprzód małymi, ale zdecydowanymi krokami i podzwaniając przypasanymi szablami.

Aeduan wypatrzył wśród nich kilkoro czarodziejów. Wywahał sztormy i skały, pożary i potopy. Zaciągnął się mocniej powietrzem, ot tak, na wszelki wypadek. Ale nie, czyste wody i mróz zniknęły na dobre. Powinien był przewidzieć, że zjawa znowu wpuści go w maliny. Cała ta eskapada tylko odciągała go od właściwego celu. Marnował tu czas.

Podczas gdy czarodziej zastanawiał się, od którego z Baedyedów pożyczyć wierzchowca, uchwycił mimochodem doganiających żołnierzy dwudziestu jeźdźców, sunących bezładnie, gromadą, zupełnie nie jak wojsko. Dzierżyli nahajki, a ich konie miały rany na bokach i kończynach.

Krwawe Żagle.

Zjeżył się na ich widok. Wiadomo, że nikt nie chce, by jego wioskę czy plemię najechali piraci, ale Baedyedowie przynajmniej

kierowali się jakimś kodeksem moralnym. Żagle, o czym wiedział z autopsji, nie zwracały sobie głowy takimi głupstwami.

Skrzywił się i poprawił na gałęzi, po czym wyciągnął szyję, by lepiej ich widzieć. Dlaczego, zachodził w głowę, dwie wrogie faksje podróżują razem? Przecież nieustannie toczyły wojnę, a to o terytorium, a to o niewolników, czy po prostu o pieniądze. A tutaj proszę, dwa oddziały maszerują pospołu w głąb lądu.

Odpowiedź przyszła sama. Żagle przystanąły pod gałęzią Aeduaana, a chwilę później dołączył do nich z czoła kolumny jeden z Baedyedów.

– Gdzie reszta waszych ludzi? – zwrócił się do człowieka, który z całej tej morderczej hałastry najbardziej lubował się w przemocy. Aeduan poznał to po roztaczanych przez niego kłębach krwawej woni. Połamane palce i zerwane paznokcie. Krew tego mężczyzny była krwią potwora, a jego czerwone siodło świadczyło, że dowodził Żaglami.

– Zwęszyliśmy nasz łup – odparł lekceważąco głosem ociekającym pogardą.

Może i zawarli sojusz, domyślił się Aeduan, ale wisi on na włosku.

– A niech was piekło pochłonie! – zaperzył się baedyedzki pirat, a jego klacz zryła ziemię kopytami. – Jutro mamy być u Purytanów. Mamy na was czekać?

– Jeśli nas nie dogonią, to tak.

Przedstawiciel Baedyedów zaklął ponownie, tym razem w języku, którego Aeduan nie znał. Ale gdy okręcił konia szarpnięciem cugli, wypluł jeszcze zrozumiałe dla krwiodzieja słowa:

– Król się o tym dowie, gwarantuję wam to.

– Ja zaś gwarantuję, że nic go to nie obejdzie.

Gdy tylko jeździec wrócił na czoło pochodu, do grupy podjechał jeszcze jeden Żagiel. Aeduan wyczuł spalone włosy i zwęglone ciało. Jesienne stosy i błagalne wycie.

Ogniodziej. Obeszła go gęsia skórka. Ogień sprawiał, że... robił się nerwowy.

Dowódca również dostrzegł maga ognia.



– Spóźniłeś się – zawołał. – Idź pomóc pozostałym. Już prawie dotarli do Wodogrzmotów. Macie mi dzisiaj dostarczyć tę więziodziejkę.

Więziodziejka. Wodogrzmoty. Gdy tylko słowa wykryształizowały się w umyśle Aeduana, zaczął bezgłośnie cofać się po gałęzi w stronę pnia.

Wtedy coś zaszeleściło w liściach – ptak o ciemnym upierzeniu i rozłożystych skrzydłach. Gawron wzleciał w powietrze, rechocząc po ptasiemu.

Ogniodziej podniósł wzrok i przez lukę w liściach spojrzął Aeduanowi prosto w oczy. Uśmiechnął się. Klasnął w dłonie.

Dąb stanął w płomieniach. W przeciągu kilku sekund krwiodzieja ze wszystkich stron otoczył ogień, trzasnęła kora, zasyczały płonące liście, zagotowała się żywica. Gdyby nie miał na sobie salamandrowego płaszcza, on sam również zająłby się ogniem. Ale dzięki jego ochronie zdołał zeskoczyć na ziemię, a potem owinąć się szczelniej, zakryć głowę i usta drżącymi rękami.

„Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

Obejrzał się. I to był błąd. Ogniodziej pędził w ślad za nim. Wyrzucił ręce w powietrze, a po chwili przestrzeń wokół Aeduana buchnęła płomieniami. Języki ognia rozpanoszyły się wokoło jak szarańcza.

Aeduan nie mógł się mierzyć z żywiołem. Ledwie myślał, prawie nie widział, jak niby miałby pokonać ogniodzieja, samemu wpierw nie ginąc? Nogi miał jak z waty. Pamięć o tamtym dniu wepchnęła mu się nieproszona do głowy i zmaćła wszelką sensowną myśl.

Nie zastanawiając się więc ani nie spoglądając już na przeciwnika, rzucił się do ucieczki.

## ROZDZIAŁ 19

Gdy wybiła dziesiąta, Merik zbudził się i zobaczył krążącą po mieszkaniu w nowiutkich butach Cam. Postawił je przy łóżku, zanim padł bez ducha na swoją połówę i zapadł w głęboki sen.

Dziewczyna poruszała się niezgrabnie jak nowo narodzony źrebak, fajtłapowato wyciągając chude nogi, jakby uczyła się chodzić.

– Pierwszy raz masz buty na nogach? – spytał Merik głosem zgrzytliwym jak klinga na osełce. – Czy może są za małe?

– Czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć...

Liczy kroki, pomyślał. Cam wzruszyła ramionami.

– Pasują jak ta lala. I chodziłem już w butach, a co pan myślał? Jak byłem młodszy. Tylko nigdy nie miałem powodu, żeby je zatrzymać.

– A dzisiaj masz powód?

– Czy pan próbuje wycisnąć ze mnie dziękuję, sir? – Cam przekrzywiła komicznie głowę i wydeła usta.

Merik prychnął śmiechem i natychmiast tego pożałował, bo gardło odezwało się bólem. I pierś. I twarz. Ale przynajmniej otrzymał w zamian uśmiech Cam, szczerzy, jasny i tak ciepły, że mógłby spowodować pożar lasu w upalny dzień.

– Dziękuję najuprzejmiej za te oto trzewiki, proszę szanownego pana kapitana. – Zgięła się dramatycznie w parodii dwornego ukłonu. – Aż szkoda ich na uwalane ekskrementami trotuary ulicy Brązowej, powiadam, a jakże.

– Nie czuję się jeszcze gotowy na Brązową. – Merik zmusił się, by usiąść. Mięśnie i nowa skóra sprzeciwiły mu się wyczuwalnie. Maść pomogła, ale sen nie zregenerował nadwątlonych sił. Śnił o burzy nad Lejną, o zburzonych budynkach i Kullenie błagającym o śmierć.

Był wdzięczny Cam, że jak zwykle roztrajkotała się przy śniadaniu. I że nie zwróciła uwagi na świeże strupy na jego

knykciach. I że nie zorientowała się, że wymknął się z mieszkania, gdy spała.

– Do Cystern najlepiej się dostać od strony północnych doków – objaśniła z ustami pełnymi soczystych śliwek, a potem rozgadała się o najdogodniejszych ścieżkach, którymi mogą przemierzyć kanały. O najbezpieczniejszych tunelach i o gangach walczących o terytorium.

Merik zasłuchał się w jej słowa, nie umknęło mu, że Cam tak naprawdę niezmiernie rzadko opowiadała o sobie. Usłyszał już niezliczone opowieści o tym, co widziała, i mnóstwo opowieści z drugiej ręki o tym, co widział lub zrobił kolega kumpla znajomego. Ale prawie nic o niej samej, o jej własnym życiu.

Im dłużej spoglądał w jej jasne oczy, tym głośniejsz brzmiała mu w głowie stara rymowanka.

Głupi brat Filip do ciemnej jaskini

Prowadził ślepego brata Daretę,

Choć wiedział, że mieszka tam Krabów Władczyni,

To wcale a wcale się nie bał.

Merik nie mógł sobie przypomnieć dalszego ciągu opowieści. Jedyna zapamiętana zwrotka obijała mu się w głowie raz po raz do rytmu żucia śliwek.

Gdy wreszcie zakapturzeni wyszli na ulice Starego Miasta, akurat wybiła jedenasta. Porwał ich prąd przedpołudniowego ruchu i skierowali się z nim na wschód, Cam zdążyła przodem, Merik zaraz za nią.

Nad ulicami wisiała ospale mgła powstała z nocnego deszczu zbudzonego pnącym się w niebo słońcem, coraz jaśniejszym i gorętszym. Pot ciekł Merikowi po plecach, kiedy mijali ostatnie rudery Starego Miasta.

Cam szła w kierunku ociekającego posoką pnia przy straganie rzeźnika, a potem przecięła dwie zatłoczone przecznice. Jak zawsze pozwoliła się prowadzić intuicji, mając oko na strażników, przed którymi uciekała wraz z Merikiem w boczne uliczki i zaułki.

Wkrótce dotarli do najbardziej zatłoczonej części doków w całym Lovats, gdzie nie mogli dostrzec wody zza upchanych jak sardynki w puszce statków i okrętów. Gdyby chciał, Merik mógłby, przeskakując z pokładu na pokład, dostać się do ulicy ćwierć mili dalej.

Uwielbiał takie wyzwania jako dziecko. Kullen też.

Kullen. „Zabij... mnie...”

Cam kiwnęła na niego palcem i poprowadziła w dół schodów. Kiedyś mieściło się w tej części miasta targowisko, na którym sprzedawano dopiero co wyłowione z morza rarytasy. Merik pamiętał je z dzieciństwa. Z czasów, gdy żyła Jana, a Vivia nie zmieniła się jeszcze w jego wroga. Kilku niestrudzonych kupców próbowało upłynnić tu swoje towary, ale większość przechodniów stanowili bezdomni i głodujący.

Podążył za Cam w mrok podziemi. Niemal wszystkie przytwierdzone do ścian kinkiety ziały jedynie pustką, świece dawno rozkradziono, a latarnie potłuczono.

Hałas z powierzchni stopniowo cichł, a w jego miejsce rozbrzmiały wyższe głosy dzieci i kobiet. Gdy oczy Merika oswoiły się z ciemnością, ujrzał przed sobą korytarz zasłany ludźmi. Ze sklepionego łukowo sufitu kapiała woda i zbierała się w kałużach na podłodze.

To skandal. Ten tunel, te bogom ducha winne rodziny, to parszywe życie, na jakie muszą się godzić. Pomoc już nadchodzi. Robię, co mogę, cierpliwości, chciał im wszystkim powiedzieć.

– Tędy, sir – ponagliła go Cam, pokonując wiraż, gdzie dwaj starcy grali w taro, siedząc akurat w dostatecznej odległości od siebie, by Merik i Cam mogli przejść. Gdy ich minęli, dziewczyna rozplynęła się w ciemności, której nie rozświetlał najmniejszy blask ognia.

Szli w kompletnym mroku przez jakieś pięćdziesiąt sześć kroków (Cam liczyła, jak zawsze), nim zapłonęło w oddali coś żółtego i jasnego. Pięćdziesiąt dwa kroki dalej znaleźli ogniodziejską latarnię oświetlającą ostry skręt w prawo. A potem znowu pochłonęła ich ciemność, tym razem na sto sześć kroków. Przez całą drogę z sufitu kapą im za kołnierze zimna woda.

Merik szedł i szedł, aż wreszcie wyczuł zmianę tempa w marszu towarzyszki. Dziewczyna zwalniała ze szmerem kojarzącym się z przesuwaniem drobnymi palcami po kamiennej ścianie. A potem znowu zniknęła.

Przepadła jak kamień w wodę.

W jednej chwili słyszał jej zmęczony oddech i stukot obcasów, a w następnej docierało do niego już tylko kapanie wody.

Merik przyłożył dłoń do ściany, chcąc naśladować doświadczoną w przemierzeniu kanałów Cam. Gdy wznowił marsz, zelektryzował go przypływ energii.

Na dwa uderzenia serca gwałtownie spadła temperatura. Coś wydusiło powietrze z jego uszu i płuc. A potem uczucie to minęło, a wróciło nieregularne i oślepiające światło. Zobaczył przed sobą Cam, a za nią niski ceglany korytarz, chwilę później dobiegły go ze wszystkich stron głosy – męskie okrzyki i tupanie stóp. A po nich, w równych odstępach, ryk i szum płynącej wody.

Cam pogmerała chwilę przy kapturze, a potem naciągnęła go nisko na oczy, chowając twarz.

– Zapomniało mi się ostrzec pana przed starymi zakłęciami ochronnymi. Nałożono je, chyba żeby ludzie tu nie łazili, tylko że nie działają jak kiedyś. Ach, gdzież moje maniery... – zmitygowała się i rozłożyła ramiona. – Witam w moich skromnych drugich progach, sir. Przed panem Cysterny.

\*\*\*

Nim Vivia znalazła nieco czasu, by wrócić do podziemi, wybiła dwunasta. Czas naglił. Miała pełne ręce roboty. Sprawdzić jezioro, powtarzała w myślach jak mantrę. Sprawdzić tunele.

Ostatni odcinek do jeziora pokonała sprintem. Gdy jej wzrok spoczął na tafli wody, zrzuciła z siebie marynarkę i buty, bryczesy

i koszulę. Jeśli się poplamia, trudno. Nic jej to teraz nie obchodziło.

Ponieważ coś było nie tak. Poznała to od razu po tym, jak układały się fale na powierzchni jeziora.

– Zgaś – wymruczała i zanurkowała.

Za wysoki poziom, zorientowała się, gdy tylko odepchnęła się nogami. Do jeziora napłynęła jakaś dziwna, nieznana jej woda, spływała rzekami do Cystern. Musi się dowiedzieć, jak się tu znalazła i skąd się wzięła. Wczorajsze trzęsienie ziemi może i nie wyrządziło znacznych szkód na powierzchni, ale pod spodem? Kto wie...

Dotarła na środek jeziora, gdzie kryształowa woda była najzimniejsza, a ostre kamienie potrafiły kłuć nieostrożne stopy. Ale tylko tutaj mogła w pełni złączyć się z jeziorem, odkryć jego pragnienia i zrozumieć, co czuło.

Głęboko pod powierzchnią, gdzie korzenie równiny wciskały się w Góry Sirmayańskie, Vivia wyczuła napływ nowej wody, ale nie deszczowej, takiej, która napłynęła tu w wyniku trzęsienia ziemi, i nie tylko z równiny, lecz również takiej, która spływając z gór, utorowała sobie drogę pod spodem.

Tamtejsze strumienie wypływały ze szczeliny w ziemi. Nowe źródło, lodowato zimne i świeże, zasilające tunele pod Lovats i spływające także do rzeki Timetz. Ponad powierzchnią.

Coraz wyżej i wyżej, woda kotłowała się jak zamknięte w ulu pszczoły. Przemieszczała się na zewnątrz, kłębiła w środku i pod spodem. Jeśli nie zawróci jej biegu, tama wkrótce się przeleje. Miasto zatonie. Może to potrwać bardzo długo. Może ciągnąć się miesiącami albo nawet latami, bo te nowo powstałe strumyki były drobne. Stanowiły zaledwie pęknięcia w twardej skale. Ale jeśli owe pęknięcia się rozrosną, jeśli doliną Stefin-Ekarta wstrząśnie kolejne trzęsienie, zgromadzonej wody nie da się powstrzymać i zaleje miasto w przeciągu dni.

Albo gorzej, jeśli tama pęknie, stanie się to w przeciągu godzin.

Ta myśl przypomniała jej ostatni spór z Lindayem w Komnacie Bitewnej. „Jesteśmy w stanie zapewnić naszym

ludziom bezpieczeństwo, jeśli zajdzie taka potrzeba, czy to na naszej, czy na obcej ziemi” – słowa dawnego przyjaciela odbiły się echem w jej głowie.

Nie. Vivia na to nie pozwoli. Nigdy nie zgodzi się na związanie Nubrevny z Purytanami.

A jednak... Serrit Linday. Dlaczego pojawiał się w tylu wątkach? Sprzeciwiał się naprawieniu tamy od trzech lat od samego momentu jego powstania. Teraz układał się z Purytanami. I to w jego szklarni natknęła się na tunel do podziemi.

To tamto ukryte wśród krzewów przejście skłoniło Vivie do przybycia tutaj. Miała zamiar trafić do niego z podziemi i była skłonna się założyć, że znajdzie je po drugiej stronie jaskini.

Przemarżała na kość, nim wyłoniła się z jeziora. Rwał się jej oddech, gdy wciągała na siebie walające się po podłożu ubranie. Ale gdy się obróciła, złowiła wzrokiem migocące światło. Nad jej głową zgasła kolejna kolumna grzybów, jakby chmura przysłoniła księżyc.

Trzy z sześciu. Martwe.

Co dzieje się na powierzchni i pod spodem, dzieje się i w głębinach, przyszło jej na myśl. A zaraz potem: Furia kazał znaleźć brakującą Prastudnię.

Vivia zachwiała się na nogach. Nie, nie... Linday nie może mieć racji. Chyba że... Obok każdej Studni rosło sześć drzew. A tutaj, zamiast drzew, świeciły płomyki. Każda ze Studni była źródłem magii, a Vivia wiedziała więcej niż ktokolwiek o magicznej energii obecnej w wodach jeziora.

Lata temu nauczyciele opowiadali jej, że pięć Prastudni wybierało władców Czaroziem. Miało to jakiś związek z Dwunastoma Paladynami i choć nie pamiętała dokładnie jaki, przypomniała sobie, że Nubrevna zachowała niepodległość dzięki Studni Wody na południu nawet w czasach gwałtownej ekspansji ościennych imperiów.

Ale kto wie, może podręczniki historii przemilczały jakiś istotny szczegół. Była przecież jedna Studnia, o której nie dało się

znaleźć w nich nawet wzmianki. Jedna Studnia przypisana żywiłowi, w którego istnienie nikt nie wierzył.

Studnia Otchłani.

Tylko że Vivia nie była przecież otchłaniarzem, podobnie jak jej matka czy babcia, więc jakim sposobem moc dziedziczona w jej rodzinie miałyby brać się właśnie stąd? To nie mogła być Prastudnia.

Po prostu nie mogła.

Ale jeśli była... To znaczy, że zdołałaby uzdrowić ojca. To istota magii Prastudni. Posiadała siłę zdolną uleczyć każdą chorobę. Mogłaby sprowadzić tu Serafina i spróbować. Jeśli źródło go uleczy, zyska pewność, że ma do czynienia z najprawdziwszą Prastudnią.

Ta myśl wypełniła puste od lat miejsce w jej piersi. Wypchała je do szczętu. Zupełnie jakby tak naprawdę wcale nie chciała przyprowadzić tu ojca.

Niczego nie żałuj. Byle do przodu.

Złapała latarnię.

– Płoń – rozkazała i wwierciła się wzrokiem w jaśniejący w ciemności blask. Tysiąc pytań cisnęło jej się na usta, ale teraz należało działać, a nie pytać. Rozważy je wszystkie w czasie poszukiwań. Podziemne miasto samo się nie znajdzie.

A to na powierzchni samo nie uratuje.

\*\*\*

Sama.

Iseult znów została zupełnie sama. Zastanawiała się, co gorszego od krwiodzieja może ją spotkać na Ziemi Niczyjej. Aeduan porzucił ją u wlotu głębokiego wąwozu. Teren nadawał się do ucieczki, gdyby zaszła taka potrzeba, widoczność była nie najgorsza, mogła więc obserwować okolicę i gdyby zaszła potrzeba, uciec przed jakimś niespodziewanym zagrożeniem albo skryć się wśród opasłych, omszałych pni oraz sterczących z podłoża ciemnych granitowych słupów.

Znalazłszy kawałek płaskiej skały, położyła swój bagaż i wzięła się za upolowanego rano królika, który przez cały dzień dyndał smętnie uwiązany do sakwy na plecach Aeduana i który, jak jej



się zdawało, gdy na niego spojrzała, odwzajemniał jej spojrzenie martwymi oczami.

Z trudem rozciągnęła zeszywniałe, zimne truchło na skale. Oby tylko mięso nie okazało się zepsute.

Cóż, jest tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Podwinęła rękawy. Wełniany płaszcz Aeduana wisiał na niej jak na wieszaku, ale czuła się w nim bezpieczniejsza. Pachniał dymem i starym potem. Nie taki zły zapach, po prostu... wyczuwalny.

Opłukawszy ręce wodą z menażki, dobyła kordelasa. Sprawnie odkroiła łapy w przegubach, ale sporo się namęczyła, żeby poprowadzić cięcie przez grzbiet. Była tak skupiona na opracowaniu zwierzyny, że przedobrzyła i cięła zbyt głęboko, uszkadzając któryś z narządów (psując tym samym mięso). Nie zauważyła zbliżających się nici Więzi, nim te zaczęły tańczyć jej przed oczami.

Właściwie gdyby poczekała jeszcze dwa oddechy z sięgnięciem swoim więziodziejskim zmysłem, mężczyźni zauważyliby ją pierwsi. Księżycowej Matce dzięki, jej nawyk okazał się silniejszy niż głód.

Sześć wachlarzy purpurowych nici z domieszką stalowej szarości zakradło się w jej stronę. Pragnienie przemocy, ochota na zadawanie bólu. Zbliżali się. Zobaczą ją dosłownie za sekundę.

W głowie miała pustkę. Nie było czasu na wymyślenie sensownej reakcji, na ułożenie planu działania. Jedynym wyjściem stała się ucieczka. Porwała więc kordelasa i popędziła do wąwozu, gdzie podłoże rozkładało się płasko, a roślinność pojawiała się z rzadka.

Nici zapłonęły różem i zielenią. Ekscytacja i determinacja. Ich właściciele puścili się pędem w ślad za nią. Ale dlaczego, dlaczego? Kim byli i czemu na nią polowali? W odróżnieniu od posłanych za nią przez Esme rozszczepieńców teraz gonili ją ludzie z krwi i kości. Nici były nietknięte, a ich barwy nie pozostawiały wątpliwości. Jeśli ją złapią, zrobią jej krzywdę.

Przyspieszyła. Straciła poczucie czasu, gnała na złamanie karku. Nie widziała nic poza porośniętym łysawymi paprociami

ślizgawym podłożem przesuwającym się pod jej stopami. Nie zważała na nic poza kamieniami na swej drodze, które mogłyby ją spowolnić, i wiszącymi nad głową niciami zdążającymi za nią mężczyźni.

Jeden z nich ryknął coś za jej plecami w nieznanym języku. Nici zapłonęły jaskrawiej. Czuła bijącą od nich poświatę głodu, jak u polujących drapieżników. Krzyk miał ją przerazić, odebrać resztki odwagi.

Podziałał. Nieomal potknęła się o wystający spod ziemi korzeń, ale jakimś cudem odzyskała równowagę. Ponownie zwiększyła tempo, złapawszy mocniej rękojeść broni.

Tam. Nie ma drzew. Widać niebo. Myśli wciąły jej się w umysł jak trzy zimne sztylety, jeden po drugim. Nie ma czasu. Nie ma planu.

Dotarła na skraj lasu, wybiegła na nagie kamienne podłoże. Przed nią toczyła swe spienione wody wezbrana rzeka Amonra, czarna i zimna. Wiedziała, że tak porywistego nurtu przestraszyłby się nawet wododziej. Nie zdołała go pokonać wpływ.

Rzuciła się w prawo. Brzeg jeżył się ostrymi skałami, zalegały tam zwalone pnie, a płaski grunt przechodził dalej w opadającą nisko ku rzece skarpe. Obejrzała się.

Błąd. Mężczyźni siedzieli jej na ogonie. Byli już na tyle blisko, że widziała na ich twarzach ślady po ospie, blizny i bezzębne uśmiechy. Wijące się między nimi nici Więzi wskazywały na to, że wykonywali ten sam rozkaz. Że byli kamratami skupionymi na wspólnym celu.

Iseult ostatnim desperackim zrywem popędziła nogi do jeszcze szybszego biegu. Dyszała gorączkowo, dusząc się mgłą wzbijaną w powietrze łomotem wody. Przed nią rozpościerały się Wodogrzmoty Amonra. Poczowała drżenie pod stopami, a gdy podbiegła bliżej, huk rozbijających się o taflę rzeki mas wody wstrząsnął jej żołądkiem i sercem. Kropelki wody rosły jej twarz i chłodziły odkrytą skórę. Ogłuszyło ją wycie wodospadu.

Spokój, Iseult! Bądź jak kwiat, jak kwiat na tafli jeziora. I biegnij!

Ale nie mogła się uspokoić. Nie miała już sił biec, a nie wolno jej było zwolnić. Nie wymyśliła planu, a bez planu nie wiedziała, co począć. Przyparli ją do muru, pozostało jej biec prosto w łapy łowców albo rzucić się w spienioną toń i dać się porwać nurtowi.

Safi sforsowałyby ten mur. Bez przygotowania, bez planu i obezwładniającego strachu, po prostu wkroczyłyby do akcji. Safi nie czekałaby na cud. Z miejsca dostrzegłaby jakieś rozwiązanie.

Przypomniała sobie, że Safi powiedziała kiedyś, że jeśli coś jest głupie, ale działa, to znaczy, że nie jest głupie. Wtedy Iseult spytała, jakim więc cudem zawsze ona musi ratować Safi skórę. Przyjaciółka uśmiechnęła się wówczas rozbijając i odpowiedziała, że mimo wszystko zawsze jest jakaś skóra do ratowania.

Miała rację. Księżycowa Matko, ona miała rację. Czasem najmądrzejsze wyjście wydaje się tym najgłupszym.

A czasem nie ma się innego, tylko to najgłupsze.

Iseult obróciła głowę w prawo, nie przerywając biegu, i ogarnęła wzrokiem miejsce, w którym rzeka uderzała o brzeg. Cokolwiek niosła ze sobą woda, nie wypływało tu na powierzchnię, prąd rwał zbyt silnie. Amonra trzymała patyki i gałęzie przy samym dnie.

O bogini, to przecież głupota wchodzić do takiej rzeki. Straszna głupota.

Działaj teraz. Myśl później. Zaczynaj. Zakończ.

Teraz albo nigdy. Spomiędzy drzew wypadli łowcy.

Iseult zaczęła. Skoczyła. Jej stopy oderwały się od błotnistej ziemi. Wilgotne powietrze omyło jej policzki, a z lasu dobiegły ją krzyki. Nici natychmiast rozbłysły turkusowym zdumieniem i karmazynowym gniewem. I wtedy zaczęła spadać.

Dopadła ją pojedyncza, raptowna myśl. Nie jakiś namacalny koncept, nie opisujące go słowa, ale raczej wrażenie rozchodzące się na całe jej ciało w miarę zbliżania się czarnej toni.

Robiłaś to już. Wiesz, co robić.

Ręce pomknęły instynktownie do wełnianego płaszcza. Szarpnęła zgrabiałymi palcami. Jej stopy złączyły się ze spienioną wodą. Zimna, mroźna, prawie lód. Prąd natychmiast wciągnął ją

pod powierzchnię. Wytłoczył jej z płuc resztki powietrza. Odebrał wzrok i słuch.

Amonra ją pochłonięła.

Gdy tonęła, wyplątała się z płaszcza, a ten rozpostarł się nad jej głową, odwracając uwagę i osłaniając ją, gdy płynęła w dół rzeki, nie mogąc dobyć tchu. Nie panując nad własnym ciałem. Mogąc tylko poddać się miotającym nią siłom.

## ROZDZIAŁ 20

Wykąpawszy się pod czujnym okiem Lev, Vanessa i Safi zostały zmuszone do ponownego odziania się w brudne, podarte ubrania.

Przy wyjściu z łaźni Lev posłała im przepaszające spojrzenie.

– Zander szuka wam jakichś ciuchów – oświadczyła, a potem zajęła pozycję za ich plecami i kazała maszerować do pokoju na czwartym piętrze.

W środku znalazły olbrzymia, który na ich widok utkwiał wzrok w podłodze.

– Mam kilka różnych sukien. Nie byłem pewien, co damy takie jak wy zechciałyby włożyć.

Safi i bez magii wiedziała, że mówił szczerze. Wbrew rozsądkowi opromieniła go uśmiechem.

– Dziękuję, bardzo.

A potem została z Vanessą sam na sam, podczas gdy Lev i Zander zaczęli spierać się o coś na korytarzu. Cadena nigdzie nie było.

– Dwie na dwoje – mruknęła po marstocku Vanessa, sunąc w kierunku łóżka. – Gdybym tylko nie miała na sobie tego kołnierza – zaszamotała się w ściemniałych od wody drewnianych dybach – dałabym im radę z palcem w nosie.

Safi tymczasem podbiegła do okna. Zostawili otwarte okiennice. A choć czwarte piętro znajdowało się o wiele za wysoko jak na jej gust, to niech to cap wygrzmoci, przynajmniej spróbuje...

Stanęła przed oknem i ogarnęła wzrokiem panoramę Saldoniki, zatrzymując się na dłuższą chwilę przy wystającym ponad resztę budynków gmachu areny. Ale gdy ruszyła przed siebie, zderzyła się ze ścianą powietrza... Serce podeszło jej do gardła. Magia. Zaklęcia ochronne, uświadomiła sobie, choć nie

miała pojęcia, przed czym chroniły ani jak piekielni bardowie mogli posługiwać się czarami, skoro polowali na czarodziejów.

Spróbowała raz jeszcze wyskoczyć przez okno, a potem jeszcze raz, na próżno – za każdym razem waliła głową o niewidzialną barierę, aż mroczki zatańczyły jej przed oczami.

– Więc to tak działają zaklęcia ochronne – rzekła z namysłem Vanessa, która nie ruszyła się sprzed łóżka. – Dobrze wiedzieć.

Safi warknęła coś sfrustrowana, a potem skrzywiła się boleśnie i przyłożyła dłoń do obolałego czoła, by sprawdzić, czy nie krwawi. Po chwili niechętnie odkleiła wzrok od opromienionego słońcem błękitnego morza. Stanąwszy obok cesarzowej, jednym ruchem zdarła z siebie postrzępione ubranie. Vanessa, jak to Vanessa, rozbierała się nieco cierpliwiej. Ostrożnie wysunęła się z brudnej sukni i złożyła ją schludnie w mały kwadracik.

Serce Safi o mało nie wyrwało się z piersi. To było tak bardzo w stylu Iseult... Jakże znajomy kontrast – przebijająca głową mur Safi i jej spokojna, poukładana towarzyszką.

Zrobiło to na niej tak wielkie wrażenie, że zachwiała się na nogach, trzymając w palcach jednej ręki zieloną suknię przeznaczoną na polowania, a w drugiej machinalnie ściskając wilgotny po kąpieli kamień Więzi.

Wtedy przeszył ją grom przerażenia. Klejnot migotał. Iseult.

– Co to znaczy? – zaciekawiała się Vanessa.

– To znaczy, że moja więziorodzina jest w niebezpieczeństwie.

– Safi słyszała swój głos jakby z daleka. Wierciła się, stojąc w miejscu, próbując dociec po częstotliwości migotania, w którym kierunku znajduje się Iseult. – Gdzieś... tam – dodała, obróciwszy się w stronę północnego zachodu.

Opuściło ją całe zmęczenie. Safi musiała biec. Musiała ją ratować.

Cesarzowa pojęła w lot, co kłębiło się w głowie prawdziwej.

– Mam plan, jak nas stąd wydostać – wyrzekła po marstocku, okraszając słowa udawaną nonszalancją.

Safi mrugnęła, wwiercając się wzrokiem w Vanessę.

– Kłamałaś, mówiąc, że Baedyedowie chcą cię zabić.

– Zgadza się. – Vanessa wybrała ze stosiku ubrań musztardową suknię i przyłożyła do ciała, mierząc długość. – Na krótko przed Szczytem Rozejmowym doszłam do porozumienia z Baedydami. W myśl umowy miałam im zwrócić połąć Piaskowego Morza w zamian za możliwość włączenia ich okrętów do marstockiej floty, w razie potrzeby. Widzisz więc, że nie są mi teraz wrogami, lecz sojusznikami.

Prawda, wymruczała magia Safi.

– Zatem pomogą nam?

Vanessa trzema szarpnięciami przecisnęła kołnierz przez otwór na głowę, a gdy suknia opięła się na jej ciele, w drzwiach pojawiła się Lev.

– Gotowe?

– Prawie – zaszcebiotała Vanessa, a potem szepnęła prędko do Safi: – Bądź czujna. Wkrótce po nas przyjdą.

– Świetnie. – Safi nie mogła powstrzymać kwitnącego na ustach mrocznego, tryumfального uśmiešku, kryjącego się pod wkładaną przez głowę suknią w kolorze leśnej zieleni. Była nieco luźna w biuście, a spódniczka ledwie zakrywała połowę uda, ale właściwie wolała nosić się w ten sposób. Mogła się dzięki temu swobodnie poruszać. I swobodnie walczyć.

Idę po ciebie, Is.

Drzwi rozwarły się z impetem i do pokoju wparował Caden, kierując się do Safi i omiatając wzrokiem jej kusą sukienkę. Ledwie dostrzegalnie skinął aprobująco głową. Był wykąpany i miał na sobie świeże ubranie, ale żadnego pancerza. Żadnej kolczugi ani brygantyny, żadnych karwaszy ani hełmu. Tylko miecz przy boku. Wydawało się, że z ramieniem już o wiele lepiej.

– Heretyczko – zaczął, stając przed Safi. – Załóż buty.

Safi uniosła brew.

– A to czemu, bardziej?

– Ponieważ idziemy na małą wycieczkę, ty i ja, a nie bez powodu tubylcy mówią, że ulice Saldoniki wybrukowane są łajnem.

\*\*\*

Caden nie skrępował Safi, ale za to nie odejmował noża od jej pleców, każąc jej iść przed sobą we wskazanym kierunku. I na wszelki wypadek nie dalej od siebie niż o długość ramienia.

Żaden wszelki wypadek nie nastąpi, pomyślała. Nie miała zamiaru dać drapaka teraz. Jej kamień Więzi przestał błyskać, co wcale nie zmieniło jej postanowienia, by uciec, z tym że ulicami Saldoniki o wiele łatwiej i bezpieczniej będzie umykać w obstawie baedyedzkich piratów.

Caden nie mylił się co do tutejszych ulic. Rzeczywiście były usłane ekskrementami i wszelkim śmieciem. Rzucano się to w oczy, gdy tylko zostawiono się za sobą czyste aleje baedyedzkiej dzielnicy.

– Dokąd idziemy? – rzuciła Safi przez ramię do Cadena. Znowu znaleźli się na jakimś rynku, gdzie łopotały na wietrze krwawe bandery Żagli. – Nie mówiłeś czasem, że Żagle nas pozabijają?

– Zrobiliby to bez mrugnięcia okiem – odparł Caden, przekrzykując popołudniowy gwar. – Poprzysięgli pozbawić życia każdego Cartorrianina, który będzie miał nieszczęście stanąć na ich drodze. Dlatego też nie będziemy się odtąd posługiwać cartorriańskim i nie zabawimy tu długo.

Zabawimy gdzie? – chciała dopytać. I po co w ogóle ją tam ciągnie? Ale nie zdążyła, bo zbliżali się właśnie do przysadzistej bramy, gdzie czekali uzbrojeni po zęby mężczyźni.

Obrzucili Safi i Cadena spojrzeniem. Źli ludzie, tacy, których lepiej nie spotkać po zmroku w ciemnej ulicy. Magia Safi zadrżała, mówiąc jej wszystko, co potrzebowała wiedzieć. Całe szczęście nie ruszyli za nimi na zdradliwe bagnisko, jakim było terytorium Krwawych Żagli.

Baedyedowie oczyścili ziemię i założyli po swojej stronie półwyspu miasto z prawdziwego zdarzenia, ale Żagle pozostawiły dżunglę nietkniętą. Ich świat wyglądał tak, jak Safi sobie to wyobrażała, jak opisał jej Habim. Rozpadające się chaty wsparte o potężne korzenie lub oblezione przez bluszcz ruiny, pobudowane gdzie bądź, bez ładu i składu, niemal wszystkie



osadzone na palach, jakby rozmiękłą połąć ziemi zalewała powódź przy byle mżawce.

Pomiędzy budynkami rozciągnięto mosty linowe. Safi widziała zawieszane na sznurach przy odrapanych oknach pranie. I wisielców na gałęziach. Niektórych wzdętych, innych zupełnie świeżych, z innych zostały tylko białe kości.

Oto do czego prowadzi absolutna wolność. Oto czego dopuszczali się ludzie, którym zdjęto imperialne jarzmo i których nie obowiązywało żadne prawo.

„Cartorrze daleko do ideału, heretyczko, ale przynajmniej jest bezpieczna. Jest tam dość żywności, jest bogactwo, drogi, szkoły. Mógłbym wymieniać dalej, bo lista jest długa”.

Bądź przeklęty, piekielny bardziej. Niech cię szlag trafi za to, że masz rację. Prawdziwość jego słów rozchodziła się po jej magii złotym, kojącym pulsem, który mąciły tylko docierające skądinąd sygnały nieprawdy, jak spadające krople mącą kręgami spokojną taflę jeziora.

Caden poprowadził Safi w górę wąskiej uliczki wijącej się między ruinami i drzewami. Stłumiona muzyka, rozmowy oraz odgłosy rozbrzmiewające zwykle w zamtuzach zaprowadziły ich do budynku, nad którego wejściem wisiał poskrzypujący na delikatnej bryzie szyld w kształcie kwiatu z napisem: POZŁACANA RÓŻA.

Caden nakazał Safi zatrzymać się przed skleconym z desek budynkiem.

– Zaszła tu pewna admirał, którą muszę... przepytac. Twoim zadaniem, heretyczko, jest powiadomienie mnie, jeśli skłamię.

– Po moim gnijącym i śmierdzącym trupie! – prychnęła. – Nigdy nie pozwolę ci skorzystać z mojej magii, bardziej.

– Nie bardzo masz wybór. – Pomachał sztyletem, na klindze błysnął promień słońca.

– Och, myślisz, że uda ci się mnie zmusić? – Zatrzepotała rzesami, zakładając ręce za plecami. – Mówiłam ci już, jestem prawdopodobną, ale sama umiem kłamać jak z nut.

Teraz Caden prychnął.

– Chyba raczysz żartować. – Włożył sztylet do pochwy przy biodrze. – Wtedy w Veñazie nie musiałem nawet korzystać ze zdolności piekielnego barda, by cię rozpracować. Sama zdradziłaś się przede mną.

Safi zesztyniała na te słowa. A potem, wbrew rozsądkowi, połknęła przynętę.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli – powiedział, przychyliwszy się do niej – że można z ciebie czytać jak z otwartej księgi. Co w sercu, to na twarzy.

– Nieprawda.

– Prawda, prawda. – Na jego usta wypłynął wredny uśmiešek Rzeźbimieszka, na widok którego zagotowały jej się wnętrzności. O mało mu nie przyłożyła. – A więc nie muszę polegać na twojej prawdomówności. Wystarczy, że na ciebie spojrzę, i będę wiedział, czy kłamię, czy nie. A teraz... – delikatnie ułożył dłonie na jej ramionach i okręcił ją twarzą do rozłazących się drzwi Pozłacanej Róży – wejdźmy do środka i uwińmy się z tym, zanim dołączymy do trupów na drzewach.

## ROZDZIAŁ 21

Nie powinno tak być – wymamrotał Merik, zapuszczając się z Cam w głąb ciągnących się pod ziemią korytarzy, które dwa poziomy poniżej wejścia do Cystern wciąż były pełne ludzi. Światło starej pochodni migotało jednakowo w pustych oczach wtulonych w kamienne ściany bezdomnych i przemykających wśród nich szczurów. – Człowiek powinien żyć w takim miejscu, by zawsze móc spojrzeć w niebo.

– Nie spodziewałem się, że się pan przestraszy, sir. – Cam rzuciła mu przez ramię zawiadaczki uśmiezek.

– Ja się nie boję, majtku – zjeżył się Merik. – Ale nie ma tu czym oddychać. Czuję... że się duszę.

– Dopiero co byliśmy na zewnątrz. Musi się pan przyzwyczaić. Do Brązowej jeszcze daleko, tam dopiero będzie walić.

Dziewczyna wcale nie przesadzała. Pokonawszy kolejne sześć poziomów, Merik poczuł zbierający się w tunelach fetor. Nawet gdy sufit się unióś, a ściany rozstąpiły, gardło paliło go od odurzającego, ostrego swędu.

Nawet Cam zgięła się w pół i rozkasłała, nie mogąc złapać tchu i trzęsąc światłem pochodni.

– No to jesteśmy w dupie – wycharczała, a Merik nie był pewien, czy sili się na żart, czy tak tylko jej się powiedziało. Tak czy inaczej, przyznał jej w duchu rację.

Na niesławną ulicę Brązową trafili trzy zakręty później. Cam zasłoniła usta dłonią i uniosła pochodnię. Płomień prześlizgnął się połyskliwie po kanale wypełnionym grudkowatą mieszaniną płynów ustrojowych oraz innych rzeczy, bynajmniej nie w ciekłym stanie skupienia. Ze szczeliny pomiędzy cegłami sklepienia kapiała jakaś oleista, ciemna ciecz. Gorszy od tego odrażającego widoku był tylko ohydny odgłos kapania, i opasłe, tłuste bąble, które wzbudzały spadające z sufitu krople.

– Przefrunie nas pan na drugą stronę?

Merik zastanowił się, oddychając z trudem przez przyciśnięty do twarzy materiał kaptura. A potem zaprzeczył ruchem głowy.

– Mógłbym, gdybym zdołał przywołać wichry. A tu ich nie znajdę. Chyba tylko wiatry.

– Lepiej przefrunąć do połowy niż brodzić w tym obrzydlistwie całą drogę. – Cam pokazała palcem. – Tunel jest prawie pełen, sir! Tamta linia – wskazała na kreskę znaczącą przeciwległą ścianę – oznacza poziom, do którego sięgają ścieki, zanim spłucze je fala. Będziemy brodzić po kolana, sir!

Merik nie odpowiedział. Myślał o tym, jak bardzo chciał się dowiedzieć, co jego siostra knuje w Cysternach. Ale... jego chcenie lub niechcenie nie miało żadnego znaczenia. Mieszkańcy miasta potrzebowali jego pomocy i koniec.

Wiatrodziej zagryzł zęby. Miejsce zaznaczone na mapie krzyżykiem znajdowało się już tylko kawałek dalej.

– Słyszał mnie pan? – domagała się odpowiedzi Cam. – Zanurzymy się prawie po kolana. To znaczy... – Jakimś sposobem wyraz obrzydzenia na jej twarzy jeszcze się wzmógł, zacisnęła powieki. – To znaczy... chlusną lada moment.

– Cholera – zaklął Merik, pierwszy raz od dawna. – Cam, masz na mnie czekać gdzieś blisko, w bezpieczniejszym tunelu.

– Nie zostawię pana – zaperzyła się. – Wiem, że ciągle jęcę, ale widzi pan, to moja wina. Powiedziałem, że tamte godziny na mapie oznaczają pory zakończenia zalewu, a nie rozpoczęcia...

– Nie obwiniaj się, majtku. – Pośpiech wywołał w jego głosie ostrzejszą nutę. – To ja założyłem, że to godziny spotkań. Bo kto wie, może tak jest? Nie pójdziesz ze mną dalej, to zbyt niebezpieczne.

– Ale dla pana też! – wypaliła. – A poza tym, jak z panem nie pójde, to pewnie znowu zamajstruję coś głupiego. – Wypięła pierś. – Nie powstrzyma mnie pan.

Niezręczna cisza. Cam wyglądała w świetle pochodni na jeszcze drobniejszą niż zwykle. Ależ ona jest uparta.

Głupi brat Filip do ciemnej jaskini

Prowadził ślepego brata Daretę,

Choć wiedział, że mieszka tam Krabów Władczyni,

To wcale a wcale się nie bał.

– Jeśli coś ci się stanie... – zaczął.

– Nic się nie stanie.

– ...to zniszczysz nowe buty.

– I tak wolę chodzić boso.

– Dobra – rzucił, a Cam błysnęła zębami w zwycięskim uśmiechu. To zamykało temat, choć Merik chętnie by się jeszcze pospierał, bo koniec kłótni oznaczał spacer przez kanał zalany zawartością nocników całego Lovats.

Niech to piekło pochłonie! Gdyby rok temu ktoś mu powiedział, że będzie brodził po kolana w ściekach... Albo że będzie trupem uciekającym przed własną rodziną.

Ruszyli z mozołem przez zalany kanał, a kiedy wreszcie zobaczył przed sobą ścianę, dobiegł go głos Cam:

– Do zaznaczonego miejsca idzie się tamtędy, po schodach w górę...

Merik prawie krzyknął z ulgą. Rozwidlający się tunel dzielił potok ekskrementów na dwoje. A zaraz obok otwierał się w ścianie tunel oświetlony wątłym blaskiem pochodni. Książę wgramolił się na sięgający pasa chodnik, a potem pomógł towarzysze.

Wyglądali ohydnie, umazani brązowym błotem i śluzem, na który nie sposób było spojrzeć bez odruchu wymiotnego. Mimo że obydwójce tupali i ocierali się o ściany, próbując choć trochę oczyścić się z łajna, przyprawiająca o mdłości maź trzymała się, jak mogła.

Wkrótce minęli próg tunelu, gdzie zelektryzowała ich magia zaklęcia ochronnego, tak jak przy wejściu do Cystern. Merik uprzytomnił sobie, że zadaniem czarów było nie tylko odpędzanie

nieproszonych gości, ale przede wszystkim nieprzepuszczanie podnoszących się ścieków.

– Czy kogoś kiedyś porwała woda podczas splukiwania? – spytał.

Cam wzruszyła jednym ramieniem, odrzucając kaptur z głowy.

– Oczywiście, że tak, sir.

Zadarła głowę i spojrzała tam, gdzie niknęły w mroku słabo oświetlone schody, po czym, nie upewniwszy się nawet, czy Merik idzie za nią, zaczęła się wspinać.

\*\*\*

Przebrawszy się w świeży mundur, który zawsze trzymała za krzakiem jagód, Vivia ruszyła pałacowym ogrodem. Gdy mijała wiśniowe drzewa, nagle usłyszała jakiś hałas.

Zwolniła kroku, obróciła się. I zobaczyła Serafina zmierzającego do sanktuarium królowej. Za nim włókł się ogon służących i dwaj uzdrowiciele w tradycyjnych brązowych togach.

Ot, dziwnostka, pomyślała. Król rzadko opuszczał swoje komnaty, a w ogrodzie nie pokazywał się zgoła nigdy.

Nim Vivia podbiegła do pokrytej bluszczem ściany, stanęła już przy niej cała świta. Szczur pchnął wózek króla i władca wtoczył się do ogrodu swojej zmarłej żony. Chłopiec następnie wrócił za bramę, unikając spojrzenia Vivii, gdy skłaniał się przed nią naprędce, a ona unikała jego wzroku, kierując się od razu do króla.

Serafin patrzył na staw. Aureola siwych włosów otaczała łysą czaszkę. Wciąż miał na sobie koszulę nocną. Vivia nie mogła uwierzyć, że pozwolił wszystkim oglądać się w takim stroju. To jedna z rzeczy, za które sam wielokrotnie rugał jej matkę.

Vivia wyprostowała się i podeszła do ojca sztywna jak maszt. Jej postawa miała wyrażać, że nie dzieje się nic nadzwyczajnego, że absolutnie nie ma się czym denerwować.

Co było nieprawdą. Jej ciało kłamało, gorączkowe myśli ściagały jej się w głowie. Czy na pewno zamknęła klapę? Czy nie zdradzi jej ślad stopy na trawie lub ułamana gałązka? Czy nie zdeptała przypadkiem irysów?

– Sur? – rozległ się suchy głos króla.

– Nie, Wasza Wysokość – odpowiedziała. – To ja, Vivia.

– O, jaka miła niespodzianka. – Król przechylił głowę, tak że mogła zobaczyć jego poszarpane ucho. – Bądź tak dobra i pomóż mi wstać.

– Panie? – Przypadła do niego, żywiąc nadzieję, że nie będzie próbował podnieść się o własnych siłach. – Czy to na pewno dobry pomysł?

Spojrzał jej w oczy.

Ledwie stłumiła okrzyk. Półmrok królewskich komnat ukrył przed nią woskową barwę jego skóry i zapadnięte, zmęczone oczy.

– Chcę usiąść na ławce Jany – wyjaśnił, ale gdy Vivia nie kwapiła się z pomocą, warknął: – Natychmiast.

Ciało może i go zawodziło, ale w jego sercu wciąż tliła się furia Niharów.

Vivia wsunęła mu rękę za plecy. Syknął z bólu, mrużąc oczy. Jest chudy jak szkielet, rzuciło jej się na myśl. Skóra i kości. Ogarnęło ją zupełnie nowe poczucie winy. Lekarstwo na chorobę króla może się kryć dokładnie pod nimi. Vivia nie powinna go przed nim zatajać.

\*\*\*

Powie mu o jeziorze. Oczywiście, że mu powie.

Cztery nierówne kroki później znaleźli się przy ławce. Była brudna, ale gdy Vivia wzięła się do ścierania kurzu, pyłu i nasion, król poprosił, by tego nie robiła.

Gdy już siedział, złapała wzrokiem wyraz jego twarzy. Zwinięte wargi, poruszające się nerwowo płatki nosa. Z początku pomyślała, że ławka jest jednak zbyt brudna jak na jego gust. Ale potem pojęła, że wpatruje się w jej marynarkę.

– Nie masz jeszcze na sobie admiralskiego płaszcza?

– Nie miałam czasu... – mruknęła. – Znajdę jakiś dzisiaj.

– Mnie tam wszystko jedno – wzruszył kościstymi ramionami.

– Tylko o ciebie się martwię, Vivio. Wizerowie posądzą cię o niechlujstwo, a służba będzie gadać, że wyglądasz jak matka. A tego byśmy nie chcieli, prawda?

– Nie – zgodziła się, choć jej zdaniem to raczej on wyglądał dzisiaj niechlujnie. I jak osoba niespełna rozumu.

– Jakież wieści o śmierci Merika? – spytał, odrywając wzrok od Vivii i na powrót zatapiając go w sadzawce. – Szpiedzy już dawno powinni się dowiedzieć, z czyjej ręki zginął.

Vivia otrzymała pewne informacje, ale okazały się nieskładne i chaotyczne. Pogmatwany trop wiódł z powrotem do Nubrevny. Sprawcą miał być ktoś z Nubrevenów, ale nie była gotowa powiedzieć o tym ojcu.

A przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Niestety nie, Wasza Wysokość – zełgała. – Ale wszystko wskazuje na to, że cesarzowa Marstoku zginęła w taki sam sposób.

– To dopiero była przywódczyni. Vanessa. Nieodrodna córka swojej niepospolitej matki.

Vivia przełknęła ślinę. Ja też mogę być dobrą przywódczynią, pomyślała.

– Jana była za delikatna, za miękka, by dobrze rządzić. – Serafin wskazał Vivii miejsce na ławce. – Nie to co my.

Księżniczka usiadła przy ojcu. Nie mogła opanować drżenia rąk, musiała zacisnąć pięści i przyłożyć je do ud. „Siedzenie na tyłku to najszybsza droga do szaleństwa” – przypomniała sobie. Zupełnie jakby to tłumaczyło drzenie. Jednakże im dłużej ojciec krytykował i czepiał się Jany, tym bardziej Vivia się zastanawiała, czy to czasem nie zdenerwowanie, ale szorstkie słowa wzbudzają żar, którym płoną jej policzki.

Wysłuchiwała już niezliczonych tyrad ojca na temat wielu ludzi z bliższego i dalszego otoczenia. Zwykle radowało ją to, że choć zdawał się nienawidzić wszystkich, ją zawsze darzył miłością. A jednak nigdy jeszcze uśmiechy i chichoty nie przychodziły jej z taką trudnością jak dzisiaj.

– Idioci – powiedział, a Vivia musiała chwilę pomyśleć, by dopasować obelżywe słowo do właściwej grupy ludzi. Uzdrawiciele, domyśliła się po chwili. – Ale mówią mi, że zdrowiej. – Serafin uśmiechnął się kącikiem ust. – To zasługa niharskiej krwi. Masz wielkie szczęście, że i w twoich żyłach krąży ta sama siła.



– Wiem – odpowiedziała, zapatrzywszy się na jego niemalże przeźroczystą skórę, cienką jak zrzucona węzowa łuska.

– Królewska linia na gwałt potrzebowała domieszki krwi Niharów – kontynuował Serafin ochotczo. – Zanim się pojawiłem, Jany nie darzono szacunkiem. Nie poważali jej ani cywile, ani żołnierze, a już zwłaszcza członkowie Rady. To ja sprawiłem, że zaczęli ją szanować, wiesz?

– Wiem – znowu machinalnie przytaknęła.

– I zdobędę też szacunek dla ciebie. – Uśmiechnął się czule, jego załzawione oczy zniknęły w fałdach pomarszczonej skóry. – Gdy już stanę na nogi, osobiście każę wizerom zwrócić ci koronę.

– Dziękuję. – Odwzajemniła uśmiech. Szczery, bo Noden jeden wiedział, co poczęłaby bez ojca u swojego boku i niharskiej krwi w żyłach.

Pewnie skończyłaby jak jej matka.

– Chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze, moja Vivio. – Bryza poruszyła strzępami włosów Serafina. – I wiem, że ty chcesz tego samego dla mnie.

Vivia stężała, ponownie uderzyła w nią fala piękącego wstydu. Jej ojciec był taki wątpy. Nieważne, co gadali uzdrowiciele. Wiedziała, że jedną nogą jest już na tamtym świecie.

A więc, oczywiście, spróbuje go uleczyć. Ma się rozumieć, że powie mu o podziemnym jeziorze. Owszem, coś pełzło w dół jej kręgosłupa na samą myśl o tym, i pamiętała doskonale, że Jana nakazała jej zachować podziemia w sekrecie, ale to było, zanim skoczyła z mostu i zostawiła Vivie samą. Zanim przedłożyła melancholię nad własną córkę.

Serafin trwał zawsze przy niej. Był dobrym ojcem, nawet jeśli Vivia nie zasługiwała na dobrego ojca.

Zaczerpnęła tchu, gotowa wskazać ukrytą wśród jagód klapę, gdy nagle rozległ się jazgot dzwonów.

Pałacowy alarm.

Vivia zerwała się na równe nogi i natychmiast zaczęła wydawać polecenia. Rozkazała strażnikom bronić króla, a później, prawie szeptem prosząc ojca, by zachował spokój, wybiegła z ogrodu królowej. W połowie rzędu cukinii wpadła na Stix.

– Co się dzieje? – przekrzyczyła raban, próbując nie zwracać uwagi na jej rozczochrane włosy i opuchniętą twarz. Jakby dziewczyna całą noc balowała.

– Spizarnie – odkrzyknęła pierwsza oficer, popędzając księżniczkę ruchem dłoni. – Ktoś się tam włamał i, sir, myślę, że to może być Furia.

\*\*\*

Po ogłuszającym huku zalewu cisza panująca we wznoszącym się tunelu stała się wręcz niepokojąca. Jak tak niewielka warstwa skały mogła stłumić rozlegający się poniżej grzmot? Merik tego nie rozumiał, zwłaszcza że wciąż czuł wstrząsy w nogach i płucach.

Panował tu tylko niewiele znośniejszy zapach, bo choć Merik i Cam opuścili już Brązową, wciąż byli utytlani w odchodach.

Dziewczyna naliczyła szeptem czterdzieści cztery stopnie, nim stanęli przed ceglana ścianą przeciętą szeroką, poszarpaną szczeliną. Wyglądała, jakby powstała naturalnie i niedawno, wokół wciąż walały się skalne odłamki. Ale Merik wątpił, by pęknięcie było naturalne, bo to właśnie tu zaprowadziła ich mapa. Schylił się i wszedł do środka, żeby za moment wymacać w ciemności wilgotny cedrowy regał. Przesunął się wzdłuż niego i odkrył, że znajduje się w jakiejś piwnicy.

Królewskie spizarnie. Poznał je od razu. Wyglądały dokładnie tak, jak pamiętał: nierówne półki zastawione skrzynkami, pudłami, workami i butelkami.

Przez kilka przeciągłych oddechów czekał i nasłuchiwał. Szukał uchem jakichś oddechów w zastałym powietrzu, mrużył oczy, próbując przeniknąć półmrok wzrokiem, wyłowić jakieś kształty w mętym świetle magicznych latarni.

Nie usłyszał nikogo, nikogo też nie zobaczył. Jedynym rozchodzącym się po magazynie dźwiękiem było kapanie wody, która gromadziła się w kałuży na podłodze. Granit płakał osadzającymi się na ścianach kroplami. Może jakiś przeciek w fundamentach.

– Znajdujemy się na najniższym poziomie królewskich piwnic – oznajmił Merik przyciszonym głosem.

– No proszę – odezwała się Cam tonem zdradzającym zaskoczenie. – Kto by pomyślał, że tak łatwo się do nich dostać...

Książę skinął głową. Teraz przyszło mu na myśl, że może krzyżyk na mapie wcale nie oznaczał miejsca spotkania, tylko dziurę w Cysternach, którą trzeba kiedyś załatać?

Ale oto przeniknęli do zamku. A skoro już tu byli, Merik miał zamiar się rozejrzeć. Zwłaszcza że nigdy jeszcze nie widział zapasów zgromadzonych na najniższym poziomie. Półki na dwóch wyższych zwykle uginały się od jedzenia, ale pozostałe cztery piętra zionęły zwykle, a właściwie zawsze, pustką.

Merik zaszedł do magazynów dwa miesiące temu. Zapisał się na poziom drugi, gdzie nie znalazł nic poza myszami, więc wrócił do ojca, by poprosić o wysłanie emisariusza do Veñazy, zanim rozpocznie się Szczyt Rozejmowy.

Serafin wyraził zgodę i powierzył to zadanie Merikowi – polegało ono nie tylko na odtworzeniu więzów handlowych, ale również na reprezentowaniu monarchii jako admirał Nubreveńskiej Marynarki Królewskiej na Szczycie Rozejmowym.

Im wyżej się wzbijesz, tym bardziej zaboli, gdy upadniesz.

– Chodźmy. – Wskazał kierunek podbródkiem, popędzając Cam.

W środku pomieszczenia znajdowała się spiralna klatka schodowa prowadząca na powierzchnię przez sześć poziomów składu.

Rząd za rzędem, wszystkie półki zapchano zapasami.

– Co tu pisze? – spytała szeptem Cam, wskazując ciężki jutowy wór. Pokonali już połowę drogi do środka pomieszczenia, gdzie nagromadzenie zapasów zaczynało maleć. – To mi nie wygląda na nubreveńskie litery.

– Bo nimi nie są – zaspokoił jej ciekawość Merik, skubiąc upaprane rękawy. – To po dalmocku. Tutaj jest napisane: pszenica. Tam: jęczmień. – Przeskoczył palcem do skrzynki z czerwonym napisem. – Tam są suszone daktyle z Marstoku, a ten worek opisano po cartorriańsku. Orzechy drzewne.

Cam wydeła usta w kaczę dziób.

– Ale, sir... Skąd tu zagraniczna żywność? Myślałem, że nikt nie chce z nami handlować.

Merika też to zastanawiało, choć chyba się już domyślał. Wietrzył w tym marstocką broń, miniaturowe statki i morskie bitwy.

Rozżarzone węgle potoczyły mu się po plecach.

Zebrano tu o wiele więcej żywności, niż można nagromadzić przez dwa tygodnie piractwa. Vivia musiała wypuścić swoje lisy na morze kilka miesięcy temu. Na długo przed tym, jak zdradziła go i zostawiła na pastwę śmierci.

Im mniejsza odległość dzieliła go od środka komnaty, gdzie czekały na nich schody, tym bujniej rozrastał się jego gniew i tym bardziej stawał się pewien swoich domysłów. Tutaj wszystkie półki były już puste. Zupełnie jakby ten, kto gromadził zapasy, chciał je przed kimś ukryć.

– Do góry – rozkazał Merik. Musiał sprawdzić piąte piętro. Dowiedzieć się, czy tam jest tak samo.

Było. Jego płuca wypełniły się ogniem. Na piątym poziomie umieszczono jeszcze więcej towarów niż na szóstym, i żaden nie został opisany po nubreveńsku.

I wszystkie tkwiły w podziemiach, gdzie nikomu nie przyniosą pożytku.

To jedzenie powinno leżeć teraz na talerzach głodnych, którzy drzwiami i oknami walą do Twierdzy. W zgrabiących rękach kulących się w Cysternach bezdomnych. Albo, na głębie piekielne, powinno trafić do głodujących Niharów. A zamiast tego gnije tutaj, nikomu nie służąc. Chyba że Vivii.

Dość. Merik dość już widział. Nadszedł czas, by opuścić spiżarnię drogą, którą się do niej dostali. Nie odbywało się tu żadne spotkanie. Po prostu oznaczono wyrwę w ścianie, którą trzeba załatać.

Merik i Cam zbliżali się do schodów, gdy nie wiedzieć skąd dobiegł ich udreńczony jęk.

– Na pomoc...

Książę skamieniał w pół kroku.

– Na pomoc...

Cam złapała się za brzuch, nie ruszając się z miejsca.

– Musimy to sprawdzić, sir.

Merik pokręcił głową.

– Nie.

– Ktoś tam jest ranny, sir.

Znowu zaprzeczenie, tym razem bardziej zdecydowane. Merik czuł, jak w jego żyłach budzi się lodowate zimno. Coś potężnego i mrocznego, jakiś złowrogi cień z głębi piekieł. Uciekaj, póki możesz, poganiał go instynkt. Tu nie jest bezpiecznie!

Człowiek z cienia.

Merik złapał Cam za płaszcz, wciąż wilgotny i brudny, po czym pociągnął ją w stronę schodów. Pokonali trzy stopnie i... natknęli się na źródło jęków.

Na kamieniach leżał rozciągnięty mężczyzna z mieczem w brzuchu i wnętrznościami rozrzuconymi po podłodze. W jego oczach lśnił potworny ból, a twarz miał pokrytą plątaniną czarnych linii.

Ta śmierć była bardzo podobna do innej. Do innego morderstwa – tego, które popełnił Merik. Uciekaj, póki możesz, uciekaj, póki możesz...

Cam wyrwała się z jego uścisku i uklękła przy nieszczęśniku.

– Już dobrze – zanuciła półgłosem, próbując dodać mu otuchy.  
– Już dobrze.

Mężczyzna skupił na niej wzrok. Księżę dostrzegł w umierającym jakiś błysk, jakby mężczyzna rozpoznał Cam. Próbował przemówić, ale z jego ust połała się krew.

Strażnik nie miał najmniejszych szans na przeżycie, ale Cam słusznie uważała, że nawet martwi zasługują na współczucie. A więc pomimo tego, że wszystko w Meriku wyrzywało się w stronę wyjścia, zmusił się, by kucnąć przy dziewczynie. I wtedy zobaczył, że mężczyźnie brakuje palca.

Małego palca u lewej dłoni. Tak jak skrytobójcy Garrenowi.

Było tak samo, jak tamtej nocy na Janie. Ale jakim sposobem? Kim był ten człowiek? To przecież nie może być przypadek.

Zanim udało mu się zapytać o to umierającego mężczyznę, jego ciało znieruchomiało, a przestrzeń wokoło wraz z nim. Stały

w powietrzu drobinki kurzu, dech uwiązał Cam w gardle.

Martwy.

Merik odchrząknął, gotów znowu popędzić Cam. I zrobiłby to, gdyby nie dobiegło go niosące się po spiżarni chrypienie, które przepełzło po jego ciele jak tysiąc piaskowych pcheł:

Głupi brat Filip do ciemnej jaskini

Prowadził ślepego brata Daretą,

Choć wiedział, że mieszka tam Krabów Władczyni,

To wcale a wcale się nie bał.

Cam zatoczyła się w tył, jej nogi złożyły się pod nią jak scyzoryk. Merik świdrował trupa wzrokiem. Jego martwe usta trwały w bezruchu, oczy stały się szkliste... A przecież słyszał wyraźnie, że dźwięk dobył się z jego gardła.

Niemożliwe, po prostu niemożliwe.

Cam odpełzła na czworakach, byle dalej od zwłok.

– Sir... – syknęła. – Proszę pana...

A zwłoki ciągnęły szeptem:

Do głupka Filipa rzekł brat Daret ślepy:

Czy poszła gdzieś sobie Krabowa Władczyni?

Podobno jest straszna i lubi jeść ryby,

Uciekać nam trza z jej krainy!

– Proszę pana, proszę pana... – Cam wpiła palce w płaszcz Merika.

Gdzieś huknął dzwon. Ogłuszający, wściekły rumor. Pałacowy alarm.

Merik odskoczył od ciała, ujął dziewczynę za rękę i rzucił się w stronę schodów, czując na ciele oślizgłe tchnienie żywego trupa:

Powiedział mu Filip: Mój mały Darecie,

Wszak bronię cię dzielnie przed złem tego świata,

Nie bój się, wiem, co robię przecie,

Więc nie wąż w starszego brata.

Niemożliwe, po prostu niemożliwe.

Z wyższych poziomów pędzili po schodach strażnicy. Merik słyszał żołnierskie buciora na kamiennych stopniach za swoimi plecami. Wyczuł ich oddechy i ruch powietrza wywołany karkołomnym pędem.

Dobiegli do najniższego poziomu i dali nura między półki. Ale jakimś sposobem strażnicy dokładnie wiedzieli, gdzie ich szukać.

To przez zapach, uprzytomnił sobie Merik. Idą za roztaczanym przez nas fetorem. Nie było na to rady, mogli tylko uciekać. Półki rozmywały mu się przed oczami. Tempo odbierało im dech, wkrótce zaczęli dyszeć.

Dotarli do tylnej ściany. Merik pchnął dziewczynę, a ta upadła za murem cedrowych skrzyń w tym samym momencie, w którym dogoniło go światło pochodni. Szło w jego stronę dziesięciu strażników.

– Furia! – zawołał któryś.

– Zastrzelić go! – krzyknął inny.

Merik wskoczył do wyłomu w murze. Gdzie, zamiast uciekać, czekała na niego Cam. Głupia dziewczucha! Znów złapał ją za ubranie i przycisnął do piersi, pognął ciemnym tunelem.

Cienie, wrzaski, ohydna woń łajna, wapienne ściany. A potem roztrzęsiony głos Cam:

– Mają kusze!

A zaraz po nim ryk wiatru w piersi Merika.

Nie, to nie wiatr. Ten ogłuszający grzmot mógł oznaczać tylko jedno – przez Brązową puszczo wodę.

Żołnierze kazali im się zatrzymać, ale nie usłuchali. Nie mogli. Gnał ich naprzód grzmot wody...

Musieli przekroczyć Brązową przed pierwszą falą.

Dotarli do kanału. Cam wpadła z pluskiem w brązową maź, a Merik za nią. Jego nogi na moment ugrzęzły w łąjnie, padł na kolana, wyrzucił ręce przed siebie, a te zanurzyły się w ściekach po same barki, plasnął o cuchnącą taflę klatką piersiową i brzuchem. Grzmot wody wprawiał w drżenie kamienne ściany kanału. Czarodziej dźwignął się z brei, postawił Cam na nogi i puścił się naprzód, jak mógł najszybciej.

Jakimś sposobem uciekali dalej, ale w oczach Merika wlekli się jak muchy w smole. Pierwszy bełt zaświszczał mu nad uchem. Drugi roztrzaskał najbliższą latarnię, zatapiając ich w mroku rozpraszonym tylko przez pochodnie strażników gromadzących się u wylotu szczeliny.

Fala była coraz bliżej. Jej wycie robiło się coraz głośniejsze, a nieopisany hałas przywiódł mu na myśl Lejnę. Umierającego w jego ramionach rozszczepiającego się Kullena. Nie ma dokąd uciekać. Wszędzie dopadnie cię śmiercionośny sztorm.

Merik parł naprzód, na próżno starając się przeświecić wzrokiem zalepiający oczy mrok. Nie słyszał nic poza hukiem rozpedzonej fali. Naprzód, byle naprzód.

Zamigotało pomarańczowe światło. Nowe latarnie, nowe tunele. Jasność obrysowała ciągnący się przed nimi chodnik. Już blisko, już tylko parę kroków.

Jeszcze dwa.

Wsparł ręce na podwyższeniu. Okręcił się. I zobaczył Cam dziesięć kroków za sobą. A nad nią ścianę wody.

Nie namyślając się, wystrzelił magiczny impuls, a wicher – drobny, lecz silny, tak jak Cam – pochwycił dziewczynę i rzucił ją w stronę chodnika. Padła na kamienie obok wiatrodzieja, zdyszana i przerażona, targana konwulsjami, pokryta warstwą śmierdzącego szlamu, a dwa kroki dalej przetaczała się kanałem rycząca potępieńczo fala czarodziejskiej powodzi.



Merik wyciągnął rękę do Cam.

– Czy nic – wycharczał, łapiąc haustami powietrze – ci nie jest?

– W porządku – odparła, z trudem potrząsając głową.

– Nie możemy się teraz zatrzymać.

– Nie ma mowy – wydyszała.

Uśmiechnęła się przez łzy, gdy Merik podsunął jej rękę. A potem, wspierając się na sobie, opuścili ulicę Brązową.

## ROZDZIAŁ 22

Aeduan nie planował na dzisiaj bitwy. Ale syknięcie szabli zbudziło jego instynkty do działania. Uchylił się i przetoczył naprzód, po czym wypadł spomiędzy drzew i puścił się w kierunku Amonry.

Myślał tylko o jednym. Więziodziejka. Gdzie jest więziodziejka?

Na brzegu, niedaleko. Gdyby tylko przestała uciekać, zaraz by ją dopędził.

Lecz ona nie tylko się nie zatrzymała, ale w dodatku zrobiła coś tak głupiego, że Aeduan sam miał ochotę ją zabić. Widział już, jak zrobiła to samo na biegnącej przez klify drodze na północ od Veñazy. Ale tym razem, postanowił, nie wymknie mi się z rąk.

Tym razem skoczy za nią.

W jego nozdrzach zakręciła się woń krwi, w której rozpoznał smród tortur i wypatroszonych ludzi. Obejrzał się w tym samym momencie, w którym goniący go mężczyzna wyprowadził cios. Krwiodziej kopnął go z rozmachem w kolano.

Chrupnęła kość. Napastnik poleciał naprzód, ale Aeduan już usunął mu się z drogi i gnał ile sił w nogach gotów zrobić, jak postanowił... Lecz nagle stanął jak wryty. Beżowy płaszcz – jego płaszcz, który powierzył więziodziejce – płynął niesiony prądem rzeki tak szybko, że nikt nie zdołałby go dogonić.

Nikt poza Aeduanem. Puścił się magicznym sprintem i w kilka sekund zrównał się z wybrzusającym się na wodzie płaszczem, który sunął w dół strumienia na tyle blisko brzegu, że Aeduan zdołałby go dosięgnąć.

Zwiększył tempo, kierując się do pochylonego nad wodą drzewa, którego korzenie wystawały z podmytego brzegu. Idealny uchwyt dla rąk.

Zawisł nad wodą. Ziemia osunęła się spod jego stóp. Kilka lodowatych kropel zrosiło mu twarz.

Płaszcz płynął prosto na niego. Nachylił się nad nurtem, wyciągnął rękę, drugą ściskając korzeń... Nie dosięgnął. Palce plasnęły o wodę. Nie marnując czasu, wskoczył do rzeki.

Ale nie znalazł więziodziejki pod płaszczem. Była tam tylko wściekła i bezlitosna rzeka.

\*\*\*

Gdyby ktoś zapytał Iseult, jakim cudem przeżyła, nie umiałaby odpowiedzieć.

To, że dalej oddychała, przeczyło prawom logiki i fizyki. Amonra była nieubłagana. Na przemian pochłaniała ją i wypluwała na powierzchnię. Oślepiające światło i połykane haustami powietrze, a potem lodowata ciemność i jeszcze bardziej lodowaty uścisk paniki i strachu. Martwa cisza, zerowa widoczność, niemożność zaczerpnięcia tchu, życie wiszące na włosku. Przez kilka chwil, a może stulecia, nurt władał każdym włóknem jej istnienia.

Obijała się o spoczywające na dnie kamienie, fale biły w nią z taką siłą, jakby były odlane ze stali. Jej kostki ocierały się o skały i gałęzie. W ciało wbijały jej się szpony najeżonego niebezpieczeństwami koryta. Gdy tylko kapryśny prąd wyrzucił ją ponad spienione fale, łapała oddech, a potem na powrót zanurzała się w odmętach. Aż uderzyła w coś, co odwzajemniło cios. Mroczki zatańczyły jej przed oczami. Impet okręcił ją w wodzie. Ta pozycja wydawała się nienaturalna, czuła, że coś mocno ją trzyma. Otworzyła oczy, walcząc z rzeką, sypiącą jej na twarz grad ciosów. Nic nie widziała, ale czuła czyjeś ręce, ramiona.

To on. To musiał być on. Nikt poza nim nie był pozbawiony nici.

I nikt nie był tak silny.

Ale Amonra okazała się silniejsza. Szarpnęła krwiodziejem, i Iseult wraz z nim, uniosła ich na powierzchnię... Po czym znowu wciągnęła w głębiny.

Powietrze! – to jedyna myśl, do jakiej była zdolna. Błysnęły gwiazdy, a potem wybuchły. Huk wypełnił jej czaszkę. Po nim przyszedł kolejny brutalny i nieokiełznany grzmot.

To coś, czego nie przeżyje ani ona, ani krwiodziej: Wodogrzmoty Amonra.

Gdy natrafiła nogami na hałdę naniesionego przez prąd żwiru, wryła się w nią palcami. Rzeka niosła ją dalej, ale ona nie dawała za wygraną. Krwiodziej, miotający się za jej plecami, zorientował się, co chciała zrobić, i poszedł w jej ślady, zaparł się piętami. Osłonił ją tym samym przed nurtem, mogła wyrzucić na powierzchnię zgrabiałe od zimna ręce, żywiąc nadzieję, że znajdzie się coś, czego mogłaby się złapać. Była coraz bardziej roztrzęsiona, coraz bardziej nerwowo łapała powietrze. Tarła knykciami o osiadłe na brzegu otoczaki. Czuła zdzierającą się z palców skórę i chwiejącego się na nogach krwiodzieja. Wiedziała, że wkrótce ponownie pochłonie ich rzeka.

Powietrza, powietrza!

Cokolwiek rozorało jej knykcie, stanowiło część wysokiej kamiennej kolumny. Uczepiła się jej zmarzniętymi rękami – w idealnym momencie, bo nurt właśnie znowu porywał Aeduana. Straciwszy oparcie, oplótł ramionami Iseult, zaś ona z uporem trzymała się kolumny. Jej mięśnie wrzeszczały z bólu i niemal czuła, jak puszczają nadwyrężone barki i łokcie.

Krwiodziej opętał ją. Jego wielka, szorstka ręka spoczęła na jej ręce, umocniła jej uścisk, zakotwiczyła go u jej boku, uczepionego tego samego punktu na filarze.

Powietrza, powietrza.

Odnalazł drugie miejsce, którego mógł się złapać. Pociągnął, Iseult również, i cal po calu zaczęli się wyłaniać z niedającego za wygraną nurtu.

Aż wreszcie Amonra się poddała. Gdy wydostali się z wody, owionął ich podmuch wiatru. Iseult rozejrzała się. Wdrapali się na skalistą półkę, opłukaną z ziemi przez wezbrany nurt przy samym wodospadzie. Ostatnią rzeczą, którą widziała, był kaszlący wodą krwiodziej, a potem znieruchomiała na spękanej granicy, zaś świat wokół niej utonął w zbawiennej ciszy.

\*\*\*

Aeduan miał wrażenie, że leży na skale od kilku godzin. Dyszał, a lodowate zimno Amonry z wolna opuszczało jego kości.

Ale jej szum nie ustawał.

Sądził, że więziodziejka zasnęła, ale za chwilę wyłowił kątem oka ruch po swojej lewej i zobaczył, że siada na skale. Wtedy on także się dźwignął. Polujące na nich Krwawe Żagle gdzieś zniknęły. Pociągnął nosem, ale nie wyczuł w okolicy żadnych zwiastujących niebezpieczeństwo zapachów.

– Zaczekaj tutaj – polecił głosem wciąż nasiąkniętym wodą. – Zaraz wrócę.

Dziewczyna skinęła głową. Aeduan rozpostarł swoją magię do maksimum i przeczesał okolicę w poszukiwaniu jakiejś dogodnej kryjówki. Miejsca, gdzie nie ostał się ślad woni krwi po niedawnym gościu, gdzie od stuleci nie zakradł się żaden człowiek.

Natknął się na jakieś stare ruiny, niegdyś część budowli wtopionej w klify, teraz odzyskanej przez las. Ktokolwiek wznosił tutaj te granitowe ściany i kolumny, nikt już o nim nie pamiętał. Pradawne płaskorzeźby uległy erozji i teraz nie sposób było się domyślić, co przedstawiają. Podłogi i dachy zostały zastąpione przez korzenie i gałęzie, płyty i mozaiki tonęły w mchu i niknęły pod koloniami grzybów.

Ale mogli się tam bronić, gdyby ktoś ich zaatakował. Jeśli ktokolwiek ich odnajdzie w uczepionej klifu ruinie. Obwąchał kryjówkę, lecz nie znalazł zapachów innych niż zwierzęce. Przemykały tamtędy gawrony, nie ludzie. I nie łowcy niewolników.

Gdy wrócił na śliską granitową płytę, rzucił do więziodziejki:

– Idziemy.

Ruszyła za nim bez słowa. Byle dalej od wodospadu i rzeki, byle dalej od ludzi.

Pokonanie stromej skarpy zajęło im sporo czasu, ale teren nie pozwalał na poruszanie się w linii prostej. Wkrótce dostrzegli pierwsze wychylające się z ziemi monolity oraz pnące się w górę, obsypane leśnym śmieciem schody. Tę część klifu dostosował do swoich potrzeb jakiś zapomniany lud. Teraz rosły tu kolosalne cyprysy.

Więziodziejka nie odezwała się słowem w czasie wędrówki. Starła się nie dać po sobie poznać, że balansuje na granicy

przytomności. Potrzebowała odpoczynku, potrzebowała jedzenia. Aeduan, zauważywszy to, nie zważał na rwące się do wysiłku mięśnie i utrzymywał znośne tempo.

Wreszcie dotarli do serca ruin, jedyne miejsce, w którym stały prosto cztery ściany, dokumentnie obrośnięte bluszczem i grzybami oraz pozbawione dachu, ale ściana to zawsze ściana.

Więziodziejka zdawała się z rezerwą podchodzić do znalezionej przez Aeduana kryjówki. Usiadła na uwalanej błotem skale i otoczyła ramionami podciągnięte do piersi kolana. Drżała pomimo panującego tu gorąca.

– Czemu on na ciebie poluje? – ochryply głos Aeduana złamał dzwoniącą w uszach ciszę.

– Kto? – spytała więziodziejka umęczonym głosem, stłumionym przez przykurczone przy brodzie kolana. Gdy uniosła głowę, zobaczył rozcięcie na łuku brwiowym, którego wcześniej nie zauważył.

– Kapłan Purytanów. Corlant.

Zaczęła szybciej oddychać. Jej lewa ręka pomknęła do miejsca nad prawym łokciem. Przez jej twarz przemknął grymas trwogi.

Nigdy nie widział u niej tak żywych emocji. Był to znak, że jej maska opanowania pęka pod wpływem zmęczenia. Aeduan nie sądził, że będzie tego świadkiem.

Ta wąż dziewczyna stawiała mu czoła – wykiwała go i złamała mu kręgosłup. Walczyła ze strażnikami miejskimi i z rozszczępionymi jadodziejami, a jednak Aeduan nigdy nie doszukał się na jej twarzy przerażenia.

– A więc znasz go – podjął.

– Znam. – Widział, ile wysiłku kosztowało ją to słowo. – Ale skąd ty wiesz o istnieniu tego drania?

Aeduan się zawahał. Przez moment ciszę wypełniał tylko odległy szum wodospadu, a bezruch mąciły poruszane wiatrem gałęzie.

Nad krwiodziejem wisiał nóż Pani Los. Właściwe pytanie brzmiało: która strona ostrza zabolę go bardziej? Jeśli powie dziewczynie o Corlancie i grocie strzały, nie zdoła jej wykorzystać. A jeśli utrzyma grot w tajemnicy, będzie ich szukać więcej ludzi

pokroju Krwawych Żagli. Aeduan nie mógł cały czas jej towarzyszyć, a jeśli jakiś inny pies na smyczy Corlanta ją złapie, jeśli odbiorą mu ją Krwawe Żagle... A zwłaszcza tamten ogniodziej... To nigdy już nie zobaczy swojego srebra.

Wyłowił grot z kieszeni.

– Corlant mnie wynajął – wyjaśnił obcesowo – jeszcze zanim cię spotkałem. Miałem cię znaleźć i przyprowadzić do niego. Żywą.

Aeduan zrobił pół kroku w jej stronę, spodziewając się, że zasłoni się przed nim lub ucieknie. Ale ona nawet się nie poruszyła. Oczywiście, że nie. Po prostu masowała ramię, a gdy Aeduan zbliżył się dostatecznie, wzięła grot z jego otwartej dłoni.

– Czemu mi to mówisz? – spytała.

– Bo moje talary warte są dla mnie więcej, niż obiecał mi kapłan. I ponieważ nie jestem jedyną osobą, którą Corlant wynajął, by cię odnalazła. Ci ludzie pracują dla niego i sądzę, że wkrótce najmie kolejnych.

Iseult gapiła się na Aeduana, kołysząc się. Jej twarz się zmieniała, dziewczyna zapadła się w sobie. A potem wybuchła śmiechem.

Aeduan nigdy nie słyszał czegoś podobnego. Nie był to perlisty szczebiot wysoko urodzonych mieszkanki Veñazy, które hamowały swoje rozbawienie i szafowały nim jak bronią, ani dźwięczny rechot osoby śmiejącej się swobodnie i często, ale przenikliwy, świszczący odgłos, kojarzący się po części z trelem jakiegoś dziwnego ptaka i zawierający w sobie szumiącą nutę roztrzęsionego dyszenia. Nieprzyjemny dźwięk, raczej odstręczający od przyłączenia się do śmiechu niż zaraźliwy.

– Głupi ma zawsze szczęście – wykrztusiła. – Dlatego wychodzę cało z opresji, krwiodzieju. Głupi. Ma. Zawsze. Szczęście. – Po raz pierwszy od ich spotkania więziodziejka przeszła na dalmocki. – O bogini w niebiosach, tak się przecież mówi, nie? Głupi ma zawsze szczęście. Zrób, co możesz najgłupszego, a Pani Los cię nagrodi. Powinna już nie żyć, krwiodzieju. Dać się zetrzeć na proch ostrym kamieniem w rzece lub leżeć potrzaskana na dnie wodospadu. Ale tak nie jest.

A Corlant? J-już wcześniej próbował mnie zabić. Tą strzałą. – Uniosła grot i skupiła na nim wzrok. – Przeklął ją, wyobraź sobie. Żeby zabiła mnie k-k-klątwa, jeśli nie zrobi tego sama strzała. A jednak przeżyłam. – Śmiech Iseult zelżał, a potem ucichł zupełnie. – I ty cały czas wisiałeś nade mną, krwiodzieju. Cz- czaiłeś się gdzieś w trawie jak wąż. To ty jesteś powodem, dla którego musiałam iść do moich współplemieńców, co oznacza, że gdyby nie ty, Corlant by mnie n-n-nie zaatakował. Czy więc w ogóle byłabym tutaj, gdyby los mnie z tobą nie zetknął?

Oczy Aeduana zwięzły się w dwie cienkie szczeliny. Nie dlatego, że to powiedziała, tylko przez to, jak to ujęła. Winiła go za Corlanta, za wszystko, a przecież on sam wcale nie prosił się o spotkanie z nią czy kapłanem.

– Gdyby los cię ze mną nie zetknął – zaripostował chłodno – to nigdy nie złamałbym kręgosłupa i nie zostałbym wynajęty przez Leopolda fon Cartorrę. Mniszka Evrane nie otarłaby się o śmierć, a ja nie zostałbym zmuszony do pracy dla...

– Mniszka Evrane żyje? – Więziodziejka zerwała się na nogi. Malująca się na jej twarzy histeria rozproszyła się pod wpływem nowego wyrazu, który kwitł właśnie na jej obliczu. Wielkie oczy, rozchylone usta. Nadzieja. – Myślałam, że zabili ją rozszczeniecy w Lejnie. Ale... to znaczy, że ona żyje?

Gdy potwierdził skinieniem, Iseult odchyliła głowę i zamknęła oczy. A kiedy znowu otworzyła usta, przemówiła płynnym, wyraźnym nomatsańskim, bez zajknięcia:

– Cokolwiek zaszło między nami i jakiegokolwiek wydarzenia doprowadziły nas tu, gdzie teraz jesteśmy, nie możemy ich już odczytać. I oto zawdzięczam ci życie. Po raz drugi.

Aeduan stężał, gdy wspomniała o długu życia. Ale ona mówiła dalej.

– W Lejnie obiecałeś mnie zabić przy następnym spotkaniu. Powiedziałeś, że twój dług życia został spłacony. Twierdzisz, że mam wobec ciebie dług za to, że nie zabiłeś mnie zeszłej nocy. I za to, że ocaliłeś mnie z rwącej rzeki. Może i za to, że ostrzegłeś mnie przed Corlantem. – Znowu wybuchła tym samym histerycznym śmiechem, ale ten urwał się zaraz, a ona podjęła z zimnym,



trzeźwym wyrazem twarzy. – Nie wiem, jak ci się odwdzięczyć, mnichu, ale wiem, że Księżycowa Matka chciałaby, żebym spróbowała.

Mięśnie zuchwy Aeduana zacisnęły się na te słowa. Odwrócił się od niej, nieco zbyt zdecydowanie.

– Nie jestem już mnichem.

To wszystko, co powiedział, nim opuścił ruiny.

Ktoś musiał pójść po ich porzucone zapasy.

Ostrożny marsz wkrótce zmienił się w bieg, a ten w sprint. Paprocie smagały go po łydkach, gałęzie orały skórę.

Ktoś miał wobec niego dług życia. To...

To nigdy mu się nie zdarzyło.

I nie wiedział, jak to przełknąć. Więziodziejka Iseult zawdzięczała mu życie. Oddychała i chodziła po tym świecie, ponieważ on ją ocalił.

Choć ona sama w pewnym sensie także uratowała życie jemu. Po raz pierwszy, nie zabijając go, gdy leżał bez ducha w potrzasku na niedźwiedzie, i po raz drugi w toni Amonry. Bo to przecież ona złapała się kamienia, nim rzeka cisnęła ich do wodospadu.

Ale Aeduan postanowił nie wspominać o tym więziodziejce, ponieważ skoro wierzyła, że ma wobec niego trzykrotny dług, to Aeduan miał nad nią przewagę. Którą będzie mógł jakoś wykorzystać. Nie wiedział jak, nie wiedział kiedy, ale wiedział, że zrobi to ponad wszelką wątpliwość.

## ROZDZIAŁ 23

Pomimo niezbyt okazałej fasady Połącana Róża okazała się ulubionym lokalem śmietanki Krwawych Żagli. Świadczyły o tym ogolone twarze i idealnie skrojone ubrania gości.

Gdy Caden i Safi weszli do środka, atmosfera momentalnie zgęstniała, a prawdopodobnie poczuła na karku mrowienie swojej magii. Działo tu jakieś blaskodziejkie zaklęcie, które miało za zadanie wygładzić niedoskonałości, zmiękczyć prawdę i opromienić bywalców nienaturalnym, lecz pochlebnym światłem.

Kłamstwo, kłamstwo, kłamstwo.

Pary na sofach i ludzie jedzący przy stołach wyglądali, jakby wyszli z obrazu.

Uroda, uświadomiła sobie Safi, idąc za Cadenem do zakrytych kotarami drzwi na tyłach budynku. Rzucone zaklęcie przydawało wszystkim urody.

Wszystkim poza Cadenem. Połyskliwe piękno pomieszczenia jego się nie imać, a jego własna aparycja – mucha nie siada, musiała przyznać – była wyłącznie dziełem natury.

Za kotarami znajdowało się pomieszczenie zastawione stolikami z blatami na wysokości kolan, rozmieszczonymi regularnie na pięknych dywanach pośród poduch do siedzenia. Blatów prawie nie było widać spod kart, monet i kości. Chmury dymu z fajek omywały nagie ciała niewolników pracujących w Połącanej Róży.

Magia Safi świerbiła ją, odkąd Carden odgarnął pierwszą kotarę. Słowo kłamstwo nie oddawało w pełni stanu rzeczy panującego w sali i w niewielkim tylko stopniu opisywało dysputy członków Krwawych Żagli.

Caden pchnął ją do znajdującego się w najdalszym kącie pomieszczenia stołu, przy którym siedziała samotna kobieta. Miała siwe włosy upięte w kok na czubku głowy, tak jak wszystkie kobiety w tym przybytku, a jej czarna skóra była nieskazitelnie

gładka i lśniąca. Wygrane pieniądze i karty leżały rozrzucone na blacie, a pełen zadowolenia uśmiešek wskazywał na to, że właśnie orznęła kogoś w taro.

Zajęta liczeniem monet nie zauważyła Cadena i Safi, zanim nie zajęli miejsc na ławie. Wtedy zerknęła na nich i zmarszczyła brwi.

– Coście za jedni... – ucięła w pół zdania. Grymas na jej twarzy się pogłębił. – Czy ja czuję nóż na nerce?

– Owszem – utwierdził ją w tym przekonaniu Caden, posługując się, jak ona, czystym dalmockim. – Mam tylko kilka pytań, pani admirał Kahino. Zadam je, uzyskam odpowiedź, po czym zniknę wraz z moją uroczą towarzyszką.

– A jeśli nie uzyskasz odpowiedzi... to co zrobisz? Wypatroszysz mnie? – Machnęła niedbale ręką, a potem podjęła, przeciągając sylaby: – Gwałtu rety! Któż mnie ocali przed złoczyńcą z kozikiem?

Kahina od razu przypadła Safi do gustu.

– Masz, oczywiście, świadomość, że dowodzę największą flotą Krwawych Żagli na Morzu Jadańskim? Jeśli okażesz się dość głupi, by dźgnąć mnie tym sztyletem, będziesz martwy, nim dotrzesz do drzwi.

– W takim razie dokończymy rozmowę u piekielnych bram – odrzekł Caden z niezmienionym wyrazem twarzy. – Słyszałem, że rany nerek bardzo obficie krwawią. Spotkamy się tam, nim przebrzmia najbliższe kuranty.

Kahina mierzyła Cadena wzrokiem przez kilka uderzeń serca, bębniąc palcami o blat. Na jej prawym kciuku Safi zauważyła wielki jadeitowy pierścień, którym kontrapunktowała wygrywaną paznokciami sekwencję. Po chwili jej usta skrzywiły się w uśmiechu.

– Kim ty jesteś? Nie przywykłam do mężczyzn o niewyparzonych gębach i płomiennych oczach. A ty, dziewczyno – łypnęła na Safi – usiądź. Nie gryzę, klnę się na swój honor.

Mówiła prawdę, Safi zrobiła więc, jak jej kazano, zajmując miejsce po drugiej stronie pani admirał. Przyjrzała się z bliska rozłożonym na stole kartom. Niebieskozielonkawe rewery, zużyte

krawędzie. Jej palce same zaczęły wybijać rytm na kolanach. Chciały przetasować talię, może rozegrać partyjkę. Zmusiła się, by zamiast tego wrócić wzrokiem do Kahiny. Widziała ją teraz prawdziwą, niezmienną blaskodziejskim czarem. Wciąż jaśniała olśniewającą urodą, choć nie była już młoda, a zęby miała błotniście brązowe.

Zrozumiała od czego, gdy Kahina poprosiła ją o leżącą nieopodal fajkę. Caden zgromił kobietę wzrokiem.

– Nie jesteśmy tu dla zabawy, pani admirał. Przyszliśmy po statek, który zdobyłaś trzy dni temu.

– Płoń – wymruczała Kahina do fajki, a potem zaciągnęła się z lubością. Błady dym wysączył się spomiędzy jej zębów, gdy szepnęła w odpowiedzi: – Musisz podać więcej szczegółów. Przebieram w statkach jak w ulęgałkach. Wspomniałam już, że władam największą flotą Krwawych Żagli? – Kahina nachyliła się uwodzicielsko do dowódcy.

A on, ku jej zaskoczeniu, powtórzył ten gest. Na oczach Safi zmienił się w Rzeźbimieszka. Kontrast między dwoma osobowościami Cadena był zatrważający, a przejście tak płynne, że niemal niezauważalne. Piekielny bard Caden, skupiony na wykonaniu rozkazów i groźny, rozpląnął się w odprężonego Rzeźbimieszka, rozsyłającego wokoło ujmujące uśmiechy czarusa.

Jeden z tych uśmiechów posłał właśnie Kahinie. A Safi zaskoczyła wywołana tym widokiem jej własna furia. Gorąco rozlało się po jej ciele, żar podniecenia i dezorientacji. Bo to ten sam po trzykroć przeklęty uśmiech, który wpakował ją w kłopoty w Veñazie.

– Chodzi konkretnie o kuter z załogą odzianą na zielono.

– Zieleń marstocką czy cartorriańską? Och, ależ jestem głupiutka. – Zaciągnęła się dymem z fajki, nim przeskoczyła wzrokiem do Safi.

Palce prawdopodobnie zagrały szybciej.

– W życiu nie widziałam bardziej cartorriańskiej parki od was dwojga. Te jasne włosy, te piegi. Macie szczęście, że nikt was jeszcze nie oskórował.

– Odpowiedz na pytanie – wyrzekł Caden nieco surowiej, rezygnując z pewnej porcji swojego uroku. – Gdzie ten cartorriański kuter?

– Na dnie morza.

Kłamstwo wielkie jak stąd do Veñazy. To dobry moment, by Safi wkroczyła do akcji. W końcu ona też potrafiła grać w tę grę.

– Tam, gdzie twoja uroda i młodość?

Kahina zakrztusiła się dymem. A potem parsknęła śmiechem.

– Nie sposób się z wami nudzić – wydusiła między salwami dystyngowanego śmiechu. – Czego nie można powiedzieć o mojej zwyczajowej kompanii. – Zagryzła ustnik, a dłońmi o długich palcach zebrała karty ze stołu. – Zdajecie sobie sprawę, że nawet gdyby statek stał w porcie, nigdzie byście nim nie popłynęli, prawda?

– W związku z tym zaraz powiesz nam, gdzie jest załoga – odparł Caden.

Kahina buchnęła dymem, jakby palnął głupotę.

– Jutro jest Rzeźnia Baile. – Gdy Caden i Safi wpili w nią nierozumiejące spojrzenia, podjęła: – Pani Baile. Chyba nie znacie jej w Cartorrze. No cóż, w tych stronach jest świętą patronką mórz, a marynarze skrupulatnie przestrzegają jej praw.

– Jakich praw? – zaciekawiała się Safi, choć Caden zmroził ją wzrokiem z gatunku nie-pytaj-bo-odpowie.

– Trzy święte reguły naszej Morskiej Pani – zaintonowała śpiewnie Kahina, przekładając karty. – Nie gwizdać, gdy idzie sztorm. Sześciopalczaste koty nie przepuszczą na pokład ni jednej myszy. I nigdy, ale to nigdy nie wypływaj w morze na Rzeźnię Baile.

No cóż, to tłumaczy napis z tawerny, pomyślała Safi.

– Teraz rozumiecie, serdeńka? – ciągnęła Kahina. – Nikt stąd nie wypłynie, nim nie dobiegnie końca walka na arenie. A nawet po jej zakończeniu mało kto ruszy na morze, bo wszyscy schlają się dziś jak świnie, a jutro jak dzikie świnie. W końcu to najważniejsza walka roku. – Przybrała promienny uśmiech

i rozłożyła karty w szeroki wachlarz, ewidentnie chcąc przyciągnąć do nich uwagę.

Nie dali się nabrać. Caden napał mocniej na nóż.

– Moja cierpliwość ma swoje granice, pani admirał – syknął jej do ucha. – Powtórzę pytanie: gdzie jest kuter?

Kahina wydeła mięsiste usta.

– Och, a już myślałam, że nie zanudzicie mnie na śmierć. Umówmy się tak... – Podała talię Cadenowi. – Powiem wam, gdzie go szukać, jeśli wygracie ze mną w taro.

– Nie, pani admirał – powiedział Caden. – Powiesz nam teraz.

– Nie proszę o więcej niż o jedną partyjkę. Lepsza ręka wygrywa.

– Ja zagram. – Słowa same wyskoczyły Safi z ust, nim zdążyła je przemyśleć i ocenić, jak trudnym przeciwnikiem okaże się Kahina. Po prostu wiedziała, że kobieta powiedziała prawdę: jeśli przegra, powie im wszystko, co chcą wiedzieć o statku.

I zauważyła, że gdy tylko zawarli umowę, jej palce spoczęły nieruchomo na kolanie.

– Przełoż – poprosiła Kahina.

Safi przełożyła, a admirał Krwawych Żagli się uśmiechnęła, dym wypełził spomiędzy jej zbrązowiałych zębów. Zaświszczały karty i zręczne dłonie kobiety rozdały po cztery, łuskając masywnym pierścieniem.

Dobra ręka, oceniła Safi. Była pewna swojej pokerowej twarzy, dołożyła jednak dodatkowych starań, by nie zdradzić się też z pewnością siebie.

– Dobierasz? – zapytała Kahina aksamitnym głosem. Jej nozdrza się rozděły. Jakoś tak tryumfalnie.

Blef. Kłamstwo. Safi poznała na pierwszy rzut oka. Dobra mina do złej gry, nie ma dwóch zdań.

– Dwie. – Safi pchnęła w jej stronę dwie najgorsze karty i dobrała dwie z wierzchu talii. Cesarzowa i Czarodziej. Znakomita kombinacja.

Ale gdy Kahina dobrała tylko jedną, w sercu Safi zagościły wątpliwości. Czyżby się pomyliła? Czyżby niczego się nie nauczyła

na błędach popełnionych w Veñazie? A może źle ją odczytała, może właśnie pakuje się w pułapkę...

– Sprawdzam.

Instynkt wziął górę. Odśloniła swoje karty, Kahina zrobiła to samo.

Safi wygrała. O włos. Bezimienny Mnich Kahiny podwajał siłę jej kombinacji, ale Czarodziej, Cesarzowa, Słońce i Narodziny stanowiły silniejszy układ.

Safi rzuciła okiem na Cadena. Nie bez satysfakcji zobaczyła, że oczy mu się świecą, a gdy nachylił się do Kahiny, w jego gestach i uśmiechu dostrzegła przyływ energii.

– Wracając do tego statku, pani admirał...

– Och, dobrze już. – Dramatyczne westchnienie. – Włączyłam go do swojej floty, jak zrobiłby każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie. To porządny, szybki drań i mam wielką nadzieję, że nie chcecie mi go odebrać. – Zrobiła pauzę, by zaciągnąć się dymem, a potem podjęła, wydechając siwą chmurę. – Co się zaś tyczy załogi, sprzedałam ją na arenę. W jutrzejszej walce wezmą udział wszyscy czarodzieje, a reszta... No cóż, żadna dobra potyczka nie może się obejść bez mięsa armatniego.

Prawda, prawda, prawda.

Lecz nawet pomimo przyjemnego dreszczu prawdy, który rozszedł się po skórze Safi, jej żołądek wywinął orła.

Caden najwidoczniej zareagował tak samo. Gdyby mógł zabijać wzrokiem, Kahina zginęłaby po trzykroć. Z Rzeźbimieszka ponownie zrobił się piekielny bard, uosobienie skuteczności. Wstał, a Safi wraz z nim.

Admirał Kahina poczęstowała ich szyderczym uśmieszkiem.

– Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy.

– Nie zobaczymy – obiecał Caden, sięgając ręką do Safi. Nie dotknął jej, tylko puścił przodem w kierunku drzwi.

– A co z naszą randką u bram piekielnych? – chrypnęła za nim Kahina. – Cieszyłam się na to spotkanie.

Nie obrócili się. Szyderczy śmiech piratki odprowadził ich do samego wyjścia.

## ROZDZIAŁ 24

Vivia przyjrzała się wyrwie w królewskiej spiżarni, przybrawszy słynny niharski grymas niezadowolenia, który zawsze z taką łatwością przychodził Merikowi. Byłby może nieco bardziej przerażający, gdyby nie to, że musiała ścisnąć nos palcami.

Wszystko cuchnęło odchodami.

Stojąca obok urodziwa strażniczka paplała i paplała, że nie wiedziała o dziurze w fundamentach.

– Gdybyśmy tylko wiedzieli, załatalibyśmy ją... – zapewniała.

Vivia tylko lekko skinęła w odpowiedzi, na jej twarzy malowała się irytacja. Sama wiedziała przecież o wyłomie w murze. Mało tego, to ona go zrobiła, sądząc, że zalewana regularnie ulica Brązowa uchroni spiżarnię przed intruzami. Dotąd stanowiło to idealne rozwiązanie, umożliwiające lisom zapełnianie magazynów bez ściągania niepotrzebnej uwagi. Najpierw Vivia lub Stix płukały tunele wodą, a potem piraci składowali tu towar. Zrobili to już z pięćdziesiąt razy, za każdym razem odnosząc sukces.

Aż do teraz.

– Cholerny Furia – wypluła Vivia, nie musząc udawać złości. Była wściekła nie tylko dlatego, że mężczyzna zabił królewskiego strażnika, ale też dlatego, że ją zdemaskował. Zbyt wielu ludzi dowiedziało się o tajemnym przejściu i o żywności obcego pochodzenia, która ni stąd, ni zowąd zmaterializowała się na najniższych poziomach zamkowej spiżarni. To jej pomysł i jej plan, Serafin od początku się temu sprzeciwiał. Nie będzie zadowolony, gdy się o tym dowie.

Vivia odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

– Czy mamy naprawić dziurę, sir?

– Zostawcie, jak jest – zawołała księżniczka z klatki schodowej.

– Na razie ma jej pilnować dziesięciu strażników, na okrągło.



Strażniczka przyjęła rozkaz, a Vivia zaczęła wspinać się po schodach. Służbie i gwardzistom kazała przeszukać zamek w poszukiwaniu podobnych dziur, którymi mogliby się dostać do zamku przestępcy.

Zbyt wielu ludzi wie, oceniła, pokonując kolejne stopnie. Jej sekret przepadł. To niemożliwe, by wszyscy trzymali buzie na kłódki. Lisy były skończone. Niech jedna osoba zacznie plotkować nad kubkiem szpadlownicy w Rozszczepieńcu: „Nie uwierzysz, co widziałem w zamkowej spiżarni! Wory z marstockim ziarnem! Tylko nikomu nie mów...”. Oczywiście rozmówca zaraz wygada rewelacje matce, ta powie sąsiadce, która wspomni o wyłomie w murze, kupując chleb na targu, a potem historia zacznie żyć własnym życiem i ani się obejrzy, a całe Lovats będzie huczało od plotek. Wysoka Rada tylko czeka na pretekst, by podważyć prawo Vivii do tronu. Co oznaczało, że mogła się już żegnać z koroną...

– Nie – wysyczała pod nosem, biegnąc w górę po dwa stopnie.  
– Niczego nie żałuj. Byle do przodu.

Dotarła do półpiętra i spostrzegła ponad głowami zebranych wokół trupa strażników zamyśloną twarz Stix. Omiotła martwego mężczyznę przelotnym spojrzeniem, ale nie potrzebowała dokładniejszych oględzin. Te zwłoki były identyczne jak te w ogrodzie Lindaya. I rzeczywiście świadczyły o tym, że zjawił się tu Furia. Że znowu zabił.

Z tłumu wyłonił się łysy i przysadzisty oficer. Przemówił głębokim basem, kręcąc głową.

– To żaden z naszych.

Vivia zamrugnęła skołowana.

– Co takiego?

– Znaczy, on nie jest z gwardii królewskiej. – Utorował sobie łokciami drogę do trupa i oboje przyjrzeni mu się dokładniej. – To nie nasz mundur, sir. Ciężko go rozpoznać przez tę smolistą krew, czy cokolwiek to jest. – Skrzywił się. – Ale to pod spodem to nie nasz mundur. Wasza Wysokość raczy też zwrócić uwagę, że ma tylko dziewięć palców.

Vivia przyklękła, zasłaniając usta i nos dłonią. Dziewięć, rzeczywiście. Tak jak u trupa w szklarni.

– Sugerujecie, sierżancie – rzekła Vivia, podnosząc się – że to jeden z Dziewiątek? Myślałam, że gang się rozpadł lata temu.

– Może nie do końca. – Oficer wzruszył ramionami. – Może to były członek Dziewiątek. Palce nie odrastają.

– Racja – mruknęła, niharski grymas na jej twarzy był tym razem zupełnie prawdziwy.

Nic tu nie trzymało się kupy. Członkowie Dziewiątek w zamkowej spiżarni? I pilnujący ogrodu Lindaya? To przecież nonsens...

– Sir – odezwała się Stix.

Vivia udała, że nie słyszy, i pomaszzerowała do schodów. Wiedziała, że takie zachowanie nie licuje z godnością władczyni, ale zbyt wiele działo się wokół niej, i nazbyt szybko. Nie wiedziała, czy wytrzyma widok zmierzwionych włosów i pomiętego uniformu Stix.

Za dobra dla mnie, pomyślała.

– Sir! – Dłoń pierwszej oficer spoczęła na jej ramieniu. Na opasce żałobnej. – Furia ma pomocnika... I wiem, gdzie chłopak mieszka.

Vivia stanęła jak wryta, wspiąwszy się jedną nogą na czwarty stopień. Okręciła się twarzą do czarnoskórej kobiety. Ich twarze znalazły się na jednej wysokości.

– To Furia zdemolował pani biuro minionej nocy. Nie miałam czasu posprzątać ani poczekać na panią, bo go śledziłam.

Księżniczka wypuściła powietrze, nienawidziła się za ogarniające ją przejmujące uczucie ulgi. Stix nie spędziła minionego wieczoru na amorach. Za dobra dla mnie.

– Śledziłaś? Dokąd? – spytała, hamując emocje.

– Do szklarni wizera Lindaya.

A niech to szlag Nodena trafi. Vivia cofnęła nogę z kolejnego stopnia, poświęcając całą uwagę Stix.

– Dlaczego go nie zatrzymałaś? Czemu nie aresztowałaś? On zabił dwóch ludzi, Stix!

Oficer skrzyżowała ramiona na piersi.

– Skąd mogłam wiedzieć, że kogoś zabije! Pomyślałam, że może pracuje dla wizera Lindaya, więc zaczaiłam się na zewnątrz w nadziei, że zaraz wróci na ulicę. Ale gdy to nie nastąpiło, wróciłam do Twierdzy, gdzie zastałam w pani biurze kogoś jeszcze.

Ruszyły w górę schodów. Minęły półpiętro przed poziomem czwartym, pokonując po dwa stopnie naraz.

– Chłopiec – kontynuowała Stix. – Chudy i o dwukolorowej skórze, wyraźnie kogoś szukał. Pozwoliłam mu więc szukać... A potem poszłam za nim. Najpierw do świątyni Nodena na Jastrzębiej, a potem do kamienicy na Starym Mieście.

Pod ich stopami przemknęło trzecie półpiętro.

– Weszłaś za nim do środka? Widziałaś, do którego dokładnie mieszkania wszedł?

– Nie. Nie miałam jak się zbliżyć. Chłopak ma koci refleks. Taki, jaki widzi się tylko u dzieciaków z Cystern.

Drugie półpiętro. Vivia niemal biegła. Szybciej, szybciej.

– Sir, mogłabym kazać żołnierzom przeszukać budynek.

– Nie – wydyszała księżniczka. – Nie chcę ryzykować, że spłoszymy naszego ptaszka. Jeśli posiada moc, która umożliwia mu zabijanie... w taki sposób – kiwnęła głową za siebie – to nie wolno nam narażać postronnych osób. Ale chcę, żeby dom był pod stałą obserwacją. Jak chłopak się pokaże, macie go śledzić. Jeśli go aresztujemy, może uda nam się zwabić w nasze sidła tego bydlaka, który mieni się Furia.

– Tak jest, sir! – Stix zasalutowała niezgrabnie, pędząc po schodach. Ale gdy minęły kolejne półpiętro, Vivia musiała przystanąć, by złapać oddech.

Naszła ją odrażająca myśl, od której podniosły jej się włoski na przedramionach.

– Stix... Jeśli ten trup... Na dole... Nie był naszym strażnikiem. – Zrobiła pauzę, przełknęła ślinę. – I jeśli faktycznie należał do Dziewiątek, to co on właściwie tu robił? I czego tu szukał Furia?

Stix wyrzuciła ręce w górę.

– Nie mam pojęcia, sir. Czy sprawdziła pani zapasy?

– Nie... A niech to, nie sprawdziłam.

W jednej chwili zawróciły i puściły się biegiem w dół schodów, dwa razy szybciej niż przed chwilą. Nagle znalazły się na piątym poziomie i przepychały się między strażnikami. Stix deptała księżniczce po piętach. Przypadły do najbliższego worka ze zbożem.

Vivia wiedziała już, co znajdzie w środku. Była niemalże pewna. I ta pewność przyprawiała ją o mdłości.

Otworzyła worek z dalmockim jęczmieniem.

Czarny. Pokryty tym samym cienistym, nadwęglonym olejem co zwłoki. Zupełnie niejadalny. W kolejnym worku znalazła to samo. W innych także.

Wszystko, na co tyle pracowała, przepadło. Miesiące objętego tajemnicą piractwa, miesiące zmuszania jej ludzi do walki o żywność, choć nie mieli nawet porządnej broni... Miesiące daremnego zapełniania spiżarni... Ukrywania się, kłamstw i modłów, żeby się opłaciło. I po co? By wszystko zniszczyła jakaś spaczona, wynaturzona magia.

Nie powinna była słuchać ojca, ale zaufać własnemu instynktowi i składować żywność w Twierdzy.

I nigdy, przenigdy nie powinna była brać od tych po trzykroć przeklętych Marstokczyków tej po trzykroć przeklętej broni i zostawiać Merika na morzu.

Vivia nie zdołała się powstrzymać. Pomimo stojącej obok Stix i setki żołnierzy, pomimo tego, że wiedziała, że usłyszy o tym Wysoka Rada, złapała się za głowę i wydała z siebie rozpaczliwy wrzask.

\*\*\*

Cam holowała Merika bocznymi uliczkami w upalnym skwarze późnego popołudnia, kierując się do publicznej łaźni na Starym Mieście, której czasy świetności, jak wszystkiego innego w tej części Lovats, dawno już minęły, ale przynajmniej mieli tam czystą wodę.

Kolejną zaletą były pustki o tej porze dnia. Kobieta u wejścia prawie spała, przyjmując pieniądze od Merika. Jeśli obrzydził ją

wygląd i zapach niecodziennych klientów, zachowała swoją opinię dla siebie.

– Potrzebne nam nowe ciuchy – wypaliła Cam, ledwie weszła do ciemnej, drewnianej przybudówki. – Niech pan to zostawi mnie, dobra? Wykąpię się, jak wrócę!

Nie czekając na odpowiedź, wyszła na zalaną słońcem ulicę.

Merik pozwolił jej odejść. Domyślił się, że to tylko pretekst, żeby nie zdradzić się przed nim ze swoją płcią. Poza tym miała rację – potrzebowali nowych ubrań.

Merik umył się sam, rozkoszując się pieczeniem mydła na poranionej skórze i gorącą, zaczarowaną wodą omywającą ciało. Ciekawe, jak długo będzie musiał się szorować, zanim uda mu się zmyć nienawiść? Albo cienie?

Dotąd żywił nadzieję, że linie, które spostrzegł na swoim ciele podczas nakładania maści, były wynikiem gry światła. Lecz teraz widział je wyraźnie, rozchodziły się promieniście od serca, przywodząc na myśl pęknięte lustro.

Gdyby zauważył je miesiąc temu, natychmiast spytałby swojej ciotki, co, u diaska, się z nim dzieje. Ale teraz nie miał nikogo, do kogo mógłby się zwrócić o pomoc. Nie licząc Cam, która wiedziała o magii tyle, ile żaba ze studni wie o oceanie.

Z zamyślenia wyrwały go otwierające się ze skrzypieniem drzwi. Dziewczyna wróciła, jakby przywołał ją myślami.

– Mam ciuchy, sir – powiedziała wystająca zza futryny czarna główka. Cam rzuciła szaty na podłogę wraz z parą skórzanych butów. A potem głowa się schowała, a drzwi zaczęły zamykać.

– Majtku!

Drzwi zastygły w bezruchu.

– Czy wciąż biją w bębny?

– Tak, sir. – Nie umknęło mu napięcie w jej głosie. – Ale na Starym Mieście nie ma już żołnierzy.

Jak na razie, poprawił ją w myślach wiatrodziej, nim drzwi pokonały resztę drogi do futryny. W pośpiechu dokończył kąpiel. Cienie i trupy. Zaraz się z nimi policzy.

Gdy odnalazł Cam liczącą w przedsionku łaźni deski w ścianie, jej skóra była wypucowana na błysk, a sterczące

na wszystkie strony puszyste włosy budziły skojarzenie z niedawno wyklutym kurczęciem. Podobnie jak Merik miała na sobie białą tunikę i workowate, brązowe spodnie, które wisiały na niej nawet podwinięte i przewiązane pasem. W odróżnieniu od niego nie miała na sobie butów ani płaszcza z kapturem, ale z drugiej strony, pomyślał wiatrodziej, chyba wcale ich nie potrzebowała. Jej twarzy nie pokrywały blizny i to nie z jej powodu dudniły bębny.

– Mógłbym przysiąc, że wciąż cuchnę kanałami – mówił, zbliżając się do dziewczyny. – Jestem pewien, że już nigdy nie pozbędę się z nosa tego fetoru.

Spodziewał się uśmiechu, lecz zamiast tego Cam burknęła coś w odpowiedzi. Było to tak nieoczekiwane, że wlepił się w nią zaciekawionym spojrzeniem, ale ona już odwróciła się plecami i wyciągnęła dłoń do klamki.

Miasto dusiło się od wilgoci, skwaru i mas ludzi, lecz Cam, co jeszcze dziwniejsze, nie skomentowała tego w żaden sposób. Bez słowa wciągała Merika w boczne uliczki, umykając przed żołnierzami. Nie odezwała się słowem, wszedłszy dopiero co umyтыми stopami w kałużę pełną Noden jeden wie czego. Ponura mina nie opuszczała jej twarzy, zmarszczone brwi zastygły w pozie wyrażającej niezadowolenie, która kompletnie do niej nie pasowała. Przerwała ciszę, dopiero gdy wrócili do mieszkania Kullena.

Przysunęła się ostrożnie do mętnego okna i patrzyła przez chwilę, a potem wróciła wzrokiem do Merika. Jej policzki płonęły. Miał nadzieję, że od gorąca, ale podejrzewał, że może być o coś zła.

– Długo o tym myślałem, sir. Od samego opuszczenia spizarni. I doszedłem do wniosku, że potrzebna nam pomoc.

– Pomoc – powtórzył Merik jak echo, zdejmując nowy, o wiele za obszerny płaszcz i przewieszając go przez wezglowie łóżka. – Do czego dokładnie potrzebna nam ta pomoc?

– Choćby do uporania się z trupami, które wracają do życia...  
– Poderwała głowę najwyraźniej gotowa do kłótni. – Cokolwiek

to było, cokolwiek widzieliśmy w spizarniach... To nie było normalne. To było... jakieś bluźnierstwo!

– Jestem pewien, że strażnicy już sobie z tym poradzili.

– A jeśli nie? Co, jeśli nie są w stanie sobie poradzić z czymś takim? A może w ogóle nie widzieli tego co my? Trzeba komuś powiedzieć, że w Cysternach działa jakaś czarna magia, sir.

– Komuś? – spytał ostrożnie, choć już rozumiał, dokąd to zmierza.

– Siłom zbrojnym... Albo, nie wiem... Wysokiej Radzie!

– Ach, racja. – Merik roześmiał się oschle i okrutnie. – Masz na myśli te siły zbrojne i Wysoką Radę, którymi rządzi moja siostra, która, nie wiem, czy pamiętasz, próbowała mnie zabić?

– Wcale tego nie wiemy – zaproponowała. – Nie mamy pewności, sir.

– Doprawdy? – W piersi Merika zrodził się gorący, nasycony magią wiatr. Rozproszył go. Nie, zabronił sobie. Nie użyję go przeciw Cam. – Wiemy, że zostawiła nas na morzu na pastwę losu.

– Zrobiła to dla swoich piratów, sir. Nie mówię, że postąpiła słusznie, ale zdobyła w końcu tę broń dla lisów. A my widzieliśmy na własne oczy, że jej plan działa.

Przez pół płytkiego oddechu mógł tylko gapić się na Cam. A potem wyrzekł, powoli i morderczo dobitnie:

– Widzieliśmy, że gromadzi żywność. Dla siebie. Czy ty przeszedłeś na jej stronę, Cam?

– Nie! – Uniosła ręce. – Ja tylko... Nie możemy walczyć z żywymi trupami, sir! Nie sami! A jeśli – nie ustępowała – to nie księżniczka próbuje nas kropnąć? Jeśli... no, jeśli po prostu to ktoś powiązany z tym trupem w spizarni?

Potoczyła się dwa kroki w jego stronę, ale on okręcił się na pięcie. Nie mógł na nią patrzeć. Jej jednej ufał, ona jedna trwała u jego boku, zniosła wszystko, w co ją wpakował... A teraz i ona zwracała się przeciwko niemu.

Jego wzrok osiadł na księgach Kullena. Wyłowił spośród nich *Prawdziwą opowieść o Dwunastu Paladynach*. Jego płuca rozděły się, naparły na żebra z furją, która błagała, by wypuścił ją

na zewnątrz. Gotową, by niszczyć. Domagającą się bezpośredniej konfrontacji z Vivią. Załatwienia sprawy raz na zawsze.

– To Vivia – wydusił – próbowała nas zabić.

– Nie – warknęła Cam. – To nie ona. Niech pan na mnie spojrzy!

Nie mógł. Wiatry zakłębiły się wokół jego kostek. Drobne, wzburzone powiewy.

Cam przypadła do niego, tupiąc bosymi stopami o podłogę. Drżące impulsy wiatru uniosły jej tunikę.

– Niech pan na mnie spojrzy!

– Po co? – Merik musiał podnieść głos, by słowa przebiły się przez rosnący szum. Wiatr poruszył okładką Prawdziwej opowieści... i otworzył ją. – Czego ty chcesz ode mnie, Cam?

– Chcę, żeby spojrział pan prawdzie w oczy! Nie jestem ślepy, wie pan? Widziałem znaki na pańskiej piersi i ramionach! Są takie same, jak te na zwłokach w spiżarni. Potrzebne nam odpowiedzi, sir, i chyba wiem, gdzie...

– Ja też nie jestem ślepy, Cam. – Merik okręcił się twarzą do niej. – I doskonale wiem, że jesteś dziewczyną.

Wypuściła powietrze, a wiatr porwał jej oddech. Wlepiła w niego wzrok. Zaskoczenie wypłynęło na powierzchnię jej twarzy.

– Tak pan myśli? Nie domyślił się pan prawdy przez cały ten czas? – Prychnęła pustym śmiechem. – Ale czemu mnie to dziwi? Nie spojrział pan na mnie na Janie choćby dwa razy. Nie pamiętał pan nawet mojego imienia, więc dlaczego niby miałem się spodziewać, że pan zrozumie... Że dostrzeże pan, kim jestem naprawdę!

Zrobiła krok w jego stronę, jej twarz zatrzymała się o dwa cale przed twarzą Merika. Była zbyt blisko, by wiatr poruszył jej ubraniem. Stała wraz z nim w oku jego małego cyklonu.

– Panu się wydaje, że jest taki bezinteresowny – wypluła. – Myśli pan, że robi, co może, by wszystkim pomóc, a jeśli źle się pan do tego zabrał, co? Gdy żyję jako chłopak, przynajmniej nikomu nie dzieje się krzywda. Ale co się dzieje, kiedy pan udaje męczennika? Podaje się za Furię? Wszyscy zbierają przez to po dupie.



Przesadziła. Buchnął wiatr, zakręcił między nimi, odtrącił Cam i wzbił w powietrze walające się po mieszkaniu księgi. Ale ona nie przejęła się zupełnie, jeszcze nie skończyła. Wyprostowała się na pełną wysokość i wrzasnęła mu prosto w twarz:

– Przestań widzieć, co chcesz widzieć, Meriku Niharze, i dostrzeż w końcu prawdę!

A potem przemknęła obok niego w drodze do drzwi. Trzasnęły za nią. Został sam, owionięty wichrem i wściekłością, wśród rozrzuconych ksiąg.

## ROZDZIAŁ 25

Tej nocy śniła inaczej niż zwykle. Zupełnie inaczej.

Iseult znalazła się w wieży Esme, rozpadającej się budowli w Poznynie, którą już kiedyś widziała – tyle że wówczas patrzyła przez oczy Esme, a tym razem spoglądała własnymi. Była w Poznynie, ona sama, we własnym cieple, i wpatrywała się w siedzącą do niej tyłem dziewczynę, która nie mogła być nikim innym, jak tylko Lalkarką.

Iseult nie wiedziała, jak się tu znalazła. Sen zmorzył ją ledwie kilka chwil temu, gdy krwiodziej objął wartę. A potem się zbudziła – jeśli można to tak nazwać – w tej wieży. Z początku nie widziała wyraźnie, ceglana ściana ostatniego piętra zlała jej się przed oczami w jedną szarą masę, a ciemność nocy za oknem znaczyła ją czarną plamą. Ale i tak poznała, gdzie się znajduje.

Poznała też Lalkarkę, mimo że widziała ją pierwszy raz. Esme siedziała na stołku twarzą do biurka, na którym piętrzyły się książki. Migotały świece ustawione na blacie, parapecie, wystających ze ściany kamieniach. Komnatę wypełniał ciepły, drżący, miodowy blask.

Swoje długie czarne włosy Esme splotła w dwa warkocze, a gdy przejaśniło się Iseult przed oczami, pojęła, że te barwne pasma na jej głowie to włókna filcu i sznury koralików i paciorków. I ususzonych kwiatów.

Gdy dziewczyna wreszcie się odwróciła, więziodziejka zorientowała się po jej cichym okrzyku i wybałuszonych kasztanowych oczach, że nie miała pojęcia o jej obecności.

Ale po chwili jej blada nomatsańska twarz pojaśniała.

– To ty – szepnęła i podbiegła do niej.

Utkane ze snu ciało Iseult wzdrgnęło się i cofnęło dwa kroki. Oczy ponownie zaszły jej mgłą. Esme stanęła niespełna metr przed nią, a wtedy więziodziejka na powrót odzyskała ostrość widzenia, jakby znalazła się w komnacie nie tylko duchem, ale

i ciałem. Lecz kiedy Esme sięgnęła do Iseult, jej ręka przeszła przez nią, jakby Nomatsanki wcale tam nie było.

Esme zaniósła się dźwięcznym, dziewczęcym śmiechem.

– Prawie jakbyś tu ze mną stała! Tak wyraźnie cię widzę. Jak to możliwe? – Skoczyła w lewo i obesła Iseult, mierząc ją wzrokiem ze wszystkich stron.

– Nie wiem... – powiedziała więziodziejka, czując obcą sztywność języka i ścisk w gardle.

– Jesteś wyższa, niż myślałam. – Głos Esme brzmiał jak dzwoneczki poruszane wiatrem. Zaklaskała z podniecenia. – I lepiej zbudowana. – Chciała złapać ją za rękę, ale tylko przeszła powietrze.

Kolejny radosny śmiech. Znowu stanęła przed Iseult, tym razem skupiwszy całą uwagę na jej twarzy. Zmarszczyła się.

– Masz bliznę przy oku. Jak czerwona łza. Skąd się wzięła?

To ślad po jadodzieju z Lejny, chciała krzyknąć. Tym, którego rozszczepiłaś. Ale ugryzła się w swój zdematerializowany język. Jeśli Esme miała Iseult za złe to, jak potraktowała jej rozszczepieńców na nomatsańskiej ścieżce, to jak zareaguje na wieść o tych, którym pucinała z Aeduanem głowy na ulicach Lejny?

Szczęściem Esme nie przejęła się milczeniem gościa. Zamiast tego rozłożyła ramiona i spytała:

– A ja? Wyglądam, jak się spodziewałaś?

Iseult zmusiła się do skinięcia, choć dziewczyna wyglądała zupełnie inaczej. Lalkarka okazała się o wiele ładniejsza. Była bez dwóch zdań najpiękniejszą Nomatsanką, jaką Iseult widziała w życiu. Delikatny obrys zuchwy, jaśniejąca bladość skóry, barwne ozdoby we włosach. I dołeczek na prawym policzku, gdy się uśmiechała.

– Jesteś... drobniejsza, niż sobie wyobrażałam – rzekła szczerze. Małeńka Esme zupełnie nie pasowała Iseult do potężnej magii, którą władała.

– Jak miło, że wpadłaś z wizytą! – Dołeczek się pogłębił. – Uczyłam się właśnie, jak zawsze o tej porze. Tylko w nocy mam trochę czasu dla siebie. – Zniknął, ale tylko na chwilę,

bo promienny uśmiech zaraz powrócił na jej usta. Podeszła do biurka.

– Musisz być w którymś z tych starych miejsc – rzekła przez ramię. – Takim jak moja wieża, gdzie ściany między tym światem a światem Przedwiecznych są cieńsze. Ciekawostka, cóż to może być za miejsce? – Porwała z blatu nadniszczony tom, wprawiając pobliskie świece w drzenie.

A potem zawirowała w kierunku Iseult.

– Otwórz oczy!

Nie zdołała się w porę opanować. Moc i nagłość rozkazu sprawiły, że więziodziejka aż podskoczyła. Komnata rozplynęła się i nałożył się na nią zarys ruin, gdzie obozowała z Aeduanem.

Esme zassała powietrze zachwycona. Jakimś sposobem stanęła obok Iseult, ściskając księgę w rękę, zaś więziodziejka lewitowała ponad swoją własną uśpioną postacią. Jej eteryczne ciało przeszły drobinki lodu. Nigdy nie widziała takiej magii. Nigdy nawet o podobnej nie słyszała.

Esme nie zwróciła uwagi na malujące się na twarzy towarzyszki zdumienie. Choć raz Lalkarka całkowicie odseparowała się od umysłu Iseult. Nie mogła czytać jej w myślach ani wykradać jej tajemnic.

– To z całą pewnością jakiś pałac z dawnych dni. Zdradzają to tamte posągi. To sowy czy gawrony?

Sowy? Więziodziejka podążyła wzrokiem do miejsca wskazanego przez Esme. Zerodowane monolity w czterech kątach komnaty tonęły w świetle gwiazd. Według Iseult nie przypominały żadnego ptaka, ot, kamienne bryły oblepione bluszczem. Ani sowy, ani gawrony.

– Nie wspominając o tym – kontynuowała Esme – jak łatwo nam się rozmawia. To również pokazuje, czym jest to miejsce. – Mówiła teraz do siebie. Przyklękawszy w środku pomieszczenia, otworzyła księgę. Było zbyt ciemno, by czytać, ale Lalkarka najwyraźniej nie potrzebowała światła. Zupełnie jakby wraz z nią pojawiły się tu też świece rozstawione w komnacie w Pozninie.

Iseult zbliżyła się do Esme, skacząc wzrokiem od kart książki do swojego pogrążonego we śnie ciała. Coś nie dawało jej spokoju.

Ciało Iseult ani drgnęło, a wertowana księga nie wydawała dźwięku. Coś jest nie tak, pomyślała. Nie było słyhać nic poza głosem Esme.

– Nie ma tu tego miejsca – poinformowała Lalkarka, siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami. – Eridysi nawet o nim nie wspomina.

– Eridysi? – Słowo uciekło Iseult z ust, nim zdołała je zacisnąć. Zanim w ogóle zdołała się nad nim zastanowić. Bo przecież Esme nie może mieć na myśli wzrokodziejki Eridysi, która napisała słynny Lament wieki temu. Tak jak stara szmaciana lalka Iseult nie otrzymała imienia po tej właśnie Eridysi, po prostu spodobało jej się samo imię.

Ale Esme najwidoczniej właśnie tę czarodziejkę miała na myśli.

– Tak – powiedziała po prostu. – Ragnar dał mi kilka lat temu dziennik starej wzrokodziejki. – Rzuciła Iseult niemal wstydlivy półuśmiech. – Wszystkiego, co umiem, nauczyłam się z tej księgi. Od rozszczepiania do wskrzeszania i przywiązywania lalek do Krosna. I ty też możesz się tego nauczyć, Iseult.

Albo może oduczyć. Zanim zdążyła spytać, co powinna zrobić, by przestać... chodzić we śnie, do pomieszczenia wszedł Aeduan.

Chodził wzdłuż ścian jak zwierzę w klatce, przenikając przez Esme. Jego nozdrza unosiły się i opadały, gdy kluczył i wachał, próbując złowić jakiś zapach. Było jasne, że nie widzi kobiet poruszających się jak duchy nad kamienną podłogą.

Esme dźwignęła się na nogi, gromiąc Iseult wzrokiem.

– Wciąż trzymasz z tym krwiodziejem? Mówiłam ci przecież, że jest niebezpieczny.

– Ocalił mnie – odparła więziodziejka.

Krwiodziej pochłonał całą jej uwagę. A jego skupiła się na śpiącej Iseult. Nie wachał już, nie kręcił się po pomieszczeniu. Po prostu patrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Ocalił cię? A niby przed czym? – zaciętrzewiła się Esme. Wcisnęła się przed Iseult, zasłaniając Aeduana. Gdy więziodziejka zwlekała z odpowiedzią, powtórzyła głośniej: – Przed czym?

Podniosła wolną rękę z rozłożonymi palcami i wdarła się do czaszki Iseult.

Śnienie znieruchomiło. Nie było już ruin ani eterycznych postaci, ani krwiodzieja. Iseult została uwięziona, a Esme raz jeszcze wzięła we władanie jej umysł. Przetrzęsła każdy zakamarek jej głowy. W kilka sekund znalazła wszystkie informacje, których potrzebowała.

– Och, bogini jedyna. – Jej słowa odbiły się echem w czaszce więziodziejki. – Tamci mężczyźni prawie cię złapali. I rzeczywiście, krwiodziej ocalił ci życie.

Lalkarka przetrzęsała jej umysł, a Iseult miała wrażenie, że jej głowę drążą robaki. Dziewięć razy cztery, trzydzieści sześć. Dziewięć razy piętnaście, sto trzydzieści pięć...Ale tabliczka mnożenia nie powstrzymała Esme.

– Ci ludzie pracują... dla Corlanta? A kto to? Kapłan Purytanów? Ale... – Esme zawiesiła głos, a w materii snu błysnęło błękitne zrozumienie. Ja znam tego mężczyznę – podjęła po chwili. – Ale pod innym imieniem. Jeśli poluje na ciebie, Iseult, to znaczy, że ty... Że on... – Jej osłupienie wstrząsnęło Iseult. – Och, tego się nie spodziewałam. Nie, to jakaś pomyłka! Przecież ty nie możesz być Cahr Awenem.

– Nie! – wydusiła Iseult, nieco zbyt głośno. Ale zachowanie spokoju było zawsze takie trudne w czasie Śnienia.

Esme głowiła się nad tą kwestią w przedłużającej się ciszy. Sekundy rozciągnęły się w minuty, a Iseult mogła tylko czekać w świecie nieskończonych, dławiących cieni.

Aż wreszcie Esme odzyskała mowę, wprawiając w drżenie zdradliwe płuca Iseult.

– Może i jesteś Cahr Awenem, Iseult. Ale może nie jesteś. Tak czy inaczej, nie powinnaś już potrzebować opieki krwiodzieja. Czterech przeciwników to dla nas drobnostka. Po prostu rozszczep ich i z głowy. Patrz, pokażę ci, jak to się robi.

Błysnęło światło. A potem na powrót znalazły się w wieży Esme, tylko że tym razem więziodziejka została uwięziona w umyśle Lalkarki. Zmuszona do patrzenia na świat jej oczami.

Dziewczyna stała przy oknie, z pozoru nie przejmując się płonącymi blisko niej świecami czy woskiem plamiącym jej suknię. Utkwiła palec w ciemności i zmrużyła oczy, wreszcie spostrzegła szeregi rozszczępieńców, takich samych jak ci, których widziała dwa tygodnie temu. Mroczne kontury w ciemności.

– Na przedzie stoi człowiek – odezwała się Esme. – Widzisz go? Ten w fartuchu. Był kiedyś kowalem.

Iseult nie mogła go nie widzieć, skoro Esme skupiła na nim wzrok. Szary fartuch kowalski miał umazany czarną krwią.

– Był słabym żelazodziejem – wyjaśniła Lalkarka beznamiętnym tonem. Niemal chłodnym. – Miał więziobrata w tej wiosce, człowieka pozbawionego magicznego daru. Gdy rozszczepiałam kowala, ten więziobrat próbował interweniować. Nie wiem, co niby chciał zrobić. Dla rozszczepianego człowieka nie ma ratunku, chyba że łaska Księżycowej Matki... No i ja, ma się rozumieć. – Esme mówiła rzeczowo, Iseult nie doszukała się w jej głosie śladu próżności, gdy stawiała swoją moc na równi z mocą ich bogini. – Ale z jakiegoś powodu – podjęła nieco bardziej zmęczonym głosem – nie pozwoliłam kowalowi zaatakować więziobrata. Może w tamtych latach wciąż byłam litościwa. Odprawiłam go, by nikogo nie skrzywdził. Ale spójrz na różowe nici. Połyskują między tymi rozszczepionymi. Ostały się, nawet gdy zniknęły wszystkie inne. – Esme przejrzała nici Więzi okręcające się nad głową mężczyzny i czekała na odpowiedź więziodziejki.

Iseult zbudziła więc swoją postać ze snu, by powiedziała:

– Tak, Esme. Widzę nici przyjaźni.

– Tak właśnie ich kontroluję. Przycinam wszystkie nici poza jedną, a tę ostatnią przywiązuję do Krosna. Choć to nieco bardziej skomplikowane. Objasnię ci to innej nocy. Na razie musisz tylko wiedzieć, jak ich zabijać.

Z tymi słowy uniosła swoje smukłe nadgarstki i szczupłe, drobne ramiona. Z tak bliskiej odległości Iseult widziała, jak podobne są palce Esme do jej własnych: tak chude, że przypominały sznurek z zawiązanymi supłami, i przedzielone dużymi odstępami, które uwidaczniały się, gdy je rozcapierzyła.

Lalkarka sięgnęła w dal, zwijając palce i wyciągając się, jakby była harfiarką. Albo prządką przy krośnie.

Nici kowala – włókna koloru zachodzącego słońca, które wciąż wiązały go z przebywającym gdzieś daleko więziobratem – uniosły się lekko ku wyciągniętym rękóm Esme. Stawały się coraz cieńsze, gdy wnikały między palce Lalkarki. Wreszcie zrobiły się tak cienkie, że niemal niewidzialne, i zwinęły się tak ciasno wokół palców Esme, że zaczęły przypominać jaśniejący motek różowej włóczki, wtedy dziewczyna przyciągnęła ręce do twarzy.

– Teraz wystarczy tylko przeciąć.

Esme pochyliła nieco twarz, otworzyła usta i wsunęła nici. Więzy między obnażone zęby, po czym zagryzła szczęki. Nici pękły niczym skute lodem jezioro pod naciskiem buta, zwinęły się i poczerniały jak nadpalone włosy. Ich pociemniałe kikuty zwiotczały, opadły i rozpląnęły się w powietrzu.

Kowalem targnęły drgawki. Padł na kolana, jego umęczone ciało obsypało się nowymi krostami, a te zaczęły pęcznieć i pękać. Wtenczas Esme odwróciła się od okna i kowal zniknął Iseult z oczu.

– Rozszczepienie przepali go na wylot. – Lalkarka otrzepała dłonie z resztek nici. – Umrze w przeciągu kilku sekund.

Iseult nie znalazła na to odpowiedzi. W jej piersi płonął ogień, który gotował jej krew w żyłach. To nie więziodziejstwo. To nie magia eteru. Iseult nie umiałaby tego zrobić.

Nie była taka jak Esme. Nie była jak Esme!

– Co jest z tobą, Iseult?

Musiała uciekać. Musiała się obudzić.

– Ja... chcę spróbować tego, co mi pokazałaś – zełgała, byle tylko uciec na jawę.

Kłamstwo odniosło oczekiwany skutek. Twarz Esme przyozdobił uśmiech. Iseult czuła, jak nienależące do niej usta się rozciągają. A następnie Esme zgodziła się skinieniem głowy. Wieżę szarpnęło w dół i w górę.

– Doskonale. Trening czyni mistrza. Ani się obejrzysz, a będziemy razem.

Esme klasnęła w dłonie.



Świat zatonał w czerni, a Iseult stoczyła się wreszcie w prawdziwy, pozbawiony marzeń sen.

\*\*\*

Więziodziejka robiła zbyt wiele hałasu.

Aeduan nigdy by się tego po niej nie spodziewał. Zwykle zachowywała niezmacony spokój, a emocje kryła za nieruchomą maską spoczywającą na jej twarzy. A jednak od samego rana nie dawała mu spokoju, działała mu na nerwy.

O brzasku opuścił wewnętrzne komnaty starożytnej fortecy i znalazł kawałek otwartej przestrzeni, wszedłszy po schodach na rozległe półpiętro wtopione w rozciągającą się dalej łąkę. Niedawno to miejsce wyjąłowił pożar, który zniszczył nie tylko drzewa, ale też zagnieżdżone w ziemi podszycie. Pewnie uderzył tu piorun. Wcale nierzadkie zjawisko na Ziemi Niczyjej, zupełnie jakby bogowie nawiedzali czasem niegościnnie pustkowie, by usunąć, co stare, i pozwolić wzrosnąć nowemu.

Przywiodło mu to na myśl nomatsański wierszyk.

Obumarłą trawę ze snu ogień budzi,

A jałowej ziemi deszcz przywraca życie,

Gdzie jeden umiera, tam się rodzi drugi,

A koło się toczy w swym przedwiecznym rytmie.

Tę piosenkę śpiewała rankiem więziodziejka. Niemiłosiernie przy tym fałszując, co szalenie dekoncentrowało medytującego na zawalonej kolumnie Aeduana. Przestała śpiewać, gdy się zorientowała, że tam siedzi, ale i tak było już za późno. Skupienie szlag trafił.

Posłałby jej obelżywe słowo, gdyby uznał, że to coś zmieni. Ale nie wierzył w to, więc po prostu wstał i zdjął caraweński płaszcz, a ona wróciła do piosenki. Ale tym razem nie śpiewała, tylko mruzczała cicho, zwijając obóz z wyuczoną sprawnością.

Aeduan odpuścił sobie medytację i przystąpił do porannej rozgrzewki: rozruszał nadgarstki, zatoczył kilka kręgów ramionami. A jednak nie mógł się skupić. Nie w tym hałasie.

– Możesz być cicho? – krzyknął w końcu.

– Czemu? – odparła, zadzierając głowę.

– Rozpraszasz mnie.

Wyprężyła się jak struna.

– Myślałam, że już nie jesteś mnichem. Więc czemu wciąż medytujesz... czy co tam właściwie ćwiczysz?

Aeduan puścił jej słowa mimo uszu i wyprowadził kilka kopnięć w powietrze, kilka na wysokości pasa, kilka nieco wyżej.

– Jak to było być mnichem? – zaciekała się, podchodząc bliżej.

Jeszcze trzy kopnięcia i przeszedł do przysiadów. Jeden, drugi...

– Każdy może zostać mnichem – ciągnęła, stając przed nim. – Niezależnie od pochodzenia lub... – machnęła na niego – magicznej specjalizacji.

– Nie. – Aeduan wiedział, że nie powinien wdawać się z nią w dyskusję, ale nie mógł pozwolić, by jej słowa, do szczętu nieprawdziwe, wisiały między nimi. – Możesz mi wierzyć, więziodziejko – wydyszał między przysiadami – mnisi potrafią być tak okrutni, jak reszta ludzkości. Po prostu dopuszczają się okrucieństw w imię Cahr Awenów.

– Odszedłeś właśnie przez to? Przez okrucieństwo?

Aeduan zastygł wyprostowany i zwlekał z kolejnym przysiadem. Twarz dziewczyny była wyprana z emocji.

Westchnął.

– To, że straciłem wiarę w sprawę, nie oznacza, że trening stał się nieprzydatny.

Przechyliła głowę.

– A czemu straciłeś wiarę?

Chciał, to ma. Jedno pytanie rodziło sto kolejnych, a dziewczyna podniosła ostatni temat, na jaki miał ochotę rozmawiać.

– Dość. – Odwrócił się od niej. – Odejdź stąd albo bądź cicho.

Wszedł w zacieniony obszar polany, gdzie trawa była najkrótsza, a rozpadająca się budowla nie zawężyła mu pola manewru. Tu mógł się okręcać, kopać, przetaczać i robić skręty.

Z jakiegoś niezrozumiałego powodu więziodziejka poszła za nim.

– Możesz wymigiwać się od odpowiedzi, ale ja i tak będę dalej pytać. – W jej głosie pobrzmiwała jakaś nagła potrzeba. Nie zająknęła się, a wiedział, że czasem się jąka. Wyrzekła te słowa z palącą intensywnością.

I stała o wiele za blisko. Wkroczyła w jego przestrzeń osobistą, czego nikt nie ośmielił się dotąd zrobić.

– Dwa kroki w tył – ostrzegł ją – albo założę, że chcesz się przyłączyć do treningu.

– Nie zamknę się, dopóki mi nie odpowiesz. – Przysunęła się jeszcze o krok. W jej oczach lśniło wyzwanie. W jej postawie i w tym, jak wysunęła żuchwę.

Przeszył go dreszcz. A potem wygarnął spod niej nogi kopnięciem.

Domyśliła się, co zamierza, i była gotowa, ale Aeduan okazał się za szybki, by mogła zablokować cios. Poleciała w dół. Ale zanim uderzyła o grunt, Aeduan złapał ją i powoli opuścił na trawę. Ucapiała jego koszulę małymi piąstkami, nim jej plecy zetknęły się z ziemią.

– Nie powinieneś marnować energii na popisy – rzekła bez emocji. Nie dostrzegł strachu w jej żółtych nomatsańskich oczach. Tylko rumieniec na policzkach.

Aeduan nieomal się roześmiał na ten widok. I na te słowa, był daleki od popisywania się. To podstawowy caraweński trening. By jej to zademonstrować, złapał ją za nadgarstek wolną ręką i wpił palce w jej ścięgna, po czym przekręcił do środka. Jej przeguby poddały się jego woli.

Puściła jego koszulę, ale, ku jego zaskoczeniu, nie zwiotczała w jego rękach ani nie zarzuciła biodrami w akcie paniki, tylko wyprowadziła szerokie kopnięcie i zahaczyła go piętą, próbując rozłożyć go na trawie. Za wolno. O wiele za wolno. Nowicjuszka rzucająca wyzwanie mistrzowi.

Aeduan ścisnął ją mocniej, przekręcił silniej i zmusił do przetoczenia się bokiem. Natychmiast obróciła się na brzuch i odgięła głowę. Nie miał już wątpliwości co do tego, co płonęło w jej oczach. Więziодziejski spokój zniknął.

Sama się o to prosiła. Wiedziała o tym. I to doprowadzało ją do szału.

– Co cię obchodzi mój rozbrat z klasztorem?

– Nic mnie... nie obchodzi... że odszedłeś – wyrzekła z wysiłkiem, a Aeduan domyślił się, że stara się nie zająknąć. – Obchodzi mnie... dlaczego. Nie wierzysz już w Cahr Awenów?

Aeduan zawahał się. Zbiła go z pantałyku tym bezpośrednim pytaniem. A potem sobie przypomniał, z kim ostatnio rozmawiał o Cahr Awenach.

– Ach, siostra Evrane napchała wam głupot do głów i teraz myślisz, że jesteś jednym z nich. – Puścił ją, stoczył się z jej pleców i wstał. Podał jej dłoń.

Nie przyjęła jej. Odepchnęła się od ziemi rękami i kolanami ze wzrokiem wbitym w trawę.

– Dlaczego... – wydyszała – głupot?

– Nie jesteś otchłaniarzem. – Wymówił to płaskim tonem, prawie nie akcentując, ale te słowa najwyraźniej podziały na Iseult.

Wzdrygnęła się.

– A-ale... ja... my uleczyłyśmy Prastudnię.

Aeduan przechylił głowę. Wziął głęboki wdech, smakując wilgotne, poranne powietrze. W trawie skrzypiały świerszcze, z daleka dał się słyszeć grom.

– Tak – przyznał wreszcie – ktoś ją uleczył. Studnia zbudziła się do życia, ale dopiero przeciera leniwie oczy. Nie działa jak w pełni rozbudzona Studnia Eteru, przy której spędziłem większą część dzieciństwa. Prastudnia wydała mi się tylko częściowo aktywna. Jakby tylko jeden Cahr Awen ją uleczył. I nie wydaje mi się, więziодziejsko, żebyś to była ty.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Aha.

Wstała niezgrabnie, jakby nie odzyskała jeszcze zupełnie władzy nad zwiotczającym ciałem, wzrok miała ruchliwy i rozproszony.

Aeduan wnet zrozumiał, że popełnił błąd. Powinien był milczeć, pozwolić jej wierzyć w tę pozbawioną sensu, jałową fantazję. W końcu przybita więziodziejka tylko go spowolni.

– Pierwsza lekcja, jakiej udziela się caraweńskiemu nowicjuszowi – zdecydował się powiedzieć, jak gdyby nigdy nic – nie rzucaj wyzwania silniejszemu przeciwnikowi.

Nozdrza Iseult drgnęły. Jej rysy stwardniały. Opór i upór wróciły, a usta Aeduana drgnęły wbrew jego woli.

– Nie rzuciłam ci wyzwania – zaprzeczyła chłodno.

– Nadmierne skrócenie dystansu jest w wielu kulturach uznawane właśnie za wyzwanie na pojedynek.

– To mnie ucz. – Brwi powędrowały mu na czoło. – Naucz mnie tego, co właśnie zrobiłeś. Przyszpiliłeś mnie do ziemi ot tak. Ucz mnie, żebym nie popełniła drugi raz tego samego błędu.

– Nie mamy na to czasu. – Pokręcił głową, a potem z rozmysłem obrócił się do więziodziejki plecami.

A ona zaatakowała.

Uśmiechnął się.

## ROZDZIAŁ 26

Pomimo starań i nadzwyczajnego wysiłku woli, Safi jednak zasnęła. A jak już zasnęła, spała całą noc i cały następny dzień. Posiłek, kąpiel, a potem partyjka w taro z Kahiną – to było dla niej o wiele za dużo. Zmorzył ją sen, gdy tylko przyłożyła głowę do poduszki, zwinięta na łóżku obok Vanessy. Piekielni bardowie, cesarzowa i cała Piracka Republika odpłynęli gdzieś w dal.

Aż nie rozległo się pukanie do drzwi.

Safi obudziła się tak gwałtownie, że spadła z łóżka. Zaplątała się w liny owinięte jedwabiem, którymi dręczona poczuciem winy Lev związała jej kostki po wypadzie na terytorium Krwawych Żagli.

Bardowie dobyli noży i toporków, nim Safi zdołała usiąść prosto na podłodze, a zanim udało jej się wstać, Lev – jedyny bard w pełnym pancerzu – skradała się już w kierunku drzwi z wyciągniętym ostrzem.

Ktokolwiek pukał, zrobił to znowu. Mocno, w pośpiechu. Safi obejrzała się na cesarzową, która siedziała na stołku przy oknie ze złożonymi na podołku dłońmi.

– Nie powinniście tu przychodzić! – zawołał ktoś po marstocku.

Nozdrza cesarzowej poruszyły się, z trudem powstrzymała uśmiech. Co oznaczało, że to część jej planu. Gdyby tylko Safi wiedziała, na czym ten plan polegał.

Piekielni bardowie byli tak samo skołowani jak ona, Lev i Zander wpijali się wzrokiem w Cadena, czekając na rozkaz, ale ten nie nadchodził.

– Mówisz po marstocku? – spytała dowódcy cesarzowa z nieco przesadnie afektowanym spokojem. Po tym, jak zgrabnie wstała, Safi była skłonna przypuszczać, że kołnierz na jej karku stał się lekki jak piórko. – Powiedzieli, że nie powinniśmy byli tu przychodzić.

Caden uniósł nóż. A potem powęszył w powietrzu i przeniósł wzrok na okno. Zmrużył oczy.

– Dym – stwierdził.

Wszyscy obrócili się w stronę okna. Szczeliną między okiennicami rzeczywiście wlewał się do pokoju szary dym.

– Ognie piekielne – zaklęła Lev.

– Nałożyłem zaklęcia antyogniodziejskie! – zagrział Zander w tym samym momencie.

– Tak, ale to nie są magiczne płomienie – wciąła się Vanessa, promieniejąc. I uśmiechając się wilczo. – Tylko alchemiczne. To baedydzki morski ogień.

– Nie jesteśmy przecież na morzu – wymamrotała Lev. – I po co palić całą oberżę? Myślałam, że chcą tylko ciebie. – Skupiła wzrok na Vanessie.

– Nie chcecie dostać cesarzowej Marstoku? – krzyknął Caden, wciąż po cartorriańsku. – Umrze, jeśli nas nie wypuścicie.

– Zasługuje na coś gorszego od śmierci! – dobiegł głos zza drzwi. A potem odezwał się nieco mniej żarliwie: – Dlaczego mamy się ograniczać tylko do skrawków Piaskowego Morza, skoro możemy mieć cały Marstok?

Słowa dzwięczały w ciszy. Krew odpłynęła cesarzowej z twarzy. A potem jej usta rozdzielił stłamszony krzyk. Rzuciła się do okna i zanim ktokolwiek zdołał ją powstrzymać, rozwarła okiennice z taką siłą, że wyrznęły o ściany.

– Odstąpcie! – wrzasnęła w kłębach wlatującego do pokoju dymu. – Jako wasza cesarzowa nakazuję wam odstąpić!

– Za Piaskowe Morze! Za Piaskowe Morze!

Huknęła magiczna błyskawica. Piorun rzucił przed oczy Safi przyprawiające o mdłości powidoki. A po chwili odezwały się trzy kolejne uderzenia. Zander odwłókł cesarzową od okna. Mrużąc oczy przed nawałnicą światła, Safi uświadomiła sobie, że to gromobełty rykoszetują od obłożonego zaklęciem okna. Magia obronna sprawiała się, jak należy, przynajmniej przy ataku z zewnątrz. Ale dym wciąż napływał do pokoju, ścisnął za gardło, dusił swędem i gorącem, który znała aż nazbyt dobrze,

bo wspomnienie płonącego statku wciąż żyło w jej pamięci. Dym. Płomienie. Śmierć.

– Rozszerz zakłęcie na prawdziwy ogień – warknął Caden do Zandera, a potem zwrócił się do Lev: – Musimy utrzymać dym na zewnątrz tak długo, jak długo się da.

Lev zerwała z łóżka wełniany koc, Caden złapał za drugą krawędź i zaczęli falującym ruchem wyrzucać czarne kłęby za okno. Tkanina furkotała jak żagiel na wietrze.

Kolejny rozbłysk białego światła. Oczy Safi łzawiły od dymu, przypadła więc do ziemi i poczołgała się do ściany, przy której siedziała Vanessa, oplatając rękami podciągnięte pod szyję kolana. Na twarzy cesarzowej nie zostało nic z doskonałej maski, jaką dotąd nosiła. Przez dym prawdopodobnie widziała jej szeroko rozwarte z przerażenia oczy i zaciśnięte kurczowo na kołnierzu pięści. Ramiona jej się trzęsły. Nie, cała dygotała jakby ogarnięta febrą.

– Zdradzili mnie – wybąkała, skupiając szkliste oczy na Safi. – Zdradzili mnie – powtarzała w kółko. – Zdradzili.

Kanonada błyskawic trwała w najlepsze, bełty waliły o zaczarowane okno, a Caden i Lev doszli w końcu do niego z narzutą. Ale Safi prawie tego nie dostrzegła, pochłonął ją widok Vanessy szarpiącej się z kołnierzem. Ciskała się i biegała po nim nerwowymi palcami, desperacko skupiając zniewoloną żelazodziejską energię, aż strużka krwi pociekła jej z nosa.

– Przestań! – Safi przyskoczyła do niej i złapała ją za nadgarstki. – Nie wydostaniesz się z tego.

Vanessa wpiła się zmrużonymi oczami w prawdopodobnie.

– Czy ty nie rozumiesz? To piraci z Baedyed mnie zdradzili. To oni przez cały czas mieszały na moim dworze, to oni wysadzili w powietrze okręt i zabili moich... – Niewypowiedziane słowo zawisło w powietrzu, gdy zrywała się nieporadnie na nogi. – Uwolnijcie mnie – zawołała po cartorriańsku do bardów. Krew spływała jej na usta i barwiła zęby na różowo.

– Zakłęcia wytrzymają – odparł Caden, lecz gdy tylko wyrzekł te słowa, Zander obejrzał się na niego od drzwi.



– Nie mogę ich rozszerzyć, sir. Nie gdy nas atakują. Ogień pod nami rozprzestrzenia się zbyt szybko.

– Masz pomysł, jak nas stąd wydostać? – rzuciła Lev do Vanessy.

– Mogę zgasić ogień. Robiłam to już.

– Potwierdzam – przytaknęła Safi. – Tak przeżyliśmy atak na nasz okręt.

Caden utkwiał wzrok w Vanessie, a jego podkomendni wpatrywali się w niego z wyczekiwaniem.

– Skąd wiemy, Wasza Wysokość, że nie zaatakujesz nas? – zapytał Caden.

– Bo nie ma czasu? – skłamała cesarzowa.

– Nic przeciw nam nie wskórasz swoją magią – kontynuował Caden, wkładając nóż do pochwy. Bardzo wolno, jakby wciąż się namyślał, co zrobić. – Więc nawet nie próbuj.

– Wasza śmierć w niczym mi nie pomoże – odparowała Vanessa nieco bardziej zdecydowanie. – Morski ogień płonie o wiele szybciej niż ogień naturalny, a nam się kończy czas. – Pokazała palcem na drzwi. Przez szparę między nimi a podłogą wlatywał do pokoju dym.

Zander zaklął. Lev upuściła wełniany koc.

Palce Cadena zacisnęły się po obu stronach kołnierza. Poruszał bezgłośnie ustami, aż szczęknął zamek. Drewniane dyby się otworzyły.

Vanessa natychmiast wkroczyła do akcji. Zanim jeszcze kołnierz uderzył o ziemię, wprawiając w drżenie wyłożoną deskami podłogę, złapała Safi za rękaw i znalazła się przy drzwiach.

– Zdejmij osłonę – poleciła Zanderowi. – Nie wyjdziemy stąd, dopóki zakłęcie działa.

Olbrzym powiódł wzrokiem do Cadena. Dowódca zgodził się skinieniem.

– Zrób to.

Bard wzniosł ramiona i wymruczał magiczną formułę. Pokój zawibrował, a osłona odkleiła się od drzwi włókno po włóknie. Safi

wciąż nie mogła zrozumieć, jak to możliwe, że piekielni bardowie posługują się magią.

A potem nastąpiła implozja szarości i czerni, gdy Vanessa przywołała do siebie każdy kawałek żelaza w pomieszczeniu. Dwie metalowe bryły przemieniły się w ostrza bez trudu przecinające liny, którymi skrępowane były cesarzowa i prawdodziejka, po czym uformowały podobne do wielkich igieł rapiery, obie kobiety porwały po jednym z powietrza.

Zakłęcie się rozwiało. Safi poznała to po wybuchu hałasu i dzikim łomocie gromobełtów o zewnętrzną ścianę.

– Zabierz nas stąd! – ryknął Caden do Vanessy.

– Nie – odparła. Uniosła ręce.

Broń piekielnych bardów obróciła się przeciw nim. Ostrza celowały w ich czaszki. Niczym płynące strumieniem ryby żelazo przemknęło za plecy bardów, gdzie momentalnie się przeformowało. Łańcuchy oplotły ich szyje i zapłonęły czerwienią. Vanessa wszystko przewidziała. Chciała tylko rozproszyć ich uwagę, nim uderzy swoją magią w drzwi.

Słyszając jęk giętego metalu, Safi odskoczyła od piekielnych bardów. Zawiasy rwały się ze ściany. Zasuwa otworzyła się i przemodelowała. A potem, zanim którykolwiek z bardów zdołał ją powstrzymać, Vanessa wyrzuciła ręce w górę.

Drzwi otworzyły się z impetem. Buchnęło powietrze, dym i żar. Skrzydło okręciło się w powietrzu i uderzyło we wszystkich troje bardów, przyduszając do ściany. Byli jak muchy trafione packą.

– My tylko wypełniamy rozkazy – zawołał Caden. Owiewający go dym nadał mu wygląd koszmarnej zjawy. – Wykonywaliśmy tylko naszą robotę.

– A ja – odwarknęła Vanessa z twarzą przekreśloną krwawymi strugami – tylko wykonuję swoją.

Pomknęła do wyjścia.

Ale Safi nie od razu podążyła za nią. Gapiła się na Cadena po lewej, Lev w środku i Zandera po prawej. Nie ufała piekielnym bardom, nie lubiła ich, ale to nie znaczy, że mogła zostawić ich na pewną śmierć.

– Poczekaj! – zawołała za cesarzową, a ta stanęła w drzwiach. Za jej plecami podniosła się do góry ściana żelaza zbudowana z zawiasów, gwoździ i wszystkiego, co tylko znalazła w pokoju jej żelazodziejska magia. – Puść ich.

– Znowu spróbują nas złapać.

– Nie! – krzyknęła Lev. Blizny na jej policzku migotały i lśniły.  
– Pomożemy wam!

– Nie możemy im ufać – upierała się Vanessa. Zaciśnęła rękę na ramieniu prawdziwej. Krew skapnęła jej z podbródka. – Safi, musimy iść, natychmiast!

– Możecie nam ufać – zapewnił je Zander. Mocował się z napierającymi na niego coraz mocniej drzwiami. – Możemy wam udowodnić. Tylko zdejmę pętlę...

– Już to zrobiłem.

Wzrok wszystkich skupił się na Cadenie, którego palce wyslizgnęły się spod drzwi. Miał między nie wpleciony złoty łańcuch. Naszyjnik, który nosili wszyscy piekielni bardowie, łącznie z wujem Safi. Więc to miała na myśli Lev, zrozumiała, kiedy mówiła o pętli.

– Klniemy się na honor – charknął Caden z wielkim wysiłkiem, z twarzą ściągniętą bólem – nie zrobimy wam krzywdy.

Były to pierwsze wypowiedziane przez piekielnego barda słowa, na które zareagowała jej magia. Prawda.

– Nie złapiemy was po raz drugi – ciągnął dowódca. Żyłki wystąpiły mu na czoło. – Uciekniemy razem.

Prawda, prawda, prawda. Nie miała co do tego wątpliwości. Magia Safi rozkoszowała się szczerością jego słów i choć nie miało to dla niej najmniejszego sensu, nie mogła zaprzeczać temu, co widzi. I co czuje.

– Uwolnij ich! – krzyknęła do Vanessy. – Mówi prawdę. Możemy im ufać. Pomogą nam.

Świat zawisł w bezruchu. Dym, żar, iskry. Wszystko stało się tłem dla zamyślanej cesarzowej.

– Szybciej! – Safi próbowała przekrzyczeć hałasy, ale dokładnie w tym momencie cała oberża utonęła w trzasku. A ułamek

sekundy później ich pokój osunął się w dół i zawisł w powietrzu.

Cesarzowa pojęła, że nie ma już ani chwili. Warknęła coś i drzwi opadły na podłogę. Caden wpadł na Lev, która natychmiast pomogła mu nałożyć pętlę. W tej samej chwili Vanessa wyjęła z drzwi całe żelazo, które przemknęło w powietrzu jak wielkie, czarne, rozmazane w pędzie owady, i otoczyła całą grupę tarczą, nim wypadła na korytarz, a potem zaczęła przeć naprzód, osłaniając się nią przed dymem i płomieniami, krok po kroku, stopień po stopniu, Safi i Vanessa na czele, troje bardów zaraz za nimi.

\*\*\*

Gdy Aeduan i Iseult zwijali obóz, powietrze rozszarpał wybuch. Dźwięk dobiegł gdzieś z oddali, jakby ktoś wypalił z armaty po drugiej stronie lasu.

Więziodziejka i krwiodziej skrzyżowali spojrzenia.

– Ludzie – powiedziała Iseult.

Potwierdził skinieniem.

– Powinniśmy to sprawdzić – dodała.

Skinął raz jeszcze.

– Zostań tutaj.

– Akurat – odpowiedziała natychmiast.

Westchnął. Robił to ostatnimi czasy coraz częściej. Ale i nie powstrzymał jej. Po chwili dotarli do łąki, gdzie wcześniej trenowali.

Trawa wciąż była przygięta do ziemi, znacząc miejsce ciągłych upadków Iseult. Aeduan walczył z nią ostrożnie, wiedział, kiedy przestać, nieustannie szukał na jej twarzy śladów bólu, by wyczuć, kiedy odpuścić. Ale też ani razu nie pozwolił jej wygrać. Tak jak mniszka Evrane nigdy nie pozwoliła jemu.

Opuścili łąkę, torując sobie drogę na porośnięty drzewami klif. Zatrzymali się pomiędzy dębami i sosnami, zza których widzieli okręty wpływające do Amonry.

Aeduan wypuścił powietrze z płuc.

– Krwawe Żagle i Baedyedowie. Skoro Rozejm się skończył, sprzymierzyli się przeciw wspólnemu wrogowi. – W kilku zdaniach przekazał Iseult, co powinna wiedzieć o dwóch pirackich

fakcjach, podkreślając, że ich kruchy sojusz wisi na włosku Pani Los.

Objaśniając jej to wszystko, wyjął brązową lunetę z pokrowca i przesunął nią od lewej do prawej. Wszystkie okręty były wypełnione po burty żołnierzami, a każdy z nich uzbrojony po zęby. Ludzie tłoczyli się także na brzegach. Na pierwszy rzut oka prawie niewidoczni, ale jeśli patrzyło się uważnie, dało się dostrzec ruchy. Konie. Kolejni żołnierze.

– Dokąd płyną? – spytała Iseult.

– W górę rzeki.

Teraz przyszła jej kolej, by westchnąć, ale Aeduan nic więcej nie powiedział. Cisza trwała, dopóki krwiodziej nie opuścił lunety. I nie odkrył, że Iseult się w niego wpatruje. Siedziała spokojnie, nieruchomo, ale choć raz jej twarz nie trwała w bezruchu. Brwi miała ściągnięte, usta zaciśnięte, a nos tradycyjnie zmarszczony. Aeduan przełknął ślinę. Czyżby jednak zrobił jej krzywdę? Zielone plamy po ślizgach na trawie pokrywały jej ramiona i kolana, na kości policzkowej ciemniał siniec.

Ale nie. Im dłużej na nią patrzył, tym większej nabierał pewności, że to nie ból wykrzywia jej twarz w grymasie, tylko smutek. Po raz drugi tego ranka żałował, że powiedział jej o Cahr Awenach.

Wstał, wsunął lunetę do pokrowca na pasie i oczyścił gardło.

– Będą musieli zejść na ląd przed wodospadem. Musimy stąd zniknąć, zanim to nastąpi, więziodziejko.

– Więc ruszajmy – odrzekła beznamiętnie.

– Będziemy musieli się pospieszyć. Wytrzymasz?

Prychnęła w odpowiedzi, a gdy Aeduan wrócił do niej wzrokiem, jej rysy już się wygładziły. Prawie udało jej się zdusić łobuzerski ogień w oku.

– Chyba oboje znamy odpowiedź na to pytanie, krwiodzieju. – Minęła go z zadartym nosem. – Właściwe pytanie brzmi: czy ty wytrzymasz.

A potem puściła się biegiem. Aeduan podążył tuż za nią.

## ROZDZIAŁ 27

Wstał nowy dzień, a Cam wciąż nie wróciła. Merik przeczesał ulice Starego Miasta, te dalsze również, zapuścił się nawet do Cystern. Przepadła jak kamień w wodę.

„Przestań widzieć, co chcesz widzieć, Meriku Niharze, i dostrzeż w końcu prawdę!” Jej ostatnie słowa wciąż brzmiały mu w uszach. Śmiały się z niego, szydziły i judziły. Jak duch, który chce wydostać się na wolność. „Przestań widzieć, co chcesz widzieć!”

Tym, co naprawdę chciał zobaczyć, była Cam, przyjaciółka, która stała u jego boku, gdy się waliło i paliło. Prowadziła za rękę po mieście. Karmiła. Która przeszła wraz z nim Brązową.

A on ją odtrącił.

Domyślił się tylko tego, że poszła na własną rękę szukać informacji o trupie ze spiżarni... Nie wiedział, czy w trakcie poszukiwań nie natknęła się na coś, z czym nie była w stanie walczyć. Na przykład na człowieka z cienia.

Nasunął kaptur na oczy i przyspieszył kroku. Skręcił w Jastrzębią. „Przestań widzieć, co chcesz widzieć!” Jej tyrada kładła mu się ciężarem na piersi, łomotała mu w uszach. Nie mógł jej nie słyszeć. I nie mógł zaprzeczyć, że Cam miała rację.

Merik doszukał się szansy na intratną umowę handlową dla Nubrevny, choć takowa nigdy nie istniała. Uznał, że marynarka potrzebuje właśnie jego na stanowisku admirała, co też okazało się nieprawdą. Wziął Safiyę fon Hasstrel za samolubną domnę, Iseult det Midenzi za irytującego, bezużytecznego odmieńca, a Cam za pozbawionego znaczenia majtka. I mylił się za każdym razem.

A najgorsze jest to, że opętany przez demona zarozumiałstwa Merik uważał, że to on powinien zasiąść na tronie Nubrevny. Tronie, który, zdaniem Kullena, był mu przeznaczony, choć przecież to jasne jak słońce, że powinna go zająć Vivia.

Na Jastrzębiej gęstniał tłum. Zewsząd napierały na księcia wozy, uchodźcy i po trzykroć przeklęte muły. Jakiś mężczyzna wpadł na niego, a kiedy Merik nie usunął się z drogi, pchnął go.

– Poszedł won, zawalidrogo!

Książę złapał go w nadgarstku i przekręcił, aż poczuł, jak napinają mu się mięśnie i ścięgna. Jeszcze cał i pękną.

– Zabiję cię.

– Nie, błagam... – zająknął się mężczyzna.

Nie zadzierajcie ze mną. Lepiej niech nikt ze mną nie zadziera. Merik puścił go i odepchnął pod ścianę. W tym właśnie momencie przemknął mu po plecach zimny wiatr. Bryza, która wołała do jego magii.

Śmierć. Cienie. Nawoływały go... z południa. Gdzieś z Jastrzębiej. Ta sama lodowata ciemność, która przemówiła do niego w spiżarniach, ta sama mroźna klątwa, w której szpony mogła wpaść Cam.

Merik porzucił nabrzeże i puścił się ciemną aleją. A potem zaczął się wspinać, odbijając się od ścian i wspomagając uderzeniami wiatru, aż wreszcie wylądował na wyłożonym dachówkami dachu.

Opadł do przysiadu i rozprostował palce, pochwycił wzrokiem niesione powiewem swego wiatru drobinki kurzu. Poszukał mocą umysłu owego czegoś, na co zareagowało nasycone magią powietrze.

Tam. Na wprost.

Ruszył. Kaptur spadł mu z głowy, płaszcz uniósł się na wietrze jak czarne skrzydła. Jego buty miażdżyły dachówki. Dobiegł na skraj budynku, nabrał tchu i mocy, po czym, odepchnąwszy się wichrem, przesadził wąski ciemny pas alei. Z każdym przeskokiem z dachu na dach zmniejszała się odległość między nim a ową ciemnością, cieniem, który przywoływał jego krew bezgłośną pieśnią. Aż dachy się skończyły, a Merik musiał się zatrzymać. Rozciągała się przed nim Południowa Dzielnica Portowa, a za nią piął się w zachmurzone niebo ponad doliną wodny most, sięgając samych Strażników Nodena.

W dokach tłoczyło się tylu ludzi, że nie dałoby się wcisnąć szpilki. Łodzie przylegały do siebie tak ciasno, że całkiem zasłaniały wodę. Dziób przy rufie, burta przy burcie. Pomiedzy widocznymi z góry głowami ledwo mieszczącej się na ulicach ciżby nie sposób było dostrzec kamieni brukowych.

Merik przywarł do spadu ostatniego budynku i podpełzł jak wąż nad samą krawędź. Instynkt kazał jego ręce sięgnąć po lunetę ukrytą w kieszeni admirałskiego płaszcza...

Którego, rzecz jasna, już nie miał na grzbiecie. Stracił i lunetę, i broń.

Nieważne. Nie potrzebował żadnej z tych rzeczy, nie kiedy jego krew łaknęła mrocznego wiatru.

Szybko zlustrował ulicę. Iście wybuchowa mieszanka barw, głosów i różnych stopni desperacji. Poza Nubrevenami kłębiło się tu też mnóstwo obcokrajowców, przybyszów z Ziemi Niczyjej i niespokojnych Sirmayanów. Merik wyłuskał z tłuszczy łysego mężczyznę przedzierającego się do miejsca, gdzie doki wcinały się w prowizoryczną przystań. Był pokryty bliznami w tym samym stopniu co on. Książę dostrzegł pokrytą tkanką bliznowatą rękę, którą mężczyzna podniósł do głowy.

Rękę pozbawioną małego palca.

Przeszył go zimny dreszcz, chłód spełził po karku na ramiona. Czy on też należał do tego stowarzyszenia co człowiek zamordowany spizarniach? Mężczyzna się odwrócił, a Merika aż zmroziło. To Garren. Asasyn z Jany.

Serce zadudniło mu w piersi, doki i ulica zamazały mu się przed oczami. Nie widział nic poza skrytobójcą, ani jeden podmuch wiatru nie dotknął jego twarzy, gwar i harmider ulicy utonęły w szumie jego własnej krwi. Cały jego świat sprowadzał się do żywego trupa, którego widział właśnie na ulicy.

Tamtej nocy, w kabinie na Janie, Merik przeszył Garrena kordelasem. Jego krew zebrała się w kałuży na podłodze, jego wnętrzności wysypały się z rozoranego brzucha. A jednak to był on.

Książę zmrużył oczy. Słoneczne plamy mąciły mu wzrok, ale i tak widział poszarpane czarne linie pełzące po karku



mężczyzny.

Takie same jak te, które kreśliły ciało Merika.

Czuł, że to one do niego wołają.

Nie wiedział, co oznaczają te znamiona, ale pojął, że Cam miała rację. Wiązały się z czymś bardzo, bardzo złym. Zdawał sobie też sprawę, że za nic nie wolno mu się zatrzymać, bo Garren może doprowadzić go do dziewczyny.

Skrytobójca przedzierał się przez tłum, stale oddalając się od Merika. Kierował się do speluny o nazwie Rozszczepienie, przylegającego do kanału kamiennego budynku, w którym zawsze roiło się od marynarzy, żołnierzy i innych amatorów tanich trunków.

W kilka chwil czarodziej zszedł z dachu i zaczął torować sobie drogę do tawerny. Odgłosy tłuszczy zyskały na sile i zlały się w jednostajne tło.

Stanął u drzwi Rozszczepieńca. Zawiesił wzrok na poskrzypującym na wietrze szyldzie. Wymalowane na drewnie czarne oko wydało mu się nazbyt znajome. I zbyt... prawdziwe.

Drzwi się otworzyły i z knajpy wytoczyli się dwaj mocno już zawiani marynarze, a Merik zapuścił żurawia do środka. Gdzieś tam w głębi pełzał mrok i wędrowali zmarli.

Przedsiónek Rozszczepieńca nic się nie zmienił od jego ostatniej wizyty. Połowa lamp zapalona, druga połowa zepsuta, niebieskie dywany uwalane błotem, wszystko pokryte nalotem czarnego jak ziemia naparu, którym się tu raczono. W piwnicach Rozszczepieńca warzono całą gamę alkoholi, ale najczęściej pijało się tu szpadlownicę, która nie miała nic wspólnego z kopaniem w ziemi, ale wiele wspólnego z byciem nawalonym jak szpadel, a w świecie pełnym wrogów i głodu był to towar nadzwyczaj chodliwy.

Książę wszedł do głównej izby, omiótł wzrokiem migoczące na wielkich kandelabrach świece, z których na chybotliwe stoły i siedzących przy nich gości kapał воск. Pokonał połowę drogi do drzwi wciśniętych w przeciwległy kąt pomieszczenia, gdy uświadomił sobie, że wokół zaległa cisza. Hulaki przestały hulać, pijacy przestali pić, siedzący przy najbliższym stoliku marynarz

zastygł z dzbanem szpadlownicy przy ustach. Kompan trącił go łokciem w bok. Gdzieś indziej ktoś odkaslnął w pięść. A potem nagle po podłodze poniosło się drganie, wywołane jedoczesnym podniesieniem się ze stołków wszystkich zebranych.

– Mówiłem, że przyjdzie. – Głos mężczyzny wydał się Merikowi dziwnie znajomy, prześlizgnął się w ciszy jak gad w wysokiej trawie.

Księżę obrócił się w stronę baru, przy którym stał Serrit Linday z wyciągniętą w jego stronę ręką.

Na ułamek sekundy świat zwolnił. A potem całkiem się zatrzymał. Widziałem, jak umierasza, pomyślał Merik. A jednak właśnie stał przed nim Linday we własnej osobie. To już drugi chodzący trup.

– Żołnierze, aresztować go. Aresztować Furię – wykrzyknął z lubością wizer.

\*\*\*

Safi i Vanessa, w towarzystwie piekielnych bardów, wypadły z oberży na chwilę przed tym, jak zawałała się wśród wycia czarnych płomieni morskiego ognia. Minęli łaźnię, kryjąc się za zasłoną dymu, po czym wybiegli w południowy skwar lejący się z nieskalanego jedną chmurką nieba.

Zander prowadził ich przez jednakowe zdaniem Safi ulice. Mijali kolejne budynki wtulone w ruiny z dawno minionej epoki. Krew lała się Vanessie z nosa w takiej obfitości, że musiała być na skraju wykrwawienia, a jednak z Lev po jednej i Safi po drugiej stronie, dotrzymywała tempa biegnącej ile sił w nogach grupie, nawet jeśli krok miała rozedrgany i niepewny. Caden zamykał pochód, ściskając w ręku jeden z wyczarowanych przez cesarżową rapierów.

Zander wyprowadził ich na skrzyżowanie pięciu ulic otoczone wiązami, gdzie, jak wszędzie, zwisały z latarni baedyedzkie bandery. Vanessa zaszurała obcasem.

– Muszę... na chwilę przystanąć – wykrztusiła, wspierając ręce na kolanach.

Safi zmroziła trwoga na widok kropli krwi znaczących ulicę za Vanessą. Każdy idiota ich teraz znajdzie. Myśl jak Iseult, myśl

jak Iseult, nakazała sobie. Po kolei: najpierw trzeba zamazać ślad krwi, potem zatamować krwawienie.

Lev już odrywała rękaw.

– Masz. – Uklękła i przycisnęła materiał do nosa cesarzowej. – Musimy iść dalej.

– Wiem. – Ciemna bawełna stłumiła jej głos. – Dam radę, tylko dajcie mi... chwilę... pooddychać.

– Nie mamy chwili! – syknął Caden. Odepchnął Lev na bok i wsunął Vanessie rękę pod ramię. – Baedyedowie wciąż siedzą nam na ogonie. Musimy wiać.

Safi puściła Vanesę, a dowódca pociągnął ją do biegu.

W ostatnim momencie, bo widzieli już za sobą rozpędzonych mężczyzn w baedyedzkim złocie. Byli coraz bliżej.

Caden gnał naprzód. Ciągnąc za sobą Vanesę, wpadł pochylony na najwęższą z pięciu ulic.

– Widzimy się za rogiem! – krzyknął na odchodnym, nie pozostawiając Safi innego wyboru, jak tylko dogonić Lev i Zandera, którzy właśnie wbiegli w przecznicę obok.

Tylko że po chwili rozplynęli się w tłumie, a kolejny baedyedzki pirat właśnie wziął ją na cel.

– Wy cholerni dranie! – cisnęła za nimi i pobiegła w kierunku jedynej wolnej uliczki, tej na wprost przed nią.

Łomocząc obcasami na udeptanej ziemi, czuła ogarniającą ją wściekłość. Zostawili ją i nawet się nie obejrzel! „Widzimy się za rogiem” – to znaczy, cholera, gdzie dokładnie?

Skręciła w lewo i wpadła na grupkę mężczyzn dźwigających skrzypiące im w dłoniach kosze z praniem. Uskoczyła, po czym ruszyła za nimi wąską aleją. Popchnęła najbliższego z nich, potknął się, a pozostali zwalili się na ziemię jak kostki domina. Ruch na ulicy ustał, ale Safi już mknęła naprzód. Na pierwszym skrzyżowaniu zderzyła się z Cadenem i Vanesą. Dostrzegli zbliżających się Zandera i Lev, brodzili w tłumie jak w bagnie. Ponownie razem pobiegli dalej opadającą w dół drogą, skąd widzieli rynek i poruszane wiatrem namioty nad wodą. Rozjazgotały się dzwony alarmowe – nie była pewna, czy rozbrzmiały dopiero teraz, czy dzwoniły już wcześniej, tylko dotąd

ich nie słyszała – zwołując pod broń jeszcze więcej piratów lub informując, że pożar ogarnął kolejne budynki wokół spalonej tawerny. A najprawdopodobniej oznaczając jedno i drugie. Żadne z nich nie zwołniało kroku, nawet Vanessa, którą Caden musiał prawie nieść na rękach. Gnali w dół, wszyscy jak jeden mąż, mijając ludzi i przecznice za przecnicą.

Aż wreszcie, czego Safi obawiała się już od jakiegoś czasu, wpadli na rynek, gdzie czekała na nich ściana baedyedzkich piratów w zielono-złoty szatach. Dwubarwna ludzka masa napierała na nich ze wszystkich stron. Safi poznała po ich twarzach, że bynajmniej nie są zachwyceni.

Rzucili się za rząd rozbitych ciasno namiotów, Zander na czele, Safi na tyłach. Przez kilka chwil nikt ich nie ścigał. Ta mała alejka, jeśli można ją tak nazwać, była jak na razie wolna od dybiących na ich życie piratów.

Co by zrobiła Iseult? Co by zrobiła?

Właśnie to! – wykrzyknęła w duchu, a na jej twarzy wykwitł uśmiech.

– Tam, za namiotami! – zawołała. – Kareta!

Zander nie potrzebował dodatkowego wyjaśnienia. Widział grzęznący w tłumie zdobiony powóz, którego cień wpływał do alei.

Pchnął drzwi. Otwarte! Szarpnął za klamkę z taką siłą, że niemal je wyrwał. Pasażerka rozwarła usta do krzyku, ale Lev przystawiła jej nóż do gardła, zanim zdołała choćby pisnąć.

Caden, Vanessa i Safi wleźli do środka zaraz za dwoma piekielnymi bardami, zwalili się na ławeczki, a Safi zatrzęsnęła drzwi.

Minęły dwa roztrzęsione oddechy. Trzy. Cztery. Jeśli woźnica zauważył pojawienie się dodatkowych pasażerów, przeszedł nad tym do porządku dziennego.

Następne trzydzieści minut Safi zapamiętała do końca swoich dni jako najdziwniejsze w życiu. Eleganckie milczenie panujące wewnątrz karety drastycznie kontrastowało z harmidrem dobiegającym z zewnątrz, tak jak obite wysokiej jakości błękitnym jedwabiem wnętrza i zdobione okienka zasłonięte karmazynowymi zasłonami kontrastowały z pięcioma

odrapanymi, cuchnącymi dymem, posiniaczonymi, zakrwawionymi, zdyszanyimi i najzupełniej nieproszonymi gośćmi. Obrazu niedorzeczności dopełniała ich mimowolna gospodyni, wiekowa staruszka o oczach wskazujących na dalekowschodnie pochodzenie, która wydawała się zupełnie nie przejmować przystawionym do obwisłego podgardla nożem.

Brakuje tylko grającego w tle walca, przyszło na myśl prawdopodobie. Jakby żywcem wyjęto ich wszystkich z ukochanych przez Mathew absurdalnych komedii.

– Bardzo przepraszamy – rzekł Caden, wciąż nie mogąc złapać oddechu. – Musimy się... schować.

– Musimy też znaleźć pomoc dla Vanessy. – Safi popatrzyła na siedzącą obok cesarzową, która ostatkiem sił uczepliła się przytomności.

Matrona doszła najwyraźniej do tego samego wniosku, ponieważ, nie poruszając ramionami, wskazała powykręcany przez artretyzm palcem kufer pod ławką Safi.

– Apteczka – zagrzmiał Zander szeptem. Safi nie miała pojęcia, jakim cudem umiał mówić tak cicho i dudniąc jednocześnie. Bard pochylił się, próbując dosięgnąć skrzyni, a potem jeszcze trochę, usiłując wysunąć apteczkę spomiędzy nóg prawdopodobie.

– Ostrożnie – ostrzegł go Caden, choć jego uwaga skupiona była na cesarzowej. Trzymał materiał przy jej zakrwawionym nosie. – Ta kobieta to handlarzka niewolnikami, nie wolno jej ufać.

– Żartujesz? – ofuknęła go Safi. – Jaka handlarzka? Popatrz tylko na nią.

Kobieta biegła wzrokiem po karecie, zbita z tropu cartorriańskim, ale nie zdradzała się z przerażeniem.

– Patrz na tę apteczkę – odparował Caden. – Handlarze niewolnikami przynoszą takie na arenę, skąd większość ich towaru wraca na wpół żywa.

– On... ma rację – wycharczała Vanessa, a dar prawdopodobie potwierdził jej słowa.

Safi nie rozumiała, jak to możliwe, patrząc w ciemne oczy właścicielki karety. Starowinka wyglądała na uprzejmą i życzliwą

osobę. „Wszystko na tym świecie ma wiele kolorów – przypomniała sobie słowa Cadena – wiele odcieni szarości niemieszczących się w twojej czarno-białej wizji świata, w której istnieje tylko prawda lub fałsz”.

Ostrożnie i powoli Zander otworzył kufer, napinając ogromne mięśnie w oczekiwaniu na jakąś pułapkę. Ale ze środka nie buchnął ogień ani nie trysnęła trucizna. Zamiast tego wyłowił ze skrzyni apteczkę.

– Mogę? – zwrócił się olbrzym do matrony z unізoną uprzejmością. Ale kobieta wskazywała już Vanessę obiema rękami, jakby chciała go popędzić do działania.

Zander usłuchał i zaczął grzebać w małej skrzyneczce w poszukiwaniu zagęszczacza krwi. Safi wyrwała mu buteleczkę z wielkich dłoni, a gdy Caden odrzucił przemoczoną szmatę i odchylił cesarzowej głowę, sprawnie wlała jej do ust zawiesistego syropu koloru krwi.

Pozostali wwiercili się spojrzeniem w cesarzową Marstoku.

Vanessa odetchnęła, kaszlnęła i opuściła głowę. Krew przestała cieknąć jej z nosa. Oczy wciąż miała czerwone, ale otwarte i przytomne.

Safi i bardowie jak jeden mąż wypuścili powietrze z płuc. Vanessa powiodła wzrokiem po towarzyszach.

– Dziękuję.

– Jeszcze nie dziękuj. – Caden odchylił zasłonę o cal, wpuszczając do środka snop światła, i rzucił okiem na zewnątrz.

– Wciąż biją na alarm i jesteśmy otoczeni ze wszystkich stron. To tylko kwestia czasu, zanim zaczną szukać po karetach.

– A co z dzielnicą Krwawych Żagli? – podsunęła Safi. – Nie moglibyśmy się tam skryć, aż wszystko ucichnie?

Choć Safi skierowała pytanie do dowódcy, nieoczekiwanie odezwała się właścicielka karocy:

– Są teraz zjednoczeni. – Usłyszeli chrapliwy, modulowany głos. – Baedyedowie i Krwawe Żagle zawarli sojusz pod sztandarem Króla Zdobywcy. Obiecał im w zamian Nubrevnę i Marstok.

Caden obrzucił Safi spojrzeniem, skinęła głową. Słowa matrony skrzyły prawdą.

– Głębie piekielne – syknęła Lev w tym samym czasie, gdy z gardła Cadena wydostał się jęk.

Vanessa pochyliła się, odzyskując swoją żelazną postawę.

– Czemu nam o tym mówisz?

– To źle wpływa na interesy. – Matrona zmarszczyła nos, a jej ton stał się lodowato protekcjonalny. – Jeśli dwie strony konfliktu stają się jedną, handlem przestają rządzić popyt i podaż.

– Masz na myśli, że nie rządzą areną – skontrolował Caden, a kobieta wzruszyła obojętnie ramieniem. Jakby chciała powiedzieć: jeden pies.

Kareta cały czas toczyła się wolno naprzód.

– Tam właśnie zmierzasz? – włączyła się do rozmowy Lev. – Na arenę?

Gdy kobieta przytaknęła ruchem głowy, Caden odchylił się na ławce.

– I dobrze. – Opromienił Safi i Vanesę niezawodnym uśmiechem Rzeźbimieszka. – To tam są nasi ludzie. Gdy ich uwolnimy, zostawimy wreszcie za sobą to bagno. Razem. Tak jak obiecałem.

## ROZDZIAŁ 28

Schodzili klifami przy Wodogrzmotach dobre kilka godzin. Z jaru poniżej biły wilgoć i gorąco.

Iseult się nie skarżyła. Aeduan, rzecz jasna, również nie.

Szedł teraz przed nią, jakby więziodziejka zdała jakiś test, któremu poddał ją wczoraj. Lub może zapomniał o tym, że jej nie ufa. Podejrzewała go o jedno i drugie. Dał jej też salamandrowy płaszcz, a sam wdział ten wypłowiały, w którym znalazła go na ścieżce.

To, że oddał jej swoje caraweńskie nakrycie po raz drugi, musiało coś znaczyć, ale Iseult nie miała pojęcia, co dokładnie. Niemniej czuła się o niebo lepiej, nosząc na plecach włókno salamandrowe. Zwłaszcza odkąd coś w niej pękło. Coś ważnego, co hołubiła i co było jej radością. Kilka godzin później i parę mil dalej zrozumiała wreszcie, że to musiało być jej serce. Gdy Aeduan powiedział jej, że nie jest Cahr Awenem, odczuła tak wielki smutek, że aż powalił ją na kolana i ściągnął na samo dno czarnej rozpacz. Potwierdził w ten sposób to, co sama podejrzewała.

Była do niczego. Była zepsuta. Była tą połową pary, która nic do przyjaźni nie wnosi. Tą, która będzie żyć w cieniu, choćby nie wiadomo czego dokonała. Choćby nie wiedzieć kogo udało jej się pokonać. Iseult nigdy o nic nie prosiła. Nie odkąd dowiedziała się jako mała dziewczynka, że pordzewiałe zamki w drzwiach to najlepsze, co może mieć.

Potem poznała Safi. Wtedy – w największym sekrecie i po cichu, żeby nikt się nigdy nie dowiedział – rozbudziła się w niej nadzieja, że jej życie może zyskać jakieś znaczenie. Że jej małe marzenia to nic złego. Iseult dotykała ich od czasu do czasu, nie czyniąc przecież nikomu krzywdy.

Tylko że teraz, kiedy odmówiono jej prawa do tego jednego, największego marzenia, które sama szeptała sobie do ucha, czuła



się złamana, zdewastowana... Nie jest Cahr Awenem. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo pragnęła, by słowa mniszki Evrane okazały się prawdą.

Od dziecka, odkąd była małą dziewczynką, marzyła o Cahr Awenach.

Przestań zachowywać się jak idiotka.

Czuła się świetnie, atakując Aeduaną. Aż za dobrze. Zapamiętała się w walce, w chwytach i dźwigniach, w jasnych rozbłyskach bólu, które następowały za każdym, gdy ją trafił.

Pod koniec treningu była zlana potem, a zadyszała się na długo przed tym, jak poddało się jej ciało. Aeduan także. Choć z każdą minutą ćwiczeń stawiała się coraz bardziej obolała, sztywniejsza, choć popełniała coraz więcej błędów i choć Aeduan rzucał ją na trawę, podduszał i blokował każdy cios, to nigdy nie dał jej forów ani się nie podłożył.

A potem, gdy biegli przez las, poczuła się jeszcze lepiej. Już dawno tak dobrze się nie bawiła. Od bardzo, bardzo dawna. Była wdzięczna losowi, że wreszcie nadarzyła się okazja do nauki. Nawet teraz, gdy łydki, otarcia i sińce odzywały się bólem na całym ciele. Może zmieni zdanie, gdy padnie zmordowana na ściółkę, nie mogąc się podnieść z bólu i zmęczenia. Ale nie, nie sądziła, by to miało nastąpić. W końcu ból to jej kara za to, że odważyła się snuć marzenia, na które nie zasługiwała.

Kotlina za Wodogrzmotami przywitała ich kojącym chłodem. Paprocie tańczyły na lekkiej bryzie, a wraz z nimi lilie złotogłów o białych i żółtych płatkach. Nie rosło tu zbyt wiele drzew, za to pięły się w górę masywne kamienne kolumny, wyżłobione i wygładzone zmieniającym się przez stulecia nurtem rzeki. Filary miały różne kształty, rozmiary i kolory. Panowała tu niezmacona cisza. Nikt tędy nie podróżował.

Po jakimś czasie Aeduan wyprowadził ją z ciasnego wąwozu, a wtedy otworzyło się przed nimi płaskie zalewisko. Wróciły dęby, a wraz z nimi zbawczy cień chroniący przed słońcem.

Pojawiły się też ślady starożytnych cywilizacji, dawno zapomniane pola bitew. Zardzewiałe hełmy i napierśniki. Miecze, włócznie, groty strzał. Śmierć odcisnęła tu swoje piętno. Niektóre

przedmioty były tak stare, że zdążyły pokryć się ziemią i zarosnąć paprociami. Iseult odnajdywała je przypadkiem, następując na nie. Inne z kolei najprawdopodobniej zaległy tutaj niedawno. Odbijało się w nich jeszcze słońce. Natknęli się też na okryte całunem mchu szkielety.

– Dlaczego nikt nie pogrzebał zmarłych? – zdziwiła się Iseult.

– Bo po bitwie zostało za mało żywych.

Aeduan skręcił w prawo i powiódł Iseult na południe, nieco bliżej Amonry. Nurt potężnej rzeki rozmył krawędzie koryta, a porastające je drzewa sterczały pod dziwnym kątem. W lesie panowała upiorna cisza, jakby nawet zwierzęta wiedziały, że to miejsce jest przeklęte. Jakby zdawały sobie sprawę, że nadciągają piraci.

– O co toczyły się tu bitwy? – spytała Iseult szeptem. – Czy jest tu coś wartościowego?

– Nie – odrzekł cicho Aeduan. – Ale zawsze znajdowali się ludzie, którym się wydawało, że wiedzą lepiej niż ci, którzy zaszli tu przed nimi. Na przestrzeni lat co rusz znajdował się ktoś, kto chciał roztoczyć panowanie nad Ziemią Niczyją.

Wskoczył na kamienistą skarpe i wyciągnął rękę do Iseult. Przyjęła ją, mile zaskoczona, nawet jeśli jej obolałe knykcie zaprotestowały bólem. Czuła na palcach ciepło jego dłoni.

– W klasztorze – ciągnął – uczyli nas, że gdy Paladyni obrócili się przeciwko sobie, właśnie tutaj stoczyli swoją ostatnią bitwę. Podobno ich śmierć zatrzymała ziemię, dlatego żaden człowiek nie może nigdy zawładnąć Ziemią Niczyją. Ale myślę, że to kłamstwo.

– Czemu?

Milczał przez chwilę, rozprostowując palce, jakby za mocno go ścisnęła.

– Ponieważ – wyrzekł w końcu, a jego brwi przedzieliła ledwie widoczna zmarszczka – najprościej obwiniać bogów lub postacie z legend za nasze własne błędy. Ta ziemia nie jest wcale bardziej przeklęta niż jakakolwiek inna. Po prostu przesiąkła krwią.

Po tych słowach wznowił wspinaczkę, a Iseult ruszyła za nim. Przez kolejną milę nie napotkali żadnych śladów ludzi. Tylko

starożytną, zapomnianą krew. Nagle Aeduan znieruchomiał w pół kroku.

– Krwawe Żagle – wycedził, przykucnąwszy. Węszył. – To ci, którzy cię ścigali. Musimy otoczyć ich od północy. – Ale nie zrobił trzech kroków, nim znowu przystanął. Tym razem całe jego oczy, od powieki do powieki, zalał karmazyn.

Okręcił się raptownie do Iseult i strzepnął płaszczem jak kot ogonem.

– Zaczekaj tu – rozkazał. – Muszę coś sprawdzić.

Nie zdążyła zaprotestować, momentalnie zniknął w głębi lasu. Nos ją swędział, ale postanowiła za nim nie iść. Jak dotąd krwiodziej prowadził ją dobrą drogą. Wywiązywał się z umowy. A więc będzie spokojnie czekać, jak kwiat na tafli jeziora.

Ale czy aby na pewno jest z nią szczerą? – zaczęła się zastanawiać, gdy nagle zatrzęsała się ziemia. Ledwie drgnięcie, niemal niewyczuwalne, jeśli nie liczyć drżenia jej kostek i wzbudzonych do życia ciem, które omiotły Iseult jak niesiona wiatrem jedwabna chusta.

Raptem grunt zatrząsał się znowu, zbudzając nie tylko uśpione owady, ale i siedzące na gałęziach szpaki, które poderwały się z trzepotem do lotu.

Trzeci wstrząs przeszył chyba całą Ziemię Niczyją, rzucił ją na kolana. Węziódziejka natychmiast podniosła się na nogi, czując rwące się z piersi serce, ale ziemia wciąż dygotała. Drżały gałęzie, obsypując ją liśćmi, ogarnięte paniką wiewiórki, jaskółki i drozdy uciekały w górę po konarach.

Nad lasem przemknął wielki cień. Potężny. Skrzydlaty. Bijący jasnosrebrzystymi niemi. Iseult tylko raz w życiu widziała takie nici.

Na morskich lisach.

„Na Ziemi Niczyjej nietrudno o coś gorszego od krwiodzieja”.

Iseult założyła, że Aeduan miał na myśli ludzi gorszych od krwiodziejów, jak choćby Żagle. Ale gdy cień podpłynął bliżej, połyskując skupionymi w sercu niemi, wiedziała już, że się myliła.

Aeduan miał na myśli górskie nietoperze, olbrzymie wężopodobne stwory z mitów i legend. Przedwieczne ścierwojady,

grasujące po polach bitew.

Zebrała się z ziemi i zaczęła biec.

\*\*\*

Istniał tylko jeden powód, dla którego Aeduan zakradał się w kierunku maszerujących w oddali armii. Wyczuł co prawda potrzaskane knykcie i zerwane paznokcie, smród odznaczający się na tle reszty zapachów, podpowiadający, że gdzieś nieopodal czai się dowódca Krwawych Żagli. Ale naprzód pchała go inna woń, ukryta gdzieś pod spodem. To ona sprawiła, że gnał na złamanie karku, zupełnie zapomniawszy o Iseult.

Różana woda i otulone wełną kołysanki. Dziecko.

Zimno rozeszło się Aeduanowi po żołądku, przesiąkło do płuc i pięści, załomotało w uszach. Przez ostatnie dziesięć lat to uczucie, to wspomnienie, wypłynęło na powierzchnię tylko dwa razy. Tylko dwukrotnie Aeduan zajrzał mu prosto w oczy i pozwolił się pokazać. I za każdym razem, gdy to następowało, ginęli z jego ręki ludzie. Dwa razy odczuł nieodpartą pokusę działania, silniejszą nawet niż potrzeba zwrócenia długu życia.

Dzisiaj będzie trzeci raz.

„Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

Z nadnaturalną ostrożnością przemierzał piaski i rozmiękłą blisko rzeki ziemię. Jego mięśnie – i magia – domagały się wysiłku, prędkości i mocy. Ale tutaj żyła w powietrzu krew, wsączając się w materię zalewiska, jak deszcz wsącza się w wysuszoną ziemię, zmuszała Aeduana do pełzania naprzód, ślamazarnie jak wypływająca z wulkanu magma, choć tak wolne tempo doprowadzało go do szaleństwa.

Dotarł do rzeki i zatrzymał się przy obłazącej z kory srebrnej brzozie. Zapachy, które łowił – woń dziecka i dowódcy Krwawych Żagli – ciągnęły go na północ, z dala od rzeki. Aeduan ruszył tym tropem, czując wibrującą w mięśniach magię. Leśne stworzenia umykały mu z drogi. Ziemia zatrzęsała się lekko, lecz nie wybiła go z rytmu. Czuł tylko lodowate zimno w zaciśniętych pięściach, żądzą mordu krążącą w krwiobiegu.

Nagle znalazł się na miejscu, przy obozie rozbitym nieopodal strumyka. Wszystko wydało mu się tak bardzo znajome. Tak

bardzo podobne do owego dnia czternaście lat temu.

Kręciło się tu siedmiu mężczyzn. Większość siedziała w porządkie skrojonym i uszytym namiocie ozdobionym na krawędziach złotymi pasmami. Aeduan widział bogate rodziny, które zabierały takie namioty na piknik. To ludzie, z którymi zetknął się dzień wcześniej. Ci, którzy polowali na więziodziejkę.

Krwiodziej wstąpił na polanę, czując przyjemne drganie pod stopami. Samotny strażnik spostrzegł nadchodzącego Aeduana. Miał tłustą brodę, do której nie pasował zadbane płaszcz, odebrany pewnie na gościńcu jakiemuś podróżnemu. Nerwowo rzucił okiem w niebo, zanim ruszył na wyłaniającą się z lasu postać.

Głupiec nie dożył broni. Ale Aeduan też tego nie zrobił.

Mężczyzna kroczył zdecydowanie naprzód, omiatając przeciwnika wzrokiem, depcząc chrzęszczący pod butami żwir. Widok krwiodzieja najwyraźniej nie zrobił na nim wrażenia.

Bardzo dobrze. Im bardziej zbliży się do Aeduana, a oddali od namiotu, tym łatwiejsza będzie ta walka.

– Nie powinno cię tu być. – Strażnik podszedł na tyle blisko, by Aeduan dosłyszał go przez basowy pomruk trzęsienia ziemi i trzask dobiegający z lasu wokoło. Brodę miał przystrzyżoną w szpic na modłę mieszkańców północy. – W tył zwrot i won mi stąd.

Kolejne trwożliwe łypnięcie w niebo. A potem wszystko okrył cień. Coś nadleciało z góry, wzbilo wiatr machnięciem potężnych skrzydeł, przyciągając też wzrok Aeduana.

Nad nimi przefrunął z szumem wielki górski nietoperz. Aeduan nigdy wcześniej nie widział takiego stworzenia. Był zarówno większy, jak i chudszy, niż by się spodziewał, a za nim powiewał na wietrze długi ogon. Pomijając to, stwór przypominał przerośniętego owocowego nietoperza, jakie zamieszkiwały południowe dżungle.

Aeduanowi przebiegło przez myśl, że powinien się przerazić, a jednak potwór nie wywołał w nim żadnej reakcji. Przerazenie nie nadchodziło. Chłód w jego krwi domagał się uwolnienia,

a dziecko uwięzione w namiocie potrzebowało pomocy. Nic innego się teraz nie liczyło.

Przeniósł uwagę na handlarza niewolników, który najwidoczniej nie wiedział, kto stanowi większe zagrożenie: przybysz na ziemi czy bestia w przestworzach. Aeduan wiedział.

– Powinieneś uciekać – ostrzegł. – Inaczej cię zabiję.

Wargi strażnika opięły się na obnażonych zębach. Ucapił Aeduana za koszulę.

– Nas jest siedmiu, a ty jesteś jeden.

– Dokładnie – przytaknął krwiodziej. – Dlatego powinniście wiać.

A potem, tak prędko, że mężczyzna nie miał kiedy unieść gardy, nakrył zaciśniętą na koszuli dłoń strażnika i uderzył go pięścią od dołu, wywracając mu łokieć na drugą stronę i łamiąc kość ramienia. Strzaskany gnat przedarł się przez mięśnie i wylazł na zewnątrz. Mężczyzna zawył.

Ale Aeduan dopiero zaczynał. Wygiąwszy strażnikowi ramię do pozycji, w której nigdy nie powinno się znaleźć, krwiodziej pchnął zwiotczały łokieć w kierunku gardła przeciwnika, wbijając mu ostro złamaną kość w krtań. Broda mężczyzny natychmiast zmieniła kolor na rudy. Aeduan rzucił trupa na ziemię nieznacznym ruchem nadgarstków.

Wtedy świat zatrzęsł się w posadach i wszystko wokoło stało się mozaiką krzyków i krwi. Przerazenie rozszerzyło przeciwnikom krwiodzieja źrenice – uświadomili sobie, że tego dnia umrą.

Sześciu mężczyzn. Aeduan wykończył pięciu, nie zajmując się żadnym dłużej, niż zwykle potrzebował na zawiązanie butów. Ale ostatniemu, dowódcy, który śmierdział połamanymi knykciami, poświęcił więcej czasu.

A przynajmniej taki miał zamiar, gdy włókł go na płyciznę. Wraził mu kolano między łopatki, a następnie złapał go za włosy i wcisnął mu twarz pod wodę, by po chwili odgiąć mu głowę niemal na same plecy. Handlarz niewolnikami od razu zaczął sypać.

– Król – wykrztusił – czeka na nas.

– Nie wydaje mi się. – Aeduan dobył noża, pierwszy raz uciekając się w tej walce do broni, i wsparł czubek klingi za uchem dowódcy.

Mężczyzna zadygotał, ale nie ze strachu. Potwór taki jak on nie potrafił się bać. Aeduan wyczuł przyjemność krążącą po jego ciele. Zwyrrodnialec odczuwał rozkosz, gdy krwiodziej wbijał mu nóż w węzeł nerwów, co przeszywało jego ciało dzikim bólem.

– Król... północy. Ragnor.

Aeduan znieruchomiał na dźwięk tego imienia.

– Ragnor... – powtórzył Krwawy Żagiel. – To jest... Król Zdobywca. Czeka na nas. Na nasz towar.

Nastąpiła długa cisza. Aeduan czuł, że górski nietoperz się zbliża, wzbijał skrzydłami miniaturowe trąby powietrzne, wyrzucające w powietrze gałęzie i tysiące liści. Ale czarodziej trwał nieruchomo, obserwując krew spływającą po szyi handlarza niewolników i mieszającą się z wodami strumienia. Nagłym zrywem wbił mu nóż aż po rękojeść, a potem wyszarpnął go ze skroni ofiary. Trysnęła krew. Zapach posoki zakręcił mu w nozdrzach.

Nim wstał, dokładnie wytarł ostrze o koszulę zbira. Ciemność skumulowana w jego trzewiach była jeszcze mroźniejsza niż przed chwilą.

„Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

Aeduan przesunął wzrokiem po niebie, wkładając nóż z powrotem do pochwy. Górski nietoperz sunął w jego kierunku, pikując z rozłożonymi skrzydłami o niemal przezroczystych błonach. Gdy wydał z siebie przenikliwy wrzask, Aeduan aż zadzwonił zębami. Ale nie mógł jeszcze rzucić się do ucieczki. Musiał najpierw pójść po dziecko, które go tu przywiodło. Okręcił się i poszedł do namiotu. Dziewczynka – bo właśnie ją wyczuł wśród róż i kołysanek – znajdowała się w środku.

Wnętrze namiotu zawałono zapasami i skrzynkami z niewiadomą zawartością. Pod jedną z nich kuliła się zwinięta w płodowej pozycji dziewczynka o bladych, nomatsańskich

dłoniach. Była związana, a na głowie miała przewiązany pod szyją worek.

Aeduan klęknął przy niej.

– Nie skrzywdzę cię, siostrzyczko – przemówił do niej po nomatsańsku, przecinając więzy na rękach.

Gdzieś wysoko w niebie rozległ się wrzask skrzydlatej bestii. Wiatr napierał na namiot rytmicznymi uderzeniami, wprawiając w drżenie drewniane pałaki i wyrывая ślędzie z ziemi. Zupełnie jakby kreatura unosiła się dokładnie nad nim. Ale na razie nie atakowała. A skoro tak, Aeduan nie zwracał na nią uwagi.

Cienka sukienka dziecka była przemoczona i uwalana błotem, a dziewczynka wychłodzona, jej skóra zimna, palce sine. Trzęsła się, ale nie oponowała, gdy Aeduan zaczął zdejmować jej worek z głowy.

Okazała się jeszcze młodsza, niż podejrzewał. Miała brudną buzię i mokre włosy, zlepione i przyklejone do główki.

Nie wiedział, z jakiego plemienia pochodziła, ale porwano ją najwyżej kilka dni temu. Nie miało to wiele sensu. Jego ojciec nie układałby się przecież z handlarzami niewolników. Nie po tym wszystkim...

„Uciekaj, moje dziecko”.

– Nie zrobię ci krzywdy – powtórzył Aeduan. Nomatsański przyszedł mu naturalnie, ale zabrzmiał dziwnie. – Pomogę ci.

Dziewczynka nie zareagowała, nie dała po sobie poznać, że go słyszy. Ale kiedy skierował się do wyjścia, nie opierała się, wtedy powiedział:

– Wezmę cię na rękę.

Objął ją i ruszył. Była taka lekka, taka krucha, jak mały ptaszek w ramionach demona.

Krzyki nietoperza ustały, namiot trząsł się coraz słabiej, aż wreszcie znieruchomiał. Potwór najwyraźniej odleciał.

– Zamknij oczy – polecił dziecku, gdy zblizali się do płachty zasłaniającej wyjście. Nie chciał, by zobaczyła rozsianą przez niego wokół namiotu śmierć.

Nie posłuchała go. Była jak najmłodsza siostra Księżycowej Matki, która nie chciała zamknąć oczu, gdy zdradził ją Oszust.



Ta mała sówka oczy miała szeroko otwarte.

Jej wybór, pomyślał Aeduan, po czym wyszedł  
na przesiąknięty krwią brzeg.

## ROZDZIAŁ 29

A niech to, pomyślał Merik.

Wlazł prosto w pułapkę. Widział, co chciał zobaczyć – martwego skrytobójcę, który próbował go zabić na Janie – i z własnej nieprzymuszonej woli wylądował w izbie pełnej żołnierzy Królewskich Sił Zbrojnych.

Dwudziestu, jak oszacował, stało na drodze do wyjścia za jego plecami, a przed nim ustawilo się kolejnych dwudziestu z obnażonymi mieczami.

Po prostu świetnie. Dla nich, ma się rozumieć.

Ale Merik miał w rękawie asa: swoją magię. Nabrał tchu, rozniecając tłący się w jego wnętrzu żar, a potem jeszcze raz, rzucając się do walki. Złożył się do przyspieszonego uderzeniem wiatru kopnięcia z półobrotu, celując w kufel szpadlownicy parującej na najbliższym stoliku, która poleciała w powietrze i rozbryzgała się na kilku idących na niego żołnierzy.

Jeden z nich przewidział jego zamiary i przypadł do ziemi, po czym rzucił się na niego, próbując wyprowadzić cios z byka.

Wiatrodziej nie powstrzymał go. Kiedy mężczyzna prawie go dosięgnął, wtoczył się fikołkiem na jego grzbiet i złapał kurczowo. Okręcili się razem, niesieni impetem żołnierza, a w zamieszaniu pięść Merika rozkwasiała mu nos. Gdy chlusnęła krew, poprawił w ucho, wtłaczając do środka wicher, który przerwał mężczyźnie bębenek. Żołdak ryknął.

Doskonale! Słowo to zaświerbiło mu w głowie, rozeszło się przyjemnym drżeniem aż do czubków palców, które wyrwały z pochwy przy pasie żołnierza wojskowy kordelas. Był w swoim żywiole. Dziki i żądny zemsty.

Zawirował, tnąc szeroko zakrzywionym ostrzem, klinga zadzwoniła o bliźniaczy kordelas któregoś z żołnierzy. Postąpił szybko naprzód, owijając przedramieniem jego nadgarstek,

szarpnął go do ziemi. Mężczyzna padł na deski i wypuścił kordelas, który Merik błyskawicznie porwał z podłogi.

Miał teraz dwa. Jego szanse rosły.

Ale nie miał sposobu na kusze, z których mierzyło do niego kilku żołnierzy.

Tupnął zamaszycie, stół podskoczył z trzaskiem, dwa kolejne kufle wystrzeliły w powietrze. Wiatrodziej skrył się za stojącym pionowo blatem dokładnie w tym samym momencie, w którym szczęknęły ciężki kusz. Skrzypnęło dziurawione drewno, buchnęło światło i gorąco.

Jedna świeca spadła z kandelabru nad jego głową prosto w kałużę alkoholu. Merik pojął, że wkrótce oddzieli go od napastników ściana ognia. Co oznaczało, że nadszedł doskonały moment, by dać nura za bar. Upuścił obydwie kordelasy i rzucił się na kontuar, czując jeszcze na skórze bijący od płomieni żar i słysząc krzyki.

W kilka sekund Rozszczepieńca ogarnął ogień.

Mrużąc oczy przed dymem i płomieniami, Merik poszukał wzrokiem Garrena. Drzwi w rogu izby wciąż wołały go do siebie.

Jeden z żołnierzy próbował ratować się ucieczką. Merik strzelił wiatrem jak z bicza. Mężczyzna wpadł na innego żołnierza i obaj wylądowali na ziemi.

Szanse Merika znowu wzrosły. Nie mógł zdusić kwitnącego na ustach uśmiešku, z którego płynęło w głąb gardła rozgrzane, drżące powietrze. Światło, dym, płomień – to był jego żywioł, to byli jego przyjaciele. Z nich się narodził stwór z ciała i cienia. I do tego żywiołu powróci.

Zahartowany, twardy jak stal i ostry jak najlepsza klinga.

Ostatni dwaj żołnierze strzelili do niego z kusz. Merik nie zdołał się uchylić. Jeden bełt trafił go w brzuch, drugi w udo, lecz w nieoczekiwanym przypływie mocy cień skryztałizował się w jego krwi.

Zdążył tylko się zdziwić, że nie czuje bólu, wyrrywając obydwie bełty i prąc naprzód. Przeszedł przez drzwi w kącie sali, niewidoczny zza kurtyny dymu i ognia.

Nadchodzi Furia.

\*\*\*

Vivia siedziała przy biurku w Twierdzy Pyna, podliczając zapisane kilka dni temu liczby. Minusowe sumy wkrótce wyjdą na plus. Żołądek wywracał jej się na drugą stronę, gdy myślała o ukryciu przed ojcem kolejnej dostawy lisów, ale narastające w jej sercu ciepło szybko zdusiło poczucie winy.

Gromadzenie żywności w spiżarniach okazało się wielkim niewypałem i nie przyniosło nic poza stratami. Vivia nie widziała więc sensu kontynuowania operacji. Teraz ludność przybywająca do Twierdzy przymierała głodem. I tyle.

Z przynoszącym jej niemalą satysfakcję skrzypieniem pióra skreśliła liczbę składowanych towarów i wpisała zupełnie nową.

Od strony schodów dobiegło ją szybkie tupanie. Do biura wpadła Stix.

– Sir! – krzyknęła zdyszana. – Śledziłam chłopca, pomocnika Furii. Musi pani iść ze mną. Natychmiast.

Vivia poderwała się na równe nogi, zaszeleścił papier.

– Gdzie on jest?

– Tutaj. W Twierdzy. – Nie czekała, aż Vivia za nią pójdzie. Jej biała głowa zniknęła za futryną, zanim księżniczka zdołała dobiec do drzwi.

Stix podążyła do wyjścia z izby. Vivia na poły szła, na poły biegła za pierwszą oficer, ale dogoniła ją dopiero przy kuchni. Weszły w chmurę pary, a do ich uszu wdarło się tykanie noży szatkujących warzywa. Ludzie unosili głowy i uśmiechali się na widok księżniczki, skłaniali się lub salutowali, lecz Vivia nie zatrzymywała się, ponieważ Stix ani myślała zwolnić. Przeszły obok rozpalonych pieców i kuchennych półek zastawionych produktami spożywczymi, po czym wreszcie dotarły do drzwi do piwnicy, której pilnowało dwóch strażników.

– Czy chłopak wyszedł? – zawołała Stix.

– Nie, sir! – szczechnął pierwszy z nich.

– Nikt nie wyszedł, sir! – zawtórował drugi.

– Dobrze. – Stix schyliła się, przechodząc przez drzwi. Vivia poszła za nią, szorując włosami po suficie. Ciemność na moment odebrała jej wzrok.

– Chłopiec tu zszedł – wyszeptała jej do ucha Stix, gdy schodziły po schodach. – Może uda się zapędzić go w kozi róg. A potem wykorzystać w charakterze przynęty na Furię... – Stix pokonała ostatnie dwa stopnie. – Tu nikogo nie ma.

Trudno się nie zgodzić. Kwadratowa, oświetlona latarniami spiżarnia była pusta i zbyt mała, by dało się w niej schować. Ani na wspartych o ściany półkach, ani pod nimi nie zmieściłby się człowiek, nawet drobnej postury.

– Przysięgam – wysyczała Stix, raczej do siebie niż do księżniczki – że chłopak tu zszedł. Musiał się przemknąć między strażnikami, już ja im... – Wróciła na schody.

– Poczekaj – powstrzymała ją Vivia. Wyginając szyję, podeszła do półki na wprost. Była lekko przekrzywiona, a w szparze nad nią pełzały pająki. I stonoga.

Vivia wpiła palce między dwie dechy i szarpnęła, a półka odsunęła się gładko. Zbyt gładko.

Zza regału wyłoniło się ziejące czernią, sklezione łukiem przejście. Woda kapiała ze zwornika. Z mroku wypełził karaluch.

– Przenajświętsze głębie piekielne – zaklęła siarczyście Stix, dołączając do Vivii. – Dokąd prowadzi ten korytarz?

– Ciemność nie zawsze jest wrogiem – wymruczała Vivia. – Znajdziesz wejście pod spodem.

– Wejście... ale dokąd?

Vivia nie odpowiedziała. Coś zbulgotało jej w piersi. Coś gorącego, co mogło być rechotem albo szlochem. To przecież oczywiste, że wejście do podziemnego miasta znajdowało się właśnie tutaj. Zaraz pod jej nosem i pod nosem jej matki. Niech to szlag, zaklęła w duchu. Tyle lat wierzyły, że zaginęło. Vivia zmarnowała miesiące na bezowocne poszukiwania.

Łzy wezbrały jej w oczach, ale powstrzymała narastający w gardle płacz, zacisnąwszy zęby. Będzie mogła się śmiać, będzie mogła płakać i uporać się z tym po swojemu, ale później. Teraz musi ruszać.

– Weź latarnię – powiedziała głosem zmienionym przez emocje. A potem wstąpiła w mrok.

\*\*\*

Vivia szła przodem, a Stix świeciła latarnią zza jej pleców. Cienie płynęły w rytm ich kroków po ścianie wapiennego tunelu, który biegł nieustannie w dół.

Stix zawsze doskonale wiedziała, kiedy mówić, a kiedy milczeć, teraz o nic już nie pytała, zaś Vivia nie tłumaczyła.

Z każdym krokiem zapuszczały się coraz głębiej, aż ciemność zabarwił znajomy zielony blask. Wkrótce kobiety nie potrzebowały już latarni. Korytarz tonął w luminescencyjnej poświacie, która wiodła je naprzód i przechodziła w rozpostarte na czarnym sklepieniu konstelacje. A potem zniemacka korytarz się skończył, a one stanęły przed uchylonymi wapiennymi drzwiami, z których spoglądało na nie sześć wyrzeźbionych w kamieniu jedna nad drugą twarzy, wygładzonych przez czas, ale niemożliwych do pomylenia z niczym innym: rybie więdźmy Nodena.

Vivia stanęła. Przełknęła ślinę. Jej oddech przyspieszył. Znowu przełknęła ślinę, czując pędzący w jej żołądku czarny wir.

Musiała tylko pchnąć uchylone drzwi, a uzyskała odpowiedzi na wszystkie pytania, które od lat spędzały jej sen z powiek.

Odetchnęła, żeby zebrać siły, przekroczyła próg. Kamień zaskrobał o kamień. Twarz Vivii pociemniała, gdy cień odciął ją od luminescencji. Jej stopa dotknęła bruku podziemnego miasta. Rozciągała się przed nią skryta w olbrzymiej grocie metropolia. Widziała wąskie drogi rozchodzące się promieniście z geometrycznego środka jaskiniowej aglomeracji pomiędzy skupiskami trzypiętrowych budynków. Niektóre wyrastały ze ścian jaskini, inne wznosiły się z wapiennego podłoża. Okna i drzwi ziały czernią, jeśli nie liczyć pajęczynowych zasłon.

Metropolia opromieniona była luminescencją. Grzyb piał się po skalnych ścianach i upstrzonym stalaktytami sklepieniu, wił się jak bluszcz po kamiennych kolumnach, zwieszał się pod postacią rozjarzonych kotar z portyków i portali, niekiedy nawet gnieździł się między budynkami i pełził fugami pomiędzy brukowymi płytami.

Puste miasto nadawało się do zamieszkania. Vivia mogłaby tu pomieścić tysiące, dziesiątki tysięcy Nubrevenów. Wir w jej

trzewiach nie przestawał przyspieszać. Radosny ból ścisnął jej płuca i naparł na klatkę piersiową.

Ręka Stix spoczęła delikatnie na jej ramieniu.

– Co to za miejsce, sir? Jest olbrzymie.

– To miejsce to nasza przyszłość. – Vivia ujęła rękę oficer i powiodła ją do przodu. – Chodźmy. – Nie wolno było jej się zatrzymać, gdy znalazła się już tak blisko odpowiedzi.

Podążyły dalej, mijając oznaki życia. Ślady stóp wiodące przez zakurzone pajęczyny, smugi luminescencyjnych grzybów, jakby ktoś przejechał po skale palcami, szukając drogi po omacku. Wszystkie domy wyglądały tak samo. Budynek wzniesiono wedle tych samych architektonicznych prawideł, co najstarsze gmachy na powierzchni. I tyle przestrzeni... Wreszcie, myślała uradowana Vivia. Wreszcie!

Gdy minęły skrzyżowanie, echem odbił się od budynków głośny szcęk. Jak uderzenie żelaza o skałę. Jakby ktoś opuścił miecz na bruk.

Vivia i Stix znieruchomiały. Czekały, wstrzymując oddechy, wsłuchane w szept pajęczyn.

A potem ich uszu dobiegły głosy. Krzyki. Gdzieś niedaleko, o wiele za blisko jak na ich gust. Skryły się za najbliższym budynkiem. W samą porę – niebawem zobaczyły, jak ktoś wlecze po bruku niewielką postać.

Vivia wyjrzała zza pradawnego portyku, a Stix rzuciła okiem ponad jej ramieniem. Krótko obcięty i patykowaty chłopak zmagał się z dwoma ludźmi, którzy ciągnęli go dokądś wbrew jego woli. Ręce miał związane w nadgarstkach, ale wierzgał szaleńczo nogami. Szamotał się w ich rękach, pluł i ciągle krzyczał:

– Wcale nie musi tak być! Wcale nie musi!

Vivia spojrzała na Stix.

– Czy to ten chłopak? – wymówiła samymi wargami.

Stix kiwnęła.

Jeden z napastników, brodaty nubreveński olbrzym, stracił cierpliwość, złapał chłopaka za kołnierz i zdzielił go pięścią w nos.

Chłopak się rozkaszał, ale jego kaszel raptem przedzierzgnął się w szalony śmiech.

– Pożałujecie tego... – syknął między salwami śmiechu.

– Raczej ty – odparł drągał. – Trzeba mieć kuku na muniu, żeby tu wracać w twoim położeniu. Zapłacisz mu za to, i to słono.

– Ale będzie ubaw – powiedział drugi głos. Kobięcy, zachrypnięty, szorstki. – Tym razem nie wymkniesz mu się z rąk.

– Dla kogo wy pracujecie? – chłopak domagał się informacji. Śmiech już mu przeszedł. – Kto was wynajął, żebyście zabili ks...

Prast! Jeniec umilkł. A potem dał się słyszeć głuchy grzmot, jakby padł na kolana.

– Bądź grzeczną dziewczynką, Cam – wycharczał ten wielki – i zawrzyj wreszcie gębę.

Brak odpowiedzi. Vivia wyjrzała zza węgła, mężczyzna zarzucał sobie zwiotczałą dziewczynę na ramię.

Księżniczka odczekała, aż znikną z pola widzenia, a potem obróciła się do oficer.

– Zwróciła pani uwagę na ich ręce? – zapytała Stix, a gdy Vivia zmarszczyła brwi i pokręciła głową, pomachała jej lewą ręką przed oczami: – Nie mieli małych palców.

Czoło Vivii się wygładziło.

– Tak jak ofiary Furii. Zdaje się, że Dziewiątki powróciły.

– Albo – podsunęła Stix – że nigdy nie odeszli. Może cały ten czas się ukrywali... – Zawiesiła gdzieś wzrok, rozwarła szerzej powieki.

Z oddali dobiegło je więcej głosów. I światła. Pomarańczowego, którego źródłem mogła być tylko latarnia.

Ludzie. Mnóstwo ludzi. W mieście Vivii. Prawdopodobnie wspólnicy Furii.

Vivia podjęła decyzję. Przystawiła usta do ucha oficer i powiedziała tak cicho, że nikt z tamtych nie mógł jej usłyszeć:

– Wracaj do Twierdzy. Potrzebni nam żołnierze.

– Co chce pani zrobić?

– Nic głupiego, przyrzekam.

Stix zmierzyła ją wzrokiem, ściągając brwi.

– Nie wierzę. Wydaje się pani jakaś... inna.

Brwi księżniczki powędrowały w górę, a po chwili pojęła, co Stix ma na myśli. Rzeczywiście czuła się jakoś inaczej. Była tak



zajęta, tak skupiona, że zapomniała o przybraniu maski Nihara.

Nie wiedziała dlaczego, ale ta myśl wywołała uśmiech na jej twarzy i radość w sercu.

– Lepiej już idź, Stix – wskazała kierunek podbródkiem. – A ja poobserwuję Dziewiątki. Spróbuję podsłuchać, co knują.

– Jak sobie pani życzy – przystała oficer, ale nie kwapiła się do wykonania polecenia. Mars na jej twarzy się pogłębił, jakby nie mogła podjąć decyzji.

Aż w końcu się zdecydowała. Pochyliła się, a jej usta musnęły policzek Vivii. Pocałunek delikatny jak szelest motyli skrzydeł.

– Niech pani na siebie uważa – powiedziała i zniknęła.

Przez kilka roztrzęsionych uderzeń serca Vivia nie mogła dobyć tchu. Stix przejrzała ją, ale nie uciekła, nie osądziła jej, nie obrzuciła nienawiścią.

Głębokie piekielne, co by się stało, gdyby zagrała z nią w otwarte karty te kilka lat temu? Może ona i Stix mogłyby... Nie. Vivia potarła oczy. Niczego nie żałuj. Później będziesz roztrząsać przeszłość i odgrywać w myślach ten pocałunek. Ale teraz musisz działać.

Dała sobie chwilę, by się otrząsnąć, a potem puściła się naprzód, nie opuszczając cienia. Sama. Odgłosy przed nią przybierały na sile. Przynajmniej dziesięcioro ludzi, oceniła. I światło bijące od kilku latarni znajdujących się blisko siebie.

Dotarła do rozległego skweru, gdzie zebrały się owe tajemnicze postacie. Wniknęła w załomek stojącego nieopodal domu, weszła do środka i wspięła się po schodach na najwyższe piętro, a następnie zakradła się do okna, skąd miała dobry widok na gromadę w dole. Tu będzie mogła pod osłoną cienia obserwować Dziewiątki.

Stix miała rację. Nie ulegało wątpliwości, że ci ludzie należą do słynnej złodziejskiej szajki. Uniosła brwi, rozpoznawszy mężczyznę w środku. Wynajęła go kiedyś. To Garren Leeri z placu Sprawiedliwości. Zamiast pracować, tak się obijał, że pozbyła się go przy pierwszej okazji.

Wyglądał okropnie. Skóra i kości. Całe ciało w czarnych bliznach.

– Odsunąć się! – gderał. – Zróbcie mojej siostrze miejsce!

Ludzie rozstąpili się, jak kazał, dzięki czemu Vivia mogła lepiej się przyjrzeć wracającej do zmysłów dziewczynie.

– Garren... – wybąkała, nie posiadając się ze zdumienia.

I raptem zmieniła się w rozszalały cyklon. Wyrywała się, waliła pięściami kogo popadnie, wiła się w ich rękach jak piskorz. Próbowwała wstać i jednocześnie rozerwać więzy. Do czasu, aż Garren wyjął z pochwy przy pasie monstrualny tasak.

Dziewczyna nagle się uspokoiła.

– Wykorzystałeś mnie – wypluła. Jej słowa odbiły się echem od wapiennych ścian, dzięki czemu wszyscy słyszeli, co powiedziała. – Zaufałam ci, a ty mnie wykorzystałeś.

– Odebrałem tylko dług, Cam. Przecież uciekłaś, nie wywiązawszy się ze swoich zadań. – Pomachał jej ostrzem przed oczami. – Mogę cię uwolnić. Będziesz się zachowywać?

Wydeła i przekrzywiła usta. A potem potwierdziła skinieniem.

Garren przeciął jej liny z nieoczekiwaną delikatnością. Gdy tylko puściło ostatnie włókno, Cam odpełzła od niego przerażona.

– Czym ty jesteś?

– Mógłbym cię spytać o to samo. – Prychnął śmiechem, podobnie dwa zbiry za jego plecami. – Chłopak czy dziewczyna? Zdecydowałaś się już, Cam?

Nie zniżyła się do odpowiedzi. Zamiast tego zadarła bezczelnie głowę.

– Widziałam na własne oczy, jak umierasz.

– Ano. Widziałaś też, jak umierał twój książę. Ale śmierć... Śmierć nie jest już dla mnie przeszkodą. A teraz podaj mi swoją lewą rękę. Musimy skończyć, co zaczęliśmy, zanim uciekłaś.

– Mowy nie ma! – Cam rzuciła się do ucieczki, ale pochwycił ją brodac i rzucił z powrotem na kamienie. – Nie! – wrzasnęła. – Nie!

Vivia wstała. Zbóje mieli przewagę liczebną, a ona dysponowała tylko mieczem, nie było w okolicy żadnego zbiornika wodnego, za pomocą którego mogłaby zaprząć do pracy swoją magię. Ale to nie miało znaczenia. Dziewczyna znalazła się w niebezpieczeństwie. A Vivia postanowiła jej pomóc.

W tym samym momencie, kiedy robiła pierwszy krok w stronę schodów, złapała kątem oka jakiś ruch w oknie. Postać okutaną w cień, stojącą na dachu budynku naprzeciwko. Owioniętą wiatrem, który szarpał jej ubranie i zdawał się mącić powłokę cienia.

Gdy zeskoczyła z dachu, światło na moment wydobyło z mroku jej twarz.

To Merik.

To jej brat.

\*\*\*

Księżę odnalazł wrogów. Piętnastu ludzi, a wśród nich Garren, zbliżający się do leżącej na środku placu Cam. To szajka Dziewiątek, Merik nie miał co do tego wątpliwości. Nie przypuszczał, że tak łatwo ich odnajdzie. Był jak ryba na żyłce, a cienie kręciły kołowrotkiem.

Przebył kręte korytarze i zalane wodą kanały, przecisnął się przez skąpane w mroku alejki i zszedł po wiszących w ciemności drabinkach, by w końcu znaleźć się tutaj, gdzie ranna Cam klęczała przed skrytobójcą, który próbował zabić go na Janie.

Przed Garrenem, przed swoim bratem.

Teraz wszystkie kawałki układanki łączyły się w jeden klarowny obraz. Wiedział już, dlaczego Cam kryła się w tamtej alejce, wiedział, kto zaatakował ją przy Twierdzy, i rozumiał, czemu upierała się, że to nie Vivia stała za zamachem na jego życie.

Wypyta ją później. Znajdzie odpowiedzi, których szuka. Zdecyduje, czy okazać miłosierdzie, czy nie.

Lecz teraz Cam była w niebezpieczeństwie.

Wiatrodziej skoczył i wylądował na placu. Wiatr zakręcił się wokół niego, gotowy do walki. Jeden z mężczyzn obrócił się na dźwięk jego obcasów uderzających o bruk. Merik smagnął go po piersi wichrowym biczem, a zbir okręcił się na chwiejnych nogach i zwałił się na ziemię.

Ruszyło na niego dwóch kolejnych, dobywając kordelasów.

Merik wyśmiał ich bez litości. Czyżby myśleli, że szablami zwojują coś przeciw potędze wiatru? Przeciw potędze jego

wściekłości?

Uniósł obie ręce i skumulował moc między dłońmi. Gdy strzepnął palcami, wszystkie drobinki kurzu w powietrzu pofrunęły w stronę przeciwników i masowo wpadały im do oczu.

Wrzasnęli przeraźliwie, wypuścili broń, padli na kamienie, trąc zalepione powieki.

Merik obrócił się i chlasnął wichrem w półokręgu, jakby wiatr stanowił naturalne przedłużenie jego ciała. Większość ludzi rzuciła się do ucieczki, łącznie z drabem, który przywlókł Cam na plac. Ale Merik nie miał zamiaru go puścić. Dopędził go w trzech długich susach i kopnął z impetem w wewnętrzną stronę kolana. Zbir padł na ziemię, wzbijając chmurę kurzu, którą natychmiast porwał do tańca wiatr Merika.

Wiatrodziej obrócił brodacza na plecy. Z jego ust dobyła się jakaś niezrozumiała paplanina. Z bliska Merik dostrzegł, że nie był od niego wiele starszy, po prostu zarośnięty. I głodny, sądząc po zapadniętych policzkach.

Merik podniósł się i uniósł kordelas mężczyzny obiema rękami, gotów wyrzucić krwawą zemstę, której domagała się stal. Urznie mu łeb, przetnie żyły, rozczłonkuje kręgosłup...

– Admirale, dość!

Słowa przeszły go na wylot. Zamarł. Ostrze cofnęło się. Wokół niego szumiał wiatr. Brodacz drżał, leżąc na bruku z zaciśniętymi oczami.

Księżę odnalazł Cam niecałe dwadzieścia kroków dalej. Z tasakiem Garrena przy gardle. Skrytobójca trzymał ją w żelaznym uścisku.

W jednej chwili całe ciepło spłynęło z ciała wiatrodzieja. Jego wichry rozpierzchły się na cztery strony świata.

Puść ją, chciał powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle, jego głos stał się czymś surowym i zimnym, tworzywem niepoddającym się obróbce ust. Ledwie samotną błyskawicą, gdy on potrzebował rozszalałego sztormu.

Garren zrozumiał. Rozciągnął w upiornym uśmiechu zniszczone usta.

– Ani drgnij, bo dziewczyna zginie.

Merik rzucił kordelas i uniósł ręce. Potrzebował poruszać się z prądem, dać się nieść bryzie. Jeden fałszywy ruch i skrytobójca zabije własną siostrę. Merik nie wątpił, że to zrobi. Prawie tego dokonał, wysadzając w powietrze Janę.

– Daj jej odejść – wyrzekł księżę, pokonując opór w gardle. – To mnie chcesz zabić.

– Prawda. – Uśmiech na jego ustach się rozszerzył. – Ale pokazałeś już, że to niełatwe.

– A ty nie?

Mężczyzna roześmiał się przenikliwie, aż Merikowi dreszcz przeszedł po plecach.

– Wiem, kim jesteś, księżę Meriku Niharze. Zastanawia mnie tylko, kim jest ona? – Ostrze drgnęło. W miejscu, gdzie dotykało szyi Cam, wykwitła czerwona kreska.

Serce zaszamotało się wiatrodziejowi w piersi, ale pozostał nieruchomy. Jego furia rozrastała się w miarę spływania strużki krwi po gardle dziewczyny. Poruszaj się z wiatrem, pływaj z prądem.

– A mogłaś dołączyć do Dziewiątek. – Garren zwrócił się do siostry głosem miękkim jak aksamit, świdrując ją wzrokiem. – Kontynuować po mnie wielkie dzieło, jakim jest odbudowa tego miasta pod okiem jedyne go wizera, który przejmuje się naszym losem. A zamiast tego uciekłaś jak tchórz. Potem zaś, też po tchórzowsku, pomogłaś mi dostać się na okręt tego twojego księcia...

– To nie tak! – wypaliła Cam.

– A właśnie, że tak. – Z tymi słowami podniósł jej lewą rękę i jednym ruchem uciął mały palec.

Spadł na bruk. Polała się krew, znacząc jej dwukolorową skórę czerwoną strugą. Wrzasnęła.

Merik stał już przy niej, gotowy odepchnąć ją, nim Garren wyrządzi jej większą krzywdę.

Skrytobójca parsknął śmiechem, odskakując w tył i puszczając się pędem w ciemność.

Dobrze. Merik z radością rzucił się w pogoń. Wzleciał w powietrze. Spokojnie, spokojnie, powściągnij gniew. Smakuj tę

chwile. Naciesz się jego śmiercią.

Wylądował dwie ulice dalej, zaraz przed Garrenem, który dopiero co wypadł zza rogu. Zdumienie nie zdążyło się jeszcze rozejść po jego twarzy, gdy Merik podniósł go za fraki w powietrze, a ten zamajtał nogami. Książę przyłożył nim o ścianę, aż odpadły świecące grzyby, przycisnął, przydusił, ledwie się hamując.

Ale mężczyzna tylko się śmiał.

– Nie możesz mnie zabić – wykrztusił, czepiając się palcami jego rąk. – Jestem... taki jak ty, książę.

– Nie. – Merik zassał ze świstem powietrze, oplotły go wichry.

– Ależ tak, jestem! – szczyrzył się Garren. – Teraz jesteśmy marionetkami, ty i ja! Cokolwiek by nam zrobiono, wrócimy do życia!

– Pewien jesteś? – dobył się skądś nowy głos. Merik go znał. Spędził lata, pielęgnując nienawiść do niego. Lecz teraz, gdy pozwolił sobie rzucić okiem przez ramię, nie czuł nic poza ulgą, od której prawie ugięły mu się kolana.

W jego stronę biegła Vivia. Widział błysk w jej oczach i twarz jaśniejącą znajomą niharską siłą. Błysnęło srebro. Przyskoczyła, a potem jednym ruchem ucięła Garrenowi głowę, skrząc ostrzem iskry na kamiennej ścianie.

Głowa przechyliła się na barkach i upadła, a pół oddechu później ciało zbira osunęło się w przedwieczny kurz podziemnej stolicy.

– Wróc do życia po tym – wyszczała Vivia.

Podniosła wzrok na Merika, a na jej twarzy pojawił się nowy wyraz. Taki, którego książę nigdy jeszcze nie widział. Dziwnie podobny do... żalu?

– Merry – wyrzekła w końcu na wydechu. – Wyglądasz okropnie.

## ROZDZIAŁ 30

Safi nie próbowała już powstrzymywać swoich pukających palców i podskakujących obcasów. A Caden nie próbował już o to prosić.

Po ciągnącej się niemiłosiernie podróży kareta wszyscy czuli się tak zmęczeni, jakby godzinami biegali po mieście. Nawet jej właścicielka była tak znudzona, że zaczęła wyciągać żałobę z paznokci. Jej raptowne, poirytowane ruchy z każdą minutą zdradzały coraz większe zniecierpliwienie.

Ale nie było mowy o zwiększeniu szybkości, bo gdy tylko woźnica wywiódł powóz z zatłoczonego rynku, ugrzęzli w tłumie ludzi, którzy zjechali do miasta na Rzeźnię Baile. Tłuszcza dokumentnie zablokowała wszystkie polne drogi, zaczopowała wszystkie mosty na starorzeczach. Większość zataczała się pijackim wężykiem, tak jak przewidywała admirał Kahina, i choć Caden rzadko spoglądał przez okno, odgłosy hulaszczey pijatyki i wszczynanych tu i ówdzie bójek, radosne wrzaski, okrzyki i skandowanie oraz wołanie zachwalających towar handlarzy niewolników świadczyły o tym, że festiwal żyje już własnym życiem.

Gdy dowódca piekielnych bardów odgarnął nieznacznie zasłonę, zauważył, że okolica bardzo się zmieniła. Ubita ziemia przeobraziła się w nieregularne błoto, a koła co jakiś czas turkotały na rozpiętym nad rzeką moście. Ostry smród miasta zelżał, a wkrótce zastąpiła go siarkowa woń bagnisk. Atmosfera w karecie stale gęstniała i ze znośnie dusznej stała się nieznośnie dławiąca.

Jedyną osobą, która zdawała się nie zważać na skandaliczne warunki podróży, był Zander, który próbował nawet nawiązać konwersację.

– Słyszałem, że Daleki Wschód jest jeszcze większy niż Czaroziemie. Z którego kraju pani pochodzi, jeśli wolno spytać?

Ale handlarzka niewolnikami obrzuciła go tylko zmęczonym spojrzeniem półotwartych oczu. Caden wzruszył ramionami.

Wszyscy odetchnęli z ulgą, gdy woźnica palnął pięścią w dach i zawołał:

– Już prawie jesteśmy!

Kareta podskoczyła i zaczęła zjeżdżać w dół. Hałas z zewnątrz ucichł, a zamiast niego dał się słyszeć łoskot kół na kamiennym podłożu, zaś wnikające do kabiny światło zgasło zupełnie. Wjechali pod ziemię.

– Wejście dla handlarzy – wyjaśniła kobieta, krzywiąc się na nóż przy gardle. – Jesteśmy pod areną. Czeka tu na mnie wielu uzbrojonych ludzi. – W jej głosie dało się słyszeć nie tyle ostrzeżenie, co groźbę.

Caden wyprostował się na ławce.

– Zander – wyszczekał. – Wyjdiesz pierwszy i zajmiesz się żołnierzami, którzy...

– Ależ proszę – przeszkodziła mu Vanessa, ociekająca nie tylko potem, ale też autorytetem. – Zostaw to mnie.

Nie czekała na odpowiedź. Gdy kareta się zatrzymała, pierwsza wyciągnęła rękę do drzwi. Nikt jej nie zatrzymał. Nim Safi wyszła z powozu, dwunastu strażników siedziało pod ścianą, przykutych do ziemi i zakneblowanych żelazem.

Jedynymi osobami, których Vanessa nie zaatakowała, był woźnica, który skrył się pod kareta, i podstarzała towarzyszka podróży, wciąż siedząca na ławce i miotająca w nich wyzwiskami.

Gdy piekielni bardowie zbierali broń pokonanych strażników, Safi omiotła wzrokiem kolosalny przedsionek areny o wysokim sklepieniu i ścianach obwieszonych potrzaskującymi pochodniami. Pomiedzy nieprzylegającymi do siebie kamieniami zbierała się woda, jakby arena bardzo powoli tonęła w rozmokłej ziemi.

Jej uwagę przykuły dwa kamienne przejścia. Jedno pokrywał mrok, a drugie kipiało wrzawą. Z tego drugiego co kilka oddechów dochodziły okrzyki i wiwaty, od których drżała kamienna podłoga. Safi nie wiedziała, kto walczy powyżej na arenie, ale najwidoczniej widzom się podobało. Pierwszy



korytarz musiał więc prowadzić do miejsca, gdzie przetrzymywano niewolników.

– Heretyczko – mruknął Caden, wyrastając zza jej pleców. Podał jej prymitywny krótki miecz, ciężki, ale użyteczny. – Jak myślisz, gdzie może być załoga?

– Tam – wskazała zacieniony tunel.

Dowódca nagroził ją półuśmiechem, po czym, wyjąwszy pochodnię z najbliższego kinkietu, ruszył biegiem do trzewi areny. Safi podążyła za nim, próbując ułożyć zdrętwiałe palce na grubej rękojeści. Cesarzowa, oczywiście, nie miała w ręku broni, choć na jej nadgarstkach widniały dwie nowe żelazne bransolety, spoczywały jak uspione młode węże. Lev i Zander biegli jako ostatni, oglądając się przez ramię, czy czasem nie nadchodzą nowi strażnicy, ale korytarz był pusty.

O bogowie w głębinach, ależ wspaniale rozprostować nogi, i to nie uciekając przed rozjuszonymi Baedyedami ani nie będąc prowadzoną na smyczy przez piekielnych bardów. Dobrze znów złapać za miecz, nawet jeśli wykuto go dla kogoś o łapskach dwukrotnie większych od moich, pomyślała Safi. Nawet rozbryzgujące się pod jej stopami kałuże i kapiąca z sufitu zimna woda nie mogłyby zepsuć jej humoru. Grunt, że była w ruchu.

Wkrótce ucichł wszelki dobiegający z góry hałas, ustępując miejsca odbijającym się echem od nagich ścian szeptanym rozmowom i mokrym dźwiękom na poły zatopionej fortecy. Brodzili teraz po kostki w cuchnącej siarką wodzie.

W miejscu, gdzie korytarz rozdzielał się na kilka mniejszych, natknęli się na sześciu strażników. Zanim żołdacy pojęli, co się dzieje, Vanessa przykuła ich do wilgotnych ścian żelaznymi kajdanami i zakneblowała.

– Cartorrianie? – zapytał Caden żołnierza, który zwisał ze ściany trzy cale nad poziomem wody. Nieszczęśnik strzelił oczami do korytarza pośrodku. Był tak spanikowany, że szczerść tego gestu poraziła magiczny zmysł Safi.

– Tędy – powiedziała, wznawiając bieg.

Lev przepchnęła się na czoło kolumny.

– Lepiej daj mi prowadzić. Na wypadek, gdybyśmy wpadli na czarodziejów.

Miało to sens.

Ciemność korytarza rozświetlił ogień, a plusk kroków położył kres rozmowom. Trafili wreszcie do nisko sklepionego lochu rodem z groteskowej baśni. Rozciągał się na znacznej przestrzeni, oświetlony pochodniami. Spomiędzy krat licznych cel wyglądały twarze w różnym wieku, różnych kształtów i rozmiarów. Wielu więźniów nosiło kołnierze podobne do tego, który bardowie nałożyli Vanessie.

– Gdzie Cartorrianie? – krzyknął Caden, wodząc dookoła własną pochodnię.

Nie czekał długo na odpowiedź. Niemal każdy więzień w zasięgu wzroku przecisnął ręce przez kraty.

– Ja jestem z Cartorry!

– Nie, ja jestem z Cartorry!

– Cartorra, tutaj!

Safi współczuła uwięzionym przez piratów nieszczęśnikom, którzy niebawem zostaną ku uciesze gawiedzi zmuszeni do walki na arenie, gdzie niechybnie większość straci życie, ale nie była na tyle naiwna, by myśleć, że zdoła wszystkich uratować.

Ucieczka. Tylko to miało znaczenie.

– Tutaj, sir! – zawołała Lev z głębi korytarza. Gdy Safi do niej podbiegła, Caden rozmawiał już z mężczyzną w zielonym uniformie. Safi nie słyszała ich głosów dokładnie, ale rozmawiali o jakimś księciu i miejscu jego pobytu. Ich słowa zagłuszyli kotłujący się za kratami więźniowie.

Ucieczka, ucieczka. Jej ucieczka. Nie liczyło się nic więcej.

Odnalazła wzrokiem cesarzową i zdumiała się, widząc w jej oczach błysk wyrażający coś zupełnie innego, niż się spodziewała.

– Wasza Wysokość. – Caden kiwnął palcem, by podeszła do kraty. – To nasza załoga. Uwolnij ich, proszę, żebyśmy mogli odpłynąć z tej przeklętej krainy.

Cesarzowa ani drgnęła. Niewolnicy wyli zza krat, chlapali wodą, klęli na czym świat stoi. Ona i Safi były przemoczone,

ubrania opinały ich ciała i zwisały z nich, ciężkie od wody, już nie musztardowe i leśnozielone, lecz niemal czarne.

– Wasza Wysokość... – powiedziała Safi, zbliżając się.

Cesarzowa przeszła ją złym wzrokiem.

– Nie ufam im. Chcą nas zabrać do Henricka.

– Nie zrobią tego – zaoponowała Safi. – Mówili prawdę.

– Bo ogień lizał im pięty. – Jej oczy lśniły jak krokodylom zaczajonym w fosie, którą pokonali, wkraczając do Saldoniki. – Chcę, byś poddał się testowi, bardziej. Jeśli go zdasz, zrobię, o co prosisz. Zdejmij swój łańcuch i daj się sprawdzić Safi. Jeśli odmówisz, nikogo nie uwolnię.

Światło rzucane przez pochodnię dowódcy drgnęło ledwie dostrzegalnie. Gdyby nie to, Safi nawet by nie zauważyła, że zgarbił się, słysząc słowa cesarzowej.

– Sir, niech mi pan pozwoli... – Wielkie ręce Zandera pomknęły do pętli na szyi.

– Nie! – wykrzyknęli jednocześnie Caden i Vanessa.

– Ja to zrobię – dokończył przywódca w tym samym momencie, w którym cesarzowa powiedziała:

– Chcę mieć słowo dowódcy.

Zander skrzywił się, ale wziął od Cadena pochodnię. A potem on i Lev odeszli na bok ze smutkiem wymalowanym na twarzach.

Safi nie musiała badać ich swoją magią, by wiedzieć, że nie udają.

Caden zrobił kilka kroków naprzód, stanął metr przed cesarzową i domną. Oparł miecz o udo, a następnie, gmerając fajtłapowato wokół szyi, jakby robił to pierwszy raz – jakby nie zrobił tego kilka godzin temu – zdjął łańcuch.

Vanessa drgnęła. Jej ręce wystrzeliły w górę. Bransolety odpięły się z jej nadgarstków, przeformowały się w powietrzu i oblazły szyję Cadena, podczas gdy ostrze przy jego nodze zafalowało jak zbudzony ze snu wąż i oplotło mu kostki, przewracając go i przyszpilając do ziemi. Nikt nie zdążył nawet kiwnąć palcem, a co dopiero powstrzymać żelazodziejkę. Nie minęło uderzenie serca, a dowódca tkwił przykuty do podłoża.

Rzucił się w wodzie, rozbryzgując siarkową maź, a więźniowie za kratami wiwatowali jak zwariowani.

Zander i Lev rzucili się naprzód, ale wryła ich w ziemię wyciągnięta ręka Vanessy.

– Nie ruszajcie się albo zginie. – Podeszła do Cadena roztańczonym krokiem, jakby wychodziła na parkiet w czasie balu, i spojrzała mu w oczy.

– Płyniemy do Azmiru, dowódco – oświadczyła.

– A jeśli... odmówię? – wydyszał z twarzą zmienioną bólem, z zagryzionymi wargami i oczami zaciśniętymi tak mocno, że Safi się bała, że wypłyną mu z orbit.

– To cię tak zostawię. W końcu od tego zginiesz, nie mylę się? Słyszałam dziwne opowieści o losie niektórych piekielnych bardów. Podobno dotyka ich coś na kształt rozszczerzenia, tylko że jest to bardziej rozciągnięte w czasie... No i zachodzi świadomie. Rozumiesz, co się z tobą dzieje, ale jesteś bezradny.

– Błagam – powiedziała Lev. – Błagam, nie rób mu tego.

Caden jęczał. Zacisnął pięści i choć ręce miał przyciśnięte do ciała, walił, i walił, i walił o podłogę.

Ale to był dopiero początek, bo gdy Vanessa uklękła przy piekielnym bardzie, rozchlapując wodę, na jego twarzy zaczęły rysować się czarne żyłki.

Z początku Safi myślała, że jej się przywidziało, że to wynik gry światła w półmroku. Lecz kiedy jęk rozdzielił Cadenowi usta, zobaczyła, jak spomiędzy zębów wysącza mu się czerń, prawdziwa i namacalna. Przypominająca dym z fajki admirała Kahiny. Tylko że to nie był dym, ale magia. Magia, z którą Safi nie chciała mieć nic wspólnego, która wprawiała ją i jej własną magię w drzenie. Supeł zawiązał jej się na żołądku, gdy uświadomiła sobie, że Vanessa torturuje Cadena. Prawdopodobnie nie знаła zasady działania pętli, ale najwidoczniej bez niej piekielni bardowie cierpieli katusze.

– Dość – zadudnił bas Zandera, odbijając się echem od ścian i przeszywając ciszę, która zapadła w lochu chwilę po tym, jak Caden zdjął łańcuch. Wszyscy niewolnicy, marynarze, wszyscy

mężczyźni i kobiety wwiercali się wzrokiem w wijącego się w wodzie barda.

Tylko na twarzy Vanessy malował się niezłomny spokój.

– Płyniemy do Azmiru, dowódco. Masz przyrzec, że gdy tylko stanę na pokładzie statku, tam właśnie mnie zabierzesz.

Caden chciał coś odpowiedzieć, ale z jego gardła dobył się gorączkowy bulgot. Bił pięściami o posadzkę. Rzucał się, spętany żelazną łądygą. Ale Safi czuła, że cokolwiek powiedział, pozostawał szczery.

Nie zdołała się powstrzymać, złapała Vanessę za rękaw.

– Proszę, przestań.

Nikt, żaden człowiek, czy czymkolwiek był piekielny bard, nie powinien tak cierpieć...

– Nic z tego. Dopóki się nie zgodzi. – Vanessa przychyliła się do Cadena, a ciemność ogarniająca jego ciało zafalowała jak powierzchnia gotującej się wody. – Przysięgnij, że zawieziesz mnie do Azmiru, dowódco.

– Tak – zassał powietrze Caden. A potem znowu: – Tak, tak, tak, tak, tak, tak!

Safi nie mogła już tego znieść.

– Mówi prawdę!

Prawdopodobnie przypadła do niego, nie przejmując się, że prawie obaliła Vanessę, nie cofając się przed próbującą przeleźć i na nią ciemnością Cadena, jednocześnie mroźną jak pocałunek zimy o północy i gorącą jak czarny piach w skwarnej dzień. Przypadła do niego, szukając pętli w jego rękach.

Ale nie mogła jej znaleźć. Nie miał jej. Upuścił ją gdzieś. Plasnęła ręką w wodę. Oszalała. Zdesperowana.

– Tak, tak, taktaktak! – Caden nie przestawał krzyczeć.

Łańcuch spadł na jego pierś. Gdy Safi poderwała głowę, zrozumiała, że przez cały czas trzymała go cesarzowa. A potem Vanessa się oddaliła, a żelazo, które pętało piekielnego barda, popęzło w ślad za nią jak wierny pies.

Lev zanurkowała, by podnieść dowódcę z ziemi, podczas gdy Safi próbowała założyć mu łańcuch na szyję. Gdy dwa jego końce znalazły się blisko siebie, przeskoczył między nimi magiczny

impuls i zespoliły się ze sobą, a w tym samym momencie czarna sieć oplatająca piekielnego barda zassała się do środka, wróciła po ścieżkach czarnych żył, odkleiła się od jego szyi, twarzy i rąk.

Jedna z nich, Safi uświadomiła to sobie dopiero teraz, ścisnęła jej rękę. Zbielałe kostki, roztrzęsiony, desperacki uścisk, który nie zelżałby, nawet gdyby mieli iść do piekła i z powrotem.

Zamrugnął, po czym szeroko rozwarł oczy, jego źrenice zaczęły połykać wszystko dookoła, a potem wycharczał zmordowanym głosem:

– Dziękuję... domno. Dziękuję ci.

## ROZDZIAŁ 31

Iseult nie miała bladego pojęcia, co ma zrobić z dzieckiem.

Gdy Aeduan odnalazł więziodziejkę, stała samotnie na brzegu Amonry, obserwując górskiego nietoperza lecącego na południe. Zaskoczenie skręciło jej żołądek, gdy czarodziej wychynął z lasu. Zaskoczenie i strach. Poruszał się tak cicho. I nie miał nici, które by ją ostrzegły.

Cały był umazany krwią. Gdy zobaczył szeroko otwarte oczy Iseult, zaraz wyjaśnił.

– Nie moja.

A potem kiwnął na nią, nakazując iść za sobą.

Poszła więc do kępy krzewów starojagodowych, wciśniętych pod potężny gosrogowy dąb nieopodal rzeki. Tam, gdzie nici Więzi pulsowały jednostajną, przerażoną szarością. Iseult rozchyliła gałęzie i znalazła pod nimi wtuloną w srebrne korzenie dębu dziewczynkę, niemalże zlewającą się z pniem. Musiała mrugnąć trzy razy i przetrzeć oczy, by oddzielić wzrokiem dziecko od drzewa. By oszacować jej wiek, zauważyć, jaka jest krucha.

Wyglądała na sześć, może siedem lat. Była zagubiona i zdruzgotana. Jej nici mieniły się milionem odcieni bladej szarości. Iseult nie zarejestrowała żadnych innych barw, żadnych innych emocji poza strachem.

Aeduan przepchnął się, by kucnąć przy dziecku.

– Skąd pochodzisz, siostrzyczko? – wyrzekł po nomatsańsku. – Czy Krwawe Żagle odebrały ci rodzinę?

Brak reakcji. Dziecko wgapiało się wielkimi, orzechowymi oczami w Iseult.

Dziecko, moja bogini. Iseult nie miała pojęcia, jak się opiekować dzieckiem.

Rzuciła torbę na ziemię. Potrzebowali schronienia i ubrań dla dziewczynki. I butów. Nie zaszkodzi też rozpaścić ognisko, jeśli nie okaże się to zbyt niebezpieczne, skoro nadciąga tak liczne wojsko.

Gdy Iseult podeszła do Aeduana, nici dziecka rozbłysły bielą paniki, nadając im wygląd przetkniętych siwymi pasmami popielatych włosów. Wtuliła się głębiej w korzenie.

– Nie zrobię ci krzywdy – powiedziała Iseult, przybierając łagodny wyraz twarzy.

Nici dziewczynki nie zmieniły barwy.

– Mnichu. – Iseult nie była pewna, czemu zwróciła się do Aeduana w ten sposób. Może nie chciała nazwać go krwiodziejem przy małej.

Aeduan wstał. Dziecko stężało, a gdy się odwrócił, wyciągnęło do niego rękę. I wpiło się palcami w jego płaszcz.

Obejrzał się z nieruchomym wyrazem twarzy. Kamienny spokój nie opuścił jego rysów, ale wyrzekł uprzejmie:

– Nigdzie nie idę, mała sówko.

Wtedy rozluźniła uchwyt. Jej nici oblały się różem, jakim zabarwione bywa niebo podczas wschodu słońca. Nici, które wiążą.

– Coś nie tak? – zainteresował się Aeduan, przyciągając wzrok Iseult. Jego bladoniebieskie oczy wydawały się nieomal białe w wąłym świetle.

– C-co – zaczęła, natychmiast zamykając usta. Była zmęczona. Ten wielki nietoperz wybił ją z równowagi. – Co tu robi to dziecko? – Spróbowała ponownie, tym razem pewniej: – Co chcesz z nim zrobić?

– Nie wiem.

Więziodziejka wróciła wzrokiem do dziewczynki, która wpatrywała się w nich otwartymi na pełną szerokość oczami. Przez bladą, brudną od błota twarz wyglądała dokładnie tak, jak nazwał ją Aeduan: Sowa, najmłodsza siostra Księżycowej Matki.

Musi się wykapać, postanowiła Iseult.

– Znalazłeś ją u Krwawych Żagli? – podjęła, spoglądając na krwiodzieja.

Skinał głową.

– To byli ci sami, którzy polowali na ciebie.

– A... g-gdzie teraz są?



– Już ich nie ma – odpowiedział krótko, a Iseult nie potrzebowała usłyszeć więcej. Zabił ich. Stąd krew.

Więziodziejka wiedziała, że powinno ją to zaszokować. Przerazić. Odrazić. Tylko Księżycowa Matka miała prawo odbierać życie. A jednak... czuła ulgę. Ludzie Corlanta już jej nie skrzywdzą.

– Czy możesz wyczuć rodzinę tej dziewczynki? – spytała. – Albo jej plemienia? Może zdołamy ją odprowadzić.

Gdy nie doczekała się od niego odpowiedzi, wczepiła się w niego wzrokiem. Obserwował ją z nieruchomą twarzą i nieunoszącą się klatką piersiową, wstrzymał oddech. Nie mogła odgadnąć, co myśli.

Fala gorąca wspięła jej się po kręgosłupie.

– No co? – warknęła. – Możesz czy nie możesz?

Kącik ust Aeduana drgnął w dół.

– Mogę ich wytropić. Ma na ubraniu zapach swojego plemienia. Ale... – Krwiodziej zawiesił wzrok gdzieś za plecami Iseult. Jego źrenice zdawały się pulsować. – Ale jej rodzina jest na północy. A my idziemy na południe.

Zmarszczyła nos.

– Jeśli natychmiast nie ruszymy naprzód, w ogóle nie zdołamy się przedostać. Drogę odetną nam schodzące na ląd armie.

– Tak.

Dopiero po trzech uderzeniach serca zrozumiała, co to dla nich oznaczało. Oblazł ją przenikliwy chłód, a z jej ust umknęło westchnienie. Więc to koniec ich wspólnych podróży. Tu rozdzielały się ich drogi. Rozstaną się i prawdopodobnie już nigdy nie spotkają.

– Nie mogę zostawić dziecka – powiedział Aeduan płaskim, obojętnym tonem. Ale Iseult jakimś sposobem zrozumiała, że próbuje się przed nią tłumaczyć.

– Nie możesz – przystała.

– Będzie dla nas ciężarem, jeśli ruszymy z nią w dalszą drogę.

– Tak.

– Prawdopodobnie jest na południowym wschodzie. – Pokazał palcem rzekę. – Prawdopodobnie na samym skraju półwyspu.

Albo nawet na morzu.

Iseult potwierdziła skinieniem. Nie było sensu się kłócić. Nie było o czym mówić. Zresztą i tak nic by nie powiedziała. Ich dziwne partnerstwo dobiegło końca. I tyle.

– Najszybsza droga to ta wzdłuż rzeki. Ale jeśli chcesz przegonić Krwawe Żagle, musisz się spieszyć. Ja zabiorę Sowę... – Powiedział coś jeszcze o jedzeniu. Coś o tym, żeby z głową wydzielać racje i o tym, kto powinien zachować caraweński płaszcz.

Ale Iseult nie słuchała.

Znowu skupiła wzrok na dziewczynce. Sowa. Najmłodsza siostra Księżycowej Matki. Raczej zwierzę niż człowiek, nieodstępujące bogini na krok. We wszystkich starych opowieściach Sowa wykazywała się odwagą tylko w nocy, spędzając dni ukryta w najciemniejszych zakątkach lasu. Tak jak to drobne stworzenie teraz.

Dlaczego musiał ją znaleźć? – złościła się w duchu. Gdyby nie znalazł, Iseult nie zostałaby sama.

Safi jest gdzieś na południowym wschodzie. Tylko ona się liczy, pomyślała po chwili. Safi była opromienioną słońcem różą, a Iseult rzucanym przez nią cieniem. Bez przyjaciółki więziodziejka była tylko nieskładną płataniną myśli, które ciągle zwodziły ją na manowce. To Safi była Cahr Awenem. A Iseult niczym więcej, jak tylko dziewczyną, która bardzo by chciała nim być.

Iseult nienawidziła się za to, ale nie mogła zmienić prawdy. Chciała pędzić do Safi, chciała, żeby Aeduan szedł z nią, życzyła sobie, żeby dziecko po prostu zniknęło.

Potwór, zrugła się w myślach. Jesteś potworem.

W tej chwili uświadomiła sobie, że Aeduan przestał mówić. Po prostu patrzył na nią. Odwzajemniła spojrzenie. Jeden oddech. Dwa. I kolejne. Wiatr szumiał w koronach drzew, bzyczały owady.

Iseult wiedziała, co musi zrobić. Wiedziała, co zrobiłaby Safi na jej miejscu. Co zrobiłby Habim, Mathew, jej matka czy ktokolwiek z jakimś kręgosłupem moralnym. Tylko dlaczego tak trudno jej znaleźć słowa?

Przełknęła ślinę. Aeduan odwrócił się, by odejść. Co niby zostało jeszcze do powiedzenia? Pomógł Sowie wstać.

– Chcesz iść, Sówko? Czy wolisz, bym cię niósł?

Dziewczyna nic nie powiedziała, ale Aeduan kiwnął głową, jakby to on widział zieloną determinację polśniewającą w niciach dziewczynki. Znak, że zamierza iść na własnych nogach.

Iseult okręciła się i wydostała z krzewu starojagody. Jakieś siły ścierały się w jej piersi. Coś, czego z początku nie rozpoznała, coś lodowatego i gorącego. Gdyby była tu Safi, na pewno wiedziałyby, jak to nazwać.

I właśnie dlatego Iseult musiała ruszać w drogę.

Usłyszała obok plaskanie bosych stóp o ziemię. Sowa wyłoniła się z liści i podbiegła do Aeduana. Iseult nie patrzyła na żadne z nich, myśląc o południu i o najlepszym sposobie na obejście desantu Krwawych Żagli.

Niespodziewanie czarodziej pojawił się dokładnie za jej plecami. Podeszedł bezszelestnie, cichy jak duch. Na jego wyciągniętej ręce leżał grot strzały.

Iseult się nie poruszyła, więc pochwycił delikatnie jej dłoń i przekręcił ostrożnie wewnętrzną częścią do góry, po czym ułożył na niej upstrzony rudymi plamami kawałek metalu. Czuła na ręce ciepło bijące od grotu i od palców krwiodzieja.

Żadne słowa nie opuściły jego ust. Iseult także milczała. Patrzyła tylko odrętwiała na połyskujący w promieniach słońca skrawek żelaza.

Czarodziej wrócił do Sowy, nim zdążyła podnieść na niego wzrok. Już znikali w pomroce lasu, niemal nie wydając dźwięku, prawie niewidoczni, jeśli nie liczyć kołysania poruszonych traw, kiedy Iseult odnalazła właściwe słowa.

– Aeduanie.

Nigdy nie wymówiła jego imienia na głos. Zaskoczyło ją, z jaką łatwością spłynęło z jej języka.

Obejrzał się, spojrzał na nią jak zawsze z zagadkowym wyrazem twarzy, a jednak tym razem podszytym... czymś nowym. Nadzieją? – pomyślała machinalnie, choć wiedziała, że zachowuje się jak idiotka.

Aeduan nie należał do tych, którzy mają się złudnymi nadziejami.

– Talary – wymówiła – są w Lejnie. W kawiarni na wzgórzu. Tam znalazłam w piwnicy skrzynkę z pieniędzmi. Nie wiem, skąd się tam wzięły. Po prostu je znalazłam i zabrałam.

Aeduan wypuścił powietrze z płuc. Chciał spytać o coś jeszcze – Iseult poznała to po jego zaciśniętych ustach gotujących się do wypowiedzenia jakichś słów.

Lecz wtedy rozmyślił się i odwrócił plecami.

Zrobiła więc to samo i ruszyła w kierunku rzeki.

Nie obejrzała się już.

\*\*\*

Merik opadł na kolana przy Cam, nie pamiętając ani o Vivii, która pojawiła się nie wiadomo skąd, ani o Garrenie, ani o Dziewiątkach. Cam klęczała na bruku, tuląc do ciała ranną rękę, w powiększającej się kałuży krwi.

– Ktoś musi cię opatrzyć – Chciał podźwignąć ją z ziemi, ale nie pozwoliła. Głowa kołysała jej się na ramionach.

– Tak mi przykro, sir – powiedziała szeptem. – Nie wiedziałam, co zamierza Garren...

– Nie dbam o tamto, Cam. Wstawaj, do cholery. Potrzebny ci lekarz.

Nakrył ich cień Vivii.

– Twierdza – powiedziała. – Tam znajdziemy uzdrowiciela. Tędy.

– No chodź, Cam, idziemy. – Nie zważając na protesty dziewczyny, Merik wsunął jej rękę pod pachę, a Vivia pomogła z drugiej strony.

Ale uparta jak zawsze Cam wyślizgnęła się z ich uścisków. Była trupio blada. Zbryzgana krwią.

– Mogę iść sama – wydyszała. – Boli jak cholera, ale znam skrót. Chodźmy.

Przelazła niezgrabnie nad zwłokami, nie zostawiając Merikowi i Vivii innego wyboru, jak tylko podążyć za nią.

Niespodziewanie – w momencie, gdy Cam wiodła ich boczną uliczką – Merik poczuł coś, co nieodparcie kojarzyło się

z powiewem wygaszonego paleniska. Z mrozem, który lodowatymi soplami drażnił jego nieustępliwy, czający się za rogiem umysłu gniew.

Obrócił się twarzą do miejsca, skąd emanowała złowroga energia. I znalazł to, co spodziewał się zobaczyć, co czuł w kościach. Utkwił wzrok w wyrosłej jak spod ziemi postaci z cienia. Górowała nad budynkami podziemnej metropolii. Okrywała czarnym całunem miasto, całą grootę.

I sunęła w jego stronę.

– Biegiem – wymówiły samoczynnie jego usta. – Szybko!

Pchnął Cam do biegu w stronę Twierdzy, nie wiedząc właściwie, czy to dobry kierunek. Był pewny jedynie tego, że wszystko będzie lepsze od spotkania z człowiekiem z cienia.

Nikt nie oponował, wszyscy rzucili się do ucieczki.

Merik czuł ścisk w piersi z każdym kolejnym krokiem. Był rybą na żyłce, którą ciągnięto nie w tę stronę. Pędził na złamanie karku, przemierzając przecznicę za przecznicą. Próbując zapanować nad paniką.

W oddali jakiś głos zaniósł się upiorną pieśnią.

Znał tę pieśń, a teraz ożyła w jego wnętrzu, choć tych zwrotek nie potrafił sobie przypomnieć. Albo ich nie pamiętał, albo nigdy ich nie słyszał. Głos dochodził z serca miasta. Na razie z daleka, ale z każdym krokiem był coraz bliżej

Płynęli więc głębiej, aż ciemność zapadła

I dało się słyszeć: klik–klik,

Przestraszył się Daret: Czy już nas dopadła?

Lecz rzekł na to Filip: To nic.

Cam prawie się przewróciła, ale Merik w porę chwycił ją za ramię.

– Co to było? – przeraziła się Vivia.

Merik nie odpowiedział. Po prostu popędził je do szybszego biegu, bo ściana cienia deptała im już po piętach.

I wtedy brat Filip popłynął hen w dal,  
Zapomniał, że Daret jest ślepy,  
Zagarnąć Krabowej Władczyni chciał skarb,  
O którym krążyły legendy.

Głos dobiegł z sąsiedniej ulicy. Nagle cienie się pogłębiły. Lada moment ich dopadną, oślepią, a wtedy już nigdy nie wygrzebią się z pułapki.

Ona ryb nie lubi, złoto chce gromadzić,  
A przynajmniej, rzekł Filip, tak mówią,  
I że bogaty, to i miłość kupi,  
I głowę przyozdobi koroną.

Droga kończyła się przed nimi. Tchnienie powietrza dotknęło twarzy Merika. Zimna, orzeźwiająca bryza...  
– W prawo.

Dlaczego tak długo panuje Królowa?  
Bo wie, czego chcą jej poddani,  
Że nęci ich złoto, och, to rzecz wiadoma,  
Lecz chcą być również kochani.

Jeszcze dwie ulice, jeszcze dwa zakręty. Omiótł go nowy powiew wiatru. Ale gdy chciał krzyknąć, by skręciły w lewo, uprzytomnił sobie, że prowadzi je w kółko. Że teraz, nie wiedzieć jakim sposobem, ściana cienia znajduje się na wprost, przed nimi.

Pułapka, zorientował się. Dał się złapać jak Filip w piosence. Rzeczywiście był głupcem. Wiatr, który go nęcił, pochodził od człowieka z cienia.

– Stać – wysmyknęło mu się z ust, gdy wrył nogi w skaliste podłoże, przyciskając Cam do piersi. – Źle was poprowadziłem.

Cam nie przestawała krwawić, ale głowę trzymała sztywno.

– Tędy. – Wskazała inną ulicę.

Trzydzieści kroków później stanęli przed najdalszą ścianą grotu, w której dostrzegli drzwi. W ostatnim momencie, cień wyciągał już po nich swoje długie ręce, jakby to sama śmierć sięgała po ich dusze – ciężka, spragniona, spotworniała.

Vivia pierwsza przepchnęła się przez drzwi, a za nią wbiegli Merik i Cam. Wspinali się kamiennym korytarzem mknącym w górę po spirali. Nagle usłyszeli w górze szum i naparła na nich woda. Tak jak w Cysternach fala uderzyła z ogromną siłą, nie sposób było się jej nie poddać. Vivia rzuciła się naprzód, jakby mimo wszystko zdecydowała się spróbować.

– Czeka! – wrzasnęła Cam. – Zalew się kończy! Co sześćdziesiąt uderzeń serca ustaje na dziesięć! Po prostu musisz liczyć!

– Ale nie wiemy, ile uderzeń już minęło! – odkrzyknęła Vivia. – I nie możemy tak po prostu stać! Goni nas potwór!

Odpowiedział jej z dołu oślizgły głos człowieka z cienia:

– Nie musicie się mnie bać.

– Kto powiedział, że się boję? – odparł hardo Merik, choć nie rozumiał, jakim cudem usłyszał ten głos przez łoskot wody.

Znienacka zalew się skończył, a szum ustał. Przy wylocie korytarza zobaczyli ostatnie wzburzone fale, a potem mieli przed oczami już tylko wilgotne, ciemne od wody kamienie kanału. Po drugiej stronie dostrzegli wejście do bliźniaczego korytarza.

Cam wyłuskała się z objęć Merika i puściła biegiem. Vivia pomknęła za nią.

Merik tkwił w miejscu.

Próbował biec, ale nogi miał jak przyśrubowane do podłogi. Z najwyższym wysiłkiem zrobił krok, potem ledwie postawił drugi.

A potem było już za późno. Dopadł go człowiek z cienia.

Ciemność spadła na Merika tak jak tamtej nocy w ogrodzie Lindaya, ale tym razem była dziesięciokrotnie, tysiącrotnie potężniejsza. Nie była jak palce gaszące knot świecy ani drgnienie zdmuchniętego wiatrem ogniodziejskiego płomienia. Była przytłaczająca i wszechogarniająca. W jednej chwili księżę widział tunel na wprost i pędzące ku niemu Cam i Vivie, a w kolejnej pętała go nieprzenikniona czerń, w której nie potrafił rozpoznać, gdzie jest góra, a gdzie dół, i nie miał pojęcia, gdzie cień się zaczyna, a gdzie się kończy. Całkowite zaćmienie. Uczucie jasności, której tak naprawdę nie ma, bólu, który nie promieniuje z żadnego konkretnego miejsca na ciele, ale powoduje bolesny zacisk szczęk.

Targnął się naprzód, lecz nie mógł natrafić ręką na ścianę, która pomogłaby mu odzyskać orientację. Słyszał tylko wysączające się z ciemności za nim słowa.

– Wiesz, że to nie jest nubreveńska piosenka? – Głos dobiegał z za jego pleców. Był jak pazur przesuwający mu się po kręgosłupie. – Bracia są starsi od tego miasta, a opowieść o nich przyszła z za gór. Powstała w dawno minionych czasach, kiedy miałem inne imię. Zanim stałem się świętym, którego wy nazywacie Furią.

Twarz Merika omył powiew wiatru. Zaciągnął się nim, pozwalając powietrzu okręcać się wokół siebie. Gromadził moc. Czuł teraz, gdzie znajduje się tunel. Czuł nadchodzącą z prawej masę wody. Musiał tylko ruszyć z miejsca. Tak mu się wydawało – gdy popędził nogi do biegu, człowiek z cienia się roześmiał.

– Och, mój więziobracie, nie powinieneś być posługiwać się przy mnie magią.

Merik zeszywniał na te słowa. Więziobracie? To... Nie, nie może być.



Jakby w odpowiedzi mrok odsunął się od niego. Błysnęło światło luminescencyjnych grzybów, zaciemnionych dotąd czarnym obłokiem. Pokrywały każdy cal tunelu. I oświetlały pędzącą ku niemu falę.

Woda zaraz go dosięgnie. Powinien się ruszyć, powinien uciekać.

Ale zamiast tego obrócił głowę i patrzył, jak macki ciemności splatają się w idącego ku niemu człowieka. Wysokiego. Szerokiego w barach. Białowłosego. Pokrytego cienistymi smugami. Zdążającego prosto na niego przez wirujący wokoło czarny śnieg.

Kullen uśmiechnął się, a ten znajomy wyraz twarzy przeszył Merika jak rozgrzany do czerwoności żelazny pręt.

– Czołem, stary przyjacielu – powiedział jego więziobrat. – Tęskniłeś za mną?

To niemożliwe, pomyślał Merik, nim nakryły go spienione bałwany.

## ROZDZIAŁ 32

Nie tak powinno być. To nie Cam powinna wołać do stojącego w kanale Merika, podczas gdy ona tylko się przygląda w otępieniu.

A Merik nie powinien zostać pochłonięty przez cienie i wodę.

Ale tak właśnie się stało. Vivia musiała wkroczyć do akcji.

– Leć do Twierdzy – poleciła dziewczynie. – Sprowadź pomoc i nie pozwól żołnierzom wejść do podziemi.

Wskoczyła do spienionej wody. Fale naparły na nią, ograbiły ze zmysłów, odebrały wzrok, słuch i dotyk. Przyjaciółka. Matka. Jaźń. Wszystko było częścią Vivii, a Vivia była częścią wszystkiego.

Wyczuła Merika gdzieś w mroku, w rozszalałej masie wody. Gdzieś przed nią znajdował się jej brat. Tunel rozgałęział się na dwie odnogi. Woda niosła księcia do rozwidlenia. Pchała go na prawo.

Vivia wystrzeliła naprzód w eksplozji prędkości i mocy, odpychając się magią i kierując instynktem, by wyprzedzić Merika w zdziczałej topieli, pomknąć szybciej od rozpędzonego prądu. Płynęła jak rekin ujeżdżający falę przypiływu, jak morski lis, który zwietrzył ofiarę.

Dotarła do rozwidlenia. Jej płuca płonęły żywym ogniem. Znajome uczucie. Powitała je z otwartymi ramionami. Woda była dla Vivii matką, a tyranem dla reszty świata.

Raptem wpadła rozpędzona na Merika. Jeśli w jego płucach ostała się choć odrobina powietrza, teraz wydusił ją impet uderzenia.

Nodenowi dzięki, jest przytomny.

Oplótl ją rękami, a ona przejęła kontrolę nad sytuacją. Musiała wykorzystać pianę, prąd i impet, by się rozpędzić, nagiąć siły natury do własnych potrzeb.

W tej części tunelu kanał się rozszerzał. Wyczuła kieszeń powietrza między piętrzącymi się falami a sklepieniem. Odepchnęła się w tamtym kierunku, przebili się przez taflę, poczuła pod palcami rozdętą pierś Merika. Wciągnęła go z powrotem pod wodę, nim tunel ponownie się zwęził.

Odepchnęła się, zwiększając prędkość, ścigając się z wezbranym nurtem, wdzięczna Merikowi za to, że nie stawiał oporu. Że instynktownie ułożył się poziomo i tym samym zmniejszył opór wody. Zrozumiał, co robi Vivia, i stał się bezwolnym narzędziem w jej rękach. To jedna z tych rzeczy, których zawsze mu zazdrościła. Wszystko w życiu przychodziło mu z taką łatwością.

Kolejne rozwidlenie. Tym razem rzuciła się w lewo. W oddali czekał na nich szelf. Będzie musiał wystarczyć.

Ścisnęła brata mocniej, a on odpowiedział równie silnym uściskiem – jakby wiedział, że cokolwiek teraz nastąpi, z pewnością nie będzie niczym przyjemnym.

Pływ, przypomniała sobie. Zaraz natkniemy się na pływ. Stała jej przed oczami niszczycielska moc przeciwprądu. Pod nią i za nią.

A ten zjawił się jak na zawołanie, niczym wywołany z oceanu morski lis. Podciął jej nogi. Złapał jej buty i szarpnął w dół, stawiając ich w pionie, a potem uderzył w nich z całą zaciekłością, próbując ściągnąć na dno.

W górę! – ryknęła w myślach i wzbudziła swą magię do działania. Pływ ugiął się przed jej wolą.

Wystrzelili w górę, w stronę sufitu, który... był o wiele za blisko. Nie uda jej się wyhamować. Jednak gdyby zmniejszyli prędkość, nie zdołaliby się wyrwać ze szponów drakońskiego prądu.

Splątane ręce i nogi, zwarte ciała, głowa przy głowie. Vivia i Merik wyłonili się z wody, wciąż spleceni w uścisku. I wtedy woda wypuściła ich ze swych macek, a oni wyrznęli ciężko o wapienne podłoże, ledwie unikając spotkania ze sklepieniem.

Księżniczka dźwignęła się niedołącznie do pionu. Orientowała się, gdzie jest, czuła miejsce, w którym wilgoć napiera na kamień

i gdzie gromadzi się na ścianach. Gdzie woda wpycha się z mocą do innych tuneli, mknie innymi kanałami. Wiedziała już, które przejścia są czyste. Bezpieczne. Znajdowali się w zapadlisku, wśród bryzgających fal kryła się tu obok gruzu dziura, którą dopiero co sama wykopała.

Uniosła Merika do pozycji siedzącej, czując, jak nieudolnie próbuje on zmusić do wysiłku przemęczone mięśnie. Gdy wreszcie wstał i wsparł się na jej ramieniu, pozwolił poprowadzić się Vivii w wodnej mgle.

Tyle chciała mu powiedzieć, gdy wlekli się, powłócząc nogami, na powierzchnię. Tysiąc pytań, tysiąc przeprosin, tysiąc słów krytyki, którymi starsza siostra strofuje młodszego brata. Ale, podobnie jak gromadząca się na równinie woda, również i słowa, które tak bardzo chciała wypowiedzieć, nie miały się gdzie podziąć. Napierały tylko na zębra, rozpierały od środka i objęły się w głowie.

Nie powiedziała nic.

Merik żył. Nie miała pojęcia, jak to możliwe, ale żył, a ona po raz pierwszy w życiu poczuła, że dokonała samych dobrych wyborów. Że może spokojnie torować sobie drogę naprzód, niczego, ale to niczego nie żałując.

\*\*\*

Iseult już witała się z rzeką, kiedy natrafiła na pierwszego trupa.

Nie był to kolejny zapomniany szkielet, który legł tu w jakiejś pradawnej bitwie, ale zupełnie świeże ciało. Ciało młodzieńca.

Okrążyła zwalony dąb, którego wyrwane z ziemi korzenie stały się domem pszczoł, wypełniających powietrze tłumiącym zmysły bzyczeniem. Nie spodziewała się spotkania z martwym mężczyzną wtulonym w pień z drugiej strony. Miał brązową skórę i jeszcze nie zdążył napuchnąć. Zginął niedawno. Muchy zbierały się wokół przekreślonego głębokim cięciem gardła.

Iseult spojrzała w niebo. W górze kołowały myszołowy i kruki, co mogło oznaczać więcej trupów nad samym brzegiem Amonry.

Kłęknęła przy ciemnoskórym mężczyźnie. Właściwie przy chłopcu. Nie mógł być starszy od niej. Miał otwarte, szkliste oczy,

patrzące niestrudzenie w jeden punkt, nawet gdy przemykały po nich muchy. Dostrzegła na jego pasie złotego węża. Aeduan wspominał, że to znak Baedyedów, ale chłopak zupełnie nie wyglądał jak marynarze, których obserwowowała wraz z krwiodziejem ze szczytu klifu. Nie miał szabli, tylko noże i lunetę.

Zwiadowca. Odtąd będzie musiała być ostrożniejsza.

Owinęła dłoń rękawem i sięgnęła do oczu chłopca, by je zamknąć. Nie dlatego, że Księżycowa Matka wpuszczała do swojego królestwa tylko śpiących zmarłych, i nie dlatego, że w zapomniane w lesie trupy wstępował Oszust, tylko dlatego, że skręcało ją w żołądku na widok łażących po nich much. Opuściła lewą powiekę.

Gdy zamykała prawą, w zasięgu jej zmysłów zafalowały nici Więzi. Purpurowy głód i karmazynowa wściekłość przemieszczały się gdzieś na granicy zasięgu jej magii. Wyczuła błękitne skupienie i zielen, którą emanowały zwykle nici tych, którzy na coś polują. Na coś lub na kogoś.

Chyba rozumiała, co to wszystko znaczy. Martwy zwiadowca, wiszący na włosku sojusz... Czyżby oznaczało to, że ten włos w końcu się przerwał?

Nieważne, nawet jeśli Baedyedowie i Krwawe Żagle rzucili się sobie do gardeł, w żaden sposób nie zmieni to obranej przez nią drogi, raczej zmusi ją do zwiększenia prędkości, zdecydowała.

Zostawiła ciało za sobą i skierowała się prosto do rzeki. Z dala od polujących nici. Przyspieszyła kroku, rezygnując z ostrożności. Wiedziała, że nikt jej nie śledzi, nie zamierzała więc marnować czasu na zacieranie swoich śladów.

W obrębie jej magii zapulsowały od strony Amonry nowe nici. To z płynących w górę rzeki okrętów. Tych samych, które musi wyminąć.

Listowie rozstąpiło się przed nią, zalewisko ustąpiło przed wystającymi z ziemi płataninami korzeni oraz rozmiękłym brzegiem rzeki. Okręty, żołnierze i nici. Trzy masywne galeony, sześć jakichś mniejszych jednostek – i kolejne za zakrętem rzeki,

niknące w oddali. W powietrzu wisiało jakieś napięcie, jakby drżały włókna, z których został utkany świat.

Iseult знаła to drzenie, choć nigdy jeszcze nie widziała – nie czuła – go na tak dużej przestrzeni.

Nici, które wiążą, niebawem pękną.

Nie tracąc czasu, puściła się biegiem. Ból nie opuścił jeszcze nadwyrężonych w czasie treningu z Aeduanem kostek i kolan, ale musiała jak najszybciej minąć piracką armadę i zostawić za sobą kołujące na niebie ptaki, zanim świat wokół niej rzeczywiście rozpęknie się jak przejrzały owoc. Zanim przerwą się nici łączące Baedyedów z Krwawymi Żaglami.

Iseult nie zastanawiała się, czy napotka więcej ciał. Właściwie już wyrzuciła z pamięci myszołowy i kruki. Całym jej światem była teraz droga pod stopami.

Czuła się o wiele spokojniejsza, gdy działała wedle obmyślnego planu i gdy nie uciekała przed kimś, kto chciał pozbawić ją życia. Tylko że ten jej plan nie trzymał się kupy, co uświadomiła sobie, gdy potknęła się o kolejne zwłoki. Brązowe ramię wyglądało wśród traw jak korzeń dużego drzewa. Przeskoczyła nad nim... i miast na pniu stanęła na czyjejś klatce piersiowej. Poleciała naprzód, wyrzuciła ręce przed siebie i wylądowała na innych zwłokach, tym razem natrafiła rozcapierzonymi palcami na nogę, a wzrokiem na otwarte szeroko martwe oczy dwa cale od jej twarzy.

Muchy wleciały jej do ust. Nad głową zaskrzeczał kruk.

Zanim podniosła się do pionu, zlokalizowane wcześniej nici wsunęły się w obszar objęty jej magicznym zmysłem. Rozwścieczone i złaknione. Szły w kierunku brzegu. Zaraz tu będą.

Próbowała wstać, ale jej palce ślizgały się na miękkim jeszcze ciele, które dopiero zaczynało tężeć.

Trupy, trupy, trupy.

Wyprostowawszy się, zaczęła rozglądać się za kryjówką. Ale nie mogła żadnej znaleźć. Żadnych gałęzi dość dużych, by się za nimi schować, żadnych gałęzi w zasięgu rąk, po których dałoby się wejść na drzewo.

Obejrzała się roztrzęsiona i zobaczyła lądujących piratów. Łodzie wsuwające się na płyciznę wypełnione po burty złaknionymi przemocy niemi.

Nie miała dokąd uciec. Nie miała czasu na obmyślenie planu. Ale ten jeden raz nie odczuła uderzenia paniki. Nie pobiegła myślą do Safi, nie zatęskniła za jej nieomylną intuicją, dzięki której znajdowała wyjście z najgorszych tarapatów. Zamiast tego owionął ją spokój. Zrównała oddech. Zebrała myśli. Przygotowała się na wykorzystanie umiejętności nabytych w czasie szkolenia.

„Prawą ręką daj im to, czego oczekują”.

W lesie pełnym ciał rozwiązanie nasuwało się samo. Przypadła do ziemi, rozłożyła się na nogach najbliższego trupa i zastygła w bezruchu.

Zwarła powieki, gdy pierwszy Krwawy Żagiel zszedł na ląd.

## ROZDZIAŁ 33

Aeduan znajdował drogę pomiędzy wielkimi dębami. Czuł dziwną lekkość w kieszeni, gdzie do niedawna przechowywał otrzymany od Corlanta grot. Nie zdawał sobie sprawy, że nawykł do jego ciężaru. Do dotyku żelaza na ciele.

Ale teraz grotu nie było. I tyle. Nie ma sensu się nad tym rozwodzić. Trzeba iść naprzód, napominał się w duchu.

Czuł osobliwe drzenie mięśni. Jego palce rozprostowywały się i zaciskały w pięść do rytmu kroków. Za każdym potknięciem Sowy zagryzał zęby. To nie jej wina, że jest drobna i wątła, osłabiona. To nie jej wina, że potrzebuje opieki. Ma krótkie nóżki.

Kuliła się, próbując się ogrzać, i patrzyła wilkiem na wszystko, co nie było Aeduanem. Na każdy jego krok potrzebowała trzech swoich. Każde wzniesienie, na które on wskakiwał bez trudu, ona musiała ominąć lub wdrapywać się na nie, obejrzawszy je najpierw uważnie, jakby miało osunąć się spod jej drobnych stóp.

Nic nie mógł na to poradzić. Taką wybrał drogę. Szli na północ, dokładnie w przeciwnym kierunku do tego, w którym zmierzał z więziodziejką. Właściwie był całkiem pewien, że zapach na ubraniu Sowy doprowadzi go do tego samego plemienia Nomatsów, które zostawiło po sobie ścieżkę, gdzie omal nie stracił nogi. Ale zapach nomatsańskiej krwi dochodził z bardzo daleka, tak jak i woń prawdziwej. Tydzień drogi. Pewnie więcej przy obecnym tempie. I z kierunku przeciwnego do tego, w jakim powinien iść, żeby odnaleźć swoje talary.

Sam się sobie dziwił, jak mało go teraz obchodziły. Właściwie zorientował się, że częściej myśli o osobie, która je ukradła, niż o samych pieniądzach. Chciał wiedzieć, jak monety trafiły do Lejny. Jak człowiek pachnący czystymi jeziorami i mroźnymi zimami wszedł w ich posiadanie i dlaczego schował je akurat tam.



Gdy tylko Sowa będzie już bezpieczna, Aeduan znajdzie odpowiedzi na te pytania.

Jego mięśnie napięły się samoczynnie na tę myśl. Chciał biec. Chciał walczyć. Dobrze znał to uczucie. Nachodziło go, ilekroć łąjała go mniszka Evrane czy uczył Mistrz Gildii Yotiluzzi. To ściana, którą wznosił dookoła swego serca. Determinacja, która kazała wbijać obcasy butów mocniej i głębiej w ziemię.

Sowa zakwiliła, gdy nieopatrznie zmiążdżył jej palce.

Zatrzymał się. Uprzytomnił sobie, że włókł ją za sobą. Tak robią demony, a on był demonem. Spojrzał w jej otwarte szeroko, budzące litość oczy.

– Przepraszam – powiedział, choć nie musiał. Ufała mu. Głupie dziecko. Nie mógł uwierzyć, że jego ojciec chciał ją dostać. Dlaczego? – zachodził w głowę.

Gdy patrzył w jej nabiegłe krwią oczy, usłyszał w oddali huk. Wystrzał z armaty. Gdzieś na południu. Tam, gdzie musi być teraz więziodziejka.

Nie namyślając się wiele, zaczerpnął głęboko tchu. Rozpostarł swój magiczny zmysł, odnalazł woń swojej własnej krwi wciąż unoszącej się z monety na jej szyi.

Tak, była gdzieś na południu. Pospiesz się, pomyślał, przeczuwając, że niebawem Ziemia Niczyja nasiąknie świeżą krwią.

Przyciągnął do siebie swoją magię, rozwinął ją jak szpulę nici, odnajdując nowe wonie, nową krew. Setki ludzi wyłaniały się z lasu i zdążyły w jego stronę z północy, niektórzy konno, inni pieszo.

Aeduan mógł tylko przypuszczać, że to ci sami Baedyedowie, których minął wczoraj. Tylko dlaczego zawrócili? Zmierzali teraz na południe przez wąwóz z kolumnami.

Zatrzymał się, trzymając Sowę za rękę. Konni wkrótce tu będą... Węszył w powietrzu, szukał krwiodziejskim zmysłem. Więcej ludzi nadchodziło z drugiej strony. Tak jak zaobserwował rano z Iseult. Wkrótce obydwie grupy się spotkają.

Aeduan ponownie powędrował wzrokiem do Sowy, która przyglądała mu się w ciszy. Zawsze w ciszy.

– Musimy biec, siostrzyczko. Będę cię niósł. Zgadzasz się? –  
Gdy skinęła głową, klęknął na jedno kolano. – Wchodź na barana.  
Usłuchała.

Ruszył biegiem.

\*\*\*

Safi bardzo chciała podążyć za piekielnymi bardami i cartorriańskimi marynarzami. W końcu kolejnym etapem ich przedsięwzięcia miało być opuszczenie areny i pożegłowanie w siną dal, co bardzo jej odpowiadało. Okazało się jednak, że bogowie mieli dla nich niespodziankę. Gdy biegli korytarzem, dojrzała kątem oka znajomą twarz.

Nie rozpoznała jej od razu. Ledwie prześlizgnęła się wzrokiem po kwadratowej szczęce mężczyzny. Ale coś z tyłu głowy rozpoznało jej właściciela i po chwili dopchało się do jej świadomości.

Dopiero gdy minęła przecinający tunel korytarz, rozbłysły w jej pamięci słowa: nomatsańskie ścierwo.

Nubreveni.

I to nie byle jacy, tylko marynarze z Jany. Członkowie załogi Merika.

Safi wryła się piętami w podłozę i pognęła z powrotem. Dwa susy i znalazła się przy celi mężczyzny, rozchlapując zalegającą na podłodze wodę.

Niewolnikom udało się wrzasnąć jeszcze głośniejsze niż ostatnio. Walili pięściami o kraty, szarpali się z nimi, pryskali wodą.

– Uwolnij nas! – krzyczeli. – Uwolnij!

– Ty tam! – wrzasnęła po nubreveńsku. Zbliżyła się do mężczyzny o zuchwie szerokiej jak lodołamacz. Nie zareagował.

– Skąd się tu wzięliście? – Kiedy puścił jej słowa mimo uszu, przywarła do krat. – Skąd się tu wzięliście?! – powtórzyła.

Mężczyzna milczał.

– Jesteśmy z oddziału lisów, pani – odezwał się zamiast niego chłopak o obnażonej piersi i włosach zaplecionych w warkocze. – Z Lovats.

To nic Safi nie mówiło.

– Nie jesteście załogantami księcia Merika?

– Nie – odparł ktoś inny. Oficer, zgadywała, sądząc po płaszczu i zapiętym na karku czarokołnierzu. – Wypełniamy rozkazy księżniczki Vivii. Naszym zadaniem jest gromadzenie żywności i inwentarza. Wszystkiego, co uda się zabrać z powrotem do stolicy.

– Czyżby Nubrevna uciekła się do piractwa? – zadźwięczał głos Vanessy.

Safi aż się wzdrygnęła. W półmroku nie zauważyła zbliżającej się cesarzowej, a hałas zagłuszył plusk rozgarnianej przez nią wody.

– Tak – odpowiedział oficer na jej pytanie. – Ale zawiedliśmy, dwa dni temu nasz okręt zdobyli Baedyedowie i zostaliśmy sprzedani na arenę.

– A nawet gorzej – uzupełnił chłopak, przekrzykując dziką wrzawę z sąsiednich cel. – Zabrali nasz okręt i wypełnili go morskim ogniem. Płynie teraz z powrotem do Lovats. Oni chcą puścić z dymem całe miasto!

Safi rozwarła bezwiednie usta. Nawet Żelazna Cesarzowa cofnęła się o krok.

– Pomóżcie nam – błagał oficer, wodząc wzrokiem od Safi do Vanessy. – Proszę. Uwolnijcie chociaż naszą głosodziejkę. Ona wyśle wiadomość do stolicy. O nic więcej nie prosimy.

– Błagam! – powtórzył chłopak, trzęsąc warkoczami. – Piraci zabili naszego księcia, a teraz chcą zabić nasze rodziny. – Jego słowa skrzyły się prawdą.

Na przód wyszła nowa postać – kobieta z kołnierzem na szyi. Głosodziejka. Ale Safi prawie jej nie widziała. Wszystkie jej zmysły skupiły się na jednym zdaniu, które wypowiedział chłopak.

„Piraci zabili naszego księcia”.

– Książę Merik – powtórzyła Safi prawie bezgłośnie – nie żyje?  
– Gdy chłopak nie dosłyszał, wczepiła palce w kraty. – Książę Merik nie żyje?!

Odskoczył odruchowo, a potem potwierdził skinieniem.

– Jana wyleciała w powietrze. Morski ogień.

– Tak jak mój okręt – powiedziała Vanessa, świdrując ją spojrzeniem, ale jej rysów nie wykrzywiło zdziwienie. Jakby ta wiadomość nie była dla niej niczym nowym.

Tamten list, przypomniała sobie Safi. Tamta koperta musiała zawierać meldunek o śmierci Merika.

Ale nie czas teraz na konfrontację z Vanessą. Jej ręka pomknęła do kamienia Więzi.

Merik Nihar nie żyje.

„Mam wrażenie, że widzimy się po raz ostatni” – wyrzekła do niego na pożegnanie. Ale nie mówiła tego dosłownie! Powiedziała tylko to, co nasunęło jej się na myśl po ich pocałunku. Merik Nihar nie mógł nie żyć...

Powietrze przeszło kliknięcie. Kołnierz spadł z karku głosodziejki, a kobieta zatoczyła się z wrażenia. Jej oczy zasnuły się różem, gdy dotknęła głosodziejskich nici. Zaczęła poruszać ustami.

Niewolnicy wznieśli jeszcze dzikszy raban. Tumult odbijał się ogłuszającym echem od kamiennych ścian.

– Dlaczego Baedyedowie chcą zaatakować Lovats? – krzyknęła Safi do oficera. Ale mężczyzna albo jej nie słyszał, albo nie wiedział, bo wzruszył tylko ramionami i pokręcił głową, patrząc na nią żałośnie.

– Atakują, bo chcą nas osłabić – wyrzekł ten o kwadratowej szczęce. – Baedyedowie i Krwawe Żagle właśnie maszerują przez Ziemię Niczyją. Armie Ragnora gromadzą się w Górach Sirmayańskich. Gdy tylko zaleją i wymordują Lovats, nic już nie powstrzyma ich przed zagarnięciem Nubrevny.

– Skąd wiesz to wszystko? – zdziwiła się Vanessa.

– Podśluchałem ich rozmowy, tych, co nas uwięzili.

– Ja też słyszałem. – Chłopak uderzył dłońmi w metalowe pręty. – Zabijają naszych bliskich, zniszczą nasze domy. Ot tak, bo mogą. – Zatrząśł kratami, zagryzł szczęki doprowadzony do furii bezradnością.

A gdy to zrobił, kraty rozsunęły się na boki jak kurtyna. Na tyle, by zdołał przejść.

Zassał powietrze zdumiony, odskakując w tył. Wszystkie spojrzenia skupiły się na Vanessie, nawet Safi, ale żelazodziejka nie zwróciła uwagi na ich wybałuszone oczy, tylko od razu rzuciła rozkaz.

– Ostrzeż swoich ludzi. Powstrzymaj Króla Zdobywcę.

Odwróciła się do wyjścia.

– Poczekaj! – zawróciła ją Safi. – Musisz uwolnić wszystkich!

Vanessa udała, że nie słyszy. Korytarz tonął w krzyku.

– Błagam cię! – Safi przypadła do niej. – Piraci nie wyruszą z Saldoniki, nim nie minie Rzeźnia Baile. Podniosą kotwice najprędzej jutro! Moglibyśmy rozwalić to miejsce w drobny mak.

Vanessa szła niewzruszenie naprzód. Już prawie dotarła do bramy.

– Pomyśl o swoich zmijach!

Teraz się zatrzymała. Odwróciła się twarzą do Safi z tajemniczym wyrazem twarzy. Żelazna Cesarzowa. Lewa ręka władczyni podniosła się, jakby chciała prosić prawdodziejkę do tańca. A potem jej magia zbudziła się do życia. Otoczyła Safi, ciepła i żywa, a sto zamków jęknęło przeciągle i otworzyło się na komendę czarodziejki. Drzwi, kajdany i kołnierze.

Oślawiona saldonicka arena, gdzie wojownicy i czarodzieje przelewali krew ku uciechu tłumów, stała się teraz polem walki o życie.

Rzeźnia Baile rozpoczęła się na dobre.

## ROZDZIAŁ 34

„Czołem, stary przyjacielu”. Słowa brzmiały w uszach Merika jak grzmot dzwonu, gdy włókł się w ślad za Vivią wiodącym w górę korytarzem. Urywane oddechy i dobiegający z daleka łomot fal co rusz przerywały ciszę. Świecące grzyby zalewały tunel zielonkawym światłem.

„Czołem, stary przyjacielu!”

Stopy Merika wrosły w ziemię. Wapienny żwir zachrząścił pod nim. Raptem rozejrzał się po korytarzu. Z sufitu kapały krople.

Vivia spojrzała na niego przez ramię. Strąki mokrych włosów lepiły się jej do czoła.

– Merry... Jesteś ranny?

Były to pierwsze słowa, jakie do niego wyrzekła, odkąd wydostali się z kipieli. Nic nie odpowiedział. Nie miał słów, które mógłby jej ofiarować.

„Czołem, stary przyjacielu”.

Jego więziobrat rozszczepił się w Lejnie na jego oczach. Widział, jak spala go niszczycielska magia, widział, jak leci w niebo, by samemu stawić czoła śmierci. Rozszczepienia nie dało się cofnąć. Kto umarł, ten nie wracał już do świata żywych.

A jednak... Niektórzy wracali. Garren Leeri, Serrit Linday...

Księżę potrząsnął mocniej głową. Niemal nienaturalnie szybko... Nogi! Poczł przemykające po jego ciele drobne nogi. Sięgnął ręką do głowy, przejechał po karku. Coś po nim chodziło. Znowu pętały go cienie, ponownie ogarniała go ciemność...

Vivia trzepnęła go w ramię.

Określił się na pięcie i uniósł pięści.

– Pająk – oświadczyła. – Pająk po tobie łąził. – Wskazała włochatą kulkę gramolącą się na ścianę.

Merik przyglądał się stworzeniu przez kilka oddechów. Serce tłukło mu się w piersi. Cienie. Mrok. Pająki. To tylko iluzja. Oczywiście, że iluzja.

Opanował się i skinieniem zasygnalizował siostrze, że czas ruszać. Zawahała się i otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Ale ostatecznie tylko odchrząknęła i wznowiła bieg.

Gdy dotarli do końca tunelu, Vivia wspięła się po linowej drabince. Coś zgrzytnęło i z góry spłynęła struga światła, która zmusiła Merika do przymrużenia oczu. Zobaczył nad sobą kwadratowy właz. Wraz ze słońcem tunel wypełniło świeże powietrze, pachnący wiatr, paliwo dla żaru i gniewu, którym karmił się od wielu dni.

Otworzył się na ten wiatr. Pozwolił mu zmarszczyć nieruchomą taflę swojej duszy, chłonał zapach nadchodzącej burzy. Może i dźwigał w sercu ciemność, ale teraz czuł, że jest gotów wyjść na światło dnia.

Wzniósł się do góry mocą swoich wichrów, nie używając do tego drabiny, i zobaczył nad głową szarzejące niebo. Wylądował na trawie w otoczeniu żywopłotów i bluszczu. Wokół szumiały liście, wiły się gałęzie gięte wiatrem jego czarodziejskiego cyklonu i huczącego nad ich głowami mrocznego wichru. Zbliżył się do stawu. Jego wiatr rozsyłał po powierzchni wodne okręgi.

Tak dawno nie był w ogrodzie swojej matki. Sanktuarium zarosło roślinnością i cieniem, płacząca wierzba smagała sadzawkę sięgającymi ziemi gałęziami.

– Merry, jesteś ranny – wyrwała go z zamyślenia Vivia. Stała za marmurową ławką zwrócona w stronę wyjścia z ogrodu, ale ze wzrokiem utkwionym w Meriku. Wiatr hulał w tatarakach, jednak nie zdołał poruszyć jej przemoczonym mundurem.

Czy naprawdę stała przed nim jego siostra? Nie widział u niej tej buńczucznej pewności siebie, przejawiającej się w sposobie poruszania się i wiecznie zadartym nosie, nie doszukał się na jej twarzy szyderstwa ani zadufania Niharów.

Właściwie ta postać przed nim przypominała matkę.

Nie, to nieprawda. To jakiś figiel, który spletał mu jego własny umysł. Tak jak ta postać w podziemiach nie była Kullenem.

– Twój brzuch – dodała. – I noga.

Merik odnalazł wzrokiem dziury w koszuli i bryczesach oraz widoczne pod nimi pociemniałe, krwawe plamy. Przypomniał

sobie, że w Rozszczepieńcu oberwał dwa razy z kuszy. Przycisnął palce do ran, ale nie czuł bólu. Tylko poszarpane ciało pod palcami. Strupy już zaschły.

– Nic mi nie jest – rzekł, ręce opadły mu wzdłuż ciała. – Ale Cam... Potrzebne mi... – urwał. Nie wiedział, czego potrzebował. Był rozbitkiem na pełnym morzu. Tonął pod falami.

Tygodniami szukał dowodu na to, że jego siostra próbowała go zabić. Tygodniami chciał takie dowody znaleźć, aby udowodnić raz na zawsze, że jej metody są złe, a jego dobre.

Ale to Cam miała rację. Widział, co chciał widzieć, choć w głębi serca czuł, że to nie Vivia jest jego wrogiem. Szukał kozła ofiarnego, którego mógłby obwinić za swoje niepowodzenia, po prostu miał ją pod ręką.

To on sam był swoim wrogiem.

– Twoja przyjaciółka... – powiedziała Vivia, raz jeszcze pociągając go na ziemię. – Wysłałam dziewczynę do Twierdzy. Możemy tam zaraz pójść, ale muszę powiadomić żołnierzy, co się dzieje na dole... – Zawiesiła głos, nagle zmarszczyła czoło. Obróciła się do bramy, do leżącego za nią miasta.

I wtedy Merik usłyszał to co ona. Grzmiał wichrowy taraban, niezupełnie zagłuszony szumem czarnej wichury, pośród której właśnie teraz rozbłysła błyskawica. Do rytmu dołączył drugi bęben, potem trzeci, aż wreszcie Lovats trzęsło się w posadach od stu tarabanów, które szumiały i grzmiały głośniejsz niż wicher i pioruny.

Atak od północy, huczała pieśń. Wszystkie siły do doków. Atak od północy.

Merik zareagował instynktownie. Nabrał magii, rozpętał swój wicher, rzucił go pod nogi siostrze i sobie, a potem księżęce rodzeństwo Niharów pofrunęło ku Północnej Dzielnicy Portowej. Ogrody skurczyły się za ich plecami, a pod sobą ujrzeli przestrzeń wypełnioną ludźmi. Na ulicach Lovats roilo się jak w ulu, płynęli nimi ludzie, tak jak strumyki na piasku, które pozostawia po sobie wracająca do morza fala.

Wszyscy biegli w tym samym kierunku – jak najdalej od Północnej Dzielnicy Portowej i jak najdalej od pnącego się



ku niebu dymu – czarnego, dławiącego i nienaturalnego. Smolisty obłok przetaczał się nad przystanią, topiąc ją w ciemności, pozerając niespiesznie jak dzika bestia lubująca się w zadawaniu cierpienia.

Ale im byli bliżej, tym wyraźniej widzieli źródło dymu – rozprzestrzeniające się gwałtownie czarne płomienie o białych rdzeniach.

Morski ogień.

Merik słyszał opowieści o całych flotach spopielonych na pełnym morzu. Morski ogień był w stanie pochłonąć wszystko, a woda tylko podsycala płomienie. Jego własny okręt zniknął w jego paszczy, a za chwilę znikną i okręty w dokach.

Jeśli spadnie deszcz, nic nie powstrzyma ognia przed przeistoczeniem miasta w zgliszcza.

Wyteżył wzrok, próbując odnaleźć w tym szaleństwie miejsce, do którego zmierzały siły zbrojne. Opadł nieco bliżej ziemi, a Vivia za nim. Po chwili opuścił ich jeszcze niżej, aż napotkał wzrokiem barykady wznoszone u wylotu Jastrzębiej. Ulicę zawałono kamieniami i piachem, które blokowały też rzekę i inne ulice, wstrzymując ogień.

Zanim Merikowi udało się dotrzeć do blokady, po jego karku przemknął znajomy szept. Jakby ktoś szarpał za smycz. Związał kołowrotek.

Zwolnił i obejrzał się za siebie. Utkwił wzrok w kłębiącym się nad miastem sztormie. W ciemności, której macki wślizgiwały się do miasta.

Człowiek z cienia.

– Co to jest? – Vivia przekrzyczała jego wicher. Jej mundur schnął poruszany wiatrem, podobnie jak mokre włosy. Chybotwała się, zawieszona w powietrzu, odruchowo próbując się czegoś chwycić.

– To człowiek z cienia – odpowiedział Merik. Ale Vivia już go widziała i rozumiała zagrożenie.

Wiatrodziej opuścił ich bardzo nisko. Zwiększył prędkość i rozwał gryzący dym, a potem pozwolił siostrze wylądować

na bruku. Nie odezwała się, kiedy już sam obrócił się i wystrzelił z powrotem w niebo.

Spadł deszcz.

\*\*\*

Vivia uderzyła o ziemię z siłą, która odezwała się bólem w podszewkach stóp, kostkach i kolanach. Prawie się przewróciła, ale zaraz złapali ją żołnierze. A potem wskazali drogę do dowódcy.

Wizer Sotar.

Ojciec Stix górował nad wszystkimi, wydając rozkazy ustawionym obok blokady wiatrodziejom.

– Nie wolno nam dopuścić, by kamienie zmokły! Musimy zawrócić dym!

Gdy tylko zobaczył Vivie, skierował się w jej stronę. Ciemny od dymu deszcz zostawił ślady na jego twarzy.

– Na czym stoimy? – spytała tonem rozkazu, podczas gdy żołnierze i cywile mijali ich w pędzie, zwożąc taczkami i wozami kamienie i cegły na barykadę.

W przeciwną stronę transportowali na nich ludzi. Niektórych jeszcze żywych, wyjących się z bólu, innych zwęglonych i niemożliwych do rozpoznania.

– Nasz głosodziej otrzymał z Saldoniki wiadomość o płynącym do Lovats baedyedzkim okręcie z morskim ogniem – odkrzyknął Sotar. – Natychmiast wstrzymaliśmy ruch rzeczny, ale spóźniliśmy się. – Wskazał miejsce, w którym rzeka wpływała do Północnej Dzielnicy Portowej. – Okręt był już tutaj. Gdy próbowaliśmy wejść na pokład, żeby go przeszukać, zaczęli strzelać do nas morskim ogniem.

– Co za okręt? – dociekała Vivia. Musiała krzyczeć, żeby ją usłyszał, ale i zakrywać nos i usta, żeby nie krztusić się dymem. – Jakim cudem przepłynął obok Strażników?

– To jeden z naszych własnych okrętów, Wasza Wysokość! Dwumasztowiec, któremu sama udzieliłaś pozwolenia.

Vivia nie miała pojęcia, o czym mówił.

– Ja udzieliłam? Ależ ja nigdy... – Och, a jednak. Tym dwumasztowym okrętem wypuszczały się na misje lisy. To ten sam, który zniknął u wybrzeży Saldoniki.

– Kieruje się teraz na wodny most! – kontynuował Sotar. – Obawiamy się, że jego celem jest tama, ale nie możemy go zatrzymać! Nie wrócił żaden z wiatrodziejów, których tam posłaliśmy.

Vivia tylko kiwnęła głową. Deszcz, dym, gorąco i hałas zlały się w monotony szum w tle.

Niczego nie żałuj. Byle do przodu. Musi być jakieś rozwiązanie. Jakiś sposób na zatrzymanie okrętu, zanim dotrze do tamy.

Nagle zgięła się wpół. Ulica Jastrzębia zatrzęsała się.

Żałowała tysięcy rzeczy. Tak wielu, że nie mogła iść do przodu, bo ugiwała się pod ich ciężarem. Była jak okręt, który nie może ruszyć w rejs, bo kotwica, tysiące kotwic przykuwają go do dna morza.

– Wasza Wysokość! – Sotar stał przy niej, coś mówił. Próbował podnieść ją z ulicy. Ale Vivia go nie słyszała i nie obchodziło jej to.

Od śmierci matki próbowała być kimś, kim nie jest. Zmieniała tylko maski, mając nadzieję, że któraś wreszcie będzie pasować do jej twarzy, że któraś w końcu wypędzi z jej serca to dojmujące uczucie pustki. Ale brzemień stawało się coraz cięższe, wzbierało i puchło, zasilalo próżnię w jej piersi, aż nie mogła już dłużej udawać, że jej nie ma.

A teraz... Spójrz tylko, do czego doprowadziłaś. Pożar, śmierć – to wszystko twoja wina. Lisy to był jej pomysł. Ukradła broń, przez którą jej flota stała się zbyt śmiała. I to ona, Vivia Nihar, zostawiła brata na pastwę losu, na pewną śmierć. Nie miała już siły ścigać się z prawdą. Tak jak nie mogła ścigać się z tym ogniem.

– Sprowadźcie uzdrowiciela dla księżniczki! – zawołał Sotar. Raz jeszcze spróbował poderwać ją z ziemi. Nie pozwoliła. Jakby zarzuciła kotwicę.

Aż dotarły do niej jego słowa:

– Straciliśmy już księcia Merika! Nie możemy stracić jeszcze księżniczki... Zaprowadźcie ją w bezpieczne miejsce.

Księżę Merik. Jego imię wdarło się do jej świadomości, osiadło na sercu jak niesiony wiatrem liść, ukoilo bolące mięśnie. Wcale

nie stracili księcia Merika. A Vivia wcale nie straciła brata.

Ten, w którego żyłach kipiała prawdziwa krew Niharów, wciąż żył i walczył, bo Merik, tak jak i ona, nie umiał długo usiedzieć w miejscu. To jedno było prawdą, przynajmniej to. Pod tym jednym względem była podobna do ojca. I do Merika.

Oto kim naprawdę jestem.

Gdyby spadł z nieba grom i przepołowił ją wzdłuż ciała, po prawej znalazłaby się siła i inicjatywa jej ojca, a po lewej dobroć jej matki i jej miłość do Nubrevny.

Nabrała pewności, oswoiła się z tą myślą, wiedziała już dokładnie, co musi zrobić. Nadszedł czas, aby wreszcie stała się osobą, którą powinna być od dawna.

Podniosła się, wyplątując się z uścisku Sotara, i pognąła do barykady. Znalazła dziurę w kamieniach po lewej. Może nią przejść i dobiec do doków. Może dosięgnąć okrętu, zanim morski ogień i szaleństwo pochłoną choć piędź ziemi więcej.

– Zatrzymaj się, Wasza Wysokość! – wrzeszczał za nią Sotar. – Ogień cię zabije!

Oczywiście, że zabije. Te czarne, wynaturzone płomienie obleżą jej ciało i będą palić, aż nie dożrą się do kości. Ale Vivia nie mogła zostawić samym sobie tysięcy ludzi – jej ludzi. Nie mogła ich porzucić w potrzebie. Jeśli tama pęknie, ogień się rozprzestrzeni. Lovats najpierw spłonie, a potem zostanie zatopione.

Księżniczka pędziła na złamanie karku, kierując się do dzielnicy portowej. Parła przez dym i płomienie, aż znalazła się zbyt daleko, by dosięgły ją macki morskiego ognia.

A potem zaczęła płynąć tak szybko, jak tylko pozwalała jej magia, do północnego mostu wodnego.

## ROZDZIAŁ 35

Serce Iseult nigdy nie biło mocniej. Waliło tak głośno, że musieli je słyszeć mężczyźni wokoło. Na pewno widzieli, jak szarpie się w jej piersi, jakby próbowało się wyrwać na wolność.

Wokół niej stało dwunastu ludzi. Dziewięciu przyszło z brzegu, trzech kolejnych wychynęło z lasu. But jednego z nich dotykał ziemi ledwie dwa kroki od niej, a szorowanie metalu o osełkę boleśnie raziło jej uszy. Mężczyzna ostrzył nóż.

Rozpuściła włosy i podniosła kołnierz, żeby ukryć bladość skóry, ale nie uchroniło jej to przed dokuczliwymi muchami. Łaziły jej po uszach i dłoniach. Wlazły nawet za kołnierz i pod płaszcz.

Mimo to trwała w idealnym bezruchu. Oddychała przez rozwarte lekko usta tak wolno i płytko, jak tylko potrafiła.

Mężczyźni milczeli i czekali. Po jakimś czasie dołączył do nich jeszcze jeden.

Nawet z zamkniętymi oczami wyczuła jego nici zabarwione brutalnym fioletem i płomienną czerwienią. Ogniodziej. Domyśliła się, że to on dowodzi, bo gdy tylko się pojawił, po niciach reszty rozplynęła się pełna respektu zielen.

Ogniodziej ominął trupy.

– Mają dziecko.

– Baedyedowie? – spytał ten z nogą przy niej. Przeniósł ciężar ciała na drugą, tę dalszą, chrupnęły kości.

– A niby kto? – Z ust ogniodzieja buchnął żar, jakby płonęło każde wypowiedziane przez niego słowo. Jego nici mignęły pomarańczowo, sygnalizując, że działa ogniodziejska magia.

– Myślałem – rzekł jeden z nich, mocno kalecząc słowa ciężkim akcentem – że Ragnar tylko nam powiedział o dziecku.

– Ragnar najwidoczniej kłamał – dobiegł ją głos ogniodzieja skądś bliżej. Iseult wyczuła jego nici, słyszała jego oddech, gdy węszył wśród zwłok jak ogar na polowaniu.

Serce zabiło jej mocniej. Trzęsła się. Błagam, nie podchodź tutaj. Błagam...

– Może Baedyedowie nie wiedzą, kogo znaleźli – powiedział ten pierwszy. – Może zabrali ją przez przypadek?

– Zabijając po drodze siedmiu naszych?

Więziodziejka uświadomiła sobie, że mówią o Sowie. A zaraz potem przyszła kolejna myśl: Aeduan zabił siedmiu ludzi.

Ogniodziej znowu się zbliżył, nie przestając węszyć. Znalazł coś. Jego nici zapłonęły zainteresowaniem i pragnieniem.

Odetchnął żarem gdzieś bardzo blisko, Iseult poczuła ciepło na twarzy.

Właściciel buta odskoczył do tyłu, sypiąc przekleństwami. Ogniodziej się zaśmiał, a Iseult poczuła zapach spalonych włosów. Palił zwłoki.

– Dość – powiedział któryś, gdy już przestał kłać, a jego nici okryły się różową odrazą. – Baedyedowie zobaczą dym.

– I co z tego? – warknął czarodziej, ale klasnął w dłonie i ogień zgasł. Został po nim tylko mdlący zapach. I skwierczenie. – Moglibyśmy odebrać im okręty, konie, nawet całą Saldonikę pod warunkiem, że zaatakowalibyśmy od razu. Wszyscy naraz, dopóki się nie spodziewają.

Na te słowa nici mężczyzn przybrały barwę wygłodniałego fioletu. Wszyscy chcieli tego, co mieli Baedyedowie.

– A co z Ragnorem? – spytał nowy głos. – I co z dzieckiem?

– Odzyskamy dziecko i sprzedamy je. Skoro jego magia jest aż tak cenna, że nawet Ragnor chce ją posiadać, z pewnością utargujemy dobrą cenę z kim innym.

Przez ich nici przemknęło drzenie, które świadczyło, że ich właściciele zgadzają się z mówcą. Ale choć mężczyźni mówili dalej, Iseult przestała słuchać. Ogniodziej wyraźnie zmierzał w jej kierunku.

Cały świat zawęził się do dwóch kroczących w jej stronę butów. Jeden krok, drugi, trzeci... Stał dokładnie nad nią. Przydeptał jej ramię, a jej umysł rozbłysł bielą. Chciała zassać powietrze, ale nie mogła się zdradzić przed piratem. Nie mogła oddychać, nie

mogła się ruszyć ani myśleć. Opanowała ją paląca potrzeba otworzenia oczu.

Czarodziej się pochylił. Wyczuła to, ale jakimś cudem zdołała powstrzymać rwące się do góry powieki. Nie widziała więc, jak jego kolano wpiło się w jej łokieć, przepychając przegub na drugą stronę. Słyszała raptowne wydechy cuchnące dymem i trupem. Przynal się bliżej, sięgając palcami po salamandrowy płaszcz...

Wtem powietrze rozdarł dźwięk rogu. Głęboki i drżący krwiożerczo.

Nici wokół błysnęły turkusowo. Zaskoczenie. A potem zaplamił je brąz zmieszania, tak przelotny, że niemal zniknął, nim pojawiła się karmazynowa furia.

Wtedy zagrzmiała salwa z armaty. A zaraz potem druga.

Ogniodziej puścił płaszcz i wyprostował się. Warknął coś, a płomień z jego ust na moment omyły Iseult rozżarzoną falą. Nie ruszyła nawet palcem. Nie drgnęła, dopóki nie odszedł i nie dołączył do pozostałych. Nie zdradziła się, gdy przeraził ją gromki okrzyk, jaki się dobył niespodziewanie z pirackich gardeł.

Ale gdy tylko mężczyźni odpłynęli, gdy tylko ich nici znalazły się na tyle daleko, by zyskała pewność, że jej nie zobaczą – oderwała się chybotliwie od ziemi.

Salamandrowy płaszcz był nietknięty, ale jej bryczesy zostały nadpalone poniżej kolana. Z dziury wyglądała jasna, bolesna plama oparzeliny. Żyła – tylko to się liczyło.

Księżycowej Matce niech będą dzięki!

Przez kilka migotliwych oddechów nie mogła się zdecydować, co począć. Zastygła, na wpół stojąc, na wpół kuczając, pośród osmalonych zwłok.

Musiała biec. Teraz. Zanim rozpocznie się bitwa. Ale w którą stronę – tego nie była pewna. Bo choć wiedziała, dokąd należy się skierować, to jej pragnienia i potrzeby znacząco się rozmięły.

Poszukała za dekoltem kamienia Więzi. Klejnot zostawił znak pod obojczykiem, tak jak srebrny talar nanizany obok. Iseult ścisnęła obydwa, aż zbieleły jej kostki. Jej więziodziejska logika nakazywała jej obrać konkretny kurs. Pędzić, mknąć, przegonić

to, co miało niebawem nastąpić. Jej serce także pchało ją w tę stronę – nici, które wiążą, ciągnęły ją na południe.

Ale... tylko połowa serca tego chciała. Ta druga wołała podążyć na północ. Tam, gdzie jej szanse przeżycia drastycznie malały.

Z oddali dobiegło ją walenie z armat. Niebo kreśliły kolumny dymu. Zaczęła się bitwa. Na pewno wkrótce rozszerzy się do miejsca, gdzie powinni być teraz Aeduan i Sowa. Gdyby po prostu skręciła na południe, mogłaby zostawić to wszystko za sobą.

Gdy stała tak, targana niezdecydowaniem, ogarnęła ją magia. Istny huragan mocy i płomienistych nici. Ogień wzbił się w niebo, gotów spaść na las i pograżyć go w nicości.

I wtedy zrozumiała już, co musi zrobić. Logika nie miała znaczenia, nie liczyła się więziodziejska pragmatyczność, nie miały głosu spierające się połówki serca.

Musiała po prostu postąpić właściwie.

Puściła się biegiem.

\*\*\*

Aeduan niósł Sowę na plecach, a ona podskakiwała, osuwała się i poprawiała na jego grzbiecie. Krwiodziej czuł jej strach niemal w namacalny sposób.

Ale Sowa, tak jak jej imienniczka, miała naturę wojowniczkę. Trzymała się mocno i nie poskarżyła się ani razu. Przesycona magią krew Aeduana umożliwia mu osiągnięcie prędkości, o której zwykli ludzie nie mogli nawet marzyć. Nikt nie mógł go powstrzymać.

Taką przynajmniej żywił nadzieję. Krwiodziej nigdy jeszcze nie musiał biec tak prędko, niosąc kogoś na ramionach.

Rozległo się buczenie rogu. Długie i grzmiące. A potem w oddali eksplodował ogień, roznieciło się magiczne inferno.

Ogniodziej. Aeduan nie wiedział, czy to ten sam, którego spotkał poprzedniego dnia, ale w gruncie rzeczy nie miało to znaczenia. W jego kierunku sunęła ponad lasem fala płomieni. Musiał ją wyprzedzić.

Dostrzegł przedzierających się przez las baedyedzkich jeźdźców. Ich barwne siodła odznaczały się na tle wiszącej między



drzewami szarości.

Aeduan okręcił Sowę w rękach i posadził na ziemi, zasłonił ją ciałem i... poczuł, jak strzała wbiła się w jego plecy. Rzuciło nim do przodu. Zabolało. Ale strzała nie dosięgła małej. Tyle dobrego.

Przyciągnął dziewczynkę bliżej, szacując rany i oceniając stopień bólu. Złamane żebro. Przedziurawione płuco. Przebite serce. To ostatnie nastreczy mu największych problemów. Zakłócenie krwioobiegu uniemożliwi mu osiągnięcie pełni mocy. Będzie biegł wolniej, będzie słabszy.

Trafiła go druga strzała i przebiła szyję. Trysnęła krew.

Gdziekolwiek się pojawił, tam zawsze lała się krew.

Obłok płomieni był coraz bliżej. Dym wdzierał mu się do gardła, wyciskał łzy z oczu, zamazując pole widzenia – dęby, jeźdźców i napierających z tyłu żołnierzy.

„Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

Rzeka. Jeśli uda mu się dotrzeć z Sową do Amonry, może uciekną z tej burzy płomieni.

Wstał, po czym wyrwał strzałę z karku. Głosy i wonie krwi naparły na niego ze wszystkich stron. Jelenie, wiewiórki i krety uciekały z płonącego lasu gdzie pieprz rośnie.

Bez słowa zarzucił sobie Sowę na plecy i wznowił bieg. Obok niego przemknął jelen, a Aeduan zmusił się, by zrównać z nim tempo, by podążyć wytyczonym przez niego między drzewami szlakiem.

Ani razu nie obejrzał się na dziecko na plecach. Musiałby wyciągnąć szyję, nie miał na to czasu. Nie kiedy każdy krok należało precyzyjnie wymierzać, by nie wpadli w płomienie. Nie gdy calutką uwagę poświęcał utrzymaniu jej na plecach.

Działało. Oddalali się od czoła ognistej fali. W uszy krwiodzieja wdarł się szcęk stali. Krew zakręciła mu w nosie. Ziemię Niczyją po raz kolejny orała wojna.

Ani myślał zwolnić. Zamiast tego jeszcze przyspieszył. Sowa objęła mu się o plecy, ale trzymali się siebie mocno.

Drzewa przed nim zaczęły rzędnąć, a zza nich wyzierała już rzeka... pokryta płonącymi okrętami, które waliły z armat jak oszalałe.

Jeleń dobiegł na skraj lasu.

Przeszyły go strzały. Zwierzę wydało z siebie przeraźliwy jęk i zalało się krwią.

Aeduan ledwie wyhamował. Zrobił unik przed kolejną salwą, która mknęła w jego stronę, świszczając mu w uszach jak rój wściekłych owadów. Dwie strzały wżarły się w jego lewe ramię, ale i tak okręcił się i postawił Sowę na ziemi.

Nie dostała. Była bezpieczna, na szczęście bezpieczna.

Ale Aeduan bynajmniej. Zbyt wiele ran, zbyt wiele upuszczonej krwi, zbyt wiele dymu w płucach. A co gorsza, znalazł się przy rzece, lecz zupełnie nie wiedział, jak się przez nią przeprawić.

„Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

Wepchnął dziewczynkę za zasłonę drzew. Za mocno. Potknęła się i przewróciła na ziemię. Jej wypełnione paniką oczy uniosły się na Aeduana. Tyle w nich strachu, tyle zmieszania, ale i zaufania, pomyślał.

Ziemia zadrżała pod jego stopami. Ugięły się pod nim nogi. Czarodziej upadł, wytoczył się z drzew na brzeg.

Łucznicy naszpikowali go strzałami. Jedna po drugiej wbijały się w jego odsłonięte ciało.

Zdołał jakoś obrócić się twarzą do Sowy. Uciekaj! – chciał krzyknąć. Znajdź jakieś schronienie! Tak jak jego matka krzyknęła do niego wiele lat temu. Ale był zbyt powolny. Baedyedzki jeździec już porwał małą z ziemi, a potem odwrócił konia i wjechał pomiędzy tłące się drzewa.

Aeduan poczołgał się jego śladem. Ziemia wciąż drżała, a on miał wrażenie, że każde drgnięcie wbija strzały głębiej w jego ciało. Nie mógł ich wyjąć, bo wtedy organizm zacznie się szybciej regenerować i zapadnie w sen.

Oddech rwał mu się w ustach. Krew wypłynęła spomiędzy warg. Wzrok zaczął go zawodzić. Krawędzie jego pola widzenia pochłaniała czerń.

Węszył, nerwowo szukał w powietrzu woni krwi podopiecznej. Albo człowieka, który ją porwał. Ale nie miał już sił, magiczna moc go prawie opuściła.

Przechylił się, przedzierając się między drzewami. Zwierzęta umykały z lasu, a na ogonach siedziały im płomienie, ale Aeduan ledwie czuł narastające gorąco. Sowa znajdowała się gdzieś tam, więc właśnie tam musi się udać.

Raptem wyrosła przed nim jakaś postać.

Z początku myślał, że mu się przywidziało, że wyczerpanie i dym przyprawiły go o omamy wzrokowe, stawiając mu przed oczami mroczne cienie przemykające pośród płonących drzew.

Wtedy postać wychynęła spomiędzy nich. Jej ręce uniosły się niczym dłonie maestra, a tam, gdzie wskazał palcem, wykwiwały nowe ogniste kwiaty. Krzewy, podszycie, nawet ptaki – wszystko wokoło okrywało się płaszczem śmiertcionośnych płomieni.

Aeduan wiedział, że powinien odsunąć się od nich i wzbudzającej je postaci, ale nie miał dokąd. Las trawił pożar. Ogniodziej miał go w garści.

Mężczyzna zwrócił się w stronę pobliskiej sosny, by ją podpalić. Wtedy Aeduan go rozpoznał. To ten sam ogniodziej. Ten, który próbował go spalić.

Magia wpompowała mu do mięśni nową dawkę energii. Poderwał się z ziemi, opromieniony migotliwym lśnieniem płomieni i owiany dymem. Gdyby udało mu się zabić tego człowieka, może położyłoby to kres pożarowi. W trzy napędzane magią kroki dopadł go i wyrwał mu miecz z pochwy.

Ogniodziej rozdziawił usta i zionął ogniem.

Aeduanowi ledwie udało się odskoczyć na lewo przed snopem płomieni, tak głośnym, że zdusił wszystkie inne dźwięki, i tak gorącym, że niemal czuł, jak pękają mu gałki oczne.

Zamachnął się mieczem, ale ciął tylko płomienie, języki ognia zaczęły wyrastać z nadpalonej ziemi pod jego stopami. „Uciekaj, moje dziecko. Uciekaj”.

Rzucił się w lewo, prosto w kolejną ścianę ognia. Odtoczył się w prawo, ale i tam złapały go płomienie. Okręcił się i odskoczył w tył, lecz tym razem uderzył plecami o litą skałę. Filary w wąwozie. Nie ma dokąd uciec.

Stanął więc naprzeciwko ogniodzieja, na którego twarzy wciąż widniał ten przekłety, tryumfalny uśmiezek.

Zatem tak umrę. Nigdy by nie podejrzewał, że zabije go ogień. Prędzej katowski topór albo najprawdopodobniej, jak sądził, starość. Ale nie ogień, skoro kiedyś, lata temu, już raz wymknął mu się z łap.

Świat wokół niego drgał od gorąca. Aeduan zadziałał instynktownie. Wolną ręką sprawdził, czy pas jest na swoim miejscu. Czy noże są w zasięgu ręki.

Potem przyjął postawę bojową, bo choć krew może spłonąć, duszy płomienie się nie imają.

Ogniodziej uniósł ręce z zamiarem zadania ostatecznego ciosu. Aeduan wyczuł w krwi przeciwnika zapach morderczej intencji nawet pomimo duszącego swędu dymu. Napiął mięśnie, uważnie obserwując czarodzieja. Jeśli chce dosięgnąć jego szyi, będzie musiał skoczyć prosto w płomienie.

Ale atak nigdy nie nadszedł. Gdy Aeduan stał, czekając na odpowiedni moment, niebo zasnuł jakiś cień. Z początku myślał, że to chmury, ale po chwili się zorientował, że cienie wydobywają się z samego ogniodzieja.

Jego ciało obiegły czarne linie, rozlały się po nim strugi cienia. Wstrząsnęły nim konwulsje, mężczyzna zawył, złapał się za czerniejące ramiona, pokrywające się pękającymi bąblami. Drapał się, szorował paznokciami po skórze. Aeduan zrozumiał, że czarodziej ulega rozszczepieniu. Nagle mężczyzna znieruchomiał. Jego oczy stały się czarne. Jeden po drugim gasły płomienie wokół niego.

A za nim pojawiła się jakaś biała postać. Szła sztywno z wyciągniętymi rękami i wywróconymi oczami. Czoło miała umazane popiołem. Kołnierz salamandrowego płaszcza zakrywał połowę jej twarzy.

Aeduan nie wiedział, skąd więziodziejka się tu wzięła. Nie wiedział, dlaczego tu była. Wiedział tylko tyle, że nie potrafi oderwać od niej wzroku.

Iseult zmierzała równym krokiem ku ogniodziejowi. Stał się w pełni rozszczepionym potworem, ale gdy skręcał się i warczał na Iseult, ona nie okazała ni krzty strachu. W ogóle nie

reagowała. Zamiast tego odsunęła płaszcz z twarzy, otworzyła szeroko usta... i ugryzła.

Ogniodziej zwał się na ziemię. Martwy.

## ROZDZIAŁ 36

Vivia wskoczyła do wody, dobiegłszy do połowy wodnego mostu. Przycumowane ciasno statki spłonęły już niemal do szczętu, morski ogień nieco przygasł. Popłynęła naprzód na grzbiecie utworzonej przez siebie fali i pomimo rozprysków spienionej wody rozpoznała w oddali okręt lisów.

Na myśl o baedyedzkich piratach na jego pokładzie omyła ją fala gorąca dzika jak pożar lasu.

Gniew Niharów. Wreszcie do niej przyszedł. Wreszcie miała na wyciągnięcie ręki słynną furię ojca, dziedzictwo jej krwi, swoistą magię, z której mogła czerpać i którą mogła zaprząć do działania.

Wystrzeliła z wody i wzleciała wysoko na skrzydłach gniewu. Dostrzegli ją marynarze na pokładzie. Ktoś wskazał ją palcem, ktoś zawołał. Na okręcie się zakotłowało, piraci przygotowali się do obrony.

Ale byli zbyt wolni, a Vivia zbyt wściekła. Wyrzuciła ręce przed siebie i zalała jednostkę falami. Mężczyźni fruwali po pokładzie, ciskani siłą miniaturowego sztormu rozwścieczonej wododziejki, wpadali na siebie, łomotali o burty i ściany forkasztelu, wpadali do wody.

Wylądowała z impetem na pokładzie, aż trzasnęły pod nią deski. Machnąwszy lewą ręką, posłała za burte czterech piratów. Strzepnąwszy prawą, naszpikowała kolejnych wodnymi pociskami, które wrzynały się w ciało i rozrywały gardła.

Gorąca, chwalebna krew zrosiła jej skórę.

Nawet tego nie zauważyła, skupiwszy uwagę na tych, którzy czekali na nią na rufie. Tego dnia po raz pierwszy zobaczyła na własne oczy morski ogień, ale była w stanie zrozumieć, skąd się bierze. Spod pokładu wychodził potężny skórzany wąż o grubości pnia dębu osadzony na mechanizmie, który umożliwiał

strzelanie z niego jak z armaty i obracanie w dowolnym kierunku.

Kątem oka zobaczyła spadający na nią miecz. Odskoczyła. Za wolno. Stał rozcięła jej ramię, zdzierając materiał i skórę. Chlusnęła krew. Odległy, pozbawiony znaczenia w ogniu walki ból wybuchł w miejscu, gdzie klinga zetknęła się z ręką. Lecz Vivia dopadła już do węża i marynarze nic nie mogli na to poradzić. Okręciła armatę i skierowała ją na pokład. Złapała za dźwignię...

– Nie! Nie! – usłyszała czyjeś wołanie. Stanęła przed nią jakaś postać, machając rękami i powiewając obszernymi rękawami.

Serrit Linday.

Zamarła zaskoczona. A więc to tutaj krył się winowajca tyłu zbrodni, człowiek, do którego prowadziły wszystkie strzępy informacji uzyskane od jej szpiegów. To Linday kolaborował z Baedyedami i kumał się z Dziewiątkami. I to on próbował zabić Merika.

Vivia nie wiedziała, jak i skąd się tu wziął, ale oto stał przed nią. Rzeczywiście, to Serrit Linday stanowił punkt, w którym zbiegały się wszystkie niejasne wątki i krzyżowały wszystkie zwężone przez nią tropy.

– Ani drgnij – rozkazała lodowato.

Linday stanął. Szatę miał podartą, twarz umazaną jakąś czarną mazią. Popiół, założyła. Tylko dlaczego ten popiół się poruszał, czemu kreślił linie na jego ciele i drżał?

– Jeśli wystrzelisz morski ogień – zawołał do niej Linday – spowodujesz wybuch tysięcy słoików znajdujących się pod pokładem. Umrę ja i ty też.

Vivia nie mogła się powstrzymać. Zaniósł się śmiechem, pustym i szorstkim.

– Co tu robisz, Serricie? Czy nie wystarczy, że sprzedałeś nas Purytanom?

Jego twarz drgnęła. Ciemność pełzła mu po skórze. Przez chwilę się krztusił, jakby zbierało mu się na wymioty.

A okręt nadal płynął w kierunku tamy. Nad burtą przesuwała się okryta mgłą dolina, wciąż zielona i żywa.

– Nie chciałem zdradzać Nubrevny – pisnął wreszcie Linday. – Ragnor obiecał mi twój tron. – Urwał, zgiął się w pół i zacharczał.

Czarna smoła wylała się z jego ust. Cienie na jego skórze zawirowały szybciej. Pokryły ją bąblami, jakby Serrit się rozszczepiał.

Vivia odeszła od armaty i postąpiła ku znieawidzonemu wizerowi. Marynarze jak na komendę rzucili się na nią, lecz Linday warknął na nich, plując smolą.

– Zostawcie ją.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała go Vivia. – Czy ty się rozszczepiasz?

Kaszlnął trzykrotnie, a potem podniósł na nią głowę i zmierzył ją spojrzeniem lśniących oczu. Gdy przemówił, głos miał słodki jak miód.

– Martwych nie da się rozszczepić – powiedział z mocnym akcentem. – A przynajmniej niezupełnie, bo ich nici już są sprute. Ja wybieram je tylko, zanim znikną.

– Kim ty jesteś? – zapytała tak cicho, że jej głos niemal zniknął w napływającym od mostów wietrze i grzmocie odległej burzy.

Ale Linday – o ile to jeszcze był on – słyszał ją doskonale.

– Jestem tym, kogo powinnaś się obawiać, księżniczko, bo gdy tylko tama runie, a miasto umrze, to ja wkroczę do niego i zagarnę ziemię, majątki, wszelkie dobra. Łącznie ze Studnią, którą twoja rodzina ukryła w podziemiach wieki temu.

Vivia miała wrażenie, że świat wokół niej zwolnił, jakby czas utonął w gęstym mule. Jednocześnie tysiąc sprzecznych myśli rozbłysło jej w głowie i tysiąc drobnych szczegółów przemknęło jej przed oczami.

Przekreślona rozległą szczeliną tama majaczyła niedaleko, dziwnie cicha i spokojna. Nad nimi krążyły mewy, a nieopodal mostu zatrzepotał skrzydłami wzbijający się w górę jastrząb. Piraci utkwili wzrok w niebie, jakby na coś czekali.

Albo na kogoś.

Jednym, wymagającym nieprawdopodobnego wysiłku ruchem i mając wrażenie, że krajobraz przed jej oczami płowieje jak stara



farba, Vivia obejrzała się za siebie. Na Lovats, znad którego wciąż zbijały się kolumny czarnego dymu, choć teraz nieco rzadsze, niż gdy wyruszała. Burza też powoli przechodziła. Przestało padać i błyskać. Na niebie wisiały jeszcze tylko czarne chmury, ale i one unosiły się znad murów niczym wysysana z rany trucizna.

Lovats dożyje następnego dnia, ale tylko jeśli Vivia ocali tamę. Tylko jeśli zatrzyma okręt. I choć nie wiedziała, czy magia wodnych mostów wytrzyma, to rozumiała, że lepsza zalana dolina niż zalane miasto.

Obróciła głowę w lewo i utkwiała wzrok w mozaice pól daleko w dole. Był to ten sam widok, który rozciągał się przed jej matką, nim opuściła ten świat na zawsze.

To wcale piękny ostatni widok, pomyślała.

Wraz z tą myślą czas zerwał się do biegu. Przyspieszył do naturalnego tempa, a Vivia rzuciła się do ogniowej armaty. Złapała za dźwignię i pociągnęła, a na przeciwnym jej końcu błysnęła kropla żywicy. Armata chlusnęła morskim ogniem na deski, maszty i żagle.

Eksplozja ognia. Czarno-białe płomienie odcinające drogę ucieczki.

Pozostali przy życiu i zmysłach marynarze rozbiegli się po pokładzie. Ale nie Linday. On stał w tym samym miejscu, przyjmując na siebie falę płonącej substancji, nie ruszając się nawet wtedy, gdy ogarnęły go płomienie i zapalił się jak żagiew. Spłonął, nie wydawszy z siebie choćby jęknięcia.

Vivia skierowała się do relingu i skoczyła. Wpadła do wody, dała nura w głębinę i zaczęła płynąć pod powierzchnią, posiłkując się magią, mknąc w kierunku Lovats.

Nie dość szybko.

Okręt wybuchł. Uderzyła w nią fala energii, wypchnęła z powrotem na powierzchnię. A potem dobiegł ją huk, ale ona już leciała, wyrzucona z wody impetem eksplozji.

Gdy wyleciała poza barierkę wodnego mostu i zobaczyła pod sobą dolinę upstrzoną cieniami i płomieniami, mogła się tylko uśmiechnąć. Bo choć frunęła na spotkanie śmierci, przynajmniej udało jej się ocalić wodny most.

I tamę. I miasto.

\*\*\*

Safi chciała coś rozwalić. Miała wielką ochotę tłuc, szarpać, rwać i rąbać. Wtedy może świat zyskałby więcej sensu.

Merik Nihar nie mógł nie żyć. Słowa marynarza odbijały jej się echem w głowie do rytmu walącego serca i pospiesznych kroków.

Po obu jej stronach biegli uwolnieni niewolnicy, krzycząc i śmiejąc się. Po prawej huczał ogień, po lewej chłostał wiatr, pod jej stopami chrzęścił żwir. Wir barw i przemocy, głodu i wolności, rozbrzmiewający szczerą prawdą, prawdą, prawdą. Niewolnicy przetaczali się tumultem przez korytarze, mijając identyczne pomieszczenia. Rozbiegli się i szukali wyjścia grupkami lub na własną rękę.

Czyjeś palce zacisnęły się na jej łokciu. Zamachnęła się mieczem... Lev rozwarła szeroko oczy i rozciągając blizny na twarzy, zapytała:

– Gdzie jest cesarzowa?

Safi nic nie odpowiedziała, nie wiedziała.

– Musimy uciekać – podjęła Lev, ściskając ją mocniej. – Niewolnicy uwalniają następnych, lada moment będzie się tu roić od straży.

Doskonale. Twarz prawdopodobnie przyozdobił uśmiech. Rozwali tu wszystko w drobny mak, a zaczniesz od Baedyedów, którzy zabili Merika.

Błysnęły wprawione w ściany kamienie strażnicze. Magiczny alarm przyzywający strażników.

Uśmiechnęła się szerzej.

– Lev! – Caden przepchał się przez tłum, a za nim rozplynęli się w ciżbie cartorriańscy marynarze. – Nie wyjdziemy stąd tą samą drogą, którą tu weszliśmy. Zander poszedł szukać innego wyjścia... A gdzie cesarzowa? – zapytał Safi, ale ona tylko się wyszczerzyła.

Wystająca ponad tłum głowa Zandera obróciła się w ich stronę, masywne ramię machnęło na nich.

Safi natychmiast popędziła w jego kierunku, wciąż radując się ruchem i nadchodzącą walką. Rozpychała się w biegnącym

tłumie, gnała naprzód, szturchała niewolników łokciami, łyskając zębami.

Alarm wył, rzucając światło na kamienne ściany.

Oszalała cizba wypluła Safi zaraz obok Zandera, który czekał przy upiornie cichym i pustym korytarzu. Jacyś więźniowie weszli do niego, ale większość trzymała się z daleka.

– To droga na arenę! – Bas dryblasza wzbił się ponad wrzawę. – Ale wydaje mi się, że jest odnoga biegnąca na zewnątrz.

– Prowadź! – rozkazał Caden, a potem odwrócił się, żeby policzyć mijających ich Cartorrian.

Safi poszła za Zanderem, pozostając w jego cieniu. Tutaj było mniej kałuż, ale podłogą wstrząsała jakaś osobliwa wibracja. Z początku myślała, że trzęsie się od wrzawy wzbijanej przez uciekinierów, ale im bardziej zbliżali się do rozwidlenia, tym bardziej wstrząsy przybierały na sile. Czuła je w płucach z każdym oddechem. Nawet pochodnie drżały w kinkietach.

– Co to? – spytał jeden z marynarzy.

– Hałas dochodzi z areny – odpowiedział kolejny.

– Dlatego tam nie idziemy. – Lev przeszła na przód i pierwsza dobiegła do skrzyżowania, a potem krzykiem kazała się wszystkim zatrzymać i dała nura w ciemny tunel.

Czekali, zgromadzeni na rozwidleniu. Minęła minuta. Puls Safi dostosował się do wibracji kamieni... a potem przyspieszał, aż dotarło do niej, że wybrana przez Lev odnoga jest fałszywa, fałszywa, fałszywa.

– Zawołaj ją – rzuciła do Cadena. – Tam coś jest.

– Co... – zaczął bard.

Fałsz, fałsz. Safi minęła go i przystawiła dłonie do ust.

– Lev, wracaj!

– Chwilkę... – dobiegła odpowiedź. – Coś tu widzę... – dodała, po czym jej słowa zagłuszyło przenikliwe skrzeczenie.

W ciemności w głębi tunelu rozbłysło pomarańczowe światło, usłyszeli szaleńcze wołanie Lev.

– **OGNISTY JASTRZĄB! MAJĄ, CHOLERA, OGNISTEGO JASTRZĘBIA! RATUJ SIĘ KTO MOŻE!**

– Niech to szlag... – syknął Caden. Czy może ktoś z załogi. Albo Safi. Z pewnością pomyślała to samo, zrywając się do biegu, jakby goniła ją sama Otchłań.

Ogniste jastrzębie, demony, jeden pies.

Zza jej pleców dobywało się coraz głośniejsze warczenie, jakby zbliżała się do wodospadu. Tylko że nie było żadnego wodospadu. Z całą pewnością, wodospady nie wprawiają ziemi w dygot ani nie sprawiają, że w ciemnym korytarzu robi się jasno jak w dzień. A potem przyszło jeszcze gorąco. Poczowała na ciele parzący żar, zanim dogoniła ją światłość.

A kiedy już dogoniła... Na święte bramy piekielne, nigdy jeszcze nie biegła tak szybko. Przepędziła marynarzy i niewolników, Cadena, Zandera i... O proszę, cesarzowa przechodziła właśnie przez drzwi, z których lało się do korytarza słońce.

– BIEGNIJ! – ostrzegła ją wrzaskiem Safi. W dwóch krokach dopadła do niej i złapała ją za ramię. Szarpnąwszy z całej siły, wyciągnęła ją z przejścia i zmusiła do ucieczki przed ognistym jastrzębiem.

Ale już po chwili wątpiła, czy miejsce, do którego trafiły, jest lepsze od konfrontacji z jastrzębiem. Znalazły się na arenie.

Zebrany na trybunach tysięczny tłum wył i skandował, a na całej przestrzeni wysypanej żwirem sceny trwała w najlepsze Rzeźnia Baile. Strzeliła błyskawica i przypaliła Safi policzek, zanim rozprysła się o wystający z ziemi stalagmit. Burzodziej walczył z ziemiozdiejem. Po prostu świetnie.

Safi rzuciła się w lewo, ledwo unikając gradu lodowych odłamków, które natychmiast wyparowały w ścianie ognia. Raptem zniknęły wszystkie podziały między wrogami i przyjaciółmi, niewolnikami i handlarzami, Krwawymi Żaglami i Baedydami. Wszyscy tkwili w tym samym wirze walki. Każda po trzykroć przekłęta osoba na tej arenie walczyła z wszystkimi innymi, ciało przy ciele, broń przy broni, magia przy magii.

Nie dał o sobie zapomnieć także ognisty jastrząb, który wleciał na arenę, ciągnąc za sobą smugę białego żaru.

Bogom dzięki za to, że mięśnie Safi okazały się mądrzejsze od niej samej, bo na widok bestii – ognistego kształtu długiego jak galeon i o dwukrotnie większym rozstawie skrzydeł – po prostu stanęła z rozdziawionymi ustami. Ale jej nogi poruszyły się bezwiednie i rzuciły ją za stalagmit, który skruszył się w tym samym momencie. Dalej popęzła na czworakach... ale właściwie dokąd? Rozejrzała się desperacko za jakąś kryjówką. Ognisty jastrząb zataczał kręgi ponad areną, skrzecząc i krzycząc w błękitne niebo.

A potem złożył skrzydła i zapikował. Prosto na Safi.

Próbowała rzucić się w bok, zrobić unik, odtoczyć się gdzieś, choć intuicja podpowiadała jej, że ognisty jastrząb to nie stworzenie, przed którym można uciec w ten sposób.

Jej uszy wypełniał zgiełk, płonące piekło odebrało jej wzrok. Nie ucieknie. Tym razem się nie wywinie.

Ktoś wpadł na nią z tyłu. Uderzyła o ziemię, boleśnie obcierając podbródek o piach.

– Zamknij oczy! – krzyknął Caden.

Zamknęła. A ognisty jastrząb uderzył.

Zegnała się z życiem.

Kiedy była dzieckiem, Habim powiedział jej, że Marstokczycy wierzą, że ogniste jastrzębie to bóstwa życia. Narodzin. Przeżycie spotkania z ognistym jastrzębiem było dla nich równoznaczne z otrzymaniem w darze drugiej szansy. Nowego życia. Czystego konta.

Safi wierzyła w to, ponieważ w krótkiej chwili między dwoma uderzeniami serca, kiedy bestia zalała ją dobywającą się z dzioba falą płomieni, całe jej jestestwo skupiło się na jednym przebłysku myśli. Wspomnieniu ostrym jak najlepszy miecz.

„Tracisz wszystko, co kochasz, Safiyo – powiedział jej wuj – Wszystko, co dla ciebie ważne, zostaje obrócone wniwecz. Ale dowiesz się tego sama już niebawem”. A potem dodał: „Gdybyś tylko zechciała, Safiyo, mogłabyś ukształtować świat na nowo. Odbyłaś stosowne szkolenie, dopilnowałem tego. Niestety zdaje się, że brakuje ci inicjatywy”.

No cóż, Safi miała gdzieś jego zdanie na ten temat. Wcale nie brakowało jej inicjatywy, ona była inicjatywą. Do szpiku kości.

Zaczynij. Zakończ.

Była gotowa zmienić świat. Była gotowa go złamać.

I z tą właśnie myślą rozpoczęło się jej nowe życie.

Płomienie przefrunęły obok. Caden zlął jej z pleców. Skończyło się na nadpalonych włosach i podziurawionej sukience. Podał jej rękę. Tak jak przedtem jego blizny pokryły się cieniem, który wrzeszczał: fałsz. Jego źrenice rozplynęły się na całe oczy.

– Gdy następnym razem zobaczysz ognistego jastrzębia – wydyszał słowami splecionymi z cieniem – to lepiej zejź mu z drogi.

Odwrócił się, jakby chciał odejść. Ale w tym momencie Safi wyciągnęła rękę, złapała go za pętlę i przyciągnęła blisko.

– Czym ty jesteś? – wysyczała, widząc, że cienie znikają z jego ciała. Jego źrenice kurczyły się, a z języka nie spływała już podobna do dymu ciemność.

– Jeśli wyjdziemy z tego cało – odpowiedział i raz jeszcze przybrał maskę Rzeźbimieszka – przypomnij mi, żebym ci powiedział. Ale teraz, domno, musimy wiać!

## ROZDZIAŁ 37

Merik znał ten sztorm. Taki sam przeżył w Lejnie. W taki sam wleciał, szukając jego środka. I źródła. Dzisiaj to powtórzył. Ale, w odróżnieniu od tamtego dnia, Kullen nie leżał umierający na bruku, raczej wisiał sztywno w powietrzu, jakby stał na szczycie góry.

Teraz znowu na niego patrzył. Na zwęglone zwłoki, na spalonego trupa. Odrażającego, ale niemożliwego do pomylenia z nikim innym, nawet jeśli umysł szeptał Merikowi: „Przestań widzieć, co chcesz widzieć”.

Wzrok Kullena spoczął na księciu. Strzeliła błyskawica i odbiła się w wypełnionym zębami uśmiechu. Jego usta były rozciągnięte w znajomy, chociaż teraz zupełnie nieludzki sposób. Za nim czarne wichry kreśliły pętle, niosąc ze sobą odpadki, jesienne liście i szalwię.

– Nie przywitasz się, więziobracie?

– Nie jesteś moim więziobratem. – Merik zdumiał się, usłyszawszy, jak pewnie wybrzmiały jego słowa. – Widziałem, jak on umiera.

– Widziałem, jak się rozszczepiam. – Kullen rozłożył ramiona, niemal ospale, a z czubków jego palców wystrzelił piorun. – Ale rozszczepienie nie musi być końcem.

– Czym ty jesteś?

– Znasz odpowiedź na to pytanie. Jestem zemstą. Jestem sprawiedliwością. Jestem Furią.

Merik poczuł, jak lodowata złość zatapia szpony w jego piersi. Ale zdawał sobie sprawę, że to nie jego szpony.

– Prosiłem, byś mnie zabił – ciągnął Kullen. Podleciał bliżej ku Merikowi, który teraz mógł dostrzec cienie pełzające pod skórą przyjaciela i kłębiące się w jego oczach, błyskających do rytmu piorunów. – Pamiętasz, Meriku? Prosiłem cię w Lejnie o śmierć. Nodenowi dzięki, że odmówiłeś. Inaczej żadnego z nas by tu

dzisiaj nie było. Ty byłbyś martwy, ja byłbym martwy, obaj tańcowalibyśmy z rybimi wiedźmami.

Merik nie mógł znaleźć słów. W jego głowie wciąż brzmiały słowa więziobrata: „Ty byłbyś martwy, ja byłbym martwy”.

Kullen roześmiał się. „Ale dopiero w śmierci mogli pojąć istotę życia. A tylko żyjąc, zmieniają świat”. Przechylił głowę, a jego uśmiech poszerzył się do granic możliwości. Ale trupie oczy wcale się nie śmiały.

– Wspomnienia Furii zawsze tu były, Meriku. Musiałem tylko umrzeć, by się do nich dostać. A teraz uczynię cię królem! – Od Kullena buchnęło chłodem. Moc błagająca, by z niej skorzystać. – Razem roztoczemy władzę nad tym miastem. Nad całym krajem!

– Nie. – Merik pokręcił głową. Łzy pociekły mu po policzkach. Zniknęły w sztormie. – Nie chcę, Kull! Nie chcę być królem...

– Ależ chcesz. – Merik nie zdążył nawet mrugnąć okiem. Kullen złapał go za gardło, dobył powietrza prosto z jego płuc. – Jeśli nie przyłączysz się do mnie, więziobracie, uznam cię za wroga. A pamiętaj, zem jak ostrze groźny.

– Kull, proszę. – Merik zaczął okładać jego ręce pięściami. – Nie jesteś sobą!

– Jestem, Meriku. Oto moje prawdziwe ja oswobodzone z więzów. – Palce Kullena zacisnęły się, wrzynając się w skórę wiatrodzieja.

– Zatrzymaj tę burzę – wycharczał. – Odejdź. Odejdź!

– Nie. – Kullenem wstrząsnął gardłowy śmiech, który rozpętał kanonadę błyskawic. Merik dopiero teraz pojął, jak wysoko się znajdują. – Ja zbudowałem to miasto, a więc wolno mi je zniszczyć.

– Nie pozwolę ci na to – wyrzeźbił Merik. Jego płuca płonęły żywym ogniem. Czuł, że żar rozrywa go od środka.

Kullen mocniej zacisnął palce, wbijając Merikowi w ciało sople czarnego lodu. Wokół nich zaczął padać śnieg.

– Myślisz, że mnie powstrzymasz, Merry? Jestem związany z Krosnem, a ty jesteś związany ze mną. Jeśli wyślesz moją duszę



za ostatni szelf, twoja pomknie w ślad za nią. Więziobracia do końca.

Z tymi słowami wypuścił Merika z rąk. Powietrze wypełniło ze świstem jego płuca, a pod stopami zawirował wiatr, utrzymując go w powietrzu. Wiedział, że to wicher Kullena, ale przepleciony jego własnym wiatrem. Jakby wspólnie kontrolowali magię, jakby to zaklęcie – ten gniew – był płynącą między nimi rzeką, z której obaj czerpią.

I wtedy Merik zrozumiał.

Był martwy. Tak jak Garren. Tak jak Linday. I, co najgorsze, tak jak unoszący się przed nim w powietrzu Kullen. Święty patron wszystkiego, co zniszczone i strzaskane, bardziej groteskowy nawet od rybich wiedźm. Był Furią do szpiku kości.

– Widzę, że wreszcie pojąłeś – odezwał się Kullen, a choć słowa rozwiały się na porywistym wietrze, zagrzechotały Merikowi w piersi z całą mocą. – Zabił cię wybuch na Janie, ale ponieważ jesteśmy połączeni więziobratertwem, magia, która utrzymuje mnie przy życiu, rozciągnęła swe działanie również na ciebie. Jeśli umrze jeden z nas, umrzemy obydwaj. Więc jaki masz wybór poza dołączeniem do mnie?

Za Kullenem rozbłysło światło. Tak jasno, że Merik odruchowo zamknął oczy, zasłonił twarz uniesionymi rękami. A potem dał się słyszeć huk, od którego zatrzęsała się ziemia. Gdy wiatrodziej otworzył oczy, zobaczył Kullena spoglądającego w dół.

I wtedy, przez chmury i rozszalały chaos, sam również zobaczył, że wybuchł piracki okręt z morskim ogniem.

Gdy Kullen uniósł głowę, Merik dostrzegł, że jego oczy są jednolicie czarne. Żadnego blasku, tylko lód, wiatr i gniew.

– Twoja siostra pewnie myśli, że wygrała, ale nie wie, że mogę zniszczyć tamę i bez morskiego ognia. To miasto zostanie zwrócone swojemu prawowitemu władcy. W ten czy w inny sposób.

Merik już go nie słuchał. Przez załzawione oczy i burzę widział wpadające do doliny postacie, niby kolorowe plamki w świetle opanowanym przez dym i czarne płomienie. Jedna z nich próbowała przyciągnąć do siebie wodę. Dostać się z powrotem

na wodny most. Vivia! Mknęła w dół na spotkanie z Nodenem i tym samym pozostawiła Merikowi dwie możliwości wyboru.

Mógł ratować albo miasto, albo siostrę.

Wiedział, że odpowiedź jest oczywista. Jeden za wszystkich – wiódł życie w zgodzie z tą dewizą, poświęcając się, gdy porzucił Safi, czy tracąc Kullena w imię, jak sądził, wyższego dobra.

Jednak każda ofiara okazała się daremna.

Zawsze okazywała się daremna. Merik ostatecznie zostawał sam i za każdym razem ciemność zapuszczała w nim głębiej swe korzenie. Wkrótce nie zostanie w nim już nic, co będzie mógł poświęcić.

Teraz to rozumiał. Co on właściwie wiedział o tym mieście? Co wiedział o wizerach i o marynarce? Próbował, Noden mu świadkiem, próbował być przywódcą, jakiego potrzebują ludzie, ale w zamian za swoje starania otrzymywał tylko popioły i pył.

A Vivia... Siostra, której Merik nigdy nie rozumiał, którą niegdyś kochał, a potem o tym zapomniał, krew z krwi Niharów, to przywódczyni zdolna poprowadzić ten naród w bezpieczne i dostatnie czasy. Z całą pewnością stawi czoła imperiom z taką łatwością, z jaką stawia czoła pływom...

To Vivia miała zostać królową. Po to się urodziła. Została ulepiona z odpowiedniej gliny.

– Chodź – odezwał się Kullen, czym przyciągnął uwagę Merika. Rozciągnięta między nimi nić Więzi pulsowała z wiatrem i mrozem. – Czas przypomnieć ludziom, że mam bystre oczy.

Potrzeba posłuszeństwa wykryzalizowała się w kościach księcia. Potrzeba wykorzystania cyklonu Kullena, poddania się nieskończonej mocy. Pragnienie destrukcji, krzyku, zniszczenia.

Ale Merik oparł się temu pragnieniu. Tym razem sięgnął daleko w głąb siebie. Aż odnalazł swój temperament, żarzące się węgle niharskiego gniewu. To dopiero była magia – słaba i rozdrobniona, ale należała do niego. Będzie musiała wystarczyć.

Inaczej Merik nigdy nie złapie swojej siostry, nim porwą ją głodne rybie wiedźmy.

Z tą myślą odwrócił się od Kullena, korzystając tylko ze swojej magii, tylko z siły woli.

Wszyscy za jednego.

\*\*\*

Ucieczka z Rzeźni Baile zapisała się w pamięci Safi jako rozmazana, stalowoszara i krwistoczerwona smuga, suto zaprawiona rozbłyskami magii. Stał należała do Safi, krwawili wszyscy wokół, a magia władała Vanessa.

Nieopodal głównego wyjścia z areny dołączyli do Zandera i Lev oraz wciąż tłoczącej się za ich plecami cartorriańskiej załogi.

– Jasna pieprzona cholera... – zaklęła Safi, gdy znaleźli się na zewnątrz. Z jakiegoś powodu harmider wokół areny był jeszcze gorszy od tego na samej arenie.

– W rzeczy samej – zgodził się Caden. Jedyna wiodąca do portu droga została dosłownie zawałona walczącymi, uciekającymi, rannymi i martwymi ludźmi. Dwa mosty zawaliły się pod ich ciężarem, a trzy pozostałe pochłaniały płomienie.

Kolejnym z serii bolesnych kopniaków w nerki okazał się widok otaczającej budynek fosy, która pienila się od krwi i desperackiej szamotaniny. Krokodyle kłębiły się pod powierzchnią i zjadały każdego, kto miał nieszczęście wylądować w wodzie, żywego czy martwego.

– Mamy zerowe szanse na dotarcie do doków – zawołała Safi.

Caden rzucił jej cwaniackie spojrzenie.

– Drobnostka – prychnął, a potem dodał: – Piekielni bardowie, formować szyk! Cała reszta na tył. Ty – wskazał cesarżową – potrzebne nam trzy tarcze. Jak największe.

Vanessa odwzajemniła uśmiezek i, z tym samym wdziękiem, który emanował od niej w każdej sytuacji, bez względu na czyhające na nią niebezpieczeństwa, wzniosła ramiona, a wtedy z całego żelaza, które znalazło się w okolicy, uformowały się w powietrzu trzy wielkie żelazne tarcze. Miecz Safi wyskoczył jej z palców i przemienił się w sięgającą piersi pawęż dla Cadena.

– Na tył! – rozkazał dowódca, a Safi i Vanessa wycofały się za nich. – Idziemy!

Bardowie momentalnie uformowali trójkąt z Zanderem na przodzie oraz Cadenem i Lev w drugim rzędzie, a potem ruszyli przed siebie pełnym pędem. Po czym zatrzymali się, a następnie znowu przypuścili szturm.

Safi nigdy nie widziała czegoś podobnego. Poruszali się w idealnym zespole – szarża, pauza, szarża, pauza – podczas gdy garstka co odważniejszych przeciwników zasypywała ich formację ciosami z boków i z tyłu. Ale marynarze z Cartorry byli dobrze wytrenowani i dzielnie dawali im odpór.

Przeszli w ten sposób całe moczary. Safi nie umiała ocenić, ile im to zajęło. Straciła rachubę, odmierzając czas szarżami i pauzami, nie sekundami i minutami, i koncentrując się na frunących w jej stronę mieczach i pięściach. Poruszali się zrywami pod idealnie błękitnym niebem, aż dotarli do dzielnicy portowej, a potem do okrętu.

Jak się okazało, nie oni jedni zebrali się na końcu pomostu, gdzie stał przycumowany cartorriański kuter. Na pokładzie roilo się od marynarzy, a z rufy wydawała rozkazy siwowłosa kobieta. Wypatrzyła ich, zanim zrobiła to załoga. Uśmiechnęła się wówczas – zupełnie fałszywie, jak podpowiedział Safi jej prawdopodobieński zmysł.

– Spóźniliście się, by odbić wasz statek, moje serdeńka – wymruczała zachrypniętym głosem.

Jej ludzie jeden po drugim obracali głowy w ich stronę. I jeden po drugim wyciągali noże, kordelasy i ogniodziejskie pistolety.

Vanessa podniosła rękę, a Safi dobrze wiedziała, do czego doprowadzi napięta sytuacja. Znowu walka, jeszcze więcej przelanej krwi i kolejne zmarnowane życia.

Wtedy przypomniała sobie o inicjatywie, o zmienianiu i łamaniu. Przepchnęła się na front i krzyknęła:

– Poczekajcie!

Kahina uniosła brwi.

– To się nie musi tak skończyć – podjęła Safi. Merik może i nie żył, tak jak wielu innych ludzi, którzy nie doczekali końca Rzeźni Baile, ale Safi nie miała zamiaru dopuścić, by ktokolwiek do nich dołączył.

– Odejdźcie stąd. – Kahina podeszła do burty, dzwoniąc zawieszonym u pasa mieczem. – Nie szukam zwady, ale ten statek jest teraz mój. I mam zamiar go zatrzymać.

– Zagrajmy o niego – wypaliła Safi jak z armaty. Nie zastanawiała się nad tym, co mówi. Słowa same wyskoczyły jej z ust. Ależ ona głupia, głupia jak but z lewej nogi. Ale z drugiej strony... zrobiła coś, czego nikt się po niej nie spodziewał, więc kto wie... Jeśli coś jest głupie, ale działa, to znaczy, że nie jest głupie.

Caden i Vanessa przystąpili do niej ze zgrozą wymalowaną na twarzach. Ale admirał Kahina wydawała się przeszczęśliwa. Jej usta rozciągnęły się w kocim uśmiechu, a ręka wsparła się o nadburcie.

– Ale nie w taro – wyrzekła przeciągle. – Stoczymy pojedynek. Ja – przyłożyła dłoń do serca – i ty. Bez broni. Gołe ręce i pomysłu. Kto przeżyje, ten bierze statek.

– Nie. – Caden sięgnął do Safi. – Nie! – powtórzył.

Ale było za późno. Safi już się zgodziła, już pokiwała głową i wstąpiła na kładkę.

Zacznij. Zakończ.

## ROZDZIAŁ 38

Nie mógł oderwać wzroku od więziodziejki okrytej czarnym płaszczem dymu. Ogniodziej nie żył, a rozprzestrzenione przez niego płomienie właśnie się dopalały. Aeduan odetchnął.

Znajdowali się na skraju obszaru zakreślonego filarami, gdzie rzeka rozlewała się szerzej po starożytnym pobojowisku.

Aeduan oparł się o słup i patrzył na nadchodzącą Iseult. Rozszczepiła tego człowieka z taką łatwością, z jaką on zatrzymywał bieg krwi swojej ofiary, a potem przegryzła więzy łączące ogniodzieja z życiem. Widział już taką magię. Mroczną, wynaturzoną. Magię Otchłani podobną do tej, którą sam władał. Ale nigdy, nawet za tysiąc lat, nie odgadłby, że więziodziejka...

Wcale nie była więziodziejką.

Gdy czekał na nią przy kolumnie, wpadła mu do głowy stara rymowanka.

Obumarłą trawę ze snu ogień budzi,

A jałowej ziemi deszcz przywraca życie...

Tamta chwila w ruinach wydawała się odległa o dziesięciolecia. Ale przecież to było ledwie kilka godzin temu. Iseult to wciąż ta sama kobieta, która z nim trenowała. Która się z nim ścigała.

Która po niego wróciła.

Zaczęło padać, deszcz zdusił ostatnie ogniodziejkie płomienie. Wciąż dobiegały go salwy z armat i strzały pistoletów. Głosy niosły się w deszczu, co oznaczało, że bitwa wdarła się już do wąwozu.

Stała przed nim. Popiół spływał jej z policzków w kaskadach szarego deszczu i przez dwa uderzenia serca wyglądała, jakby sama miała się zaraz rozszczepić. A potem iluzja się rozmyła. Jej

palce spoczęły na ramieniu Aeduana i okręciła go plecami do siebie. Niezbyt delikatnie, ale i nie obcesowo. Ujęła strzały wystające z jego płuc i serca. Domyślił się, co chce zrobić, i wiedział, że powinien ją powstrzymać. Natychmiast. Zanim narobi sobie u niej więcej długów.

Ale nie zrobił tego. Pozwolił jej oprzeć stopę o filar i wyjąć żelazny grot z serca. Przeszył go ból, ciężki jak przesycony dymem deszcz. W jego piersi chlupotało pokiereszowane serce, przedziurawione płuca unosiły z wysiłkiem klatkę piersiową. Krew lała się po plecach.

– Mają Sowę – powiedziała.

Aeduan kiwnął głową, przesuając czołem po kamieniu.

– Ona nie jest zwykłym dzieckiem – ciągnęła Iseult. – Chcą jej zarówno Baedyedowie, jak i Krwawe Żagle. Kimkolwiek jest, to ktoś specjalny.

Kiwnął raz jeszcze. Tyle domyślił się sam, nad resztą musiał się jeszcze zastanowić.

– Idą po nią, Aeduanie – kontynuowała trochę głośniejszym głosem, by jej słów nie zdusił szum deszczu.

Dosłyszał w jej głosie nieustępliwą nutę. Otworzył oczy. Czarne krople deszczu wędrowały po fakturze przedwiecznego filaru. Dwie kolejne strzały opuściły jego ciało. Jedną wysunęła z uda, drugą z ramienia. Natychmiast zaczął widzieć ostrzej. Kiedy wyjęła dwie następne, wyprostował kręgosłup, a po trzech ostatnich rozpostarł swoją magię.

– Ludzie – oznajmił, obracając się. – Setki. Idą tu.

Nie okazała zdziwienia. Tym razem to ona kiwnęła głową.

– To Krwawe Żagle znad rzeki. Chcą odzyskać Sowę, musimy ją znaleźć pierwsi.

Wtedy to do niego dotarło. Z całą mocą. Iseult była tutaj. Nie szukała prawdopodobnie, ale stała przy nim, w krainie popiołu. Zanim znalazł słowa, zanim zdołał zapytać, skąd wie o Krwawych Żaglach, powietrze wypełnił bestialski wrzask. Głośniejszy od słabnącego deszczu i od łomoczących armat.

Górski nietoperz leciał wprost na nich.

Aeduan odepchnął ją na bok, a ułamek sekundy później pazury bestii zgrzytnęły o kamień.

\*\*\*

Nie uda mu się dosięgnąć Vivii.

Cyklon Kullena bił w niego ze wszystkich stron, burzył posyłane przez Merika wichry, którymi chciał pochwycić spadającą Vivie, i spowalniał, pętając łańcuchami z wiatru. Zupełnie jakby więziobrat przewidywał jego ruchy. Jakby wyczuł drobne, żalosne serce prawdziwej siły Merika.

On i Kullen byli złączeni więzią. Ich dusze, ich magiczne dary były ze sobą powiązane, co oznaczało... Że nie wolno mu korzystać z magii. Merik nie mógł używać tu wiatrodziejskiej energii.

Wyciszył ją więc. Zakłuło go w sercu, a jego członki zwiotczały pozbawione podpory, ale rozproszył swoją moc, rozpędził wiatry i stłumił furie.

A potem zaczął spadać głową w dół w samo oko cyklonu. Leciał prosto ku wodnemu mostowi. Ryk Kullena przejął go drzeniem, przeszył podstawę czaszki jak rozżarzone żelazo. Magia poraziła go od stóp do głów, zakręciła w żołądku, zamrowiła w palcach. Wykorzystaj mnie, zaczerpnij mnie, użyj mnie.

Nie zrobił tego. Frunął naprzód, wyzuty z jaźni, widząc tylko rosnące w oczach czarne płomienie.

Raptem minął wodny most. Pochłonął go żar. Cienie zaszamotały się wściekle. Ale poniżej – poniżej czekała na niego zielona dolina.

Widział swoją siostrę przez łyzy, które wyciskały mu z oczu dym i wiatr. Leciała z rozłożonymi ramionami, a z dołu wznosiły się do niej utkane z wody rozległe sieci. Przebijała się przez nie, jedna po drugiej. Nie były dość silne, by zatrzymać jej upadek. Ale dostateczne, by ją spowolnić, a Merikowi pozwolić ją dogonić.

Ułożył ramiona wzdłuż ciała, wyprostował nogi. Kropelki deszczu, które wydostały się spod kontroli Vivii, zrosiły mu twarz.

Szybciej, jeszcze szybciej. Nie pchało go naprzód nic poza siłą Nodena. Moc opadu. Poruszaj się z wiatrem, płyn z prądem.

Dosięgnął jej. Zbryzgała go woda, tysiąc tnących drobinek, które szatkowały go na kawałki. Owinął ją ramionami, ścisnął



mocno. Okręcali się, w kółko i w kółko, nic nie widząc i nic nie słysząc. Tylko woda i wiatr. I oddech śmierci na karku.

Ale teraz Merik mógł już latać. Mógł skorzystać z mocy, która zespałała go z Kullenem.

Nastąpiła erupcja wiatru. Powietrze wybuchło pod nimi, podbiło w górę, sprawiło, że okręcali się teraz wokół innej osi, szybciej i szybciej. Merik przywołał więcej wichrów, wyły potępieńczo, wpędzane w ruch energią, której Kullen nie zdołałby okiełznać. Zebrał dosyć wiatru, by spowolnić upadek i by trawa poniżej przygięła się w kole do samej ziemi. Dostatecznie dużo, by zatrzymać ich lot.

Wylądowali na nogach, kolana ugięły się pod nimi, jakby Noden ulepił je z puchu. Palce Merika wpiły się w trawę i ziemię. Cudowna woń zieleni i życia wypełniła jego nozdrza. Jakże piękny zapach po duszeniu się w dymie i burzy.

– Merry – wypowiedziała niewyraźnie Vivia. Jej ramię krwawiło.

– Twoja ręka – odparł tylko.

Drżał. Czy zawsze było tu tyle trawy? Już podniosła się na pełną wysokość, jakby wiatr Merika nie przydusił jej przed chwilą do ziemi.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała pewniej, stanąwszy obok niego. – Czuję to, Merry, muszę ci powiedzieć o...

Echem odbił się w dolinie przejmująco głośny trzask. Jakby przewróciła się góra. Jakby rozstąpiła się ziemia.

Tama! Pękła!

\*\*\*

Safi przeciwko Kahinie.

Walczyły na pokładzie kutra, a obydwie załogi obserwowały je z doku. Nie miały broni, zdjęły buty, a na pokładzie nie było poza nimi nikogo. Tylko dwie kobiety i latające nad nimi mewy.

Świat Safi ograniczał się teraz do tego pokładu i stojącej na nim kobiety. Nie słyszała już ryków z areny, umykało jej skrzypienie desek pobliskich jednostek. Całe otoczenie odeszło gdzieś na dalszy plan, poddając się woli Safi, tak jak nauczył ją Habim niemal dekadę temu. Skupiła wzrok na wysokości piersi

Kahiny, by ogarnąć oczami całe jej ciało, wszystkie jej ruchy. Osadziła pięty na szorstkim drewnie, by lepiej czuć ruch pokładu pod stopami.

Kahina była od niej niższa, ale Safi wiedziała, że nie należy tego uznać za przewagę względem czarnoskórej piratki. Poznała od razu, że Kahina to zaprawiona w bojach wojowniczką. Domyśliła się tego po jej sprężystym kroku i po tym, jak trzymała gardę rozluźnionymi pięściami. Po napuchniętych i niekształtnych od wielu ciosów uszach i muskularnych nogach przyzwyczajonych do dźwigania się z ziemi. Jednak najgroźniejszą bronią przeciwniczki wydawało się to, że pozostawała jak dotąd w pełni sił. Nie spędziła całego poranka, uciekając z pożaru, ganiając się po mieście z Baedyedami czy umykając przed ognistymi jastrzębiami. Najtrudniejszą częścią pojedynku będzie skupienie się, utrzymanie koncentracji...

Śmignęła pięść. Safi zaklęła. Kahina się nie patyczkowała, trzeba przyznać. Kolejny cios, a zaraz potem następny. Domnie ledwie udawało się zablokować uderzenia. Nie miała innego wyjścia, jak tylko zwiększyć dystans.

Gdy to zrobiła, odkryła przerażona, że kończyło jej się miejsce. Do nadburcia brakowało jej kilku kroków, musiała atakować, inaczej przeciwniczka zapędzi ją w kozi róg. Zamarkowała kopnięcie, by skłonić Kahinę do opuszczenia gardy choć na moment. Zadziałało. Obydwa ciosy pięściami dosięgły celu. Jedną ręką wryła się w nos Kahiny, drugą łupnęła ją w klatkę piersiową. Uderzenia miały za zadanie nie tyle wywołać ból, ile skłonić Kahinę do cofnięcia się o parę kroków. Prawdopodobnie z zadowoleniem obserwowała, jak kobieta zataczała się do tyłu.

Zmroziło ją na widok jej obnażonych w uśmiechu poczerniałych zębów. Oczy zaszyły Safi łzami – oberwała w nos. Pociągnęła nim.

– Wiesz, dziewczyno, nie wiem nawet, jak masz na imię.

Kahina tupnęła lewą nogą, by odciągnąć uwagę od pięści, a potem zanurkowała błyskawicznie i przyłożyła Safi kantem dłoni w gardło, następnie poprawiła hakiem prosto w nos. Który tym razem udało jej się złamać. Potężne kopnięcie posłało Safi

w tył, machając rękami w szaleńczej próbie odzyskania równowagi. Krew trysnęła wokół. Oczy znowu nabiegły jej łzami. Ale poradziła sobie z bólem, była przyzwyczajona do zbierania ciosów. Nie dała się spowolnić.

Gorzej, że znów została zepchnięta do obrony. A Kahina głądziła jak najęta. Dokładnie wiedziała, co zrobić, by rozproszyć uwagę przeciwnika.

– Ależ mam fart – prawy prosty, lewy sierpowy, kopniak w żebra – że lubisz hazard tak jak ja.

Kolejne chluśnięcie krwi z nosa. Kolejna partia bólu. Nie słuchaj jej, nie słuchaj jej.

– A wiesz, co lubię bardziej od hazardu? – Kahina uchyliła się przed lewym prostym Safi, a potem odleciała do tyłu, nim stopa prawdopodobnie zetknęła się z jej kolanem.

Safi poszła za ciosem. Kopniak, drapnięcie paznokciami po twarzy, uderzenie wierzchem pięści. Im mocniej napierała, tym Kahina miała większe trudności z utrzymaniem gardy. Ciosy Safi zaczęły dosięgać celu, wkrótce zbliżyła się do admirała na tyle, by móc myśleć o uderzeniu kolanem w żołądek...

A wtedy Kahina zniemacka powaliła ją na deski.

W ułamku sekundy przed oczami Safi znalazło się drewno, żagle i niebo, a potem już tylko niebo. Walnęła głową o pokład. W żebrach zbudził się ostry ból. Kahina kopnęła ją raz, potem drugi. Safi skuliła się na ziemi i sięgała ręką do nóg i stóp admirała, do czegokolwiek, co dałoby się złapać. Aż wreszcie zamknęła palce na materiale jej spodni. Wystarczyło. Szarpnęła, chcąc rzucić piratkę na pokład.

Jednak na intencji się skończyło, Kahina wykorzystała moment, by dźwignąć Safi z ziemi i wtłoczyć jej w złamany nos rozpędzoną pięść. Chrupnęło. Czerń zasnuła prawdopodobieje wzrok. Zachwiała się i raz jeszcze wyrznęła czaszką o deski. Ale już nic nie poczuła.

Mrugnięcie. Spada. Mrugnięcie. Leży. Mrugnięcie. Kahina dusi ją obiema rękami. Mrugnięcie, mrugnięcie. Ramię kobiety miażdży jej krtań. A potem admirał zwalnia. Trzyma ją

w dźwigni, ale luźno. Niemal delikatnie, podczas gdy jej druga ręka zastyga na potylicy prawdopodobnie.

– Nie odpowiedziałaś mi, dziewczyno. Więc powtarzam: wiesz, co lubię jeszcze bardziej od hazardu? – Jadeitowy pierścień Kahiny oślepił ją refleksami światła.

– Co? – wycharczała z wysiłkiem. Krew zalewała jej oczy, płynęła z ust, gdy próbowała oddychać.

– Korzystne transakcje.

Safi nie miała na to odpowiedzi. Nie było sensu cwaniakować. Nie kiedy prawie przegrywała. Jeśli Kahina chciała rozproszyć ją gadaniną, bardzo proszę, udało jej się.

– Wyjaw mi swoje imię – powiedziała admirał. Safi naszła myśl, że może Kahina nie chce rozproszyć jej koncentracji, tylko ją przetrzymać. Mathew uczył ją, że czasem ważniejsze od wypowiedzianych słów są te niewypowiedziane.

– Ty... ty chcesz przegrać? – Safi pochwyciła wzrokiem jej spojrzenie. Obie korzystały z chwili wytchnienia. – Dlaczego?

Kahina zmrużyła oczy. Ale nie złowrogo, tylko... Tak, admirał się uśmiechała.

– Bo niepotrzebny mi ten statek. Ale przydałby mi się dług wdzięczności u przyszłej cesarzowej Cartorry. Wyobraź sobie, Safiyo fon Hasstrel, ile mogłabym zdziałać z takim długiem do ściągnięcia.

Przerażenie wypełniło jej płuca, zadzwoniło w uszach rytmem serca. Oczywiście, że Kahina się dowiedziała, z kim ma do czynienia. Ta informacja nie była objęta tajemnicą. Ale wszystko wskazywało na to, że admirał nie odkryła, że Safi jest prawdopodobnie. I nie odkryje.

– Oto moja propozycja, dziewczyno. – Kahina delikatnie, ale stanowczo zacisnęła dźwignię, aż pociemniało Safi przed oczami. – Powiem wszystkim, że wygrałaś tę walkę i odejdziesz ze swoją załogą. Ale w zamian ty będziesz mi winna przysługę. Będę mogła zażyczyć sobie, czego tylko zechcę, a ty spełnisz moją prośbę. Upomnę się o to pewnego dnia. – Jej słowa przepęłniała prawda. – Umowa?

Safi zaszamotała się w jej uścisku, wierzgnęła jak złapana w sieć ryba. Ale zaczynało brakować jej tchu, a tak się pechowo składało, że za dawnych lat mocno zaniedbała naukę wyswobodzenia się z dźwigni. Statek, twarz Kahiny, niebo – wszystko zamazywało jej się przed oczami. Nie miała wyjścia. Musiała przystać na jej propozycję.

– Dwa... warunki... – wykrztusiła mimo wszystko, choć nietrudno było się domyślić po głosie, że zaraz zemdleje z braku powietrza. Kahina przychyliła się do niej i nadstawiła ucha. – Nikogo dla ciebie nie zabiję i... I sama nie dam się zabić.

Uśmiech Kahiny się poszerzył.

– A zatem zgoda – oznajmiła, a na dźwięk jej słów po skórze Safi przemknęła magia i zabłysła w kącikach oczu. Pierścień Kahiny zamruczał magiczną energią. – A teraz powal mnie, dziewczyno, i zacznij okładać, aż nie będę błagać...

Nie musiała dwa razy powtarzać. Safi zarzuciła biodrami i tym razem admirał zwała się na deski. Jak zza ściany doszły ją wiwaty piekielnych bardów i Cartorrian.

Fałsz, fałsz, fałsz. Kahina upadła na deski, a Safi wskoczyła na nią. Fałsz, fałsz. Kolejne wiwaty i więcej krwi – i więcej fałszu. Jej własne kłamstwa. Kłamstwa w dobrej sprawie.

– Dość – wyjęczała Kahina. – Dość! – Zacisnęła powieki przed jej pięściami. – Dość, dziewczyno, dosyć!

Safi przestała i zwlekła się z silniejszej, niższej, mądrzejszej kobiety.

– Statek jest nasz – wydyszała na tyle głośno, by słyszały obydwie załogi. – Zabieraj swoich ludzi i wynoś się.

Fałsz, fałsz, fałsz.

Kahina westchnęła tylko, schodząc z pokładu, nawet przekonująco udając pobitą, twarz miała opuchniętą. Ale zmysł Safi nieustannie krzyczał o fałszu.

– Idziemy. Oddaję jednostkę.

Walka skończona, umowa zawarta.

Safi nie patrzyła już na opuszczającą pokład admirał. Nie spoglądała na cartorriańskich marynarzy, którzy z uśmiechami na twarzach przejmowali statek. Nie podniosła wzroku

na piekielnych bardów kłócących się z Vanessą. Potoczyła się ospale na rufę i zatopiła spojrzenie w mulistej zatoce. Za jej plecami przetaczała się przez Saldonikę wojna.

Ale choć obejmowała wzrokiem rozfalowany błękit saldonickiego morza, barwiony kroplami krwi, kapiącymi z jej nosa, policzków i ust, myślami była zupełnie gdzie indziej.

Na jej dłoni leżał kamień Więzi, który lśnił i połyskiwał, nieomylnie informując o niebezpieczeństwie, w jakim znalazła się Iseult. Jakby z niej szydził: nic nie możesz na to poradzić, módl się do bogów i miej nadzieję, że któryś cię wysłucha.

## ROZDZIAŁ 39

Górski nietoperz. Iseult nie wiedziała, dlaczego jego widok tak ją dziwił. Był w końcu stworzeniem, które naturalnie lgnęło do zbryzganych krwią pobojuwisk.

Czas zwolnił, gdy stała u boku Aeduana, bacznie obserwując lecącego potwora. Po jego czarnym, kudłatym cielsku przebiegł dreszcz, a wraz z nim siwy połysk. Otrząsnął się z deszczu. A potem rzucił się na Iseult z otwartą szeroko paszczą i obnażonymi kłami.

Instykt przejął kontrolę nad jej ciałem. Zawirowała i dobyte kordelasa. Nigdy jeszcze nie czuła się tak silna jak teraz. Nie mogła się nadziwić temu nagłemu przyływowi mocy i między oddechami naszała ją błyskawiczna myśl, że...

Że to dzięki ogniodziejowi.

Jednak jej szybkość wciąż nie mogła się równać ze zwinnością Aeduana. Jego miecz ciął już potwora w miejsce, które sobie upatrzyła. Wraz z deszczem chlusnęła na ziemię krew i prysnęły kępki futra.

Srebrne nici rozbłysły światłem. Iseult nie sądziła, by udało jej się rozszczepić potwora. Lecz już sam fakt, że tak desperacko tego pragnęła, sprawił, że żołądek podszedł jej do gardła. Ale to nie był dobry czas na rozmyślania. Jeśli chciała wyjść cało z tego starcia, musiała dobrze wykorzystać swoją nową siłę.

Aeduan przypadł do ziemi, gotując się do zadania ciosu, ale nietoperz już pikował, mknąc na nich jak wielki, skrzeczący cień. Czarodziej wymierzył cios prosto w paszczę stwora.

Iseult zaszarżowała naprzód, a z jej ust wydobył się okrzyk.

– Do mnie! Chodź do mnie!

Pół sekundy. Tyle zyskał Aeduan na odwróceniu uwagi potwora przez Iseult. Wystarczyło. Puścił się pędem w stronę najbliższego drzewa i wspiał się na nie trzema prędkimi krokami, a następnie wystrzelił w powietrze, gotów przebić nietoperza

na wylot. Frunący szybko stwór, stabilizujący lot wielkimi błoniastymi skrzydłami, nie mógł w żaden sposób uniknąć uderzenia. Aeduan uniósł miecz, zamierzał zadać cios z całą swoją siłą i magią...

Niespodziewanie Iseult zobaczyła, jak srebrne nici nietoperza oblewają się nową barwą, która wyrażała niespodziewaną emocję i która, zdaniem Iseult, rozbłysła wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu. A jednak wyraźnie widziała, że srebrne włókna przetknięte są różem, jaki pojawia się czasem podczas zachodu słońca.

Nici, które wiążą.

Ostrze Aeduana zetknęło się z ciałem i futrem. Czubek szpiczastego ucha, kawał mięsa wielkości głowy Iseult, plasnął o przesiąkniętą deszczem ziemię.

Górski nietoperz zaskrzeczał, ryjąc pazurami w ziemi. Jego potężny dech owionął Iseult i rzucił ją na ziemię, a potem stwór poderwał swoje węzowe cielsko, okręcił je, łopocząc wielkimi skrzydłami i wprawiając ziemię w drżenie z każdym rozkołysanym krokiem.

A następnie wzbił się z powrotem w powietrze.

Słoneczne nici załśniły jaśniej, mknąc za potworem w kierunku wodospadu. W kierunku ledwie widocznych w oddali odległych plamek przerażonych, zniszczonych nici. Dziwnie znajomych.

Sowa. Górski nietoperz był związany niemi z Sową.

Aeduan podszedł do więziodziejki, zataczając się, ściskając w ręce umazane posoką ostrze. Policzki miał szkarłatne, a oczy nabiegłe krwią.

– Wodo... grzmoty – wydyszała. – Sowa jest nieopodal wodospadu. A nietoperz... jest z nią związany.

Zamrugnął zmieszany. Dwa roztrzęsione oddechy. A potem zrozumiał.

– Pewnie dlatego szukają jej piraci. Dziecko, które umie kontrolować... górskiego nietoperza. – Wytarł twarz ramieniem, a potem podał rękę Iseult.

Złapała ją, przeplotła palce z jego palcami. I pobiegli razem.



Świat stał się rozmazanym ciągiem plam z wyżłobionego kamienia i przydymionego deszczu. Iseult nie widziała niczego poza przemykającym pod stopami podłożem i filarami pstrzającymi ich drogę. Jej biały płaszcz powiewał za nią, uścisk Aeduaana nie zelżał ani na moment.

Tak jak nie zelżały wrzaski rannego nietoperza, który znowu zaczął atakować. Srebrne nici pokryły się różem i zafalowały bliżej. I jeszcze bliżej. Ale Iseult wiedziała, że nie były skierowane na żaden konkretny cel. Bestia atakowała bez określonego zamiaru, zrozpaczona, że Sowa ponownie została uwięziona.

Iseult domyśliła się, gdzie nietoperz skieruje kolejne uderzenie.

– Lewo! – krzyknęła i jak jeden organizm ominęli kolumnę wąską jak młode drzewo.

Srebrne nici. Potępieńczy wrzask. Górski nietoperz poszybował w dół.

Filar zwałił się na ziemię.

Aeduan wysuwał się na prowadzenie, ale tym razem jego palce wpiły się w ramię Iseult, a ona uprzytomniła sobie, że nietoperz cofa się i zamiast po raz kolejny zapikować, unosi się w powietrzu.

Sowa musi być gdzieś blisko.

– Rzeka! – krzyknęła więziodziejka, a Aeduan natychmiast zmienił kierunek. Wypadli z lasu na polanę, gdzie powitała ich Amonra. Biała piana przybrała czerwoną barwę. Rzeką płynęły trupy.

Trwała bitwa. Powietrze przeszywały strzały, wybuchały słoje wypełnione morskim ogniem, zewsząd rozlegał się szcęk oręża. Pole bitwy ogarnął chaos, walczącym było już wszystko jedno, kogo mordują. Brutalne, złańnione przemocy nici ograniczały jej pole widzenia i mamiły wzrok. Krew wsączała się w ziemię.

Habim powiedział kiedyś Iseult, że wojna jest bezsensowna, to piekło. Zawsze sądziła, że mówił metaforycznie, miał na myśli to, że w wojnie nie ma zwycięzców, ale teraz rozumiała dokładnie, o co mu chodziło: wojna wyglądała na uporządkowaną na mapach i w meldunkach, lecz w rzeczywistości przypominała ogarnięty pożarem dom publiczny. A skala rozpętującej się na jej oczach

wrzawy tłamsiła jej zmysły, zamazywała wzrok, zagłuszyła słuch. Nawet jej magia drgała i trzęsła się, jakby nie mogła sobie znaleźć miejsca.

Przed nimi, u stóp wodospadu, czekała Sowa. Jej spanikowane, drżące nici przebijały się lśnieniem przez zasłonę unoszącej się z rzeki mgły.

Rozległ się dźwięk spuszczonej cięgiwy i natychmiast niebo zrobiło się czarne od roju strzał lecących ze szczytu klifu.

Aeduan rzucił się w prawo i wciągnął Iseult za kamienie. W samą porę, sekundę później strzały dobiegły celu. Żołnierze, wierzchowce, Krwawe Żagle i Baedyedowie – wszyscy padali jak zboże pod ostrzem kosy.

Ale nie wolno im się było zatrzymywać. Iseult i Aeduan mogli tylko biec naprzód przez siąpiący deszcz. Dopadli ich mężczyźni z obnażonymi mieczami, ale dopóki miała u boku Aeduana, nie stanowili dla Iseult zagrożenia. Pędzili przez pole bitwy, skacząc, wirując, uchylając się przed szablami, przetaczając i nie zwalniając tempa. Harmonijnie i bezbłędnie, jakby tańczyli ćwiczony wielokrotnie taniec, którego treścią są nici i krew.

Już prawie dobiegli do wodospadu. Od Sowy dzieliło ich kilka kroków.

Mgła skłębiła się wokoło, wprawiona w ruch wielkimi skrzydłami górskiego nietoperza. Podleciał blisko z wyciągniętymi szponami i rozdziawioną paszczą.

Nagle, w kilka chwil mgła zupełnie się rozviała, ujrzeli przed sobą Sowę. Pilnowało jej dziesięciu żołnierzy, reszta leżała na ziemi rozbita o skały lub płynęła z nurtem w dół rzeki – tak zabijał górski nietoperz. Nawet w tej chwili szarpał pazurami rzucającego się na wszystkie strony Baedyeda, a potem wzleciał w powietrze z nieszczęśnikiem w szponach, by wrzucić go z pluskiem w rwący nurt Amonry. Wydał z siebie skrzekliwy odgłos, a gdy ponownie opadł w kierunku ziemi i znowu rozpędził wodną mgłę, Iseult pochwyciła wzrokiem wszystko, co potrzebowała zobaczyć: dziesięciu żołnierzy – wkrótce zapewne już tylko ośmiu – stało między nimi a Sową, dziewczynka kulila się przy skale z workiem zarzuconym na głowę.

Z prawej strony biegł ku nim Krwawy Żagiel. Aeduan złożył się do ciosu i prasnął go otwartą dłonią i w efekcie powalił na ziemię. Ale nie zabił go, żołnierz po prostu znieruchomiał jak posąg.

Owionęła ich mgła. Górski nietoperz zatrzepotał skrzydłami nad samą ziemią. Nadszedł czas, by wkroczyć do akcji.

– Zabierz Sowę! – wrzasnęła Iseult do Aeduana, wyplątując się z jego uścisku.

Obróciła się przodem do pozostałych żołnierzy zajętych odpieraniem ataku bestii, którzy nie dostrzegli więziodziejki. Warcząc, rzuciła się na najbliższego z żołnierzy, stojącego ze wzrokiem utkwionym w niebie, skąd nękał ich potwór. Okręciła się za jego plecami i z rozmachem kopnęła go w kolano. Trzasnęła kość, mężczyzna padł na ziemię. Kamienie nad samą rzeką były śliskie, a nieopodal grzmiała Amonra, wróg, na którego nie było mocnych. Poprawiła kopniakiem w gardło. Żołdak wpadł do spienionej wody, stając się jej kolejną ofiarą. Zostało jeszcze siedmiu.

Nagle zatrzęsa się ziemia.

Nie, nie ziemia. Kamienie. Wygładzony przez nurt żwir zalegający na brzegu zafalował i zaszumiał jak morskie fale. A wszystko to za sprawą prawie niewidocznych ciemnozielonych nici.

Iseult przesunęła po nich wzrokiem, starając się spojrzeć przez mgłę... Nici wiodły do Sowy. To były jej nici Więzi i jej magia.

Więziodziejka nie miała czasu się zastanawiać, co to oznaczało ani jak ją powstrzymać. Kolejny żołnierz wziął ją na cel i złożył się do ciosu szabłą. Iseult przypadła do ziemi. Klinga świsnęła nad głową. Za blisko, zarówno ostrze, jak i jego właściciel. Nie miała pola manewru, potrzebowała przestrzeni. Ale skoro nie miała przestrzeni, może nadadzą się srebrne nici. Padła na żwir, a nietoperz odwalił całą robotę za nią, powalając trzech mężczyzn za jednym zamachem.

Jeszcze tylko czterech.

W tej sekundzie Aeduan zerwał Sowie worek z głowy. Jej nici pomknęły wysoko nad głowę, jakby niesione mocą eksplozji. Iseult

nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego. Ziemia zadygotała. Górski nietoperz zaniósł się wrzaskiem. Pole bitwy okrył płaszcz utkany z nici ziemiodziejki.

Nogi ugięły się pod Iseult i padła na śliską skałę. Zgubiła kordelas i natychmiast zaczęła go po omacku szukać. Amonra grzmiała jej nad uchem. Iseult omsknęły się ręce i potoczyła się w jej kierunku. A potem rzeka ucapiała ją za nogę lodowatymi szponami. Poczowała ją wokół siebie, nurt wydusił jej powietrze z płuc i myśli z głowy.

Przez trzy długie, odbijające się echem w jej wnętrzu uderzenia serca mroźne, krwawe wody kotłowały się wokół niej. Tkwiła uwięziona przy brzegu, ale uparcie wciągana pod wodę przez nieustępliwy prąd.

Wtedy ziemia wybuchła pod nią, zachrzęściła i trzasnęła, wysadzając ją z wody, jak matka wyjmując dziecko z kąpieli, niosąc ją na brzeg. A potem kamienie wrzuciły Iseult prosto w ramiona Aeduana.

Postawił ją na ziemi i coś wykrzyczał. Odgadła, że kazał jej biec. Jak najszybciej, rzecz jasna. Ledwie zarejestrowała jego słowa, bo całą uwagę poświęcała skręcającym się niciom ziemiodziejki.

Zmrużyła powieki, próbując dostrzec gramolącą się na klif Sowę, osłanianą przez górskiego nietoperza, który nie pozwalał się zbliżyć żadnemu żołnierzowi i odbijał strzały obszernymi ruchami skrzydeł.

To nie miało sensu. Dziecko, które umie poruszyć ziemię? Dziecko, które kontroluje górskiego nietoperza? Ale nie mogła zaprzeczyć temu, co widziała na własne oczy i czuła na własnej skórze.

Momentalnie znaleźli się przy niej, Aeduan bez słowa przerzucił ją sobie przez plecy, a ona objęła go, błyskając niemi w kolorze zachodzącego słońca.

A potem cała trójka zaczęła się wspinać na klif, podczas gdy nad ich głowami unosił się stwór z legend, zmora pobojuwisk, oczyszczając przed nimi ścieżkę.

\*\*\*

Merik i Vivia stali na wodnym moście. Brat po jednej stronie, siostra po drugiej.

Ku nim sunęła spieniona ściana wody, wysoka jak tama i miasto, którego już nie chroniła. Fala powodzi uderzy w nich lada moment. Wiatry, ciepłe i słabe, ale za to w całości jego własne, stawily się na wezwanie Merika. Vivia przywołała swoje pływy.

Spojrzeli sobie w oczy. Dwoje Niharów, dwoje czarodziejów. Brat i siostra, którzy nigdy tak naprawdę się nie poznali i nigdy nie próbowali się poznać.

Nadeszła powódź.

Ich ramiona wystrzeliły w górę. Wiatry, pływy, moc. Ściana magii, która rzucała wyzwanie białej pianie. Merika rzuciło w tył, ślizgał się, bezskutecznie próbując wczepić się stopami w mokre kamienie, gdy wyły nad nim jego wichry. Wrzasnął przeraźliwie, otworzywszy szeroko usta, a z jego gardła buchnął nowy huragan. Mocniej, jeszcze mocniej. Nietknięta dotąd studnia głęboko w jego wnętrzu odpowiedziała na wołanie, źródło nienależące do Kullena, lecz do niharskiej krwi. Do siostry, która u jego boku rzucała wraz z nim wyzwanie żywiołowi.

Nie było gniewu, nie było nienawiści ani miłości, nie było przeszłości. Tylko terażniejszość. Tylko masa wody przed nimi, która sunęła coraz wolniej, bryzgając wokoło pianą.

I która w końcu się zatrzymała.

Merik uniósł nogę i zrobił krok naprzód, zmuszając się do wysiłku, napierając wichrem z całych sił, odpychając ścianę wody mocą mięśni i umysłu. Powoli, cal po calu, parł naprzód przez zieloną dolinę pod odartym z chmur błękitnym niebem.

Vivia towarzyszyła mu w drodze przez most. Szli w jednym rytmie. Raz. Dwa. Pchaj. Walcz. Trzy. Cztery. Nie zatrzymuj się.

Powódź cofała się stopniowo. Walcz. Pchaj. Nie zatrzymuj się.

Wtedy o most łupnęła i rozprysła się bryła lodu, przez co Merik na moment stracił koncentrację, a to wystarczyło, by masa wody posunęła się o kilka z takim trudem zdobytych cali.

Stix, domyślił się Merik. Pędziła w ich stronę na lodowej płycie, którą dla siebie wyczarowywała. Wskoczyła między nich

i przybrała tę samą pozycję, po czym włączyła się do walki.

Ściana wody drgnęła i zachybotała się.

Walcz. Pchaj. Nie zatrzymuj się.

Wokół nich wyrastali jak spod ziemi czarodzieje i czarodziejki. Wiatry i pływy. Skały i ziele. Zarówno cywile, jak i żołnierze, wszyscy sunący przed siebie w rytmie nadawanym przez dwoje Niharów.

Posuwali się najpierw z mozołem, potem coraz szybciej, aż wkrótce cała gromada maszerowała rażno, wyprostowana, a potem zaczęła biec.

Wreszcie zatrzymali się przed samą zdruzgotaną tamą. Woda wracała na przynależne jej miejsce, ustępując przed lodem, korzeniami i skałą, z których wznosiły nową tamę setki czarodziejów, setki Nubrevenów.

Aż w końcu okazało się, że Merik nie ma już nic do roboty. Odwrócił się więc od zasklepiającej się tamy i napotkał spojrzenie Vivii. Skinęła do niego, a przez twarz przemknęło jej coś na kształt uśmiechu.

Merik odpowiedział skinieniem, nakładając na głowę swój przemoczony kaptur i kierując się już do Lovats. Jego siostra sprawowała pieczę nad tą bitwą, nad czarodziejami i nową tamą rosnącą na ich oczach. Nie potrzebowała niezdarnej, nieudolnej pomocy. A zwłaszcza pomocy trupa.

Merik opuścił wodny most i pofrunął na skrzydłach wiatru w kierunku Twierdzy.

\*\*\*

Aeduan szedł od kilku godzin z Sową na plecach i więziodziejką pięć kroków za plecami. W powietrzu nad nimi kołował górski nietoperz.

Dopiero co opuścili Ziemię Niczyją. I choć Aeduan odbił nieco na północ od początkowego kierunku, który obrali wraz z Iseult, nie odważył się jeszcze zwolnić tempa.

Tak jak nie ośmielił się postawić Sowy na ziemi. Jego ramiona od dawna już nie bolały, tylko rwały agonialnym bólem, ale dziewczyna zasnęła na jego grzbiecie. Jeśli ją obudzi i postawi na ziemi... To będą szli o wiele za wolno.

Zezwolił na postój dopiero wtedy, gdy słońce schowało się za nubreńskimi sosnami, których długie cienie skąpały ich ścieżkę w popołudniowym półmroku.

Znaleźli się przy stawie wypełnionym mroźną, przejrzystą wodą, do którego zstępowały korzeniami pobliskie drzewa. Zanurzona do połowy ściana starożytnego budynku wystawała z najdalszego skraju zbiornika.

– Jesteśmy sami – wychrypiała więziodziejka. Jej głos wciąż nie wrócił do normy po tym, jak nawdychała się dymu. – Powinniśmy się już zatrzymać.

Słowa te przerwały kilkugodzinną ciszę. Aeduan przez moment w ogóle ich nie rozumiał, jakby zdążył odzwyczaić się od ludzkiej mowy. A potem pojął, że towarzyszka mówi po dalmocku, nie po nomatsańsku. Nie chciała, żeby Sowa zrozumiała.

– Nie wyczułam w okolicy nikogo, odkąd zaczęło zachodzić słońce. – Machnęła w kierunku horyzontu. – No i... pić mi się chce. – Tyle. Nie miała więcej argumentów pod ręką.

Aeduan otworzył usta, by zaproponować, ale w tym momencie Sowa ruszyła się na jego rękach. Ziewnęła. Postawił ją więc na ziemi, wytrzymując przenikliwy ból mięśni. Stała na nogach i przeciągnęła się, jakby była najnormalniejszym w świecie dzieckiem wybudzonym z drzemki.

Po powierzchni wody przemknęły cztery uderzenia wiatru, które szarpnęły płaszczem Aeduana, gdy zdejmował go z ramion. Górski nietoperz przysiadł na zatopionej ścianie, to wodząc długim, zakończonym kępką ogonem w kątach zrujnowanej budowli, to muskając nim wodę, jakby badał temperaturę przed kąpielą.

Sowa nawet nie spojrzała na olbrzymie zwierzę, które teraz czyściło futro niczym wielki kot, zaczynając od zakrwawionego prawego ucha. Wyglądało na to, że całą swoją uwagę dziewczynka poświęca naśladowaniu Iseult, która minęła głązy otaczające staw i piła wodę ze złączonych dłoni.

– Siostrzyczko – zwróciła się Iseult do pijącego łapczywie dziecka. – Jak brzmi twoje prawdziwe imię?

Sowa puściła jej słowa mimo uszu, a Iseult posłała Aeduanowi bezradne spojrzenie.

Krwiodziej wzruszył ramionami. W końcu Sowa to nie pierwsze dziecko, które straciło głos przez wojnę.

Ale więziodziejka nie ustawała w staraniach mimo przemożnego zmęczenia.

– Czy umiesz mówić, siostrzyczko? Cz-czy możesz nam powiedzieć, jak się nazywa twoje plemię? Cokolwiek?

Dziewczynka dalej chlapała się w stawie, jakby Iseult wcale nie stała obok.

Wieżiodziejka wydała z siebie ciężkie westchnienie i poddała się. Wstała i przeskoczyła nad kamieniami. Półmrok nie zdołał ukryć tego, jak była brudna. Końcówki czarnych włosów miała nadpalone.

To nie ta sama więziodziejka, którą Aeduan spotkał na nomatsańskiej ścieżce. Nie ta sama, która ćwiczyła z nim tego dnia rano. Ta kobieta uległa przemianie. Aeduan wiedział to, bo kiedyś to samo przytrafiło się jemu. Wkrótce więziodziejka się nauczy, tak jak on, że nie sposób wygrać w walce z własnymi demonami. Po dzisiejszym dniu już zawsze będzie rozprostowywać i zaciskać palce dokładnie tak, jak robi to teraz. Zataczać kręgi nadgarstkami i strzelać karkiem. Rozciągać zuchwę i zastanawiać się, kto dzisiaj zginie z jej ręki. Kto nie zdoła się jej wymknąć. I po dzisiejszej nocy już zawsze będzie myślała o uwolnieniu się od nachodzących ją we śnie koszmarów. Będzie uciekać, walczyć i zabijać w nieskończoność, żeby tylko się upewnić, że duchy są prawdziwe.

A są prawdziwe.

Aeduan rozważał, czy nie powinien czuć wyrzutów sumienia. W końcu rozszczepiła człowieka, żeby go uratować. Ale nie palił go w piersi żar, nie dopadły go mdłości. I tak prędzej czy później odkryłaby swoją prawdziwą naturę.

– Twoja przyjaciółka znów jest w ruchu – poinformował ją, gdy do niego podeszła. Z jej mokrych palców kapłała na ziemię woda. – Zgaduję, że jest gdzieś nad samym morzem. Nie zdążyłabyś jej dogonić, nawet gdybyś wyruszyła od razu po naszym rozstaniu.



Iseult nic nie powiedziała, ale utkwiała twarde spojrzenie w oczach Aeduaana. Wiedział, że muszą być jaskrawoczerwone od powieki do powieki. Złapanie zapachu prawdopodobiejki zmusiło go do całkowitego wydrenowania się z energii, z tej resztki, która w nim została.

– Rodzina Sowy pewnie nie żyje – powiedziała po dłuższej chwili ze wzrokiem wciąż utkwionym w krwiodzieju.

– Prawdopodobnie – przytaknął.

– Dokąd więc chcesz ją zabrać? Nie sądzę, by któraś rodzina chciała mieć nietoperza górskiego za zwierzątko domowe. – Mówiła monotonnym tonem, jak zwykle, ale nie umknęła mu żartobliwa nuta.

– I krwiodzieja za domownika – odpowiedział również żartem.

Kąciki jej ust powędrowały do góry na ułamek sekundy, ale zaraz na powrót utworzyły poziomą kreskę.

– Ani splotodziejki.

To słowo zawisło między nimi w przedłużającej się ciszy. Aeduan nie spierał się z nią. Była tym, czym była, a walka z własną naturą nie przynosiła walczącemu nic poza cierpieniem. Czasem kończyła się śmiercią. Dlatego właśnie zdecydował się powiedzieć:

– Klasztor Caraweński nikogo nie odprawia z kwitkiem.

– Nawet jeśli ten ktoś jest górskim nietoperzem? – znowu siliła się na żart.

– Nie, jeśli służy Cahr Awenowi.

Stężała, a Aeduaana naszała myśl, czy może zbyt prędko wspomniał o Cahr Awenach. Trudno spoglądać w Otchłań, a co dopiero, kiedy Otchłań odwzajemnia spojrzenie.

W tej chwili zrobiła to ponad wszelką wątpliwość. Ta swoboda w jej postawie. Drganie gorącego języka między wargami. Jeśli rzeczywiście była splotodziejką, była też zespolona z Otchłanią. A jeśli była otchłaniarzem, to mogła być Cahr Awenem. Teraz to rozumiała.

Aeduan również.

– Klasztor Caraweński. – Słowa wleciały z jej ust jak modlitwa. Mrugnęła i dodała: – Myślałam, że już nie jesteś

mnichem.

– Dlatego właśnie – wyprostował się – nie zostanę zbyt długo. Zostawię Sowę i nietoperza. I ciebie. A potem wrócę do Lejny po swoje monety. – I może zapoluję na księcia Leopolda, pomyślał.

Iseult pokiwała głową, jakby ten plan jej odpowiadał. Z jakiegoś powodu dotknął go ten gest. Zupełnie jakby miał nadzieję, że dziewczyna zaoponuje.

Czymkolwiek było to dziwne uczucie, zniknęło tak szybko, jak się pojawiło. Wrócił wzrokiem do Sowy, która zapuszczała się głębiej w pogrążony w cieniu staw. Nietoperz chłostał ogonem ścianę, a Aeduan nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wyraża w ten sposób niezadowolenie. A może rozbawienie? Nie umiał ocenić.

Iseult zostawiła Aeduana i zawołała do Sowy, by uważała.

Co sprawiło, że Aeduan, tak jak zawsze, znalazł się na obrzeżach sceny i obserwował z boku życie toczące się swoim torem pod ciemniejszym niebem.

## ROZDZIAŁ 40

Już tu kiedyś byłam, pomyślała Safi, powiódłszy wzrokiem po białych liniach brzegu przesuających się za burta. Podmokły brzeg Saldoniki dawno zniknął jej z oczu. Zachodzące słońce malowało fale ognistą barwą. I to, co widziała w pokrytym morską solą oknie ponad nimi.

Rzeczywiście, była tu kiedyś. A teraz płynęła tędy na okręcie kierującym się do Azmiru, gdy ktoś opatrywał jej rany. Ból uderzał w nią jasnymi rozbłyskami za każdym razem, kiedy Caden dziurawił igłą skórę nad jej brwią. Gdyby nie sztywne oparcie i przysadziste podłokietniki krzesła, już z dziesięć razy spadłaby na podłogę, bo choć wiedziała, że piekielny bard jest tak delikatny, jak tylko może, wciąż bolało jak diabli, kiedy łątał jej rany po starciu z Kahiną.

Siedziała w kabinie kapitańskiej już dobrą godzinę. Najpierw Lev ponownie złamała i nastawiła jej nos. Choć bardzo nie chciała krzyczeć, wyła z bólu jak potępieniec, zalewając się krwią. Pomimo dojmującego bólu i morza łez Lev i tak rzuciła na odchodnym, że nos pewnie już nigdy nie będzie wyglądał jak przedtem. Safi wzruszyła na to ramionami. Kahina zabrała z pokładu magiczną apteczkę, prawdopodobnie zdawała więc sobie sprawę, że do końca życia zachowa pamiątkę po walce z nią w postaci blizn i krzywego nosa. Jednak nie przejmowała się tym specjalnie. Miała poważniejsze zmartwienia. Jak choćby kamień Więzy, żeby daleko nie szukać. Co prawda przestał migotać, więc Iseult była bezpieczna, ale na jak długo?

– Źle cię oceniłem – odezwał się Caden, rozprasząc jej myśli. To jego pierwsze słowa niezwiązane z szyciem i opatrywaniem ran, jakie do niej wypowiedział od godziny. – W Veñazie wziąłem cię za osobę nierozważną, naiwną i samolubną.

Nie powstrzymała się i obrzuciła go wymownym spojrzeniem.

– Dzięki.

Igła zakłuła boleśniej.

– Nie ruszaj się, domno.

Safi pociągnęła nosem, próbując rozluźnić zmarszczoną twarz.

– Dałaś dowód odwagi, wyzwawszy admirał na pojedynek – ciągnął. – Również dowód graniczącego z szaleństwem braku rozwagi, ale muszę przyznać, że to było cwane posunięcie. I zupełnie pozbawione cech samolubstwa. A to, co zrobiłaś w tawernie w Saldonice... Doprawdy, źle cię oceniłem.

– A ja – wymamrotała, pilnując, by nie poruszyć twarzą – nie przyjmuję tych, poźalcie się bogowie, przeprosin.

Caden mruknął coś, na wpół się śmiejąc, a potem pochylił się, by związać końcówki szwu. Sekundy toczyły się wolno, ból łomotał jej w czaszce, a Safi nie mogła patrzeć na nic innego, tylko na złoty łańcuch dyndający jej przed oczami.

Pętla piekielnych bardów.

Caden się wyprostował.

– Nie jest źle. Teraz poproszę o prawy nadgarstek.

Safi usłuchała, a on uniósł jej rękę do światła. Zbadał palcami siniak rozlewający się na jej przedramieniu.

– Bardzie – zwróciła się do niego.

– Hm? – Ułożył jej rękę na swoim kolanie dłonią do góry, a potem sięgnął po igłę i nić.

– Czy powiedziałaś cesarzowi, kim jestem? Na czym polega moja magia?

– Nie powiedziałem – zaprzeczył bez wahania, nawlekając igłę. Miedź łysnęła w promieniach słońca. – Ale potwierdziłem to, co wiedział już z innych źródeł.

– Aha – wypuściła powietrze z płuc i zawisła na krześle. Rozparła się i obserwowała, jak Caden dezynfekuje długie rozcięcie zamoczonym w wodzie lnem. Wypłynęła świeża krew, a wraz z nią świeża porcja bólu.

Zmusiła się do mówienia.

– Skąd wiesz, czym jest moja magia? Co dokładnie robią piekielni bardowie? Obiecałeś wyjaśnić, jeśli przeżyjemy.

– Miałem nadzieję, że o tym zapomnisz. – Łypnął na nią. – Chyba prawdopodobnie nie da się wykiwać.

– Odpowiedz na pytanie.

– Powiedzmy po prostu.... – Zagryzł wargę. – Powiedzmy, że piekielni bardowie sami byli kiedyś heretykami. Tak jak ty. – Umilkł i odłożył na bok zakrwawiony materiał, a potem złapał za igłę. – Odebrano nam naszą magię, domno. W ramach kary. Teraz służymy człowiekowi, który tego dokonał. Umieramy, gdy zdejmujemy pętle.

Safi zassała powietrze i zacisnęła oczy z bólu, gdy wbił igłę w jej ciało. A potem przypomniało jej się, jak wuj Eron zdjął swoją pętlę na kilka chwil, by mogła odczytać go swoją magią.

Włożył ją z powrotem, gdy tylko to zrobiła.

Otworzyła oczy i zobaczyła z bardzo bliska czoło Cadena. Miał na nim piegi. Nie zauważyła ich wcześniej.

– Kiedy macie na szyi pętlę, nie działa na was magia. Jak to się dzieje?

– Nie mogę wyjawić ci wszystkich swoich sekretów, domno. Bo wtedy uciekniesz, a cesarz nas powiesi. Tym razem na prawdziwych pętlach. – Prychnął śmiechem, ale był to śmiech zaprawiony smutkiem.

Nie zdążyła zapytać o nic więcej, bo rozległo się skrzypienie zawiasów. Do kabiny wkroczyła dumnie cesarzowa Marstoku, powiewając upapraną musztardową suknią, w której uciekła z Saldoniki. Kahina nie zostawiła na pokładzie nic poza beczkami słodkiej wody i meblami, więc nie spodziewali się znaleźć tam czystej odzieży.

Vanessa stanęła pomiędzy Safi i oknem. Twarz miała spokojną. Zwodniczo spokojną. Choć wróciła do siebie po infekcji krwi i choć kuter płynął prościutko do Marstoku, nadal trzymała gardę, nigdy zupełnie jej nie opuszczała.

– Długo jeszcze, piekielny bardzie? – spytała.

– Parę minut.

– Więc porozmawiamy teraz.

– Dobrze. – Caden nie spowolnił ani nie przyspieszył ruchów. Poruszał się zdecydowanie i ostrożnie, wydzielając Safi kolejne, oszczędne impulsy bólu.

– Dotrzemy do Marstoku rano, Safi. W ramach wdzięczności za wszystko, co zrobiłaś od opuszczenia Nubrevny, chcę dać ci wybór. Możesz albo zostać z piekielnymi bardami i wrócić do ojczyzny, albo popłynąć ze mną do Azmiru. Gdy już pomożesz mi oczyścić dwór z korupcji, będziesz mogła zrobić, co zechcesz. A ja... – Zrobiła pauzę i na ułamek sekundy pękła nieskazitelna maska jej spokoju, zza niej mignęła szczerą nadzieją. – A ja obdarzę cię dostatecznymi funduszami, byś mogła się udać, gdziekolwiek zechcesz, i zaczęła nowe życie.

Słowa cesarzowej – jej oferta – opadły na kabinę, jak świeże prześcieradło opada na łóżko, nim wreszcie spocznie na sienniku.

– Wybór... – Safi smakowała to słowo, czując, że dopiero teraz Caden zwolnił ruchy. Uniosła rękę do kamienia Więzi. Przesunęła posiniaczonymi, spękany kłykcami po stalowym łańcuchu, który założyła jej Vanessa dokładnie siedemnaście dni wcześniej.

Tyle się wydarzyło w tym czasie. Wędrówka z Vanessą, spotkanie z piekielnymi bardami... Żadne z nich nie było już jej wrogiem.

Prawda, prawda. Safi ścisnęło w gardle na tę myśl. Obleciał ją dreszcz. Jeśli pojedzie do Cartorry, straci wolność, a Iseult może już nigdy jej nie odnajdzie. Safi będzie jeńcem w pięknych szatach cesarskiej oblubienicy, będzie uwięziona na pozycji cesarskiej prawdodziejki, zamknięta w złotej klatce cesarskiego pałacu.

Ale w Marstoku... W Azmirze... Miała szansę na normalne życie. Kiedy już upora się ze skorumpowanymi politykami, będzie mogła pójść swoją drogą. I jeszcze lepiej, będzie miała środki, by się wyżywić i ubrać. I wreszcie, wreszcie będą mogły z Iseult zacząć nowe życie.

Ale co z piekielnymi bardami? Powrót do Cartorry bez Safi oznaczał dla nich wyrok śmierci. Caden dopiero co jej to wyjawiał. A Safi nie po to ratowała im skórę, żeby Henrick i tak wszystkich powiesił.

Straciła już Merika Nihara. Nie ma zamiaru stracić nikogo więcej.

– Pojadę z tobą do Azmiru – zakomunikowała, siląc się na autorytatywny ton – a piekielni bardowie pojedą ze mną.

W charakterze ochrony.

Słowa popłynęły przez kabinę. Vanessa wyglądała na zmieszaną. Caden przestał szyc. Gapił się tylko na Safi wielkimi oczami, a na jego wargach pełzało coś, co mogło przerodzić się w nieładny grymas. Cisza dzwoniła im w uszach przez kilka uderzeń serca. Aż wreszcie Vanessa odetchnęła przez nos.

– Przystaję na twoje warunki. – Skłoniła się Safi, a jej rysy wygładziły się i oblicze cesarzowej przyozdobił szczerzy, niewymuszony spokój. – Dziękuję, że mnie nie opuścisz.

To powiedziawszy, wyszła z kajuty, wyprostowana i opanowana, tak jak weszła. Gdy zatrzasnął się zamek, a statek przechylił cztery razy z lewej burty na prawą, odezwał się Caden. A gdy to zrobił, policzki Safi rozпалиł rumieniec.

– Czemu chcesz, żebyśmy z tobą szli? Wiesz przecież, że ostatecznie będziemy musieli zabrać cię do Cartorry.

– Tak, wiem. – Wzruszyła lewym ramieniem, starając się sprawiać wrażenie niefrasobliwej. Odjęła wreszcie rękę od kamienia Więzi. – Ale wiesz, jak to mówią: trzymaj przyjaciół blisko...

– Już rozumiem. – Prychnął śmiechem. Uniósł igłę. Błysnęła miedź. – Trzymaj przyjaciół blisko, a wrogów jeszcze bliżej.

– Nie. – Naprężyła się, czekając na kolejne ukłucie. Chodziło mi tylko o tę część z przyjaciółmi. Nie jesteśmy już wrogami. – Uśmiechnęła się, nieco wymuszenie przez ból. Ale Caden odwzajemnił uśmiech.

\*\*\*

Iseult zaczęła, aż zajdzie słońce i na niebie pokażą się gwiazdy.

Znaleźli polanę na szczycie niewysokiego wzniesienia nieopodal strumienia, który opadał stromo do stawu. Zdaniem Iseult miejsce było niemożliwe do obrony w razie ataku. Podobnie sądził Aeduan, który zdradził się z wątpliwościami, gdy Sowa ich tu przyprowadziła. Drzewa rosły tutaj zbyt rzadko, nie stanowiły dostatecznej zasłony przed zbyt ciekawskimi oczami,

a strumyczek był tak wąski, że nawet Sowa przeskoczyłaby z jednego brzegu na drugi.

A jednak to właśnie tutaj dziewczyna usiadła ze skrzyżowanymi nogami i za nic nie chciała się ruszyć, a chwilę później dołączył do niej nietoperz i zwinął się w kłębek za jej plecami. Srebrne nici zwierzęcia przyblakły nieco, jakby senność ukoila jego dzikość, i wkrótce zaczęło chrapać.

Wspaniały, pomyślała Iseult. Tak chciałaby go opisać Safi, gdy już się spotkają. Tylko że zwierzę śmierdziało, a w jego gęstym futrze bzycały muchy, co trochę psuło efekt. Nie żeby Sowa przejmowała się zapachem. Zaraz ułożyła się wygodnie, oparta o czarne cielsko swojego obrońcy, i wkrótce sama już chrapała.

A Iseult wreszcie miała chwilę dla siebie.

– Dokąd idziesz? – spytał Aeduan, gdy minęła go, zmierzając w kierunku stawu.

– Niedaleko. – Wskazała głową kierunek. – Muszę... napić się ze stawu. Zaraz wracam.

Skrzywił się i choć nie ciągnął tematu, widać było, że wolałby, żeby została w obozie. Iseult z jakiegoś powodu oblała się rumieńcem. Czyżby zzyli się na tyle, by czuć się odpowiedzialnymi za siebie nawzajem?

Dotarwszy do stawu, oddychała z nieco większym trudem, niż powinna. Ale przynajmniej tutaj nikt nie będzie jej przeszkadzał. Nikt nie zobaczy, jak skrada się ku stawowi i klęka nad wodą.

Jej odbicie rozciągnęło się na tafli wody. Falowało lekko na obrysie jej twarzy, jakby staw nie był pewien, czyje ukazać oblicze.

Przetnij, przetnij, skręć i przetnij.

Iseult oderwała wzrok od odbicia i dotknęła palcami kamienia Więzi.

Zdjęła ramię z szyi i utkwiała wzrok w rubinie leżącym na srebrnym talarze.

– Safi – wyszeptała. Nakryła klejnot drugą ręką. – Safi – powtórzyła, wkładając w słowo całą siłę woli. Sięgając w dal magią, szukając zmysłem nici przyjaciółki.



Safi gdzieś tam była, a ten kamień zespolony z nią łączył ją z przyjaciółką. Jeśli Esme potrafiła chodzić we śnie, i jeśli... No cóż, jeśli Iseult naprawdę była taka jak Esme, to może ona też to potrafiła.

Ale nic się nie stało. Nic, zupełnie nic.

– A niech to – szepnęła, czując, jak czerwieni się po uszy. Pociągnęła nosem, mocniej chwyciła kamień. – Gdzie ty jesteś, do licha?

– Przekleństwa nie pasują do ciebie, Is. Jesteś na to zbyt spokojna.

– Safi? – Usiadła na piętach. Kamień wpił jej się w udo. – Czy to ty?

– A kto inny? To w końcu mój sen.

Zadziałało! Iseult nie mogła uwierzyć, ale to działało!

– To nie jest sen, Safi. Naprawdę tu jestem. I naprawdę mówię do ciebie.

– Oczywiście, że to sen. Chyba wiem lepiej, skoro to ja śpię.

– Saf, to splot... – zawahała się, czując, jakby drobny pajak wił w jej piersi lodową pajęczynę. To splotodziejska magia. To magia Esme, a ona nie jest więziodziejką.

Cokolwiek by to było i do czegokolwiek byłoby zdolne, nie mogło być z gruntu złe, skoro Iseult udało się za pomocą tego czegoś porozumieć z Safi. Przełknęła ślinę.

– To... magia – powiedziała po prostu. – I możesz mi wierzyć, że prawdziwa.

Cisza rozciągnęła się między nimi, a potem w umyśle Iseult zafalowały lekkomyślnie różowe, emanujące ciepłem nici. Były jak snop światła, który od ręki stopił lód w piersi Iseult.

O wielka bogini, jakże brakowało jej tego uczucia. I jakże strasznie tęskniła za więziosiostrą.

– Po trzykroć pieprzona cholera! – pisnęła Safi drżącym z podniecenia głosem. – My rozmawiamy, Is! Możesz w to uwierzyć?

Iseult nie mogła się powstrzymać. Roześmiała się. Safi odpowiedziała tym samym, a słoneczne barwy rozlały się po ich więzi. Nici przyjaźni.

Zanim Iseult zdołała nacieszyć się ich pięknym kolorem, kątem oka zobaczyła między sosnami jakąś postać. Postać bez nici. Serce podskoczyło jej do gardła. Aeduan. Oczywiście, że Aeduan. Tylko co tu robił?

– Gdzie jesteś, Safi? – powiedziała szybciej. – Czy jesteś bezpieczna?

– Płynę statkiem do Azmiru. I tak, jestem bezpieczna. Powinniśmy jutro dotrzeć do stolicy. A ty gdzie jesteś?

– Ja i-ide do ciebie! – Czuła, jakby język spuchł w jej ustach. Tyle miała jej do powiedzenia. Najchętniej rozmawiałaby z przyjaciółką przez okrągły tydzień. Ale Aeduan doszedł już do zatopionej ściany. Wkrótce zbliży się na tyle, że będzie słyszał każde jej słowo. – Saf, słuchaj, j-jeszcze trochę mi zejdzie, zanim dotrę do Azmiru, ale będę tam tak szybko, jak tylko zdołam. A teraz muszę już iść.

– Czekaj! Zostań! Is, proszę!

– Kiedy nie mogę. – Zgrzytnęła zębami.

– Powiedz mi tylko, czy jesteś bezpieczna. I nie kłam, Is. Bo i tak będę wiedzieć.

Iseult zmusiła się do uśmiechu i powiedziała bez jąkania:

– Jestem bezpieczna, Safi. Porozmawiamy wkrótce. Obiecuję. – Odjęła rękę od rubinu.

W dwa oddechy nici Safi zniknęły. Serce Iseult znów stało się zimne. Założyła ramię na szyję.

Aeduan wychynął z cienia. Milczał, mijając skały, a frustracja Iseult, ku jej własnemu zdziwieniu, uleciała gdzieś w ślad za niemi więziosiostry, bo w każdej chwili mogła znowu wyprawić się na spacer po śnie. To dopiero początek długiej rozmowy z przyjaciółką.

Krwiodziej zatrzymał się przy stawie i spojrzał na swoje odbicie, jak Iseult przed chwilą. Nie usiadł, a jakże. Iseult wątpiła, czy w ogóle kiedykolwiek siadał. Albo rozluźniał się, zwyczajnie i po ludzku. Czy w ogóle robił cokolwiek zwyczajnego jak normalni ludzie.

Z drugiej strony sama nie jestem do końca zwyczajna, pomyślała natychmiast. Splotodziejka...

Nie. Nie będzie teraz o tym myśleć.

Wsunęła palce do wody. Zimno rozplątało supeł w jej głowie. Sięgnęła głębiej, aż zanurzyła rękę po łokieć.

– Świetliki.

– Co? – Iseult wyprostowała się z pluskiem. Dreszcz tańczył jej po ramionach.

– Tam. – Wskazał drugą stronę stawu. – Świetliki. Słyszałem, że w Marstoku mówią, że przynoszą szczęście. I że dzieci wypowiadają życzenia na ich widok.

Pobrzmiwała w jego głosie jakaś lekkość, jakby...

– Czy ty właśnie zażartowałaś? – Iseult wstała na nogi. Kropelki wody zrosiły kamienie.

– Nie.

Iseult nie uwierzyła. Drgnął jej nos, gdy wargi budziły się do uśmiechu. Ukryła rozbawienie, podążywszy wzrokiem do migotliwych światełek na drugim brzegu. Powietrze, niebo, woda – było tak jak wtedy, dwie noce temu.

A jednocześnie zupełnie inaczej. Iseult i krwiodziej byli jeszcze wówczas wrogami związanymi układem. Dzisiaj stali tu jako sojusznicy związani... Iseult nie wiedziała dokładnie czym. Z pewnością była gdzieś w tym Sowa i może jej skrzydlaty kompan.

Zaczerpnęła tchu, rozkoszując się powietrzem wypełniającym jej płuca. Zamknęła oczy. Chciała wypowiedzieć życzenie, ale nie wiedziała, od którego zacząć. Chciała mieć przy sobie Safi. Chciała, żeby byli z nią też Habim i Mathew. I choć tego życzenia zupełnie nie mogła zrozumieć, chciała też, by była tu jej matka.

Ale najbardziej na świecie pragnęła odpowiedzi. Chciała wiedzieć więcej o swojej magii i o Cahr Awenach.

Życzę sobie wiedzieć, kim jestem.

Zamrugnęła i rozwarła powieki. Aeduan wciąż obserwował świetliki.

– Wypowiedziałeś życzenie? – spytała i zdumiała się, gdy kiwnął głową. – A czego sobie życzyłeś?

Rozprostował ręce. Wzruszył ramionami.

– Jeśli się spełni, to może pewnego dnia ci powiem. – Skręcił i ruszył brzegiem stawu, zwalniając dopiero przy drzewach. – Uważaj, gdy będziesz wracać, nietoperz położył ogon na twoim posłaniu.

Iseult obserwowała go, aż stał się smugą cienia pośród sosen. Wtedy uświadomiła sobie, że się uśmiecha. Ale nie wiedziała, czy uśmiech wywołał Aeduan, życzenie, czy Safi.

Usiadłszy na skale, zdjęła buty i zamoczyła nogi w stawie. Woda była tak zimna, że prawie mroziła stopy. Gdy znowu dotknęła kamienia Więzi i szepnęła do Safi, połączenie nawiązało się od razu.

Upłynęła doskonała pod każdym względem noc, którą spędziła z Safi, chichocząc i dzieląc się opowieściami z minionych dwóch tygodni.

Szumiały sosny, szemrał strumyk, tańczyły świetliki.

## ROZDZIAŁ 41

Komnata Bitewna. Vivia znów stała przed wielkimi dębowymi drzwiami, ale tym razem lokaje nie dali na siebie czekać.

I tym razem wkroczyła do komnaty wraz z ojcem.

Najpierw poczuła zapach rozmarynu i szaławii. Potem ujrzała morze irysowych, błękitnych szat, nad którym unosiło się ponad trzydzieści głów. Wizerowie wraz z rodzinami obrócili się jednocześnie, kiedy usłyszeli dźwięk otwieranych drzwi. Ucichły rozmowy, a rozbrzmiały odsuwane krzesła, gdy wszyscy wstawali, by się skłonić. Odświętne buty Vivii stukały o podłogę, jej własna szata szeleściła, kontrapunktując skrzypienie wózka inwalidzkiego króla Serafina.

– Wasze Wysokości – wymruczała najstarsza córka wizera Eltara. Kobieta dygnęła, a Vivia nie zdołała zdusić cisnącego jej się na usta radosnego uśmiechu. Pierwszy raz kobiety dołączyły do niej w Komnacie Bitewnej.

Po mającej się dzisiaj odbyć uroczystości Vivia zamierzała się upewnić, że stanie się to normą.

Dotarłszy do końca stołu, uklękła, by ustawić wózek.

To miał być dzień żałobny, ale nikt z zebranych przy stole ludzi się nie smucił. Jak mieliby lamentować, skoro miasto zostało uratowane przed morskim ogniem i niszczycielskim sztormem? Skoro wbrew wszelkim przewidywaniom wyszli z kryzysu silni i zjednoczeni?

Vivia powiedziała obywatelom Lovats o podziemnym mieście. Inżynierowie i czarodzieje przeczesywali w tej chwili ulice, by się upewnić, że metropolia nadaje się do zamieszkania. Do stolicy dotarły pierwsze transporty żywności z cartorriańskich farm Hasstrelów i zaczęto spisywać nowy traktat, który zostanie niebawem podpisany z Imperium Marstoku. Okazało się bowiem, że Vanessa żyje i ma zupełnie nowy pomysł na układ między dwoma krajami.

Vivii wyjątkowo dzisiaj nie szło maskowanie ogarniającej jej radości, wiedziała o czymś, o czym nie mogli się dowiedzieć zebrani tu ludzie. Podczas gdy całe miasto wierzyło, że sam Furia zstąpił na ziemię, by pomóc jej na wodnym moście, ona jedna wiedziała, że to Merik.

Jej brat żył.

Ale zamierzał opuścić miasto. Wraz z dwojgiem przyjaciół, chłopcem imieniem Cam i kobietą imieniem Rybera, planował podróż na północ – w Góry Sirmayańskie.

– Rybera mówi, że tam dowiemy się więcej o mojej... przypadłości. – Wskazał swoją twarz skrytą w cieniu kaptura. – Poza tym i tak nie przydam się tutaj na wiele. Świetnie sobie radzisz sama.

Vivia nie zgodziła się z tym stwierdzeniem, ale była daleka od tego, by się spierać. Merik znalazł ją w głównej izbie Twierdzy, gdzie setki petentów konkurowały o jej uwagę. Gdzie nie miała nawet chwili, by mu należycie odpowiedzieć. A poza tym jeśli Merik naprawdę chciał opuścić miasto, to czuła, że nie powinna go powstrzymywać. Kiwnęła więc głową i powiedziała po prostu:

– Odzywaj się co jakiś czas, Merry. Głosodzieje pracują całą dobę.

– Gdy tylko zdołam – odrzekł.

A potem schował się w głębi kaptura – nowego kaptura. Vivia uparła się, żeby przynajmniej dał się porządnie ubrać przed wyjazdem.

Wyszedł z Twierdzy, by nigdy do niej nie powrócić.

Wcale nie będzie próbował się kontaktować. Vivia wiedziała o tym już w Twierdzy i przypominała sobie o tym teraz, w Komnacie, drapiąc się w swędzący przez wełniany kołnierz szaty kark.

Wstała z krzesła i odkaszlnęła w pięść. Rodziny wizerskie sądziły, że przemówi jej ojciec, że poczuł się już na tyle dobrze, by wrócić do życia politycznego. Potwierdzeniem tego były utkwione w nim wyczekujące spojrzenia. Ale Serafin powiedział zawczasu Vivii:

– Bądź królową, jakiej potrzebują, a sami rzucą ci koronę do stóp.

Odkaslnęła ponownie, ściągając wzrok zebranych na siebie.

– Chociaż zebraliśmy się tutaj, by uczcić pamięć mojego brata – wyrzekła tym samym donośnym tonem, którym częstokroć przemawiał jej ojciec – powinniśmy również oddać honor wielu innym zasłużonym. Setki Nubrevenów zginęły w napaści, która miała miejsce trzy dni temu. Żołnierze, cywile oraz... jeden z nas. Członek rady wizerów. – Stojący swobodnie arystokraci przybrali pozycję na baczność. Wszyscy utkwili wzrok w podłódze. Nikt nie znał prawdy o Serricie Lindayu, a Vivia nie miała zamiaru im jej wyjawiać. Przynajmniej dopóki nie dowie się, kto go kontrolował. I jakim sposobem. – Tak więc – podjęła głośniejszym głosem – proszę was, byście z każdym zrzuconym z wodnych mostów liściem pamiętali o tych, którzy za nas walczyli. I którzy w tej walce oddali życie. Proszę was także, byście poświęcili swoje myśli tym, którzy jeszcze mogą zginąć wskutek odniesionych ran. – Zrobiła pauzę. – Ta wojna dopiero się zaczęła. Niebawem nasze zwycięstwo stanie się jedynie wspomnieniem, ale nie zapomnijmy nigdy o tych, którzy udali się za ostatni szelf Nodena, żebyśmy my mogli tryumfować. I pamiętajmy o... – Zwilżyła wargi. Wyprostowała się na pełną wysokość. – Pamiętajmy o moim bracie, księciu Nubrevny i admirale marynarki, Meriku Niharze. Bo chociaż przez łzy nie umiemy rozpoznać szczęścia skrytego w nieszczęściu...

– Siłę nam daje Pani Baile nadobna – odpowiedzieli jednym głosem zebrani – jak matka, co trwa przy dziecięciu.

\*\*\*

Bycie trupem miało swoje zalety.

Merik Nihar, książę Nubrevny i były admirał nubrevenskiej floty, żałował, że skupił się na życiu dopiero teraz. Bo gdyby zrobił to wcześniej, może nie żałowałby zmarnowanego czasu. Może miałby nieco więcej dobrych wspomnień o Kullenie i Safi, może nawet o Vivii. Takich, które wywoływałyby uśmiech na jego twarzy. Kto wie, może byłoby ich tyle, ile było liści niesionych przez wiatr od wodnych mostów.

Merik, Cam i Rybera weszli na wzgórze nieopodal tamy. Mieli podążać wzdłuż rzeki drogą wiodącą na północ w Góry Sirmayańskie, ale przeszkodził im pogrzeb.

Dziewczyny chciały popatrzeć na ceremonię. Merik, co dziwne i trochę niepokojące, również. Liście frunęły w dół, jedne szybciej, inne wolniej, jedne jaskrawopomarańczowe, inne soczyście zielone. Niektóre, porwane przez prądy powietrza, wznosiły się w górę, inne opadały w kierunku ziemi. Niektóre wlekły za sobą warkocze dymu, rysując tor lotu na tle ciemnobłękitnego nieba. Jeszcze inne po prostu lśniły w promieniach zachodzącego słońca.

– Pięknie – wyrwało się stojącej za Merikiem z ręką przyłożoną do serca Cam. Uzdrowiciele poradzili jej, by trzymała ją w ten sposób, a ona chyba pierwszy raz w życiu zrobiła tak, jak jej radzono.

Nie, nie ona, przypomniał sobie wiatrodziej. Cam był chłopcem i choć Merik nie przyzwyczał się jeszcze do tego – do myślenia o Cam w rodzaju męskim – mieli przed sobą kilkutygodniową podróż. To dość czasu, by przywyknąć.

– Przepięknie – potwierdziła stojąca po drugiej stronie majtka Rybera, odrzucając na plecy opadający na oczy kosmyk, który wysmyknął się z jej warkocza. W odróżnieniu od Cam zachowała swoje marynarskie atrybuty.

– Ja już się napatrzyłem – powiedział Merik po chwili i odwrócił się. – Dość tej makabreski jak na jeden dzień.

Poprawił kaptur, nasunawszy go głębiej na oczy. Wokół kręcili się ludzie, głównie opuszczający dolinę farmerzy i żołnierze, którzy pokończyli warty w strażnicach przy tamie. Merik nie mógł ryzykować rozpoznania, gdy zaleczały się jego blizny, odrastały mu włosy, a spod cienistych linii zaczęła powoli wyzierać jego prawdziwa twarz.

Świat miał myśleć, że nie żyje. Nie tylko po to, by mógł w spokoju polować na Kullena, ale też dlatego, że świat go zwyczajnie nie potrzebował. Zwłaszcza Vivia. Merik wiedział, że jej życie będzie o wiele prostsze bez niego.

Jeden za wszystkich.



Gdy towarzysze dołączyli do niego na brzegu rzeki Timetz, gdzie zryty kopytami trakt wnikał między drzewa, Cam zaczął nucić znajomą piosenkę.

Merik poczuł, jak podnoszą mu się włoski na karku. Przyspieszył kroku. Otoczyły ich brzozy, klony i sosny.

– Zlituj się, Cam. Wszystko, tylko nie ta piosenka.

– Czemu? – zaciekała się Rybera. Zrównała się z Merikiem, wpasowując się butami w koleiny drogi. – Ten wierszyk przecież dobrze się kończy.

Zacząła śpiewać, nim Merik zdążył ją powstrzymać.

Ślepy brat Daret, co węch miał wspaniały,

Wywęszył niebezpieczeństwo.

Królowej rzekł: Jam bardziej okazały!

Zjedz mnie, a wypuść maleństwo!

Gdy paszczę otwarła, wyskoczył brat Filip

I pomknął z powrotem do brata,

I razem uciekli, nie tracąc ni chwili,

Byle dalej od straszego kraba.

Powiedział brat Filip do brata Daretu,

Gdy już opuścili jaskinię:

Wybacz, braciszku, przeze mnie ta bieda.

Podziwiam cię za twą odwagę!

Wybacz mi, Darcie, bo teraz rozumiem,

Że ja, a nie ty, byłem ślepy.

Bez złota, korony ja obejść się umiem,

Bylebyś był przy mnie ty.

– Widzisz? Szczęśliwe zakończenie jak się patrzy. – Wyszczrzyła się, a z jej rękawa wysunęły się dwie karty o złotych rewersach. Pokazała je Merikowi. Dziewięć Psów i Głupiec. Zatrzepotały na wietrze, nie do końca naturalnie.

Merik stanął. Jego worek upadł na ziemię. A potem zgiął się wpół, wsparłszy ręce na kolanach. Serce waliło mu jak kowalski młot, płuca rozdeły się jak miechy. Błoto na drodze i piarg zlały mu się przed oczami w jedną plamę czerwieni i szarości, falując w rytm jego przyspieszonego pulsu i zbierających się wokół niego wiatrów.

Wybacz mi, Darcie, bo teraz rozumiem,

Że ja, a nie ty, byłem ślepy.

To Merik był tym głupim bratem. Od samego początku. Dopiero teraz to rozumiał. Chciał czegoś, co tak naprawdę nie istniało, czegoś nierzeczywistego, i na dodatek z niewłaściwych powodów.

Widział, co chciał widzieć.

Ale jego historia, tak jak piosenka o dwóch braciach, miała szczęśliwe zakończenie. Wciąż tu był, prawda? I Kullen też gdzieś tam był. I kto wie, może jest cień szansy, że uda się ich obu uratować.

Rybera twierdziła, że wie, jak go wyleczyć. Jak powstrzymać to dziwne półrozszczepienie, które go ogarnęło. Wyjawiała, że więcej się dowiedzą w Górach Sirmayańskich, a ponieważ Merik nie miał nic do stracenia – a mógł zyskać wszystko – spakował się i ruszył w drogę.

Oczywiście Cam nie chciała nawet słyszeć o tym, że miałyby zostać w Lovats. Przypomniawszy sobie jego wysuniętą uparcie zuchwę i wydęte usta, księżę rozluźnił się i wypuścił powietrze z płuc.

Teraz się wyprostował, zapatrzywszy się w zapadający zmrok, zasłuchawszy się w pieśni świerszczy, pohukiwaniu sów i ćwierkaniu lelków. Takie dźwięki znał z dzieciństwa spędzonego z Kullenem. I takich jeszcze kiedyś będą razem słuchać.

– Sir? – mruknęła Cam, podchodząc. Zobaczył w jej... nie, w jego oczach, że się martwi. Niby znał to spojrzenie, a jednak wydało mu się w jakimś sensie obce.

Wybaczył Cam, że zataiła przed nim prawdę o Garrenie i Dziewiątkach.

Dlaczego tak długo panuje Królowa?

Bo wie, czego chcą jej poddani,

Że nęci ich złoto, och, to rzecz wiadoma,

Lecz chcą być również kochani.

Wybaczył też Ryberze, że zostawiła go w grocie należącej do rodu Niharów. Puścił w niepamięć jej sekrety i to, że skradła Kullenowi serce, że zajmowała jego czas, że zawłaszczyła sobie jego miłość.

W końcu zarówno Cam, jak i Rybera wrócili po Merika, gdy został sam.

I Vivia. Wróciła po niego także siostra.

Uśmiechnął się do towarzyszy. Nie zdołał się powstrzymać.

– Chodźmy – powiedział, zarzucając worek na plecy. Pierwszy raz od tygodni czuł, o ironio, że żyje. – Przed nami daleka droga, a słońce zaraz zajdzie.

A potem Merik Nihar ruszył naprzód zadowolony pomimo braku bogactw, złota i korony, bo miał u boku przyjaciół.

## PODZIĘKOWANIA

Mówią, że jedną książkę pisze cały sztab ludzi. No cóż, tej na pewno nie napisałam sama. Nie powstałaby, gdyby nie wsparcie legionu utalentowanych i życzliwych osób, którym chcę z całego serca podziękować.

Przede wszystkim podziękowania należą się mojej redaktorce Whitney Ross. Ta książka jest w równym stopniu moja, co twoja. Dziękuję, Whitney, za twoją nieocenioną pomoc. Walka!

Drogi, najdroższy Sébastienie, dziękuję za twoją cierpliwość i miłość, za twoją niezmienną dobroć. *Je t'aime*.

Dziękuję Joannie Volpe i reszcie ekipy New Leaf. Nie dałabym rady bez was. Dziękuję za wszystko, co dla mnie robicie.

Dziękuję mojej nadzwyczajnej ekipie z Tor: jesteście niewidzialną ręką, która uwija się niestrudzenie w ukryciu, by zmienić moją pisaninę w powieść z prawdziwego zdarzenia. Dziękuję po stokroć. Bez was *Wiatrodziej* nigdy by nie powstał.

Dziękuję mojej żonce Rachel Hansen. Nigdy nie dotarłabym do *the endu* bez twojej pomocy. Jestem ci bardzo wdzięczna. (P.S. Rękawica robocza należy do ciebie. P.P.S. Dajesz!)

Muszę też z głębi serca podziękować kilkorgu nadzwyczajnym pisarzom i czytelnikom. Gdy dzwoniłam, odbieraliście natychmiast: Amity Thompson, Erica O'Rourke, Mindee Arnett, Melissa Lee, Leo Hildebrand, Akshaya Ramanujam (o ty, która nieustannie kaleczysz słówko „pytać”!), Madeleine Colis, Savannah Foley, Kat Brauer, Elise Kova, Biljana Likic, Meredith McCardle, Leigh Bardugo, Meagan Spooner, Amie Kaufman, Elena Yip i Jennifer Kelly.

No... mówiłam przecież, że sztab ludzi.

A! I jeszcze dziękuję Erin Bowman i Alexandrze Bracken. Chcę wam powiedzieć tylko jedno: #wistawio.

Dziękuję moim przyjaciółom w Fabiano, zwłaszcza tobie, sensei Jonie Ruiteze, i tobie, sensei Brancie Grahamie. Dzięki,

że daliście się pobić w imię dobrej sceny walki.

Dziękuję moim ukochanym #czaroziemkom. Wszyscy jesteście moimi patronusami. A teraz poważnie: jesteście moimi obrońcami, którzy chronią mnie przed ciemnością. Jesteście powodem, dla którego codziennie siadam do pisania, powodem, dla którego nie poddałam się nawet wtedy, gdy ta książka niemal wydusiła ze mnie życie, powodem, dla którego w ogóle chcę opowiedzieć tę historię. Dziękuję wam z głębi serca.

Mamo, tato – jesteście moimi bohaterami od zawsze. Każdego dnia nieśmiało aspiruję do tego, by być bardziej podobna do was.

I wreszcie, dziękuję Davidowi i Jenn. Wybaczcie, że nie zawsze byłam najlepszą starszą siostrą. Było ze mną jak z Vivią, najpierw musiałam sama się ogarnąć, żeby móc ogarnąć się z wami. Ale mam nadzieję, że wiecie, że zrobiłabym dla was wszystko. Tak, wskoczyłabym nawet do doliny wypełnionej morskim ogniem. Ale miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie, co?

Windwitch

Copyright © by Susan Dennard 2016

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2017

Copyright © for the translation by Maciej Pawlak 2017

Redakcja – Marta Pustuła

Korekta – Maciej Cierniewski

Projekt typograficzny i skład – Joanna Pelc

Adaptacja okładki – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Scott Grimando / grimstudios.com

Mapa – Maxime Plasse

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.



Wydanie I, Kraków 2017

ISBN EPUB: 978-83-7924-811-7

ISBN MOBI: 978-83-7924-810-0

 [wsqn.pl](http://wsqn.pl)



WydawnictwoSQN



wydawnictwosqn



SQNPublishing



wydawnictwosqn



WydawnictwoSQN



Sprzedaż internetowa labotiga.pl



E-booki



Zrównoważona gospodarka leśna



Panta rhei

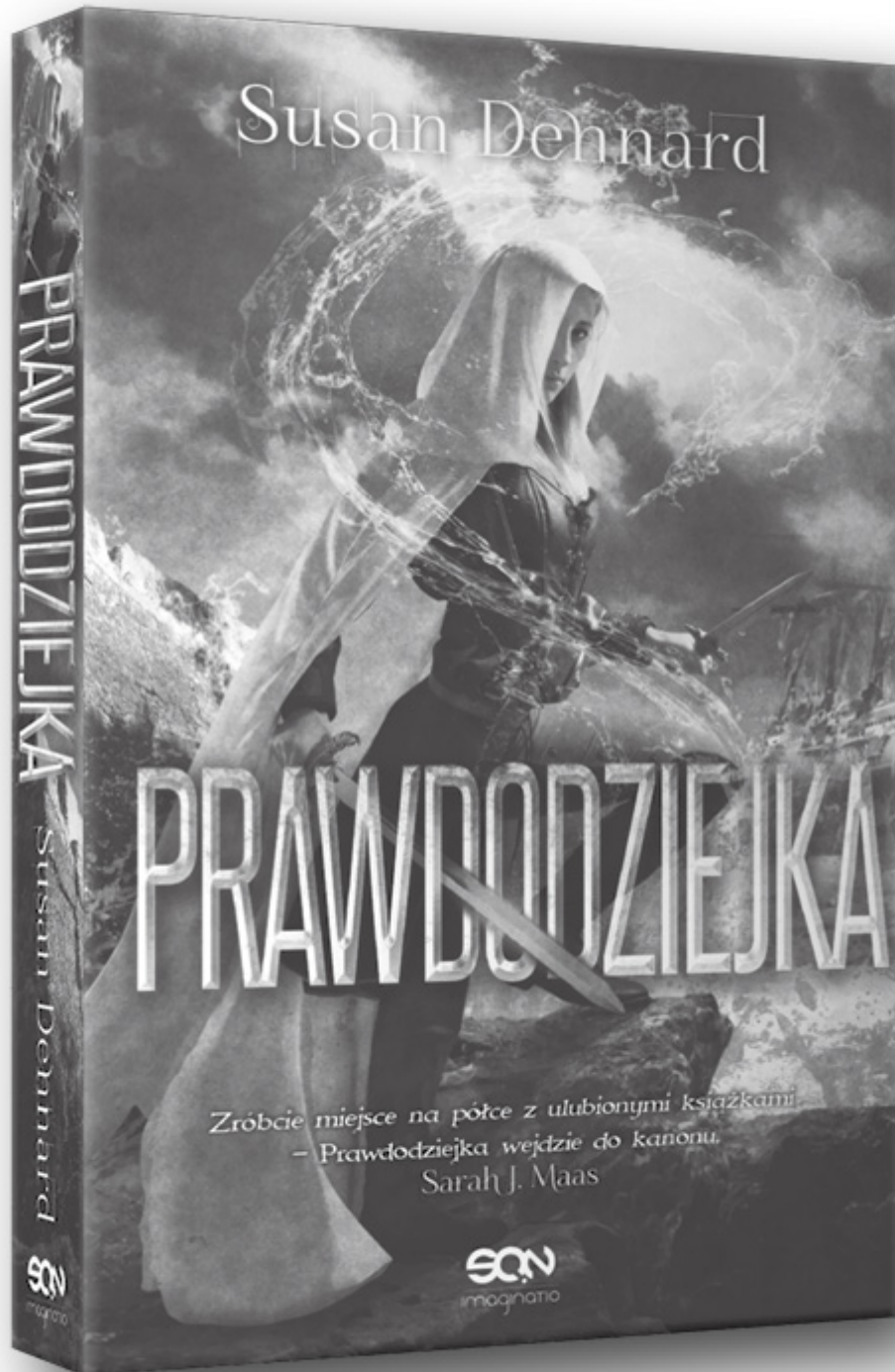
# Spis treści

Okładka
Strona tytułowa
Przedtem
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18
Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31

Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Podziękowania  
Strona redakcyjna



Poznaj wcześniejsze losy bohaterów



Może zainteresują Cię również:

